

# Prawo miecza cz.1

Wilbur Smith



calibre 0.9.27

**Wilbur Smith**  
**Prawo Miecza**  
**tom 1**

*Gdybym był popuścił wodzy samowoli i zezwolił poddać wszystkie prawa jednemu Prawu Miecza, nie musiałbym dzisiaj tutaj stawać.*

KAROL I, król Anglii Mowa na szafocie, 30 stycznia 1649

1

Ocean spowijała gęsta mgła, tłumiąca wszystkie barwy i dźwięki. W pierwszych podmuchach wiejącej w stronę lądu porannej bryzy burzyła się i falowała. Kuter dryfował w kłębach mlecznego oparu pięć kilometrów od brzegu, nad pasem ciemnej zieleni, wytyczającym skraj prądu, gdzie zasobne w życiodajny plankton masy wód z morskich głębin stykały się z cieplejszymi wodami przybrzeżnymi.

Lothar De La Rey stoi na mostku oparty o drewniane koło sterowe i wodził wzrokiem po zwałach mgły. Uwielbiał te pełne cichego napięcia chwile oczekiwania na świt. W całym ciele czuł narastanie elektryzującego mrowienia, myśliwskiej gorączki, która już tyle razy w życiu go ogarniała. Ten głód polowania był nałogiem równie potężnym jak palenie opium czy picie mocnych trunków.

Przypomniawszy mu się tamten miękki różowy brzask, wypełzający ukradkiem zza wzgórz Magersfontein, kiedy leżał w pierwszym rzędzie okopów, czekając, aż z ciemności wynurzą się szeregi szkockiej piechoty, by w rozkołysanych kiltach, z rozwianymi wstążkami u беретów ruszyć wprost na lufy ich mauzerów, i poczuł, jak na to wspomnienie ciarki przebiegają mu po grzbiecie.

Od tamtej pory były setki takich świtów oczekiwania przed wyruszeniem na wielką zwierzynę: na lwa z Kalahari ze zmierzwioną grzywą, starego bawołu w koronie pancernych rogów, na przebiegłego słonia o pobrużdżonej skórze i cennych kłach. Tym razem jednak zwierzyna była znacznie mniejsza, choć w swej mnogości równie nieogarniona jak ocean, z którego głębin pochodziła.

Te rozmyślenia przerwał mu widok syna, wychodzącego z kambuza na otwarty pokład. Chłopiec był boso, nogi miał długie, opalone i krzepkie. Osiągnął już prawie wzrost dorosłego mężczyzny, toteż przekraczając próg sterówki musiał się schylić. W obu rękach niósł cynowe kubki parującej kawy, balansując zwinnie, by jej nie rozlać.

— Słodzona? — spytał Lothar.

— Cztery łyżeczki — odparł chłopak z uśmiechem.

Mgła osiadła mu na długich rzęsach kropelkami rosy. Strącił je leniwym mrugnięciem niczym rozespany kot. Choć jego jasne kręcone włosy zbieleły na słońcu w platynowe kędziory, gęste brwi i rzęsy pozostały czarne. Ich oprawa podkreślała bursztynowy kolor oczu.

— Mam dobre przeczucie. — Wypowiadając te słowa Lothar skrzyżował w kieszeni palce prawej dłoni. „Byle tylko nie zapeszyć — pomyślał. — Potrzeba nam tego połowu. Zeby przetrwać, potrzeba nam wielkiego, udanego połowu”.

Przed pięcioma laty raz jeszcze usłyszał zew myśliwskiego rogu, raz jeszcze dał się ponieść żądzy pogoni za nieznanym. Sprzedał nieźle prosperujące przedsiębiorstwo budowy dróg i kolei, które z takim trudem udało mu się rozwinąć, zapożyczył się gdzie i jak się dało i postawił wszystko na jedną kartę.

Wiedział, jakie niezmiernie bogactwa kryją chłodne, zielone wody Prądu Benguelskiego. Po raz pierwszy odkrył je w czasie chaosu ostatnich dni Wielkiej Wojny, kiedy do końca stawiał opór zniechęconemu Anglikom i tej ich marionetce, zdrajcy Janowi Smutsowi, dowódcy armii Związku Południowej Afryki.

Z tajnej bazy zaopatrzeniowej, ukrytej między wysokimi wydmi pystyni, ciągnącej się wzdłuż wybrzeża południowego Atlantyku, zaopatrywał w paliwo i amunicję niemieckie U-Boty, nękające brytyjską flotę handlową. W czasie tych włokących się w nieskończoność dni oczekiwania na

pojawienie się niemieckich łodzi podwodnych widział, jak cały ocean drga nieprzebranym bogactwem życia. Wystarczyło tylko sięgnąć ręką. W latach, które nastąpiły po haniebnym Traktacie Wersalskim, kiedy tyrał w spiekocie i pyle przebijając drogi przez skaliste górskie przełęcze lub układając tory na rozedrganych od upału równinach, wszystko dokładnie sobie obmyślił. Oszczędzał, planował i knuł i wreszcie gotów był sięgać.

Łodzie znalazł w Portugalii, wiekowe kutry do połowu sardynek, zaniedbane i zbutwiałe. Tam także znalazł starego wilka morskiego Da Silvē. Wspólnie naprawili i wyposażyli cztery archaiczne łodzie, obsadzili je szczątkowymi załogami i wzdłuż całej Afryki przeprowadzili na południe.

Fabrykę konserw wyszperał w Kalifornii. Firma, która ją zbudowała, przeceniła zasobność tamtejszych łowisk tuńczyków, nie doceniła natomiast kosztów połowu tych nieuchwytnych, kapryśnych „morskich kurcząt”. Lothar kupił przetwórnice za ułamek jej wartości i rozebraną na części przetransportował do Afryki. Na twardych pustynnych piaskach brzegów Zatoki Wielorybów, w pobliżu ruin opuszczonej bazy wielorybniczej, od której odludna zatoka wzięła swą nazwę, złożył ją z powrotem. Przez pierwsze trzy sezony ryby same pchały się w sieci; ciągnął je z Da Silvē, aż spłacił wszystkie długi. Natychmiast zamówił nowe łodzie, by zastąpić nimi wysłużone portugalskie kutry, których dni były policzone, i w ten sposób znów się zadłużył, bardziej niż na początku całego przedsięwzięcia.

I wtedy ryby odpłynęły. Z niewytłumaczalnych przyczyn ogromne ławice sardeli zniknęły i tylko gdziegdzie pozostały niewielkie ich stadka. Wypuszczali się na poszukiwania setki kilometrów w morze, wyprawiali się wzdłuż pustynnego wybrzeża daleko poza granicę opłacalności dowozu ryb do przetwórnicy — wszystko na próżno. Mijał miesiąc za miesiącem, a każdy bezlitośnie przynosił zawiadomienie o kapitalizacji odsetek, których Lothar nie był w stanie spłacić. Koszty utrzymania kutrów i fabryki zmuszały go do błagania i żebrania o nowe pożyczki.

Dwa lata i ani śladu ryb. I nagle, gdy Lothar był już o krok od przyznania się do porażki, na skutek jakiejś niedostrzegalnej zmiany prądu oceanicznego czy eż może kierunku stałych wiatrów, ryby powróciły. Ich nieprzebrane ławice wypływały co świt na powierzchnię, zbite niczym łąki świeżej trawy.

„Niech to trwa — modlił się w duchu Lothar, wodząc wzrokiem po tumanach mgły. — Proszę Cię, Boże, niech to trwa. Jeszcze trzy miesiące, tylko tyle mi trzeba. Trzy krótkie miesiące i spłacę wszystkie długi. I znów będę wolny”.

— Podnosi się — powiedział chłopiec. Lothar zamrugał oczami i potrząsnął lekko głową, by odpędzić wspomnienia.

Mgła podnosiła się niczym kurtyna w teatrze, a scena, którą ukazała, była tak nienaturalna, mieniła się tak jaskrawymi barwami, że przywodziła na myśl romantyczny landszaft. Świt strzelał fajerwerkami ogni, barwiąc na pomarańczowo i złoto rozmigotane szmaragdowe fale, a poskręcane kolumny mgły na kolor krwi i róż. Cały ocean zdawał się płonąć nieziemskim ogniem. Absolutna cisza potęgowała wrażenie magiczności tego widowiska, cisza tak gęsta, krystaliczna i klarowna, iż nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że postradali zdolność słyszenia, że pozbawiono ich wszystkich zmysłów poza wzrokiem, by nic nie zakłócało skupienia, w jakim chłonęli ten spektakl.

Nagle słońce przedarło się przez nawis mgły rozjarzonym snopem płynnego złota, promień zaigrał na powierzchni wody oświetlając granicę prądu. Wody przybrzeżne, przetykane smugami szarego błękitu, były spokojne i gładkie jak polane oliwą. Linia ich zetknięcia się z prądem oceanicznym rysowała się ostro niczym krawędź noża, a poza nią powierzchnia wody była ciemna i mechata jak aksamit przeczesany pod włos.

— Daar spring hy! — zawołał z pokładu dziobowego Da Silvē, wskazując w stronę granicy

prądu. — Skacze!

W promieniach wylaniającego się zza horyzontu słońca załśniła w powietrzu jedna jedyna rybka, niewiele dłuższa niż dłoń dorosłego mężczyzny — maleńki płatek wypolerowanego srebra.

— Zapalaj! — polecił Lothar głosem ochrypłym z podniecenia.

Chłopiec z rozmachem odstawił kubek na stół nawigacyjny, rozlewając kilka ostatnich kropel kawy, zbiegł po drabince do maszynowni i pochylił się nad korbą. Lothar przerzucił wyłączniki i ustawił przepustnicę.

— Kręć! — zawołał w głąb luku.

Chłopak zapał się z całych sił, by pokonać opór tłoków czterech cylindrów. Nie miał jeszcze trzynastu lat, ale krzepą niewiele ustępował dorosłemu mężczyźnie. Kiedy chwycił korbę, na karku wystąpiły mu sploty mięśni.

— Teraz!

Lothar zamknął zawory i silnik, rozgrzany podczas drogi z portu, zaskoczył, zakrztusił się i ryknął. Z rury wydechowej w boku kadłuba buchnął gęsty kłęb czarnych spalin i w następnej chwili silnik zadudnił miarowo.

Chłopiec wdrapał się po drabince i wybiegł na pokład, pędząc do stojącego na dziobie Da Silyy.

Lothar zrobił zwrot, kuter przeciął linię graniczną prądu. Kolejny powiew bryzy rozwiał resztki mgły i wtedy zobaczyli pozostałe łodzie, które jak i oni czekały w ciszy na pierwsze promienie słońca. Teraz ruszyły pospiesznie na wody prądu, zostawiając za sobą na gładkiej powierzchni szerokie kiny zmarszczonych kilwaterów. Ich fale dziobowe pieniały się i pobłyskiwały w świetle poranka. Marynarze przy relingach wyciągali szyje, by sięgnąć wzrokiem jak najdalej w przód. Ich podniecone głosy przebijały się przez dudnienie silników. Z oszklonej sterówki Lothar miał widok na wszystkie pokłady robocze piętnastometrowego kutra. Jeszcze raz sprawdził stan przygotowań. Długa sieć leżała wzdłuż relingu sterburty z liną pływakową starannie zwiniętą w spiralne sterty. Na sucho ważyła siedem i pół tony, nasiąknięta wodą — kilka razy więcej. Miała sto pięćdziesiąt metrów długości, a zarzucona zwisała z korkowych pływaków niczym kurtyna z gazy na głębokość ponad dwudziestu metrów. Kosztowała Lothara pięć tysięcy funtów; więcej, niż zwykły rybak zarabiał w ciągu dwudziestu lat ciężkiej harówki, a wszystkie trzy pozostałe łodzie wyposażone były w takie same sieci. Za rufą każdy kuter holował na grubej cumie swojego „owczarka” — poszytą na zakładkę, pięciometrową szalupę.

Jedno baczne spojrzenie upewniło Lothara, że wszystko gotowe jest do zarzucania. Przeniósł wzrok przed dziób dokładnie w chwili, gdy skoczyła następna ryba. Tym razem tak blisko, że mógł dostrzec poziomą linę na jej lśniących bokach i różnicę ubarwienia łusek:

bladzielonych ponad liną i srebrnych poniżej. Plusnęła z powrotem do wody, a po ciemnej powierzchni rozbiegły się delikatne kręgi.

Jakby na dany znak, w tej samej chwili cały ocean ożył. Pociemniał, jak gdyby nagle padł nań cień wielkiej chmury, ale chmury nadpływającej z dołu, wynurzającej się z głębiny, wody zwirowały i zakotłowały się. Wydawało się, że pod ich powierzchnią drgnął ogromny potwór morski.

— Błędna ryba! — krzyknął przez ramię Da Silva, odwracając swą ogorzałą, pobrużdżoną twarz do Lothara i wyrzucając ręce szeroko w bok, by zachować równowagę. Wezbrany rybami ocean poruszył się i zakołysał kutrem.

Przed sobą mieli jedną ogromną ławicę, szeroką na półtora kilometra i tak długą, że jej ciemne krańce niknęły w dali w smugach ustępującej mgły. W całym swoim życiu myśliwego Lothar nigdy nie widział takiego nagromadzenia istot żywych, takiej mnogości egzemplarzy jednego gatunku. Chmury szarańczy, potrafiące w samo południe przesłonić i zaćmić afrykańskie słońce, czy stada

czerwonodziobych wikłaczy, które obsiadłszy wielkie drzewa łamały swym łącznym ciężarem ich najgrubsze konary, były przy tym niczym. Na kutrach zapadła głucha cisza; oniemiałe załogi patrzyły bez słowa, jak ławica wyłania się na powierzchnię, która bieleje i zaczyna się skrzyć niczym zasypana śniegiem. Niezliczone miliony małych, pokrytych łuską ciał migotały w słońcu wypchnięte ponad wodę ciśnieniem wytworzonym przez pracę od spodu nieprzebrane masy ich współplemieńców.

Pierwszy przyszedł do siebie Da Silya. Odwrócił się i pobiegł na tył kutra, szybki i podniecony niczym młodzik, przystając tylko na chwilę przed drzwiami sterówki.

— Maryjo, Matko Boża, spraw, żebyśmy nadal mieli sieci, gdy ten dzień dobiegnie końca!

Po tym podniosłym ostrzeżeniu popędził na rufę i zbiegł po trapie do holowanej z tyłu szalupy. Jego przykład podziałał na załogę, wszyscy pospieszyli na stanowiska.

— Manfred! — zawołał Lothar syna.

Chłopiec, który stał na dziobie jak urzeczony, poderwał głowę, skinął posłusznie i wrócił biegiem do ojca.

— Przejmij ster!

Było to niezwykle odpowiedzialne zadanie dla takiego młokosa, ale chłopak już tyle razy dowiódł swych umiejętności, że Lothar bez obaw zostawił go samego w sterówce. Wybiegł na dziób i nie oglądając się dał znak. Poczł pod stopami przechył pokładu, gdy jego syn obrócił kołem sterowym, by poprowadzić kuter szerokim kręgiem wokół ławicy.

— Tyle ryb... — szepnął.

Kiedy szacował wzrokiem odległość, siłę wiatru i prądu, w uszach dźwięczało mu ostrzeżenie Da Silyy. Kuter i sieć mogły dać radę stu pięćdziesięciu tonom tych zwinnych, srebrzystych sardeli, przy najwyższej zręczności i odrobinie szczęścia może dwustu, a przed sobą miał ławicę o wadze milionów ton. Nie przemyślany zaciąg mógł napełnić sieć dziesięcioma czy dwudziestoma tysiącami ton ryb, których ciężar i impet rozerwałyby ją w strzępy; mogły nawet zerwać linę pływakową lub wyrwać z pokładu pachołki i powlec całą sieć w głębinę. Co gorsza, gdyby lina i pachołki wytrzymały, masa ryb ściągnęłaby kuter na bok i wywróciła go do góry dnem. Wtedy utraciłby nie tylko cenną sieć, lecz także kuter, załogę i syna.

Mimowolnie zerknął przez ramię. Manfred szczyrzył się do niego w uśmiechu przez szybę sterówki, zaczerwieniony z podniecenia. Z tym błyskiem bursztynowych oczu i białych zębów był tak podobny do swojej matki, że Lothar poczuł gorzkie ukłucie. Odwrócił się szybko w stronę dziobu.

Te kilka chwil nieuwagi omal nie kosztowały go utraty połowu. Kuter skręcił w stronę rozedrganej białej plamy, jeszcze moment i wpłynąłby na nią, a wówczas cała ławica zesłaby w głębinę. Poruszając się z tą tajemniczą zgodnością, jak gdyby stanowiła jeden wielki żywy organizm, zniknęłaby w odmętach oceanu. Szybkim ruchem dał chłopcu znak, żeby odbił w bok, a Manfred natychmiast zastosował się do polecenia i kuter obrócił się jak na pięcie. Popłynęli wzdłuż ławicy, piętnaście metrów od jej skraju, czekając sposobnej chwili.

Rozejrzawszy się szybko wokół Lothar ujrzał, że dowódcy jego pozostałych łodzi także przezornie trzymają się na dystans, oszołomieni masą ryb, którą okrążali. Swart Hendrick, zwalisty czarny chłop o byczym karku i łysej głowie, lśniacej w pórannym słońcu niczym kula armatnia, posłał mu z sąsiedniego kutra czujne spojrzenie. Towarzysz z czasów wojny i setek desperackich przedsięwzięć, tak jak

Lothar chętnie przerzucił się z lądu na morze i został równie dobrym rybakiem, jak niegdyś był łowcą kości słoniowej i ludzi. Lothar nieznacznym ruchem dłoni przekazał mu znak ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem. Swart Hendrick roześmiał się bezgłośnie i machnięciem ręki potwierdził

odebranie sygnału.

Cztery kutry z wdziękiem baletnic krążyły i kręciły piruety wokół ogromnej ławicy. Słońce wypeizło nad horyzont, lekka bryza przewiała i rozpędziła ostatnie pasma mgły. Ich zniknięcie odsłoniło teatralne dekoracje do rozgrywającej się sceny polowania — odległe wydmy pustyni, rozżarzone niczym brąz spuszczone właśnie z pieca.

Masa ryb wciąż zachowywała formę monolitu. Lothar czuł, że zaczyna popadać w desperację. Ławica trzymała się na powierzchni już ponad godzinę, dłużej niż zwykle. W każdej chwili mogła zejść w głębiny i przepaść, a żadna z jego łodzi nie zarzuciła jeszcze sieci. Przytłoczyła ich obfitość łupu, jak żebraków widok nieprzebranych skarbów. Ogarnęło go zniecierpliwienie. Za długo już zwlekał.

„Niech szlag to trafi, rzucam!” — pomyślał i dał sygnał Manfredowi, żeby podprowadził kuter bliżej ławicy. Kiedy zawrócili pod słońce, zmrużył oczy przed jego blaskiem.

Nim zdążył popełnić jakieś głupstwo, usłyszał gwizd Da Silyy. Obejrzał się przez ramię. Portugalczyk stał w rozkroku na ławce szalupy, wymachując rękami. Nicco w tyle ławica zaczęła się wybrzuszać. Jej zbity krąg powoli zmieniał kształt. Wyrastało z niego coś jakby krosta, macka — nie, raczej coś niby głowa na cienkiej szyi. Część ryb oddzielała się od głównej masy. Na to właśnie czekali.

— Manfred! — ryknął Lothar i zakręcił ręką młynka.

Chłopak przerzucił ster, łódź zawróciła i skierowała się dziobem w stronę szyi, niczym ostrze topora kata.

— Zwolnij! — zamachał ręką Lothar.

Kuter natychmiast wytracił prędkość, zbliżając się ostrożnie do wąskiej szyi ławicy. W krystalicznie czystej wodzie widać było poszczególne ryby; każdą zamkniętą w tęczowej kropli rozszczepionego światła, a pod spodem ciemnozielony masyw reszty ławicy, zwarty jak góra lodowa.

Delikatnie wprowadzili dziób łodzi na żywą masę, zmniejszając obroty śruby do minimum, aby nie spłoszyć ryb i nie zmusić ich do zanurzenia się w głębinach. Wąska szyja pękła pod naporem dziobu i część ławicy stanowiąca „głowę” odłączyła się od reszty. Reagując na ruchy steru, na które Manfred posłusznie przekładał sygnały Lothara, kuter posuwał się ostrożnie do przodu, cofał i zawracał, odpychając ją powoli dalej, jak owczarek zaganiający stado owiec.

— Ciągle za dużo... — mruknął do siebie Lothar.

Oddzielili zaledwie małą część ogromnej ławicy, lecz na oko było tego nadal dobrze ponad tysiąc ton, a może nawet znacznie więcej. Do jakiej głębokości sięgają ryby, mógł przecież tylko zgadywać.

To było ryzykowne, bardzo ryzykowne. Kątem oka widział, jak Da Silya gwałtownym wymachiwaniem rąk upomina go, by był ostrożny. Teraz gwizdnął i zatrajkotał coś w najwyższym podnieceniu. Bał się takiej masy ryb. Lothar uśmiechnął się i zmrużył żółte oczy, które migotały jak oszlifowany topaz. Dał znak Manfredowi, żeby zmniejszył prędkość, i z premedytacją odwrócił się tyłem do starego Portugalczyka.

Przy pięciu węzłach podał następną komendę, po której łódź zaczęła zataczać ciasne koło, zmuszając ryby do zbitcia się w jego środku. Kiedy zatoczyli je po raz drugi i znaleźli się po zawiętrznej ławicy, Lothar odwrócił się szybko w stronę rufy i złożył dłonie w trąbkę.

— Los! — ryknął. — Zarzucać!

Czuwający na rufie czarny majtek z plemienia Herero jednym pociągnięciem zwolnił węzeł cumy holowniczej i wyrzucił ją za burtę. Drewniana szalupa z uczepionym jej ławeczki i nadal

wrzaskliwie protestującym Da Silva zaczęła zostawać w tyle, kołysząc się na kilwaterze kutra i rozciągając ciężką, brązową sieć.

Kuter ruszył wokół mniejszej ławicy. Szorstka brązowa plecionka pomknęła z chrobotem i świstem przez drewnianą barierkę relingu, lina pływakowa, pępowina łącząca kuter z szalupą, rozwinęła się jak pyton. Skręcili pod wiatr. Lina z nanizanymi niczym paciorki korkami wygięła się półkolem wokół ciemnej, zbitej ławicy, szalupa ze zrezygnowanym Da Silyą została daleko w tyle.

Manfred wprawnie operował kołem sterowym, dodając niewielkie poprawki na ciężenie wielkiej sieci. Kiedy ustawił kuter z powrotem obok kołyszącej się szalupy, zamknął przepustnicę i obie łodzie stuknęły się delikatnie burtami. Pułapka została zamknięta, zatrzasnęła się wokół ławicy. Da Silya wdrapał się na pokład kutra z końcem ciężkiej, grubej na siedem centymetrów liny przerzuconej przez ramię.

— Stracisz sieć! — warknął do Lothara. — Tylko wariat może chcieć wyciągnąć tyle ryb! Umkną razem z siecią i tyle ją będziesz widział! Biorę na świadków świętego Antoniego i świętego Marka... — zrzędził dalej, ale załoga z plemienia Herero wykonała już zwięzłe rozkazy Lothara i gotowa była do wybierania. Dwóch majtków zdjęło z ramion Da Silyy koniec liny pływakowej i porządnie je umocowało, trzeci pomagał Lotharowi nawinać na bęben kołowrotu linę ściągającą.

— Moja sieć i moja ryba — mruknął Lothar, uruchamiając grzechoczącą głośno wyciągarkę. — Przywiąż szalupę!

Sieć sięgała ponad dwadzieścia metrów w głąb czystej, zielonej toni, lecz jej dno pozostawało otwarte. Pierwszym i najpilniejszym zadaniem było zamknięcie go, nim ławica odkryje drogę ucieczki. Lothar pochylił się nad wyciągarką; na nagich barach pod opaloną na mahoń skórą zagrały mięśnie. Rytmicznie pochylając się i prostując metr za metrem podawał linę na obracający się bęben. Biegająca przez stalowe kółka na dole sieci lina ściągała ją, niczym sznurek monstrualnego kapciucha na tytoń.

W sterówce delikatnymi ruchami dźwigni Manfred manewrował kutrem w przód i w tył, starając się utrzymać rufę z dala od ławicy, by sieć nie oplątała śruby napędowej. Stary Da Silya przeciągnął szalupę wzdłuż liny z korkami i przywiązał się do niej po przeciwnej stronie kręgu, by w krytycznym momencie, gdy ławica odkryje, że znalazła się w pułapce i wpadnie w panikę, zapewnić dodatkową pławność. Lothar pracował bez wytchnienia, nawijał gruby sznur ściągający, aż przez burtę wpadły z grzechotem do środka pierwsze metalowe kółka. Sieć została zamknięta, ławica znalazła się w potrzasku.

Lothar oparł się ciężko o krawędź burty, tak zziębnięty, że nie mógł wykrztusić słowa. Pot ściekał mu po policzkach, koszula lepiała się do karku. Kiedy na migi zaczął dawać znaki Da Silyie, mokre od potu, długie, srebrzystobiałe włosy spadały mu na czoło i przesłaniały oczy.

Lina pływakowa zataczała równiutki krąg na łagodnie falujących chłodnych wodach Prądu Benguelskiego. Szalupa kołysała się dokładnie po przeciwległej stronie. I nagle, na oczach dyszącego ciężko Lothara, koło unoszących się na powierzchni korków zmieniło kształt, rozciągając się w elipsę. Ławica poczuła sieć i zaniepokojona naparła na nią od wewnątrz. W następnej chwili zawróciła i rzuciła się w przeciwną stronę, ciągnąc ze sobą sieć i szalupę, jakby to były strzępy wodorostów.

W ruchach ławicy czaiła się moc biblijnego Lewiatana.

— Wielki Boże, tego jest jeszcze więcej niż sądziłem! — wysapał Lothar, po czym wziął się w garść, odrzucił z czoła strąki mokrych, jasnych włosów i pobiegł do sterówki.

Ławica miotała się w tę i z powrotem, burząc wodę i ciskając bez wysiłku szalupą. Lothar czuł, jak pokład kutra podskakuje gwałtownie pod stopami, gdy masa ryb uderza w ścianę przeciążonej



sieci.

— Da Silya miał rację, zaczynają szaleć — szepnął.

Sięgnął do rączki syreny przeciwmgielnej, ryknął mą krótko trzy razy, przyzywając na pomoc resztę łodzi, i wybiegł z powrotem na pokład. Trzy pozostałe trawlerzy zawróciły i pospieszyły w jego stronę. Żaden z dowódców nie odważył się jeszcze, by zarzucić sieć w wielką ławicę.

— Szybciej, do stu piorunów, szybciej! — warknął, jakby go mogli słyszeć, po czym zwrócił się do własnej załogi: — Wszyscy do wybierania!

Marynarze zawahali się i z respektem spojrzeli na sieć, ociągając się z wykonaniem rozkazu.

— Ruszać się, czarne bydlaki! — ryknął Lothar i sam dał przykład podbiegając do burty. Trzeba było jak najprędzej zacieśnić sieć, stłoczyć małe rybki tak bardzo, by pozbawić je ich nieujarzmionej siły.

Sieć była chropawa i szorstka jak drut kolczasty, ale pochyłili się nad nią jednym długim rzędem. Wykorzystując powolne przechyły kutra wybierali ją ręcznie, kilka metrów za każdym zgranym pociągnięciem.

Nagle ławica rzuciła się znowu i cała sieć, którą zdołali wybrać, wyprysnęła im z rąk. Jeden z czarnych marynarzy nie zdążył w porę jej puścić i palce prawej ręki uwięzły mu w plątaniu szorstkiego sznura. Szarpnięcie sieci zdarło z dłoni skórę jak rękawiczkę, obnażając białe kości i surowe mięso. Murzyn krzyknął przeraźliwie i przycisnął okaleczoną dłoń do piersi, próbując zatamować buchającą krew. Krew trysnęła mu na twarz, ściekła po lśniącej od potu Czarnej piersi i rozlała się plamą na spodniach.

— Manfred, opatrz go! — zawołał Lothar i przeniósł całą uwagę z powrotem na sieć. Ławica próbowała zejść w głąb, ściągnęła fragment korkowej liny pod wodę. Część ryb umknęła przez wierzch i rozplynęła się w jasnych wodach jak ciemnozielony dym.

— Krzyżyk na drogę... — mruknął Lothar. Cała reszta ławicy tkwiła nadal w pułapce. Sznur korków wyprysnął na powierzchnię, lecz już w następnej chwili ławica ponownie zeszła w dół. Tym razem cały ciężki kuter przechylił się tak niebezpiecznie, że wszyscy marynarze przywarli kurczowo do czego się dało. Czarne twarze poszarzały im z wysiłku.

Po drugiej stronie kręgu szalupa chybnęła się równie gwałtownie, mając jednak znacznie mniejszą wyporność nie zdołała stawić należytego oporu. Zielona woda przelała się przez burłę, zatapiając łódkę.

— Skacz! — krzyknął Lothar do starego Portugalczyka. — Uciekaj od sieci!

Obaj doskonale zdawali sobie sprawę z grożącego Da Silyie niebezpieczeństwa. Rok wcześniej jeden z marynarzy wpadł do wnętrza sieci. Ryby natychmiast naparły na niego ze wszystkich stron i zepchnęły pod powierzchnię, próbując w panicznym szale wykorzystać jego ciało za punkt podparcia do ucieczki.

Kiedy kilka godzin później wydobyli w końcu zwłoki z dna sieci, ujrzeli, że ogromne ciśnienie panujące w głębi osaczonej ławicy wtłoczyło ryby we wszystkie otwory ciała. Znaleźli ryby wciśnięte przez otwarte usta do żołądka i sterczące jak srebrne sztylety z oczodołów, z których wepchnęły gałki oczne w głąb mózgu. Przebiły nawet zgrzebne płótno spodni i przez odbyty wdarły się do brzucha, tak że cały trup nafaszerowany był martwymi rybami i wzdęty groteskowo niczym balon. Tego widoku mieli nie zapomnieć do końca życia.

— Uciekaj od sieci! — krzyknął ponownie Lothar.

Da Silya wyskoczył przez przeciwległą do ławicy burłę tonącej szalupy dokładnie w chwili, gdy łódka poszła pod wodę, i zaczął miotać się jak oszalały, czując, że ciężkie marynarskie buciory ściągają go w dół.

Ale Swart Hendrick już podpływał na pomoc. Gładko przybił swoim kutrem do wybrzuszonej liny pływakowej. Dwóch marynarzy wciągnęło Da Silyę przez burtę, gdy tymczasem reszta rzuciła się do relingu i na komendę Hendricka przymocowała kuter do liny opodal zatopionej szalupy.

— Byle tylko sieć wytrzymała... — wymamrotał Lothar widząc jak dwa pozostałe trawlerzy podpływają do liny i przywiązują się do niej. Cztery kutry stanęły wokół zamkniętej w potrzasku ławicy, a ich załogi, uwijając się jak w ukropie, rzuciły się do sieci i zaczęły „suszyć”.

Stopa za stopą wyciągali sieć, dwunastu ludzi na każdym kutrze; nawet Manfred zajął miejsce u boku ojca. Stękali i spływali potem, lecz ciągnęli bez wytchnienia, nie zwracając uwagi na krew płynącą z pokaleczonych dłoni i przeszywający ból mięśni brzucha i karku. Powoli, centymetr po centymetrze, ujarzmiali ogromną ławicę, aż w końcu została „osuszona”: górna warstwa ryb rzucała się bezsilnie ponad wodą na zbitej masie swych pobratymców, miażdżonych własnym ciężarem i duszących się z braku wody.

— Czerpać! — rozkazał Lothar.

Na wszystkich kutrach trzyosobowe drużyny czerpaczy zdjęły ze stojaków na dachach sterówek wielkie długie podbieraki i staszczyły je na pokład.

Podbieraki miały kształt siatki na motyle lub tych małych ręcznych siatek, którymi dzieci łapią krewetki i kraby w zagłębieniach nadbrzeżnych skał. Ich rączki miały jednak dziewięć metrów długości, a worek siatki mógł pomieścić na raz tonę ryb. W trzech miejscach stalowej obręczy, na którą nawleczona była sieć, przymocowano grube konopne sznury. Ich końce spleciono w jedną linę nawiniętą na bęben wyciągarki, za pomocą której cały podbierak podnoszono i opuszczano. Dno czerpaka otwierało się i zamykało linką ściągającą, przewleczoną przez komplet metalowych kółek, dokładnie tam samo jak w wielkiej sieci.

W trakcie mocowania czerpaków Lothar i Manfred odbili pokrywy luków ładowni, po czym natychmiast zajęli swoje miejsca. Lothar chwycił przełącznik wyciągarki, Manfred koniec liny ściągającej podbierak. Ze skrzypieniem i zgrzytem kabestan wywindował podbierak na ramię dźwigu sterczącego wysoko ponad ich głowami, a trzech czerpacze wysunęli go za pomocą długiej rękojeści daleko za burtę, nad kotłującą się masę ryb. Manfred szarpnął mocno za linkę, szczelnie zamykając dno sieci.

Lothar przełączył silnik kołowrotu na wsteczny bieg. Z ponownym skrzypieniem i klekotem ciężki podbierak opadł w srebrzystą masę ryb. Trzej czerpacze napaarli całym ciałem na koniec rękojeści, zagłębiając worek sieci w zbitej masie sardeli.

— W górę! — zawołał Lothar i przełączył wyciągarkę. Worek czerpaka wynurzył się z ławicy wypełniony toną lśniących, trzepocących się sardeli. Manfred zacisnął zęby i uwiesił się na swojej linie. Pełny czerpak zatoczył łuk nad pokład i zawisł nad ziejącym czernią lukiem ładowni.

— Puszczaj! — krzyknął Lothar.

Jego syn zwolnił chwyt, spód czerpaka rozwarł się i tona ryb srebrną kaskadą spadła do ładowni. Zdarte tym brutalnym traktowaniem małe łuski zawirowały nad ludźmi i pokładem niczym płatki śniegu, mieniając się w słońcu wszystkimi odcieniami różu, czerwieni i złota.

Kiedy podbierak był już pusty, Manfred jednym szarpnięciem ściągnął jego dno, a czerpacze wysunęli pierścień z siecią za burtę. Silnik zazgrzytał na wstecznym biegu i podbierak pogrzyżył się w ławicy, by powtórzyć całą operację. Na wszystkich pozostałych kutrach czerpacze i obsługa kołowrotów pracowali z takim samym zacięciem. Co kilka sekund kolejna tona ryb i morskiej wody zawisała nad czekającym lukiem ładowni i spadała doń lśniącą strugą, a w powietrze wzbijał się kolejny obłok przezroczystych łusek.

Była to straszna harówka, od której pękały plecy i serca łomotały w piersiach jak oszalałe, a za

każdym razem, gdy sieć czerpaka zataczała łuk nad pokład, na głowy lala im się lodowata morska woda i całe ciała oblepiały rybnie łuski. Kiedy czerpacze zaczęli słaniać się na nogach ze zmęczenia, dowódcy kutrów, nie zakłócając rytmu nabierania, przenoszenia i wyładunku zastąpili ich tymi, którzy do tej pory pracowali przy głównej sieci. Tylko Lothar pozostawał cały czas przy kabestanie; wysoki, czujny i odporny na zmęczenie, z długimi blond włosami mieniącymi się od rybich łusek, płonącymi w promieniach słońca jak ogień latarni morskiej.

— Srebrne trzypensówki. — Uśmiechał się do siebie, gdy kaskady ryb spływały do ładowni wszystkich czterech jego kutrów. — Lśniące trzypensówki, nie ryby. Zasypiemy dziś pokład forszą.

— Sypać na pokład! — huknął do Swarta Hendricka, który nagi do pasa i lśniący jak rzeźba z polerowanego hebanu obsługiwał swoją wyciągarkę po przeciwnej stronie zmniejszającego się kręgu wielkiej sieci.

— Na pokład! — ryknął w odpowiedzi Hendrick, upojony fizycznym wysiłkiem, pozwalający mu popisać się przed załogą ogromną siłą. Ładownie kutrów wypełnione były już po brzegi, każda stu pięćdziesięcioma tonami ryb. Teraz mieli ładować na pokład.

To też było ryzykowne. Raz obciążone kutry można było opróżnić dopiero w porcie, za pomocą wielkich pomp przesyłających ryby bezpośrednio do przetwórnicy. Wykorzystanie pokładu miało obciążyć każdą łódź dodatkową setką ton, znacznie powyżej granicy bezpieczeństwa. Gdyby pogoda uległa zmianie, gdyby wiatr skręcił na północno-zachodni, wzburzone morze pochłonęłoby przeładowane trawlerzy i wciągnęłoby je w zimne zielone głębiny.

— Pogoda się utrzyma — zapewniał sam siebie Lothar, uwijając się przy wyciągarce. Wreszcie był na wozie; nic nie mogło go teraz powstrzymać. Podjął ogromne ryzyko, które jednak się opłaciło. Miał cztery kutry ryb, tysiąc ton po pięćdziesiąt funtów zysku na tonie. Pięćdziesiąt tysięcy funtów z jednego połowu. Największy uśmiech losu w jego życiu. Mógł stracić sieć, kuter albo i życie, a tymczasem jeden zaciąg spłacił wszystkie jego długi.

— Wielki Boże — szeptał, harując przy kabestanie. — Teraz już nic nie może się stać, już nikt nic nie może mi zrobić. Spłaciłem wszystkie długi. Jestem wolny!

Tak więc po wypełnieniu ładowni zaczęli sypać ryby na pokład, wypełniając kutry po brzegi burt żywym, gęstym srebrem, w którym brodzili po pas, „susząc” wielką sieć i manewrując długimi drążkami wielkich czerpaków.

Nad czterema kutrami krążyła zbита chmara morskich ptaków. Ich żarłoczne krzyki i piski dołączyły do kakofonii zgrzytów i skrzypienia kabestanów. Ptaszyska nurkowały w krąg wielkiej sieci, objadając się tak, aż nie były w stanie przełknąć już niczego więcej, aż nie mogły poderwać się w powietrze; ogłupiały i wzdęte, z nastroszonymi piórami dryfowały z prądem zaciskając kurczowo gardła, by zatrzymać zawartość nabitych żołądków. Na dziobie i rufie każdego kutra stali marynarze z ostrymi bosakami. Dźgali nimi i kłuli wielkie rekiny, miotające się wokół, by dostać się do masy uwięzionych ryb. Ostre jak brzytwa, trójkątne zęby drapieżników mogły przeciąć nawet grubą sieć.

Podczas gdy ptaki i rekiny obzerały się do nieprzytomności, kadłuby kutrów coraz bardziej pogrążyły się w wodzie, aż wreszcie, kiedy słońce sięgnęło zenitu, nawet Lothar musiał uznać, że wystarczy. Nie było już ani odrobiny wolnego miejsca; za każdym razem, kiedy spuszczała się na pokład zawartość kolejnego czerpaka, zsuwała się ona tylko za burtę na żer krążącym wokół rekinom.

Lothar wyłączył silnik kabestanu. Pozostało jeszcze pewnie ze sto ton ryb, w większości uduszonych i zmiądzonych.

— Opróżnić sieć! — rozkazał. — Puścić ryby i wciągnąć sieć na pokład!

Cztery kutry, zanurzone tak głęboko, że przy każdym przechyle woda morska zalewała luki odpływowe, zawróciły do brzegu i jeden za drugim popłynęły za otwierającą szyk łodzią Lothara.

Przy szybkości ograniczonej do minimum ledwie posuwały się do przodu, kołysząc się z boku na bok niczym rząderek utuczonych kaczek.

Zostawili za sobą niemal półtora kilometra kwadratowego oceanu usłanego martwymi rybami; unosiły się na wodzie srebrzystymi brzuchami do góry, jak gęsty kobierzec jesiennych liści w lesie. Na dywanie z ryb kołysały się leniwie tysiące obzartych mew, a pod nim krążyły wciąż jeszcze uczujące rekiny.

Wyczerpani marynarze przebrnęli przez grzęzawisko rzucających się ryb, które wypełniał kutry, i zeszli do forkaszteli. Tam, przemoczeni morską wodą i oblepieni śluzem, padli na wąskie, stłoczone koje.

Lothar wypił na mostku dwa kubki gorącej kawy, po czym spojrzął na wiszący nad głową chronometr.

— Cztery godziny drogi do portu — powiedział. — Akurat dość czasu na lekcje.

— Och, tato! — zawołał błagalnie chłopiec. — Dzisiaj nie, dzisiaj jest wyjątkowy dzień. Czy dzisiaj też muszą być lekcje?

Zatoka Wielorybów nie miała własnej szkoły. Do najbliższej, niemieckiej szkoły w Swakopmundzie, było trzydzieści kilometrów.

Od dnia narodzin syna Lothar był mu ojcem i matką. Przyjął go wilgotnego i zakrwawionego prosto z łona matki, która nawet okiem nie rzuciła na swe dziecko. Taki był warunek ich sprzecznej z naturą umowy. Wychowywał chłopca sam, bez niczyjej pomocy, nie licząc naturalnie brązowoskórych mamek z plemienia Nama, które karmiły niemowlę piersią. Stali się sobie tak bliscy, że Lothar nie mógł znieść myśli o choćby jednodniowej rozłące z synem. Wolał wziąć na siebie obowiązek jego wykształcenia, niż wysłać Manfreda do szkoły.

— Żaden dzień nie jest aż tak wyjątkowy odparł. — Uczymy się codziennie. Nie mięśnie dają mężczyźnie siłę. — Poklepał się po czole. — To daje mężczyźnie siłę. Wyciągaj książki.

Manfred przeniósł wzrok na Da Silyę, szukając u niego współczucia, ale dobrze wiedział, że dyskusowanie z ojcem na nic się nie zda.

— Przejmij ster — polecił Lothar staremu Portugalczykowi, a sam podszedł do małego stołu nawigacyjnego i usiadł obok syna. — Nie do arytmetyki — pokręcił przecząco głową. — Dziś kolej na angielski.

— Nienawidzę angielskiego! — oświadczył z mocą Manfred. — Nienawidzę angielskiego i Anglików!

— Masz rację — skinął Lothar. — Anglicy są naszymi wrogami. Zawsze byli i zawsze nimi będą. Dlatego musimy uzbroić się w ich broń. Po to właśnie trzeba poznać ich język... Żeby, gdy nadejdzie pora; móc użyć go przeciw nim w bitwie.

Po raz pierwszy tego dnia odezwał się po angielsku. Manfred zaczął odpowiadać w afrikaans, południowoafrykańskim dialekcie holenderskim, który został uznany za odrębny język i przyjęty za urzędowy Związku Południowej Afryki dopiero w roku 1918, niewiele ponad rok przed narodzinami Manfreda. Lothar przerwał mu ruchem ręki.

— Po angielsku — upomniał go. — Mów tylko po angielsku.

Ponad godzinę pracowali razem, czytając na głos Biblię króla Jakuba i egzemplarz „Cape Times” sprzed dwóch miesięcy, a potem Lothar zrobił synowi dyktando. Manfred z wyraźnym trudem zmuszał się do pracy w tym obcym mu języku. Wiercił się, marszczył czoło, gryzł koniec ołówka, aż wreszcie nie wytrzymał.

— Opowiedz mi o dziadku i przysiędze! — poprosił przymilnie.

— Jesteś sprytny jak małpa — uśmiechnął się Lothar. — Wszystko byle wymigać się od pracy,

tak?

— Och, tato, proszę...

— Opowiadałem cito już setki razy.

— Opowiedz jeszcze raz. Dziś jest szczególny dzień.

Lothar wyjrzał przez okno sterówki i powiódł wzrokiem po cennym, srebrzystym ładunku. „Ma rację — pomyślał. — To zupełnie wyjątkowy dzień. Dziś po raz pierwszy od pięciu długich trudnych lat nie mam długów i wreszcie jestem wolny!”

— No dobrze — skinął głową. — Opowiem ci jeszcze raz, ale po angielsku.

Manfred zatrzasnął z radością zeszyt, oparł się łokciami na stole i pochylił do przodu.

Bursztynowe oczy zalśniły mu w oczekiwaniu na opowieść.

Lothar tyle razy opowiadał mu historię wielkiego buntu, że chłopiec znał ją już na pamięć.

Korygował każdą nieścisłość lub odstępstwo od wersji pierwotnej, kazał ojcu wracać do każdego opuszczonego szczegółu.

— No więc, kiedy ten przewrotny król Anglii, Jerzy V — zaczął Lothar — wypowiedział w roku 1914 wojnę kajzerowi Wilhelmowi, twój dziadek i ja wiedzieliśmy, co nakazuje obowiązek. Ucałowaliśmy na pożegnanie twoją bAbe ię...

— Jakiego koloru włosy miała bAbe ia? — przerwał mu Manfred.

— Twoja bAbe ia była piękną Niemką ze szlacheckiego rodu, a włosy miała koloru dojrzałej pszenicy w pełnym słońcu lata.

— To znaczy takie jak ja — uzupełnił Manfred.

— To znaczy takie jak ty — potwierdził z uśmiechem Lothar. — Wsiedliśmy z dziadkiem na koń i pojechaliśmy dołączyć do wojsk starego Maritza. Zastaliśmy generała i jego sześciuset bohaterskich żołnierzy na brzegu rzeki Oranje, przygotowujących się do wymarszu przeciwko armii tego starego suma, Janniego Smutsa. — „Slim” znaczy w języku afrikaans „człowiek przewrotny, podstępny”.

Manfred przytaknął energicznie głową.

— Dalej, tato, mów dalej!

Kiedy Lothar dotarł do opisu pierwszej bitwy, w której wojska Janniego Smutsa zdławiły bunt za pomocą karabinów maszynowych i armat, oczy chłopca przesnuła mgła smutku.

— Ale walczyliście jak demony piekieł, prawda, tato?

— Walczyliśmy jak szaleńcy, ale oni mieli za dużą przewagę, a do tego artylerię i karabiny maszynowe. Twój dziadek został ranny w brzuch, a ja załadowałem go na swego konia i wywoziłem z pola bitwy.

W oczach chłopca zalśniły wielkie łzy.

— Czując nadchodzącą śmierć, twój dziadek wyjął z sakwy przy siodle, które podłożyłem mu pod głowę, starą Biblię w czarnej oprawie i kazał mi na nią złożyć przysięgę.

— Znam tę przysięgę — przerwał mu Manfred. — Ja powiem!

— Mów — skinął głową Lothar. — Co to była za przysięga?

— Dziadek powiedział: „Przyrzeknij mi, synu, z ręką na tej świętej księdze, że wojna przeciwko Anglikom nigdy się nie skończy”.

— Zgadza się — skinął ponownie głową Lothar. — Tak brzmiała przysięga, uroczysta przysięga, którą złożyłem ojcu na jego łożu śmierci.

Sięgnął przez stół, ujął dłoń syna i zamknął ją w mocnym uścisku. Nastrój tej chwili zmącił jednak Da Silya. Zakasłał, odchrząknął i splunął przez okno sterówki.

— Jak ci nie wstyd nabijać chłopakowi głowę nienawiścią i opowieściami o śmierci — mruknął. Lothar zerwał się od stołu.

— Trzymaj język na wodzy, stary — warknął. — Nie mieszaj się do nie swoich Spraw.

— Dziękuję Bogu, że to nie moja sprawa — wymamrotał Portugalczyk. — Za bardzo trąci piekłem i szatanem.

Lothar zachmurzył się i odwrócił do niego plecami.

— Dosyć na dziś, Manfredzie — mruknął. — Możesz odłożyć książki.

Wyszedł szybkim krokiem ze sterówki i wdrapał się na jej dach. Usadowił się wygodnie pod szeroką listwą, wyjął z kieszeni na piersi czarne, cienkie cygare, odgryzł koniuszek i wypluł go za burtę. Kiedy poklepał się po kieszeniach, szukając zapalek, ponad krawędź listwy wysunęła się nieśmiało głowa Manfreda. Chłopiec zawahał się, lecz ponieważ ojciec nie kazał mu wracać — czasami wpadał w ponury nastrój, zamykał się w sobie i wolał być sam — podpełzł bliżej i usiadł u jego boku.

Lothar osłonił dłonią płomyk zapalniczki, zaciągnął się głęboko dymem z cygara, po czym podniósł zapalniczkę nad głowę, żeby zgasił ją wiatr. Pstryknięciem palców posłał zwęglone drewnienko za burtę, opuścił rękę i jakby od niechcienia objął ramiona syna.

Chłopiec zadrżał z radości. Ojciec tak rzadko objawiał mu fizycznie swą czułość. Przysunął się bliżej i zastygł w bezruchu, starając się nie poruszać i wstrzymując oddech, by nie zmącić, nie zepsuć tej chwili.

Mała flotylla zbliżyła się do lądu i skręciła w spiczasty północny róg zatoki. Ptaki morskie wracały razem z nimi. Szwadrony głupek o żółtych gardłach ciągnęły długimi prostymi sznurami tuż ponad mętnozielonymi falami, ozłoczone promieniami popołudniowego słońca, które płonęło na wysokich brązowych wydmach, wyrastających jak łańcuch gór za garstką budynków przycupniętych na brzegu zatoki.

— Mam nadzieję, że Willem miał dość oleju we łbie i rozpałił pod kotłami — mruknął Lothar.

— Wieziemy dość ryb, żeby fabryka pracowała pełną parą całą noc i cały jutrzejszy dzień.

— Chyba i tak nie uda się przerobić wszystkiego na konserwy — szepnął Manfred.

— To prawda, większość trzeba będzie przerobić na olej i mączkę rybną... — Lothar urwał i wbił wzrok w koniec zatoki. Manfred poczuł jak ciało ojca tężeje. Ku rozczarowaniu chłopca zdjął rękę z jego ramion i ocienił dłonią oczy.

— Skończony głupiec! — warknął. Wyostrzonym wzrokiem myśliwego wypatrzył odległy barak fabrycznej kotłowni. Nie dostrzegł nad nim nawet śladu dymu. — Co on, u diabła, wyprawia? — Zerwał się na równe nogi i stanął w rozkroku, zwinnie amortyzując kołysanie pokładu. — Wystudził kotły! Minie pięć, sześć godzin, zanim znów je uruchomi, a w tym czasie ryby zaczną się psuć! A żeby go szlag, żeby go szlag jasny trafił! — Kipiąc z wściekłości zbiegł po drabince do sterówki. Szarpnął za dźwignię syreny przeciwmgielnej, chcąc postawić na nogi obsługę przetwórci, i przysięgał sobie w duchu, że za pieniądze za ten ładunek kupi nowy wynalazek. Marconiego, urządzenie krótkofalowe, za pomocą którego będzie mógł z morza rozmawiać z fabryką. Wtedy nic takiego już się nie zdarzy.

Znów spojrział przez szybę sterówki i wytrzeszczył oczy.

— Do kroćset! Co tam się dzieje?.

Wyrwał lornetkę z futerału i nastawił ostrość. Byli już na tyle blisko, że mógł dostrzec grupkę ludzi stojących przed bramą fabryki: sprawiaczy i pakowaczy w gumowych butach i fartuchach. Wszyscy powinni być już na swoich stanowiskach pracy.

— Jest Willem!

Kierownik przetwórci stał na końcu długiego drewnianego mola, które wybiegało ponad spokojne wody zatoki wsparte na grubych tekowych słupach.

— Co tam się, u diabła, wyprawia?! Kotły zimne, wszyscy przed bramą...

Po bokach Willema stali jacyś nieznajomi. Obaj mieli na sobie ciemne garnitury, od obu było poczucie własnego znaczenia, to nadęte ważniactwo pomniejszych urzędników, które Lothar tak dobrze znał i którego tak nienawidził.

— Poborczy podatkowi albo jacyś inni urzędnicy.. — wyszeptał i jego wściekłość ustąpiła miejsca zaniepokojeniu. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakiś pacholek rządu przyniósł mu dobre wieści.

— Kłopoty — domyślił się. - I to właśnie w chwili, kiedy mam tysiąc ton ryb do sprawienia i zapakowania w puszki...

I wtedy dostrzegł samochody. Dopóki Da Silya nie skręcił w główny kanał prowadzący do molo, zasłaniały je zabudowania. Dwa samochody. Jednym był zwykły stary rozklekotany ford „T”, ale drugi, choć pokryty bladą warstwą drobniotkiego pustynnego pyłu, wyglądał znacznie bardziej imponująco. Lothar poczuł, że serce przestaje mu na moment bić i z trudem chwycił oddech.

W całej Afryce nie było dwóch podobnych aut, dwóch takich samych ogromnych daimlerów w kolorze żółtych żonkili.

Ostatnim razem widział go zaparkowanego przed biurem Courteney Miing and Finance Company przy Main Street w Windhoek. Wybrał się tam wytargować prolongatę pożyczek, których udzieliła mu ta firma. Stał po przeciwnej stronie szerokiej, zakurzonej, nie brukowanej ulicy i przyglądał się tej kobiecie, schodzącej po szerokich marmurowych schodach, odprowadzanej przez dwóch płaszczących się urzędników w ciemnych garniturach i koszulach z wysokimi celuloidowymi kołnierzykami. Jeden otworzył drzwiczki wspaniałej żółtej limuzyny i przytrzymał je z ukłonem, gdy siadała na miejscu dla kierowcy, drugi podbiegł do korby. Mając w pogardzie szoferów, odjechała sama, nawet nie spojrzawszy w stronę Lothara. Zostawiła go pobladłego i drżącego od sprzecznych uczuć, które targnęły nim na sam jej widok. Od tego czasu upłynął niemal rok.

Kiedy Da Silya przybił obładowanym kutrem do molo, Lothar otrząsnął się już ze wspomnień. Trawler miał takie zanurzenie, że podając cumę jednemu z ludzi na pomoście, Manfred musiał ją rzucić w górę.

— Lotharze, ci ludzie chcą rozmawiać tylko z tobą! — zawołał Willem, wskazując kciukiem jednego ze stojących obok mężczyzn. Drugą ręką otarł nerwowo pot z czoła.

— Pan Lothar De La Rey? — spytał ważnym tonem niższy z obcych, zsuwając zakurzony kapelusz w tył głowy i ocierając pasek bladej skóry, który ukazał się spod ronda.

— Zgadza się — odparł Lothar mierząc go wściekłym spojrzeniem i stając w rozkroku z rękami zaciśniętymi w pięści na biodrach. — Kim pan jest?

— Właściciel South West African Canning and Fishing Company?

— Ja! — warknął Lothar w afrikaans. — I co z tego?

— Jestem szeryfem sądu w Windhoek i mam nakaz zajęcia wszystkich aktywów pańskiej firmy. — Mężczyzna pokazał trzymany w ręku dokument.

— Zamknęli fabrykę — zawołał żałośnie Willem. Kąciki ust drżały mu płaczkliwie. — Zmusili mnie, żebym wygasił ogień pod kotłami!

— Nie możecie tego zrobić! — rzucił przez zaciśnięte zęby Lothar. Oczy zwięzły mu się w szparki; żółte i dzikie przywodziły na myśl ślepie rozjuszonego lamparta. — Mam tysiąc ton ryb do przerobu!

— Czy te cztery kutry stanowią własność firmy? — podjął szeryf, na pozór nie przejmując się tym wybuchem, ale rozpiął ciemną marynarkę, rozchylił jej poły i oparł ręce na biodrach. W skórzanej kaburze u jego pasa wisiał ciężki służbowy webley. Odwrócił głowę w stronę pozostałych

kutrów cumujących na swych stanowiskach po obu stronach pomostu i nie czekając na odpowiedź Lothara ciągnął dalej: — Mój zastępca oplombuje je i ich ładunek. Muszę pana ostrzec, że naruszenie tych plomb jest przestępstwem kryminalnym.

— Nie możecie mi tego zrobić! — Lothar wdrapał się błyskawicznie po drabince na pomost. — Muszę te ryby przerobić! Czy pan tego nie rozumie? Do jutra rano będą cuchnęły jak wszyscy diabli...

— To nie są już pańskie ryby — pokręcił głową szeryf. — Należą do Courteney Mining and Finance Company. Bierz się do roboty — polecił niecierpliwym gestem swemu zastępcy i odwrócił się, żeby odejść.

— Ona tu jest! — zawołał za mm Lothar.

Szeryf odwrócił się z powrotem.

— Ona tu jest! — powtórzył Lothar. — To jej auto. Przyjechała osobiście, prawda?

Szeryf spuścił wzrok i wzruszył ramionami.

— Jest tutaj — wykrztusił za niego Willem. — Czeka w moim biurze.

Lothar okręcił się na pięcie i z szelestem grubych ceratowych spodni ruszył długim krokiem na brzeg, zaciskając nadal kurczowo pięści, jakby szykował się do bójki.

U wejścia na molo czekał na niego tłumek podnieconych robotników przetwórnici.

— I co teraz będzie, Baas? — pytali błagalnie. — Nie dają nam pracować. Co mamy robić, Baas?

— Czekajcie! — polecił im szorstko Lothar. — Zaraz to załatwię.

— Czy dostaniemy wypłatę, Baas? Mamy dzieci...

— Wszystko dostaniecie — uciął Lothar. — Obiecuję.

Była to obietnica, której nie mógł dotrzymać, dopóki nie sprzedał ryb. Przepchnął się przez tłumek swoich robotników, szybkim krokiem ominął róg fabryki i skierował się do biura kierownika;

Daimler stał zaparkowany przed wejściem. Jakiś chłopiec opierał się o przednią maskę ogromnej żółtej maszyny. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest niezadowolony i znudzony. Był może o rok starszy od Manfreda, ale niższy chyba o trzy centymetry, szczuplejszy i znacznie schludniej ubrany. Biała koszula nosiła ślady potu, a modne oksfordzkie spodnie z szarej flaneli były zakurzone i zbyt eleganckie jak na chłopca w jego wieku, ale bił od niego nie wystudiowany wdzięk. Z nieskazitelną cerą i oczami o barwie indygo był piękny jak dziewczyna.

Lothar przystanął w pół kroku na jego widok i nim się zdążył powstrzymać, zawołał:

— Shasa!

Chłopiec wyprostował się i odgarnął z czoła kędziur ciemnych włosów.

— Skąd pan zna moje imię? — spytał, przyglądając się Lotharowi z pewnością siebie dorosłego mężczyzny. Pomimo tonu, jakiego użył, chabrowe oczy rozblysły zaciekawieniem.

Setki odpowiedzi cisnęły się Lotharowi na usta. „Kiedyś, wiele, wiele lat temu ocalałem cię i twoją matkę od śmierci na pustyni... Kiedy byłeś niemowlęciem, pomagałem ci przewijać, woziłem na łęku siodła... Kochałem cię, niemal tak bardzo jak niegdyś kochałem twoją matkę... Jesteś bratem Manfreda, przyrodnim bratem mego własnego syna. Rozpoznałbym cię wszędzie, nawet po tylu latach”.

Ale zamiast tego powiedział:

— Shasa w języku Buszmenów znaczy „Dobra Woda”. To najcenniejsza substancja jakąznają.

— Zgadza się — skinął głową Shasa Courteney. Ten człowiek go zainteresował. Czulo się w nim jakąś powściąganą gwałtowność i brutalność, była od niego nieokiełznana siła, a jego oczy miały dziwny kolor; były jasne, żółte, prawie jak u kota. — Zgadza się, tak brzmi moje buszmeńskie imię. Ale na chrzcie otrzymałem imię Michael. Francuskie imię. Moja matka jest Francuzką.



— Gdzie mogę ją znaleźć? — spytał Lothar.

Chłopiec zerknął na drzwi biura.

— Powiedziała, żeby jej nie przeszkadzać — ostrzegł, ale Lothar De La Rey minął go, w tak bliskiej odległości, że Shasa poczuł zapach rybiego śluzu pokrywającego jego spodnie i zobaczył maleńkie białe rybnie łuski oblepiające ogorzałą skórę.

— Niech pan lepiej zapuka... — poradził ścisząc głos, ale Lothar puścił tę uwagę mimo uszu i otworzył drzwi biura z takim impetem, że rąbnęły o ścianę i odskoczyły na zawiasach. Kiedy stanął w progu, Shasa mógł zajrzeć na chwilę do środka. Matka wstała z krzesła przy oknie i odwróciła się do drzwi.

Była szczupła jak młoda dziewczyna. Sukienka z żółtego krepdeszynu szerokimi poprzecznymi fałdami opinała jej małe, modnie spłaszczone piersi i wąskie biodra. Przylegający ściśle do głowy kapelusik z maleńkim rondem zakrywał szczelnie gęste ciemne włosy. Patrzące spod niego oczy były wielkie i prawie czarne.

Wyglądała bardzo młodo, wydawała się niewiele starsza od swego syna. Dopiero kiedy podniosła głowę i ukazała tę stanowczą linię szczęki, gdy uniosła powieki i w czarnej głębi jej oczu zapłonęły te miodowe ognie, stała się groźniejsza niż jakikolwiek mężczyzna, którego Lothar spotkał w swoim życiu.

Mierzyli się wzrokiem, oceniając zmiany, jakie od ostatniego spotkania czas poczynił na ich twarzach.

„Ile ona może mieć lat? — zastanowił się Lothar i natychmiast sobie przypomniał. — Urodziła się godzinę po północy pierwszego dnia naszego stulecia. Dlatego właśnie nadali jej imię Centaine. Zatem ma trzydzieści jeden lat, ale wciąż jeszcze wygląda na dziewiętnastkę, tak samo młodo jak tamtego dnia, kiedy ją znalazłem na pustyni konającą, zakrwawioną, z ranami od pazurów iwa na pięknym, młodym ciele”.

„Postarzał się — pomyślała Centaine. — Te srebrne pasma w prawie białych włosach, te zmarszczki wokół oczu i ust. Musiał już przekroczyć czterdziestkę i cierpiał — ale jeszcze za mało. Cieszę się, że go nie zabiłam, cieszę się, że kula nie trafiła w serce. Tak by było za szybko. Teraz zdany jest na moją łaskę i wreszcie zacznie do niego docierać prawda...”

Nagle, wbrew swej woli i chęci, przypomniała sobie dotyk jego złocistego ciała, nagiego, jędrnego i gładkiego. Jej podbrzuszem targnął kurcz, kurcz, który natychmiast ustąpił, tak że poczuła, jak zalewa ją miękka fala żaru, gorąca jak krew, która uderzyła jej na policzki, i jak wzbiera w niej wściekłość na siebie i gniew z powodu niemożności zapanowania nad tym zwierzęcym zakamarkiem swych uczuć. We wszystkich innych dziedzinach wyćwiczyła się jak atleta, tylko tego niesforne go chochlika namiętności nie potrafiła nigdy okiełznać.

Spojrzała ponad ramieniem stojącego mężczyzny na mrużące oczy przed słońcem Shasę, swego pięknego syna. Przyglądał się jej z dziwnym wyrazem twarzy. Ogarnął ją wstyd i gniew, że przez nieuwagę dała się przyłapać w chwili ujawnienia najgłębiej skrywanych uczuć.

— Zamknij drzwi — poleciła stłumionym, gardłowym głosem. Wejdz i zamknij drzwi.

Odwróciła się do okna, by odzyskać panowanie nad sobą, nim stawi czoło człowiekowi, którego przysięgła sobie zniszczyć.

2

Kiedy drzwi się zamknęły, Shasa doznał głębokiego rozczarowania. Wyczuł, że dzieje się tu coś niezwyklej wagi. Ten jasnowłosy nieznajomy o kocich oczach, który znał jego imię i wiedział, skąd ono pochodzi, wzbudził w nim przecucie czegoś niebezpiecznego i ekscytującego. A potem ta reakcja matki, ten nagły rumieniec, który zalał jej szyję i policzki, ten wyraz jej oczu... Nigdy jeszcze

czegoś takiego nie widział. Przecież to nie mogło być poczucie winy! To wahanie, tak do niej niepodobne... Jeszcze nigdy w życiu nie wahała się w żadnej sprawie. Za wszelką cenę chciał się dowiedzieć, co tam się dzieje, za tymi zamkniętymi drzwiami. Barak miał ściany z falistej, cynkowanej blachy.

„Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, to idź i się dówiedz” mawiała często matka. Jeśli odczuwał jakiś niepokój, gdy ruszał w stronę biura, to tylko przed tym, by go nie przyłapała. Stąpając na palcach, żeby żwir nie zazgrzytał mu pod nogami, podszedł do ściany i przyłożył ucho do rozpalonego słońcem metalu.

Choć wyteżał słuch, dobiegł go tylko szmer głosów. Nawet wtedy, gdy obcy rzucił coś ostrym tonem, Shasa nie był w stanie wyłowić poszczególnych słów. Matka mówiła ledwie słyszalnym, stłumionym, matowym głosem.

„Okno” — wpadło mu do głowy. Ruszył szybko do rogu, ale kiedy wychylił się zza węgła z zamiarem podsłuchiwanie pod otwartym oknem, ujrzał wlepione w siebie pięćdziesiąt par oczu. Kierownik przetwórci i jego beczynni pracownicy nadal stali zbici w ciasną grupkę przed bramą fabryki. Teraz umilkli i całą uwagę skupili na Shasie.

Chłopiec poderwał głowę i zamiast w stronę okna skrzył w prawo. Robotnicy wciąż wybałuszali na niego oczy, więc wepchnął ręce w kieszenie swoich oksfordzkich spodni i niespiesznie, z wystudiowaną nonszalancją ruszył w stronę długiego, drewnianego mola, jakby od początku tam właśnie miał zamiar się udać. Cokolwiek działo się w biurze, miało już dla niego pozostać tajemnicą, chyba żeby później udało mu się wyciągnąć coś z matki; ale na to trudno raczej było liczyć. Raptem zauważył cztery pękate, drewniane kutry zacumowane przy pomoście, zanurzone głęboko pod ciężarem błyszczącego, srebrzystego ładunku i ten widok trochę osłodził mu rozczarowanie. Oto wreszcie coś, co mogło przerwać ponurą monotonię tego rozpalonego żarem popołudnia na pustyni. Przyspieszył kroku i już wkrótce znalazł się na molo. Łodzie i statki zawsze go fascynowały.

To było coś nowego i podniecającego. Nigdy w życiu nie widział tylu ryb, musiały ich być tony. Zbliżył się do burty pierwszego kutra. Łódź była brzydka i piekielnie brudna, w miejscach, gdzie załoga przykuciała na burcie, pomazana smugami odchodów. I cuchnęła ściekami okrętowymi, ropą i niemytymi ciałami ludzi, stłoczonych w ciasnych pomieszczeniach. Nie zaszczycono jej nawet nadaniem nazwy; na wychłostanym falami dziobie nosiła tylko numer rejestracyjny.

„Statek powinien mieć imię — pomyślał Shasa. — Nienadanie mu imienia jest obraźliwe i musi przynosić pecha”. Jego własny siedmioipółmetrowy jacht, który dostał od matki na trzynaste urodziny, został nazwany „Dotyk Midasa”, tak jak to zaproponowała matka.

Poczuwszy bijący od kutra smród, zmarszczył z obrzydzeniem nos, zasmucony tak haniebnym brakiem dbałości.

„Jeśli to po to właśnie matka tłukła się tutaj aż z Windhoek...” Nie dokończył myśli, gdyż w tej właśnie chwili zza tylnej ściany wysokiej kanciastej sterówki wyłonił się jakiś chłopiec. Miał na sobie poplamione szorty z drelichu, był boso, balansował zwinnie na umięśnionych, opalonych nogach po krawędzi listwy uszczelniającej luk ładowni.

Dostrzegłszy się nawzajem, chłopcy zjeżyli się i zeszywnieli, jak dwa natykające się na siebie niespodzianie psy. Bez słowa otaksowali się czujnymi spojrzeniami.

„Wymuskany, rozpieszczony bachor” — uznał Manfred. Widział już takich raz czy dwa przy okazji nieczęstych wypadów do nadmorskiego miasta-kurortu Swakopmund. Dzieci bogaczy ubrane w idiotycznie wykrochmalone koszule, spacerujące posłusznie za rodzicami z tymi doprowadzającymi do szału wyniosłymi minami. „Spójrzcie tylko na jego włosy! Aż lśnią od

brylantyny! A pachnie jak cała rabatka kwiatów”.

„Jeden z biednych białych Afrykanerów. — Shasa znał ten typ. — Bywoner, syn osadnika”. Matka zabraniała mu zadawać się z takimi ludźmi, ale dość szybko odkrył, że z niektórymi z nich można się zupełnie nieźle bawić. Zakaz matki przydawał im oczywiście w jego oczach atrakcyjności. Syn kierownika narzędziowni w kopalni umiał tak ludzako naśladować głosy ptaków, że udawało mu się zwabić je z drzew na ziemię, a do tego pokazał mu, jak ustawić zapłon i gaźnik w starym fordzie „T”, którego matka pozwalała mu używać, chociaż był jeszcze za młody, żeby zrobić prawo jazdy. A jego siostra, o rok starsza od Shasy, w czasie kilku zakazanych chwili, spędzonych wspólnie za pompownią w kopalni, pokazała mu coś jeszcze bardziej niezwykłego. Pozwoliła nawet dotknąć. Było ciepłe, miękkie i puszyste jak maleńki kociak zwinięty w kłębek tam, pod jej krótką, bawełnianą spódniczką. To przeżycie było tak niezwykłe, że miał zamiar powtórzyć je przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Ten chłopak także wydawał się interesujący; może mógłby mu pokazać maszynownię kutra. Obejrzał się w stronę fabryki. Matka nie mogła tego widzieć. Był gotów okazać wielkoduszność.

— Cześć. — Zrobił pański gest i uśmiechnął się ostrożnie. Dziadek, sir Garrick Courteney, najważniejszy mężczyzna w jego świecie, stale go upominał. „Z urodzenia zajmujesz niezwykle wysoką pozycję społeczną. Daje ci ona jednak nie tylko przywileje i korzyści, ale także nakłada na ciebie obowiązki. Prawdziwy dżentelmen odnosi się do ludzi stojących niżej od niego, białych czy czarnych, starych czy młodych, mężczyzn czy kobiet, grzecznie i z szacunkiem”.

— Nazywam się Courteney — przedstawił się. — Shasa Courteney. Moim wujem jest sir Garrick Courteney, a matką Centaine de Thiry Courteney. — Czekał na oznaki respektu, który te nazwiska zwykle budziły, nie doczekał się ich jednak. Wobec tego ciągnął dalej, już z mniejszą swadą. — A ty jak się nazywasz?

— Manfred — odparł chłopak w afrikaans. Jego gęste czarne brwi nad bursztynowymi oczami wygięły się w łuk. Te brwi były tak ciemne, o tyle ciemniejsze od wybielonych słońcem blond włosów, że sprawiały wrażenie namalowanych. — Manfred De La Rey. Tak nazywał się mój dziadek i cioteczny dziadek i tak się nazywa mój ojciec. I wszyscy De La Reyowie walili w kuper każdego Anglika, którego napotkali.

Shasa oblał się rumieńcem na ten niespodziewany atak i już miał się odwrócić, żeby odejść, gdy zauważył, że z okna sterówki przygląda im się jakiś stary człowiek, a przy schodni do forkasztelu stoi dwóch kolorowych marynarzy. Nie mógł się wycofać.

— My, Anglicy, wygraliśmy wojnę, a w 1914 roku rozgromiliśmy buntowników — odparował.

— My! — powtórzył Manfred zwracając się do swej widowni. — Ten mały dżentelmen o wypomadowanym łebku twierdzi, że wygrał wojnę! — Marynarze zachichotali popierająco. — Powąchajcie go tylko! Powinien się nazywać Lilijka. Perfumowany wojak Lilijka! — Odwrócił się plecami i dopiero teraz Shasa uświadomił sobie, że chłopak jest od niego o trzy centymetry wyższy, a ramiona ma niepokojąco muskularne. — A więc jesteś Anglikiem, Lilijko, tak? No, to musisz mieszkać w Londynie, zgadza się, Lilijko?

Shasa nie przypuszczał, że ubogi biały chłopak może być tak wygadany i cięty w języku. Zwykle to on górował w każdej tego typu rozmowie.

— No więc jak, mieszkasz w Londynie? — naciskał Manfred.

— Mieszkam w Cape Town.

— No proszę! — zawołał Manfred, zwracając się do rosnącej widowni. Swart Hendrick nadchodził pomostem od strony swojego kutra, a przed forkasztel zebrała się już cała załoga. — I dlatego właśnie nazywa się ich Soutpiefl — oświadczył.

Zgromadzeni powitali to wulgarne określenie gromkimi wiwatami. Gdyby ojciec był gdzieś w pobliżu, Manfred nigdy nie pozwoliłby sobie go użyć. W tłumaczeniu znaczyło „słony kutas”. Shasa spasował na tę zniewagę i odruchowo zacisnął dłonie w pięści.

— Soutpiel stoi jedną nogą w Londynie, a drugą w Cape Town — wyjaśnił delektując się Manfred. — Więc jego kuśka moczy się w wodach starego słonego Atlantyku.

— Odwołaj to, przegiąłeś pałę!

Gniew nie pozwolił Shasie wymyślić żadnej ciętej repliki. Jeszcze nigdy nikt z dołów nie odważył się odezwać do niego w taki sposób.

— Tak jak ty przeginasz tę swoją zasoloną? Kiedy się nią bawisz? O co ci chodzi, bo nie rozumiem?

Aplauz widowni sprawił, że Manfred przeszarżował, podszedł bliżej i znalazł się dokładnie poniżej chłopaka na molo.

Shasa skoczył bez ostrzeżenia. Manfred nie spodziewał się, że atak nastąpi tak prędko. Sądził, że mm dojdzie do bójki, zdoła obrzucić przeciwnika jeszcze kilkoma obelgami.

Shasa runął na niego z wysokości dwóch metrów całym ciężarem ciała i z całą gotującą się w nim wściekłością. Od impetu uderzenia powietrze uszło Manfredowi z płuc z głośnym sapnięciem i obaj chłopcy, spieczeni w ciasnym uścisku, potoczyli się do tyłu w grzędawisko śniętych ryb.

Przeturlali się w bok i dopiero wtedy z całą ostrością dotarło do Shasy, jak silny jest jego przeciwnik. Ramiona miał twarde niczym belki, a palce, którymi sięgał Shasie do twarzy, wbijały się w ciało jak rzeźnicze haki. Tylko dzięki zaskoczeniu i pozbawieniu go oddechu udało się uniknąć natychmiastowego upokorzenia. Niemal za późno przypomniał sobie nauki Jocka Murphy’ego, swego nauczyciela boksu.

„Nigdy nie pozwól większemu przeciwnikowi narzucić sobie walki w zwarciu. Trzymaj go na dystans, na odległość ramion”.

Pograżali się w zimnej, oślizłej masie ryb i Manfred sięgał już do jego głowy, próbując założyć mu półnelsona. Shasa podciągnął prawe kolano i kiedy przeciwnik znalazł się na górze, kopnął go z całej siły w pierś. Afrykaner zachłysnął się powietrzem i runął na plecy, ale kiedy Shasa próbował przeturlać się w bok, jeszcze raz spadł na niego, by założyć mu obezwładniający chwyt. Shasa uchylił głowę, prawą ręką podbił mu łokieć i, tak jak go uczył Jock, wymknął się przez wywalczoną w ten sposób szczelinę, w czym ogromnie mu dopomógł rybi śluz oblepiający jego szyję i rękę Manfreda. I ledwie się uwolnił, natychmiast zadał cios lewą.

Jock bez końca kazał mu trenować lewe proste. „To najważniejszy cios, jakiego przyjdzie ci używać”.

Ten nie należał do popisowych, ale trafił przeciwnika w oko z siłą dostateczną, by odrzucić mu głowę w tył i oszołomić akurat na tyle, że Shasa zdążył zerwać się na nogi i odskoczyć. Do tego czasu molo nad ich głowami zapełniło się kolorowymi rybakami w długich gumiakach i granatowych golfach. Ryczeli z zachwyty i podniecenia, dopingując obu chłopców, jakby to była walka kogutów.

Manfred zamrugał kilka razy, by przejrzeć na załzawione, puchnące oko i skoczył do przodu, ale klejące się do nóg ryby pozbawiły go szybkości i ta lewa znów wyprysnęła do przodu. Bez ostrzeżenia. Wystrzeliła prosto przed siebie, zupełnie niespodziewanie i z taką siłą trafiła go w podbite oko, że ryknął z wściekłości i rzucił się na oślep na drobniejszego przeciwnika.

Shasa uchylił się przed potężnym ciosem i znów wyprowadził lewy prosty, dokładnie tak jak go uczył Jock.

„Nigdy nie sygnalizuj ciosu ruchem ramienia czy głowy — dźwięczały mu w uszach słowa Murphy’ego, zupełnie jakby go słyszał. — Po prostu wal, samą ręką”.

Tym razem trafił Manfreda w usta. Na zmiażdżonych o zęby wargach natychmiast pojawiła się krew. Widok krwi wroga wprowadził go w uniesienie, a zgodny ryk tłumu zbudził drzemiący w nim gdzieś głęboko pierwotny instynkt. Jeszcze raz strzelił lewym prostym, lokując go w różowej opuchliźnie oka.

„Jeśli go trafisz, wal dalej w to samo miejsce”. Manfred znów wydał z siebie ryk, lecz tym razem poza wściekłością słysząc w nim było także ból.

„Skutkuje!” — nie posiadał się z radości Shasa, lecz w tej właśnie chwili wyczuł za plecami ścianę sterówki. Widząc, że przeciwnik został osaczony, Manfred rozpostarł szeroko ramiona i z triumfalnym uśmiechem na zalanych krwią ustach, szczerząc zabarwione na różowo zęby, ruszył na niego przez grzęzawisko oślizłych ryb.

W przyływie paniki Shasa opuścił ręce, odepchnął się od desek ściany sterówki, skoczył przed siebie i rąbnął Manfreda głową w dołek.

Jeszcze raz powietrze z głośnym świstem uszło Manfredowi z płuc i przez kilka sekund obaj chłopcy tarzali się bezładnie w masie sardeli.

Próbując rozpaczliwie złapać oddech, Manfred nie był w stanie założyć chwytu śliskiemu przeciwnikowi. Shasa wyrwał mu się i na wpół pełznąc, na wpół płynąc dojrzał do drewnianej drabiny prowadzącej na molo i zaczął się po niej wspinać.

Tłum zareagował na jego ucieczkę śmiechem i szyderczymi gwizdami. Manfred rzucił się za nim na czworakach, plując z wściekłością rybim śluzem i krwią płynącą z rozbitych warg i dysząc ciężko, by napełnić płuca powietrzem.

Shasa był już w połowie drogi, kiedy Manfred dopadł drabiny, sięgnął w górę, złapał go za kostkę u nogi i oderwał mu obie stopy od szczebla. Shasa uczeplił się kurczowo drabiny; ciężar większego przeciwnika rozciągnął go jak skazańca na kole tortur. Centymetry nad głową ujrzał twarze kolorowych rybaków, wychylonych ponad krawędź pomostu. Wściekłym rykiem żądali jego krwi i dopingowali swego faworyta.

Wierznął wolną nogą i trafił Manfreda obcasem w podbite oko. Manfred zawył i puścił jego kostkę. Shasa wdrapał się na rampę i potoczył w koło oszalałym spojrzeniem. Zapał do walki zupełnie go opuścił, czuł, że cały dygocze.

Droga ucieczki stała otworem, aż go skręcało, żeby z niej skorzystać, ale otaczający go tłum śmiał się, szydził i drwił. Duma spętała mu nogi. Rozejrzał się wokół i ku swemu przerażeniu, które owładnęło nim z taką mocą, że omal nie przyprawiło o wymioty, ujrzał, że przeciwnik dotarł do szczytu drabiny.

Nie bardzo wiedział, w jaki sposób wdał się w tę bójkę, ani o co właściwie ją toczy. Gdzieś w głębi duszy pragnął za wszelką cenę się z niej wyplątać, ale było to niemożliwe. Jego wychowanie, wszystko, co mu wpojono w domu i szkole, wykluczało ucieczkę z pola walki. Próbując zapanować na tym paskudnym dygotaniu, odwrócił się, by jeszcze raz stawić czoło przeciwnikowi.

Wyższy chłopiec także drżał, ale nie ze strachu. Spuchnięta i zakrwawiona twarz „pałała mu żądzą mordy, nieświadomie syczał przez rozcięte wargi. Podbite oko zmieniło się w wąską szparkę i zaczynało sinieć.

— Zabij go, kleinbaas! — ryczał tłum kolorowych rybaków. — Zakatrup, zatłucz!

Te judzące wrzaski podziały na Shasę jak kubeł zimnej wody. Wziął głęboki, przywracający równowagę oddech i uniósł pięści w klasycznej postawie boksera, z lewą nogą wysuniętą lekko do przodu i twarzą schowaną za gardą.

„Nigdy nie stój w miejscu” — zadzwięczała mu w uszach kolejna

rada Jocka. Przeniósł ciężar ciała na palce i zaczął podskakiwać w przód i w tył.

— Patrzcie go, jaki z niego Jack Dempsey! — ryknął tłum. — On chce z tobą zatańczyć, Manie. Pokaż mu naszego walca z Zatoki Wielorybów.

Ale ponura determinacja bijąca z szafirowych oczu Shasy i biel kłykci przezierająca spod skóry jego zaciśniętej w pięść lewej dłoni budziły w Manfredzie respekt. Zaczął krążyć wokół przeciwnika, sycząc przez zęby i ciskając groźby.

— Wyrwę ci rękę i wepchnę do gardła! Przywalę ci tak, że zęby będą ci pryskać przez kark czwórkami jak żołnierze!

Shasa zamrugał oczami, ale utrzymał podniesioną gardę i obracał się powoli, by cały czas stać twarzą do krążącego wokół niego Manfreda. Choć obaj lepili się i błyszczeli od rybiego śluzu, a włosy mieli posklejane jak żelatyną i naszpikowane łuskami, w ich bójce nie było nic śmiesznego czy dziecinnego. To była dobra walka, a zanosiło się, że będzie jeszcze lepsza. Widzowie stopniowo umilkli i zapanowała cisza. Oczy im błyszcząły jak stada wilków, wyciągali szyje w oczekiwaniu na dalszy ciąg pojedynku tej źle dobranej pary.

Manfred sfingował cios lewą, po czym uskoczył w bok i z opuszczoną nisko jasną, lśniącą głową zaatakował z przeciwnej strony. Pomimo swego wzrostu i umięśnienia był bardzo szybki. Wygięte w łuk czarne brwi podkreślały dzikość grymasu jego twarzy.

W porównaniu z nim Shasa wydawał się niemal dziewczęco drobny. Ręce miał szczupłe i blade, nogi oklejone przemoczoną szarą flanelą wydawały się zbyt długie i za chude, ale dobrze nimi pracował. Zrobił unik, uskoczył przed atakiem Manfreda i znów wyprowadził celny lewy prosty. Rozległo się głośnie szczęknięcie zębów, głowa odskoczyła Manfredowi do tyłu i chłopak zachwiał się na piętach.

— Vat horn, Manie, bierz go! — ryknął tłum.

Manfred znów rzucił się do przodu mierząc potężnym prawym sierpowym w bladą, atlasowo gładką twarz Shasy.

Shasa schylił się i kiedy Manfred zachwiał się od impetu własnego, chybionego ciosu, rąbnął go lewą pięścią w zapuchnięte, sinofioletowe oko. Cios był tak niespodziewany i bolesny, że Manfred chwycił się rękami za twarz.

— Walcz uczciwie, ty słony kutasie! — warknął.

Ja! — zawtórował mu głos z tłumu. — Przestań uciekać. Stawaj i walcz jak mężczyzna!

W tej samej chwili Manfred zmienił taktykę. Zamiast pozorować ciosy i okrążyć przeciwnika, ruszył wprost na niego i parł niepowstrzymanie, bijąc przed siebie z obu rąk, z całej siły, raz za razem, jak maszyna. Shasa zaczął się rozpaczliwie cofać, uskakiwać w tył i na boki, robić głębokie uniki, próbował powstrzymać szaleńczy atak Manfreda serią celnych lewych prostych. Rozciął mu skórę pod napuchniętym okiem, kilka razy ponownie trafił w usta, zmieniając mu wargi w zniekształcone, obrzmiałe płaty mięsa, ale Manfred wydawał się już uodporniony na ukłucia tych ciosów. Rytm jego młócki nie uległ najmniejszej zmianie, siła ataku ani na chwilę nie słabła.

Jego opalone pięści, stwardniałe od pracy przy sieciach i kabestanie, muskały włosy uchylającego się przeciwnika, świstały mu przed nosem, gdy gwałtownie uskakiwał do tyłu. Nagle jedna z nich dosięgła jego skrom i Shasa przestał wymierzać własne kontry. Skupił się rozpaczliwie na unikaniu tych młócących pięści. Nogi ciążyły mu niemiłosiernie, czuł, jak ze zmęczenia zaczynają mu drętwieć.

Manfred atakował niezmordowanie, nacierał bez chwili wytchnienia. Wyczerpanie i rozpacz spowolniły pracę nóg Shasy. Pierwszy cios trafił go w zębra. Chłopiec stęknął, zachwiał się i ujrzał drugą pięść pędzącą w stronę jego twarzy. Nie był w stanie się przed nią uchylić, nogi miał ciężkie, jakby brodził po kolana w melasie. Chwycił Manfreda za rękę i z całych sił ją przytrzymał.

Manfredowi o to właśnie chodziło, cały czas próbował go do tego zmusić. Błyskawicznym ruchem drugiej ręki założył mu chwyt na szyję.

— No, teraz cię mam — wymamrotał przez spuchnięte, zakrwawione usta, przyciągając do siebie mocniej lewą rękę i ściągając głowę Shasy w dół. Wziął szeroki zamach prawą i rąbnął brutalnie od dołu, prosto w twarz.

Wyczuwszy raczej ten zamach niż go zobaczywszy, Shasa szarpnął się tak gwałtownie, że wydało mu się, iż słyszy trzask łamanej własnej szyi. Ale udało mu się przyjąć cios nie na osłoniętą szczękę, tylko na czoło. Szok po uderzeniu przeszył go od czaszki wzdłuż całego kręgosłupa jak dźgnięcie żelaznym szpikulcem. Wiedział, że następnego takiego ciosu nie wytrzyma.

Mimo wirujących przed oczami mroczków uświadomił sobie, że zatoczyli się na skraj mola. Ostatkiem sił szarpnął się w bok i zdołał ściągnąć ich obu na sam jego brzeg. Manfred, który nie przypuszczał, że przeciwnik może próbować ucieczki w tę stronę i stał zaparty, by uniemożliwić mu pchnięcie w przeciwnym kierunku, nie mógł stawić żadnego oporu. Przelecieli nad krawędzią pomostu i z wysokości dwóch metrów spadli płasko na zasypany rybami pokład kutra.

Przygwożdżony ciałem Afrykanera, nadal unieruchomiony w żelaznym uchwycie, Shasa natychmiast pogrążył się w lotnym piasku ryb.

Manfred chciał mu zadać następny cios w twarz, ale pięść ugrzęzła mu w warstwie sardeli pokrywających głowę przeciwnika. Dał więc z tym spokój i tylko napał całym ciężarem ciała na ramiona Shasy, wpychając mu głowę coraz głębiej i głębiej w śliskie grzęzawisko.

Shasa zaczął tonąć. Chciał krzyczeć, ale w otwarte usta wcisnęła mu się martwa sardela i jej łeb zatkał mu gardło. Wierzgał, wił się, resztką sił tłukł na oślepe rękami, lecz jego głowa bezlitośnie zapadała się w głąb. Nie mógł wypluć tkwiącej w ustach ryby, zaczynał się dusić. Z odgłosem podobnym do szumu wiatru opadła go ciemność, krwiożerczy chór głosów na rampie odpłynął i ucichł. Jego opór osłabił gwałtownie, aż ręce i nogi opadły mu bezwładnie w galaretowatą breję.

„Zaraz utonę... — pomyślał ze zdziwieniem i osobliwą obojętnością, zupełnie jakby to nie o niego chodziło. — Umieram..”

Ta ostatnia myśl rozmazała się, rozplynęła w ciemności i stracił przytomność.

— Przyjechałaś mnie zniszczyć — rzucił oskarżającym tonem Lothar De La Rey, oparłszy się plecami o zamknięte drzwi. — Wybrałaś się taki kawał drogi, eby ujrzeć to na własne oczy i napawać się tym widokiem.

— Pochlebiasz sobie — odparła z pogardą Centaine. — Nie interesujesz mnie aż do tego stopnia. Przyjechałam dochodzić poważnej lokaty kapitałowej. Pięćdziesiąt tysięcy funtów plus nagromadzone odsetki.

— Gdyby to była prawda, nie przeszkadzałabyś mi w przerobieniu połowu. Mam tam tysiąc ton ryb... Spieniężone, jutro wieczorem dałyby ci właśnie twoje pięćdziesiąt tysięcy.

Centaine przerwała mu niecierpliwym gestem. Opalona skóra na jej szczupłej dłoni miała odcień kawy ze śmietanką, kontrastujący mocno ze srebrzystą bielą brylanta długości połowy palca, który teraz wycelowwała w Lothara.

— Żyjesz w świecie urojeń — powiedziała. — Twoje ryby nie są warte funta kłaków. Nikt ich nie zechce, za żadne pieniądze, a już na pewno nie za pięćdziesiąt tysięcy.

— Właśnie tyle są warte. Po przerobieniu na konserwy i mączkę...

Znów przerwała mu tym samym gestem.

— Magazyny świata pękają w szwach od niechcianych towarów. Czy ty nic nie rozumiesz? Nie czytasz gazet? Nie słuchasz tu, na tej pustyni radia? Te ryby nie są warte nawet kosztu ich przetworzenia.

— To niemożliwe — upierał się ze złością. — Pewnie, że słyszałem o załamaniu na giełdach, ale przecież ludzie nadal muszą coś jeść.

— Myślałam o tobie niejedno. — Nie podnosiła głosu, przemawiała do niego jak do dziecka. — Ale nigdy nie miałam cię za głupca. Spróbuj zrozumieć, że gdzieś tam na świecie wydarzyło się coś bez precedensu. Handel zamarł, cały świat zamyka fabryki, po ulicach wszystkich większych miast kręcą się tłumy bezrobotnych.

— To tylko wymówka dla tego, co chcesz zrobić. Dalszy ciąg twojej wendety. — Podeszedł bliżej. W jego ogorzałej twarzy pobladłe wargi wydawały się trupio sine. — Prześladujesz mnie za jakąś wymaginowaną krzywdę sprzed wielu, wielu lat. Chcesz mnie za nią ukarać.

— Ta krzywda nie jest wymaginowana. — Cofnęła się przed nim o krok, ale nie spuściła wzroku i choć mówiła nadal cicho, jej głos zabrzmiał lodowato i twardo. — To, co zrobiłeś, było potworne, okrutne i niewybaczalne, ale ja nie jestem w stanie nałożyć na ciebie odpowiedniej kary za taką zbrodnię. Jeśli Bóg istnieje, on zada ci pokutę.

— A dziecko... — zmienił nagle temat. — Dziecko, które urodziłaś mi w głuszy... — Po raz pierwszy udało mu się przebić przez pancerz jej opanowania.

— Nie waż się wspominać przy mnie o swoim bękarcie. — Zaciśnęła jedną dłoń w drugiej, by ukryć ich drżenie. — Taka była nasza umowa.

— To nasz syn. Nie możesz uciec przed faktami. Czy to, że i jego przy okazji zniszczysz, także sprawia ci radość?

— To twój syn — zaprzeczyła. — Ja nie mam nim nic wspólnego. Jego istnienie nie ma żadnego wpływu ani na mnie, ani na moje decyzje. Twoja przetwórnica jest niewypłacalna, beznadziejnie, nieodwracalnie niewypłacalna. Na zwrot całości lokaty nie mam już co liczyć. Chcę więc odzyskać przynajmniej część.

Za otwartego okna dobiegły podniesione głosy mężczyzn. Nawet z daleka słychać w nich było podniecenie i niemal zmysłową chuć. Ujadali jak psy myśliwskie, które zwietrzą trop. Ani Centaine, ani Lothar nie spojrzeli jednak w tamtą stronę; całą uwagę skupili na sobie.

— Daj mi szansę, Centaine. — Usłyszał błagalną nutę w swoim głosie i napełniło go to odrazą. Jeszcze nigdy w życiu nikogo o nic nie błagał, nigdy nikogo, ale nie mógł znieść myśli, że znów trzeba będzie zaczynać od nowa. Już dwa razy nędza zaglądała mu w oczy, wojna pozbawiała wszystkiego poza dumą, odwagą i determinacją. W obu wypadkach wróg był ten sam: Anglicy i ich imperialne zakusy. Za każdym razem zaczynał wszystko od początku i mozolnie odrabiał straty.

Teraz ta perspektywa wydała mu się przerażająca. Zostać zniszczonym przez matkę swego dziecka, kobietę, którą niegdyś kochał i — niech Bóg wybaczy — którą kochał nadal na przekór wszelkiemu prawdopodobieństwu. Czuł, jak bardzo doświadczenia życia nadszarpnęły jego siły fizyczne i duchowe. Miał czterdzieści sześć lat; nie był już młodym człowiekiem z zapasem niespożytej energii, z którego w każdej chwili mógłby skorzystać. Wydawało mu się, że spojrzenie Centaine zmiękło, jakby poruszyło ją jego błaganie, że dostrzegł w jej oczach wahanie, skłonność do ustępstwa.

— Daj mi tydzień, tylko jeden tydzień, Centaine. O nic więcej nie proszę. — Poniżył się ostatecznie i natychmiast pojał, jak błędnie odczytał to spojrzenie.

Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie, ale błysk ciemnych oczu zdradził, że to, co brał za współczucie, było tylko głęboką satysfakcją. Przez te wszystkie lata pragnęła, by znalazł się w takiej właśnie sytuacji.

— Mówiłam ci, żebyś nigdy nie zwracał się do mnie po imieniu — odparła. — Zabroniłam ci tego, kiedy dowiedziałam się, że zamordowałeś dwoje ludzi, których kochałam bardziej niż



kogokolwiek na świecie. Teraz raz jeszcze ci tego zabraniam.

— Tydzień, tylko jeden tydzień.

— Dałam ci już dwa lata.,

Odwróciła głowę do okna. Nie sposób było dłużej nie zwracać uwagi na ochryple krzyki dobiegające z oddali, niby ryk żadnej krwi widowni podczas walki byków.

— Przez ten tydzień tylko jeszcze bardziej byś się u mnie zadłużył i powiększył moje straty. — Potrząsnęła głową, ale Lothar wpatrywał się w coś daleko za oknem. — Co tam się dzieje? — spytała ostro. Oparła ręce na parapecie i wychyliła się przez okno, patrząc w stronę portu.

Lothar podszedł do okna. W połowie mola kłębił się zbity tłumek ludzi. Wszyscy beczymni pakowacze biegli w tamtą stronę spod bramy fabryki.

— Shasa! — krzyknęła Centaine, zaalarmowana intuicyjnym podszeptem matczynej troski. — Gdzie jest Shasa?!

Lothar przeskoczył lekko przez parapet i pobiegł w stronę rampy, wyprzedzając po drodze robotników z przetwórnii. Przepchał się przez krąg rozwrzeszczanych rybaków dokładnie w chwili, gdy obaj chłopcy zatoczyli się na krawędź pomostu.

— Manfred! — ryknął. — Zostaw go! Puść go natychmiast!

Jego syn trzymał drobniejszego przeciwnika w morderczym chwycie i bil go potężnymi sierpowymi w unieruchomioną głowę. Słysząc było trzask uderzeń kłykci o kości czaszki Shasy.

3

— Nie wymówił rozstrzygającego słowa, zagryzł wargi i ruszył w stronę

— Ty głupcze! — Lothar rzucił się w stronę walczących, ryk tłumu zagłuszał jego słowa. Poczul ukłucie strachu, prawdziwego niepokoju o to dziecko i ogarnęła go panika na myśl o tym, jak zareaguje Centaine, jeśli coś mu się stanie.

— Zostaw go! — Nim zdążył dopaść walczących w zapamiętaniu chłopców, zatoczyli się w tył i zwalili z mola. — O Boże!

Usłyszał, jak spadają na pokład kutra, a kiedy podbiegł, wychylił się i spojrzął w dół, zobaczył, że na wpół pograżyli się w ładunku błyszczących sardeli.

Rzucił się w stronę drabinki, lecz ze wszystkich stron napierali na niego czarnoskórzy rybacy, tłoczący się do brzegu pomostu, by nie stracić ani fragmentu walki. Mocnymi ciosami obu pięści i łokci utorował sobie drogę i zbiegł po drabince na pokład kutra.

Manfred leżał na swym przeciwniku, z całych sił wpychał mu głowę i ramiona w grzęzawisko ryb. Obita i fioletowa od sińców twarz wykrzywił mu grymas wściekłości. Przez spuchnięte i zakrwawione usta bełkotał niezrozumiałe groźby. Shasa już nie stawiał oporu. Jego głowa i ramiona zniknęły pod masą ryb, ale tułów i nogi drżały wstrząsane samoistnymi, słabnącymi konwulsjami, jak u człowieka z przestrzeloną głową.

Lothar złapał syna za ramiona i próbował go odciągnąć, ale okazało się to równie trudne, jak rozdzielenie pary gryzących się mastyfów. Stał w szerokim rozkroku, chwycił Manfreda za kark i szorty, podniósł go w powietrze i cisnął nim o ścianę sterówki z taką siłą, że całe zaciętrzewienie uszło z chłopca jak powietrze z przekłutego balona, po czym mocnym szarpnięciem za nogi wydobył Shasę z topieli śniętych ryb. Chłopiec wysliznął się na powierzchnię, mokry i oblepiony śluzem. Otwarte oczy uciekły mu w tył głowy, widać było tylko przekrwione białka.

— Zabiłeś go — rzucił przez zaciśnięte zęby Lothar. Wypieki wściekłości zniknęły z twarzy Manfreda, krew mu z niej odpłynęła, wpatrywał się w ojca poblady i drżący.

— Ja nie chciałem, tato, ja naprawdę...

W otwartych ustach Shasy tkwiła zdechła ryba, blokowała mu dostęp powietrza. Z nosa ciekł mu

spieniony rybi śluz.

— Ty głupcze, ty mały głupcze! — Lothar wetknął palec w kącik rozdziawionych bez czucia ust Shasy i wydlubał martwą sardelę.

— Przepraszam, tato, ja naprawdę nie chciałem...

— Jeśli go zabiłeś, popełniłeś w oczach Boga potworny grzech. — Lothar wziął na ręce bezwładne ciało. — Zamordowałbyś własnego...

— Nie mogłem go zabić! — zawołał za nim Manfred. — On żyje, prawda, tato? — spytał błagalnie. — Wszystko będzie dobrze, prawda?

— Nie. — Lothar potrząsając posępnie głową. — Teraz już po prostu nie może być dobrze.

Przyciskając do piersi nieprzytomnego Shasę, wspiał się po drabinie. Tłum rybaków i robotników z przetwórnicy rozstał się przed nim w milczeniu. Tak jak Manfreda ogarnęło ich przerażenie i poczucie winy, spuszczała głowy, kiedy ich mijał, nie śmiejąc spojrzeć mu w oczy.

— Swart Hendrick! — zawołał Lothar nad ich głowami do wysokiego Murzyna. — Miałem cię za mądrzejszego! Kto jak kto, ale ty powinienesz być ich rozdzielić. — Odszedł długim krokiem wzdłuż mola i nikt nie ruszył za nim.

Na brzegu, w połowie ścieżki do fabryki czekała na niego Centaine Courteney. Lothar stanął przed nią ze zwisającym mu bezwładnie z rąk Shasą.

— Nie żyje... — szepnęła Centaine. W jej głosie nie było nawet cienia nadziei.

— Żyje, żyje na pewno! — zaprzeczył gwałtownie Lothar. Myśl o śmierci tego chłopca była zbyt potworna, za nic w świecie nie chciał jej do siebie dopuścić. I jakby w reakcji na jego słowa Shasa jęknął i kącikiem ust zwymiotował.

— Szybko! — zawołała Centaine. — Przewieś go przez ramię, nim udusi się własnymi wymiocinami!

Z Shasą przerzuconym przez ramię jak sakwa Lothar przebył biegiem ostatnie kilka metrów dzielących ich od biura. Centaine jednym ruchem ręki zmiotła wszystko z biurka.

— Połóż go tutaj! — poleciła, ale Shasa poruszył się słabo, próbując usiąść. Centaine podtrzymała go za ramiona, otarła mu usta i nos rękawem swej jedwabnej sukni.

— To ten twój bękart! — wycodziła przez zęby, mierząc Lothara ponad biurkiem wściekłym spojrzeniem. — To on to zrobił mojemu synowi, prawda? — I nim Lothar zdążył odwrócić wzrok, wyczytała w jego oczach potwierdzenie.

Shasa zaniósł się kaszlem, zwrócił jeszcze jedną porcję rybiego śluzu i żółtawej treści żołądka i natychmiast poczuł się lepiej. Spojrzał przytomniejszym wzrokiem, przestał tak łapczywie chwytać powietrze. Centaine obronnym gestem zasłoniła go własnym ciałem.

— Zejdź mi z oczu! — rzuciła ostro do Lothara. — Dopilnuję, żebyście obaj sześli w piekło, ty i ten twój bękart. Wyjdź stąd!

Droga z Zatoki Wielorybów do Swakopmundu, końcowej stacji linii kolejowej, biegła dnem poskręcanych dziwacznie dolin między ogromnymi pomarańczowymi wydmami. Wznosiły się po obu jej stronach na wysokość dziewięćdziesięciu, stu czterdziestu metrów, góry piasku o ostrych jak brzytwa grzbietach i idealnie gładkich zboczach i więziły w wąwozach między sobą żar pustyni.

Całą drogę stanowiły dwie głębokie koleiny, z obu stron wytyczały ją migocące w słońcu odłamki potłuczonych butelek po piwie. Nikt nie wypuszczał się tędy w podróż bez odpowiedniego zapasu gaszących pragnienie napojów. Co kilka mil koleiny znikwały, zatarte przez kierowców, którym obca była sztuka podróżowania przez pustynię, i którzy podejmowali próby przedostania się przez nawiane hałdy lotnych piasków. Zastawione przez nich w tych miejscach pułapki czyhały na następnych podróżnych.

Centaine jechała szybko i ostro. Ani na chwilę nie zmniejszając obrotów silnika, brała z rozpędu piaszczyste przeszkody i zagłębienia, nawet te, w których grzęzli inni kierowcy. Delikatnymi, nieznacznymi ruchami kierownicy prowadziła ogromną żółtą limuzynę tak, by trzymać koła zawsze prosto. W ten sposób wyrzucany do tyłu piasek nie mógł się raptownie spiętrzyć i ich zablokować.

Oparta wygodnie w skórzanym fotelu, trzymała kierownicę z wprawą mistrza toru wyścigowego, na wyciągnięcie rąk, gotowa w każdej chwili skontrolować jej szarpnięcie. Ze wzrokiem utkwionym w pędzącej jej na spotkanie drodze przewidywała każdy manewr na długo przedtem, nim musiała go wykonać. Tu i tam zmieniała raptownie bieg i porzucała utarty szlak, wybierając własny objazd trudniejszego odcinka. Gardziła takim elementarnym zabezpieczeniem, jak zabieranie w podróż dwóch czarnych służących, którzy mogliby wypchnąć daimlera z piasku, gdyby w nim ugrzązł. Shasa nigdy nie widział, żeby matka się zakopała, nawet na najgorszych odcinkach drogi do kopalni.

Jechał na przednim siedzeniu obok niej. Miał na sobie stary, ale świeżo uprany drelichowy kombinezon z magazynu przetwórci ryb. Jego własne ubranie, brudne, cuchnące rybami i wymiocinami, podróżowało w bagażniku daimlera.

Od momentu wyjazdu z fabryki matka nie odezwała się jeszcze ani słowem. Zerknął na nią ukradkiem. Bał się jej tłumionego gniewu i nie chciał zwracać na siebie uwagi, lecz na przekór samemu sobie nie był w stanie się od tego powstrzymać.

Zdjęła ciasno przylegający do głowy kapelusz. Jej gęste, czarne włosy, przycięte modnie i krótko la uczeń Eton, targane pędem powietrza błyszczały jak mokry antracyt.

— Kto zaczął? — spytała, nie odrywając oczu od drogi.

Shasa zastanowił się.

— Nie jestem pewien — powiedział. — Ja go pierwszy uderzyłem, ale... — Urwał. Gardło nadal go bolało.

— Ale co?

— Wszystko było jakby z góry ułożone. Spojrzeliśmy na siebie i już wiedzieliśmy, że będziemy się bić. — Nie odezwała się, więc dodał nieporadnie: — I on mnie przezwał.

— Jak cię przezwał?

— Nie mogę ci powiedzieć. To było bardzo wulgarne.

— Pytam, jak cię przezwał. — Mówiła cicho i na pozór spokojnie, ale Shasa wiedział, co omacza ten matowy ton. To był sygnał ostrzegawczy.

— Nazwał mnie soutpiel — odpowiedział czym prędzej. Zniżył głos i spuścił wzrok, zawstydzony tą obelgą, i dlatego nie zauważył, że matka z trudem stłumiła uśmiech i odwróciła lekko głowę, by ukryć iskierki rozbawienia w oczach.

— Mówiłem ci, że to bardzo wulgarne — próbował się tłumaczyć.

— Więc go uderzyłeś. Młodsze od siebie.

Nie wiedział, że jest starszy od Manfreda, ale to, że ona to wie, wcale go nie zaskoczyło. Matka wiedziała wszystko.

— Może jest i młodszy, ale to wyrosnięty afrykanerski byk, co najmniej pięć centymetrów wyższy ode mnie — odparł szybko jej zarzut.

Centaine chciała zapytać, jak wygiąda jej drugi syn, czy ma jasne włosy i jest równie przystojny jak niegdyś jego ojciec, jakiego koloru ma oczy... ale zamiast tego powiedziała: — I spuścił ci manto.

— Prawie zwyciężyłem! — zaprotestował odważnie Shasa. — Podbiłem mu oczy i dobrze puściłem krwi. Prawie zwyciężyłem!

— Prawie to za mało — stwierdziła Centaine. — W naszej rodzinie nie zwycięża się prawie. Po

prostu się zwycięża.

Zakłopotany poruszył się nieswojo w fotelu i zakaszał, by choć na chwilę osłabić ból gardła.

— Nie da się wygrać z kimś, kto jest dużo wyższy i silniejszy — szepnął żałośnie.

— To nie trzeba było się na niego porywać z pięściami — odparła matka. — Nie trzeba było rwać się do bitki i dawać sobie wpychać do gardła zdechłe ryby. — Zaczerwienił się na to bolesne przypomnienie swego upokorzenia. — Trzeba było poczekać na okazję i wydać mu walkę na taką broń, którą sam wybierzesz, i na warunkach, które ty sam ustalisz. Walczy się tylko wtedy, kiedy się ma pewność zwycięstwa.

Przemyślał starannie to, co powiedziała, rozważając sprawę ze wszystkich stron.

— Tak właśnie postąpiłaś z jego ojcem, prawda? — spytał cicho. Zaskoczona tą przenikliwością Centaine zapatrzyła się na Shasę i w tej samej chwili daimler wypadł z kolein. Szybkim ruchem sprowadziła go w nie z powrotem i odzyskawszy panowanie nad maszyną skinęła głową.

— Owszem, tak właśnie z nim postąpiłam. Widzisz, my, Courteneyowie, nie musimy walczyć na pięści. My walczymy za pomocą władzy, pieniędzy i wpływów. Nikt nie może nas pokonać na naszym własnym terenie.

Znów zamilkł, rozważając starannie to, co usłyszał, i w końcu twarz mu się rozjaśniła. Był tak piękny, kiedy się uśmiechał, piękniejszy chyba nawet od swego ojca. Centaine poczuła w sercu wzbierającą falę miłości.

— Będę o tym pamiętał — powiedział. — Kiedy go spotkam następnym razem, będę o tym pamiętał.

Ani jedno, ani drugie nawet przez chwilę nie wątpiło, że ten następny raz musi kiedyś nastąpić i że kiedy nastąpi, obaj podejmą walkę, którą właśnie sobie wypowiedzieli.

4

Wiał wiatr od morza. Fetor gnijących ryb był tak silny, że oblepiał Lotharowi gardło i przyprawiał go o skurcze żołądka. Cztery kutry nadal cumowały na swych miejscach przy molo, ale ich ładunek nie mienił się już srebrzyście. Sardele osiadły, górna warstwa wyschła w słońcu, ściemniała, stała się brudnobrunatnoszara, zaroiła się metalicznie zielonymi muchami wielkości os. Pod własnym ciężarem ryby w ładowni zmieniały się w zmiażdżoną masę, pompy ledwie nadażały wyrzucać z zęż strumienie brązowej krwi i rybiego tłuszczu, rozlewające się po powierzchni zatoki paskudną, stale rosnącą plamą.

Lothar cały dzień przesiedział w oknie biura, przed którym ustawiała się długa kolejka czekających na wypłatę robotników z przetwórnicy i rybaków z kutrów. Musiał sprzedać starego ciężarowego packarda i te kilka mebli z baraku z falistej blachy, który służył jemu i Manfredowi za mieszkanie. To były jedyne rzeczy należące nie do firmy, tylko do niego osobiście, i jako takie nie zostały zajęte przez szeryfa. Handlarz starzyzną ze Swakopmundu jak sęp zwietrzył upadek fabryki i pojawił się w ciągu kilku godzin. Kupił od Lothara wszystko za niewielki ułamek rzeczywistej wartości oferowanych przedmiotów.

— Mamy kryzys, panie De La Rey. Wszyscy sprzedają, nikt nie chce kupować. Może pan wierzyć, że to dla mnie wyrzucone pieniądze.

Wraz z rezerwą na czarną godzinę zakopaną w piasku podłogi baraku starczyło tego, by zapłacić ludziom po dwa szylingi za każdego funta, którego był im winien. Oczywiście nie musiał tego robić, uregulowanie zaległych pensji było sprawą firmy, ale nawet przez myśl mu nie przeszło migać się od tego obowiązku. To byli jego ludzie.

— Przykro mi, ale to wszystko, więcej nie mam — powtarzał każdemu, podchodzącemu do okienka, unikając jego spojrzenia.

Po zakończeniu wypłaty, kiedy ostatni czarnoskórzy robotnicy rozeszli się niepocieszeni do swoich baraków, Lothar zamknął biuro i wręczył klucz zastępcy szeryfa.

Potem po raz ostatni poszedł z synem na molo. Usiedli obok siebie ze zwieszonymi nogami. Smród gnijących ryb pogłębiał ich ponury nastrój.

— Nie rozumiem, tato — odezwał się Manfred. Mówił przez zapuchnięte usta, na jego górnej wardze czerwienił się wielki rdzawy strup. — Mieliśmy świetny połów, powinniśmy być bogaci. Co się stało, tato?

— Wystrychnięto nas na dudka — odparł cicho Lothar.

Aż do tej chwili nie czuł gniewu ani urazy, był tylko jak odrętwiały. Dwa razy w życiu został trafiony kulą. Raz karabinową, na drodze do Omaruru, kiedy odpierali inwazję Smutsa na Niemiecką Afrykę Południowo-Zachodnią, i drugi raz znacznie później, kulą z lugera, którego spust nacisnęła matka jego syna. Sięgnął ręką do piersi na to wspomnienie i namacał przez cienką bawełnę oliwkowej koszuli ściągnięte, gładkie jak guma wgłębienie blizny.

Uczucie było dokładnie takie samo: najpierw szok i tępe odrętwienie, a dopiero znacznie później ból i wściekłość. Ta wściekłość zalała go teraz czarną falą. Nawet nie próbował jej opanować, wręcz pławił się w niej, bo pomagało mu to uśmierzyć ból. Przeszywający ból na wspomnienie upokorzenia, gdy błagał o tydzień zwłoki, a w czarnych oczach tej kobiety dojrzał błysk szyderczego uśmiechu.

— Czy nie możemy im w tym jakoś przeszkodzić, tato? — spytał chłopiec. Nie musiał wyjaśniać, kogo miał na myśli. Obaj dobrze wiedzieli, kto jest ich wrogiem. Poznali go dobrze w czasie trzech wojen: pierwszej wojny burskiej w roku 1881, wielkiej wojny burskiej w roku 1889, kiedy to Wiktoria ściągnęła zastępy swych żołdaków aż zza oceanu i rzuciła je przeciw nim, by ich ostatecznie zniszczyć, i wreszcie w roku 1914, gdy ta angielska marionetka, Jannie Smuts, wykonał rozkazy swych panów, władców brytyjskiego imperium.

Lothar potrząsnął przecząco głową. Dławiony wściekłością nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

— Przecież musi być jakiś sposób — upierał się chłopiec. — Jesteśmy silni. — Przypomniawsobie jak ciało Shasy słabło powoli w jego rękach i mimowolnie naprężył bicepsy. — Przecież to wszystko należy do nas. To nasza ziemia, dana nam od Boga. Tak jest napisane w Biblii.

Jak już tylu Afrykanerów przed nim, interpretował tę księgę po swojemu. To oni, Burowie, byli narodem wybranym, dziećmi Izraela, a Południowa Afryka — Ziemią Obiecaną, krainą mlekiem i miodem płynącą.

Lothar milczał nadal. Manfred pociągnął go za rękaw.

— Przecież to Bóg dał nam tę ziemię, prawda, tato?

— Tak. — Lothar skinął posępnie głową.

— W takim razie oni nam to wszystko ukradli: ziemię, diamenty, złoto — wszystko! A teraz jeszcze zabrali nam nasze kutry i ryby. Musi być jakiś sposób, żeby ich powstrzymać, żeby odebrać im naszą własność.

— To nie takie proste. Lothar nie bardzo wiedział, jak to wyjaśnić dziecku. Czy on sam w pełni rozumiał, jak to się stało? Przecież rzeczywiście tę Ziemię wydarli głuszy i dzikim pod groźbą luf długich skałkowych rusznic właśnie ich ojcowie.

— Zrozumiesz to, jak dorośniesz, Manie — mruknął.

— Jak dorosnę, wymyślę sposób, żeby ich pokonać — oświadczył Manfred z taką gwałtownością, że strup na jego wardze pękł i zalśniła na nim mała rubinowa kropelka. — Wymyślę, jak im to wszystko odebrać. Zobaczysz, tato!

— Może i tak, synku, może ci się to uda. — Lothar objął chłopca ramieniem.

— Pamiętasz przysięgę dziadka, tato? Ja ją będę pamiętał do końca życia. Wojna z Anglikami nigdy się nie skończy.

Siedzieli tak razem, dopóki słońce nie zaczęło pogrążyć się w wodach zatoki, zmieniając je w płynną miedź. Potem, już po ciemku, wrócili na brzeg, zostawiając za sobą fetor gnijących ryb i ruszyli wzdłuż granicy wydm.

Kiedy zbliżyli się do baraku, zobaczyli unoszącą się z komina smuzkę dymu, a po wejściu do kuchennej przybudówki ujrzeli, że na otwartym palenisku płonie ogień. Swart Hendrick podniósł głowę.

— Żyd zabrał stół i krzesła — powiedział — ale garnek i kubki udało mi się schować.

Usiedli na podłodze i jedli prosto z garnka breję z kukurydzianej mąki z solonymi, suszonymi na wietrze rybami. Żaden nie odezwał się ani słowem, póki nie skończyli.

— Nie musiałeś zostawać — przerwał milczenie Lothar.

Swart Hendrick wzruszył ramionami.

— W fabrycznej kantynie kupiłem kawę i tytoń. Za pieniądze z ostatniej wypłaty. Akurat starczyło.

— Wiecej nie miałem — powiedział Lothar. — Nie mam już ani pensa.

— Już nieraz tak bywało. — Hendrick zapalił fajkę rozżarzoną drewnianką z ognia. — Już nieraz byliśmy spłukani do nitki.

— Tym razem jest inaczej — mruknął Lothar. — Nie ma już kości słoniowej ani... — Urwał dusząc się z wściekłości.

Hendrick nalał kawy do cynowych kubków.

— Jakie to dziwne — powiedział. — Kiedy ją znaleźliśmy, miała na sobie skóry dzikich zwierząt. A teraz zajeżdża tą swoją wielką żółtą limuzyną... — pokręcił głową i zachichotał. — I teraz ona nas zostawia w łachmanach.

— To prawda — potwierdził Lothar — gdyby nie my, ty i ja, już by nie żyła. Co więcej, to my znaleźliśmy jej te diamenty i my je wykopaliśmy z ziemi.

— A dziś, choć taka bogata — ciągnął Hendrick — połaszczyła się także na te nasze parę nędznych funtów. Nie powinna była tego robić. — Pokręcił wielką czarną głową. — Nie powinna była.

Lothar wyprostował się powoli. Na widok jego miny Hendrick pochylił się skwapliwie do przodu. Manfred poruszył się i po raz pierwszy uśmiechnął.

— No — wyszczerzył zęby Swart Hendrick — co ci tam chodzi po głowie? Kości nie ma, wszystkie słonie już dawno wybite do nogi...

— Co tam kość... — odparł Lothar. — Tym razem to będą diamenty.

— Diamenty? — Hendrick zakołysał się na piętach. — Jakie diamenty?

— Jak to jakie? — uśmiechnął się do niego Lothar. Żółte, kocie oczy zapłonęły mu dawnym blaskiem. — Oczywiście te, które jej znaleźliśmy.

— Jej diamenty? — Wytrzeszczył oczy Hendrick. — Z kopalni H'ani?

— Ile masz pieniędzy? — spytał Lothar. Hendrick umknął spojrzeniem w bok. — Znam cię na wylot — ciągnął niecierpliwie Lothar i chwycił go za ramię. — Zawsze coś tam trzymasz na czarną godzinę. Ile tego jest?

— Niewiele — odburknął Hendrick próbując wstać, ale Lothar nie puścił jego ramienia.

— Przez ostatni sezon zarabiałeś wcale nieźle. Wiem dokładnie, ile ci zapłaciłem.

— Pięćdziesiąt funtów — wydusił z siebie Hendrick.

— Akurat! — pokręcił głową Lothar. — Musisz mieć więcej.

— No, może trochę więcej — przyznał z rezygnacją Hendrick.

— A więc masz sto funtów — orzekł Lothar. — Tyle właśnie będzie nam potrzeba. Daj mi te pieniądze. Dobrze wiesz, że odbijesz je sobie z nawiązką. Jak zawsze.

Jeszcze w widmowej szarówce przedświtu zostawili żółtego daimlera u podnóża góry, na brzegu strumienia Liesbeek, i ruszyli wąską ścieżką. Była stroma i kamienista, im wyżej, tym trudniej było się wspinać. Zanim dotarli na szczyt pierwsze promienie słońca rozjaśniły mrok.

Na czele postępowało dwóch starszych mężczyzn. Ubrani byli więcej niż skromnie, na nogach mieli zdarte yeldskoen [Lekkie buty z nie garbowanej skóry.

] na głowach poplamione od potu, bezkształtne słomkowe kapelusze. Obaj byli tak chudzi, że wyglądali na zamorzonych głodem, lecz poruszali się sprężysto, a ich ogorzałe, pokryte siecią zmarszczek twarze świadczyły o częstym i długotrwałym przebywaniu na słońcu, wietrze i deszczu. Przygodny obserwator mógłby ich wziąć za parę starych włóczędzów, których tak wielu kręciło się po drogach w tych czasach Wielkiego Kryzysu.

Przygodny obserwator byłby jednak w błędzie. Wyższy z dwóch starców, ten utykający lekko na sztucznej nodze, był komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego i posiadaczem najwyższego odznaczenia za odwagę i męstwo, jakie Imperium mogło nadać — Krzyża Wiktprii. Był także jednym z najwybitniejszych historyków wojskowych swoich czasów, a do tego człowiekiem niezwykle majątnym i tak mało dbającym o dobra doczesne, że rzadko zadawał sobie trud zliczania swych bogactw.

— Garry, staruszk — zwrócił się poufale do sir Garricka Courteneya jego towarzysz. — To największy z problemów, przed jakimi stoimy — tłumaczył wysokim, niemal dziewczęcym głosem, wymawiając „r” w ten niezwykle dźwięczny sposób określany mianem „r” malmesburskiego. — Nasi ludzie porzucają ziemię i ciągną do miast. Farmy popadają w ruinę, a w miastach nie ma pracy.

W jego głosie nie słyhać było zadyszki, mimo iż pokonali już sześćset metrów stromego zbocza Góry Stołowej, bez jednego odpoczynku, w tempie, którego nie zdołali dotrzymać pozostali, znacznie młodszy członkowie grupy.

— To recepta na katastrofę — zgodził się sir Garrick. — Na swoich farmach klepią biedę, ale gdy je porzucą i przeniosą się do miast, przymierają głodem. A głodujący tłum bywa groźny, Ou Baas. Uczy nas tego historia.

Mężczyzna nazwany „Starym Panem” był niższy, choć trzymał się prościej od sir Garricka Courteneya. Miał sympatyczne, niebieskie oczy, spoglądające bystro spod obwisłego ronda panamy, i siwą kozią bródkę, która podrygiwała energicznie, kiedy mówił. W przeciwieństwie do sir Garricka nie był bogaty; miał tylko niewielką farmę na warzonych mrozem wyżynach Transwalu i mnóstwo długów, które traktował równie lekko jak tamten swoje bogactwa. Ale był pupilkiem całego świata, który obsypywał go zaszczytami. Piętnaście najlepszych uczelni świata, w tym Oksford, Cambridge i Columbia, nadało mu doktoraty honoris causa. Dziesięć miast, Londyn, Edynburg i tak dalej, przyznało mu swoje obywatelstwa. Przed laty dowodził wojskami Burów, teraz był generałem armii Imperium Brytyjskiego, członkiem Tajnej Rady, kawalerem Orderu Honoru, adwokatem z tytułem radcy królewskiego, członkiem korporacji prawniczej i Towarzystwa Królewskiego. Na jego piersi brakowało miejsca na wszystkie gwiazdy i wstęgi, do których noszenia miał prawo. Był bez wątpienia najzdolniejszym najmądrzejszym, najbardziej charyzmatycznym i wpływowym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek wydała Afryka Południowa. Sprawia wrażenie niemal zbyt wielkiego duchem, by mogły go krępować ziemskie granice — był prawdziwym obywatelem całego szerokiego świata. I to właśnie stanowiło szczelinę w jego zbroi, przez którą wrogowie ślali swe

zatrute strzały: „On sercem jest po drugiej stronie oceanu, nie z wami”. I tak upadł rząd Partii Południowoafrykańskiej, w którym zajmował trzy kluczowe stanowiska: premiera, ministra obrony i ministra spraw wewnętrznych. Teraz był przywódcą opozycji.

Sam jednak uważał się za botanika z zamiłowania, a żołnierza i polityka z konieczności.

— Powinniśmy poczekać na resztę. — Generał Jan Smuts przystanął na porośniętej mchem skalnej półce i wsparł na lasce. Spojrzeli wdół zbocza.

Sto kroków niżej mozolnie drapała się pod górę jakaś kobieta.

Jej rysujące się pod perkalowymi spódnicami uda były grube i potężne jak u rozplodowej klaczy, a odsłonięte ramiona umięśnione niczym u zapaśnika.

— Moja gołąbka — mruknął z uwielbieniem sir Garick, przyglądając się swej nowo poślubionej małżonce. Po czternastu długich latach zalotów dopiero przed sześcioma miesiącami przyjęła jego względy.

— No, pospiesz się, Anno! — zawołał błagalnie chłopiec idący za nią wąską ścieżką. — Inaczej do południa nie wejdziemy na szczyt, a ja umieram z głodu! Już dawno minęła pora śniadania! — Dorównywał jej wzrostem, ale był dobre dwa razy szczuplejszy.

— Pędź do przodu, skoro tak ci się spieszy! — ofuknęła go dobrotliwie spod nasuniętego głęboko na czoło hełmu tropikalnego. Jej krągła, rumiana twarz z obwisłymi policzkami przywodziła na myśl pysk przyjaznego buldoga. — Ale po co kto miałby się gramolić na szczyt tej piekielnej góry...

— Popcham cię — zaproponował Shasa i podpari obiema rękami masywne pośladki lady Courteney. — Hej, hop! i już dama na górze!

— Przestań, ty łobuziaku! — sapnęła Anna, wymachując rękami, by podołać raptownemu przyspieszeniu tempa wspinaczki. — Przestań, bo połamię ci ten kij na siedzeniu! Och, przestań natychmiast, dość tego!

Nim została panią Courteney, była po prostu Anną, niańką Shasy i ukochaną służącą jego matki. Oszałamiający awans społeczny w najmniejszym stopniu nie wpłynął na stosunki między nimi.

Z głośnym sapaniem, protestami i śmiechem dotarli do skalnej półki.

— Oto twoja przesyłka, dziadku! Dostawa specjalna! — zawołał Shasa do sir Garricka, który rozdzielił ich stanowczo lecz czule. Ta pospolita kobieta o czerstwej twarzy i ten piękny chłopiec, jego żona i jedyny wnuk, byli najcenniejszymi z jego wszystkich skarbów.

— Anno, kochanie, nie powinnaś tak orać w tego chłopca — skarcił ją z kamienną twarzą. Zrewanżowała mu się trzepnięciem w ramię, na wpół żartobliwym, na wpół poirytowanym.

— Powinnam właśnie szykować lunch zamiast uganiać się po tej piekielnej górze. — Mówiła z silnym akcentem flamandzkim i zwracając się do generała Smutsa z wyraźną ulgą przeszła na afrikaans: — Czy to jeszcze daleko, Ou Baas?

— Ależ skądże, lady Courteney, tylko kawaleczek. O, są i pozostali. Już zaczynałem się o nich martwić.

Z lasu porastającego niższe partie zbocza wyłoniła się Centaine z resztą grupy. Miała na sobie luźną białą sukienkę, odsłaniającą jej nogi aż do kolan, i biały słomkowy kapelusz przybrany sztucznymi wiśniami. Kiedy jej grupa dogoniła prowadzących, Centaine uśmiechnęła się do generała Smutsa.

— Zasapałam się, Ou Baas — powiedziała. — Czy na ostatniej prostej mogę wesprzeć się na pana ramieniu?

I choć ledwie zaróżowiła się od wysiłku, generał rycersko podał jej ramię i jako pierwsi dotarli na szczyt.



Te doroczne pikniki na Górze Stołowej były tradycyjnym rodzinnym sposobem świętowania urodzin sir Garricka. Jego stary przyjaciel, generał Smuts, dokładał wszelkich starań, by nigdy nie przegapić tej uroczystości.

Kiedy na szczycie rozsypali się kołem, by usiąść na trawie i złapać oddech, Centaine i stary generał znaleźli się w pewnym oddaleniu od reszty. W dole pod nimi rozpościerał się widok na całą rozległą dolinę Constantii, upstrzoną winnicami przyodzianymi w pyszną zielen pełni lata. Sterczące spomiędzy nich szczytowe ściany holenderskich dworów lśniły niczym perły w promieniach nisko stojącego słońca. Zasnute lekką mgiełką zbocza gór Muizenberg i Kabonkelberg tworzyły potężny amfiteatr z szarej skały zamykający dolinę od południa, a na północy ochronny wał gór Holandii Hotentockiej odcinał Przylądek Dobrej Nadziei od afrykańskiej tarczy kontynentalnej. Dokładnie na wprost nich, wciśnięte między góry, pod natrętnym naporem wiatru z południowego wschodu burzyły się i pieniały wody Zdradliwej Zatoki. Widok był tak piękny, że dłuższą chwilę milczeli oniemiałymi z zachwyty.

Pierwszy odezwał się generał Smuts.

— Więc o czym to, moja droga Centaine, chciałaś ze mną mówić?

— Potrafi pan czytać w myślach, Ou Baas — roześmiała się nieswojo. — Jak zgaduje pan takie rzeczy?

— W moim wieku, moja droga, jeśli piękna dziewczyna odciąga człowieka na bok, można mieć pewność, że nie idzie jej o przyjemność, tylko o interes — odparł puszczając do niej oczko.

— Jest pan jednym z najbardziej pociągających mężczyzn, jakich spotkałam w życiu, Ou Baas.

— Oho! Taki komplement! Musi chodzić o coś poważnego.

Zmiana wyrazu jej twarzy potwierdziła jego przypuszczenie.

— Chodzi o Shasę — wyjaśniła krótko.

— Ale w czym problem? Z nim nie ma przecież żadnych kłopotów. Czy może się myłę?

Wyjęła z kieszeni spodnicy jakiś jednostronnicowy dokument i podała go generałowi. Widniał na nim tłoczony herb z mitrą biskupią, emblemat najbardziej ekskluzywnej prywatnej szkoły w kraju.

Generał przebiegł dokument wzrokiem. Centaine wiedziała, jak szybko ten niezwykle człowiek potrafi czytać nawet najbardziej zawile traktaty prawnicze, toteż kiedy zwrócił go jej niemal natychmiast, nie poczuła się zlekceważona. Zauważył wszystko, nawet zwięzłe podsumowanie dyrektora w ostatnim wierszu na dole: „Michael Shasa przynosi zaszczyt swej rodzinie, jest chlubą szkoły”.

— Musisz być z niego bardzo dumna — powiedział generał z uśmiechem.

— Jest całym moim życiem.

— Wiem, ale to właśnie nie zawsze jest najmądrzejsze. Z dziecka szybko stanie się mężczyzną, a kiedy odejdzie, razem z nim możesz stracić sens życia. Ale nie o tym mowa. W jaki sposób mogę ci pomóc, moja droga?

— Shasa jest zdolny, przystojny, ma podejście do ludzi, nawet znacznie starszych od niego.

Chciałabym dla niego fotela w parlamencie. Na początek.

Generał zdjął z głowy panamę i przyglądał dłońmi lśniące, srebrne włosy.

— Czy jednak nim zasiądzie w parlamencie — zaśmiał się — nie powinien dokończyć edukacji?

— Otóż to! W tej właśnie sprawie chciałam się poradzić, Ou Baas. Czy Shasa ma jechać do domu, do Oksfordu lub Cambridge? Czy też może wyborcy będą mu to mieli później za złe? Może raczej jakaś miejscowa uczelnia? A jeśli tak, to Stellenbosch czy uniwersytet w Cape Town?

— Zastanowię się nad tym, Centaine, i udzielię ci swej rady, gdy nadejdzie pora podjęcia ostatecznej decyzji. A tymczasem, czy wolno mi okazać czelność i ostrzec cię przed czymś innym,

pewnym nastawieniem psychicznym, które może zniweczyć twoje wszystkie plany co do przyszłości tego młodego człowieka?

— Och, proszę, Ou Baas! — zawołała błagalnie. — Pana słowa są warte tyle co... — Nie musiała wyszukiwać porównania, bo generał ciągnął gładko dalej.

— Słowo „dom” w tym kontekście brzmi zupełnie fatalnie. Shasa musi zdecydować, gdzie naprawdę jest jego dom, i jeśli urna, że po tamtej stronie oceanu, to na moją pomoc nie ma co liczyć.

— Jakaż ja jestem głupia! — Widać było, że rzeczywiście jest na siebie zła. Policzki jej pociemniały, usta ściągnęły się w wąską kreskę. Soutpiel, przypomniała sobie nagle. Jedną nogą w Londynie, drugą w Cape Town. Teraz to przezwisko przestało jej się wydawać śmieszne.

— To się już nie powtórzy — przyrzekła, kładąc mu rękę na ramieniu, by podkreślić szczerłość swej obietnicy. — Więc pomoże mu pan?

— Czy me moglibyśmy już zjeść śniadania, mamó? — zawołał ze swego miejsca Shasa.

— Dobrze, zanieś koszyk na brzeg strumienia, o tam! — Odwróciła się z powrotem do starego generała. — Mogę na pana liczyć?

— Jestem w opozycji, Centaine...

— To nie potrwa długo. Do następnych wyborów kraj odzyska zdrowy rozsądek.

— Musisz mieć świadomość, że w tej chwili nie mogę niczego obiecywać. — Dobierał starannie słowa. — To wciąż jeszcze dziecko. Ale będę go uważnie obserwował. Jeśli rozwinie się tak, jak to się zapowiada, jeśli sprosta moim wymaganiom, otrzyma ode mnie wszelkie możliwe wsparcie. Bóg jeden wie, jak bardzo nam potrzeba zdolnych ludzi.

Odetchnęła z zadowoleniem i ulgą, a generał już swobodniejszym tonem dodał:

— Sean Courteney był mądrym człowiekiem i dobrym ministrem w moim rządzie.

Centaine drgnęła. Brzmienie tego nazwiska wywoływało tak wiele wspomnień, kojarzyło się z ogromną radością i równie wielkim smutkiem, z tyloma mrocznymi tajemnicami. Ale stary generał zdawał się nie zauważać jej zmieszania.

— Był mi także bliskim i zaufanym przyjacielem — ciągnął. — Chciałbym znów mieć w rządzie jakiegoś Courteneya, kogoś bliskiego i zaufanego. Może także w randze ministra.

Podniósł się i podał jej rękę.

— Jestem równie głodny jak Shasa — powiedział, pomagając jej wstać — a zapachy, kre mnie dochodzą, są tak smakowite, że nie jestem w stanie się dłużej opierać.

Mimo to, gdy podano śniadanie, generał ledwie co skubnął. Tymczasem reszta, idąc za przykładem Shasy, rzuciła się na jedzenie z wilczym apetytem, wyostrzonym wspinaczką. Sir Garrick kroił płaty zimnego pieczystego z jagnięcia, schabu i piersi indyka, a Anna dzieliła pasztet Melton Mowbray [Pasztet z wieprzowiny z sosem anchois (od nazwy miejscowości Melton Mowbray w hrabstwie Leicestershire, skąd pochodzi).] rozdawała jajka, szynkę, porcje nóżek wieprzowych w smakowicie klarownej galarecie, a na koniec sałatkę z owoców.

— Jedno jest pewne — oświadczył z ulgą Cyril Slaine, jeden z dyrektorów zatrudnianych przez Centaine. — Z drodze powrotnej koszyk będzie znacznie lżejszy.

— A teraz — powiedział generał wstając z miejsca na brzegu maleńkiego, szemrzącego strumyka, gdzie polegiwali po sutym śniadaniu — a teraz najważniejszy punkt programu!

— Wstawać, wstawać! — Centaine pierwsza zerwała się na nogi i zakręciła jak rozbawiona dziewczynka, aż zawirowała jej sukienka. — Cyril, zostaw koszyk tutaj. Zabierzemy go w drodze powrotnej.

Ruszyli samym brzegiem szarego urwiska, mając cały świat u swych stóp, aż generał odbił nagle w lewo, w rumowisko skal porośniętych kwitnącym wrzosem i krzewami srebrnicy, płosząc cukrzyki

spiżające nektar z kwiatów. Wzbiły się w powietrze, trzepocząc długimi piórami ogona i błyskając żółtymi brzuszkami, rozsierdzone za to najście.

Tylko jeden Shasa mógł dotrzymać kroku generałowi. Kiedy reszta grupy znów ich dogoniła, stali na skraju wąskiego skalnego parowu, którego dno wyściełała jasnozielona bagienna trawa.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział generał Smuts. — Kto pierwszy znajdzie dize, wygrywa sześć pensów.

Shasa puścił się biegiem w dół stromej ściany parowu. Nim pozostali znaleźli się w połowie drogi, rozległo się jego podniecone wołanie:

— Mam, znalazłem! Wygrałem sześć pensów!

Spełzli na dno i u podnóża skalnego rumowiska, na skraju podmokłej łąki otoczyli w niemym podziwie przepiękną orchideę o łodyżce lilii.

Generał przyklęknął przed nią na jedno kolano jak przed leśnym bóstwem.

— Błękitna diza — powiedział. — Jeden z najrzadszych kwiatów na Ziemi. — Zdobiące łodyżkę kielichy były cudownie modre, miały kształt kwiatów lalemancji, a ich rozwarte gardziele wabiły najczystsą żółcią i królewską purpurą. — Rośnie tylko tu, na Górze Stołowej i nigdzie indziej w świecie. — Podniósł wzrok na Shasę.

— Czy chciałbyś w tym roku wystąpić w roli mistrza ceremonii, młodzieńcze? — spytał.

Shasa wystąpił do przodu, z ważną miną zerwał dziką orchideę i wręczył ją dziadkowi. Znalezienie kwiatu i obdarowanie nim sir Garricka stanowiło nieodłączną część dorocznych obchodów jego urodzin. Zebrani nagrodzili radosnymi brawami tradycyjną ceremonię.

Patrząc z durną na swego syna, Centaine wróciła myślą do dnia jego narodzin, dnia, w którym stary Buszmen nadał mu imię Shasa, Dobra Woda, i zatańczył dla niego w świętej dolinie daleko w głębi Kalahari. Przypomniała sobie pieśń urodzinową, którą tamten starzec skomponował i odśpiewał. W uszach rozbrzmiały jej mlaski i poświsty języka Buszmenów, który tak dobrze pamiętała, tak ukochała:

*Jego strzały sięgną gwiazd,  
A gdy kto wymówi jego imię,  
Aż tamie będzie słycać...  
I znajdzie dobrą wodę,  
Gdziekolwiek wyruszy, znajdzie dobrą wodę...*

Przed oczyma znów stanęła jej twarz dawno zmarłego starca, pokryta niewiarygodną siecią zmarszczek, a mimo to promieniująca tym cudownym morelowym blaskiem niby bursztyn czy sepiolit, i w głębi duszy szepnęła gardłowo w języku Buszmenów:

„Niechaj się spełni, stary ojczy, niechaj się spełni”.

6

W drodze powrotnej nawet w ogromnym daimlerze ledwie się pomieścili, a i tak tylko dzięki temu, że Anna usiadła na kolanach sir Garrickowi, który zupełnie zniknął pod jej obfitymi kształtami.

Kiedy Centaine ruszyła w dół krętą drogą wijącą się przez las wysokich eukaliptusów, Shasa pochylił się do przodu z siedzenia za jej plecami.

— Och, mam, chyba ciągle jedziesz na ręcznym hamulcu! — Zawołał ponaglając ją do szybszej jazdy.

Siedzący obok Centaine generał nie spuszczał wzroku z szybkościomierza.

— To niemożliwe — mruknął, zaciskając kurczowo w rękach swoją panamę. — Mnie się zdaje, że pędzimy pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Centaine ostrym skrętem wprowadziła daimlera między ozdobne białe słupy głównej bramy

majątku. Fronton bramy, dzieło słynnego rzeźbiarza, Antona Anreitha, przedstawiał tańczące nimfy z kiściami winogron w dłoniach, a płaskorzeźbę wieńczyła wypukła nazwa posiadłości i data: WELTEVREDEN 1790. W tłumaczeniu z holenderskiego znaczy to „w pełni zaspokojony”. Centaine kupiła ją od pewnej znakomitej rodziny dokładnie w rok po uzyskaniu praw do kopalni H'ani. Od tamtej pory otoczyła posiadłość troską i miłością, nie szczędząc pieniędzy na jej urządzenie i utrzymanie.

Tuż za bramą zwolniła do szybkości kroku spacerowego.

— Nie chcę zakurzyć winnicy — wyjaśniła generałowi.

Kiedy powiodła spojrzeniem po rzędach starannie przyciętej, rozpiętej na podpórkach winorośli, na jej twarzy pojawił się wyraz tak głębokiego zadowolenia, że generałowi po raz kolejny przebiegło przez myśl, jak trafnie nazwano tę posiadłość.

Kolorowi robotnicy prostowali się przy krzewach winorośli i machali im na powitanie. Shasa wychylił się przez okienko i wykrzykiwał imiona swoich ulubieńców, a oni uśmiechali się z satysfakcją na to wyróżnienie.

Obsadzona rozłożystymi dębami droga wiodła przez dwustuakrową winnicę przed zabytkowy dwór. Gazony wokół głównego budynku obsiano soczyście zieloną trawę kikuyu. Generał Smuts przywiózł jej sadzonki ze swej wschodnioafrykańskiej kampanii w roku 1917 i od tamtej pory przyjęła się bujnie w całym kraju. Pośrodku największego trawnika stała wysoka wieżyczka dzwonu niewolniczego, wciąż jeszcze używanego do obwieszczenia rozpoczęcia i zakończenia codziennych prac. Za nią wznosiły się śnieżnobiałe, zwieńczone masywnymi anreithowskimi szczytami ściany Welteyreden, a ponad nimi spadzisty dach dworu.

Jeszcze nim wysypali się z wielkiej żółtej limuzyny, z domu wybiegła krzątająca się troskliwie służba.

— Lunch o pierwszej trzydzieści — poleciała rażno Centaine. — Ou Baas, wiem, że sir Garry chce panu przeczytać najnowszy rozdział swojego dzieła. Mnie i Cyryła czeka cały ranek wyteżonej pracy... — Urwała nagle. — Shaso, a ty dokąd?

Chłopiec przesunął się niepotrzeżenie w koniec werandy i był o krok od czmychnięcia. Teraz odwrócił się i z ciężkim westchnieniem odparł:

— Chciałem z Jockiem potrenować tego nowego kuca.

Nowy kuc do gry w Polo był gwiazdkowym prezentem od Cyryła.

— Madame Claire na pewno już na ciebie czeka — zauważyła Centaine. — Przecież uzgodniliśmy, że powinieneś nieco więcej czasu poświęcić matematyce, prawda?

— Och, mam, przecież są wakacje!

— Każdego dnia, który spędzasz na próżniactwie, ktoś inny pracuje. I kiedy się spotkacie, nie da ci żadnych szans.

— Wiem, mam. — Shasa często słyszał z ust matki tę przepowiednię. Spojrzał błagalnie na dziadka.

— Och, jestem pewien, że mama zgodzi się, abyś po lekcji matematyki przeznaczył trochę czasu dla siebie — pospieszył posłusznie z odsieczą sir Garrick. — Jak to słusznie zauważyłeś, oficjalnie mamy wakacje — dodał spoglądając z nadzieją na Centaine.

— Niech i mnie wolno będzie przyłączyć się do obrony mojego młodego klienta — poparł sir Garricka generał Smuts.

— Masz tak wybitnych adwokatów, że muszę skapitulować — roześmiała się Centaine. — Ale popracujesz z madame Claire aż do drugiego śniadania.

Shasa wepchnął ręce w kieszenie i ze zwieszoną głową odszedł poszukać nauczycielki. Anna

zniknęła w głębi domu, by popędzić służbę, a sir Garrick zabrał generała Smutsa na rozmowę o swym nowym rękopisie.

— No, dobrze — powiedziała Centaine i skinęła głową na Cyryla. — Bierzmy się do roboty!

Ruszył za nią przez dwuskrzydłowe drzwi frontowe z masywnego teku, potem długim yoorkamer o posadzce z białego i czarnego marmuru, odbijającej głośno ich kroki, by wreszcie znaleźć się w gabinecie Centaine, na samym końcu korytarza.

Sekretarze już na nią czekali — obaj mężczyźni, obaj przystojni i młodzi. Centaine nie znosiła w swym otoczeniu stałej obecności kobiet. Gabinet zastawiony był wazonami kwiatów z ogrodów Weltevreden, które codziennie dostarczały świeżych bukietów. Tego dnia niebiesciły się w nich hortensje i żółciły herbaciane róże. Usiadła za długim stołem w stylu Ludwika XIV, który służył jej za biurko. Jego bogato zdobione nogi z połączanego brązu podtrzymywały blat na tyle przestronny, że mieścił wszystkie zgromadzone przez nią pamiątki.

Stało tam kilkanaście zdjęć ojca Shasy, każde w oddzielnej srebrnej ramce; od chłopca w wieku szkolnym po olśniewającego urodą młodego pilota z RFC [Royal Flying Corps, wczesniejsza nazwa RAF-u.]. Na ostatniej fotografii był w otoczeniu pilotów swej eskadry przed jednoosobowym samolotem zwiadowczym, którym latał. Z rękami w kieszeniach, czapką zsuniętą w tył głowy Michael Courteney śmiał się do niej, wciąż jeszcze równie pewien swej nieśmiertelności jak tamtego dnia, gdy spłonął w szczątkach rozbitej maszyny. Siadając w głębokim skórzanym fotelu, Centaine musnęła ręką tę fotografię, przesuwając ją odrobinę w bok. Służąca nigdy nie potrafiła ustawić jej jak należy.

— Przeczytałam kontrakt — powiedziała, kiedy Cyryl zajął krzesło na wprost niej. — Mam zastrzeżenia tylko do dwóch punktów. Pierwszy z nich to punkt dwudziesty szósty.

Cyryl posłusznie przerzucił kartki umowy, obaj sekretarze zajęli czujnie miejsca po obu stronach fotela Centaine i wszyscy przystąpili do codziennej pracy.

Centaine zawsze w pierwszej kolejności zajmowała się sprawami H'ani. Kopalnia była najważniejsza, była źródłem, z którego wszystko wzięło swój początek. Nagle poczuła, że serce wyrywa jej się do bezkresu Kalahari, do tych tajemniczych błękitnych wzgórz i dolin, które przez miliony lat kryły swe skarby, aż natknęła się na nie, odziana w skóry i postrzępione resztki ubrania, obrzmiała od dziecka spoczywającego w jej łonie, sama podobna do dzikiego pustynnego zwierzątka.

Ta pustynia skradła jej część duszy. Czuła, jak wzbiera w niej fala radosnego oczekiwania. „Jutro — pomyślała. — Jutro tam wracam. Z Shasą.” Bujne winnice doliny Constantii i wypełnione pięknymi przedmiotami dwór Welteyreden miały także należne miejsce w jej sercu, lecz kiedy doznawała uczucia przesytu, musiała wracać na Kalahari, by oślepiająco białe pustynne słońce wypaliło do czysta i rozjaśniło jej duszę. Podpisała ostatni dokument, podała go starszemu z sekretarzy, by go poświadczył i opieczetował, po czym wstała i podeszła do otwartych francuskich drzwi prowadzących na werandę. Na padoku za dawnymi kwaterami niewolniczymi, zwolniony już po swej lekcji matematyki, pod czujnym okiem Jocka Murphy’ego Shasa trenował kuca.

Był to duży koń — Międzynarodowe Stowarzyszenie Polo złągodziło ostatnio ograniczenia wielkości zwierząt — i dobrze chodził. Shasa zawrócił zgrabnie przy końcu wybiegu i popędził z powrotem pełnym galopem. Jock rzucił mu z boku piłkę, chłopiec wychylił się głęboko, by odbić ją z bekhendu. Jak na swój wiek siedział w siodle bardzo pewnie i miał mocne uderzenie. Zatoczył młotkiem piękny, pełny łuk. Suchy odgłos trafienia dotarł aż do miejsca, gdzie stała Centaine. Piłka wykonana z korzenia bambusa mignęła biało w promieniach słońca.

Shasa osadził konia w miejscu i zawrócił. Jock Murphy rzucił mu następną piłkę, tym razem na wyciągnięty forhend. Chłopiec nie trafił jej dokładnie w środek. Uderzona w górną część poturlała

się niemrawo w bok.

— Wstyd, paniczu! — zawołał Jock. — Znów panicz młóci jak cepem! Obuch musi ją trafić w sam środek!

Jock Murphy, przysadzisty, muskularny mężczyzna o krótkiej szyi i kompletnie łysej głowie, był jednym z odkryć Centaine. Imał się już dosłownie wszystkiego: służył w Królewskiej Piechocie Morskiej, był zawodowym bokserem, przemytnikiem opium, dowódcą gwardii przybocznej hinduskiego maharadży, trenerem koni wyścigowych, wykidajłą w kasynie w Mayfair, a teraz został instruktorem wychowania fizycznego Shasy. Był mistrzem w strzelaniu z karabinu, dubeltówki i pistoletu, znakomicie grał w polo, równie dobrze w bilard.

Zabił człowieka na ringu, brał udział w Grand National [Wyścigi konne z przeszkodami, rozgrywane co roku w torze w Aintree koło Liverpoolu na dystansie 4,5 miii (7,2 krn).] i traktował Shasę jak wiasnego syna.

Mniej więcej raz na trzy miesiące upijał się na umór i wtedy zmieniał się we wcielonego diabła. Centaine posyłała wówczas kogoś do komisariatu, żeby uregulował należność za zniszczenia i wpłacił kaucję za Jocka. Następnego dnia Murphy stawał przed jej biurkiem z dżokejską czapką przyciśniętą do piersi, skacowany i roztrzęsiony, i łysiną lśniąca ze wstydu, i kajał się pokornie jak uczeń.

— To już się nie powtórzy, psze pani. Sam nie wiem, co mnie napadło. Niech mi pani da jeszcze jedną szansę. Nigdy pani nie zawiodę.

„Jak to dobrze znać czyjeś słabostki — pomyślała z uśmiechem Centaine — wiedzieć na jakiej smyczy go trzymać i jaką ostrogą spiąć do działania.”

7

W Windhoek nie było dla nich pracy. Kiedy dotarli tam z wybrzeża, wlokąc się na piechotę, wyblagując podwiezienie ciężarówkami i wozami, musieli zatrzymać się w obozowisku bezdomnych przy torach kolejowych na granicy miasta.

Na mocy milczącego porozumienia miejscowa policja tolerowała obecność w tym miejscu około setki rodzin życiowych rozbitków, bezrobotnych oraz zwykłych włóczęgów, ale ani na chwilę nie spuszczała ich z oka. Przed budami mieszkalnymi ze smołowanego papieru i zardzewiałej blachy siedziały w kucki grupki przygnębionych mężczyzn i kobiet. Tylko dzieci, wychudłe, umorusane i spalone słońcem zachowywały się beztrosko i hałaśliwie, zupełnie jakby na przekór dorosłym. Cały obóz przepęniał zapach dymu z ognisk i smród z płytkich dołów kloacnych.

Na tablicy zwróconej w stronę torów ktoś napisał niewprawną ręką: „Vaal Harts? Do diabła, za nic!” Każdy, kto złożył podanie o zasiłek dla bezrobotnych, był natychmiast kierowany przez rządowe biuro robót publicznych do pracy przy budowie ogromnego systemu kanałów nawadniających w dolinach rzek Vaal i Harts za dwa szylingi dziennie. Pogłoski o warunkach panujących w tamtejszych obozach pracy krążyły po całym kraju. Kiedy w Transwalu policja próbowała siłą wywieźć ludzi na miejsce budowy, odpowiedzią był wybuch krwawych zamieszek.

Wszystkie lepsze miejsca w obozowisku były już zajęte, toteż rozłożyli się pod małym krzakiem bożodajni, rozwiesiwszy na jego gałęziach kawałki smołowanego papieru, by dawały choć trochę cienia. Swart Hendrick przykucnął przy ognisku i powoli wsypywał garście kukurydzianej mąki do czarnego od sadzy kociołka wrzátka. Podniósł wzrok na Lothara, który wrócił właśnie z kolejnych daremnych poszukiwań pracy w mieście. Kiedy Lothar pokręcił przecząco głową, Hendrick znów skupił się na gotowaniu.

— Gdzie Manfred?

Hendrick wskazał brodą pobliską budę. Siedziało przed nią ciasnym kręgiem kilkunastu

obdartych mężczyzn, zasłuchanych w słowa perorującego pośrodku kola wysokiego brodacza. Na twarzy przemawiającego malował się wyraz gorączkowego podniecenia, w jego czarnych oczach płonął fanatyczny ogień.

— Mai Willem — mruknął Hendrick. — Stuknięty Willem.

Lothar chrząknął potwierdzająco, szukając wzrokiem syna. Dostrzegłszy jego jasną, lśniąca głowę w grupie słuchaczy Willema, uspokoił się, wyjął z kieszeni na piersi fajkę, przedmuchał ją i nabił podłą machorką. Fajka cuchnęła, czarny tytoń był smrodliwy i piekielnie mocny, ale za to tani. Kiedy zapalał fajkę drewnikiem z ogniska, poczuł nieprzepartą ochotę na swoje ulubione cygaro. To świństwo było obrzydliwe. Szybko jednak poczuł kojące działanie fajki, rzucił woreczek z tytoniem Hendrickowi i oparł się plecami o pień drzewa.

— A ty? Czegoś się dowiedział?

Hendrick spędził większą część nocy i ranka w wiosce kolorowych po przeciwnej stronie Windhoek. Kiedy chcesz poznać czyjeś sekrety, pytaj służących, którzy usługują mu do stołu i ścielą łóżko.

— Że nigdzie nie napijesz się na kredyt — odparł szczerząc zęby w uśmiechu — i że pokojówki z Windhoek nie robią tego dla samej przyjemności.

Lothar splunął tytoniową smólką z fajki i zerknął przed sąsiednią budę na swego syna. Niepokoiło go trochę, że Manfred unika obozowych urwisów, swoich rówieśników, i przesiaduje z dorosłymi. Wyglądało jednak na to, że został zaakceptowany.

— Co jeszcze? — spytał Hendricka.

— Facet nazywa się Fourie. Pracuje w kopalni od dziesięciu lat. Przyjeżdża co tydzień z czterema, pięcioma ciężarówkami, a w drodze powrotnej zabiera zaopatrzenie.

Na długą minutę Hendrick skupił się na mieszaniu mamałygi i utrzymywaniu odpowiedniego ognia.

— Mów dalej.

— Poza tym w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca przyjeżdża jedną małą ciężarówką, czterech facetów z tyłu, wszyscy uzbrojeni w dubeltówki i pistolety. Jadą prosto do Standard Bank przy Main Street. Dyrektor banku wychodzi przed bocziie wejście z kilkoma pracownikami. Fourie i jeden z jego ludzi wnoszą do środka małą żelazną skrzynkę. Potem Fourie i jego obstawa idą do baru na rogu i piją do zamknięcia. A rano wracają do kopalni.

— Raz w miesiącu — szepnął Lothar. — Przywożą jednym transportem całomiesięczną produkcję. — Podniósł wzrok na Hendricka. — Mówisz, w barze na rogu? — Murzyn skinął potwierdzająco głową. — Będę potrzebował co najmniej dziesięciu szylingów.

— A to na co? — spytał Hendrick, natychmiast podejrzliwy.

— Jeden z nas musi postawić barmanowi drinka, a w barze na rogu nie obsługują czarnych — odparł ze złośliwym uśmiechem Lothar i podnosząc głos zawołał: — Manfred!

Chłopiec z taką fascynacją słuchał słów Willema, że nie zauważył powrotu ojca. Teraz wstał z ziemi z miną winowajcy.

Hendrick pacnął porcję puszystej białej mamałygi na pokrywkę kociołka, polał ją maas, gęstym zsiadłym mlekiem, i podał Manfredowi, który usiadł po turecku obok ojca.

— Czy wiedziałeś, tato, że to wszystko spisek Żydów z Johannesburga, właścicieli kopalń złota? — spytał Manfred, patrząc na Lothara rozpalonym wzrokiem neofity.

— To znaczy co?

— Kryzys gospodarczy. — Wymówił te słowa ważnym tonem, gdyż właśnie się ich nauczył. — Żydzi i Anglicy specjalnie go zrobili, żeby mieć za darmo robotników do wszystkich swoich kopalń i

fabryk.

— Co ty powiesz? — uśmiechnął się Lothar, zajadając mamałygę ze zsiadłym mlekiem. — A czy suszę także zrobili Żydzi do spółki z Anglikami?

Jego nienawiść do Anglików nie przekraczała granic rozsądku, choć nie mogłaby być silniejsza, nawet gdyby to rzeczywiście oni sprowadzili tę suszę, która tyle burskich pól obróciła w spalony ugór pozbawiany przez wiatr całej żywej warstwy gleby, a żywy inwentarz zmieniła w wysuszone mumie zabalsamowane we własnych stwardniałych na łyko skórach.

— Kiedy tak jest naprawdę, tato! — zawołał Manfred. — Oom Willem wszystko nam objaśnił! — Wyciągnął w tylnej kieszeni zrolowaną stronę gazety i rozwinął ją na kolanach. — Sam zobacz! Gazeta nosiła tytuł „Die Vaderland”, „Ojczyzna” i wydawana była w afrikaans Rysunek, który jego syn pokazywał trzęsącym się z oburzenia palcem, był typową karykaturą w stylu: „Patrzcie, co nam robią Żydzi”.

Główną postacią karykatury był „Hoggenheimer”, jeden z osobników wykreowanych przez „Die Vaderland”, przedstawiany jako potężny tłuścioch w surducie i kamaszach z getrami, z ogromnym migocącym diamentem w krawacie i brylantowymi sygnetami na palcach obu rąk, w cylindrze nasadzonym na ciemne, semickie loki, z obwisłą, mięsistą dolną wargą i wielkim zakrzywionym nosem, którego czubek sięgał niemal brody. Kieszenie miał wypchane pięćofuntowymi banknotami i wywijając długim batem, poganiał wozy w stronę odległych stalowych wież szybowych opatrzonych napisem „Kopalnia złota”. Do wozów zaprzężone były nie woly, tylko ludzie, rzędy kobiet i mężczyzn, ludzkich szkieletów o ogromnych udręczonych oczach, gnanych bykowcem Hoggenheimera. Kobiety miały na głowach tradycyjne burskie czepki, a mężczyźni kapelusze z zagiętym rondem i żeby już nie było żadnej wątpliwości, artysta dał podpis: „Die Afrikaner Volk” — „Afrykanerzy”. Karykatura nosiła tytuł „Nowy Wielki Trek”.

Lothar zachichotał i oddał gazetkę synowi. Znał bardzo niewiele Żydów i żaden z nich ani trochę nie przypominał Hoggenheimera.

W większości byli to zwykli, przeciętni ludzie, zapracowani jak wszyscy, a teraz także jak wszyscy biedni i głodni.

— Gdyby to było takie proste... — potrząsnął głową.

— Ale to jest proste, tato! Wystarczy tylko pozbyć się Żydów! Oom Willem wszystko nam wyjaśnił!

Lothar miał właśnie odpowiedzieć, gdy nagle zauważył, że zapach jedzenia przyciągnął troje obozowych dzieci. Stały w odpowiedniej odległości, jak nakazywało dobre wychowanie, i wodziły wzrokiem za każdą łyżką, którą podnosił do ust. Karykatura straciła jakiekolwiek znaczenie.

Najstarsza dziewczynka wyglądała na jakieś dwanaście lat. Miała jasne włosy zaplecione w długie warkocze, spłowiełe od słońca na srebro i delikatne jak trawa na Kalahari zimą. Była tak chuda, że jej twarz wydawała się składać tylko z opiętych skórą wystających kości policzkowych, wysokiego, prostego czoła i oczu. Oczu barwy bladego pustynnego nieba. Jej sukienkę stanowiły cztery zszyte stare worki po mące, nogi miała bose.

Tej sukienki czepiało się dwoje mniejszych dzieci. Chłopczyk miał ogoloną głowę i wielkie odstające uszy. Chude nóżki sterczały mu z oliwkowych szortów jak patyczki. Najmniejsza dziewczynka, zupełnie zasmarkana, jedną ręką trzymała się kurczowo spódnicy siostry, a kciuk drugiej wepchnęła sobie do ust i cały czas go ssała.

Lothar odwrócił wzrok, ale nagle jedzenie utraciło cały smak, zaczęło z trudem przechodzić mu przez gardło. Zauważył, że Hendrick także stara się me patrzeć w stronę dzieci. Manfred, wciąż całkowicie zaprzątnięty gazetą, jeszcze ich nie zauważył.



— Jeśli je nakarmimy, zwali nam się na kark dzieciarnia z całego obozu — mruknął Lothar, postanawiając w duchu nigdy więcej nie jeść na oczach innych.

— Zostało tylko tyle, że ledwie nam samym starczy na wieczór — poparł go Hendrick. — Nie możemy się z nikim dzielić.

Lothar podniósł łyżkę do ust, ale ręka zawisła mu w pół drogi. Opuścił ją powoli, popatrzył w swój cynowy talerz i skinieniem przywołał najstarszą dziewczynkę.

Podeszła nieśmiało.

— Bierz — poleciał szorstko Lothar.

— Dziękuję, wujku — szepnęła. — Dankie, Oo,n.

Zakryła talerz rąbkiem spódnicy, chowając go przed oczami innych, i pociągnęła za sobą oboje maluchów. Zniknęli między budami.

Wróciła po godzinie. Talerz i łyżka były wyszorowane do połysku.

— Czy Oom ma coś do prania? — spytała. — Koszulę, wszystko jedno co... Ja upiorę.

Lothar otworzył plecak i podał jej brudne rzeczy swoje i Manfreda. Przyniosła je z powrotem o zachodzie słońca, pachnące mydłem karbolowym i równiutko złożone.

— Przepraszam, Oom, ale nie miałam żelazka.

— Jak ci na imię? — spytał nagle Manfred.

Obejrzała się na niego, splonęła rumieńcem i wbiła wzrok w ziemię.

— Sarah — szepnęła.

— Daj mi te dziesięć szylingów — zażądał Lothar, zapiąwszy czystą koszulę.

— Gdyby ktoś się dowiedział, że mam tyle forsy, poderznąliby nam gardła — odparł gderliwie Hendrick.

— Marnujesz mój czas.

— To jedyne, czego mamy aż za dużo.

Kiedy Lothar pchnął wahadłowe drzwi, w całym narożnym barze było tylko trzech ludzi, wliczając w to barmana.

— Spokojnie dzisiaj — zagadał zamawiając piwo. Barman, szary człowieczek o mysich rzednących włosach potwierdził mezechęcającym mruknięciem.

— Niech pan się czegoś napije, ja stawiam — zaproponował Lothar i wyraz twarzy barmana natychmiast uległ zmianie.

— Dziękuję, wezmę sobie dzin — odparł skwapliwie i poprawiając na nosie stalowe okulary sięgnął pod ladę po schowaną tam na takie okazje butelkę. Obaj wiedzieli, że jej bezbarwna zawartość to woda, a srebrny szyling powędruje prosto do kieszeni barmana.

— Zdrowie! — Wypił i pochylił się nad ladą. Szyling i perspektywa następnego uczyniły go znacznie bardziej przystępnym.

Pogawędzili chwilę o wszystkim i o niczym, zgodzili się, że czasy są ciężkie, a idą jeszcze cięższe, i że wszystkiemu winien jest rząd.

— Od dawna pan w mieście? Chyba jeszcze pana nie widziałem.

— Dopiero jeden dzień, o jeden za długo — uśmiechnął się Lothar.

— Szczerze mówiąc, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska — ciągnął barman, a usłyszawszy je, po raz pierwszy okazał prawdziwe zainteresowanie.

— Hej! — zawołał w drugi koniec barn do reszty swych klientów. — Wiecie, kto to jest? Lothar De La Rey! Pamiętacie te listy gończe z nagrodą z czasów wojny? To ten facet, co tak załazł za skórę rooinekke.— „Czerwone karki” było pogardliwym określeniem nowo przybyłych Anglików, którzy na odsłoniętej części szyi dostawali poparzeń od słońca. — Słuchajcie, to on wysadził w powietrze

tamten pociąg koło Gemsbokfontein!

Entuzjazm pozostałych był tak wielki, że jeden z nich zdobył się na wielkopański gest i postawił piwo, choć roztropnie powściągnął swą hojność i objął nią tylko Lothara.

— Szukam pracy — zwierzył im się Lothar, kiedy już zawarli dozgonną przyjaźń. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Słyszałem, że w H'ani dają robotę.

— Gdyby tak było, musiałbym o tym coś wiedzieć — zapewnił go barman. — Co tydzień wpadają tutaj kierowcy z kopalni.

— Szepniesz im za mną słówko? — spytał Lothar.

— Mam lepszy pomysł. Przyjdź w poniedziałek, to poznam cię z Gerhardem Fourie, szefem transportu. To mój bliski kumpel. Będzie wiedział, jak wygląda sytuacja w kopalni.

Nim nastąpiła pora zamykania, Lothara uznano za swego i przyjęto do zamkniętego grona stałych bywalców baru na rogu. Kiedy zjawił się tam ponownie cztery dni później, barman powitał go już jak starego znajomego.

— Fourie to tamten — pokazał Lotharowi. — Ten przy końcu baru. Zaraz cię przedstawię, tylko obsłużę tych facetów.

Tego wieczoru ruch był znacznie większy, toteż Lothar miał dość czasu, żeby przyjrzeć się kierowcy. Był to potężnie zbudowany mężczyzna w średnim wieku, z wielkim brzuchem obwisłym od codziennego wielogodzinnego siedzenia za kierownicą. Mocno jużłysiał, ale zapuścił włosy nad prawym uchem, zaczesywał je na wysokie czoło i przyklejał na brylantynę. Zachowywał się rubasznie i hałaśliwie. Zarówno on jak i jego koledzy mieli zadowolone miny ludzi, którzy właśnie wykonali trudne zadanie. Nie wyglądał na człowieka dającego się łatwo wystraszyć czy zastraszyć, ale Lothar nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji, jak do niego podejść.

Barman przywołał go skinieniem głowy.

— Poznaj mojego dobrego przyjaciela.

Podali sobie ręce. Kierowca chciał zmienić uścisk dłoni w próbę sił, ale Lothar to przewidział i ujął go za same palce. W ten sposób Fourie nie mógł użyć całej swej siły. Przetrzymany się wzrokiem, aż kierowca zamrugał i spróbował uwolnić dłoń. Lothar od razu ją puścił.

— Napijmy się — zaproponował. — Ja stawiam.

Kamień spadł mu z serca. Facet wcale nie był takim twardzielem, na jakiego pozował. Kiedy barman go przedstawił i mocno przesadzając opowiedział o kilku jego wojennych wyczynach, Fourie zaczął się niemal łasić.

— Słuchaj, stary. — Odiągnął Lothara na bok i zniżył głos. — Erik mi mówił, że szukasz pracy i chciałeś się załapać w H'ani. Powiem ci prosto z mostu: możesz od razu wybić to sobie z głowy. Nic z tego nie będzie, to więcej niż pewne. Od ponad roku nie przyjęli nikogo nowego.

— Wiem — skinął ponuro głową Lothar. — Od czasu, kiedy rozmawiałem z Erykiem o robocie, zdążyłem się dowiedzieć, jak naprawdę stoją sprawy w H'ani. To będzie dla was straszne.

Kierowca popatrzył na niego zaniepokojony.

— O czym ty, stary, mówisz? Co będzie takie straszne?

— Jak to? To wy nic nie wiecie? — Na twarzy Lothara pojawił się wyraz zdumienia. — W sierpniu zamykają kopalnię. Na glucho. Zwalniają całą załogę.

— Jezus Maria, nie! — W oczach Fouriego pojawił się blady strach. — To nieprawda, to niemożliwe... — Facet był tchórzem i naiwniakiem, łatwo mu było zaimponować, a jeszcze łatwiej namieszać we łbie. Lothar poczuł ponurą satysfakcję.

— Bardzo mi przykro, ale chyba lepiej znać prawdę, nie?

— Skąd o tym wiesz? — Fourie był przerażony. Co tydzień przejeżdżał koło obozu włóczęgów za torami. Wibliał te zastępy bezrobotnych.

— Spotykam się z jedną kobitką, co pracuje u Abrahama Abrahamsa. — Był to prawnik prowadzący wszystkie sprawy kopalni H'ani w Windhoek. — Widziała listy z Cape Town, od pani Courteney. Nie ma żadnej wątpliwości. Kopalnia zostanie zamknięta. Nie mają zbytu na diamenty. Nigdzie me mogą ich sprzedać, nawet w Londynie ani w Nowym Jorku.

— O mój Boże, mój Boże! — szepnął Fourie. — I co my teraz zrobimy? Mam szóstkę dzieciaków, a moja żona ciągle niedomaga. Jezu Chryste, dzieciaki będą głodować!

— Och, ktoś taki jak ty na pewno da sobie radę. Założę się, że uciulałeś ładnych parę setek funtów na czarną godzinę. Jakoś z tego wybrniesz.

Fourie potrząsnął przecząco głową.

— Jeśli nie masz żadnych zaskórniaków, to lepiej odłóż do sierpnia parę funtów. Nim cię wyleją.

— A jak to zrobić? — zapytał z rozpaczą Fourie. — Jak tu coś odłożyć, kiedy ma się żonę i szóstkę dzieci?

— Coś ci powiem... — Lothar ujął go pod ramię gestem zatroskanego przyjaciela. — Chodźmy stąd. Wezmę jakąś butelczynę i siądziemy gdzieś, gdzie można swobodnie porozmawiać.

Kiedy następnego ranka Lothar wrócił do obozu, słońce stało już wysoko. Przy butelce brandy przegadał z Fouriem całą noc. Propozycja Lothara wyraźnie intrygowała i kusiła kierowcę, ale jednocześnie bał się ją przyjąć. Nie przestawał się wahać.

Lothar musiał bez końca mu wszystko tłumaczyć, punkt po punkcie przekonywać do swego planu, a zwłaszcza wciąż od nowa zapewniać, że nie wiąże się on dla niego z żadnym ryzykiem.

— Nikt nie będzie w stanie wskazać palcem na ciebie. Daję ci na to przenajświętsze słowo honoru. Będiesz czysty, nawet gdyby nam się nie udało. A to przecież po prostu nie może się nie udać.

Wyczerpany wielokrotnym użyciem wszelkich możliwych argumentów, Lothar powłókł się do obozu i zwałił na ziemię obok Hendricka.

— Jest kawa? — spytał, czując w ustach smak odbijającej mu się brandy.

— Wyszła — potrząsnął głową Hendrick.

— Gdzie Manfred?

Hendrick wskazał brodą. Manfred siedział obok małej Sarah pod krzakiem bożodajni po przeciwnej stronie obozowiska. Zaprzętnięci bez reszty czytaniem gazety, niemal stykali się jasnowłosymi głowami. Manfred pisał coś na marginesie zwęglonym drewnianym z ogniska.

— Uczy ją czytać i pisać — wyjaśnił Hendrick.

Lothar chrząknął i przetarł pięściami przekrwione oczy. Głowa bolała go od brandy.

— No, dobra — mruknął. — Facet urobiony.

— Oho! — Hendrick wyszczerzył zęby w uśmiechu. — To pora zakrzętać się koło koni.

8

Salonka ta należała kiedyś do Cecila Rhodesa i De Beers Diamond Company. Centaine Courteney kupiła ją za znikomą część ceny, którą przyszłoby jej zapłacić za nowy pojazd, co sprawiło jej sporą satysfakcję. Pozostała Francuzką, знаła różnicę wartości sou i franka. Sprowadziła z Paryża młodego dekoratora wewnątrz, by urządził salonkę w tak modnym stylu art deco. Dekorator okazał się wart każdego pensa swego honorarium.

Rozejrzała się po salonie, powiodła wzrokiem po uporządkowanych liniach mebli, nagich nimfach podtrzymujących kapryśnie kinkiety z brązu i rysunkach Aubreya Beardsleya wprawionych po mistrzowsku w akacjową boazerię. Przypomniała sobie dekoratora i pierwsze wrażenie, jakie na

niej wywarł: na widok jego długich, rozwianych loków, ciemnych oczu dekadenta i rysów twarzy pięknego, znudzonego, cynicznego fauna uznała go za homoseksualistę. Jak bardzo się myliła, przekonała się już wkrótce na okrągłym łożu, które umieścił w głównej sypialni salonki. Na wspomnienie tego uśmiechnęła się z przyjemnością, lecz natychmiast powściągnęła uśmiech, widząc, że Shasa uważnie jej się przygląda.

— Wiesz, mam, czasami mam wrażenie, że widzę o czym myślisz. Czytam to w twoich oczach. — Coraz częściej zdarzały mu się takie wprawiające w zakłopotanie uwagi. Dałaby sobie głowę uciąć, że w ciągu ostatniego tygodnia znów urósł co najmniej o centymetr.

— Tego tylko brakowało! — Wzdrygnęła się. — Zimno tutaj — Dekorator wyposażył salonkę, za niesłychane pieniądze, w urządzenie do chłodzenia powietrza. — Wyłącz tę maszynę, cheri.

Wstała zza biurka i przez drzwi z mlecznego szkła wyszła na balkonik wagonu. Owionął ją żar pustyni, rozpalone powietrze okleiło jej sukienkę wokół szczupłych, chłopięcych bioder. Wystawiła twarz do słońca, pozwalając, by wiatr targał jej krótko obcięte, falujące włosy.

— Która godzina? — spytała, nie otwierając oczu. Shasa wyszedł za nią na balkonik, oparł się o balustradę i spojrzał na zegarek.

— Jeśli jedziemy zgodnie z rozkładem, za dziesięć minut powinniśmy przekroczyć Oranje.

— Nigdy nie czuję się jak w domu, dopóki nie znajdę się po tamtej stronie Oranje. — Centaine podeszła do barierki, oparła się obok syna i wsunęła mu rękę pod ramię.

Rzeka Oranje odprowadza wody zachodniego wododziału południowej części kontynentu afrykańskiego. Bierze swój początek w wysokich ośnieżonych górach Basutolandu, po czym spływa w dół przez trawiasty yeld i dzikie, niedostępne wąwozy, by po dwóch tysiącach i dwustu pięćdziesięciu kilometrach ujść do oceanu. W zależności od pory roku bywa czystym, ledwie sączącym się strumieniem, lub rwącą ogromną rzeką, toczącą z hukiem swe brunatne wody i niosącą tak wiele żyznego, czekoladowego namułu, że nazywano ją Nilem południa. To właśnie środkiem jej nurtu biegła granica między Przylądkiem Dobrej Nadziei a była niemiecką kolonią, Afryką Południowo-Zachodnią.

Rozległ się gwizd parowozu, zgrzyt hamulców i szcęk buforów.

— Zwalniamy przed mostem. — Shasa wychylił się przez barierkę, a Centaine zagryzła wargi, by powstrzymać się od udzielenia ostrzeżenia, które cisnęło jej się na usta. „Niech mi pani wybaczy, ale nie może mu pani niańkować w nieskończoność — zwrócił jej uwagę Jock Murphy. — Wyrósł już na mężczyznę, a mężczyzna musi podejmować ryzyko i sam ponosić tego konsekwencje.”

Tory zataczały w tym miejscu łuk w stronę rzeki, i kiedy pociąg zaczął skręcać, z balkoniku salonki mogli zobaczyć daimlera jadącego na platformie za lokomotywą. Samochód był nowy, Centaine wymieniała je co roku — ale jak wszystkie żółty, z czarną maską i czarno oblamowanymi drzwiczkami. Podróż koleją do Windhoek oszczędzała im uciążliwej jazdy przez pustynię, ale tam tory się kończyły. Kopalnia nie miała własnej bocznicy.

— Jest! — zawołał Shasa. — Jest most!

Stalowa konstrukcja wydawała się zwiewna i niematerialna, biegła lekko ponad szerokim na kilometr korytem rzeki, sadząc długimi susami z jednego filaru na drugi. Kiedy wjechali na pierwsze przesło, miarowy stukot kół na złączach szyn zmienił rytm, a stalowe dźwigary w dole rozdzwoniły się do wtóru niczym orkiestra.

— Rzeka diamentów — szepnęła Centaine, patrząc w dół, w kawowobrazowe wiry kłębiące się wokół betonowych podpór mostu.

— Skąd się te diamenty biorą? — spytał Shasa. Rzecz jasna, doskonale wiedział, ale lubił słuchać, jak matka o tym opowiada.

— Rzeka wypłukuje je ze wszystkich żył, nisz i zagłębień, na które natrafia po drodze. Zbiera kamienie wyrzucone w powietrze wybuchami wulkanów w początkach istnienia kontynentu. Gromadzi je od setek milionów lat i niesie w stronę wybrzeża. — Zerknęła na niego z ukosa. — A dlaczego nie ulegają przy tym zniszczeniu, tak jak inne kamienie?

— Bo diament jest najtwardszą substancją występującą w przyrodzie — odparł szybko. — Nic go nie może zetrzeć ani zadrapać.

— Najtwardszą i najpiękniejszą. — Podniosła prawą dłoń i poruszyła nią przed jego oczami, aż wielki owalny brylant na jej wskazującym palcu roziskrzył się oślepiająco. — Ty też je pokochasz. Każdy, kto ma z nimi do czynienia, zakochuje się w nich na śmierć.

— Rzeka — upomniał ją. Ubóstwiał słuchać jej głosu. Ten ledwie uchwytny ślad obcego akcentu zawsze go intrygował. — Opowiedz o rzece — zażądał i chłonał chciwie jej dalsze słowa.

— W miejscu ujścia do morza rzeka wyrzuca diamenty na plaże. Te plaże są tak w nie zasobne, że stały się terenem zakazanym — Spieregebied.

— Czy diamenty leżą tam jak opadłe owoce w sadzie, można sobie nimi napchać kieszenie?

— To nie takie proste — roześmiała się. — Można szukać dwadzieścia lat i nie znaleźć nawet jednego kamienia, ale jeśli się wie gdzie patrzeć, ma się choćby najprymitywniejszy sprzęt i sporo szczęścia...

— Dlaczego nie możemy się tam wyprawić, mamó?

— Dlatego, mon cheri, że cały ten obszar został już zajęty. Należy do pewnego człowieka, niejakiego Oppenheimera, sir Ernesta Oppenheimera, i jego firmy De Beers.

— Wszystko do jednej firmy, to niesprawiedliwe! — zaprotestował, a Centaine z zachwytem po raz pierwszy dostrzegła w oczach syna żądzę posiadania. Bez zdrowej miarki chciwości nie byłby w stanie zrealizować planów, które tak starannie dla niego obmyślała. Musiała wpoić mu zachłanność, zachłanność na pieniądze i władzę.

— Ten człowiek posiada koncesje wydobywcze na terenach nad rzeką Oranje, jest właścicielem Kimberley, Wesselton i Bultfontein oraz wszystkich pozostałych wielkich kopalni. Ale co ważniejsze, znacznie ważniejsze, kontroluje cały obrót kamieniami, nawet tymi wydobywanymi przez nas, tych kilku niezależnych...

— On kontroluje nas? Kontroluje H'ani? — zawołał Shasa z wypiekami oburzenia na gładkich policzkach.

Centaine skinęła głową.

— Wszystkie nasze diamenty musimy zgłaszać do jego Centralnej Organizacji Sprzedaży i to on wyznacza na nie cenę.

— A my musimy ją przyjąć?

— Nie, nie musimy, ale postąpilibyśmy bardzo niemądrze, gdybyśmy tego nie zrobili.

— A co by nam mógł zrobić?

— Shasa, już tyle razy ci mówiłam. Nie walcz z silniejszym od siebie. Niewielu jest silniejszych od nas, w każdym razie tu, w Afryce, ale sir Ernest bez wątpienia do nich należy.

— Co by nam mógł zrobić? — nie ustępował Shasa.

— Połknąć nas jak pies muchę, kochanie, i mało co sprawiłoby mu większą przyjemność. Z roku na rok stajemy się bogatsi i stanowimy coraz bardziej łakomy kąsek. To jedyny człowiek na świecie, którego powinniśmy się bać, zwłaszcza, gdybyśmy nieopatrznie zbliżyli się do tej jego Oranje. — Szerokim gestem wskazała płynącą w dole rzekę.

Choć holenderscy odkrywcy nazwali ją Oranje na cześć Domu Orańskiego, książęcej dynastii, z której wywodzili się stadhoudery Niderlandów, można by z powodzeniem uznać, że zainspirował ich niezwykle, pomarańczowy kolor piaszczystych brzegów rzeki [Po angielsku rzeka ta nazywa się Orange River, a „orange” znaczy przede wszystkim „pomarańczowy”.] Obsiadające je barwnie upierzone wodne ptaki wyglądały jak drogie kamienie oprawione w dwudziestoczerokaratowe złoto.

— Czy to znaczy, że on jest właścicielem całej rzeki? — spytał Shasa, zaskoczony i zdumiony.

— Z prawnego punktu widzenia nie. Ale każdy, kto się do niej zbliża, robi to na własne ryzyko, bo sir Ernest strzeże jej i ukrytych w niej diamentów jak żrenicy oka.

— To tu jest ich aż tyle?

Shasa szybko potoczył wzrokiem po brzegach, jakby spodziewał się ujrzeć kamienie skrzące się uwodzicielsko w słońcu.

— Doktor Twentymann-Jones i ja jesteśmy o tym przekonani. Wyodrębniliśmy kilka niezwykle interesujących obszarów. Trzysta kilometrów w górę stąd jest wodospad, zwany przez Buszmenów Miejscem Wielkiego Hałasu, Aughrabies. Rzeka przeciska się tam wąską skalną rynną i spada w głęboki, niedostępny wąwóz w dole. Ten wąwóz powinien być istnym skarbcem uwieczonych diamentów. Poza tym jest jeszcze kilka innych starych złóż aluwialnych w dawnych korytach rzeki.

Zostawili za sobą rzekę i wąski pas obrzeżającej ją zieleni, parowóz ponownie przyspieszył i skierował się na północ, w głąb pustyni. - Centaine podjęła wyjaśnienia, bacznie obserwując twarz syna. Nigdy nie ciągnęła swych wykładów aż do punktu znudzenia; na pierwszą oznakę braku uwagi z jego strony przerywała. Nie musiała się z niczym spieszyć. Na jego wykształcenie miała jeszcze całe mnóstwo czasu. Najważniejsze było to, żeby go nigdy nie zmęczyć, nie nadwerężyć nie w pełni dojrzałych jeszcze sił i nie całkiem jeszcze wykształconej zdolności koncentracji. Wiedziała, że musi zachować nietknięty cały jego entuzjazm, że nie wolno jej go forsować. Tym razem zainteresowanie Shasy trwało dłużej niż zwykle. Wyczuła, że ma okazję posunąć się o krok dalej.

— W salonie musiało się już nagrzać. Chodźmy do środka. — Poprowadziła go do swego biurka i otworzyła poufny wyciąg z rocznego raportu finansowego Courteney Mining and Finance Company. — Chcę ci coś pokazać.

Sprawa mogła się okazać trudna. Nawet ją samą papierkowa robota śmiertelnie nudziła. Natychmiast dostrzegła na jego twarzy niechęć do kolumn liczb. Matematyka była jedynym przedmiotem, w którym nie czuł się zbyt pewnie.

— Lubisz grać w szachy, prawda?

— Lubię — potwierdził ostrożnie.

— To także taka gra — zapewniła go. — Tylko tysiąc razy bardziej pasjonującą i dająca tysiąc razy większą satysfakcję. Ale najpierw trzeba poznać jej reguły.

Shasa wyraźnie się rozpozgnął. Pasjonujące zabawy to było coś dla niego.

— Naucz mnie tej gry — poprosił.

— Nauczę, ale nie wszystkiego naraz. Po trochu, po trochu, aż będziesz wiedział już dość, żeby do niej przystąpić.

Zapadał już wieczór, kiedy w liniach wokół kącików ust i bladych obwódkach wokół nozdrzy syna dostrzegła oznaki zmęczenia, choć nadal ściągał brwi w wyrazie skupienia.

— Dość na dzisiaj. — Zamknęła grubą teczkę. — Jak brzmi pierwsza, podstawowa zasada?

— Cena wszystkiego, co się sprzedaje, musi być wyższa od tego, ile to coś kosztowało.

Przytaknęła głową zachęcająco.

— I trzeba kupować, kiedy wszyscy sprzedają, a sprzedawać, kiedy wszyscy kupują.

— Dobrze. — Wstała zza biurka. — A teraz odetchniemy świeżym powietrzem i przebierzemy się do obiadu.

Na balkoniku salonki objęła go ramieniem, a musiała sięgnąć w górę, żeby to zrobić.

— Chciałabym, żebyś tym razem pracował trochę w kopalni. Popołudnia możesz mieć wolne, ale rano będziesz pomagał inżynierowi Twentymann-Jonesowi. Powinieneś poznać kopalnię i cały proces wydobywania. Oczywiście będę ci płacić.

— To zupełnie zbyteczne, mamó.

— Jeszcze jedna złota zasada: nigdy nie odrzucaj korzystnej propozycji.

Całą noc i cały następny dzień pędzili na północ przez bezkresną pustkę spalonej słońcem pustyni. Daleko na horyzoncie majaczyła smuga ciemniejszego błękitu gór.

— Do Windhoek powinniśmy dotrzeć tuż po zachodzie słońca — oznajmiła Centaine — ale kazałam przetoczyć nasz wagon na bocznice, więc prześpimy się jeszcze w salonce. Do kopalni pojedziemy dopiero rano. Na kolacji będziemy mieli inżyniera Twentyman-Jonesa i Abrahama Abrahamsa, więc trzeba się przebrać.

Shasa stał w samej tylko koszuli przed długim lustrem w swoim przedziale i walczył z czarną muszką do smokingu — nie opanował jeszcze sztuki nadawania jej bezbłędnego kształtu. Naraz poczuł, że pociąg zwalnia, i usłyszał przeciągły, upiorny gwizd parowozu.

Odwrócił się do otwartego okna czując dreszczyk emocji. Przecinali łańcuch wzgórz okalających Windhoek. Na jego oczach w zmroku rozbłysły lampy uliczne. Całe miasto było wielkości jednego z przedmieść Cape Town, a oświetlenie miało tylko kilka głównych ulic.

Kiedy dotarli do pierwszych zabudowań, pociąg zwolnił do szybkości kroku spacerowego, a w powietrzu zapachniało palonym drewnem. W tej samej chwili wśród zarośń obok torów zauważył coś w rodzaju obozowiska. Wychylił się przez okno, żeby lepiej widzieć, i okrągłymi oczami wpatrywał się w skupiska obskurnych bud spowitych sinym dymem z ognisk i pogłębiającą się ciemnością. Przy torach stała tablica z koślawym napisem, którego odczytanie nastęrczyło mu sporo trudności: „Vaal Harts? Do diabła, za nic!” Rozumiał wszystkie słowa, ale cały napis nie miał dla niego żadnego sensu. W tej samej chwili dostrzegł obok tablicy sylwetki dwóch osób, przyglądających się przejeżdżającemu pociągowi. Zmarszczył brwi.

Niższą była dziewczyna, bosa, w cienkiej bezkształtnej sukience wiszącej na jej wychudłym ciele jak na kij. Wydała mu się zupełnie nieciekawa, więc przeniósł spojrzenie na jej wyższego, lepiej zbudowanego towarzysza i wyprostował się raptownie zszokowany, czując wzbierającą wściekłość. Nawet w tym słabym świetle natychmiast rozpoznał tę jasną, srebrzystą burzę włosów i czarne brwi. Popatrzyli na siebie wzrokiem bez wyrazu, dwaj nastoletni chłopcy, jeden w białej smokingowej koszuli i czarnej muszce, stojący w oświetlonym oknie salonki, drugi w zakurzonych roboczych łachach, ledwie majaczący w zadymionej ciemności. Pociąg potoczył się dalej i chwilę później zniknęli sobie z oczu.

— Kochanie...

Shasa odwrócił się od okna i spojrzał na matkę. Miała na sobie szafiry i błękitną suknię, leciutką i zwiewną jak tamten dym z ognisk.

— Jeszcze nie gotowy? Za minutę wjeżdżamy na stację. I co to za plątanina pod szyją? Chodź, zawiążę ci tę muszkę jak należy.

Kiedy stanęła przed nim, by zwinnymi palcami nadać muszce właściwy kształt, Shasa wysiłkiem woli opanował się, stłumił w sobie wściekłość i poczucie zupełnej nieporadności, które wzbudziło w nim jedno spojrzenie tamtego.

Salonkę przetoczono na prywatną bocznice za halą wagonowni i ustawiono przy betonowej rampie, na której czekał już ford Abrahama Abrahamsa. Sam Abe wdrapał się na balkonik w tej samej chwili, w której wagon się zatrzymał.

— Centaine, wyglądasz jeszcze piękniej niż zwykle! — Ucałował ją w rękę, a potem w oba policzki. Był niskim mężczyzną, wzrostu Centaine, o żywym wyrazie twarzy i bystrych, czujnych oczach. Uszy sterczały mu do góry, jakby nieustannie nasłuchiwał jakiegoś dźwięku, którego nikt poza nim nie słyszał.

Spinki z onyksem i brylantami wydawały się trochę zbyt ostentacyjne, a smoking nieco zbyt



ekstrawaganckiego kroju, ale był jednym z ulubieńców Centaine. Nie opuścił jej w czasach, gdy cały jej majątek wynosił niewiele ponad dziesięć funtów. To on zdobył dla niej koncesje górnicze w H'ani i od tamtej pory zajmował się prawną stroną większości jej interesów, a nierzadko pomagał jej także w załatwianiu spraw czysto osobistych. Był starym, zaufanym przyjacielem, a co ważniejsze, nie popełniał w swojej pracy pomyłek. Gdyby mu się to zdarzało, nie on witałby teraz Centaine na stacji.

— Drogi Abe! — Ujęła jego obie dłonie i mocno je uściśnęła. — Jak się czuje Rachel?

— Wybornie — zapewnił ją. Było to jego ulubione określenie. — Ogromnie przeprasza, ale nowe maleństwo...

— Ależ oczywiście. — Centaine skinęła głową ze zrozumieniem. Abrahams znał jej upodobanie do czysto męskiego towarzystwa i rzadko przyprowadzał ze sobą żonę, nawet gdy była zaproszona.

Centaine zostawiła swego prawnika i odwróciła się do drugiej, wysokiej, przygarbionej postaci przestępującej z nogi na nogę przy drzwiczkach balkoniku.

— Witam, inżynierze. — Wyciągnęła do niego obie ręce.

— Dzień dobry, pani Courteney — wymamrotał głosem grabarza inżynier Twentyman-Jones.

Centaine przywołała na twarz swój najpromienniejszy uśmiech. To była taka jej własna mała gierka: sprawdzić, czy uda się go tak owinać wokół palca, żeby w jakikolwiek sposób zdradził, że jej widok sprawia mu przyjemność. I znów nic z tego. Zasepienie malujące się na jego twarzy jeszcze się pogłębiło, aż wyglądał jak pogrążony w żalobie po panu pies świętego Huberta.

Ich znajomość trwała niemal tak długo, jak znajomość Centaine z Abrahamsem. Twentyman-Jones był inżynierem górnikiem, konsultantem do spraw wydobywania w De Beers Diamond Company, ale w 1919 roku oszacował dla niej złoża H'ani i pomógł rozpocząć budowę kopalni. Potrzebowała niemal pięciu lat i całej swej siły perswazji, by skłonić go do przyjęcia propozycji stałej pracy w H'ani. Był pewnie najlepszym specjalistą w dziedzinie wydobywania diamentów w Afryce Południowej, a to znaczy najlepszym w świecie.

Centaine wprowadziła swoich gości do salonu i ruchem ręki oddaliła ubranego w biały smoking barmana.

— Abraham, szampana? — Nalała własnoręcznie kieliszek. — A pan, inżynierze, woli pewnie maderę?

— że też jeszcze pani pamięta, pani Courteney — potwierdził z miną nieszczęśnika, przyjmując od niej wino. Zawsze zwracali się do siebie po nazwisku, pełnymi tytułami, choć ich przyjaźń przetrwała zwycięsko wszystkie próby.

— Wasze zdrowie, panowie — wzniosła toast Centaine, a kiedy wypili, spojrzęła na drzwi po przeciwnej stronie salonu. Jakby na dany znak drzwi otworzyły się i stanął w nich Shasa. Centaine przyglądała się krytycznym okiem, jak wita się z oboma mężczyznami. Zachowywał właściwą dozę szacunku należną ich wiekowi, nie okazał zakłopotania, gdy Abrahams nieco zbyt wylewnie go uściśkał, i z największą powagą odwzajemnił grobowy uścisk dłoni inżyniera Twentyman-Jonesa. Skinęła nieznacznie z aprobatą i zajęła miejsce za biurkiem. Był to sygnał, że wymogom kurtuazji stało się zadość i pora przystąpić do interesów. Obaj mężczyźni przysiedli szybko na brzegach eleganckich, lecz niewygodnych krzeseł w stylu art deco i pochylili się do przodu pilnie nastawiając uszu.

— W końcu padło i na nas — rozpoczęła Centaine. — Obcięli nam limit.

Abrahams i Twentyman-Jones drgnęli, zerknęli szybko po sobie, po czym spojrzeli z powrotem na Centaine.

— Spodziewaliśmy się tego od prawie roku — zauważył Abrahams.

— Co w żaden sposób nie osładza obecnej sytuacji — odparowała cierpko Centaine.

— O ile? — spytał Twentyman-Jones.

— O czterdzieści procent — odparła Centaine. Kiedy ta liczba do niego dotarła, wydawało się, że wybuchnie płaczem.

Centralna Organizacja Sprzedaży wyznaczała wszystkim niezależnym producentom diamentów indywidualne limity wydobywania. System ten działał nieformalnie i był pewnie sprzeczny z prawem, niemniej COS rygorystycznie egzekwowała swoje zalecenia i wśród niezależnych nie było śmiałka, który by podał w wątpliwość legalność jej postanowień lub zakwestionował przyznany mu udział w sprzedaży.

— Czterdzieści procent! — zawołał Abrahams. — To podłość!

— Trafna ocena, drogi Abe, ale na obecnym etapie mało pożyteczna. — Centaine spojrzała na Twentyman-Jonesa.

— Kategorie bez zmian? — spytał.

Wyrażone w karatach limity rozbijano na różne klasy kamieni, od ciemnego, przemysłowego bortu, po diamenty najprzedniejszej jakości, i na różne wielkości, od kryształów wagi jednej dziesiątej karata i mniejszych po duże, bardzo cenne solitery.

— Te same proporcje — potwierdziła. Twentyman-Jones odchylił się w krześle, wyjął z wewnętrznej kieszeni notes i zaczął szybko liczyć. Centaine spojrzała ponad jego ramieniem na Shasę opartego o wyłożoną boazerią ścianę.

— Rozumiesz o czym mówimy?

— Chodzi ci o kwoty? Tak, chyba tak, mamo.

— Gdybyś czegoś nie rozumiał, to pytaj — poleciała szorstko i spojrzała z powrotem na Twentyman-Jonesa.

— Czy nie mogłaby się pani ubiegać o dziesięcioprocentowe zwiększenie górnej kategorii? — spytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Już to zrobiłam, ale moją prośbę odrzucono. Firma De Beers z najgłębszym współczuciem zwróciła mi uwagę, że największy spadek popytu nastąpił właśnie w klasie kamieni jubilerskich.

Pochylił się z powrotem nad swoim notesem. Wszyscy wsłuchiwali się w poskrzypywanie jego ołówka sunącego szybko po papierze, aż wreszcie podniósł głowę.

— Czy uda nam się wyjść na zero? — spytała cicho Centaine.

Twentyman-Jones wyglądał tak, jakby wolał się zastrzelić niż odpowiedzieć.

— O włos — szepnął. — I trzeba będzie zwalniać, ciąć i zaciskać pasa, ale powinno nam się udać pokryć koszty, a może nawet osiągnąć mały zysk. Wszystko zależy od tego, jaką cenę bazową wyznaczy De Beers. Ale tak czy inaczej obawiam się, że śmietanki na tym mleku już nie będzie, pani Courteney.

Centaine doznała takiej ulgi, że siły ją opuściły, ręce zaczęły jej drżeć. Zdjęła je z biurka i położyła na kolanach, żeby nikt tego nie zauważył. Milczała przez chwilę, po czym odchrząknęła, by mieć pewność, że głos jej nie zadrży.

— Ograniczenie limitu wydobywania wchodzi w życie pierwszego marca — powiedziała. — To oznacza, że możemy dostarczyć jeszcze jedną pełną partię. Wie pan, co należy zrobić, panie Twentyman-Jones.

— Napełnić przesyłkę sugusami, pani Courteney.

— Co to są sugusy, panie Twentyman-Jones? — odezwał się po raz pierwszy Shasa. Inżynier potraktował jego pytanie z pełną powagą.

— Jeśli w pewnym okresie wydobywania natrafiamy na większą liczbę wyjątkowo znakomitych

kamieni, część z nich zatrzymujemy w rezerwie, odkładamy je na bok, by włączyć do przyszłych partii towaru o znacznie niższej jakości. Mamy spory zapas takich cennych kamieni, więc dostarczymy je teraz COS, póki jeszcze je od nas odbiorą.

— Rozumiem — skinął głową Shasa. — Dziękuję panu, inżynierze.

— Miło mi służyć wszelką pomocą, paniczu.

Centaine wstała zza biurka.

— Teraz możemy zasiąść do obiadu — oznajmiła.

Służący w białym smokingu otworzył rozsuwane drzwi do jadalni, gdzie na długim stole skrzącym się od sreber i kryształów, w antycznych seledynowych wazach stały bukiety herbacianych róż.

9

Kilometr od miejsca, gdzie stała salonka Centaine, dwóch mężczyzn kuliło się przy dymiącym ognisku, obserwując bulgoczącą w kociołku mamałygę i rozmawiając o koniach. Powodzenie całego planu zależało od zdobycia wierzchowców. Co najmniej piętnastu, a do tego silnych i wytrzymałych, zaprawionych w jeździe po pustyni.

— Człowiek, którego mam na myśli, to dobry przyjaciel — powiedział Lothar.

— Nawet najlepszy przyjaciel pod słońcem nie pożyczyci ci piętnastu dobrych koni. Z mniej niż piętnastoma nie damy rady tego zrobić, a tylu zwierząt nie kupi się za sto funtów.

Lothar zassał swą śmierdzącą glinianą fajkę, aż wydała odrażający gulgot i splunął żółtym sokiem w ognisko.

— Dałbym sto funtów za porządne cygaro — mruknął.

— Ale nie moje sto funtów — ostudził go Hendrick. — Co to, to nie.

— Zostawmy na razie konie — zaproponował Lothar. — Zajmijmy się ludźmi, których trzeba rozstawić po drodze.

— O ludzi teraz łatwiej niż o zwierzęta — roześmiał się Hendrick. — W dzisiejszych czasach człowieka można mieć za cenę posiłku, a jego żonę za deser. Wysłałem już wiadomość, żeby czekali na nas w Dolinie Dzikiego Konia.

Z ciemności wyłonił się Manfred. Obaj podnieśli na niego wzrok, a kiedy Lothar ujrzał wyraz twarzy syna, wepchnął notes do kieszeni i zerwał się na równe nogi.

— Tato, chodź ze mną, szybko! — zawołał błagalnie Manfred.

— Co się stało, Manie?

— Matka Sarah i małe. Wszyscy chorzy. Obiecałem im, że zaraz przyjedziesz.

Lothar cieszył się reputacją człowieka potrafiącego leczyć wszystkie przypadłości ludzi i zwierząt, od odry i ran postrzałowych po kołowaciznę i nosówkę.

Rodzina Sarah mieszkała pod podartą płachtą brezentu w pobliżu centrum obozowiska. Kobieta leżała pod brudnym kocem z młodszymi dziećmi po bokach. Nie młoda jeszcze pewnie trzydziestu lat, ale zgryzoty, katorżnicza praca i chroniczne niedożywienie zmieniły ją w posiwiąłą, zasuszoną staruszkę. Ponieważ straciła większość górnych zębów, jej twarz wyglądała tak, jakby zapadła się w głąb.

Sarah klęczała obok matki i zmoczonym łachmanem próbowała ocierać jej rozpaloną twarz. Kobieta toczyła głowę z boku na bok i majaczyła w gorączce.

Lothar ukląkł po jej drugiej stronie, naprzeciw dziewczyny.

— Gdzie twój tata, Sarah? Powinien tu być.

— Odszedł szukać pracy w kopalni — szepnęła.

— Kiedy?

— Już dawno. — Zaraz jednak dodała lojalnie: — Ale przyśle po nas i będziemy mieszkać w pięknym domku...

— Kiedy mama zachorowała?

— Wczoraj w nocy. — Znow spróbowała położyć matce szmatkę na czole, ale chora zrzuciła ją słabym ruchem.

— A małe? — Lothar przyjrzał się uważnie opuchniętym twarzyczkom dzieci.

— Dzisiaj rano.

Lothar odchylił koc. W nozdrza buchnął mu duszący i odrażający fetor płynnych fekaliów.

— Próbowałam ich myć — bronila się cicho Sarah — ale oni natychmiast znow się brudzą. Już nie wiem, co robić.

Lothar uniósł uwalaną sukienkę małej siostrzyczki Sarah. Brzuszek miała opuchnięty z niedożywienia, skóra na nim była kredowobiała. W poprzek ciała biegł rozogniony pas czerwonej wysypki.

Lothar mimowolnie szarpnął ręce do tyłu.

— Manfred — spytał ostro — czy dotykałeś któregoś z nich? Wszystko jedno którego?

— Tak, tato. Próbowałem pomóc Sarah ich obmyć.

— Idź zaraz do Hendricka — rozkazał Lothar. — Powiedz mu, że natychmiast ruszamy w drogę. Musimy jak najszybciej stąd wyjechać.

— Co to jest, tato? — ociągał się z odejściem Manfred.

— Rób, co ci mówię! — warknął ze złością Lothar, a kiedy Manfred zniknął w ciemności, zwrócił się do dziewczyny.

— Czy gotowaliście wodę do picia? — spytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

„Zawsze to samo — pomyślał Lothar. — Prości wieśniacy, którzy całe życie mieszkali z dala od ludzkich osiedli, pili wodę z krynicznie czystych źródeł i załatwiali swe potrzeby na otwartym veldzie. Nie pojmują niebezpieczeństw, jakie niesie ze sobą konieczność zamieszkania w bliskim sąsiedztwie innych.”

— Co to jest, Oom? — spytała cicho Sarah. — Co im się stało?

— Dur brzuszny. — Spostrzegł, że nic to jej nie mówi. — Tyfus — spróbował innej nazwy.

— Czy to poważne? — spytała bezradnie, a Lothar nie był w stanie spojrzeć jej w oczy.

Popatrzył ponownie na dwoje małych dzieci. Gorączka wypaliła je do cna, a biegunka zupełnie odwodniła. Było już za późno. Ich matka miała jeszcze jakąś szansę, ale i ona straciła wiele sił.

— Owszem, bardzo poważne — odpowiedział.

Tyfus rozszaleje się w obozowisku jak pożar na wysuszonym zimą yeldzie. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że i Manfred mógł się już zarazić. Na tę myśl wstał szybko z ziemi i odsunął się od cuchnącego materaca.

— Co mam robić? — spytała błagalnie Sarah.

— Daj im mnóstwo wody do picia, ale dopilnuj, żeby była dobrze przegotowana. — Cofnął się o krok. Widział już tyfus podczas wojny, w angielskich obozach koncentracyjnych. Zaraza zbierała żniwo śmierci znacznie bardziej przerażające niż jakiekolwiek pole bitwy. Musi natychmiast zabrać stąd Manfreda.

— Czy masz na to lekarstwo, Oom? — Sarah szła za nim krok w krok. — Nie chcę, żeby moja mama umarła... nie chcę, żeby moja siostrzyczka... Jeśli możesz im dać jakieś lekarstwo... — Walczyła ze łzami, wystraszona i zagubiona, pokładając w nim żalosne zaufanie:

Lothar miał obowiązki tylko wobec siebie samego, a jednak czuł się rozdarty pokazem odwagi

tego małego dziecka. Chciał powiedzieć:

„Na to nie ma lekarstwa. Dla nich nic już nie można zrobić. Teraz wszystko w rękach Boga.”

Sarah podeszła bliżej, chwyciła go za rękę i zaczęła rozpaczliwie ciągnąć go z powrotem do legowiska, na którym umierała jej matka i rodzeństwo.

— Pomóż im, Oom, pomóż, żeby wyzdrowieli!

Na dotyk ręki dziewczyny Lotharowi włos zjeżył się na karku. Niemal czuł, jak straszliwa infekcja przenosi się na niego z jej ciepłej skóry. Musi natychmiast stąd odejść.

— Zostań tutaj — polecił, starając się ukryć przemożną odrazę. — Daj im dużo wody do picia. Ja pójdę po lekarstwo.

— Kiedy wrócisz? — zajrzała mu ufnie w oczy, a on musiał przywołać na pomoc wszystkie siły, żeby zdobyć się na kłamstwo.

— Najszybciej jak się da — obiecał i delikatnie wyswobodził się z jej uchwytu.

— Daj im dużo do picia — powtórzył i odwrócił się.

— Dziękuję! — zawołała za nim cicho. — Niech Bóg cię błogosławi, Oom. Jesteś dobrym człowiekiem.

Lothar nie był w stanie nic odpowiedzieć. Nie był w stanie nawet się obejrzeć. Zamiast tego ruszył spieszenie przez pogrążone w ciemności obozowisko. Tym razem, ponieważ nasłuchiwał, wyłowił uchem ciche odgłosy dobiegające z innych szałasów: niespokojny płacz trawionego gorączką dziecka, sapnięcie i jęk jakiejś kobiety szarpanej potwornym bólem brzucha, zatroskany szepet kogoś, kto się nią opiekował.

Z jednej z tekturowych bud wyłoniła się cherlawa ciemna postać i chwyciła go za łokieć. Nie był pewien, czy to kobieta, czy mężczyzna, dopóki nie odezwała się skrzekliwym, niemal obłąkańczym falsetem.

— Jesteś lekarzem? Muszę znaleźć lekarza!

Szarpięciem ręki wyswobodził się z uchwytu rozczapierzonych palców i zaczął biec.

Swart Hendrick czekał już na niego z workiem podróżnym przerzuconym przez ramię. Kilkoma kopnięciami zasypał piaskiem dogasające ognisko. Manfred przykucnął z boku, pod krzakiem bożodajni.

— Tyfus — rzucił Lothar to jedno przerażające słowo. — Już rozniósł się po całym obozowisku.

Hendrick zamarł w bezruchu. Lothar widział go kiedyś stawiającego z zimną krwią czoło szarżującemu, rannemu słoniowi, ale teraz potężnego Oyambo ogarnął strach. Można to było wyczytać ze sposobu, w jaki trzymał swą wielką czarną głowę, i wyczuć nosem: bił od niego przedziwny zapach, niezwykle podobny do woni wydzielanej przez rozdt'ażnione pustynne kobry.

— Szybciej, Manfred, wyjeżdżamy.

— Dokąd, tato? — Chłopiec nie ruszył się z miejsca.

— Wszystko jedno, byle jak najdalej stąd. Jak najdalej od tego miasta i zarazy.

— A co z Sarah? — Manfred wtulił głowę w ramiona w dobrze znanym Lotharowi geście krnąbrnego uporu.

— Ona jest dla nas nikim. Nie możemy nic dla niej zrobić.

— Ona umrze..., jak jej mama, braciszek i siostrzyczka. — Manfred spojrzał ojcu w oczy. — Ona umrze, prawda?

— Wstawaj z ziemi! — warknął Lothar. Poczucie winy uczyniło go agresywnym. — Idziemy!

Na jego rozkazujący gest Hendrick sięgnął w dół i podniósł Manfreda na nogi.

— Chodź, Manie, posłuchaj swego taty. — Ruszył za Lotharem, wlokąc chłopca za rękę.

Kiedy przeszli na drugą stronę nasypu kolejowego, Manfred przestał stawiać opór. Hendrick

puścił go, a chłopiec posłusznie powlókł się za starszymi. W niecałą godzinę dotarli do głównej drogi, która w poświacie księżyca wyglądała jak rzeka srebrnego pyłu płynąca przełęczą przez wzgórza. Lothar zatrzymał się.

— Teraz po konie? — spytał Hendrick.

— Tak, to następny punkt planu — odparł Lothar, ale obejrzał się za siebie. Hendrick i Manfred w milczeniu obejrzelili się razem z nim.

— Nie mogłem ryzykować — zaczął się usprawiedliwiać. — Nie mogłem dopuścić, żeby Manfred został tam choćby chwilę dłużej. — Żaden nic nie odpowiedział. — Trzeba ciągnąć dalej przygotowania... Musimy zdobyć konie,.. — Urwał i umilki.

Nagle zerwał Hendrickowi z ramienia worek i rzucił na ziemię. Otworzył go ze złością i wyszarpnął z środka małe zawiniątko z brezentu, w którym trzymał swoje narzędzia chirurgiczne i zapas lekarstw.

— Zabierz Maniego — rozkazał — i czekajcie na mnie w wąwozie rzeki Gamas, tam, gdzie obozowaliśmy w trakcie przemarszu z Usakos. Pamiętasz, gdzie to jest?

Hendrick skinął głową.

— Jak długo to potrwa?

— Dopóki me umrą — odparł Lothar. Wstał i spojrzał na Manfreda.

— Masz we wszystkim słuchać Hendricka — rozkazał.

— Nie mógłbym wrócić z tobą, tato?

Lothar nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Odwrócił się, ruszył wyciągniętym krokiem między osrebrzone blaskiem księżyca drzewa i po chwili zniknął im z oczu. Hendrick ukląkł i na powrót spakował worek.

Sarah siedziała w kucki przy ognisku ze spódnicą obciągniętą za wychudłe, opalone kolana i mrużąc oczy od dymu czekała, aż zagotuje się woda w osmolonym kociołku.

Kiedy podniósłszy wzrok ujrzała Lothara stojącego na skraju plamy światła rzucanego przez ogień, rozwarła szeroko oczy, jej blada delikatna twarzyczka powoli zmarszczyła się jak zmięta i po policzkach spłynęły jej łzy, mieniące się w blasku płomieni.

— Myślałam, że Oom nie przyjdzie — wyszeptała. — Myślałam, że odeszliście z obozu.

Lothar potrząsnął gwałtownie głową, wciąż jeszcze tak wściekły na siebie za to okazanie słabości, że wolał nie zawierzać swemu głosowi. Bez słowa przyklęknął po drugiej stronie ogniska i rozwinął brezentową paczuszkę. Jej zawartość była żałośnie skromna. Mógł wyrwać zepsuty ząb, naciąć czyrak czy miejsce po ukąszeniu żmii albo nastawić złamaną rękę lub nogę, ale na szalejący tyfus nie miał praktycznie nic. Odmierzył łyżkę czarnej patentowej mikstury, „Słynnego leku na biegunkę Chamberlaine’a”, wlał do cynowego kubka i rozcieńczył wodą z kociołka.

— Pomóż mi — polecił.

We dwoje podnieśli do pozycji siedzącej najmłodsze dziecko. Dziewczynka była lekka jak piórko, wyczuwał każdą kosteczkę jej kruchego ciała, zupełnie jakby trzymał w ręku wyjęte z gniazda ledwie wyklute pisklę. Nie było cienia nadziei.

„Umrze, nim się rozwidni” — pomyślał przykładając dziecku kubek do ust. Nawet tyle me wytrzymała; umarła kilka godzin przed świtem. Trudno było ustalić, kiedy dokładnie. Zorientował się, że już po wszystkim, dopiero wtedy, gdy zbadał jej puls na tętnicy szyjnej i poczuł w wymizerowanym ciałku chłód wieczności.

Jej brat dotrwał do południa i odszedł równie cicho jak siostra. Lothar zawinął oboje w ten sam szary, brudny koc i zaniósł na rękach do wspólnego grobu, który wykopano już na skraju obozowiska. Ułożył je na piaszczystym dnie kwadratowego dołu — maleńką samotną paczuszkę na końcu rzędu

większych ciał.

Matka Sarah walczyła o życie.

„Bóg jeden wie, po co miałaby chcieć żyć — myślał Lothar. — Przecież nic z tego życia nie ma.” Ale kobieta jęczała, toczyła głowę i krzyczała w delirium gorączki. Lothar zaczął jej nienawidzić za ten upór w walce o przetrwanie, który zatrzymywał go przy jej śmierdzącym legowisku, zmuszał do brania udziału w jej upodleniu, dotykaniu rozpalonej gorączką skóry i wlewania płynu w bezzębne usta.

O zmierzchu wydawało się, że zwyciężyła. Uspokoila się, gorączka spadła. Spojrzała na Sarah, jakby ją poznawała, i sięgnęła z wysiłkiem po jej rękę, próbując coś powiedzieć, ale słowa grzęzły jej i skrzypiały w głębi gardła, a na usta wystąpiły bąbelki gęstej, żółtej, śluzowatej wydzieliny.

Wysiłek okazał się zbyt wielki. Zamknęła oczy i zapadła w sen. Sarah otarła matce usta i siedziała obok cicho, trzymając ją za chudą, kościstą rękę o nabrzmiąłych pod pergaminową skórą sinych żyłach.

Godzinę później chora usiadła nagle na posłaniu, zupełnie wyraźnie zawołała: „Sarah, moje dziecko, gdzie jesteś?”, po czym opadła na plecy i zaczęła rozpaczliwie chwytać powietrze. Świszczący oddech urwał się w połowie, cherlawa pierś powoli znieruchomiła, a skóra spłynęła z twarzy w dół jak odlana z ciepłego wosku.

Tym razem, kiedy Lothar odnosił jej matkę do wspólnego grobu, Sarah szła razem z nim. Położyli zawiniątko na końcu rzędu ciał, po czym wrócili do szałas.

Sarah patrzyła bez ruchu, jak Lothar zawija w brezent swoje przybory medyczne; na jej drobnej, bladej twarzyczce malował się wyraz absolutnego zagubienia. Odszedł kilka kroków, przystanął i odwrócił się. Dziewczynka drżała jak porzucony psiak, ale nie ruszyła się z miejsca.

— No dobra — westchnął z rezygnacją. — Chodź.

W kilku susach znalazła się u jego boku.

— Nie sprawię żadnego kłopotu — paplała szybko, bliska hysterii pod wpływem doznanej ulgi. — Pomogę wam. Umiem gotować, prać, zmywać, szyć. Nie sprawię żadnego kłopotu.

— Co masz zamiar z nią zrobić? — spytał Hendrick. — Nie może z nami zostać. Nigdy nie zrobimy tego, co mamy zrobić, z takim dzieckiem na karku.

— Nie mogłem jej tam zostawić — bronił się Lothar. — W obozie szaleje śmierć.

— Dla nas byłoby lepiej, żebyś ją tam zostawił — wzruszył ramionami Hendrick. — No i co teraz?

Wypuścili się z obozowiska na dnie wąwozu na szczyt skalnego zbocza. Dzieci pozostały daleko w dole, na piaszczystym brzegu jedynej zielonej niecki w całej okolicy, w której nadal utrzymywała się woda. Siedziały w kucki obok siebie, Manfred trzymał w wyciągniętej prawej ręce cienką linkę. Odchylił się do tyłu, zarzucił przynętę i przekładając szybko ręce zaczął wybierać linkę z wody. Nagle Sarah zerwała się na równe nogi, a jej podniecone krzyki dotarły aż do Lothara i Hendricka. Manfred wyszarpnął łukiem z zielonkawej kałuży czarnego, śliskiego zębacza. Ryba zatrzepotała na piasku, jej mokre łuski zaślniły w słońcu.

— Wymyślę, co z nią zrobić... — zapewnił Lothar Hendricka, ale ten nie dał mu dokończyć.

— Byle szybko. Wodopoje na północy z każdym dniem coraz bardziej wysychają, a my ciągle jeszcze nie mamy nawet koni.

Lothar nabił fajkę nową porcją machorki i zamyślił się. Hendrick miał rację. Dziewczyna fatalnie wszystko komplikowała. Trzeba było się jej jakoś pozbyć. Nagle poderwał głowę i jego twarz rozjaśnił uśmiech.

— Moja kuzynka — powiedział.

Hendrick był wyraźnie zdumiony.

— Nie wiedziałem, że masz jakąś rodzinę.

— Większość sześcła po obozach, ale Trudi przeżyła.

— Gdzie ona mieszka, ta twoja ukochana kuzyneczka?

— Na północ stąd. Będzie nam po drodze. Podrzucimy jej małą nie marnując czasu.

— Nie chcę tam iść — szepnęła żałośnie Sarah. — Nie znam twojej ciotki. Chcę zostać z tobą.

— Ciii... — ostrzegł ją Manfred. — Obudzisz tatę i Henny'ego.

Przysunął się bliżej i położył jej palec na ustach. Ognisko wygasło, księżyc zaszedł. Tylko gwiazdy rozjaśniały noc, płonąc na czarnej aksamitnej kurtynie nieba nad pustynią niczym ogromne kandelabry.

Sarah mówiła teraz tak cicho, że z trudem mógł wyłowić poszczególne słowa, choć jej usta oddalone były ledwie o centymetry od jego ucha.

— Jesteś jedynym przyjacielem, jakiego miałam w życiu — szepnęła. — I kto teraz nauczy mnie czytać i pisać?

Słowa te nałożyły na Manfreda brzemień ogromnej odpowiedzialności. Do tej chwili dziewczyna wywoływała w nim sprzeczne uczucia. Tak jak ona nigdy nie miał przyjaciół wśród rówieśników, nigdy nie chodził do szkoły, nigdy nie mieszkał w mieście. Jego jedynym nauczycielem był ojciec. Całe życie przebywał w otoczeniu dorosłych mężczyzn: ojca, Hendricka, nieokrzesanych, twardych rybaków i mieszkańców przydrożnych obozowisk. Nigdy nie zaznał kobiecej ręki ani kobiecego serca.

Sarah była pierwszą dziewczyną w jego otoczeniu, jej dziecinność i fizyczna słabość mocno go irytowały. Musiał na nią czekać, kiedy wspinali się na wzgórze, bo zawsze zostawała w tyle; płakała, gdy uderzeniem w kark zabił trzepoczącego się zębacza i gdy ukreślił łeb tłustej, brązowej kuropatwie, która złapała się w zastawione przez niego wnyki. Z drugiej strony potrafiła go rozśmieszyć i bardzo lubił kiedy śpiewała, cieniutkim, lecz słodkim i melodyjnym głosem. Co więcej, choć jej przymilność często mu nadojadła i czasami miewał jej serdecznie dość, w obecności Sarah doznawał niewytłumaczalnego zadowolenia, ogarniało go znakomite samopoczucie. A do tego była bardzo pojętna. Przez te kilka dni, które minęły od czasu ich poznania, zdążyła nauczyć się na pamięć całego alfabetu i tabliczki mnożenia do dziesięciu.

Byłoby znacznie lepiej, gdyby była chłopcem, choć i tego nie był tak zupełnie pewien. Intrygował go zapach i miękkość jej skóry. Włosy miała takie delikatne i jedwabiste. Czasami muskał je, niby to przypadkiem, a ona zastygała pod jego palcami w bezruchu i trwała tak, aż zakłopotany i skrępowany cofał rękę.

Co jakiś czas ocierała się o niego jak przywiązany kot, a przedziwna przyjemność, jaką mu to sprawiało, pozostawała w zupełnej dysproporcji do przelotności kontaktu ich ciał; a kiedy spali pod jednym kocem, budził się w nocy, wsłuchiwał w jej oddech i nie odgarniał jej łaskocących go w twarz włosów.

Droga do Okahandji była długa i trudna, każdy krok wzbijał w powietrze tumany kurzu. Brnęli nią już całe pięć dni, podróżując tylko wczesnym rankiem i późnym wieczorem. W południe obaj mężczyźni odpoczywali w cieniu, a dzieci wymykały się w ustronne miejsca, żeby porozmawiać, zastawić wnyki albo zająć się lekcjami Sarah. Nie bawili się w odgrywanie fikcyjnych postaci i sytuacji, jak to czynią dzieci w ich wieku. Ich życie było zbyt twardo osadzone w surowej rzeczywistości. A teraz zawisło nad nimi nowe zagrożenie perspektywa rozłąki, coraz bardziej realna z każdym kilometrem przebytej drogi. Manfred nie potrafił znaleźć dla Sarah słów pocieszenia. Sam miał poczucie nadchodzącej straty, które jej deklaracja przyjaźni uczyniła jeszcze bardziej



nieznośnym. Przytuliła się do niego pod kocem, a on drgnął zaskoczony ciepłem bijącym od jej kruchego ciała. Niezdarnie otoczył ręką jej ramiona i poczuł na policzku jedwabistą miękkość jej włosów.

— Wrócę po ciebie. — Wcale nie chciał tego powiedzieć. Jeszcze przed chwilą ta myśl nie powstała mu nawet w głowie.

— Obiecuj. — Odwróciła się tak, że jej usta znalazły się tuż przy jego uchu. — Obiecuj, że wrócisz mnie zabrać.

— Obiecuję, że wrócę cię zabrać — powtórzył z powagą, przerażony tym co robi. Przecież nie był panem swego losu, nie miał żadnej pewności, że zdoła dotrzymać takiego przyrzeczenia.

— Kiedy? — uczepliła się skwapliwie tej nadziei.

— Mamy coś do zrobienia. — Nie wiedział dokładnie, co planują ojciec i Hendrick. Dotarło do niego tylko tyle, że to trudne przedsięwzięcie i wiąże się z jakimś ryzykiem. — Coś ważnego. Nie, nie mogę ci powiedzieć co. Ale kiedy będzie już po wszystkim, wrócę po ciebie.

Wydawało się, że jej to wystarcza. Westchnęła, jej mięśnie zwiotczały i Manfred poczuł, jak uchodzi z niej napięcie. Przechodzącym w ledwie dosłyszalne mruczenie szeptem spytała: — Jesteś moim przyjacielem, Manie?

— Tak, jestem twoim przyjacielem.

— Moim najlepszym przyjacielem?

— Tak, twoim najlepszym przyjacielem.

Westchnęła raz jeszcze i zasnęła. Pogłaskał ją po włosach, tak miękkich i puszystych pod jego palcami i jak obuchem uderzyła go fala smutku z powodu zbliżającej się nieuchronnie rozłąki. Czuł, że lada chwila się rozplacze, ale przecież mazgają się tylko baby. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Następnego wieczoru brnęli po kostki w białym jak mąka pyłe przez kolejny fałd bezkresnej, falującej równiny. Kiedy dzieci dogoniły go na szczycie wzniesienia, Lothar bez słowa wskazał ręką przed siebie.

Obite żelazną blachą dachy przygranicznego miasteczka Okahandja błyszcząły w zachodzącym słońcu jak zwierciadła, a spomiędzy nich wznosiła się wieżyczka kościoła. Pokryta tak jak reszta domów blachą falistą, ledwie wystawała ponad korony rosnących wokół drzew.

— Dotrzemy tam już po zmierzchu. — Lothar przerzucił worek na drugie ramię i spojrzał na dziewczynkę. Kosmyki jedwabistych zwykle włosów, zakurzone teraz i przepocone, kleiły jej się do czoła i policzków, a potargane, zjaśniałe od słońca kucyki sterczały jej zza uszu niczym rogi. Opaliła się tak bardzo, że gdyby nie jasne włosy można by ją wziąć za dziecko z plemienia Nama. Ubrana była równie prosto jak one, a nagie stopy ubielone miała mączystym pyłem.

Lothar pomyślał, że może powinien po drodze kupić jej w jakimś sklepiku nową sukienkę i buty, uznał jednak, że nie może sobie na to pozwolić. Wydatek mógł się co prawda opłacić, bo gdyby kuzynka nie przyjęła dziewczyny... Wolał nie ciągnąć tej myśli. Oporządzi ją trochę przy odwiercie, z którego miasteczko czerpało wodę.

— Pani, u której zostaniesz, to Meyrou Trudi Bierman. To bardzo miła, bogobojna dama.

Lothara niewiele łączyło z kuzynką. Ostatni raz widzieli się przed trzynastoma laty.

— Jest żoną pastora Holenderskiego Kościoła Reformowanego, tutaj, w Okahandji. On także jest dobrym, pobożnym człowiekiem. Mają dzieci w twoim wieku. Będzie ci z nimi dobrze.

— A czy on będzie mnie uczył czytać, tak jak Manie?

— Oczywiście. — Lothar był gotów złożyć każde zapewnienie, byle tylko pozbyć się tego dziecka. — Uczy własne dzieci, a ciebie będzie traktował jak jedno z nich.

— Dlaczego Manie nie może zostać ze mną?

— Manie musi iść z nami.

— A ja nie mogłabym pójść z wami? Proszę!

— Nie, nie mogłabyś. Ty zostaniesz tutaj... I nie zaczynaj wszystkiego od początku.

U zbiornika przy pompie Sarah obmyła ręce i nogi, zwilżyła włosy i zaplotła je ponownie w warkoczyki.

— Jestem gotowa — oznajmiła w końcu Lotharowi. Usta jej drżały, kiedy mierzył ją krytycznym spojrzeniem. Był z niej kawał urwisa i kocmołucha, miał z nią same kłopoty, ale gdzieś po drodze, sam nie wiedział kiedy, podbiła jego serce. Nie mógł nie podziwiać jej odwagi i hartu ducha. Nagle przyłapał się na tym, że rozważa, czy rzeczywiście nie ma innego wyjścia jak pozbyć się tej małej. Z niejakim wysiłkiem przywołał się do porządku, odrzucił tę myśl i uzbroił się w bezwzględność potrzebną do zrobienia tego, przed czym nie mógł się już cofnąć.

— Idziemy. — Wziął dziewczynkę za rękę i spojrzał na Manfreda. — Ty zostaniesz tutaj z Henny'm.

— Tatusiu, pozwól mi z wami iść, proszę! — zawołał błagalnie Manfred. — Tylko do furtki. Żebym mógł się pożegnać z Sarah!

Lothar zawahał się, po czym wyraził burkliwie zgodę. należy.

Poprowadził ich wąską alejką do wywozu śmieci na tyłach rzędu domków, aż znaleźli się u bocznej furtki bardziej okazałego budynku, stojącego tuż obok kościoła i wyraźnie doń należącego. Nie było wątpliwości, że to plebania. W pokoju od tyłu paliło się światło, ćmy i żuki bębniły o ekran z gęstej metalowej siatki, przesłaniający tylne wejście.

Kiedy otworzyli furtkę i ruszyli kuchenną ścieżką, dobiegł ich chór głosów śpiewających jakąś boleściwą pieśń religijną. Przez siatkę ujrzeli wewnątrz oświetlonej kuchni, a w nim długi stół z siedzącą za nim, śpiewającą rodziną.

Na pukanie Lothara chór rozpadł się na pojedyncze głosy i psalm urwał się w pół słowa. Od szczytu stołu wstał jakiś mężczyzna i podszedł do drzwi. Miał na sobie czarny garnitur, wypchany na kolanach i łokciach, ale ciasno opięty na szerokich barach. Gęste, bujne włosy opadały mu siwiejącą grzywą na ramiona, zasypując ciemny materiał garnituru grubą warstwą łupieżu.

— Kto tam? — spytał tubalnym głosem, zaprawionym w grzmieniu z ambony. Jednym pchnięciem otworzył ekran z siatki i wyrzwał w ciemność. Miał szerokie inteligentne czoło i głęboko osadzone, płonące groźnie oczy proroki ze Starego Testamentu.

— To ty! — Rozpoznał Lothara, ale me uznał za stosowne się z nim przywitać. Zamiast tego obejrzał się przez ramię i zawołał: — Meyrou, to ten twój kuzyn bezbożnik! Przybywa z dzikiej głuszy jak Kain!

Od drugiego końca stołu podniosła się jasnowłosa kobieta i uciszywszy dzieci, nakazała im pozostać na swoich miejscach. Była po czterdziestce, dorównywała niemal wzrostem i tuszą mężowi, miała rumianą cerę i długie warkocze na niemiecką modłę upięte wysoko na głowie. Spiotła pulchne mlecznobiałe ręce na obfitych, bezkształtnych piersiach.

— A czegoż to od nas chcesz, Lotharze De La Rey? — spytała ostro. — To jest dom bogobojnych chrześcijan. Nie chcemy mieć nic wspólnego z twoimi rozpustnymi i szalonymi wybrykami. — Urwała nagle, gdyż w tej właśnie chwili zauważyła majaczące za plecami Lothara dzieci. Spojrzała na nie z zaciekawieniem.

— Cześć, Trudi. — Lothar pociągnął Sarah za rękę w krąg padającego od drzwi światła. — Kopę lat. Wyglądasz kwitnąco. Widzę, że zdrowie ci dopisuje.

— Wszyscy kwitniemy w promieniach łaski Pana — potwierdziła jego kuzynka. — Ale sam wiesz najlepiej, że ze zdrowiem zawsze u mnie było kiepsko. — Przybrała minę cierpięcicy, a

Lothar pospiesznie wszedł jej w słowo.

— Daję ci okazję spełnienia jeszcze jednego chrześcijańskiego uczynku. — Popchnął Sarah do przodu. — Ta biedna sierotka... To dziecko jest zupełnie samo, nie ma nikogo. Potrzebny jej jakiś dom. Mogłabyś ją przyjąć, Trudi, a Bóg opromieni cię swą łaską.

— Czy to jakiś twój kolejny... — Zerknęła przez ramię do kuchni na swoje dwie zaciekawione córki, zniżyła głos i syknęła przez zęby: — Czy to twój kolejny bękart?

— Jej cała rodzina umarła na tyfus.

To był błąd. Ujrzał, jak Trudi pospiesznie odskakuje od dziewczyny.

— To było kilka tygodni temu — dodał szybko. — Ona na pewno nie jest chora. — Widząc, że kuzynka nieco się uspokoiła, ciągnął dalej: — Ja nie mogę się nią zająć. Jesteśmy w podróży, a ona potrzebuje kobiecej opieki.

— I bez niej mamy już zbyt wiele gęb do... — zaczęła Trudi, lecz stojący obok małżonek nie pozwolił jej dokończyć. — Chodź no tu, dziecko! — huknął, a Lothar popchnął Sarah ku niemu. — Jak się nazywasz?

— Sarah, Oom. Sarah Bester.

- Ach, więc jesteś z volku? W twoich żyłach płynie krew prawdziwych Afrykanerów?

Sarah skinęła głową niepewnie.

— A twoi zmarli rodzice brali ślub w Kościele Reformowanym? — Powtórnie skinęła głową. — I wierzysz w Pana, Boga Izraela?

— Wierzę, Oom — szepnęła cichutko. — Mama mnie nauczyła.

— W takim razie nie możemy nie przygarnąć tego dziecka — oznajmił pastor i zwrócił się do swej żony. — Wprowadź ją do środka, kobieto. Bóg o nas zadba. Bóg zawsze dba o swój lud wybrany.

Trudi Biennan westchnęła teatralnie i dotknęła ramienia Sarah.

— Takie chucherko, a umorusane jak Murzyniátko z plemienia Nama.

— A ty, Lotharze De La Rey... — pastor wycelował palcem w pierś Lothara. — Czy miłosierny Bóg nie objawił ci jeszcze, jak bardzo błędzisz, i nie skierował twych kroków na ścieżkę cnoty?

— Jeszcze nie, drogi kuzynie — odparł Lothar, cofając się od drzwi z wyrazem nie skrywanej ulgi na twarzy.

Uwagę pastora przykuł chłopiec, stojący w ciemności za plecami Lothara.

— A to kto?

— Mój syn, Manfred — odparł Lothar obejmując ramiona chłopca obronnym gestem. Pastor podszedł bliżej i nachylił się, by dokładniej obejrzeć twarz Manfreda. Wspaniała ciemna broda zjeżyła mu się, w oczach zapłonął dziki fanatyzm, ale Manfred nie spuścił wzroku. Po chwili dostrzegł, że wyraz tych oczu ulega zmianie. Zalśniły ciepłem, rozblęła w nich iskierka dobrego humoru i współczucia.

— Czy ja cię przerażam, Jong? — Głos pastora przybrał łagodniejszy ton. Manfred potrząsnął głową.

— Nie, Oom... W każdym razie nie bardzo.

Pastor zachichotał.

— Kto cię naucza Słowa Bożego, Jong? — Używał słowa znaczącego „młody człowieku”, „młodzieńcze”.

— Ojciec, Oom.

— No, to niech Bóg cię ma w swej opiece. — Wyprostował się i wycelował brodę w Lothara.

— Wolałbym, żebyś zostawił chłopaka niż dziewczynę — powiedział. Lothar zacisnął mocniej

rękę na ramieniu Manfreda. — Ten młody człowiek wygląda obiecująco, a nam potrzeba dobrych ludzi na służbę Bogu i volku.

— Manfred ma dobrą opiekę — wymamrotał Lothar, nie potrafiąc ukryć swego niepokoju, ale pastor ponownie przeniósł swe onieśmielające spojrzenie na Manfreda.

— Mam przecucie, Jong, że zrzędzeniem Wszchemogącego pisane nam jest znów się spotkać. Kiedy twój ojciec się utopi, zostanie pożarty przez lwa, powieszony przez Anglików albo w jakiś inny sposób pokarany przez Pana Naszego, Boga Izraela, wtedy wróc tutaj. Słyszysz, Jong? Ja cię potrzebuję, potrzebuje cię Bóg i volk! Nazywam się Tromp Bierman, Trąba Pana. Wróc tu, do tego domu!

Manfred skinął głową.

— Wrócę zobaczyć się z Sarah. Obiecałem jej to.

Na te słowa odwaga opuściła dziewczynkę, rozplakała się i chciała się wyrwać Trudi.

— Przestań, dziecko — potrząsnęła nią z irytacją Trudi Bierman. — Przestań się mazgaić. — Sarah przełknęła łzy i zdusiła w gardle szloch.

Lothar odwrócił Manfreda tyłem do drzwi.

— Dziewczyna jest pracowita i pełna dobrej woli, kuzynie. Nie będziecie żałować swego dobrodziejstwa! — zawołał przez ramię syna.

— To się jeszcze okaże — mruknął w powątpiewaniem pastor, kiedy obaj ruszyli z powrotem ścieżką, po czym podniósł głos i zagrział za odchodzącymi:

— Pamiętaj słowa Pana, Lotharze De La Reyu! — zagrział za nimi — „Jam jest Drogą i Światłością. Kto we mnie wierzy...”

Manfred wykręcił szyję i ponad ręką ojca obejrzał się za siebie. Wysoka, posępna sylwetka pastora wypełniała niemal całe drzwi, ale na wysokości pasa wyglądała zza niej mała twarzyczka Sarah — porcelanowobiała w jaskrawym świetle lampy i lśniąca od łez.

10

W miejscu spotkania czekało na nich czterech mężczyzn. W czasie lat desperackiej walki w oddziale partyzanckim wszyscy jego członkowie musieli znać takie punkty zbrojne. Kiedy w trakcie podjazdowej wojny przeciwko armii Związku Południowej Afryki zostawali odcięci od siebie i rozdzieleni oddziałami wroga, szli w rozsypkę i po kilku dniach wędrówki przez veld zbierali się ponownie w jednej ze swych kryjówek.

W takich miejscach zbiórek zawsze była woda, małe źródło w skalnej szczelinie na zboczu wzgórza, buszmeńska studnia albo koryto wyschniętego strumienia, w którym można było się dokopać cennego płynu. Usytuowane były zawsze w pobliżu punktu obserwacyjnego z widokiem na wszystkie strony, aby ścigający wróg nie mógł ich zaatakować z zaskoczenia. Co więcej, gdzieś obok musiało się znajdować pastwisko dla koni i schronienie dla ludzi z żelaznymi racjami żywności.

Miejsce, które Lothar wybrał na spotkanie, miało jeszcze jedną dodatkową zaletę. Znajdowało się pośród wzgórz ledwie kilka kilometrów na północ od domostwa pewnego znakomicie prosperującego hodowcy bydła, Niemca, bliskiego przyjaciela rodziny Lothara, sympatyka, który powinien przymknąć oko na ich obecność na swych ziemiach.

Lothar, Hendrick i Manfred zapuścili się między wzgórz korytem wyschniętego strumienia, które wiło się między nimi jak okaleczony wąż. Szli nie kryjąc się, tak aby oczekujący ujrzeli ich z daleka. Mieli jeszcze trzy kilometry do miejsca spotkania, gdy na skalnej grani przed nimi pojawiła się mała figurka wymachująca rękami na powitanie. Wkrótce dołączyły do niej jeszcze trzy i wszystkie cztery zbiegły w dół poszarpanego zbocza, by spotkać się z Lotharem na dnie doliny.

Prowadził tę czwórkę wojownik „Yark John” czyli „John Świnia”, stary Khoin o żółtej

pomarszczonej twarzy, której rysy świadczyły o niedomiarach krwi Nama, Bergdama, a nawet — jak się chełpił — prawdziwej krwi buszmeńskiej. Jego babką miała rzekomo być Buszmenka schwymana przez Burów w czasie jednej z ostatnich w ubiegłym stuleciu wielkich wypraw po niewolników. Ponieważ jednak był znanym łgarzem, zdania na temat prawdziwości jego rodowodu były mocno podzielone. Tuż za nim schodził Klein Boy, bękarci syn Swarta Hendricka spłodzony z kobietą z plemienia Herero.

Klein Boy podszedł prosto do swego ojca i przywitał się z nim tradycyjnym, pełnym szacunku klepinięciem w dłoń. Był wysoki i równie potężnie zbudowany jak sam Hendrick, ale miał delikatniejsze rysy twarzy, lekko skośne oczy swojej matki i znacznie jaśniejszą skórę, która zależnie od światła zmieniała kolor jak miód dzikich pszczoł. Vark John i Klein Boy pracowali na kutrach w Zatoce Wielorybów. Swart Hendrick wysłał ich przodem, żeby odszukali pozostałych i sprowadzili ich na miejsce zbiórki.

Lothar spojrział na swych dawnych kompanów. Minęło dwanaście lat, od kiedy widział ich po raz ostatni. Pamiętał ich jako nieposkromionych, brawurowych żołnierzy, swoje psy myśliwskie, jak ich nazywał z czułością i absolutnym brakiem zaufania. Bo jak dzikie psy zwróciliby się przeciwko niemu i rozszarpali go w strzępy na pierwszą oznakę słabości.

Teraz przywitał się z nimi, używając ich przydomków z czasów partyzantki: z „Giczołem” z plemienia Oyambo, zwanym tak z powodu bocianich nóg, i „Bawołem”, który nosił głowę zwieszoną na potężnym karku dokładnie jak to właśnie zwierzę. Powitali się kłaśnięciem w dłoń, stuknięciem nadgarstkami i ponownym kłaśnięciem w dłoń, w sposób rezerwowany w oddziale na specjalne okazje, takie jak ponowne zgrupowanie po długim przebywaniu w rozsypce lub po szczególnie udanym wypadzie. Dwanaście lat łatwego życia ogromnie ich zmieniło. Stali się podtatusiałymi, rozlazłymi tłusciochami. Lothar pocieszył się jednak, że czekające ich zadanie nie wymagało szczególnej sprawności.

— No! — uśmiechnął się. — Widzę, że ściągnęliśmy was z tłusciutkich żon i oderwaliśmy od kufelków!

Obaj ryknęli śmiechem.

— Kiedy Klein Boy i John Świnia wymienili twoje nazwisko, nie wahaliśmy się ani chwili — zapewnili go.

— Jasne, jasne, przybyliście tu wyłącznie z poczucia lojalności wobec mnie i miłości, jaką do mnie żywicie... — odparł z jadowitym sarkazmem Lothar. — Tak jak sępy i szakale ciągną do padliny z miłości do zmarłego, a nie po to, żeby się nażreć.

Znów zanieśli się od śmiechu. Jakże brakowało im tej chłosty jego języka.

— John Swinia rzeczywiście wspomniał o jakimś złocie — przyznał.

Bawół między jednym spazmem śmiechu a drugim. — A Klein Boy szepnął, że może znów będzie okazja trochę powalczyć.

— To smutne — wykrztusił Giczoł — ale w moim wieku człowiek może zaspokajać swoje żony tylko raz albo dwa dziennie, a cieszyć się towarzystwem starych kumpli, walczyć i szabrować może na okrągło, dzień i noc! — Zarechotali rubasznie, poklepując się radośnie po ramionach.

Przy wtórce salw śmiechu zostawili za sobą koryto strumienia i wspięli się do starej kryjówki. Była to nisza pod szerokim nawisem skalnym uczernionym sadzą z niezliczonych ognisk. Ścianę w głębi pokrywały rysunki w kolorze ochry wykonane przez małych, żółtych Buszmenów, którzy całe wieki korzystali z tej pieczary przed nimi. Sprzed wejścia do pieczary rozciągał się panoramiczny widok na migocące w dali równiny. Było praktycznie niemożliwe, by ktokolwiek zbliżył się do wzgórza niezauważony.

Czterech przybyłych tu wcześniej mężczyźni napoczęło już żelazne zapasy ukryte w skalnej rozpadlinie znajdującej się niżej na zboczu wzgórza i zamaskowanej kilkoma głazami, które pokryto dodatkowo warstwą gliny z koryta strumienia. Zawartość schowka przetrwała te wszystkie lata w znacznie lepszym stanie niż Lothar przypuszczał. Rzecz jasna żywność była puszkowana, skrzynki z amunicją szczelnie zalutowane, a mauzery nasmarowane grubą warstwą żółtego smaru i owinięte w natłuszczony papier. Przechowały się w idealnym stanie. Suche pustynne powietrze znakomicie zakonserwowało nawet większość uprząży i ubrań.

Urządzili sobie ucztę z pieczonej konserwy wołowej i przyrumienionych okrętowych sucharów. Kiedyś nienawidzili tego pożywienia za jego monotonię, teraz jednak wydało im się pyszne. Przywoływało wspomnienie niezliczonych posiłków z tamtych desperackich czasów, którym upływ lat przydał niepowtarzalnego powabu. Potem przejrzeni uprząż, buty i ubrania, odrzucając to „co zniszczyły insekty, gryzonie i co wyschło na pergamin, a z nadających się do użycia części, natartych porządnie tłuszczem i ponownie solidnie przeszytych, skompletowali dla każdego pełny zestaw odzieży, uprząży i broni.

W trakcie tego zajęcia Lothar uświadomił sobie, że w różnych dzikich zakątkach kraju było kilkanaście takich kryjówek, a na północy, w tajnej bazie nadmorskiej, z której zaopatrywał w paliwo, amunicję i części zamienne niemieckie U-Boaty, musiały nadal spoczywać zapasy wartości wielu tysięcy funtów. Aż do tej pory nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby się do nich dobrać — jakoś zawsze traktował je jako patriotyczny depozyt.

Poczuł, że ta myśl zaczyna go korcić. „Może gdybym wynajął łódź W Zatoce Wielorybów i popłynął wzdłuż wybrzeża...” Wtem z zimnym dreszczem przypomniał sobie, że już nigdy nie ujrzy ani Zatoki Wielorybów, ani w ogóle całej tej krainy. Po tym, co zamierzali zrobić, nie będzie dla nich powrotu.

Zerwał się z ziemi i wielkimi krokami wypadł przed wejście do pieczary. Kiedy powiódł spojrzeniem po brunatnych, spalonych żarem równinach pocętkowanych kępami bożodajni, owładnęło nim przecucie straszliwych nieszczęść i cierpień.

„Czy ja w ogóle mogę być szczęśliwy gdzie indziej? — zastanawiał się. — Z dala od tej surowej i przepięknej krainy? — Czuł, że zaczyna chwiać się w swym postanowieniu. Obejrzał się przez ramię. Manfred przyglądał mu się z chmurną miną. Czy mogę podjąć taką decyzję za syna? — Wpatrywał się przez chwilę w chłopca. — Czy mogę go skazać na wieczną poniewierkę?”

Z wysiłkiem odegnał od siebie te wątpliwości, otrząsając się z nich niczym koń z kłuszącymi much, kiedy chmarą obsiadą mu grzbiet, i przywołał Manfreda. Odprowadził go na bok, aż znaleźli się poza zasięgiem słuchu tych z pieczary, i wtedy opowiedział mu o wszystkim, co ich czekało, rozmawiając z nim jak równy z równym.

— Okradziono nas z wszystkiego, czegośmy się dorobili, Manie. Może nie w oczach prawa, ale w oczach Boga i z punktu widzenia ludzkiej sprawiedliwości. Biblia pozwala nam szukać zadośćuczynienia za oszustwa i wyrządzone krzywdy: oko za oko, ząb za ząb. Ale widzisz, Manie, angielskie prawo uzna nas za przestępców. Przyjdzie nam uciekać, chować się i ukrywać, a oni będą na nas polować jak na dzikie zwierzęta. Jeśli przeżyjemy, będziemy to zawdzięczać wyłącznie swej własnej odwadze i pomysłowości.

Manfred z podniecenia nie mógł ustać w miejscu, wpatrywał się w ojca oczami, w których płonął entuzjazm. To wszystko brzmiało niezwykle romantycznie i ekscytująco. Rozpierała go durna, że ojciec darzy go takim zaufaniem, że omawia z nim tak poważne sprawy jak z dorosłym.

— Przeniesiemy się na północ. W Tanganice, Kenii i Niasie jest dobra ziemia na farmy. Wielu naszych już tam się przeniosło. Oczywiście będziemy musieli zmienić nazwisko i już nigdy tu nie

wrócimy, ale ułożymy sobie jakoś nowe, lepsze życie w nowym miejscu.

— Nigdy nie wrócimy? — Wyraz twarzy Manfreda uległ raptownej zmianie. — Jak to? A co z Sarah?

Lothar puścił to pytanie mimo uszu.

— Może kupimy sobie piękną plantację kawy w Niasie albo na dolnych stokach Kilimandżaro — ciągnął. — Na sawannie Serengeti wciąż jeszcze pasą się wielkie stada dzikiej zwierzyny. Będziemy żyli z farmy i polowania.

Manfred słuchał potulnie, ale nastrój podniecenia zupełnie go opuścił. Jak miał to powiedzieć? Jak miał powiedzieć ojcu: „Tato, ja nie chcę wyjeżdżać w obce strony; chcę zostać tutaj”?

Kiedy wszyscy zapadli w sen i zaczęli chrapać, a z ogniska pozostała tylko kupka rozżarzonych węgli, Manfred jeszcze długo leżał z otwartymi oczyma i rozmyślał o Sarah. Widział jej zamazaną łzami bladą twarzyczkę chochlika i czuł ciepło bijące od jej kruchego ciała, gdy leżała pod kocem obok niego. Po głowie kołatała mu się wciąż ta sama myśl: „Nigdy w życiu nie miałem innego przyjaciela”.

Raptem jakiś dziwny i niepokojący odgłos przywołał go do rzeczywistości. Dobiegał z równiny w dół, wydawało się jednak, że żadna odległość nie jest w stanie pozbawić go dzikiej gwałtowności.

Ojciec zakasłał cicho i usiadł na posłaniu, koc zsunął mu się do pasa. Potworny ryk rozbrzmiał znowu, nabrał niewyobrażalnej mocy, po czym ucichł, powoli przechodząc w serię gardłowych pomruków przywodzących na myśl przedśmiertne rżenie duszącego się potwora.

— Co to jest, tato?!

Włosy zjeżyły mu się na karku, na plecach czuł szczypanie jak po uderzeniu pokrzywą.

— Powiadają, że nawet najodważniejszych ogarnia strach, kiedy pierwszy raz słyszą ten dźwięk — powiedział cicho Lothar. — To jest, synku, łowiecki zew głodnego lwa z Kalahari.

Kiedy o świcie zeszli ze wzgórza na równinę, prowadzący grupę Lothar przystanął nagle i przywołał do siebie syna.

— Słyszałeś jego ryk... a tu masz jego trop.

Przykucnął i dotknął śladu łapy. Ślad miał średnicę dużego talerza, był głęboko odcisnięty w miękkiej żółtej ziemi.

— Maanhar, samotnik, stary samiec. — Lothar obwiodł palcem kontury śladu. W ciągu nadchodzących miesięcy Manfred miał jeszcze nieraz zobaczyć, jak ojciec to robi. Zawsze dotykał każdego tropu i śladu, jakby opuszkami palców chciał wydobyć z niego wszystkie tajemnice. — Widzisz, poduszki ma gładko wytarte, a idąc przenosi ciężar ciała w tył, na kostki łap. Mocniej opiera się na prawej przedniej, musi utykać na lewą. Pewnie trudno mu coś upolować i właśnie dlatego trzyma się w pobliżu rancz. Bydło stanowi łatwiejszą zdobycz niż dzika zwierzyna.

Lothar sięgnął ręką do pobliskiego krzewu i zdjął coś z najniższej kolczastej gałęzi.

— Masz, Manie. — Położył synowi na dłoni kępkę szorstkich płowozłotych włosów. — Zostawił ci kosmyk ze swej grzywy.

Potem wstał, przestąpił trop i sprowadził całą grupę w dół, w rozległą dolinę nawadnianą ciągiem naturalnych źródełek artezyjskich, porośniętą gęstą, wysoką do kolan, soczystą zieloną trawą. Już wkrótce minęli pierwsze stada garbatego bydła o podgardziach sięgaj ących niemal do ziemi i lśniące w porannym słońcu sierści.

Zabudowania ranczo wzniesiono powyżej źródełek i otoczono je plantacją egzotycznych palm daktylowych sprowadzonych z Egiptu. Był to stary niemiecki fort z czasów kolonialnych, pozostałość po wojnie z plemieniem Herero z roku 1904, kiedy to w całym kraju wybuchło powstanie przeciwko

okrucieństwu niemieckich kolonizatorów. Do Hererów dołączyły nawet plemiona Bondelswart i Nama i aby stłumić ten bunt, trzeba było wysłać dwadzieścia tysięcy białych żołnierzy i wydać sześćdziesiąt milionów funtów. W ostatecznym rozrachunku po stronie kosztów znalazło się dwa i pół tysiąca zabitych niemieckich żołnierzy i oficerów oraz siedemdziesiąt tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci z plemienia Herero, zastrzelonych, spalonych żywcem i zagłodzonych na śmierć. Liczba zabitych stanowiła niemal dokładnie siedemdziesiąt procent liczebności całego plemienia.

Domostwo pełniło pierwotnie funkcję fortu granicznego zbudowanego w celu odpierania ataków Hererów. Jego grube pobielone mury zewnętrzne miały w regularnych odstępach otwory strzelnicze, a centralna wieża zwieńczona była blankami i zakończona masztem, z którego nadal butnie powiewała flaga z niemieckim orłem cesarskim.

Hrabia dostrzegł ich z daleka, kiedy wzbijając tumany kurzu schodzili drogą obok źródełek, i wysłał po nich dwukólkę. Należał do pokolenia matki Lothara, lecz wciąż jeszcze trzymał się prosto, był wysoki i szczupły. Błada szrama po pojedynku marszczyła mu jeden kącik ust, manieri miał staroświeckie, zachowywał się bardzo oficjalnie. Odesłał Swarta Hendricka do pomieszczeń w skrzydle dla służby, po czym wprowadził Lothara i Manfreda do chłodnego, mrocznego głównego holu, gdzie hrabina zdążyła już przygotować kilka czarnych butelek dobrego niemieckiego piwa, a także kilka kufli imbirowego piwa domowej roboty.

W czasie gdy brali kąpiel, służące wyniosły ich ubranie i zwróciły je po godzinie, wyprane i wyprasowane; buty wypastowano i wyglansowano do połysku. Na obiad podano kruchą krzyżówkę cielejącą w wonnym sosie własnym, a do tego wspaniałe reńskie wino. Potem, ku nieopisanemu zachwytowi Manfreda, wniesiono tuzin różnych tortów, kremów i biszkoptów, gdy tymczasem dla Lothara największą ucztą była cywilizowana rozmowa z gospodarzem i gospodynią. Jakże przyjemnie było podyskutować o książkach i muzyce, posłuchać bezbłędnej niemczyzny gospodarzy, ich przepięknej wymowy.

Kiedy Manfred nie mógł już przełknąć ani kęsa i musiał obiema rękami zasłaniać ziewnięcia, pokojówka z plemienia Herero odprowadziła go do jednej z gościnnych sypialni. Hrabia nalał Lotharowi sznapsa i podsunął mu pudełko hawan, a jego żona zaczęła się krzątać wokół srebrnego czajniczka z kawą. Kiedy cygara żarzyły się już równo, hrabia przeszedł do sedna sprawy.

— Otrzymałem list, który wysłałeś do mnie z Windhoek. Wiadomość o nieszczęściach, jakie cię dotknęły, wprawiła mnie w głębokie przygnębienie. Nastaly ciężkie czasy dla nas wszystkich. — Przetarł monokl o rękaw, wcisnął go z powrotem w oczodół i spojrzał ponownie na Lothara. — Twoja świętej pamięci matka była wspaniałą kobietą. Nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobił dla jej syna. — Urwał, zaciągnął się z lubością dymem i uśmiechnął się delektując się jego wspaniałym aromatem. — Niestety...

Na to słowo Lothar poczuł kurcz zawodu. Nieodmiennie zwiastowało odmowę lub rozczarowanie.

— ...niestety niecałe dwa tygodnie przed otrzymaniem twojego listu zjawił się u mnie kwatermistrz z departamentu uzupełnień oddziałów konnych armii i sprzedałem mu wszystkie zbędne na rancho wierzchowce. Zatrzymałem sobie tylko tyle sztuk, ile muszę mieć na własne potrzeby.

Chociaż na nowo założonym pastwisku wokół hacjendy pasło się co najmniej czterdzieści znakomitych zwierząt, Lothar skinął tylko ze zrozumieniem głową.

— Oczywiście mam parę świetnych mułów, dużych silnych zwierząt, które mógłbym ci odstąpić za symboliczną cenę... powiedzmy pięćdziesięciu funtów.

— Za parę? — spytał z szacunkiem Lothar.

— Za sztukę — odparł stanowczo hrabia. — Natomiast jeśli chodzi o pozostałe sugestie zawarte



w twoim liście... Otóż kieruję się niezłomną zasadą, by nigdy nie pożyczać pieniędzy przyjaciołom. Pozwała ona uniknąć utraty i przyjaciela, i pieniędzy.

Lothar puścił to credo mimo uszu i powrócił do wcześniejszej uwagi hrabiego.

— A ten kwatermistrz... Czy on skupuje konie w całej okolicy?

— Z tego co zrozumiałem, nabył ich już ponad sto. — Hrabia nie skrywał ulgi, że Lothar z taką kulturą przyjął jego odmowę. — Wszystko wspaniałe zwierzęta. Interesowały go wyłącznie najlepsze zahartowane, odporne na ochwacenie.

— I pewnie wysłał je już koleją na południe?

— Chyba nie — pokręcił głową hrabia. — W każdym razie nie zrobił tego jeszcze, kiedy ostatni raz coś o nim słyszałem. Trzyma je nad jeziorkiem w korycie rzeki Swakop, po drugiej stronie miasta, żeby wypoczęły i nabrały sił przed podróżą. Słyszałem, że ma zamiar załadować je na wagony dopiero wtedy, gdy zbiera ich sto pięćdziesiąt.

Fort opuścili następnego ranka po niebywale sutym śniadaniu składającym się z kiełbas, zimnych mięs i jaj. Wsiedli we trzech na krzepkiego szarego muła, za którego hrabia wziął w końcu dwadzieścia funtów i dla dobrego targu dorzucił jeszcze uździennicę.

— Jak tam pomieszczenia dla służby? — spytał Lothar Hendricka.

— Dla niewolników, nie dla służby — sprostował Murzyn. — Mogliby tam człowieka zamorzyć głodem, a z tego co słyszałem, hrabia potrafi także zachłostać na śmierć. — Westchnął ciężko. Gdyby nie dobre serduszko najmłodszej z pokojówek, która nie poskapiła mi... — Lothar szturchnął go mocno w żebra i pokazał ostrzegawczo wzrokiem na Manfreda, a Hendrick ciągnął gładko dalej: — Widzę, że będziemy wszyscy razem uciekać na jednym starym mule o zapadniętym karku. Nigdy nie dogonią tego śmigłego jak gazela stworzenia. — Poklepał muła po tłustym zadzie, a zwierzę nie zwróciło na to żadnej uwagi. Kroczyło dalej rozkołysanym chodem, tupiąc kopytami po zakurzonej drodze.

— Użyjemy go do polowania — odparł Lothar i wyszczerzył zęby w uśmiechu na widok zdumienia Hendricka.

Po powrocie do kryjówki Lothar zabrał się szybko do roboty i sporządził dwanaście par juków na amunicję, żywność i sprzęt. Zapakował je, zawiązał i ułożył przy wejściu do jaskini.

— No dobra — mruknął Hendrick. — Mamy już juki. Teraz trzeba nam tylko koni.

— Powinniśmy zostawić kogoś na straży — zignorował go Lothar — ale wszyscy będą mi potrzebni.

Wyciągnął z kieszeni pieniądze i dał pięć funtów Johnowi Świni, najmniej godnemu zaufania członkowi grupy.

— To wystarczy, żeby kupić całą balię Cape Smoke — upomniał go — a jedna jej szklanka kładzie trupem bawołu. Ale zapamiętaj sobie dobrze, John: jeśli schlasz się tak, że kiedy przyjdzie pora pryskać, nie będziesz mógł się utrzymać w siodle, nie zostawię cię policji, żeby mogła sobie ciebie przesłuchać. Znajdą cię z kulką we łbie. Przysięgam.

John Świnia schował banknot za potnik swego kapelusza o opadającym na oko rondzie.

— Nie wezmę do ust nawet kropelki — zapewnił przymilnie. — Przecież Baas wie, że trunki, kobiety i pieniądze są u mnie bezpieczne jak w banku.

Do Okahandji było prawie trzydzieści kilometrów, toteż John Swinia wyruszył natychmiast w powrotną drogę do miasta, by znaleźć się tam odpowiednio wcześniej. Reszta grupy z Manfredem prowadzącym za uzdę muła zaczęła schodzić ze wzgórza.

Od poprzedniego dnia nie było wiatru, trop lwa rysował się wyraźnie, nie uległ zatarciu, mimo iż ziemia była tu pylista. Myśliwi, wszyscy uzbrojeni w nowe mauzery, z pasami amunicyjnymi

zapiętymi na ukos przez pierś, rozsypali się wachlarzem po obu stronach tropu i pobiegli truchtem.

Lothar ostrzegł Manfreda, by trzymał się sporo w tyle. Mając wciąż jeszcze w uszach przerażający ryk lwa, chłopiec z przyjemnością włókł się noga za nogą u boku objuczonego muła. Myśliwi zniknęli w przodzie, ale oznaczyli mu drogę ułamanymi gałązkami i nacięciami na pniach bożodajni, więc bez trudu posuwał się ich śladem.

W niecałą godzinę znaleźli miejsce, gdzie stary płowy kocur upolował jedną z jałówek hrabiego. żywił się nią, póki nie zostały z niej tylko łeb, kopyta i grubsze kości. Ale nawet z nich wyssał resztki mięsa i szpik, co dowodziło, jak bardzo był wygłodzony i z jakim trudem udawało mu się coś upolować.

Lothar i Hendrick szybko okrążyli stratowany obszar miejsca mordy i uczyty i niemal natychmiast natrafili na odchodzący trop.

— Odszedł stąd zaledwie godzinę, dwie temu — ocenił Lothar, a kiedy jedno ze źdźbeł trawy zdeptanej łapami wielkiego kota odgięło się powoli i na jego oczach o własnych siłach wyprostowało, uściślił szacunek: — Niecałe pół godziny temu. Może nawet usłyszał, jak nadchodzimy.

— Nie. — Hendrick dotknął odcisku łap długą, odartą z kory gałęzią, którą niósł ze sobą. — Raczej zmierza nad rzekę, czyli w stronę miasta, co jak najbardziej nam odpowiada.

Przerzucił mauzera na drugie ramię, nakazał gestem swoim ludziom zachować rozciągnięty szyk i zaczęli się wspinać na łagodne zbocze utwardzonej wydmy. Nim dotarli do jej szczytu, lew wypadł z ukrycia za niską kępą krzewów dokładnie na wprost nich i wyciągniętym kocim kłusem rzucił się do ucieczki przez otwarty teren. Napchany mięsem brzuch kołysał mu się ociężale przy każdym kroku jak ciężarnej samicy. Choć odległość była duża, wzdłuż całej linii myśliwych rozległy się podobne do trzaśnięć z bicia strzały — Giczoł, Bawół i Klein Boy otworzyli ogień. Kule wzbily kurz daleko po bokach i z tyłu zwierzęcia. Poza jednym Hendrickiem wszyscy ludzie Lothara byli fatalnymi strzelcami. Nigdy nie zdołał im wytłumaczyć, że prędkość kuli nie zależy od siły, z jaką się naciska cyngiel, ani oduczyć zaciskania oczu w chwili, gdy wysiłkiem całego ciała wyrzucali pocisk z lufy.

Pierwsza kula Lothara wzbija obłoczek piasku pod brzuchem zwierzęcia. Zle ocenił odległość, na otwartej pustyni zawsze był z tym kłopot. Nie odejmując kolby od ramienia zarepetował mauzera i uniósł lufę, aż muszka sunęła tuż ponad zmierzwioną, rozwianą rudą grzywą lwa.

Po następnym strzale klaśnięcie kuli w bok zwierzęcia dotarło wyraźnie aż do linii myśliwych. Lew szarpnął się, zgubił krok i rzucił łbem do tyłu, próbując dosięgnąć kłami miejsca trafienia, po czym stulił uszy, jeszcze raz wyciągnął się w galopie i warcząc z bólu i wściekłości zniknął za grzbietem najbliższego wzniesienia.

— Nie ujdzie daleko! — zawołał Hendrick i machnięciem ręki nakazał myśliwym ruszać przed siebie.

Lew jest sprinterem. Swym oszałamiającym cwałem może pokonać tylko krótki dystans, potem znów musi zwolnić do truchtu. Jeśli nadal na niego nastawać, odwróci się i zaatakuje.

Lothar, Hendrick i Klein Boy, najsilniejsi i najsprawniejsi z całej grupy, wysforowali się do przodu.

— Krew! — krzyknął Hendrick, kiedy dotarli do miejsca, gdzie lew został trafiony kulą Lothara. — Krew z płuc! — Szkarłatne rozbryzgi biegnące obok zakrwawionego tropu były spienione od wydostającego się z przebitych płuc powietrza.

— Pasop! — zawołał Lothar na zboczu wzniesienia, za którym zniknął lew. — Uważać! Na pewno się na nas... — I nim zdążył dokończyć ostrzeżenia, lew zaatakował.

Przyczał się w kępie sansewierii, przytulony do ziemi, rozpląszczony, z uszami położonymi po

sobie i w chwili, gdy Lothar wyłonił się zza szczytu, rzucił się na niego z odległości zaledwie piętnastu metrów.

Szarżował nisko przy ziemi, na ugiętych łapach, z uszami nadal przytulonymi do łba. Z szerokim płaskim czołem i nastroszoną grzywą wyglądał jak atakująca kobra, nieubłagane ślepia jarzyły się żółto. Płoworuda grzywa tak mu się jeżyła, że wydawał się rozrastać do monstrualnych rozmiarów, a z rozwartej, obrzeżonej kłami paszczy dobył się tak porażający ryk, że Lothar mimowolnie drgnął i o ułamek sekundy spóźnił się ze strzałem. Kiedy przycisnął kolbę mauzera do ramienia, lew poderwał się już do morderczego skoku, przesłonił wszystko swym ogromnym cielskiem, a z jego rozdartych płuc trysnął Lotharowi w twarz różowy obłok krwi.

Instynkt podpowiadał, by natychmiast strzelać w ogromne, kosmate cielsko lwa wznoszące się nad nim na zadnich łapach, ale Lothar zmusił się, by zmienić cel. Trafienie w klatkę piersiową lub szyję nie przeszkodziłoby bestii go rozszarpać. Kule do mauzera były lekkie, nie na wielką zwierzynę, lecz na ludzi. Taki strzał zablokowałby system nerwowy lwa i wpompował mu do krwioobiegu adrenalinę. Przy małej odległości tylko trafienie prosto w mózg mogło skutecznie unieszkodliwić drapieżnika.

Strzelił w chwili, kiedy wylot lufy dotykał już prawie zwierzęcia, prosto między rozdęte różowe nozdrza. Kula przebiła czoło między ślepiami, żółty jak masło mózg i wyszła z tyłu czaszki — ale zwierzę zachowało impet, jaki nadała mu szarża. Ogromne cielsko runęło na Lothara, uderzyło go w pierś i wytrąciło mu z ręki karabin, który poszybował szerokim młynkiem w bok, a sam Lothar poleciał do tyłu, przekoziółkował przez ramię i zarył twarzą w ziemię.

Hendrick z przerażeniem w oczach chwycił go pod pachy, dźwignął do pozycji siedzącej i otarł mu usta i nos z piachu. Dopiero kiedy Lothar słabo odepchnął jego ręce, uspokoił się i uśmiechnął.

— Starzejesz się, baas, i tracisz refleks — roześmiał się.

— Podnoś mnie, zanim Manie zobaczy — warknął Lothar. Hendrick otoczył go ramieniem i dźwignął na nogi.

Lothar zatoczył się, wsparł ciężko na Hendricku i przycisnął ręką skroń w miejscu, którym uderzył o ziemię, ale już wydawał rozkazy.

— Klein Boy, Giczoł! Wracać biegiem do muła! Przytrzymajcie go, nim poczuje lwa, bo wyrwie się Maniemu i bryknie!

Wyswobodził się z objęć Hendricka i chwiejnie podszedł do zabitego zwierzęcia. Leżało na boku, roztrzaskany łeb zaczynały już obsiadać muchy.

— żeby go załadować, będzie nam potrzebna każda para rąk i kupa szczęścia.

Lew był stary, wychudzony, okaleczony i pokryty bliznami po latach polowań w porośniętym kolczastą roślinnością yeldzie, sierść miał rzadką i skołtunioną, ale obżarty po ostatniej uczcie musiał ważyć dobre dwieście kilogramów. Lothar podniósł z piasku karabin, wytarł go starannie, oparł o iwa i pospieszył na drugą stronę wzniesienia, nadal utykając po upadku i rozcierając sobie szyję i skroń.

Ujrawszy zbliżającego się muła z siedzącym na jego grzbiecie Manfredem, zaczął biec.

— Zabiłeś go, tato? — spytał z podnieceniem Manfred. Słyszał z daleka odgłos wystrzałów.

— Tak. — Lothar ściągnął go bezceremonialnie z karku muła. — Leży tuż za tą wydumą.

Sprawdził uździennicę. Była nowa i mocna, lecz mimo to przywiązał do żelaznego kielzna dwie dodatkowe liny i przy każdej z nich postawił dwóch ludzi. Potem starannie zawiązał mułowi oczy paskiem płótna.

— No dobra, zobaczmy, jak to przyjmie.

Czterech mężczyzn pociągnęło z całych sił za liny uwiązane do uzdy, ale muł zaparł się kopytami,

buntując się przeciwko zasłonięciu oczu i nie ruszył z miejsca.

Lothar zaszedł zwierzę od tyłu, bacząc pilnie, by nie znaleźć się w zasięgu jego tylnych kopyt, i wykręcił mu ogon. Muł stał, jakby wrósł w ziemię. Lothar pochylił się i ugryzł go w nasadę ogona, zatapiając zęby głęboko w miękkim, delikatnym ciele. Muł wierzgnął obiema tylnymi nogami naraz, wyrzucając kopyta na wysokość łba.

Lothar ugryzł go jeszcze raz. Zwierzę skapitulowało i wbiegło truchtem na wydnię. Kiedy jednak znalazło się na jej szczycie, słaby wietrzyk zmienił kierunek i wypełnił mułowi nozdrza świeżym, przenikliwym zapachem lwa.

Zapach lwa działa w niewiarygodny sposób na wszystkie zwierzęta, dzikie i udomowione, nawet na przedstawiciele gatunków, które nigdy, ani dziś, ani w najbardziej zamierzchłej przeszłości nie zetknęły się z lwami.

Ojciec Lothara wszystkie swoje psy myśliwskie wybierał w ten sposób, że kiedy jeszcze były szczeniakami, podawał im do wączania kawałek surowej, mokrej lwiej skóry. Większość szczeniaków piszczała z przerażenia i uciekała z podkulonym ogonem. Bardzo nieliczne, nie więcej niż jeden na dwadzieścia, prawie zawsze suki, pozostawały na miejscu, choć i im jeżył się włos na całym ciele i drżały od ogona po czubek nosa, wstrząsane zduszonym, gardłowym warczeniem. Te właśnie psy zatrzymywał.

Teraz muł poczuł lwa i wpadł w szal. Kwicząc przeraźliwie stanął dęba, trzymający końce lin poszybowali w powietrze, a Lothar ledwie zdążył umknąć spod wierzgających kopyt. W następnej chwili muł zerwał się do ociężałego galopu i wlokąc za sobą czterech potykających się, przewracających i klnących na czym świat stoi mężczyzn, zaczął się przedzierać przez cierniste krzewy i kamieniste koryta wyschniętych strumieni. Zatrzymał się dopiero pół kilometra dalej, w chmurze wzniesionego przez siebie samego kurzu, zlany potem, robiąc ciężko bokami i drżąc na całym ciele z obłądnego strachu.

Ponownie założyli mu opaskę na oczy, dobrze ją umocowali i zawlekli go z powrotem, lecz w momencie, w którym poczuł lwa, wszystko powtórzyło się od nowa, choć tym razem zmęczenie i ciężar ciał czterech ludzi sprawiły, że zdołał przebiec tylko dwieście kilkadziesiąt metrów.

Jeszcze dwukrotnie podprowadzali go do zabitego lwa i dwukrotnie zrywał się do ucieczki, ale za każdym razem krótszej. W końcu stanął na drżących nogach, ociekając potem ze zmęczenia i przerażenia, a oni zarzucili mu padło na grzbiet i chcieli związać łapy lwa na piersi. Tego było mu już za wiele. Ciało złała mu kolejna fala potu, stanął dęba i wierzgając tylnymi nogami wyrzucał w górę zad dotąd, aż martwy ładunek ześliznął mu się z karku i zwałił na ziemię.

Szarpali się z nim i mocowali, aż trząsał się żałośnie i dyszał jak kowalski miech, ale po godzinie zmagania udało im się wreszcie zarzucić mu lwa na grzbiet i porządnie umocować.

Wtedy Lothar pociągnął za koniec uzdy, a zwierzę potulnie powlokło się za nim w stronę zakola rzeki.

11

Z wierzchołka jednego z niskich zalesionych pagórków Lothar powiódł wzrokiem po dachach miasteczka leżącego na przeciwległym brzegu rzeki Swakop i sterczącej spomiędzy nich wieży kościoła. Rzeka zataczała w tym miejscu szeroki łuk, w którego zagięciu, dokładnie u ich stóp, zieleniły się trzy niewielkie jeziora o żółtych, piaszczystych brzegach. Koryto wypełniało się wodą tylko w krótkich okresach po obfitych deszczach.

Żołnierze sprowadzali konie z kolczastych korralów na brzegu rzeki i poili je w jeziorach przed zamknięciem z powrotem na noc. Hrabia miał rację — oficer zaopatrzeniowy armii kupował tylko najlepsze zwierzęta. Lothar przyglądał im się chciwie przez lornetkę. Pustynnego chowu, potężne,

tryskające energią, swawoliły i goniły się na brzegach jeziorzek albo wierzgając nogami tarzały się w piachu.

Przeniósł wzrok na poganiaczy. Naliczył ich pięciu, zwykłych kolorowych szeregowych w polowych mundurach. Rozglądał się za białymi oficerami, ale na próżno.

— Pewnie są w obozie — mruknął do siebie i nastawił lornetkę na grupkę brązowych wojskowych namiotów rozbitych za zagrodami dla zwierząt.

Zza pleców dobiegł go cichy gwizd. Obejrzawszy się zobaczył, że Hendrick macha do niego z podnóża pogórka. Odczołgał się tyłem ze szczytu i na czworakach spęłzył na dół. Muł stał spętany w cieniu, nadal objuczony swym krwawym ładunkiem. Już się z tym prawie pogodził, choć od czasu do czasu mimowolnie wzdrygał się i przestępował nerwowo z nogi na nogę. Ludzie rozłożyli się pod rzadkimi gałęziami bożodajni i posilali wołowiną z puszek. Kiedy Lothar podszedł bliżej, z ziemi podniósł się John Świnia.

— Spóźniłeś się — warknął Lothar i chwyciwszy go za poły skórzanej kamizelki, przyciągnął do siebie, by powąchać czym mu pachnie z ust.

— Ani kropelki, szefie — zaskamlał John. — Przysięgam na dziewictwo mojej siostry!

— Nie zaklinaj się na mityczne stwory. — Lothar puścił Johna i spojrzał na torbę stojącą u jego stóp.

— Dwanaście flaszek. Tak jak szef kazał.

Lothar otworzył sakwę i wyjął butelkę słynnej Cape Smoke. Korek był zalakowany woskiem, a oglądana pod światło brandy miała jadowicie brunatną barwę.

— Czego się dowiedziałeś w miasteczku? — Włożył butelkę z powrotem do sakwy.

— W obozie jest siedmiu poganiaczy...

— Ja naliczyłem pięciu.

— Siedmiu — podtrzymał kategorycznie swoją wersję John. Lothar przystał na nią z chrząknięciem.

— A co z białymi oficerami?

— Pojechali wczoraj w stronę Otjiwarongi dokupić koni.

Lothar zerknął na słońce.

— Za godzinę się ściemni. Bierz brandy i idź do obozu.

— Co mam im powiedzieć?

— Że sprzedajesz oryginalną Cape Smoke, bardzo tanio, i daj jej im spróbować. Jesteś znanym łągarzem, mów co ci ślina przyniesie na język.

— A jak nie będą chcieli pić?

Lothar skwitował śmiechem tę absurdalnie nieprawdopodobną ewentualność i nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć.

— My się zjawimy po wschodzie księżyca, kiedy wzejdzie ponad wierzchołki drzew. To ci da cztery godziny na zmiękczenie ich tą twoją brandy.

Z głośnym pobrzękiwaniem butelek John zarzucił sakwę na ramię.

— I pamiętaj, John... Będziesz trzeźwy albo zostawię cię tu martwego. Mówię to śmiertelnie poważnie.

— Czy Baas ma mme za jakieś zwierzę, które me umie się kulturalnie napić? — odparł z urażoną godnością John i sztywno wyprostowany pomaszerował w stronę obozu.

Lothar patrzył ze swego punktu obserwacyjnego jak John przecina wyschnięte koryto i przygięty pod ciężarem sakwy wspina się na przeciwległy brzeg rzeki Swakop. Przed korralem został zatrzymany przez strażnika i wdał się z nim w dłuższą rozmowę. W końcu żołnierz odstawił karabin i

zajrzał do torby, którą John przed nim otworzył.

Mimo odległości i zapadającego zmroku dało się dojrzeć błysk białych zębów strażnika, gdy roześmiał się uszczęśliwiony i odwrócił w stronę obozu, by przywołać kolegów. Dwóch z nich wyłoniło się z namiotów w bieliźnianych gatkach. Rozgorzała długa dyskusja, której towarzyszyła gorączkowa gestykulacja, poklepywanie się po ramionach i ożywione potrząsanie głowami, aż wreszcie John odkorkował jedną z butelek i podał ją strażnikom. Butelka szybko przechodziła z rąk do rąk, każdy z pijących unosił ją na chwilę denkiem do nieba, jak trębacz grający sygnał do ataku, potem chwycił z trudem powietrze i szczerzył zęby w uśmiechu, ocierając załzawione oczy. W końcu John został wprowadzony z honorami do obozu i taszcząc swą torbę zniknął Lotharowi z oczu.

Słońce zaszło, nastąpiła noc, ale Lothar pozostał na posterunku na szczycie pagórka. Jak żeglarz czujnie badał siłę i kierunek kapryśnie zmiennego nocnego wietrzyku. Godzinę po zapadnięciu ciemności ciepły wiatr ustalił się i zaczął wiać równo zza pleców.

— Zeby się tylko utrzymał — mruknął Lothar i zagwizdał cicho, naśladując krzyk sówki rogatej. Hendrick wdrapał się do niego niemal natychmiast. Lothar pokazał mu kierunek wiatru.

— Idź w górę rzeki, przetnij koryto i zatocz koło wokół obozu. Byle nie za blisko. Potem zawróć i trzymaj się cały czas dokładnie pod wiatr.

W tej samej chwili zza rzeki dobiegł słaby krzyk. Poderwali głowy. Ognisko przed namiotami rozrosło się do takich rozmiarów, że strzelające w górę płomienie lizały dolne konary rozłożystej bożodajni. Na ich tle widać było ciemne sylwetki kolorowych żołnierzy.

— Co oni, do diabła, wyprawiają? — zdziwił się Lothar. — Biją się czy tańczą, jak myślisz?

— Zaprawili się już tak, że sami pewnie nie wiedzą — zachichotał Hendrick. Ciemne sylwetki wirowały wokół ogniska, szczepiały się ze sobą i zderzały, padały w kurz, pełzały na czworakach lub z największym wysiłkiem dźwigały się na nogi po to tylko, by pochwiać się chwilę w szerokim rozkroku i z powrotem runąć na ziemię. Któryś z żołnierzy rozebrał się do naga i zaczął wywijać dzikie piruety. Jego szczupłe żółte ciało błyszczało od potu. Chwilę później zatoczył się i zwałił w ognisko. Dwóch kompanów wyciągnęło go za nogi z płomieni i wszyscy trzej zaczęli zarykiwać się ze śmiechu.

— Pora na ciebie, Henny — powiedział Lothar, poklepując go po ramieniu. — Weź ze sobą Maniego, niech ci trzyma konie.

Kiedy wielki Oyambo ruszył w dół zbocza, Lothar zawołał jeszcze za nim półgłosem: — Manie jest pod twoją opieką. Odpowiadasz za niego głową!

Hendrick nic nie odpowiedział i rozplątał się w ciemności. Pół godziny później mignęli Lotharowi w poświęcie gwiazd, ciemne rozmazane cienie na tle jaśniejszego koryta rzeki, i zniknęli w zaroślach na brzegu.

Horyzont pojaśniał, gwiazdy na wschodzie zbladły, na niebo wypełził księżyc. Dzikie harce w obozie po drugiej stronie rzeki ustały, żołnierze zapadli w pijacki sen. Przez lornetkę dało się wyłowić w mroku zarysy ich ciał, rozrzuconych bezładnie jak na pobojuwisku. Jeden z powalonych trunkiem niezwykle przypominał Johna Świnie, trudno jednak było mieć zupełną pewność, gdyż leżał twarzą do ziemi, w głębokiej ciemności po przeciwnej stronie ogniska.

— Jeśli to rzeczywiście on, to już jest trupem — poprzysiągł sobie Lothar, wstając z ziemi. Pora było ruszać, bo księżyc wyłonił się już zza horyzontu, rogaty i błyszczący jak podkowa prosto z kuźni kowala.

Lothar ostrożnie zszedł z pagórka. Mul parsknął i rozdymał nozdrza wciąż uginając się żałośnie pod przerażającym ładunkiem.

— No, już niedługo — mruknął Lothar i pogłaskał go po czole. — Dobrze się spisałeś, staruszk.

— Poluźnił uzdę, zdjął mułowi pęta, przewiesił sobie mauzer przez ramię i poprowadził zwierzę wokół pagórka w stronę rzeki.

O tym, by podkraść się niepostrzeżenie, nie mogło być mowy. Wielki jasny muł i dźwigany przez niego ciężar wykluczały taką możliwość. Kiedy brnęli przez piaszczyste koryto rzeki, Lothar zdjął z ramienia karabin, załadował go i choć nie przewidywał żadnych niespodzianek, nie spuszczał oczu z linii drzew porastających nabrzeżną skarpe.

Ognisko wygasło, panowała absolutna cisza. Dopiero kiedy wspięli się na brzeg, dobiegły go tupnięcia kopyt i ciche, nerwowe parsknięcia jednego z koni w korralu. Wiatr nadal trzymał kierunek, wiał prosto zza pleców. Jeszcze chwila i z zagrody dobiegł przejmujący, niespokojny kwik.

— I o to chodzi... — mruknął Lothar, podprowadzając muła do kolczastej ściany. — Dobrze sobie powąchajcie.

Tupot przybrał na sile, zdenerwowane zwierzęta zaczęły kręcić się w kółko, tłoczyć i przepychać. Panika wywołana zapachem zakrwawionego lwiego padła była niezwykle zaraźliwa; w kilka sekund ogarnęła całe stado. Któryś z koni zarżał przerażony i natychmiast wszystkie zaczęły stawać dęba. Ponad krawędzią kolczastej ściany korralu ukazały się ich rozdęte chrapy, rozwiane grzywy i tłukące powietrze przednie nogi.

Tuż pod nawietrzną ścianą zagrody Lothar zatrzymał muła i przeciął sznur, którym przywiązany był lew. Scierwo zważyło się na ziemię, powietrze uszło mu z płuc przez martwe gardło ze zduszonym ni to sapnięciem, ni to pomrukiem. Stłoczone pod przeciwległą ścianą zagrody zwierzęta zakwiczały przeraźliwie, szarpnęły się do tyłu i zaczęły kręcić szaleńczo po korralu w jednym wielkim wirze końskich ciał.

Lothar schylił się i rozplątał brzuch lwa od krocza po spojenie żeber, wbijając nóż tak głęboko, by rozciąć pęcherz i zwoje jelit. Duszący smród buchnął ze zdwojoną mocą.

W zagrodzie zapanował kompletny chaos. Całe stado w nieopisanym tumultie naparło na przeciwległą ścianę korralu, próbując umknąć przed przerażającym zapachem. Lothar podniósł karabin do ramienia, wycelował ledwie kilka metrów nad głowami oszalałych koni i opróżnił magazynek. Rozległ się grzechot następujących tuż po sobie wystrzałów, błyski ognia z lufy oświetliły zagrodę i całe stado w jednym zgodnym zrywie wyłamało zagrodę, przedarło się przez powstałą wyrwę i pogalopowało z wiatrem ciemną rzeką o spienionych falach rozwianych grzyw, dokładnie w stronę czekającego ze swymi ludźmi Hendricka.

Lothar błyskawicznie spętał muła i skoczył w stronę dogasającego ogniska; ładując w biegu karabin. Jeden z żołnierzy, wyrwany zgiełkiem z pijackiego zamroczenia, zebrał się z ziemi i chwiejnym krokiem brnął z determinacją w stronę zagrody.

— Konie! — krzyczał bełkotliwie. — Konie! Wstawać pijusy! Wstawać! Musimy połapać konie! — W tym momencie ujrzał Lothara. — Pomóż mi! Konie...

De La Rey zdzielił go od dołu w brodę kolbą mauzera. Rozległo się głośnie szczęknięcie zębami, żołnierz usiadł na piasku i powoli rozciągnął się w powrotem na ziemi. Lothar przeskoczył go i popędził dalej.

— John! — zawołał gorączkowo. — John, gdzie jesteś?

Odpowiedzi me było. Minał ognisko i podbiegł do nieruchomej postaci, którą wypatrzył przez lornetkę ze szczytu pagórka. Kopnięciem nogi odwrócił ją na plecy. John Świnia spojrzał w księżyc niewidzącymi oczyma, z błogim uśmiechem na pomarszczonej żółtej twarzy.

— Wstawaj! — Lothar kopnął go z całej siły w bok. Uśmiech na twarzy leżącego me stracił me ze swej błogości. John Świnia już dawno zatracił wszelką zdolność odczuwania bólu. — No, dobra, ostrzegalem cię!

Zarepetował mauzera, odciągnął kciukiem bezpiecznik i przystawił Johnowi lufę do głowy. Gdyby policja dostała go w swe ręce żywego, już po kilku smagnięciach biczem ze skóry hipopotama wyśpiewałby wszystko, co wiedział. A choć nie znał szczegółów, wiedział dość, żeby zniweczyć cały plan i doprowadzić do rozesłania listu gończego za Lotharem za kradzież koni i działanie na szkodę armii. Wybrał luz jęczyczka spustowego.

„To za mało — pomyślał ponuro. — Powinienem go zachłostać na śmierć.” Ale zdjął palec ze spustu i przeklinając się za własną głupotę zasunął bezpiecznik i pobiegł po muła.

Mimo iż John Świnia był drobny i chudy, Lothar musiał zebrać wszystkie siły, by zarzucić bezwładne, lejące się przez ręce ciało na grzbiet muła. Zawisł na nim jak susząca się bielizna na sznurku, z rękami zwieszonymi z jednej, a nogami z drugiej strony. Lothar wskoczył na zad zwierzęcia, pognął je do najszybszego biegu, na jaki je było stać, niezdarnego, ociężałego kłusa, i skierował się dokładnie z wiatrem.

Ujechawszy kilometr zaczął już podejrzewać, że musiał minąć się ze swymi ludźmi, i miał właśnie zwolnić, gdy z ciemności tuż przed nim wyłonił się Hendrick.

— Jak wam idzie? Ile wyłapaliście? — spytał z niepokojem Lothar.

— Tyle, że zabrakło nam uzd — odparł ze śmiechem Oyambo.

Jego ludzie najpierw schwytali konie dla siebie, a potem dosiadłszy ich na oklep, odcinali grupki uciekających zwierząt, zawracali je i okrążali, czekając, aż nadbiegnie Manfred z uzdami.

— Dwadzieścia sześć! — zawołał radośnie Lothar, kiedy przeliczył spętane wierzchowce. — Będziemy mogli grymasić i wybierać! No dobra, bierzemy nogi za pas. Wojsko ruszy za nami w pościg natychmiast jak tylko uda im się przerzucić tu jakiś oddział.

Zdjął mułowi uzdę i klepnął go po zadzie.

— Dziękuję, staruszkule — mruknął. — Możesz wracać do domu.

Muł skwapliwie skorzystał z propozycji i nawet udało mu się wykrzesać z siebie dość sił, by pierwsze kilkaset metrów drogi powrotnej do domu przebyć galopem.

Wybrali sobie wierzchowce, dosiedli je na oklep, każdy ujął wodze trzech lub czterech luzaków i ruszyli za Lotharem do skalnej kryjówki pośród wzgórz.

O świcie zatrzymali się na krótki popas, a Lothar przejrzał dokładnie wszystkie skradzione konie. Dwa odniosły rany w tumulcie w korralu i te wypuścił na wolność. Pozostałe były tak wspaniałymi zwierzętami, w tak znakomitej kondycji, że nie potrafił się zdecydować, które wybrać, choć było ich znacznie więcej, niż potrzebował.

W czasie tego przeglądu John Świnia odzyskał przytomność i słabo dźwignął się do pozycji siedzącej. Mamrotał pod nosem modlitwy do swych przodków i hotentockich bogów o ulżenie potwornym cierpieniom, a po chwili targnął nim bolesny skurcz i zwymiotował sporą porcję podłej brandy.

— Jeszcze z tobą nie skończyłem — zapowiedział mu bez uśmiechu Lothar i zwrócił się do Hendricka. — Na pustyni na pewno stracimy kilka sztuk. Weźmiemy wszystkie! — postanowił i uniósł rękę w geście kawaleryjskiej komendy „Ruszać!”.

Dotarli do kryjówki tuż przed południem, ale zatrzymali się tylko po to, by załadować na luzaki przygotowane wcześniej sakwy, wybrać sobie konie pod wierzch i je osiodłać. Sprowadzili zwierzęta do jeziora i napiili je do syta.

— Jaką mamy przewagę? — spytał Hendrick.

— Kolorowi nic nie zrobią bez białych oficerów, a ci wrócą pewnie za jakieś dwa, trzy dni. Zatelegrafują do Windhoek po rozkazy i będą musieli zorganizować się w grupę pościgową. Moim zdaniem zajmie im to co najmniej trzy dni, a bardziej prawdopodobne, że raczej cztery do pięciu.



— W trzy dni zrobimy kawał drogi — stwierdził z zadowoleniem Hendrick.

— Większy, niż ktokolwiek inny — zgodził się Lothar. Nie była to czcza przechwałka, tylko stwierdzenie faktu. Po pustyni mógł poruszać się z zamkniętymi oczyma, ledwie kilku białych znało ją równie dobrze jak on, żaden nie znalazł jej lepiej.

— Ruszamy? — spytał Hendrick.

— Mam jeszcze coś do zrobienia. — Lothar wyjął z juków zapasowe rzemienne cugle i owinął je sobie wokół nadgarstka prawej ręki.

Z brzękiem mosiężnych zapinek huśtających się na wysokości kostek u nóg podszedł do Johna Świnia siedzącego z twarzą ukrytą w dłoniach w cieniu pod nadbrzeżną skarpą. Męczony potwornym kacem mężczyzna nie usłyszał cichych kroków na piasku. Lothar pochylił się nad nim.

— Obiecałem ci — rzucił twardo i potrząsnął ciężkimi skórzanymi pasami.

— Szefie, nie mogłem nic na to poradzić! — krzyknął piskliwie John, próbując się podnieść z ziemi.

Lothar wziął szeroki zamach, mosiężne zapinki błysnęły w słońcu i przecięły ze świstem powietrze. Cugle chlasnęły Johna po plecach, zapinki owinęły mu się wokół żeber i rozorały ciało pod pachą.

John Świnia wydał z siebie przeraźliwy wrzask.

— Zmusili mnie! Siłą wlewali do gardła!

Następne uderzenie zbiło go z nóg. Krzyczał dalej, ale jego słowa zmieniły się w niezrozumiały bełkot. Rzemienne pasy cięły z trzaskiem żółtą skórę, całe plecy pokryły się siecią grubych, lśniących pręg, nabierających szybko barwy dojrzałych granatów. Ostre zapinki podarły koszulę, jakby poszarpał ją pazurami lew, a piasek sklejał ściekającą do koryta rzeki krew w wilgotne kulki.

Kiedy w końcu John Świnia przestał krzyczeć, Lothar wyprostował się, wytarł mokre czerwone cugle w derkę i dysząc ciężko spojrzął na swoich ludzi. Ta chłosta przeznaczona była w równej mierze dla niego co dla nich. Jak dzikie psy gięli się tylko przed siłą, czuli respekt tylko przed okrucieństwem.

W imieniu wszystkich odezwał się Hendrick:

— Dostało mu się uczciwie. Czy mam go dokończyć?

— Nie! Zostawcie mu konia. Kiedy przyjdzie do siebie, niech nas goni albo jedzie do piekła, gdzie i tak w końcu wyląduje. — Wskoczył na siodło i unikając spojrzenia syna zawołał: — No dobra, ruszamy!

Jechał na burską modłę, z nisko opuszczonymi strzemionami, rozparty wygodnie w wysokim siodle. Hendrick podgonił do jego jednego boku, Manfred do drugiego.

Lothara ogarnęło uniesienie. Krążąca wciąż jeszcze w żyłach po niedawnym akcie przemocy adrenalina działała na niego jak narkotyk, a przed sobą miał bezkresną pustynię. Kradnąc konie przekroczył granicę prawa. Znów był banitą, wyrzutkiem, znów zrzucił peta społecznych ograniczeń. Czuł, jak jego wyzwolony duch szybuje wysoko w przestworza, niby polujący sokół.

— Na Boga, prawie już zapomniałem, jakie to uczucie, gdy ma się pod sobą dobrego konia i karabin w rękach.

— Nareszcie znów czuję się mężczyzną — zgodził się Hendrick i sięgnął ponad koniem Lothara, by objąć Manfreda. — Ty też możesz się już nim czuć. Kiedy po raz pierwszy wyruszyliśmy z twoim ojcem na wojnę, miał tyle lat co ty teraz. Teraz znów ruszamy do boju. Jesteś takim samym mężczyzną, jak on wtedy.

I dumny z zaliczenia go do grona dorosłych Manfred zapomniał o scenie, której właśnie był świadkiem. Uniósł wyżej głowę i wyprostował się w siodle.

Lothar zwrócił twarz na północny wschód, gdzie w głębi pustynnych przestrzeni ciągnęła się bezkresna Kalahari, i poprowadził za sobą całą grupę.

Tej nocy, gdy obozowali w głębokim parowie, kryjącym blask małego ogniska, zbudził ich cichy gwizd wartownika. Wyturlali się spod koców, chwycili karabiny i odczołgali w ciemność.

Konie poruszyły się niespokojnie, zaczęły parskać. Z mroku wyłonił się John Swinia i zsunawszy się z siodła na ziemię zbliżył się niepewnie do ogniska, jak kundel oczekujący, że lada chwila zostanie odegnany. Z zapuchniętą, posiniaczoną twarzą przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Pozostali wrócili z ciemności i nie patrząc na niego ani w żaden inny sposób nie dając po sobie poznać, że zauważają jego obecność, zawinęli się z powrotem w derki.

— Kładź się po drugiej stronie ogniska, jak najdalej ode mnie — rzucił szorstko Lothar. — Cuchniesz gorzałą.

John Swinia odetchnął z ulgą i z wyrazem wdzięczności na twarzy za przyjęcie go z powrotem do grupy legł na ziemi.

o świcie ponownie dosiedli koni i ruszyli przez rozpalony żarem bezmiar pustyni.

12

Tak fatalnej drogi jak do kopalni H'ani nie było pewnie w całej Afryce Południowo-Zachodniej. „Tym razem już naprawdę coś z nią zrobię” — obiecywała sobie Centaine za każdym razem, kiedy ją pokonywała. Potem jednak doktor Twentymann-Jones podawał jej szacunkowy koszt utwardzenia nawierzchni setek kilometrów pustynnego traktu, przerzucenia mostów ponad korytami rzek i strumieni oraz zabezpieczenia górskich przełęczy i oszczędna natura Centaine brała górę.

— W końcu podróż trwa tylko trzy dni i jeżdżę tędy nie częściej niż trzy razy w roku. A poza tym to prawdziwa przygoda.

Już sama linią telegraficzna łącząca kopalnię z Windhoek była wystarczająco kosztowna. Po szacunkach mówiących o pięćdziesięciu funtach kosztowała ją w końcu sto funtów za każde półtora kilometra. Gdy spoglądała na ciągnący się bez końca wzdłuż kolein rząd słupów, spiętych lśniącym miedzianym drutem, wciąż jeszcze ogarniało ją oburzenie. Poza tym że tyle kosztowały, psuły widok, niszczyły poczucie pustki i odcięcia od świata, które tak sobie ceniła, kiedy wypuszczała się na Kalahari.

Z żalem wspominała, jak w czasie tych pierwszych lat sypiali na ziemi i zabierali ze sobą zapas wody na całą podróż. Teraz w miejscach nocnych postojów zbudowano prawdziwe zajazdy, okrągłe, kryte strzechą chaty z wiatrakami dobywającymi wodę z głębokich studni. Przy każdym z nich mieszkała na stałe służba obsługująca część noclegową, przygotowująca posiłki i gorące kąpiele, a w mroźne noce kalaharskiej zimy drewno do kominka. Zajazdy zaopatrzone nawet w chłodziarki parafinowe, dostarczające w okrutnym upale lata boskiego lodu do wieczornego drinka. Na drodze panował duży ruch, ciężarówki Gerharda Fouriego dowożące regularnie zapasy i paliwo wyłobiły w miękkiej ziemi głębokie koleiny i zupełnie rozjeździły miejsca przepraw przez koryta wyschniętych rzek. Co gorsza, rozstaw kół wielkich ciężarowych fordów był większy niż jej żółtego daimlera. Zmuszało ją to do jazdy kołami jednego boku w koleinie, a drugiego podskakującymi na nierównościach i wybojach środkowego garbu.

Na domiar wszystkiego była pełnia lata, panował morderczy żar. Od dotknięcia metalowej karoserii daimlera wyskakiwały bąble poparzeń, a woda w chłodnicy w regularnych odstępach czasu zagotowywała się, strzelała z gwizdem wysokim pióropuszem pary i zmuszała do przerywania podróży. Całe niebo drżało, jakby stało w niebieskim ogniu, a horyzont rozpływał się w rozedrganych szklistych wirach pustynnych miraży.

„Och, gdyby dało się zmniejszyć maszynę do chłodzenia powietrza! Tak żeby można ją było

zamontować w daimlerze jak w salonce! — pomyślała i wybuchnęła śmiechem. — Tiens, chyba robię się wygodnicka!” Przypomniała sobie, jak z dwojgiem starych Buszmenów, którzy ją uratowali, przeszła pieszo całą straszliwą krainę wydm, pustynię Namib. Żeby przeżyć potworny żar stojącego w zenicie słońca, musieli oblepiać się od stóp do głów grubą warstwą piasku zwilżonego własnym moczem.

— Z czego się śmiesz, mamó? — spytał Shasa.

— Och, z czegoś, co działo się dawno, dawno temu, przed twoim przyjściem na świat.

— Opowiedz mi! Proszę cię, opowiedz!

Wydawał się zupełnie niewrażliwy na upał, kurz i bezlitosne trzęsienie samochodu. Lecz przecież tak właśnie być powinno. Uśmiechnęła się. Tu przyszedł na świat. On także jest stworzeniem pustyni.

Shasa uznał jej uśmiech za wyrażenie zgody.

— No mów, mamó. Opowiaj!

„Pourqoui pas?” — pomyślała. Dlaczego nie? I opowiedziała mu całą historię, przyglądając się, jak na jego twarzy pojawia się wyraz szoku.

— Własne siku? — Nie mógł przyjść do siebie.

— Tak cię to dziwi? — zakpiła z jego tonu. — To opowiem ci, co zrobiliśmy, kiedy skończyła nam się woda w butlach z wydmuszek strusich jaj. Stary myśliwy, O’wa, upolował zatrutą strzałką byka oryksa [Oryx gazella, duża antylopa o długich, niemal prostych, spiczasto zakończonych rogach.] wyciął mu pierwszy żołądek, tak zwany żwacz, odcisnął nie strawione resztki pokarmu i dał nam do wypicia uzyskany płyn. Dzięki temu dotrwaliśmy jakoś do najbliższego wodopoju.

— Mamó!

— Tak, cheri, do zwierzęcego wodopoju, z którego trzeba było chleptać wodę na leżąco. Kiedy mogę wybierać, wolę szampana, ale w razie konieczności wypiję wszystko, co mi pozwoli utrzymać się przy życiu.

Umilkła pozwalając mu to sobie przemyśleć, a gdy po chwili zerknęła z ukosa, ujrzała, że wyraz odrazy na jego twarzy ustąpił miejsca minie wyrażającej respekt.

— A ty co byś zrobił, cheri? — spytała, żeby się upewnić, czy zrozumiał tę lekcję. — Wypiłbyś, czy wolał umrzeć?

— Wypiłbym — odparł bez wahania, po czym dodał z czułością i dumą: — Wiesz, mamó, naprawdę jesteś kapitalna! — W jego ustach był to najwyższy komplement.

— Patrz! — Wskazała przed siebie, w stronę, gdzie płowa równina, której krańce skrywały kurtyny miraży, zdawała się powlekać muślinowym woalem cynamonowego dymu.

Odbiła w bok, wyprowadziła daimlera z kolein i zatrzymała. Stanęli na progach przed drzwiczkami, żeby lepiej widzieć.

— Skoczki, pierwsze w czasie tej podróży.

W oddali sunęły równo piękne antylopy, wszystkie w tym samym kierunku.

— Muszą ich być dziesiątki tysięcy...

Skoczki to wdzięczne małe gazyle o długich, smukłych nogach i rogach w kształcie liry.

— Wędrują na północ — wyjaśniła Centaine. — Pewnie spadły tam obfite deszcze. Ciągną do wody.

Nagle najbliższe gazyle, wystraszone ich obecnością, zaczęły obwieszczać alarm w ten tak charakterystyczny dla nich sposób, zwany przez Burów „fikaniem”. Wyginały w łuk grzbiety i długie szyje, aż dotknęły nosami przednich kopyt, po czym na sztywnych nogach wyskakiwały w górę, lekko i wysoko, błyskając z fałdu skóry na karku falującymi kitami białego włosia.

Ten ostrzegawczy taniec okazał się zaraźliwy, już wkrótce tysiące gazeli śmigało w rozedrganym

od żaru powietrza. Wydawało się, że równinę obsiadło ogromne stado ptaków. Centaine zeskoczyła z samochodu i zaczęła je przedrzeźniać. Z rozstawionych palców jednej dłoni zrobiła sobie rogi, drugą rękę rozczapierzyła na plecach imitując kitę włosia. Naśladowała je tak umiejętnie, że Shasa wybuchnął śmiechem i zaklaskał w dłonie.

— Brawo, mamó, brawo! — Zeskoczył na ziemię, dołączył do niej i już oboje zaczęli harcować w kolo, aż ze śmiechu i zmęczenia zabrakło im tchu w piersiach i przytrzymując się nawzajem, osunęli się na maskę daimlera.

— To stary O’wa mnie tego nauczył — wysapała Centaine. — Potrafił naśladować każde zwierzę veldu.

Kiedy ruszyli dalej, oddała Shasie kierownicę, bo dobrze prowadził i przejazd przez równinę był jednym z łatwiejszych odcinków drogi, a sama wtuliła się wygodnie w głęboki fotel. Po kilku kilometrach chłopiec przerwał milczenie.

— Kiedy zostajemy sami, jesteś zupełnie inna — powiedział szukając odpowiednich słów. — Tak się z tobą fantastycznie bawię. Szkoda, że nie możesz być taka zawsze.

— Każda rzecz, którą się robi zbyt długo, zaczyna nudzić — odparła łagodnie. — Chodzi o to, żeby robić wszystko, nie ograniczać się do czegoś jednego. Dziś bawimy się wspaniale podróżą, jutro zajedziemy do kopalni, gdzie czekają nas inne, wcale nie mniej emocjonujące przeżycia, potem będzie coś jeszcze innego. Trzeba robić wszystko i z każdej chwili wycisnąć do ostatniej kropli to, co ma do zaoferowania.

Przed wyruszeniem w podróż Centaine spędziła trzy dni w Windhoek, zatrzymana papierkową robotą, którą przygotował jej Abraham Abrahams, a Twentyman-Jones pojechał przodem do kopalni i postawił w stan pogotowia służbę we wszystkich zajazdach.

Kiedy wieczorem dotarli do ostatniego z nich, przygotowano kąpiel tak gorącą, że nawet Centaine, która z przyjemnością znosiła temperaturę odpowiednią do gotowania homarów, musiała dolać zimnej wody, nim mogła się w niej zanurzyć. A do tego szampana, wspaniałego Kruga rocznik 1928, bladostomkowego i schłodzonego tak jak lubiła: na tyle tylko, by butelka okryła się cieniutką warstewką rosy. I choć był lód, nie pozwoliła wstawić butelki na barbarzyńską modłę do wypełnionego nim kubelka.

„Zimne nogi, gorąca głowa to zła kombinacja i dla ludzi, i dla wina” — uczył ją ojciec. Jak zwykle wypijała tylko jeden kieliszek, po czym zasiadła do zimnej kolacji, którą Twentyman-Jones przywiózł dla niej z Windhoek i zostawił w parafinowej lodówce. Wybrał potrawy odpowiednie na taki upał, o których wiedział, że je lubiła: homara z zielonego Prądu Benguelskiego o zwojach pysznego białego mięsa wypełniającego czerwony ogon i sałatkę z warzyw uprawianych na chłodniejszych wyżynach okolic Windhoek — kruchej chrupiącej sałaty, dojrzałych krwistoczerwonych pomidorów i pikantnej purpurowej cebuli. Na koniec dzikie trufle zebrane na pustyni przez łagodnych Buszmenów, doglądających stad mlecznego bydła. Surowe grzyby miały słonawy smak — smak Kalahari.

Przed brzaskiem, w smolistych ciemnościach wyruszyli w dalszą drogę, o wschodzie słońca zatrzymali się i zaparzyli kawę na ognisku z gałęzi bożodajni. Czerwone drewno o gęstym słoju paliło się jasnym, błękitnym płomieniem i nadawało kawie osobliwy, wspaniały aromat. Zjedli śniadanie, które przygotowała im kucharka z zajazdu, i popijając pachnącą dymem kawę obserwowali, jak świt powieka niebo i pustynię brązem i nakłada na nie lśniąca warstwę pozłoty. Gdy podjęli podróż, słońce wzniosło się wyżej i odarło ziemię ze wszystkich barw, zalewając ją oślepiającą, srebrzystą bielą swego blasku.

— Zatrzymaj się! — rozkazała nagle Centaine. Wdrapała się na dach daimlera, przywołała syna i

spojrzała gdzieś daleko przed siebie. Shasa popatrzył na nią niepewnie.

— Co się stało, mamó?

— Nie widzisz, cheri? Tam! — Wskazała wyciągniętą ręką. — Tuż nad horyzontem.

Majaczyła na tle nieba, ulotna i ledwie dostrzegalna.

— Buja w powietrzu! — zawołał Shasa, wypatrzywszy ją w końcu.

— Góra, która buja w błękicie nieba — szepnęła Centaine. Zjawiskowość tego widoku za każdym razem urzekała ją z tą samą siłą, co wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy. — Miejsce Wszelkiego Życia — powiedziała, używając nazwy nadanej tym wzgórzom przez Buszmenów.

W miarę jak się zbliżali, zarys gór nabierał ostrości, aż zmieniły się w bastion z litej skały z rozległymi lasami mopani u podnóża. Tu i tam pionowe urwiska rozszczepiał jakiś wąwóz lub żleb, lecz poza tym wznosiły się potężne, masywne i niewzruszone, upstrzone jaskrawymi plamami porostów, zielonych, pomarańczowych i żółtych jak siarka.

Kopalnia H'ani gnieździła się pod jedną z takich ogromnych skalnych ścian, a jej budynki, nieliczne i nieproporcjonalnie małe, wydawały się tu zupełnie nie na miejscu.

W założeniach, które Centaine przedstawiła Twentymman-Jonesowi, kopalnia miała być jak najskromniejsza, jak najmniej rzucać się w oczy, lecz spełniać zarazem wymogi procesu wydobywania. Były jednak pewne granice, do których Twentymman-Jones mógł się zastosować do jej poleceń. Ogrodzone osiedle czarnych robotników i hałdy błękitnej skały diamentonośnej zajmowały spory obszar, a stalowa wieża i podawarka płuczni sterczały na wysokość szybu wiertniczego używanego przy poszukiwaniach ropy.

Największych jednak spustoszeń dokonał kocioł parowy, którego nienasycony apetyt na drewno opałowe upodobiał do jakiegoś piekielnego Baala. Jego zaspokojenie pochłonęło lasy u podnóża wzgórz, gdzie w miejsce wyniosłych drzew o szarej korze wyrosły rzadkie kępy nędznych krzewów.

Kiedy wysiadali z zakurzonego daimlera przed krytym strzechą budynkiem administracyjnym, Twentymman-Jofles już na nich czekał.

— Mam nadzieję, że podróż była udana, pani Courteney — powiedział grobowym głosem, z posępną miną, która miała wyrażać radość. — Zapewne chciałyby pani odświeżyć się i odpocząć.

— Powinien pan znać mnie lepiej, inżynierze. Bierzemy się do roboty. — Przez szeroką werandę ruszyła przodem do swego gabinetu. — Siądź obok mnie — poleciała synowi, zajmując miejsce za biurkiem.

Zaczęli od raportów wydobywania, potem zajęli się analizą kosztów. Shasa z trudem nadążał za ciągiem szybko podawanych i omawianych liczb, nie mogąc wyjść z podziwu, jak błyskawicznie matka z dziewczyny, która ledwie poprzedniego dnia podskakiwała wokół samochodu, naśladując gazelę, przeistoczyła się we właścicielkę kopalni.

- Jaki wedle naszych obliczeń będzie koszt jednego karata, jeśli uzyskamy średnio dwadzieścia trzy karaty z jednego ładunku? — zaskoczyła go nagle pytaniem, a kiedy zaplątał się w odpowiedzi, zmarszczyła brwi. — Nie pora teraz bujać w obłokach — ofuknęła go i dla podkreślenia swych słów odwróciła się plecami. — No dobrze, inżynierze Twentymman-Jones, już dość długo omijamy to, co najbardziej nieprzyjemne. Pora zająć się oszczędnościami, które musimy wprowadzić, by zastosować się do limitów COS, a mimo to utrzymać pracę kopalni i uzyskać choć minimalny zysk.

Zapadał już zmierzch, kiedy Centaine przerwała naradę i wstała zza biurka.

— Jutro ruszymy dalej od tego miejsca — oświadczyła, przeciągając się jak kot i wyprowadziła ich na szeroką werandę. — Tak jak uzgodniliśmy, zatrudni pan u siebie Shasę. Powinien chyba zacząć od wywózki.

— To właśnie chciałem zaproponować, pani Courteney.

— O której mam się stawić? — spytał chłopiec.

— Zmiana zaczyna się o piątej, ale panicz Shasa będzie pewnie chciał przychodzić trochę później, prawda? — odparł Twentymann-Jones, spoglądając na Centaine. Był to oczywiście sprawdzian, wystawiał ją na próbę, ale ona zachowała milczenie, czekając, aż Shasa sam podejmie decyzję. Widziała jak toczy wewnętrzną walkę. Był w tym wieku, kiedy rosnący organizm łaknie snu jak narkoman narkotyku i poranne wstawanie jest prawdziwą katorgą.

— Będę przy bramie kolejki o czwartej trzydzieści, sir — powiedział w końcu Shasa. Centaine odetchnęła i ujęła go pod ramię.

— W takim razie trzeba wcześniej pójść spać.

Kiedy wsiedli do samochodu, skręciła w uliczkę małych domków o blaszanych dachach, w których mieszkali biali kierownicy szycht i wykwalifikowani mechanicy z rodzinami. W kopalni H'ani ściśle przestrzegano porządku społecznego, była czymś w rodzaju mikroskopijnego odzwierciedlenia młodego narodu. Czarnoskórzy robotnicy mieszkali w ogrodzonym i strzeżonym obozowisku, którego pobielone baraki przypominały ciągnące się rzędami stajnie. Obok stały pojedyncze i mniej prymitywne chaty czarnych majstrów i brygadzystów, którym wolno było sprowadzić do siebie rodziny. Biali mechanicy i kierownicy zmian mieszkali u podnóża gór, kierownicy działów i dyrekcja na zboczach. Im wyższe stanowisko, tym dom wyżej położony, a trawnik wokół niego większy i lepiej utrzymany.

Przy końcu uliczki, na werandzie ostatniego domku siedziała jakaś dziewczyna. Kiedy daimler podjeżdżał do zakrętu, pokazała Shasie język. Minął prawie rok od kiedy widzieli się po raz ostatni i w tym czasie natura poczyniła w niej zdumiewające zmiany. Nogi nadal miała białe i umorusane do kostek, kręcone włosy nadal potargane przez wiatr i zjaśniałe od słońca, ale bluzka ze spłowiałego perkaliku opinała ją teraz tak ciasno, że dusiła jej rozkwitające piersi. Wypchnięte do góry wypiętrzały się ponad dekoltem tworząc pośrodku głęboki rowek. Kiedy Shasa uświadomił sobie, że dwa rdzawe krążki na jej bluzce, choć wyglądają jak plamy, w rzeczywistości przeświecają spod spodu przez cienki materiał, poruszył się niespokojnie w fotelu.

Nie miała już kościstych kolan, nogi jej się wydłużyły, ich barwa przechodziła od kawowego brązu w kostkach do śmietankowej bieli po wewnętrznej stronie ud. Siedziała na stopniu werandy w szerokim rozkroku, fałdy podciągniętych wysoko spódnic marszczyły jej się między nogami. Kiedy przesunął spojrzeniem w dół, rozchyliła nogi jeszcze odrobinę szerzej i uśmiechnęła się, marszcząc zadarty, piegowaty nos. Był to uśmiech wyzywający, pełen tupetu, a jej język wydawał się bardzo różowy na tle białych zębów.

Zmieszany oderwał od niej wzrok i wbił go przed siebie. Przed oczami stanęły mu jak żywe tamte zakazane chwile za pompownią, przypominał sobie ich każdy najdrobniejszy szczegół i poczuł, że palą go policzki. Nie mógł się powstrzymać od zerknięcia na matkę. Patrzyła na drogę przed przednią szybą i chyba niczego nie zauważyła. Odetchnął z ulgą i w tej samej chwili matka powiedziała:

— To pospolite małe ladaco. Strzela oczami do wszystkiego, co nosi portki. Jej ojciec jest wśród tych, których obejmą redukcje. Pozbędziemy się jej, nim narobi nam i sobie prawdziwych kłopotów.

Powinien był się domyślić, że ta krótka wymiana spojrzeń mogła ujść jej uwagi. „Nigdy niczego nie przeoczy” — pomyślał i dopiero wtedy dotarł do niego sens jej słów. Dziewczyna zostanie odprawiona. Z zaskoczeniem stwierdził, jak bardzo poruszyła go perspektywa tej straty. Gdzieś w okolicach żołądka poczuł ból, fizyczny ból.

— Co z nimi będzie, mamó? — spytał cicho. — To znaczy z ludźmi, których zwalniamy?

Kiedy przysłuchiwał się rozmowie matki z Twentymann-Jonesem na temat redukcji zatrudnienia, zwalniani byli dla niego tylko liczbami; teraz jeden rzut oka na tę dziewczynę zmienił ich w ludzi z

krwi i kości. Przypomniawszy sobie widok z okna salonki, tego jasnowłosego chłopaka, swego przeciwnika, stojącego z małą dziewczynką przy torach w obozowisku wióczęgów, i wyobraził sobie na miejscu tej obcej dziewczynki Annalisę Botha.

— Nie wiem, co z nimi będzie — odparła matka zaciskając usta. — I nie sądzę, by powinno to nas obchodzić. Tym światem rządzi twarda rzeczywistość i każdy sam musi jej stawić czoło. Powinniśmy raczej rozważać, co by się stało, gdybyśmy ich nie zwolnili.

— Stracilibyśmy dużo pieniędzy.

— Zgadza się. A jeśli stracimy dużo pieniędzy, będziemy zmuszeni zamknąć kopalnię i wtedy pracę stracą wszyscy w niej zatrudnieni, nie tylko tych kilku, których musimy zwolnić teraz. I konsekwencje tego ponieśli byśmy wszyscy. Gdybyśmy w podobny sposób postąpili ze wszystkim co posiadamy, stracilibyśmy w końcu wszystko. Stalibyśmy się jednymi z nich. Wolałbyś takie rozwiązanie?

Nagle Shasie ukazał się przed oczami inny obraz. Zamiast tamtego blondyna przy torach w obozowisku włóczęgów stał on sam, bosy, w brudnych, podartych, drelichowych spodniach. Niemal poczuł, jak chłód nocy liże go po plecach przez cienką koszulę, a w brzuchu burczy mu z głodu.

— Nie! — odparł z mocą, po czym ciszej już dodał: — Wcale bym tego nie chciał. — Wzdrygnął się nie mogąc odegnać uporczywie powracających obrazów, które wywołały jej słowa. — Czy to możliwe, mamó? Żebyśmy stali się biedni? Czy do tego dojdzie?

— Możliwe, cheri. Jeśli choć na minutę zaniechamy czujności, w mgnieniu oka staniemy się biedni i nikt nie będzie nad nami płakał. Dojść do majątku jest niesłychanie trudno, a zaprzepaścić go łatwiej, niż myślisz.

— Ale czy do tego dojdzie? — powtórzył z uporem. Przed oczami przemknął mu jego jacht, „Dotyk Midasa”, kuce do gry w Polo, przyjaciele ze szkoły, winnice Weltevreden i nagle ogarnął go strach.

— Na tym świecie nic ma nic pewnego. — Oderwała rękę od kierownicy i dotknęła jego dłoni. — Na tym polega urok zabawy w życie. Gdyby było inaczej, nie warto by w niej brać udziału.

— Nie chciałbym być biedny.

— I nie będziesz! — zawołała równie gwałtownie jak on przedtem. — Jeśli wykazemy spryt i odwagę, nigdy do tego nie dojdzie!

— Mówiłaś coś o zamarcu handlu światowego... że ludzi nie stać już na nasze diamenty... — Przedtem były to dla niego tylko słowa, teraz zaczął pojmować ich przerażający sens.

— Musimy wierzyć, że pewnego dnia, może już wkrótce, koła znów zaczną się obracać, a tymczasem przestrzegać złotych reguł. Pamiętasz je? — Wąskimi serpentynami wjechała na szczyt wzgórza i ostro skręciła za odnogę grzbietu. Zabudowania kopalni zniknęły za skalną ścianą urwiska.

— Jak brzmi pierwsza złota zasada? — spytała ponagłajaco.

— Sprzedawać, kiedy wszyscy kupują, a kupować, kiedy wszyscy sprzedają — wyrecytował posłusznie.

— Dobrze. A co się teraz dzieje?

— Wszyscy próbują sprzedawać... — zaświtało mu nagle w głowie i uśmiechnął się triumfalnie. „Jest taki piękny, a do tego ma instynkt i dużo zdrowego rozsądku” — pomyślała, czekając, aż Shasa prześledzi sploty węża, dotrze do jego łba i odkryje zęby. Kiedy wreszcie tego dokonał, wyraz jego twarzy uległ nagłej zmianie. Spojrzał na nią wyraźnie zbity z tropu.

— Ale mamó, jak możemy cokolwiek kupować, skoro nie mamy pieniędzy?

Zjechała na pobocze, wyłączyła silnik, po czym odwróciła się do rtiego i z poważną miną ujęła w ręce obie jego dłonie.

— Potraktuję cię jak dorosłego mężczyznę — powiedziała. — To, co ci powiem, jest naszym sekretem, naszą prywatną tajemnicą, do której nikt ale to nikt, nie może zostać dopuszczony. Ani dziadek, ani Anna, ani Abraham Abrahams, ani Twentymann-Jones. Ta sprawa musi pozostać między nami, wyłącznie między tobą i mną. — Skinął głową, a Centaine wzięła głęboki oddech i ciągnęła: — Mam przecucie, że to katastrofalne załamanie, w którym pogrążył się cały świat, może być dla nas odskocznią, szansą, przed jaką tylko niewielu ludzi staje w życiu. Przez ostatnie dwa lata czyniłam przygotowania, by jak najpełniej ją wykorzystać. Na czym one polegały, cheri?

Pokręcił bezradnie głową wpatrując się w nią jak urzeczony.

— Spieniżyłam wszystko poza kopalnią i Welteyreden, a i pod ich zastaw zaciągnęłam pożyczki, bardzo duże pożyczki.

— I dlatego także ściągnęłaś wszystkie swoje należności. Dlatego pojechaliśmy do Zatoki Wielorybów po tę fabrykę konserw i kutry... Zbierałaś pieniądze.

— Dobrze, cheri, dobrze — zachęcała go, nieświadomie potrząsając jego rękę. Tak bardzo pragnęła, żeby sam do tego doszedł. Twarz Shasy znów rozjaśniła się w uśmiechu.

— Będziesz kupować! — wykrzyknął.

— Już nawet zaczęłam. Kupuję ziemię, nieruchomości i koncesje: górnicze, połowowe, na eksploatację pokładów guana. Kupiłam teatr „Alhambra” w Cape Town i „Kolosium” w Johannesburgu. Ale przede wszystkim ziemię i prawo pierwokupu dalszych jej połaci, dziesiątek i setek tysięcy akrów, po dwa szylingi za akr. Ziemia to jedyna pewna lokata kapitału.

Nie wszystko pojmował, ale wyczuwał wagę tego, o czym mówiła. Widziała to w jego oczach.

— Teraz znasz już naszą tajemnicę — roześmiała się. — Jeśli moje przewidywania się sprawdzą, podwoimy, potroimy nasz majątek.

— A jeśli nic się nie zmieni... — szukał odpowiednich słów. — Jeśli kryzys gospodarczy będzie trwał i trwał. Co wtedy?

Odeła wargi i puściła jego dłonie.

— Wtedy, cheri, i tak nic nie będzie miało większego znaczenia.

Uruchomiła daimlera i pokonała ostatni odcinek drogi do przestronnego bungalowu stojącego w odosobnieniu pośród rozległych trawników. W oknach paliły się światła, służba w nieskazitelnie białych liberjach czekała w pełnych szacunku pozach przed frontową werandą, by ich powitać.

Zatrzymała auto przed schodami, wyłączyła silnik, ale nim wysiadła, jeszcze raz odwróciła się do syna.

— Nie, cheri, nie będziemy biedni. Będziemy bogaci, bogatsi, znacznie bogatsi niż kiedykolwiek do tej pory. A później, dzięki tobie, do tego bogactwa zdobędziemy także władzę. Wielkie bogactwo i ogromną władzę. Och, wszystko już sobie obmyślałam, wszystko w najdrobniejszych szczegółach!

Słowa matki rozpętały burzę w myślach Shasy. Tej nocy długo nie mógł usnąć.

„Wielkie bogactwo, ogromna władza.” Te słowa wprawiały w podniecenie i budziły niepokój. Próbował przełożyć ich znaczenie na obrazy. Ujrzał siebie jako siłacza w cyrku, z lamparcią skórą na ramionach i skórzanymi opaskami w nadgarstkach. Prężąc ogromne bicepsy stał podparty pod boki na kopcu złotych suwerenów, a odziani w białe szaty widzowie padali na klęczki i bili przed nim czołem.

Wciąż od nowa przedstawiał sobie tę scenę, za każdym razem zmieniając jakiś szczegół, coś ulepszając, dodając kolejny przyjemny detal, ale nadal czegoś mu brakowało. Aż nagle obdarzył jedną ze swych ubranych na biało wielbicielek koroną niesfornych, potarganych przez wiatr, rozjaśnionych słońcem włosów. Umieścił ją w pierwszym rzędzie, a ona oderwała czoło od ziemi, uniosła głowę i pokazała mu język.



Doznał wzwołu, tak raptownie i tak potężnego, że z ust wyrwał mu się jęk i po prostu nie mógł się powstrzymać; jego dłoń sama wśliznęła się pod prześcieradło i wydobyła z rozporoka piżamy pulsujący boleśnie członek.

A Jock Murphy przestrzegał go przed tym. „To zepsuje panu oko, paniczu. Już niejeden dobry gracz w krykieta i Polo skończył się przez panią Grabę i jej pięć córeczek.”

Ale w marzeniu, które snuł, Annalisa powoli usiadła, rozchyliła nbg i podciągnęła leniwie kraj swej białej szaty, aż błysnęła spod niej gdka jak masło skóra na jej udach. Shasa jęknął cicho. Dziewczyna utkwiała wzrok w wybrzuszeniu jego kostiumu z lamparciej skóry, jej język zatrzepotał w rozchylonych ustach i podciągała spódnicę coraz wyżej i wyżej. Zaciśnięta wokół nabrzmiałego członka dłoń Shasy zaczęła przesuwając się rytmicznie w górę i w dół. Nie był w stanie się pohamować.

Biała suknia zsuwała się coraz wyżej i wyżej, nigdy jednak nie sięgając rozwidlenia u zbiegu jej ud. Nogi dziewczyny zdawały się ciągnąć w nieskończoność, jak tory kolejowe na pustyni, biegły i biegły, i nigdy się nie stykały. Zachłysnął się powietrzem, usiadł gwałtownie na puchowym materacu, zgiął się wpół nad śmigającą w tę i z powrotem dłonią, a kiedy nadszedł wytrysk, podbrzusze przeszła mu ostra bolesna błyskawica, niczym dźgnięcie bagnetem, i z głośnym krzykiem opadł na poduszki.

Wyzywająco uśmiechnięta, piegowata twarz Annalisy rozmyła się i zniknęła, wilgotny przód spodni od piżamy zrobił się lodowato zimny, ale chłopiec nie zdobył się na wysiłek, by je zdjąć.

Kiedy służąca zbudziła go i postawiła na łóżku tacę z kawą i twardymi, słodkimi sucharami, czuł się oszołomiony i wykończony.

Na dworze nadal było zupełnie ciemno. Przekręcił się na brzuch i nakrył głowę poduszką.

— Pani, matka panicza, ona kazać mitu czekać, aż panicz wstać — oznajmiła twardo pokojówka z plemienia Oyambo. Shasa powlókł się do łazienki próbując ukryć suchą plamę na spodniach od piżamy.

Jeden ze stajennych osiodłał już kuca i czekał z nim przed frontową werandą bungalowu. Shasa zatrzymał się na chwilę, by pożartować i pośmiać się z parobkiem, potem przywitał się z kucem, pocierając go pieszczotliwie czołem po łbie i dmuchając mu delikatnie w nozdrza.

— Roztyłeś się, Janie Prezbiterze — zbeształ go pogodnie. — Będziemy musieli popracować z młotkami do polo, żebyś zrzucił te zwały tłuszczu.

Wskoczył na siodło i ruszył na skróty wzdłuż rurociągu biegnącego wokół odnogi wzgórza. Rurociągiem płynęła woda dostarczana do kopalni i płuczni ze źródła bijącego po przeciwnej stronie gór. Minał stację pomp, na której widok, kojarzący się ze wspomnieniem nocnego bezceństwa, ogarnęły go wyrzuty sumienia, ale już chwilę później zapomniał o wszystkim, obserwując z radością, jak brzask rozjaśnia równiny u podnóża urwisk, a yeld budzi się do życia i wita wschodzące słońce.

Z rozkazu Centaine las po tej stronie wzgórz pozostawiono nietknięty, mopani wznosiły się wysoko w górę, strzeliste i dostojne. W porastających zbocze zaroślach stadko kuropatw obwieszczając krzykiem świt, a tuż przed nosem kuca ścieżkę przebiegł wracający z wodopoju leśny dujker [Mała antylopa południowoafrykańska.] Kuc spłoszył się z teatralną przesadą.

— Przestań się popisywać, ty stary komediantcie! — zawołał ze śmiechem Shasa.

Kiedy wyjechali z zą bocznej krawędzi urwiska, kontrast był przygnębiający. Zbeczeszczony las, deformujące szramy robót na zboczach, ciężkie kanciaste budynki z blachy, nagi szkielet wsporników płuczni... Jakież to wszystko było brzydkie!

Szturchnął kuca piętami w boki, pokonał ostatni kilometr galopem i dotarł do bramy kolejki wywozowej dokładnie w chwili, gdy na drodze z wioski pojawił się stary ford Twentymana-Jonesa, z

wciąż jeszcze zapalonymi reflektorami. Doktor wysiadł z samochodu, spojrzął na zegarek i stwierdziwszy, że Shasa przyjechał o trzy minuty za wcześnie, przybrał żalobną minę.

— Czy był pan kiedyś na dole, paniczu? — spytał.

— Nie, sir. — Chciał dodać: „Matka nigdy mi na to nie pozwoliła”, ale wydało mu się to jakoś nie na miejscu. Po raz pierwszy wszechobecność matki w jego życiu wzbudziła w nim odruch niechęci.

Twentyman-Jones zaprowadził go do kierownika działu wydobywania i przedstawił szefowi zmiany.

— Panicz Shasa będzie z wami pracował — wyjaśnił. — Macie go traktować zupełnie normalnie, tak jak traktowalibyście każdego innego młodego człowieka, który pewnego dnia zostanie naczelnym dyrektorem całej kopalni.

Z jego miny nie sposób było odgadnąć, czy to był żart, toteż nikt się nie roześmiał.

— Przynieście mu kask — polecił Twentyman-Jones, a kiedy Shasa zapiął pod brodą paski, poprowadził go do podnóża ściany urwiska.

Biegący w głąb wzgórza tunel wykuto w litej skale, wiodące do ciasnego, okrągłego wlotu stalowe szyny zaginały się w dół pod kątem czterdziestu pięciu stopni i znikwały w mrocznej czeluści. Na powierzchni stał łańcuszek podobnych do połówek orzecha kokosowego wózków, Twentyman-Jones podszedł do pierwszego z nich i wsiedli obaj do stalowego kubła. Reszta szychty, kilkunastu białych brygadzystów i stu pięćdziesięciu czarnoskórych robotników w brudnych kombinezonach i błyszczących, nie malowanych, metalowych kaskach, obsiadła rojnie kolejne wagoniki. Płatali sobie niewybredne figle, opowiadali słone dowcipy, wybuchali co chwila rubasznym śmiechem. Napędzany parą kołowrót wyciągu zagrzechotał, zasyczał i łańcuszek wagoników ruszył z szarpnięciem do przodu, po czym podskakując i kołysząc się na wszystkie strony, pomknął w dół stromego, wąskiego toru. Ze zgrzytaniem i stukotem stalowych kół na złączach szyn pograżyli się w czarnej otchłani tunelu.

Kiedy otoczyły ich absolutne ciemności, Shasa poruszył się niespokojnie, ogarnięty bezrozumnym strachem. W wagonikach za jego plecami górnicy Oyambo zaintonowali pieśń, wspaniałą afrykańską pieśń pracy. Chór ich głębokich melodyjnych głosów zadudnił w ciasnocie tunelu, powrócił echem odbity od skalnych ścian. Chłopiec rozluźnił się i nachylił ku Twentyman-Jonesowi, by nie uronić nic z jego objaśnień.

— Kąt nachylenia wynosi czterdzieści pięć stopni, udźwig mechanizmu wyciągowego sto ton rudy, czyli sześćdziesiąt ładunków, jak to określamy w gwarze górniczej. Za cel stawiamy sobie wydobywanie na powierzchnię sześciuset ładunków przez jedną zmianę.

Shasa starał się skupić na liczbach; wiedział, że matka przepyta go z nich wieczorem, ale ciemność, śpiew i turkot rozkołysanych wagoników rozpraszały go. Daleko w przodzie rozbłysła mała plamka jasnego światła, zaczęła błyskawicznie rosnąć, aż nagle tunel wypłynął ich na otwartą przetrzeń i Shasie zapanował oddech w piersi.

Studiował oczywiście plany kopalni i widział zdjęcia na biurku matki w Welteyreden, ale ani jedno, ani drugie nie przygotowały go na ten widok.

Wyrobisko przypominało niemal idealnie okrągłą, olbrzymią studnię wybitą pośrodku wzgórza. Ściany szarej skały opadały pionowo w głąb ziemi i otaczały kręgiem dno odkrywki tworząc coś w rodzaju gigantycznej areny pod gołym niebem. Wjechali na tę arenę tunelem łączącym wyrobisko z równiną na zewnątrz wzgórza, a wąska rampa, po której mknęli, opadała dalej pod tym samym kątem aż na samo dno znajdujące się sześćdziesiąt metrów pod nimi. Kolosalny, wykuty w skale dół miał pół kilometra średnicy, a jego pionowe ściany sto dwadzieścia metrów.

— To jest komin wulkaniczny — ciągnął swój wykład TwentymanJones. — Taka rurka wentylacyjna z czeluści ziemi, przez którą w zaraniu dziejów wytryskiwała na powierzchnię płynna magma. Przy potwornym ciśnieniu i w panujących wówczas temperaturach, temperaturach wnętrza słońca, w głębi skorupy tworzyły się diamenty, a rozpalona do białości lawa wynosiła je na powierzchnię.

Shasa kręcił głową na wszystkie strony, próbując szeroko otwartymi oczyma oszacować skalę wyrobiska i ogarnąć jego ogrom.

— Gdzieś głębiej pod powierzchnią — ciągnął Twentyman-Jones — kanał uległ przerwaniu, znajdująca się w nim lawa ostygła i zestaliła się. Jej wierzchnia warstwa, wystawiona na działanie powietrza i słońca, uległa utlenieniu do klasycznej „żółtej ziemi” diamentonośnej. Przebijaliśmy się przez jej warstwę jedenaście lat i dopiero ostatnio dotarliśmy do pokładów „ziemi błękitnej”. — Szerokim gestem objął całe wyrobisko, którego dno stanowiła szaroniebieska skała. — To jest głębsza warstwa zestalonej magmy, twarda jak żelazo i naszpikowana diamentami jak świąteczny keks bakaliami.

Zjechali na dno odkrywki i wysiedli z wagonika.

— System robót jest niezwykle prosty — podjął Twentyman-Jones. — Pierwsza zmiana zjeżdża o świcie i natychmiast zabiera się do ładowania rudy z odstrzału z poprzedniego wieczoru. Kruszy skałę na mniejsze kawałki, ładuje na wózki i wysyła na powierzchnię. Potem znakują i wiercą otwory i zakładają dynamit do następnego odstrzału o zmierzchu wycofujemy szychtę, a jej szef odpala ładunki. Po wybuchu zostawiamy wszystko w spokoju na całą noc, żeby dym i pył się rozwiały, a skała osiadła, i rano zaczynamy wszystko od początku. Tam — wskazał ręką gruzowisko szaroniebieskiej skały — jest wczorajszy odstrzał. I tam właśnie dziś pracujemy.

Shasa nie spodziewał się, że aż tak zaabsorbuje go praca na olbrzymim wyrobisku, a z upływem dnia jego fascynacja przybrała jeszcze na sile. Nawet upał i pył nie były w stanie go zniechęcić. Kiedy słońce stanęło w zenicie, lejący się prosto z góry żar wiązał między pionowymi ścianami komina jak w pułapce. Przy każdym uderzeniu pięciokilowych młotów, używanych przez czarnych robotników do rozbijania wielkich brył rudy na nadające się do załadunku kawałki, w powietrze wzbijały się tumany mączystego pyłu, który wisiał jak gęsta mgła nad brygadą ładowaczy wrzucających wielkimi łopatami rudę do wózków, oblepiał im ciała i twarze, zmieniając ich w upiornych, szarobiałych albinosów.

— Mamy trochę przypadków pylicy — przyznał TwentymanJones. — Pył dostaje się im do płuc, osiada w nich warstwą kamienia. Teoretycznie powinniśmy polewać rudę i utrzymywać ją wilgotną, by pył nie wzbijał się w powietrze, ale brakuje nam wody. Nie starcza jej nawet na potrzeby płuczni, a już na pewno nie możemy sobie pozwolić na zraszanie nią skały. Toteż ludzie umierają i zostają kalekami, ale rozwój pylicy trwa około dziesięciu lat. Potem płacimy im albo wdowom po nich przyzwoitą rentę, a inspektorzy górniczy wykazują zrozumienie, choć to zrozumienie też sporo kosztuje.

W południe Twentyman-Jones przywołał do siebie Shasę.

— Pana matka powiedziała, że może pan pracować tylko pół zmiany. Wyjeżdżam na górę. Jedzie pan ze mną?

— Wolałbym zostać, sir — odparł nieśmiało Shasa. — Chciałbym zobaczyć, jak wiercą otwory pod ładunki wybuchowe.

Twentyman-Jones pokręcił posępnie głową.

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni — mruknął i odszedł mamrocząc coś pod nosem.

Pod czujnym okiem kierownika zmiany pozwolono Shasie odpalić ładunki. Kiedy biegnąc szybko

wzdłuż linii związanych w pęczki końcówek lontów przytykał do nich zapalone źdźbło trawy, a potem obserwował, jak ogień sunie po wijących się, białych nitkach lontów i snując smutki niebieskiego dymu zwęglą je na czarno, ogarnęło go poczucie ważności i nieznanego dotąd władzy.

Po głośnym okrzyku „Ogień w wyrobisku!” wagonik wywiózł ich na powierzchnię, a Shasa zwlekał z odjazdem przed bramy wyciągu, dopóki ładunki nie eksplodowały i nie poczuł jak ziemia drży mu pod stopami.

Dopiero wtedy osiadł Jana Prezbitera i umorusany, lepiący się od potu i ledwie żywy ze zmęczenia, ale szczęśliwy jak chyba jeszcze nigdy w życiu, ruszył w drogę powrotną wzdłuż wodociągu.

Był tak wykończony, że docierając do pompowni nawet o niej nie myślał, toteż jej widok, siedzącej na pomalowanej na srebrno rurze, był dla niego zupełnym zaskoczeniem. Nawet Jan Prezbiter spłoszył się, omal nie zrzucając go z siodła i zmuszając do przytrzymania się oburącz wysokiego łęku.

Wplotła sobie we włosy barwne polne kwiaty i rozpięła bluzkę pod szyją. W jednej z książek w bibliotece Welteyreden była ilustracja przedstawiająca satyry tańczące w lesie z nimfami. Książkę trzymano w zamkniętej szafie, do której klucz miała tylko matka, ale Shasa zainwestował część kieszonkowego w sporządzenie jego duplikatu. Spośród całej zawartości tej skarbnicy erotyki książka ze zwiewnie odzianymi nimfami stała się jego ulubioną pozycją.

Annalisa przywodziła na myśl jedną z nich, wydawała mu się leśną nimfą, istotą tylko na wpół ludzką. Patrzyła na niego wyzywająco spod przymrużonych powiek, zęby miała ostre i bardzo białe.

— Cześć, Annaliso. — Głos załamał mu się zdradziecko, a serce waliło tak mocno, że przestraszył się, iż lada chwila wyrwie mu się z piersi do gardła i go udusi.

Uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała. Zamiast tego przesunęła pieszczotliwie dłonią po własnej ręce, długim, powolnym ruchem, od nadgarstka po nagie ramię. Ujrzał, jak opuszki palców dziewczyny stroszą miedziany jedwabisty puszek na jej przedramionach, i poczuł bolesne klucie w łędźwiach.

Annalisa nachyliła się i wciąż z tym samym wyzywającym uśmiechem położyła palec na dolnej wardze. Jej piersi zmieniły kształt, dekolt bluzki rozwarł się szerzej, pozwalając mu zajrzeć daleko w głąb szczeliny między dwoma wzgórkami. Skóra w niej była tak biała i przejrzysta, że przeświecały przez nią błękitne nitki żył.

Kopnięciem wyswobodził stopy ze strzemion i przerzucił jedną z nich ponad kłębami Jana Prezbitera w pokazowym zeskoku gracza w polo, ale dziewczyna zerwała się na nogi, podciągnęła wysoko spódnicę i błyskając bielą ud zeskoczyła lekko za wodociąg i zniknęła z gęstych zaroślach na stoku wzgórza.

Shasa popędził za nią i zaczął przedzierać się przez gęste krzaki. Splątane gałęzie smagały go po twarzy i obłapiały za nogi. Raz dobiegł go jej chichot, wydawało się już, że ma ją na wyciągnięcie ręki, lecz w tej samej chwili kamień usunął mu się spod nogi i Shasa runął jak długi, tracąc dech w piersiach. Kiedy pozbierał się po upadku i chciał kuśtykać za nią dalej, dziewczyna zniknęła jak zjawą.

Jeszcze przez chwilę kręcił się po zaroślach, lecz szybko ostygł w swych zapalach. Kiedy przedarł się z powrotem do ścieżki koło wodociągu i stwierdził, że Jan Prezbiter skorzystał z jego nieuwagi i umknął, zaczął kipieć z wściekłości na siebie i Annalisę.

Do bungalowu miał jeszcze kawał drogi, a dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony. Nim dotarł do domu, gdzie pojawienie się kuca bez jeźdźca wywołało ogólną panikę, zapadła zupełna ciemność. Na widok Shasy całego i zdrowego, Centaine odetchnęła z ulgą, lecz

miejsce jej niepokoju natychmiast zajął gniew.

14

Po tygodniu harówka w kurzu i upale zaczęła go nużyć, toteż Twentymann-Jones przydzielił Shasę do obsługi głównej wyciągarki. Jej operatorem był małomówny, ponury człowieczek, trzęsący się o swą pracę. Nie pozwolił chłopcu nawet dotknąć urządzeń sterowniczych wyciągarki.

Mój związek zawodowy tego zabrania. Trwał z uporem przy swoim, więc po dwóch dniach Twentymann-Jones przeniósł Shasę na wysypisko rudy.

Brygady robotników z plemienia Oyambo opróżniały tu wagoniki i rozsypywały pokruszoną skałę równymi warstwami na otwartym powietrzu. Nadzy do pasa, nucąc chórem monotonna pieśń, wywracali mozolnie wagoniki i rozrzucali rudę ponaglani okrzykami swego białego nadzorcy i grupy czarnoskórych brygadzystów.

Tu, na tym wietrzelisku o powierzchni czterech boisk do gry w polo, spoczywała główna rezerwa kopalni H'ani, tysiące ton rudy. Po wykruszeniu wybuchami z komina błękitna skała miała twardość betonu. Tylko dynamit i pięciokilowe młoty mogły jej dać radę. Ale po sześciu miesiącach leżenia w słońcu na hałdzie zaczynała się rozpadać i rozsypywać, aż nabierała kruchości kredy. Wtedy ponownie ładowano ją na wagoniki i przewożono do młyna, a potem do płuczni.

Shasa został nadzorcą czterdziestu robotników i już wkrótce zaprzyjaźnił się z ich czarnoskórym brygadystą. Jak wszyscy Murzyni z plemienia Oyambo miał on dwa imiona, jedno plemienne, którego mu ujawniał białym pracodawcom, i drugie na czas pracy. To na czas pracy brzmiało Mojżesz. Był co najmniej piętnaście lat młodszy od pozostałych brygadzystów, awansowano go z uwagi na inteligencję i wykazywaną inicjatywę. Mówił dobrze zarówno po angielsku jak i w afrikaans, a szacunek, jaki czarni robotnicy rezerwują zwykle dla siwowłosych starców, zdobył sobie swoją pałą, okutymi buciorami i ciętym językiem.

— Gdybym był białym człowiekiem — mawiał Shasie — pewnego dnia dostałbym robotę Indzeli — „Indzelą” nazywali czarni robotnicy inżyniera Twentymanna-Jonsa. — Zresztą może i tak pewnego dnia ją dostanę, a jak nie ja, to mój syn.

Absurdalność tej koncepcji najpierw wprawiła Shasę w osłupienie, a potem zastanowiła. Nigdy jeszcze mu nie spotkał Murzyna, który by nie znał swego miejsca. Było coś niepokojącego w tym wysokim Oyambo, który wyglądał jak egipski faraon z rysunków z zakazanej sekcji biblioteki w Welteyreden, ale to właśnie czyniło go w oczach Shasy jeszcze bardziej intrygującym.

Spędzali zwykle razem godzinną przerwę na lunch, podczas której Shasa pomagał Mojżeszowi doskonalić się w czytaniu i pisaniu w brudnym zeszycie w linie, stanowiącym największy skarb Oyambo. W rewanżu Murzyn uczył Shasę podstawowego języka, głównie przekleństw i wyzwisk, i tłumaczył mu pieśni pracy, w większości niezwykle sprośne.

Czy robienie dzieci to praca czy przyjemność? Tym retorycznym pytaniem rozpoczynała się ulubiona pieśń Shasy. Ku zachwytowi swych podwładnych już wkrótce razem z nimi śpiewał odpowiedź: Na pewno nie praca, bo biały człowiek kazałby nam to robić za siebie!

Shasa skończył niedawno czternaście lat. Jego podwładni byli dwa i trzy razy starsi od niego, ale żaden z nich mu nie widział w tym nic dziwnego. Co więcej, zachwyceni jego promiennym uśmiechem, sposobem, w jaki się w nimi przekomarzał, i żalonymi próbami mówienia w ich języku, w dwójnasób przykładali się do roboty. Już wkrótce rozsypywali pięć ładunków w czasie jednej zmiany, wyprzedzając wszystkie inne zespoły o cały jeden ładunek. Drugi tydzień zakończyli jako najlepsza brygada wietrzeliska.

Shasa był zbyt zaprzątnięty pracą i nową przyjaźnią, by zauważyć chmurne spojrzenia swojego białego szefa, i nawet gdy ten znaczącym tonem rzucał uwagi o kafferboeties, to znaczy „miłośnikach

czarnuchów”, chłopiec nie brał tego do siebie.

W trzecią sobotę, w południe po wypłacie, pojechał na zaproszenie Mojżesza do jego chaty i spędził całą godzinę siedząc w słońcu przed progiem, popijając zsiadłe mleko z kalebasy podanej przez nieśmiałą, młodą i ładną żonę Mojżesza i pomagając mu czytać Dzieje Anglii Macaulaya, które wyniósł ukradkiem z bungalowu i przywiózł w sakwie przy siodle.

Książka ta była obowiązkową lekturą w szkole, toteż Shasa uważał się za znawcę przedmiotu i z przyjemnością grał niecodzienną rolę nauczyciela i instruktora. Niespodzianie jednak Mojżesz przerwał lekturę i zamknął podręcznik.

— To ciężka robota, Dobra Wodo. — Przełożył dosłownie imię Shasy na język Oyambo. — Cięższa niż rozrzucanie rudy latem. Popracuję nad tym później. — Wszedł do jedyne­go pomieszczenia chaty, włożył książkę do szafli i wrócił ze zwiniętą gazetą.

— Spróbujmy tego. — Podał gazetę Shasie, który rozłożył ją sobie na kolanach. Był to jakiś szmatławiec drukowany na kiepskim papierze, brudzący palce farbą. U góry strony biegł napis „Umlomo Wa Bantu”. — „Usta Czarnych Narodów” — przetłumaczył bez trudu Shasa i przesunął wzrokiem po kolumnach druku. Większość artykułów była po angielsku, choć kilka napisano w językach miejscowych.

Mojżesz wskazał palcem artykuł redakcyjny i zabrali się do pracy.

— Co to jest Afrykański Kongres Narodowy? — zdziwił się Shasa. — I kto to jest ten Jabayu?

— Jabayu jest ojcem wszystkich Bantu, wszystkich plemion, ojcem całego czarnego ludu — wyjaśnił skwapliwie Oyambo. — A Afrykański Kongres Narodowy to pasterz strzegący naszych stad.

Shasa poczuł się nieswojo. Opuściła go cała ciekawość.

— Nie rozumiem — pokręcił głową. Nie podobał mu się kierunek, jaki przybierała ta rozmowa.

Poruszył się niespokojnie słysząc jak Mojżesz cytuje:

*Straciłeś swe bydło, mój ludzie,  
Pędź je ratować! Pędź je ratować!  
Odstaw szórzę  
A zamiast niej chwyć pióro!  
Weź papier i atrament,  
One będą twą tarczą.  
Tracisz prawa,  
Więc chwytaj za pióro,  
Napój je atramentem  
I walcz piórem!*

— To jest polityka! — przerwał mu Shasa. — Czarni nie mieszają się do polityki. Polityka jest domeną białych.

W poniedziałek Twentyman-Jones zatrzymał Shasę przy głównym wejściu na hałdę.

— Wydaje mi się, paniczku, że wie pan już o zwietrzaniu wszystko, co trzeba wiedzieć — powiedział. — Pora przejść do młyna i płuczni. — A kiedy idąc obok wózka napełnionego kruszącą się, zwietrzałą rudą, ruszyli wzdłuż torów do głównego budynku kopalni, dodał: — Lepiej nie spoufalać się zbyt z Czarnymi robotnikami. Przekona się pan, że zawsze to wykorzystują.

Shasa spojrział na niego zdezorientowany, nie pojmując w pierwszej chwili, do czego inżynier pije, po czym roześmiał się. — A, chodzi panu o Mojżesza! Oń nie jest robotnikiem, jest brygadzystą, a do tego to bardzo bystry facet, sir.

— Nawet trochę zbyt bystry, żeby mu to wyszło na zdrowie — przyznał gorzko Twentyman-Jones. — Ci bystrzy to sami malkontenci, zawsze coś namacają. Nie ma to jak zwykły porządny tępy czarny. Ten pana przyjaciel, Mojżesz, próbuje zorganizować związek zawodowy czarnych górników.

Shasa wiedział od dziadka i matki, że bolszewicy i organizatorzy związków zawodowych to siejące największą groźbę potwory, których zamiarem jest obalenie struktur cywilizowanego społeczeństwa. Wiadomość, że Mojżesz jest jednym z nich, przyprawiła go o prawdziwy szok.

— Podejrzewamy także — ciągnął Twentyman-Jones — że macza palce w różnych pokątnych operacyjkach NOD.

NOD, nielegalny obrót diamentami, czyli handel kradzionymi kamieniami, był następnym koszmarem cywilizowanej egzystencji. Na wiadomość o tym, że jego przyjaciel organizuje związki zawodowe, a do tego zajmuje się nielegalnym handlem diamentami, Shasa poczuł się głęboko oburzony.

Mimo to następne słowa Twentyman-Jonesa wprawiły go w przygnębienie.

— Obawiam się, że pan Mojżesz znajdzie się na czele listy tych, którzy z końcem tego miesiąca otrzymają wymówienie. To niebezpieczny człowiek. Po prostu musimy się go pozbyć.

To był fundament, na którym opierało się całe życie w Afryce Południowej.

Oczy Mojżesza zmatowiały, zabrał Shasi, z kolan gazetę i wstał.

— Oddam ci książkę, kiedy ją przeczytam — powiedział i unikając wzroku chłopca wszedł do chaty.

„Wyrzucają go tylko dlatego, że się z nim zaprzyjaźniłem — przejrzał Twentyman-Jonesa Shasa. — Wszystko przeze mnie.” Przepeliło go poczucie winy, lecz niemal natychmiast ustąpiło miejsca złości. Na usta cisnęły mu się krewkie słowa. Chciał zawołać: „To „niesprawiedliwe!”, ale spojrzawszy na inżyniera wyczył intuicyjnie, że każda próba obrony Mojżesza przypieczętuje tylko jego los. Wzruszył ramionami.

— Pan najlepiej wie, jak należy postąpić, sir — powiedział spokojnie i dostrzegł, jak stary inżynier oddycha z wyraźną ulgą.

„Matka — przemknęło Shasie przez myśl — porozmawiam z matką.” Nagle ogarnęło go dojmujące poczucie bezsilności. „Żeby tak sam mógł to zrobić — pomyślał. — Żeby sam mógł decydować, jak należy postąpić.” I wtedy zaświtało mu w głowie, że to właśnie miała na myśli matka, kiedy mówiła o ogromnej władzy. Możliwość zmieniania porządku rzeczy w otaczającym go świecie i nadawania mu pożądanego przez siebie kształtu.

— Władza... — szepnął do siebie. — Pewnego dnia ją zdobędę... Ogromną władzę...

Praca w młynie była znacznie ciekawsza i bardziej wymagająca. Kruchą, zwietrzałą skałę ładowano w skrzynie i przez leje samowyladowcze sypano do właściwego młyna, gdzie zostawała rozdrobniona do konsystencji, jakiej wymagała płuczni. Potężna maszyna przytłaczała ogromem,

a huk, z jakim ruda spadała lejami na ryny zsypane i znikła wessana między wirujące stalowe walce, był wręcz ogłuszający. Sto pięćdziesiąt ton na godzinę. Z jednego końca wpadały ubielone bryły wielkości arbuza, z drugiego wypływał strumień pyłu i żwiru.

Stoffel, brat Annalisy, który podczas ostatnich odwiedzin Shasy w kopalni wyregulował mu rozrząd w starym fordzie, a do tego potrafił wspaniale imitować głosy ptaków, był teraz praktykantem w młynie. Otrzymał polecenie oprowadzenia Shasy po zakładzie, zabrał się do tego z zapałem i wyraźną przyjemnością.

— Ustawiając siłę kruszenia tych dymanych walców trzeba uważać jak diabli, bo inaczej rozgniotą pieprzone diamenty na proszek. — Przeklinał coby drugie słowo, podkreślając w ten sposób swą ważność i niedawne przyjęcie do świata dorosłych.

— Chodź, Shaso, pokażę ci punkty smarowania. Przed rozpoczęciem każdej zmiany we wszystkie trzeba wtłoczyć smar.

Wpełził na czworakach pod baterie dudniących walców i nachylił się Shasie do ucha, by przekrzyczeć ich huk.

— W zeszłym miesiącu jeden z praktykantów wsadził rękę w łożysko! Mówię ci, stary, urwało mu ją jak łeb kurczakowi! Trzeba ci było widzieć tę krew! — Z zachwytem wampira pokazał ręką wyschnięte plamy na betonowej podłodze i ścianach z cynkowanej blachy. — Mówię ci, stary, tryskała jak z ogrodowego węża!

Wspiął się jak małpa po stalowych klamrach drabinki, Shasa wdrapał się za nim i po chwili spojrzeli w dół z pomostu roboczego na stoły młyna.

— Kiedyś jeden z oyambijskich Kafrów spadł z tego miejsca prosto do skrzyni z rudą. Kiedy młyn go wypuł z drugiej strony, nie został z niego nawet jeden okruch kości większy niż mały palec. Ja, ja, stary, to piekielnie niebezpieczna robota — oświadczył z dumą. — Zagapisz się na jedną pieprzoną chwilę i sru! Już po tobie!

Kiedy syrena obwieściła przerwę na lunch, zaprowadził Shasę w cień pod ścianą młyna, gdzie rozsiedli się wygodnie na obudowie wentylatora. Miejsce pracy dawało świetną wymówkę, mogli przebywać razem zupełnie otwarcie. W niebieskim roboczym kombinezonie Shasa czuł się ważny i zupełnie dorosły. Otworzył pudełko z lunchem przysłanym przez kucharkę z bungalowu i sprawdził zawartość.

— Kurczak, kanapki z ozorem i legumina z konfiturą... Podzielić się z tobą, Stoffel? -

— Nie, stary, dzięki. Siostra właśnie wiezie mi lunch.

I Shasa stracił wszelkie zainteresowanie jedzeniem.

Annalisa pedałowała drogą na rowerze o Czarnej ramie, grzechocząc gronami menażek zwisającymi z obu stron kierownicy, i właśnie mijala bramę kruszalni. Widział ją po raz pierwszy od tamtego spotkania przy pompowni, choć wypatrywał jej codziennie. Podkasała spódnice, by nie wkręciły się w łańcuch, i stojąc na pedałach rytmicznie naciskała je obnażonymi nogami, a wiatr oklejał wiotkim materiałem sukienki jej piersi, nieproporcjonalnie duże w stosunku do szczupłego, opalonego ciała.

Sbasa wpatrywał się w nią jak urzeczony. Kiedy spostrzegła go obok brata, opadła na siodełko, wyprostowała ramiona i puściła jedną ręką kierownicę, by poprawić potarganą wiatrem burzę włosów. Zahamowała, zsiadła z roweru i oparła go o ścianę obudowy wentylatora.

— Co tam masz dzisiaj, Annaliso? — spytał Stoffel Botha.

— Jak to co? To samo co zawsze! — odparła, podając mu menażki. — Tłuczone kartofle z kiełbasą.

Ramiona sukienki miała głęboko wycięte i kiedy podniosła ręce, pod pachami błysnęły jej kępki



szorstkich jstnych włosów, sklejonych i mokrych od potu. Shasa szybko założył nogę na nogę.

— I to ma być siostra, stary! — mruknął z rozgoryczeniem Stoffel. — W kółko kielbasa z kartoflami!

— Następnym razem powiem mamie, żeby usmażyła ci stek z grzybami. — Opuściła ręce, a Shasa uświadomił sobie, że wybałusza na nią oczy, ale nie mógł się od tego powstrzymać. Zebrała dłonią dekolt bluzki, na opaloną skórę jej szyi wypełził lekki rumieniec, ale nadal jeszcze ani razu na niego nie spojrzała.

— Pokorne dzięki — odprawił ją Stoffel, ale dziewczyna ociągała się z odejściem.

— Poczęstuj się moim — zaproponował Shasa.

— Niech będzie, zamienię się z tobą — zgodził się wielkodusznie Stoffel. Shasa zajrzał do menażki. W rzadkim, tłustym sosie z mięsa pływały kawałki grubo tłuczonych ziemniaków. — Jakoś nie chce mi się jeść — powiedział i po raz pierwszy zwracając się do dziewczyny spytał: — Nie miałabyś ochoty na kanapkę, Ananaliso?

Przyglądziła spódnicę na biodrach i wreszcie spojrzała na niego. Mrużąc skośne oczy jak dziki kot, uśmiechnęła się zuchwale.

— Jeśli będę czegoś od ciebie chciała, Shaso Courteney, to na ciebie zagwiżdżę, o tak. — Złożyła usta w różany łuk amora i zaczęła gwizdać jak zaklinacz węży, prostując jednocześnie wskazujący palec w niedwuznacznie sprośnym geście.

Stoffel ryknął rubasznym śmiechem i szturchnął Shasę w bok.

— Siary, ale ona na ciebie leci!

Shasie odjęło mowę i spłonął ciemnym rumieńcem. Annalisa odwróciła się, wystudiowanym gestem podniosła rower i wyjechała przez bramę stojąc na pedałach i bujając rowerem na boki, tak że przy każdym naciśnięciu pedału muskała krągłymi, jędrnymi pośladkami siodełko.

Kiedy tego wieczoru skręcał na ścieżkę wzdłuż wodociągu, serce zaczęło mu walić w piersi, a zbliżając się do pompowni, w obawie przed rozczarowaniem ściągnął kucowi wodze i zwolnił, by jak najbardziej odwlec moment dotarcia do rogu budynku.

Lecz mimo to nie był przygotowany na szok, w jaki wprawił go jej widok. Leżała rozmarzona pod wspornikiem rurociągu, a kiedy podniosła się leniwie i nie spiesząc się podeszła do konia, ani razu nie spojrzawszy na jeźdźca, Shasie zaparło dech w piersi. Przytrzymała kuca za rzemienny pas uzdy.

— Jaki z nas śliczny chłopiec — zagruchała do niego gardłowo. Kuc parsknął i przestąpił z nogi na nogę. — Jaki mamy piękny, jedwabisty nos...

Przesunęła pieszczotliwie dłonią po rozdętych chrapach.

— Pewnie chciałbyś dostać całusa, mój śliczny...

Ściągnęła wargi, różowe, delikatne i wilgotne i zerkając na Shasę objęła konia ze łeb, pochylili się i pocałowała go w nozdrza. Nie odrywała ust przez kilka długich sekund, a potem przytuliła policzek do policzka konia. Na koniec nucąc cicho jakąś zmysłową melodię i kołysząc delikatnie biodrami podniosła wreszcie na Shasę te swoje leciutko skośne oczy i spojrzała wyzywająco.

Fala gwałtownych doznań odebrała Shasie mowę. Gorączkowo szukał jakichś słów, ale dziewczyna przesunęła się powoli do karku konia i pogłaskała go po boku.

— Taki silny... — Musnęła leciutko dłonią udo Shasy, jakby przypadkiem, a potem nie patrząc mu już w oczy, zrobiła to raz jeszcze, tym razem bez wątpienia z rozmysłem. Nie miał się czym zasłonić, nie miał jak ukryć gwałtownej reakcji na dotyk jej dłoni. Nagle dziewczyna roześmiała się, szokująco piskliwie, odstąpiła o krok i wzięła się pod boki.

— A cóż to, Shaso Courteney, wybierasz się na piknik? — spytała. Zaskoczony i zmieszany

potrząsnął głupkowato głową.

— No to po co stawiasz namiot? — Roześmiała się na całe gardło i wlepiła bezwstydnie wzrok w rozporek jego spodni. Shasa pochylił się gwałtownie w siodle i zgiął niezdarnie w pół. Ze zbijającą z tropu zmiennością nastroju ulitowała się nad nim, wróciła do przodu, ujęła kuca za uzdę i poprowadziła ścieżką, dając Shasie czas na przyjscie do siebie.

— Co mój brat ci o mnie naopowiadał? — spytała, nie oglądając się za siebie.

— Nic — zapewnił skwapliwie, ale nie zdołał jej przekonać.

— Nie wierz, w to co mówi. Zawsze zmyśla o mnie wszystko, co najgorsze. Mówił ci o Fouriem, tym kierowcy?

W całej kopalni nie było człowieka, który by nie znał historii o tym, jak to po kolacji wigilijnej żona Gerharda Fouriego przyłapała go z Annalisą w kabinie ciężarówki. Zona Fouriego była starsza od matki Annalisy, ale podbiła dziewczynie oba oczy i podarła na niej w strzępy jedyną porządną sukienkę.

— Nic mi nie mówił — powtórzył z uporem Shasa, po czym z ciekawością spytał: — A co się stało?

— Nic — odparła pospiesznie. — To wszystko kłamstwa. — I znów przeskakując z tematu na temat zaproponowała: — Chcesz, żebym ci coś pokazała?

— Tak, bardzo chcę — przystał ochoczo. Miał przeczucie, że wie, co by to miało być.

— Podaj mi rękę.

Podeszła do strzemienia, a chłopiec schylił się, wsunął przedramię w zagięcie jej łokcia i poderwał ją w górę. Była lekka i silna. Usiadła okrakiem na zadzie kuca i objęła Shasę obiema rękoma w pasie.

— Skręć w tę ścieżkę na lewo — poleciała.

Przez dziesięć minut jechali w milczeniu.

— Ila masz lat? — spytała w końcu.

— Prawie piętnaście. — Naciągnął trochę prawdę.

— Ja za dwa miesiące skończę szesnaście.

Jeśli istniały jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, kto tu rządzi, to to oświadczenie skutecznie je rozwiało. Shasa podporządkował się jej, wyczuła to po nieuchwytnym zmianie jego postawy. Jakby dla zadokumentowania swej wyższości, oparła się piersiami o jego piecy. Były duże, sprężyste jak guma i parzyły go przez cienką bawełnę koszuli.

— Dokąd jedziemy? - spytał po następnej długiej chwili milczenia. Musieli już minąć bungalow.

— Siedź cicho! Zobaczysz, jak dojedziemy.

Ścieżka zwęziła się i stała bardzo wyboista. Wydawało się wątpliwe, by poza małymi dzikimi zwierzętami, które nadal żyły w pobliżu kopalni, ktokolwiek korzystał z niej w ciągu ostatnich tygodni, a może i miesięcy. W końcu u podnóża skalnej ściany zniknęła zupełnie. Annalisa zeskoczyła z kuca.

— Konia zostaw tutaj.

Shasa spętał Jana Prezbitera i rozejrzał się w ciekawością wokół siebie. Nigdy jeszcze nie zapuścił się tak daleko wzdłuż urwisk. Musieli zabrnąć co najmniej pięć kilometrów poza bungalow.

Pod nogami mieli opadające stromo w dół szerokie piarżysko, pocięte żlebami i głębokimi szczelinami, zarośniętymi szczelnie wybująłymi kolczastymi krzakami.

— No, chodźże! — ponagliła go Annalisa. — Nie ma czasu, zaraz się ściemni.

Dała nura pod jakąś gałąź i zaczęła schodzić w dół zbocza.

— Uważaj! — zawołał ostrzegawczo Shasa. — Tam się nie da zejść. Skręcisz nogę.

— Boisz się? — spytała drwiąco.

— Wcale się nie boję.

Drwina zmusiła go do zejścia na usiany skałami stok. Ruszył za dziewczyną. Raz zatrzymała się przy kępie jakichś kolczatych krzaków, by zerwać kitkę żółtych kwiatków, lecz poza tym szli cały czas w dół, pomagając sobie w trudniejszych miejscach, przełaząc na czworakach pod zwisającymi nisko gałęziami bożodajni, huśtając się na większych gałęziach i skacząc przez rozpadliny jak para góralek [Małe zwierzątko wielkości królika, *Procavia capensis*.], aż zeszli na samo dno wąwozu i przystanęli dla złapania oddechu.

Shasa odgiął się do tyłu w pasie i spojrział na wznoszące się nad nimi urwisko, pionową litą skałę przywodzącą na myśl mury jakiejś gigantycznej fortecy, ale Annalisa szarpnęła go za łokieć.

— To jest sekret. Musisz przysiąc, że nie powiesz o tym nikomu, zwłaszcza mojemu bratu.

— Dobrze, przysięgam.

To za mało, musisz przysiąc jak należy. Podnieś prawą rękę, a lewą połóż na sercu. — Z namaszczeniem podawała mu słowa przysięgi, po czym pociągnęła go ku pokrytej liszajami porostów stercie gałęzi. — Ukłęknij!

Posłusznie wykonał polecenie, a wtedy Annalisa odsunęła na bok gałąź zasłaniającą niszę między gałęziami. Shasa zachłysnął się powietrzem i szarpnął do tyłu, na wpół podrywając się z kolan. Nisza miała kształt kapliczki. Jej podłoga zastawiona była kolekcją szklanych słoików, z których woda dawno już wyparowała, a umieszczone w nich polne kwiaty zwiędły i uschły. Za ofiarnym kwieciem bielila się piramidka starannie ułożonych kości, zwieńczona ludzką czaszką z ziejącymi dziurami oczodołów i wyszczerzonymi pożółkłymi zębami.

— Kto to jest? — spytał szeptem Shasa, otwierając szeroko oczy z zabobonnego strachu.

— Wiedźma z gór — odparła Annalisa biorąc go za rękę. — Znalazłam tutaj jej porozrzucone kości i urządziłam tę czarodziejską grootę.

— Skąd wiesz, że to wiedźma?

Teraz ciarki biegały mu już po całych plecach, głos mu się łamał i drżał.

— Bo sama mi powiedziała.

To wyjaśnienie wywoływało tak przerażające wizje, że dał spokój dalszym pytaniom. Na widok czaszek i piszczeli skóra na nim cierpła, ale głosy z zaświatów były jeszcze po stokroć gorsze, jeżyły włos na głowie. Przyglądał się, jak Annalisa zmienia uschnięte badyle na świeże kiście żółtej akacji. Kiedy już to zrobiła, przykucnęła obok niego i znów wzięła go za rękę.

— Wiedźma spełni jedno twoje życzenie — szepnęła.

Shasa zaczął się zastanawiać.

— No, czego byś chciał? — ścisnęła mocniej jego dłoń.

— Mogę sobie zażyczyć czego tylko zechcę?

— Czego tylko zechcesz — przytaknęła i spojrzała na niego wyczekująco.

Patrząc na pobielającą czaszkę stwierdził nagle, że strach go opuszcza i doznał zupełnie nowego, przedziwnego uczucia, jakby coś obejmowało go i przytulało. Spłynęło na niego ciepło i ukojenie, jakie pamiętał tylko z czasów niemowlęcych, kiedy matka przytulała go do piersi.

Na czubku czaszki zachowało się kilka wysuszonych kawałków skóry, podobnych do skrawków zrudziałego pergaminu, i kilka kępek czarnych włosów, delikatnych, maleńkich, skręconych kulek, takich jak te na głowach osiadłych Buszmenów, którzy paśli mleczne krowy w zajazdach przy drodze z Windhoek.

— Czego tylko zechcę? — powtórzył.

— Tak, czego tylko zechcesz.

Annalisa oparła się o niego, jej młode ciało było miękkie, ciepłe i pachniało słodko świeżym potem.

Shasa pochylił się i dotknął białej kości czoła czaszki. Uczucie ciepła, życzliwości i ukojenia przybrało na sile. Odniosł wrażenie, że splywa na niego... miłość — tak, miłość, to słowo wcale nie było zbyt mocne — jak gdyby znalazł się pod opieką kogoś lub czegoś, co głęboko się o niego troszczyło.

— Pragnę osiąść — powiedział cicho, niemal z rozmarzeniem — pragnę osiąść ogromną władzę.

Wydało mu się, że w opuszkach palców, którymi dotykał czaszki, poczuł mrowienie, jakby ukłucia iskier wyładowań elektrostatycznych. Gwałtownym szarpnięciem cofnął rękę.

Annalisa odsunęła się od niego z jękiem irytacji.

— Co za głupie życzenie! — zawołała. Wyraźnie czuła się dotknięta, choć Shasa zupełnie nie pojmował dlaczego. — Ty też jesteś głupi! Wiedźma nie spełni takiego idiotycznego życzenia!

Zerwała się z ziemi i odsunęła gałęzie przesłaniające wejście do pieczary.

— Zrobiło się późno! Musimy wracać!

Shasa ociągał się z odejściem. Nie miał ochoty opuszczać tego miejsca.

— No, chodźże! — ponagliła go Annalisa. — Za godzinę będzie zupełnie ciemno.

Kiedy wdrapał się z powrotem na ścieżkę, siedziała pod skałą na wprost niego.

— Skaleczyłam się — powiedziała tonem oskarżenia. Oboje byli zdyszani i zaczerwienieni od wspinaczki.

— Strasznie mi przykro — wysapał. — Co ci się stało?

Podciągnęła spódnicę do połowy uda. Jeden z zakończonych czerwonym czubkiem cierni czepoty spiął ją jak ostroga; na gładkiej, kremowej wewnętrznej stronie uda czerwieniło się długie cienkie zadrapanie. Skóra była ledwie przecięta, ale wisiały na niej kropelki krwi, niby naszyjnik z maleńkich, jasnych rubinów. Wpatrywał się w nie jak urzeczony. Annalisa oparła się o skałę, wetknęła między uda fałdy zebranej spódnicy i podciągnawszy kolana, rozchyliła szeroko nogi.

— Przemyj mi to śliną — rozkazała.

Posłusznie ukląkł między jej stopami i zwilżył palec.

— Ten paluch jest brudny — skarciła go.

— No, to jak mam to zrobić? — spytał zagubiony.

— Poliz... Przemyj mi to językiem.

Schylił się i dotknął zadrapania koniuszkiem języka. Jej krew miała dziwnie słony, metaliczny smak.

Objęła go za szyję, a drugą ręką pogładziła gęste kędziory jego ciemnych włosów.

— O tak, właśnie tak — zamruczała jak kot.

Wpiotła mu palce we włosy, przyciskając mocniej jego twarz do uda, a potem z rozmysłem podciągnęła ją wyżej, odsuwając powoli drugą ręką fałdy spódnicy.

Zerknął w górę, w ciemny kin jej ud i ujrzał, że podłożyła sobie do siedzenia jakąś część ubrania, coś białego w czerwone różyczki. Z nagłym dreszczem dotarło do niego, że w ciągu tych kilku minut, kiedy była sama, nim usiadła na miękkiej, porośniętej mchem ziemi, musiała ściągnąć majtki. Pod spódnicą była zupełnie naga.

Obudził się nagle i potoczył dokoła wzrokiem, nie mogąc zrozumieć, gdzie jest. Pod plecami miał twardą ziemię, w ramię wbijał mu się kamień, a pierś przygniatał mu jakiś ciężar, przez który ledwie mógł oddychać. Było zimno i zupełnie ciemno. Jan Prezbiter parskał i tupał niecierpliwie, jego łeb majaczył czarną plamą na tle gwiazd.

Nagle wszystko sobie przypomniał. To Annalisa oplotła go swoją nogą, wtuliła mu twarz w szyję i leżała rozwalona na jego piersi. Odepchnął jak tak gwałtownie, że obudziła się z krzykiem na ustach.

— Jest zupełnie ciemno! — stwierdził głupkowato. — Na pewno już nas szukają.

Chciał wstać, ale spodnie plątały mu się koło kolan. Przypomniał sobie wyraziście, z jaką wprawą mu je odpięła i ściągnęła przez biodra. Jednym szarpnięciem podciągnął je do góry i zaczął się mocować z rozporkiem.

— Musimy natychmiast wracać! Moja matka...

Annalisa zerwała się z ziemi i podskakiwała obok niego na jednej nodze, próbując trafić bosą stopą w majtki. Shasa spojrział w gwiazdy. Orion wisiał tuż nad horyzontem.

— Jest już po dziewiątej — oznajmił ponuro.

— Nie trzeba było zasypiać! — zawołała płaczkliwie i chwyciła go za ramię, by się przytrzymać. — Tata mnie zleje. Groził, że następnym razem mnie zabije.

Shasa stracił jej rękę potrząśnięciem ramienia. Miał ochotę ją tu zostawić, wiedział jednak, że nie może tego zrobić.

— To twoja wina! — Schyliła się do kostek, chwyciła majtki, podciągnęła je do pasa i opuściła spódnice. — Powiem tacie, że to twoja wina. Tym razem weźmie na mnie bat. O Boże, obedrze mnie ze skóry!

Shasa odwiązał kuca. Ręce mu drżały, wciąż jeszcze nie otrząsnął się ze snu, był zamroczony, nie potrafił jasno myśleć.

— Nic ci nie zrobi. Nie pozwolę mu. — Jego galanteria była wymuszona i mało przekonująca. — Nie pozwolę mu cię skrzywdzić.

To ją tylko jeszcze bardziej rozżłościło.

— A niby jak? Przecież z ciebie jeszcze zupełny dzieciuch! — Te słowa nasunęły jej nową myśl. — A co będzie, jeśli zrobięś mi dziecko? No? Zostałabym się z bękartem! Czy pomyślałeś o tym, kiedyś wtykał we mnie tę swoją pałkę? — spytała zła jak osa.

Shasa poczuł się dotknięty nieuczciwością jej oskarżenia.

— Nigdy bym tego nie zrobił, gdybyś mi sama nie pokazała, jak się do tego zabrać.

— Dużo nam to teraz pomoże! — rozpląkała się. — Dlaczego nie możemy po prostu uciec?

Choć pomysł ten wydał mu się ogromnie kuszący, z bólem serca musiał go odrzucić.

— Chodź — mruknął, pomógł jej wdrapać się na Jana Prezbitera i sam usiadł za jej plecami.

Kiedy wyjechali zza ściany urwisk, na równinie w dole dojrzeli pochodnie grup poszukiwaczy. Także na drodze widać było światła reflektorów sunącego powoli samochodu, najwyraźniej przeczesującego pobocza, a z odległego lasu dobiegały słabe nawoływania.

— Tym razem tata jak nic mnie zabije... — łkała, pociągając nosem. — Będzie wiedział, co robiliśmy... — To roztkliwianie się nad sobą coraz bardziej go irytowało. Już dawno dał spokój wszelkim próbom pocieszenia dziewczyny.

— Niby skąd miałby wiedzieć? — przerwał jej szorstko. — Przecież go tam nie było.

— Chyba nie sądzisz, że jesteś pierwszym, z którym to robiłam! — prychnęła, wyraźnie próbując mu dopiec. — Robiłam to już z wieloma innymi, a tata dwa razy mnie przyłapał! Domyśli się, już ja to wiem...

Na myśl o tym, że robiła te swoje przedziwne cudowne sztuczki z innymi, Shasa poczuł, że rozpała go fala zazdrości, lecz powoli rozsądek wziął górę.

— No cóż — zauważył bystro — skoro wie o wszystkich innych, to zwalanie winy na mnie nic ci nie da.

Uświadomiwszy sobie, że wpadła we własne sidła, wydała z siebie kolejny rozdzierający szloch, zanosła się teatralnym płaczem i łkała już bez przerwy, aż do spotkania z pieszą grupą poszukiwaczy na ścieżce koło wodociągu.

15

Usiedli po przeciwnych stronach salonu, instynktownie trzymając się jak najdalej od siebie. Kiedy z dworu dobiegi zgrzyt opon na żwirze, a okna omiotły snopy reflektorów zajeżdżającego daimlera, Annalisa znów zaczęła szlochać, pociągając nosem i trąc oczy, by wycisnąć z nich jeszcze kilka łez.

Z korytarza dobiegł odgłos szybkich lekkich kroków Centaine i bardziej dostojnych bocianich człapnięć Twentymana-Jonesa.

Kiedy matka stanęła w drzwiach, Shasa wstał i złożył opuszczone ręce w pozie skruszonego grzesznika. Ubrana była w bryczesy, buty do konnej jazdy i tweedową kurtkę z żółtą apaszką pod szyją. Na twarzy miała wypieki i choć znać było po niej, że doznała ulgi, kipiała z wściekłości.

Na jej widok Annalisa wydała przeciągły udręczony jęk. Tym razem nie musiała niczego symulować.

— Przestań wyc — powiedziała stłumionym głosem Centaine. — Bo dopilnuję, żebyś rzeczywiście miała powód do płaczu. — I zwracając się do Shasy spytała: — Czy któremuś z was coś się stało?

— Nie, mam — odparł zwiesiwszy głowę.

— Janowi Prezbiterowi?

— Nie, jest w świetnej kondycji.

— A więc tak... — Nie potrzeba jej było wielu słów. — Inżynierze, zechce pan odwieźć tę młodą damę do ojca. Nie mam wątpliwości, że będzie wiedział, jak z nią postąpić.

Ledwie przed godziną zamieniła kilka słów z ojcem Annalisy, wielkim, brzuchatym osiłkiem z tatuażami na muskularnych ramionach. Miał przekrwione oczy, cuchnął podłgą brandy i kiedy mówił o swych zamiarach względem jedynej córki, otwierał i zaciskał kudłate łapska.

Twentyman-Jones pociągnął chlipiącą dziewczynę za rękę i poprowadził ją do drzwi. Kiedy mijali Centaine, twarz matki Shasy złagodniała, położyła rękę na ramieniu inżyniera i powiedziała cicho:

— Co ja bym bez pana poczęła.

— Podejrzewam, że i beze mnie znakomicie dałaby sobie pani radę, ale rad jestem, że mogę się na coś przydać.

Włokąc za sobą Annalise wyszedł z salonu i po chwili z dworu dobiegł pomruk silnika daimlera.

Centaine znów przybrała groźną minę i odwróciła się do syna. Pod jej spojrzeniem chłopiec zaczął się niespokojnie wiercić.

— Okazałeś nieposłuszeństwo — powiedziała. — Ostrzegałam cię, żebyś trzymał się z dala od tej małej poule.

— Tak, mam.

— Ona puszcza się z połową kopalni. Po powrocie do Windhoek będę musiała zaprowadzić cię do lekarza.

Na myśl o chmarach odrażających mikrobów pełzających po najbardziej intymnej części ciała, Shasa wzdrygnął się i mimowolnie zerknął w dół.

— Wystarczyłoby już samo nieposłuszeństwo, bo to rzecz mocno naganna. Ale popełniłeś coś jeszcze, coś wręcz niewybaczalnego. Wiesz, co takiego? — spytała szorstko.

Shasa bez specjalnego wysiłku mógł wymienić z tuzin zakazów, które złamał.

— Popełniłeś niewybaczalny grzech, grzech głupoty — odpowiedziała za niego. — Okazałeś się na tyle głupi, że dałeś się przyłapać. Staniesz się pośmiewiskiem całej kopalni. Jak masz zamiar rozkazywać i przewodzić, jeśli sam się tak nie szanujesz?

— Nie zastanawiałem się nad tym, mamó. W ogóle niewiele myślałem. To po prostu jakoś tak się stało.

— W takim razie zastanów się nad tym teraz. Kiedy będziesz się moczył we wrzątku z dodatkiem butli lizolu. Dobrze się zastanów. Dobranoc.

— Dobranoc, mamó. — Podeszedł do niej, a ona po dłuższej chwili wahania nastawiła policzek. — Przepraszam, mamó — pocałował ją. — Przepraszam, że musiałaś się za mnie wstydzić.

Ogarnęła ją ochota, by zarzucić mu ręce na szyję, przytulić mocno tę jego piękną głowę i zawołać, że to niemożliwe, że nigdy nie mogłaby się za niego wstydzić, ale zapanowała nad sobą.

— Dobranoc, Shaso — powiedziała chłodno.

Stała sztywno wyprostowana, dopóki nie wyszedł z pokoju i nie powlókł się niepocieszony korytarzem. Dopiero kiedy szuranie butów ucichło, opuściła ramiona i przygarbiła się.

— Och, moje kochanie, moje maleństwo... — szepnęła.

Nagle po raz pierwszy od lat poczuła potrzebę wypicia czegoś na uspokojenie. Podeszła szybko do masywnego kredensu, z ciężkiej rżniętej karafki naląła sobie koniaku i pociągnęła spory łyk. Alkohol zapiekł ją w język, jego pary uderzyły ją w nos i wycisnęły łzy z oczu. Wypiła do dna i odstawiła kieliszek.

„Niewiele to pomoże” — uznała. Podeszła do biurka, opadła na wielki, skórzany, pikowany fotel i poczuła się mała, krucha i bezbronna. Było to uczucie zupełnie dla niej nowe, napełniło ją strachem.

— A więc stało się — szepnęła. — Wyrasta na mężczyznę...

Nagle ogarnęła ją nienawiść do tej dziewczyny. Kocmołuch, ściera, ladacznica! On jeszcze nie jest gotowy! Za wcześnie wypuściła tego demona, demona drzemiącego w jego krwi de Thiryach. Nikt nie znał go tak dobrze jak ona sama. Nękał ją przecież przez całe życie. Ta nieokiełznana namiętność de Thiryach!

— Och, moje kochanie...

Teraz utraci jakąś jego część; już utraciła. Samotność podkrađła się do niej jak padlinożerna bestia, która przez te wszystkie lata czaiła się gdzieś w pobliżu.

Tylko dwóch mężczyzn mogło uśmierzyć ten ból samotności. Ojciec Shasy zginął w katastrofie swej maszyny z drewna i brezentu, a ona stała obok i przyglądała się bezsilnie, jak zwęgła się i spopiela. Ten drugi aktem bezsensownego bestialstwa na zawsze oddalił ją od siebie. Michael Courteney i Lothar De La Rey — obaj byli dla niej martwi.

Od tamtej pory miała kochanków, wielu kochanków, krótkie przelotne przygody dostarczające doznań czysto cielesnych, stanowiące zwykłe lekarstwo na gorączkę krwi. Żaden z tych mężczyzn nie miał dostępu do obwarowanych zakamarków jej duszy. I oto teraz bestia samotności przedarła się przez pilnie strzeżone blanki i mury i pustoszyła najtajniejsze z nich.

„Żeby tak mieć kogoś! — lamentowała tak jak jej się to zdarzyło tylko raz w życiu, wtedy gdy leżała w połogu po wydaniu na świat złotowłosego bękarta De La Reya. — Żeby tak mieć kogoś, kogo mogłabym kochać i kto w zamian kochałby mnie!”

Pochyliła się w wielkim fotelu, wzięła do ręki fotografię w srebrnych ramkach, fotografię, którą wozila ze sobą dokądkolwiek się udawała, i przyjrzała się uważnie młodemu mężczyźnie stojącemu pośrodku grupy lotników. Po raz pierwszy spostrzegła, że zdjęcie wyblakło i pożółkło, że upływ lat rozmazał rysy Michaela Courteneya, ojca Shasy. Utkwiła wzrok w młodej, przystojnej twarzy, próbując rozpaczliwie przywołać z pamięci ostrzejszy, wyraźniejszy oryginał, ale obraz rozpląwał

się i tylko coraz bardziej jej się wymykał.

— Och, Michaelu... — szepnęła. — To już tyle, tyle lat. Wybacz mi, proszę, wybacz. Staralam się być dzielna i twarda, starałam się z uwagi na ciebie i twego syna, ale...

Odstawiła fotografię na biurko i podeszła do okna.

„Stracę swoje małeństwo — pomyślała, wpatrując się w ciemność. — Pewnego dnia będę stara, brzydka i sama, zupełnie sama... i boję się.” — Stwierdziła, że cała drży, że obejmuje się rękami, jakby sama siebie chciała utulić w ramionach, ale natychmiast wzięła się w garść.

„W podróży, na którą się zdecydowałam, nie ma czasu na załamania i roztkliwianie się nad sobą. — Odzyskała spokój, podniosła głowę i stanęła wyprostowana. Mała i samotna w cichym, ciemnym domu. — Musisz brnąć dalej. Nie ma odwrotu, nie ma wahań. Musisz brnąć aż do końca.”

— Gdzie jest Stoffel Botha? — spytał Shasa kierownika kruszalni, kiedy syrena obwieściła początek przerwy na lunch. — Dlaczego go nie ma?

— A kto to może wiedzieć? — wzruszył ramionami kierownik. — Dostałem kartkę z biura dyrekcji, że nie przyjdzie do pracy. Nie wyjaśniali dlaczego. Może go wyrzucili... Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Zresztą i tak był z niego kawał bezczelnego gówniarza.

Przez całą resztę zmiany Shasa próbował stłumić w sobie poczucie winy, skupiając się na przepuszczaniu rudy przez huczące walce.

Kiedy syrena odgwiżdżała koniec pracy i od jednej grupy czarnych robotników do drugiej przebiegł okrzyk „Fajerant!”, Shasa dosiadł Jana Prezbitera i skierował go w stronę uliczki, przy której stała chata rodziny Annalisy. Wiedział, że ryzykuje wybuch furii matki, krnąbrna rycerskość gnała go jednak przed siebie. Musiał sprawdzić, ile szkód i nieszczęść wyrządził. Ale przy bramie młyna zaszło coś, co sprawiło, że niemal zupełnie o tym zapomniał.

Drogę zastąpił mu Mojżesz, brygadzysta z wysypiska. — Widzę cię, Dobra Wodo — powitał Shasę swym głębokim, aksamitnym głosem, przytrzymując za uzdę Jana Prezbitera.

— O, Mojżesz! — Uśmiechnął się z radością chłopiec, zapominając na chwilę o swych zmartwieniach. — Właśnie zbierałem się, żeby cię odwiedzić.

— Przyniosłem ci książkę. — Oyambo podał mu grube Dzieje Angli.

— To niemożliwe, żebyś już ją przeczytał! — zaprotestował Shasa. — Nie zdążyłbyś! Nawet mnie zajęło to ładnych kilka miesięcy.

— Nigdy jej nie przeczytam, Dobra Wodo. Odchodzę z kopalni. Jutro rano jadę z ciężarówkami do Windhoek.

— Och, nie! — Shasa zeskoczył w konia i chwycił Mojżesza za ramię. — Dlaczego chcesz odejść?

Świadomość przyczynienia się do zwolnienia przyjaciela i płynące stąd poczucie winy kazały mu udawać, że o niczym nie wie.

— Ja tu nie mam nic do chcenia albo niechcenia — wzruszył ramionami Murzyn. — Jutro odjeżdża z kopalni wielu ludzi. Indżela wyznaczył kto, a pani, twoja matka, wyjaśniła nam powody zwolnienia i dała miesięczną odprawę. Tacy jak ja nie zadają pytań, Dobra Wodo. — Uśmiechnął się, a raczej wykrzywił twarz w grymasie rozgoryczenia. — Proszę, oto twoja książka.

— Zatrzymaj ją — Shasa odsunął od siebie gruby tom. — Weź ją jako prezent ode mnie.

— Jak chcesz, Dobra Wodo. Wezmę ją na pamiątkę po tobie. Zostań w pokoju. — Odwrócił się, żeby odejść.

— Mojżesz... — zaczął Shasa i stwierdziwszy nagle, że zupełnie nie wie, co powiedzieć, wyciągnął impulsywnie rękę. Czarny Oyanibo cofnął się o krok. Biali i czarni nie podają sobie rąk.

— Odejdź w pokoju — powtórzył z naleganiem Shasa. Mojżesz rozejrzał się dokoła i niemal



ukradkiem ujął wyciągniętą dłoń. Miał przedziwnie chłodną skórę. „Ciekawe, czy wszyscy czarni mają taką” — zastanowił się Shasa.

— Jesteśmy przyjaciółmi — powiedział, przedłużając uścisk. — Jesteśmy, prawda?

— Nie wiem.

— Jak to nie wiesz?

— Nie wiem, czy wolno nam być przyjaciółmi.

Oswobodził delikatnie rękę, minął ogrodzenie z drutu kolczastego, skręcił w stronę osiedla i odszedł, nie oglądając się za siebie.

16

Kawalkada ciężarówek brnęła mozolnie przez równinę, zachowując na tyle duże odstępy, by uniknąć kurzu wzbijanego przez poprzedni pojazd. Pył unosił się w nieruchomym rozpalonym powietrzu wysoką pierzastą zasłoną niczym żółty dym z pożaru buszu szalejącego na przestrzeni wielu kilometrów.

Gerhard Foune siedział rozwalony za kierownicą pierwszej ciężarówki, opasy brzuch opadał mu na kolana i rozpychał koszulę, której guziki puściły, ukazując zarośnięty pępek. Co kilka sekund zerkał we wsteczne lusterko nad przednią szybą.

Skrzynia ciężarówki zarzucona była stertami dobytku rodzin białych i czarnych pracowników zwolnionych z kopalni. Między meblami i walizkami siedzieli wciśnięci nieszczęśni właściciele tego ładunku. Kobiety zawiązały na głowach chroniące przed kurzem, robione na drutach chusty i tuliły do siebie najmłodsze dzieci, by nie stało im się coś złego podczas gwałtownych podskoków i przechyłów ciężarówek na wybojach. Starsze dzieci umościły sobie własne gniazdka pośród bagażu.

Fourie sięgnął ręką do lusterka i poprawił je odrobinę, ustawiając tak, by jak najlepiej widzieć jadącą z tyłu dziewczynę. Leżała wciśnięta między starą skrzynię do transportu herbaty i lichą walizkę z imitacji skóry. Podłożyła sobie pod głowę zrolowany koc i drzemała kołysząc się w rytm podrygiwań ciężarówki. Zjaśniałe od słońca blond włosy zasypały jej twarz, przesuając się po niej w tę i z powrotem. Po chwili zgięła lekko jedną nogę i spódniczka podjechała w górę, a gdy dziewczyna zasnęła, noga opadła jej w bok, ukazując oczom Fouriego kawałek majtek; jasny kim w czerwone różyczki wciśnięty między gładkie, jędrne uda. Po chwili śpiąca drgnęła, przebudziła się, złączyła nogi i przekręciła się na bok.

Na czoło Fouriego wystąpiły grube krople potu, nie tylko z powodu upału. Kilka z nich spłynęło w ciemną szczecinę porastającą jego nie ogolone policzki. Wyjął z ust niedopałek i przyjrzał mu się uważnie, obracając go w trzęsących się palcach. Różowa bibułka była przemoczona śliną i zaplamiona żółtym sokiem z tytoniu. Wyrzucił niedopałek przez boczne okienko i zapalił następnego papierosa, prowadząc jedną ręką i nieustannie zerkając w lusterko w oczekiwaniu na poruszenie się dziewczyny. Zasmakował już jej młodego ciała, wiedział, jakie jest słodkie, ciepłe i chętne i znów go pożądał całą mocą rozpalonej namiętności. Gotów był podjąć każde ryzyko, byle znów, choć raz go posmakować.

Daleko w przodzie z rozedrganego pustynnego mirażu wyłoniła się kępa szarych bożodajni. Kursował tą drogą tak często, że znał na pamięć wszystkie punkty orientacyjne i czasy przejazdu do każdego z nich. Spojrzał na zegarek i chrząknął. Mieli dwadzieścia minut spóźnienia, ale też ciężarówki były mocno przeładowane gromadą od wczoraj bezrobotnych i ich smętnym dobytkiem.

Zjechał z drogi, zatrzymał ciężarówkę obok drzew, wygramolił się na sztywnych nogach na stopień przed drzwiczkami i zawołał:

— No dobra, przystanek na siusiu! Kobiety na lewo, mężczyźni na prawo! Za dziesięć minut wszyscy mają być z powrotem! Kto się spóźni, ten zostaje!

Pierwszy wrócił do ciężarówki i przykucnął przy tylnym lewym kole. Udając, że sprawdza wentyl, nerwowo rozglądał się za dziewczyną.

Wyszła spomiędzy drzew przyglądając spódnicę. Ubielona kurzem, wydawała się zgrzana i zła. Ale kiedy spostrzegła, że Fourie jej się przygiada, zadarła głowę i zaczęła kręcić tymi swymi małymi jędrnymi pośladkami, ostentacyjnie udając, że go nie widzi.

— Annaliso... — szepnął, kiedy stanęła obok niego i podniosła bosą stopę, by wdrapać się przez tylną klapę na skrzynię ciężarówki.

— Poprosz swoją matkę, Gerhardzie Fourie! — syknęła. — Zostaw mnie w spokoju, bo zawołam tatę!

W każdych innych okolicznościach potraktowałaby jego zaczepkę znacznie przychylniej, ale siedzenie, uda i plecy wciąż jeszcze miała poznaczone sinymi pręgami po laniu, jakie jej sprawił ojciec. Chwilowo sprawy seksu zupełnie przestały ją interesować.

— Chciałbym z tobą porozmawiać — nie dawał za wygraną Fourie.

— Porozmawiać, akurat! Już ja wiem, czego byś chciał.

— Wyjdź dziś w nocy zemną za obóz — szepnął błagalnie.

— Zawiaż sobie na supeł! — Wskoczyła na skrzynię ciężarówki, a jego aż ścisnęło w dołku, gdy zobaczył te szczupłe, opalone nogi, cale, aż po pachwiny.

— Annaliso, dam ci pieniądze. — Był w skrajnej desperacji. Gorączka spalała go od wewnątrz.

Dziewczyna przystanęła i spojrzała na niego z namysłem. Ta propozycja była dla niej objawieniem, które uchylało drzwi do świata nowych, fascynujących możliwości. Aż do tej chwili nigdy nie przyszło jej do głowy, że jakiś mężczyzna mógłby jej dawać pieniądze za coś, co sprawiało jej dużo większą przyjemność niż jedzenie czy spanie.

— Ile? — spytała z zaciekawieniem.

— Funta.

To była ogromna suma, nigdy w życiu nie miała naraz tylu pieniędzy, ale tą ofertą rozbudził w niej chciwość, chciała sprawdzić, czy nie da się z niego wycisnąć więcej. Zachnęła się więc i potrząsnęła głową.

— Dwa funty — szepnął natarczywie Fourie, a Annalisa omal nie podskoczyła z radości. Całe dwa funty! Poczowała się dzielna, piękna i urodzona pod szczęśliwą gwiazdą. Pręgi na plecach i siedzeniu poszły w zapomnienie. Mrużąc oczy rzuciła mu to przebiegłe, zaczepne i znaczące spojrzenie, które tak go rozpałało, i ujrzała, że pot występuje mu na brodę, a dolna warga zaczyna drżeć.

To ją jeszcze bardziej ośmieliło, zaczerpnęła głęboko powietrza, wstrzymała oddech i rzuciła wyzywająco:

— Pięć!

Przesunęła koniuszkiem języka po wargach, zdumiona, że poważyła się wymienić tak niebotyczną sumę. To było prawie tyle, ile jej ojciec zarabiał w ciągu tygodnia.

Fourie pobladł i zawahał się.

— Trzy — próbował się jeszcze targować, ale dziewczyna wyczuła, jak bliski był ustąpienia, i przybrała urażoną minę.

— Jesteś śmierdzącym staruchem — syknęła z całą pogardą, na jaką ją było stać, i odwróciła się do niego plecami.

— Dobrze, już dobrze, niech będzie! — skapitulował. — Pięć funtów.

Annalisa posłała mu zwycięski uśmiech odkrywcy nowego świata niezmiernych bogactw i przyjemności. Ściągnęła usta w ciup i wsunęła w nie koniuszek palca, ssąc go jak cukierek.

— A gdybyś tak też chciał, to będzie cię to kosztowało dodatkowego funta.

Jej zuchwałość nie miała już granic.

Do pełni brakowało tylko kilka dni, księżyc zalewał pustynię roztopioną platyną, a cienie pod ścianami wąwozu nabrały ciemnosinej barwy ołowiu. Odgłosy obozowiska niosły się daleko dnem rozpadliny, ktoś rąbał drzewo, pobrzękiwały kubły, rozmowy kobiet przy ogniskach przypominały słyszany z oddali świergot ptaków. Gdzieś bliżej rozległo się szczekanie pary wyruszających na żer szakali. Chwilę później, zwietrzywszy podniecające zapachy z kociołków do gotowania, zaniósł się obłądnym, niemal udręczonym wyciem.

Fourie przykucnął pod ścianą wąwozu i zapalił papierosa, wpatrując się w stronę, z której musiała nadejść dziewczyna. Błysk zapalki oświetlił jego nalaną, nie ogoloną twarz, z malującym się na niej wyrazem napięcia i oczekiwania. Był tak zaabsorbowany, że zupełnie nie zauważył drapieźnych oczu wpatrujących się w niego z pobliskiego atramentowego cienia. Wszystkimi zmysłami wypatrywał nadejścia dziewczyny i już teraz na myśl o tym, co go czeka, wydawał coraz szybsze podniecone sapnięcia.

Wyglądała w poświacie księżyca jak zwiewna i srebrzysta zjawa. Zerwał się na równe nogi i zdeptał papierosa.

— Annaliso! — zawołał cicho głosem drżącym z pożądania.

Zatrzymała się tuż poza zasięgiem jego rąk, a kiedy rzucił się ku niej, uskoczyła tanecznie w bok i roześmiała się kpiąco.

— Pięć funtów, Meneer — przypomniwała.

Gdy wysupłał tylnej kieszeni pomięte banknoty, przysunęła się odrobinę, wzięła je od niego wyciągniętą ręką i obejrzała pod światło księżyca. Usatysfakcjonowana odwróciła się, wetknęła pieniądze w jakiś zakamarek ubrania i śmiało stanęła przed kierowcą.

Pochwycił ją w pasie i wpił się wilgotnymi ustami w jej wargi. Po długiej chwili oderwała się zdyszana i powstrzymała dłonie, którymi sięgał jej pod spódnicę.

— Chcesz także to za dodatkowego funta? — spytała ze śmiechem.

— To za dużo — wysapał. — Nie mam tyle.

— No, to dziesięć szylingów — ustąpiła i małą, wprawną ręką sięgnęła do jego podbrzusza.

— Pół korony — jęknął. — To wszystko co mam.

Nadal go dotykając przyjrzała mu się uważnie i zrozumiała, że więcej nie da się z niego wycisnąć.

— No dobrze, daj mi te pół korony — zgodziła się i schowawszy monetę uklękła przez nim jak do pobłogosławienia. Fourie wplótl palce obu rąk w jej zjaśniałe od słońca blond loki, przyciągnął do siebie jej głowę, pochylił się nad dziewczyną i przymknął oczy.

Nagle coś twardego dźgnęło go od tyłu w zebra z taką siłą, że powietrze uszło mu z płuc.

— Każ tej małej dziwce zniknąć — zachrypiał mu nad uchem niski, groźny i przerażająco znajomy głos.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi, ocierając usta wierzchem dłoni. Popatrzyła szeroko otwartymi ze strachu oczyma ponad ramieniem Fouriego, odwróciła się na pięcie i śmigając długimi nogami pomknęła dnem wąwozu w stronę obozowiska.

Fourie podciągnął niezdarnie spodnie i odwrócił się do stojącego za plecami mężczyzny. Przedmiotem, który dźgnął go w plecy, był wycelowany teraz w jego brzuch mauzer.

— De La Rey! — wykrztusił.

— Spodziewałeś się kogoś innego?

— Nie, nie! — Potrząsnął energicznie głową Fourie. — Tylko że... zjawiasz się tak szybko.

W czasie, który minął od ich ostatniego spotkania, Fourie zaczął żałować dobitego targu. Po długich zmaganiach tchórzostwo wzięło w nim górę nad chciwością i ponieważ tak było najwygodniej, wytłumaczył sobie, że plan De La Reya niczym nie różni się od wszystkich innych, które bezustannie snuły mu się po głowie, że to po prostu jedna z tych zwykłych mrzonek, jakimi zawsze pocieszają się ludzie skazani na wieczne ubóstwo i bezowocną harówkę.

Przypuszczał, że już nigdy nie usłyszy o Lotharze i mocno na to liczył. A tu Lothar De La Rey staje nagle przed nim, wysoki i groźny, z głową lśniąca w poświacie księżyca niczym latarnia morska, z lamparcimi oczami roziskrzonymi jak topazy.

— Szybko? — zdziwił się Lothar. — Tak szybko? Stary, drogi przyjacielu, od naszego ostatniego spotkania minęły już tygodnie.

— Przygotowania zajęły mi więcej czasu, niż się spodziewałem. — Nagle głos mu stwardniał. — Czy zawiozłeś już diamenty do Windhoek?

— Nie, jeszcze nie... — odparł pospiesznie Fourie i urwał raptownie, przeklinając się w duchu. To było wyjście z sytuacji. Powinien był powiedzieć: „Tak, zawiozłem je osobiście w zeszłym tygodniu!” Ale teraz było już za późno. Zwiesił żałośnie głowę i skupił się na zapinaniu ostatnich guzików spodni. Za te trzy pochopnie wymówione słowa mógł jeszcze zapłacić dożywociem. Poczł narastający strach.

— Kiedy przesyłka będzie gotowa? — Lothar wsunął lufę mauzera pod brodę Fourieego i podniósł mu mą głowę, tak by na twarz padło światło księżyca. Chciał widzieć jego oczy. Nie ufał temu człowiekowi.

— Odroczyli transport. Nie wiem o ile. Słyszałem plotki, że muszą wysłać dużą partię kamieni.

— Dlaczego? — spytał cicho Lothar.

Fourie wzruszył ramionami.

— Nie wiem, słyszałem tylko, że ma być duża.

Lothar nie spuszczał wzroku z twarzy kierowcy. Czuł, że facet się waha. Musiał go podbechtać.

— Już ci mówiłem — powiedział. — To dlatego, że mają zamiar zamknąć kopalnię. To będzie ostatnia przesyłka, a potem wszyscy pójdziecie za bramę. Śladem tych biedaków, których wieziesz.

Fourie skinął ponuro głową.

— To prawda, wyrzucili ich.

— Ty będziesz następny, przyjacielu. A opowiadałeś, jakim to jesteś świetnym mężem i ojcem, jak bardzo kochasz rodzinę.

— Ja.

— Wyrzucą cię i me będzie za co wykarmić dzieci, nie będzie za co je ubrać, me uciulasz nawet tych kilku funtów zaskórniaków, by zapłacić jakiejś małej za przyjemne to i owo.

— Nie mów tak do mnie.

— Zrobisz, cośmy ustalili i będziesz miał każdą dziewczynkę, na którą przyjdzie ci ochota, i tak jak na to przyjdzie ci ochota.

— Nie mów tak, stary. To brzmi po świńsku.

— Znasz ustalenia. Wiesz, co masz robić, jak tylko powiedzą ci, kiedy idzie przesyłka.

Fourie skinął głową, ale Lothar naciskał dalej:

— Skoro wiesz, to mi powiedz. Powtórz wszystko po kolei.

Słuchał uważnie, jak kierowca z ociąganiem recytuje instrukcje, poprawił go w jakimś szczególe i na koniec uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Nie zawieź nas, przyjacielu. Nie lubię, gdy mi ktoś sprawia zawód.

Nachylił się do Fourieego, popatrzył mu przeciągle w oczy, po czym odwrócił się na pięcie i

rozpłynął w atramentowych ciemnościach.

Fourie wzdrygnął się i ruszył wawozem do obozu, zataczając się jak pijany. Był już prawie na miejscu, gdy przypomniał sobie, że dziewczyna wzięła pieniądze, ale nie wywiązała się z umowy. Zastanawiał się, czy nie mógłby jej do tego nakłonić na następnym postoju, doszedł jednak do wniosku, że nie bardzo może na to liczyć.

A w dodatku przestało mu już jakoś tak bardzo na tym zależeć. Lód, który Lothar De La Rey wstrzyknął mu w żyły, skutecznie ochłodził żar lędźwi.

17

Jechali przez rozległy las u podnóża gór, przepelnieni beztroską i radosnym oczekiwaniem tego, co miały przynieść nadchodzące dni.

Shasa dosiadał Jana Prezbitera, w skórzanym olstrze przy lewym kolanie miał sportowego mannlicera kaliber 7 milimetrów. Była to piękna broń. Kolbę i okładzinę lufy wykonano z najprzedniejszego drewna orzechowego, wszystkie części z błękitnej stali pokryto misterną inkrustacją ze srebra i dwudziestoczerokaratowego złota przedstawiającą sceny polowania, między którymi wygrawerowano jego imię. Dostał ten karabin od dziadka w prezencie na czternaste urodziny.

Centaine jechała na swoim szarym ogierze. Kark i zad tego wspaniałego zwierzęcia pokrywała koronka czarnego marmurkowego wzoru, grzywę, chrapy i łaty wokół oczu miał także czarne jak sadza, co zaskakująco kontrastowało ze śnieżnobiłą skórą. Nazwała go Nuage, Obłok, po wierzchowcu, którego ojciec podarował jej, kiedy była małą dziewczynką.

Miała na sobie męską koszulę z kamizelką ze skóry kudu, na głowie kapelusz z szerokim rondem, noszony przez australijskich poganiaczy bydła, pod szyją zawiązała luźno żółtą jedwabną gawroszkę. Czarne oczy błyszczały jej z podniecenia.

— Och, Shaso, czuję się jak na wagarach! Mamy całe dwa dni tylko dla siebie!

— Ścigamy się do źródła! Rzucił jej wyzwanie, ale Jan Prezbyter nie mógł się równać z Nuagem, toteż kiedy dotarł do mety, Centaine stała już na ziemi obok ogiera, przytrzymując go za łeb, żeby nie opił się zimnej wody.

Ruszyli dalej, zapuszczając się w głąb głuszy Kalahari. Im bardziej oddalali się od kopalni, tym rzadziej dostrzegali ślady wtargnięcia na te tereny człowieka, tym bujniej i dufniej pleniło się wszędzie dzikie życie.

Centaine uczyła się żyć wśród dzikiej przyrody pod okiem najwspanialszych instruktorów, jacy w ogóle istnieją, Buszmenów z plemienia San, i nie zapomniwała żadnej ze zdobytych wówczas umiejętności. Zajmowała ją nie tylko większa zwierzyna. Pokazała Shasie parę niezwykłych małych lisów o uszach nietoperzy, które na pewno by przegapił. Polowały na świerszcze w rzadkiej, srebrzystej trawie, nastawiając ogromnych słuchów, gdy w pantomimie skradania się pełzły przed siebie, by bohaterskim skokiem dopaść swej groźnej zdobyczy. Kiedy konie przejeżdżały obok, liski wtuliły zdradzające je ogromne uszy w puszyste karki i przypadły rozplaszczone do ziemi.

Z nory mrówkojada wypłoszyli wielkiego płowego kota piaskowego. Umykał w takim popłochu, że wpadł prosto w lepka, żółtą pajęczynę pająka kraba. Komiczne wysiłki zwierzęcia, by nie przerywając ucieczki oboma przednimi łapami zetrzeć z pyszczka pajęczynę, przyprawiły ich o atak śmiechu.

Po południu dostrzegli na horyzoncie długi rząd sunących dostojnie oryksów. Łby trzymały wysoko uniesione, a odległość i kąt widzenia sprawiały, że ich długie, proste, smukłe rogi zdawały się zlewać w jeden spiczasty róg jednorożca. Po chwili miraż zmienił je w przedziwne stwory o monstrialnie długich nogach, po czym zupełnie je pochłonał.

Kiedy skłaniające się ku zachodowi słońce pomalowało pustynię plamami cienia i świeżych barw, Centaine wypatrzyła małe stadko skoczków.

— Do obozowiska zostało tylko pół kilometra, a potrzebujemy czegoś na obiad — powiedziała, wskazując Shasie młodego byka.

Chłopiec skwapliwie wyciągnął z olstra mannlichera.

— Tylko czysto! — napomniała go, odrobinę zaniepokojona zapałem, z jakim garnął się do polowania.

Wstrzymała konia, obserwując zeskakującego na ziemię syna. Wykorzystując Jana Prezbitera jako zasłonę, zaczął na ukos podkradać się do stada. Kuc świetnie rozumiał swoje zadanie. Trzymał się między Shasą a zwierzyną i nawet przystawał, by poskubać trawę, kiedy gazele zaczynały okazywać niepokój, a do przodu posuwał się dopiero wtedy, gdy się ponownie uspokajały.

W odległości dwustu kroków od stada Shasa przykucnął, oparł łokcie na kolanach i wycelował. Młody byk padł jak podcięty. Centaine odetchnęła z ulgą. Lothar De La Rey postrzelił kiedyś na jej oczach jedną z tych przepięknych gazeli w brzuch. Wspomnienie tego widoku prześladowało ją do tej pory.

Podjechawszy bliżej stwierdziła, że Shasa trafił zwierzę dokładnie pod łopatkę, a kula przebiła serce. Popatrzyła krytycznym okiem, jak chłopiec patroszy tuszę w sposób, którego nauczył go sir Garry.

— Nie zostawiaj wnętrzności — upomniała go. — Służba uwielbia flaczki. — Shasa zawiął jelita w wilgotną skórę, wrzucił zabite zwierzę na kuca i przytroczył je za siodłem.

Obozowisko leżało u podnóża wzgórz, tuż pod sączącym się ze zbocza ocembrowanym źródłem, które dostarczało wody. Poprzedniego dnia Centaine wysłała przodem trzech służących z jucznymi kofuni, więc obóz czekał już na ich przyjęcie, wygodny i bezpieczny.

Na obiad jedli szaszłyki z wątroby, nerek i serca, przekładane plasterkami tłuszczu z brzucha antylopy. Potem do późna w noc siedzieli przy ognisku, popijali pachnącą dymem kawę, rozmawiając półgłosem i przyglądając się wschodowi księżyca.

O świcie ruszyli dalej, opatuleni dla ochrony przed chłodem w krótkie kożuszki. Nie ujechali jeszcze kilometra, gdy Centaine ściągnęła wodze i wychyliła się z siodła, by przyjrzeć się śladom na ziemi.

— Co tam masz, mamó?

Shasa zawsze wyczuwał najdrobniejszą zmianę jej nastroju, dlatego i teraz natychmiast zorientował się, jak bardzo jest podniecona.

— Chodź tu szybko, cheri! — Wskazała ręką odcisnięte w miękkiej ziemi ślady stóp. — Co o tym powiesz?

Shasa zeskoczył z siodła i pochylił się nisko.

— Ludzkie? — spytał zdumiony. — Ale jakieś strasznie małe. Może dziecięce? — Podniósł wzrok na matkę i na widok jej rozradowania natychmiast się domyślił.

— Buszmeni! Dzicy Buszmeni!

— Zgadłeś — roześmiała się. — Dwóch łowców. Scigają żyrafę. Patrz! Ich ślady zachodzą na trop zwierzyny.

— Pojedźmy za nimi, mamó! Proszę cię, pojedźmy!

Teraz Shasa był już równie podniecony jak matka.

Centaine wyraziła zgodę.

— Te ślady mają nie więcej niż jeden dzień. Jeśli się pospieszymy, na pewno uda nam się ich dogonić.

Spięła Nuage'a, a Shasa pognał za nią, uważając, by nie zatrzeć tropu. Pierwszy raz w życiu widział matkę w takiej akcji: pędziła galopem na najtrudniejszych odcinkach, gdzie nawet jego młode oczy nie mogły wypatrzyć żadnych śladów.

— Patrz, buszmeńska szczoteczka do zębów! — zawołała pokazując porzuconą obok tropu świeżą gałązkę o końcu rozszczepionym zębami na miotełkę.

— Z tego miejsca po raz pierwszy zobaczyli żyrafę! — zawołała nieco dalej.

— Skąd wiesz?

— Stąd, że tutaj naciągnęli cięciwy. Spójrz na te dołki. Mali ludzie wbili łuki czubkiem w ziemię, by łatwiej je było przygiąć przed nałożeniem cięciwy.

— Patrz, a tu zaczęli się skradać!

Shasa nie potrafił dostrzec żadnej zmiany śladów.

— Zaczęli stawiać krótsze kroki i robili to ostrożniej, przenosząc ciężar ciała na palce — wyjaśniła Centaine, a kilkaset metrów dalej dodała: — A tutaj przypadli do ziemi i zaczęli się czołgać. Tu uklękli, żeby wypuścić strzały, a tu zerwali się na nogi, żeby śledzić ich lot. — Dwadzieścia kroków dalej zawołała: — Zobacz, jak blisko podeszli zwierzyń! W tym miejscu żyrafa poczuła trafienie i rzuciła się galopem do ucieczki. Popatrz, pobiegli za nią, czekając, aż zadziała trucizna.

Popędzili konie wzdłuż śladów pościgu. Po kilku minutach Centaine uniosła się w strzemionach i wskazała ręką przed siebie.

— Sępy!

Kilka kilometrów przed nimi na błękitnie nieba majaczył obłok czarnych punkcików, wirujących powoli wysoko nad ziemią.

— Teraz ostrożnie, cheri — ostrzegła syna. — Jeśli je wystraszymy i wywołamy panikę, mogą się okazać groźne.

Zwolnili do stępa i niespiesznie podjechali do miejsca, gdzie zginęła żyrafa. Jej wielkie padło leżało na boku, obdarte częściowo ze skóry i pozbawione nóg. Pod rosnącymi wokół ciernistymi krzewami zbudowano z trawy prymitywne szałas chroniące przed słońcem, a same krzewy ugięły się pod ciężarem rozwieszonych do suszenia pasków mięsa i długich wstęg jelit.

Cały teren był zdeptany małymi stopami.

— Sprowadzili kobiety i dzieci do pomocy przy cięciu mięsa i jego przeniesieniu — wyjaśniła Centaine.

— Ależ tu cuchnie! — zmarszczył nos Shasa. — No dobrze, ale gdzie oni są?

— Schowali się. Zauważyli nas, pewnie jeszcze kiedy byliśmy pięć kilometrów stąd.

Stała w strzemionach, zerwała z głowy kapelusz z szerokim rondem, by odsłonić twarz, i zawołała coś w dziwnie gardłowym, mlaskającym języku, a potem obracając się powoli przesłała tę samą wiadomość czterem stronom otaczającej ich w posępnym milczeniu pustyni.

— Ciarki mi chodzą po grzbiecie — mruknął Shasa, wzdrygając się mimowolnie. — Jesteś pewna, że oni jeszcze tam są?

— Obserwują nas, nie spieszy im się.

Wtem jak spod ziemi wyłonił się jakiś człowiek, tak blisko, że konie spłoszyły się i potrzęsły nerwowo łbami. Miał na sobie tylko przepaskę biodrową ze skóry jakiegoś zwierzęcia, był niski, lecz niezwykle proporcjonalnie zbudowany, a jego długie, smukłe nogi wydawały się stworzone do biegu. Twarde mięśnie piersi spływały płasko w dół i rzeźbiły jego nagi brzuch w taką samą tarkę, jaką odpływ morza zostawia na piaszczystej plaży.

Głowę trzymał dumnie i choć był ogolony do gołej skóry, już na pierwszy rzut oka sprawiał

wrażenie człowieka w pełni sił męskich. Ciemne oczy miał mongoloidalnie skośne, a skórę cudownie bursztynowej barwy. W jaskrawym świetle słońca wydawała się niemal półprzezroczysta.

Uniósł prawą dłoń w geście powitania i na znak pokoju.

— Widzę cię, Córko Nam — zawołał wysokim ptasim głosem, używając buszmeńskiego imienia Centaine. Matka Shasy wydała głośny okrzyk radości.

— I ja cię widzę, Kwi!

— Kto jest z tobą? — spytał Buszmen.

— Mój syn, Dobra Woda. Tak jak ci mówiłam, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, przyszedł na świat w świętym miejscu waszego plemienia. Jego przybranym dziadkiem był O'wa, a babką H'ani.

Kwi odwrócił się w stronę nagiej pustyni.

— To prawda, ludzie z plemienia San! — zawołał. — Ta kobieta to Córka Nam, nasza przyjaciółka, a ten chłopiec to dziecko z legendy. Przywitajcie ich!

Z na pozór gołej ziemi podnieśli się mali, złoci Buszmeni San. Razem z Kwi było ich dwanaścioro: dwóch mężczyzn, Kwi i jego brat, Gruby Kwi, ich żony i nagie dzieci. Maskowali się z całym mistrzostwem dzikich stworzeń, lecz teraz otoczyli przybyszów ciasnym kołem, śmiejąc się, cmokając i mlaskając. Zeskoczywszy z konia Centaine zaczęła się z nimi witać, ściskając ich po kolei i zwracając się do każdego po imieniu, a na koniec podniosła z ziemi dwóch najmniejszych brzdąców i usadziła ich sobie okrakiem na biodrach.

— Skąd ty ich tak dobrze znasz, mamó? — spytał Shasa.

— Kwi i jego brat są spokrewnieni z O'wą, twoim przybranym dziadkiem. Poznałam ich, kiedy byłeś jeszcze maleńki, w czasie zakładania kopalni. To są ich tereny łowieckie.

Resztę dnia spędzili z klanem Buszmenów, a gdy nadeszła pora rozstania, Centaine podarowała kobietom po garści mosiężnych nabożów do mannlichera, co zostało przyjęte piskami i tańcami radości. Nawleczone między paciorki naszyjników ze skorup strusich jaj musiały wzbudzić zazdrość wszystkich kobiet San napotkanych podczas wędrówki. Shasa sprezentował Kwi swój nóż myśliwski z trzonkiem z kości słoniowej, a mały Buszmen natychmiast przeciągnął kciukiem po ostrzu, sapnął z podziwem, gdy skóra się rozstąpiła i z durną pokazał swoim kobietom zakrwawiony palec.

— Patrzcie, jaką mam teraz broń!

Gruby Kwi dostał pas Centaine. Zostawili go wpatzonego w swoje własne odbicie w polerowanej mosiężnej sprzączce.

— Gdybyście chcieli nas znów odwiedzić — zawołał za nimi Kwi — to do nadejścia deszczów będziemy w pobliżu lasu mongongo koło doliny O'chee!

— Potrafią tak się cieszyć takim niczym — powiedział Shasa oglądając się przez ramię na roztańczone figurki.

— To najszczęśliwsi ludzie na ziemi — potwierdziła Centaine. — Zastanawiam się tylko, jak długo to potrwa.

— I ty naprawdę wiodłaś takie życie? życie Buszmena? Naprawdę chodziłaś w skórach i jadłaś korzonki?

— Naprawdę, ty zresztą też. To znaczy ty biegałeś zupełnie goły, tak jak te małe umorusane berbecie.

Shasa zmarszczył czoło wyęzając pamięć.

— Czasami śni mi się jakieś ciemne miejsce, jakby jaskinia, a w niej woda, z której leci dym.

— To było gorące źródło, w którym się kąpaliśmy i w którym znalazłam pierwszy diament złoża H'ani.



— Chciałbym je znów zobaczyć.

— To niemożliwe. — Zauważył, że jej nastrój uległ zmianie.

- Źródło było w samym środku komina H'ani, w miejscu dzisiejszej głównej odkrywki kopalni.

Przy rozkopywaniu komina uległo zniszczeniu. — Przez jakiś czas jechali w milczeniu. — To było święte miejsce San, a jednak, choć może się to wydać dziwne, nie mieli nam za złe... — zawahała się szukając odpowiedniego słowa, po czym dokończyła twardo: — ... jego zbeszczeszczenia.

— Ciekawe dlaczego... No bo wyobraź sobie, co by było, gdyby jakiś obcy lud zamienił w kopalnię diamentów Opactwo Westminsterkie!

— Dawno temu rozmawiałam o tym z Kwi. Powiedział, że święte miejsce należało nie do nich, tylko do duchów, a gdyby duchy nie chciały, żeby tak się stało, to by na to nie pozwoliły. Powiedział, że duchy zamieszkiwały to źródło od tak dawna, że może im się znudziło i postanowiły przenieść się w inne miejsce, tak jak to robią San.

— W dalszym ciągu nie mogę sobie wyobrazić ciebie pędzącej żywot kobiet San, mammo. Każdego, tylko nie ciebie. To po prostu przekracza moją wyobraźnię.

— To było ciężkie życie — odparła cicho. — Tak ciężkie, że nie sposób tego wyrazić, tak ciężkie, że przekracza wyobraźnię. A jednak gdyby ono mnie nie zahartowało, nie byłabym dzisiaj tym, kim jestem. Widzisz, Shaso, tam, na pustyni, kiedy byłam o krok od załamania, złożyłam przysięgę. Poprzysięgłam sobie, że ani ja, ani mój syn już nigdy nie będziemy cierpieć takiego niedostatku. Przysięgłam, że nigdy więcej nie znajdziemy się w tak straszliwym położeniu.

— Ale mnie tam z tobą nie było.

— Owszem, byłeś — pokiwała głową. — Tak, tak, byłeś. Niosłam cię w sobie przez Wybrzeże Szkieletów i rozpalone słońcem wydmy i kiedy składałam tę przysięgę, ty brałeś w tym udział. Jesteśmy stworzeniami pustyni, kochanie. Gdy inni tracą siły i zginą, my damy sobie radę i przetrwamy. Zapamiętaj to sobie, kochanie. Dobrze to sobie zapamiętaj.

Następnego dnia wczesnym rankiem zosta Wili służącym zwinięcie obozu i załadowanie juczych koni, a sami z niechęcią zawrócili swoje wierzchowce w stronę kopalni. W południe schronili się pod bożodajnią i leżąc z siodłami pod głową leniwie obserwowali małe płowe tkacze, rozbudowujące w koronie drzewa swe zbiorowe gniazdo, które i tak było już wielkości nieporządnej kopki siana. Kiedy słońce straciło żar, schwytali spętane konie, osiodłali je i ruszyli wzdłuż podnóża wzgórz.

W pewnej chwili Shasa wyprostował się nagle w siodle, osłonił oczy ręką i pobiegł wzrokiem w górę zbocza.

— Co tam, cheri?

Rozpoznał skalisty parów, do którego zaprowadziła go Annalisa.

— Coś ci nie daje spokoju — nalegała Centaine, a Shasa poczuł nagłą chęć, by zaprowadzić matkę w głąb parowu, do kapliczki wiedzmy gór. Już miał jej to zaproponować, gdy przypomniał sobie swoją przysięgę. Zagryzł wargi balansując na krawędzi jej złamania.

— Nie chcesz mi powiedzieć? — spytała Centaine, obserwując toczącą się na jego twarzy walkę.

„Mama się nie liczy. Ona to jakby ja. To zupełnie co innego, niż gdybym powiedział komuś obcemu” — usprawiedliwił się i nie dopuszczając do głosu wyrzutów sumienia wyrzucił z siebie szybko:

— Tam, w wąwozie, jest kościotrup Buszmena! Chcesz, żebym ci pokazał?

Centaine zbladła pod opalenizną i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

— Buszmena? — szepnęła. — Skąd wiesz, że to Buszmen?

— Na czasce jest jeszcze trochę włosów, ciasno skręconych i drobnych jak ziarnka pieprzu, dokładnie takich jakie ma Kwi i jego ród.

— Jak go znalazłeś?

— Anna... — urwał w pół słowa i zaczerwienił się.

— Ta dziewczyna cię zaprowadziła?

Skinął i zwiesił głowę.

— Będiesz umiał tam trafić?

Pochyliła się w siodle i pociągnęła go za rękaw. Odzyskała już kolory, wydawała się podniecona i zapalona do tego pomysłu.

— Tak, chyba tak, zapamiętałem sobie to miejsce. — Wskazał w górę stromego zbocza. — Ta wnęka w skałach i ta rozpadlina w kształcie oka.

— Zaprowadź mnie tam — poleciała.

— Trzeba będzie zostawić konie i pójść pieszo dalej.

Wspinaczka była uciążliwa, ściany parowu buchały żarem, co krok szarpały ich zakrzywione kolce ciernistych krzaków.

— To musi być gdzieś tutaj. — Shasa wdrapał się na jeden z przewróconych głazów i rozejrzał się wokół. — Chyba trochę bardziej w lewo. Szukaj sterty skał z rosnącą pod nią mimozą. Wejście do groty zasłania gałąź. Rozdzielmy się i szukajmy.

Zaczęli przeczesywać wąwóz posuwając się pod górę w pewnym oddaleniu od siebie, by objąć poszukiwaniami większy obszar. Kiedy rozdzielały ich skały i kępy zarośli, utrzymywali łączność za pomocą gwizdów i nawoływań. W pewnej chwili Centaine nie odpowiedziała na gwizd Shasy. Chłopiec zatrzymał się, zagwizdał jeszcze raz i przechylił głowę nasłuchując odpowiedzi.

Niezmacona cisza przyprawiła go o dreszcz niepokoju.

— Mamo, gdzie jesteś?!

— Tutaj...

Jej głos zabrzmiał cicho, słysząc w nim było ból albo głębokie poruszenie. Shasa szybko przepełził przez usypisko skał. Stała w plamie słońca z kapeluszem przyciśniętym do brzucha, wydawała się mała i opuszczona. Jej twarz lśniła od kropelek wilgoci. W pierwszej chwili Shasa pomyślał, że to pot, lecz już w następnej ujrzał, że spływają powoli z kącików oczu.

— Co się stało, mamo?

Podszedł do niej od tyłu i wtedy zorientował się, że znalazła kapliczkę.

Odsunęła już gałąź maskującą wejście. Szklane słoje stały kręgiem na swoim miejscu, ofiarne kwiaty szczeniały jednak i zwiędły.

— Annalisa mówiła, że to szkielet wiedźmy — szepnął z zabobonnym lękiem Shasa, wpatrując się przez ramię matki w żalostną kupkę kości zwieńczoną małą, białą czaszką.

Centaine pokręciła głową niezdolna wykrztusić z siebie ani słowa.

— Powiedziała, że wiedźma strzeże tych gór i że spełni moje życzenie.

— H'ani, moja ukochana stara matka... — wydusiła z siebie Centaine i zachwiała się na nogach.

— Mamo! — zawołał Shasa, chwytając ją pod ramię i podtrzymując, by nie upadła. — Skąd to możesz wiedzieć?

Centaine oparła się ciężko o niego, ale nic nie odpowiedziała.

— Te rozpadliny i pieczary mogą kryć szkielety setek Buszmenów — ciągnął nieporadnie, ale matka potrzasała tylko gwałtownie głową. — Skąd możesz być tego taka pewna?

— To ona — odparła Centaine głosem ochryplym od smutku. — To H'ani, ten ułamany kiel, te paciorki ze skorup strusich jaj na jej przepasce biodrowej. — Shasa w ogóle nie zauważył

ozdobionego paciorkami skrawka zeschniętej skóry, który leżał pod kupką kości, na wpół przysypany pyłem. — Zresztą ten dowód wcale nie jest mi potrzebny. Wiem, że to ona. Po prostu wiem.

— Usiądź, mamó — powiedział Shasa, sadzając ją na jednym z upstrzonych porostami głazów.

— Już mi przeszło. To był dla mnie szok. Tyle razy jej szukałam w ciągu tych lat. Wiedziałam, że gdzieś tu musi być pochowana. — Rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem. — Ciało O'wy musi być gdzieś tuż obok. — Spojrzała w górę urwiska, które zwieszało się nad nimi jak sklepienie katedry. — Tamtędy próbowali uciec, kiedy dosięgły ich jego kule. Musieli upaść blisko siebie.

— Kto ich zastrzelił?

Wzięła głęboki oddech, lecz mimo to głos jej drżał, gdy wymawiała to nazwisko.

— Lothar... Lothar De La Rey...

Ponad godzinę przeszukiwali dno i zbocza parowu, próbując znaleźć drugi szkielet.

— Nic z tego — dała w końcu za wygraną Centaine. — Nigdy go nie znajdziemy. Niech nadal spoczywa w spokoju, Shaso, jak przez te wszystkie lata.

Zeszli w dół do małej skalnej kapliczki, zrywając po drodze dzikie kwiaty.

— W pierwszym odruchu chciałam zabrać jej szczątki i sprawić im porządny pochówek — szepnęła Centaine, ukłękłszy przed kapliczką. — Ale H'ani nie była chrześcijanką. Te góry to jej święte miejsce. Będzie jej tu dobrze.

Ułożyła starannie kwiaty w słojach, po czym wyprostowała się i przysiadła na piętach.

— Dopilnuję, żeby nikt nie zakłócał ci spoczynku, moja ukochana, stara matko. Niedługo znów cię odwiedzę. — Wstała, biorąc Shasę za rękę. — Była najlepszym, najwspanialszym człowiekiem, jakiego znałam. Bardzo ją kochałam — powiedziała cicho.

Trzymając się za ręce zeszli do miejsca, gdzie zostawili spętane konie.

Drogę powrotną do domu pokonali w zupełnym milczeniu. Do bungalowu dotarli dopiero po zachodzie słońca, toteż służba mocno się już o nich niepokoiła.

Podczas śniadania następnego ranka Centaine wydawała się ożywiona i pogodna, choć pod oczami miała ciemne sińce, a powieki zapuchnięte od płaczu.

— To nasz ostatni tydzień przed powrotem do Cape Town.

— Chciałbym tu zostać na zawsze.

— „Zawsze” to strasznie długo. Na ciebie czeka szkoła, a na mnie obowiązki. Wrócimy tu, przecież wiesz. — Kiedy skinął głową, mówiła dalej: — Załatwiłam, żebyś przez ten ostatni tydzień pracował w płuczni i sortowni. Spodoba ci się tam. Mogę za to dać głowę.

Jak zawsze miała rację. Praca w płuczni okazała się bardzo przyjemna. Nieustanny przepływ wody na stołach do przemywania chłodził powietrze, a po ogłuszającym huku w kruszalni panująca tu cisza wydawała się wręcz cudowna. Atmosfera w długim ceglany budynku przypominała katedralny spokój świętego przybytku, bo to tu właśnie odbywały się główne obrzędy kultu Mammona i Najcenniejszego Kamienia.

Shasa patrzył z fascynacją, jak przesuwająca się powoli taśm transportera niesie z młyna drobną kruszonkę. Wszystkie większe kawałki zostały z niej odsiane i zawrócone do ponownego kruszenia. Teraz pozostał tylko miąż. Spadał z końca taśmociągu do wypełnionego wodą mieszalnika, skąd drgające ramiona obrotowej trzęsarki spychają go na pochyłe blaty stołów sortowniczych.

Unoszące się na wodzie lżejsze okruchy odprowadzono do zbiorniki odpadów. Cięższy żwir, zawierający diamenty, przepuszczano przez cały ciąg równie zmyślnych urządzeń sortujących, aż pozostawał tylko koncentrat — jedna tysięczna tego, co opuszczało kruszalnię.

Ten koncentrat wylewano cienką warstwą na bębny lepowe obracające się powoli walce, pokryte grubą warstwą gęstego, złotego smaru. Mokry żwir spływał gładko po ich powierzchni, ale

diamenty są suche. Jedną z ich osobliwych właściwości jest nienasączalność Można je polewać wodą, moczyć, a nawet gotować jak długo się chce a diament i tak zawsze pozostanie suchy. Kiedy dotknie swą suchą powierzchnią smaru, przywiem do niego jak mucha do lepu.

Bębny lepowe znajdowały się za grubymi kratami, przy każdym siedział biały nadzorca, ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku Kiedy Shasa po raz pierwszy zerknął przez kraty, ledwie o kilki centymetrów od jego nosa zdarzył się ten mały cud: dziki diament został schwytany i okiełznany niczym jakieś zjawiskowe stworzenie pustyni. Na jego oczach spłynął z górnego koryta w mokrej papo żwiru, dotknął smaru i przylgnął niepewnie do śliskiej żółtej powierzchni, rozdzielając nurt strumienia papki niczym skała wody przypływu Po chwili drgnął, jakby odrywając się od smaru, a Shasa wyciągnął rękę, żeby chwycić go, nim na zawsze przepadnie, ale szpary między stalowymi kratami okazały się za wąskie. W tym samym jednak momencie diament utkwił w smarze na dobre. Rozcinał powolnie płynący żwir i sterczał dumnie spod niego jak suchy i przezroczyst pęcherz na żółtej skórze jakiegoś przedpotopowego gada. Ten widok wzbudził w Sbasie identyczny nabożny podziw jak ten, którego doznał, gdy w jego obecności klacz Celesta urodziła swe pierwsze źrebie

Cały ranek chodził od jednego wielkiego bębna do drugiego obserwując, jak z każdą godziną żółty smar coraz gęściej pokrywa się uwiecznionymi diamentami.

W południe kierownik płuczni przeszedł wzdłuż rzędu bębnow w towarzystwie swoich czterech białych zastępców. Nie potrzeba ich było aż tylu, chyba tylko po to, żeby pilnowali się nawzajem i jeden drugiemu uniemożliwił jakakolwiek kradzież. Szerokimi szpachlami zeskrobali smar z bębnow, zebrali go do stalowego kociołka i starannie powlekli wszystkie bębny nową warstwą żółtego tłuszczu.

W zamkniętym na klucz pomieszczeniu odtłuszczalni przy końcu budynku kierownik umieścił kociołek nad palnikiem spirytusowym i trzyznał go na ogniu tak długo, aż smar się zupełnie wygotował, pozostawiając na dnie same czyste diamenty. Inżynier Twentymann-Jones zważył każdy kamień osobno i zapisał wszystko w oprawnej w skórę księdze urobku.

— Oczywiście zauważył pan, panie, że żaden z tych kamieni nie ma mniej niż pół karata.

— Tak, sir. — Do tej chwili Shasa nie zwrócił na to uwagi. — Co się stało z mniejszymi?

— Bębny lepowe nie są niezawodne. Kamień musi mieć pewną minimalną wagę, żeby go wyłapały. Pozostałe diamenty, w tym pewną liczbę dużych i wartościowych, przepuszczają.

Zaprowadził Shasę z powrotem do płuczni i pokazał mu rynnę z mokrym żwirem, który przebył drogę przez bębny.

— Odsączamy wodę do ponownego użytku, bo jak pan wie, woda jest tu na wagę złota. A potem cały żwir trzeba przebrać ręcznie.

Kiedy to mówił, przez drzwi w tylnej ścianie weszło dwóch robotników i każdy zaczerpnął z rynny kubek żwiru.

Twentymann-Jones i Shasa przeszli za nimi do wąskiego pomieszczenia, dobrze oświetlonego dzięki wysokim oknom i przeszklonym świetlikom w dachu. Przez całą jego długość biegł jeden wielki stół o blacie obitym gładko polerowaną blachą.

Po obu stronach stołu siedziały rzędami kobiety. Podniosły głowy, kiedy weszli, i wtedy Shasa rozpoznał w nich żony i córki białych pracowników kopalni i niektórych czarnych brygadystów. Białe kobiety siedziały razem w pobliżu drzwi, a czarne w przeciwnym końcu pokoju, w sporej, stosownej odległości od tamtych.

Robotnicy wyrzucili z kubków mokry żwir na obity metalem blat i kobiety skupiły się z powrotem na swojej pracy. Każda trzymała w jednej ręce parę szczypiec, a w drugiej płaską drewnianą szufelkę.

Nabierały szufelką trochę żwiru, przysuwały go do siebie, rozsypywały pojedynczą warstwą i szybko przebierały.

— W tej pracy kobiety górują nad mężczyznami — wyjaśnił Twentymán-Jones, kiedy przechodzili wzdłuż rzędu, zaglądając przez przygarbione ramiona robotnic. — Są cierpliwsze, mają bystrzejsze oczy i zwinniejsze palce.

Kobiety wybierały spośród szarego żwiru maleńkie matowe kamyczki, jedne wielkości kryształków cukru, inne ziarenek groszku.

— To właśnie nasz chleb powszedni — mruknął Twentymán-Jones. — Używa się ich w przemyśle. Kamienie jubilerskie, które widział pan w odłuszczałni, to mus truskawkowy ze śmietanką.

Kiedy syrena fabryczna obwieściła koniec pracy, Shasa pojechał z Twentymán-Jonesem jego starym fordem „T” z płuczni do budynku zarządu. Na kolanach wioził małą zamkniętą stalową kasetę z urobkiem z tego dnia.

Centaine wyszła im na powitanie na werandę budynku, po czym wprowadziła ich do swego gabinetu.

— No jak, podobało ci się? — spytała i uśmiechnęła się na widok entuzjazmu w oczach syna.

— To było fascynujące, mamó! I mamy jedną prawdziwą ślicznotę! Trzydzieści sześć karatów! Potwór me diament!

Postawił kasetkę na biurku, a kiedy Twentymán-Jones ją otworzył, pokazał matce kamień z taką dumą, jakby wykopał go własnymi rękoma.

— Rzeczywiście duży — przyznała Centaine — ale nie najlepszej barwy. Spójrz pod światło. Widzisz, jest brązowy jak whisky z wodą sodową i nawet gołym okiem widać wrostki i skazy: o, te maleńkie czarne drobinki wewnątrz kamienia i ta łezka w środku.

Shasa wydawał się zupełnie przybity faktem, że jego klejnot spotkał się z tak miażdżącą krytyką. Centaine roześmiała się.

— Pokażmy mu kilka naprawdę dobrych diamentów — powiedziała, zwracając się do Twentymán-Jonesa. — Czy może pan otworzyć skarbiec?

Twentymán-Jones wyciągnął z kieszonki kamizelki pęk kluczy i poprowadził Shasę korytarzem do zamykającej go stalowej kraty. Otworzył ją jednym z kluczy i zamknął z powrotem, nim zeszli po schodach do podziemnego skarbcza. Stał tak, by Shasa nie widział zamka, nastawił cyfrową kombinację, po czym użył drugiego klucza i dopiero wtedy grube stalowe drzwi odchyliły się ciężko na bok. Weszli do skarbcza.

— Kamienie klasy przemysłowej trzymamy w tych pojemnikach — wyjaśnił. — Diamenty najwyższej klasy przechowujemy osobno.

Otworzył mniejsze stalowe drzwi w tylnej ścianie skarbcza i wybrał pięć spośród wielu znajdujących się tam ponumerowanych brązowych kopert.

— To nasze najpiękniejsze okazy — rzekł, podając Shasie koperty w dowód zaufania. Wrócili tą samą drogę, otwierając i zamykając za sobą każde napotkane drzwi.

Centaine czekała na nich w swoim gabinecie. Kiedy Shasa położył przed nią koperty, otworzyła pierwszą z nich i delikatnie rozsypała jej zawartość na bibularzu.

— A niech mnie! — Shasa wytrzeszczył oczy na kolekcję ogromnych kamieni lśniących mydlanym blaskiem. — Co za olbrzymy!

— Poprośmy inżyniera Twentymán-Jonesa o wykład na ich temat — zaproponowała Centaine. Inżynier zamaskował swe zadowolenie posępną miną i wziął do ręki pierwszy kamień.

— To jest, paniczu, diament w swej naturalnej formie krystalicznej ośmiościanu. Proszę, niech

pan policzy płaszczyzny. Ten drugi ma nieco bardziej skomplikowaną formę krystaliczną, dwunastościanu, a pozostałe są bryłowe i nieskrystalizowane. Niech pan zobaczy, jakie są zaokrąglone i amorficzne. Diamenty pojawiają się w wielu przebraniach.

Położył po jednym kamieniu każdego rodzaju na otwartej dłoni Shasy. Nawet ta pedantyczna monotonna recytacja nie mogła przyćmić fascynacji chłopca tym lśniącym skarbem.

— Diament ma idealną rozszczepialność, czy też, jak my to nazywamy, ziarno. Można go rozłupać we wszystkich czterech kierunkach, równoległe do krystalicznych płaszczyzn ośmiościanu.

— Tak właśnie jubilerzy tną kamień przed jego oszlifowaniem — wtrąciła Centaine. — W czasie następnych wakacji zabiorę cię do Amsterdamu, żebyś mógł zobaczyć, jak to się robi.

— Po pocięciu i oszlifowaniu to nieco tłustawe lśnienie zniknie — podjął Twentymann-Jones niezadowolony, że mu przerwała. — Wtedy ujawni się cały ich ogień. Dzięki niezwykle wysokiemu współczynnikowi załamania chwytają promienie światła, a dzięki zdolności dyspersji rozszczepiają je na wszystkie barwy widma.

— Ile waży ten?

— Czterdzieści osiem karatów — powiedziała Centaine zajrzawszy do księgi urobku. — Ale pamiętaj, że podczas cięcia i szlifowania może stracić ponad połowę swej wagi.

— I ile wtedy będzie wart?

Centaine zerknęła na Twentymann-Jonesa.

— Mnóstwo pieniędzy, paniczu. — Jak każdy prawdziwy miłośnik jakichkolwiek pięknych przedmiotów, klejnotów, obrazów czy rzeźb, nie lubił parzyć na swe cacka przez pryzmat ich wartości rynkowej. Toteż uchylił się od odpowiedzi i podjął swój wykład. — Teraz chciałbym, żeby porównał pan barwę tych kamieni...

Za oknami zapadła ciemność, ale Centaine zapaliła światło i jeszcze przez godzinę stali pochyleni nad małą kupką kamieni, odpowiadając na pytania Shasy, pochłonięci cichą rozmową. W końcu Twentymann-Jones schował kamienie do kopert i wstał.

— Mieszkałeś w Edenie, ogrodzie Bożym — zacytował niespodziewanie — okrywały cię wszelkiego rodzaju szlachetne kamienie: rubin, topaz, diament... Na świętej górze Bożej chadzałeś pośród błyszczących kamieni. [Biblia Tysiąclecia, wydanie trzecie poprawione, Wydawnictwo Pałottinum, Poznań — Warszawa, 1980.] — Urwał zakłopotany. — Proszę mi wybaczyć. Nie wiem co mnie naszło.

— Ezechiel? — spytała Centaine uśmiechając się do niego z czułością.

— Rozdział dwudziesty ósmy, wers trzynasty i czternasty — skinął głową, próbując nie okazać, jak wielkie wrażenie wywarła na nim jej erudycja. — Odniosę kamienie do skarbcu.

— Inżynierze — powstrzymał go Shasa. — Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Ile warte są te kamienie?

— Chodzi panu o całą partię? — Twentymann-Jones poczuł się wyraźnie nieswojo. — Razem z tym, co jest w skarbcu? Z przemysłowymi i borem?

— Tak, sir, ile?

— No cóż, jeśli De Beers przyjmie je od nas po tej samej cenie co ostatnim razem, powinniśmy za nie dostać sporo ponad milion funtów — odparł smutno.

— Milion funtów... — powtórzył jak echo Shasa, ale Centaine widziała po jego minie, że ta suma jest dla niego równie trudna do pojęcia jak odległości między gwiazdami, które trzeba wyrażać w latach świetlnych. „Nauczy się — pomyślała. — Ja go nauczę.”

— Pamiętaj, że to nie jest czysty zysk. Z tej sumy trzeba odliczyć koszty eksploatacji i tę część naszej krwawicy, którą zedrą z nas poborczy podatkowi.

Wstała zza biurka i wtedy wpadł jej do głowy pewien pomysł. Ruchem ręki powstrzymała Twentymana-Jonesa przed wyjściem z pokoju.

— Jak pan wie, w ten piątek jadę z Shasą do Windhoek. Pod koniec przyszłego tygodnia Shasa musi wrócić do szkoły. Zabierzemy diamenty ze sobą i zawieziemy je do banku.

— Pani Courteney! — Twentymana-Jonesa sprawiał wrażenie ciężko przerażonego. — W żadnym wypadku nie mógłbym na to pozwolić! Na miłość boską, przecież to milion funtów! Gdybym się zgodził, byłby to z mojej strony karygodny brak odpowiedzialności! — Urwał, widząc zmianę wyrazu jej twarzy. Zaciśnęła usta w znajomą upartą kreskę, a oczy rozjarzyły jej się ogniem walki. Znał ją tak dobrze, jak własną córkę, i jak własną córkę ją kochał. Wiedział przecież, że sprzeciwami i zakazami nic się z nią nie wskóra. Uświadomił sobie nagle, że popełnił fatalny błąd. Rozpaczliwie zaczął szukać jakichś innych argumentów.

— Myślałem tylko o pani, pani Courteney. Przesyłka wartości miliona funtów zwabi wszystkich złodziei, rzeźmieszków i zbójów w promieniu tysiąca kilometrów.

— Nie mam zamiaru tego rozgłaszać — odparła chłodno Centaine. — A już na pewno nie na tysiąc kilometrów dokoła.

— Ubezpieczenie... — doznał w ostatniej chwili olśnienia Twentymana-Jonesa. — Ubezpieczenie nie pokrywa strat wynikłych z powodu przesyłania diamentów bez zbrojnej eskorty. Czy rzeczywiście warto ryzykować utratę miliona funtów tylko po to, by zaoszczędzić najdalej kilka dni?

Udało mu się wysunąć argument, który mógł ją powstrzymać. Widział, jak zastanawia się nad jego słowami, waży konsekwencje utraty miliona funtów za cenę obstawania przy swoim w tak drobnej sprawie i w końcu ujrzał z ulgą, że wzrusza ramionami.

— No cóż, skoro pan się tak upiera... Niech pan je wyśle z konwojem.

18

Drogę do kopalni H'ani Lothar wydarł pustyni własnymi rękami, każdy jej kilometr zrosił własnym potem. I choć od tego czasu upłynęło już dwanaście lat i wiele wspomnień zdążyło się zamazać, nadal pamiętał kilka miejsc, które znakomicie nadawały się do jego celów.

Od obozowiska, przy którym spotkał się z Gerhardem Fourie, pociągnął wyboistymi szlakami na południe i zachód, w stronę Windhoek, podróżując tylko pod osłoną nocy, by nie natknąć się na jakichś niespodziewanych podróżnych.

Drugiego ranka tuż po wschodzie słońca dotarli do jednego z miejsc, które dobrze pamiętał; okazało się wprost idealne. Droga biegła tu dość długo równolegle do głębokiego, skalistego koryta wyschniętej rzeki, potem stromym żlebem wykutym w brzegu schodziła na dno, by nieco dalej takim samym żlebem wydostać się na drugą stronę.

Lothar zeskoczył z konia i przeszedł pieszo wzdłuż krawędzi wysokiej skarpy brzegowej, by dokładnie przestudiować topografię okolicy. Ciężarówkę z diamentami można było zatrzymać w jednym ze żlebów tarasując jej drogę blokami skalnymi zepchniętymi z wysokiego brzegu. Pod piaszczystym dnem rzeki z pewnością znajdzie się woda do pojenia koni w czasie oczekiwania na transport. Zwierzęta musiały być w pełnej kondycji; czekała je długa i trudna droga. Poza tym głębokie koryto dostarczało dogodnej kryjówki. Co więcej, był to jeden z najbardziej odludnych odcinków drogi. Upłyną całe dni, nim ktokolwiek zdoła zaalarmować policję i oddział pościgowy dotrze na miejsce zasadzki. Mógł spokojnie liczyć, że gdyby nawet podjęto ryzyko pogoni przez dzikie tereny, któredy miał zamiar uchodzić, to i tak już na wstępie uda mu się zdobyć wyraźną przewagę.

— Zrobimy to tutaj — oznajmił Swartowi Hendrickowi.

Rozbili prymitywny obóz na zboczu koryta rzeki, w miejscu, gdzie linia telegraficzna przecinała

skrótom pętlę traktu. Miedziane druty przerzucono nad wąwozem ze słupa niewidocznego z drogi.

Lothar wlaź na słup i podłączył się do głównej linii telegraficznej. Kabelek podsłuchu przeciągnął po słupie w dół, przybijając go starannie, żeby nawet przez czysty przypadek nikt nic nie zauważył, po czym przeciągnął go do jamy, którą Swart Hendrick wykopał w połowie zbocza.

Oczekiwanie dłużyło się niemiłosiernie, a konieczność tkwienia w norze ze słuchawkami na uszach okropnie go irytowała, ale nie mógł sobie pozwolić na to, by przegapić informację z kopalni; tę najważniejszą informację z dokładnym terminem wyjazdu ciężarówki z diamentami. Musiał więc godzinami leżeć w potwornym upale i wysłuchiwać całej codziennej korespondencji kopalni, a telegrafista stukał kluczem z taką wprawą, że tylko z największym trudem udawało mu się nadać za szybkim staccato kropek i kresek. Notował je w pośpiechu na kartce, by potem ułożyć z nich grupy słów i wstawić między nie te, których nie udało mu się zapisać. Była to prywatna linia telegraficzna i dlatego me zadawano sobie trudu, by kodować wiadomości. Wszystkie informacje nadawano zwykłym alfabetem Morse'a.

W ciągu dnia tkwił w norze sam. Swart Hendrick zabierał Manfreda na pustynię, rzekomo na polowanie, ale tak naprawdę po to, by zahartować chłopca i korne przed czekającą ich podróżą i jednocześnie nie być w zasięgu wzroku kogoś poruszającego się drogą.

W czasie długich monotonych dni Lothar wiele razy popadał w zwątpienie, nachodziły go niedobre przecucia. Tak wiele elementów należało idealnie zgrać, żeby wszystko się udało, z tak wielu powodów plan mógł się nie powieść, tak wiele miał słabych ogniów. A najsłabszym ze wszystkich był Gerhard Fourie. Powodzenie całego przedsięwzięcia zależało od tego jednego człowieka, który był tchórzem, łatwo zmieniał zdanie i równie łatwo się zniechęcał.

„Czekanie jest zawsze najgorsze — tłumaczył sobie wracając pamięcią do dni poprzedzających bitwy i desperackie wyczyny, jakich dokonywał w czasie wojny. Wtedy także dręczył go strach i najgorsze przecucia. — Zeby tak zamiast czekać tyle wlokących się w nieskończoność dni, można było po prostu wziąć się do roboty i mieć to już za sobą.”

Nagle w słuchawkach rozległ się brzęczyk wywołania. Sięgnął szybko po notes. Telegrafista kopalni zaczął nadawać, a ołówek Lothara biegł po kartce ledwie nadażając za przekazem. Kiedy Windhoek potwierdziło odebranie informacji krótkim dwukrotnym sygnałem, Lothar opuścił słuchawki na szyję i odczytał grupy kropek i kresek.

*Do Kauzyperdy. Przygotować prywatny pojazd Juno do włączenia w skład pocztowy do Cape Town odchodzący w niedzielę wieczorem. Stop. Juno zjawi się u ciebie w niedzielę w południe. Koniec. Vingt.*

Kauzyperda to Abraham Abrahams. Centaine musiała mu wybrać pseudonim, kiedy była na niego zła. Vingt było aluzją do nazwiska Twentymann-Jonesa i potwierdzało, że to Centaine układała szyfr [Pierwszy człon nazwiska Twentymann-Jones znaczy „dwudziestu ludzi”; „vingt” to po francusku dwadzieścia.] „Ciekawe jednak, kto jej samej nadał pseudonim Juno”, zastanowił się Lothar i uśmiechnął na myśl, że trudno było o trafniejszy wybór.

A więc Centaine wyjeżdżała salonką do Cape Town. Mimo wszystko poczuł ulgę, że nie będzie jej w pobliżu, kiedy to się stanie, zupełnie jakby odległość mogła osłabić jej szok. Zeby spokojnie dotrzeć do Windhoek w niedzielę w południe, musiała wyjechać z H'ani w piątek wczesnym rankiem. Obliczył szybko, że w miejscu przejazdu przez rzekę powinna się znaleźć w sobotę po południu, lecz po chwili namysłu odjął od tego kilka godzin. Prowadziła tego swojego daimlera jak szatan.

Usiadł w ciasnej, rozżarzonej upałem jamie i nagle ogarnęła go przemożna chęć ujrzenia jej znowu, choćby rzucenia na nią okiem, kiedy będzie tędy przejeżdżała. „Wykorzystamy to jako próbę generalną przed przejazdem ciężarówki z diamentami” usprawiedliwił się przed samym sobą.



Daimler pojawił się na rozedrganym od żaru horyzoncie jak wirująca pustynna kurzawa. Lothar dostrzegł słup pyłu z odległości piętnastu kilometrów. Na jego znak Manfred i Swart Hendrick zajęli pozycje na krawędzi żlebu.

Poprzedniego dnia wykopali w kluczowych miejscach płytkie rowy i wydobytą ziemię rozsypali cienko dokoła, by suchy wiatr rozwiały ją i zatarł wszelkie ślady. Potem zamaskowali rowy gałęziami ciemnych krzewów, aż Lothar nabrał pewności, że kryjówki są nie do wykrycia z odległości większej niż kilka kroków.

Głazy, którymi mieli zatarasować z przodu i z tyłu drogę ciężarówce, zebrali z dna koryta i mozolnie wtaszczyli na górę. Z niezwykłą starannością ułożył je tak, by wyglądały jak najbardziej naturalnie, a jednocześnie, by jedno przecięcie liny podtrzymującej kłm pod największym kamieniem posłało całą stertę skał na do żlebu i całkowicie przegrodziło wąski w tym miejscu przejazd.

To była próba, więc nie nałożyli masek.

Lothar po raz ostatni sprawdził, czy wszystko gotowe, i przeniósł wzrok na zbliżający się szybko słup pustynnego pyłu. Był już tak blisko, że dało się rozróżnić u jego podstawy maleńką plamkę pojazdu, a chwilę później z oddali dobiegł cichy warkot silnika.

„Nie powinna tak jeździć — pomyślał ze złością. — Pewnego dnia się zabije. — Potrzęsnał ponuro głową. — Zachowuję się jak czuły małżonek. A niech skręci kark, jeśli tego chce!” — rzucił na głos. A jednak na myśl o jej śmierci poczuł bolesne ukłucie w okolicy serca; skrzyżował palce, żeby nie wymówić tego w złą godzinę. Potem ukucnął w swoim rowie i zaczął przez zasłonę gałęzi obserwować daimlera.

Dostojny pojazd zakołysał się, zahuszał i wypadł na pętlę drogi. Warkot silnika przybrał na sile, Centaine zredukowała bieg, a wychodząc z zakrętu przyspieszyła, by mocą wszystkich cylindrów wyprowadzić maszynę z poślizgu, którym groziły oblepiające przednie koła hałdy mialkiego pyłu. Chwilę później znów zmieniła bieg i z pełną szybkością pomknęła w stronę wylotu pierwszego żlebu. „Ależ ona ma styl! — pomyślał z niechęcią Lothar. — Boże litościwy, czy ona ma zamiar pokonać to koryto w pełnym pędzie?!”

Ale w ostatniej chwili Centaine zdjęła nogę z gazu i hamując biegami zatrzymała auto w miejscu, gdzie droga wpadała do stromego żlebu.

Kiedy owiana kurzawą wznieconego pyłu otworzyła drzwiczki i stanęła na progu przed nimi, znajdowała się zaledwie dwadzieścia kroków od rowu, w którym leżał ukryty Lothar. Poczuł łomotanie serca w piersi. „Czy to możliwe, żeby nadal tak na mnie działała? — pomyślał z niedowierzaniem. — Powiniennem jej nienawidzić. Oszukała mnie i upokorzyła, odtrąciła mego syna i odmówiła mu matczynej miłości, a mimo to, a mimo to...” — Nie pozwolił słowom przybrać kształtu. Wziął się w garść, próbując uodpornić się na jej urok.

„Wcale nie jest piękna — tłumaczył sobie, przyglądając się jej twarzy. Ale było to bez znaczenia. Miała w sobie coś więcej niż urodę. Tryskała życiem i niespożytą energią, roztaczała wokół siebie jakiś dziwny czar. — Juno — przypomniał sobie jej pseudonim. — Bogini. Potężna i groźna, sprytna i nieobliczalna, lecz bezgranicznie fascynująca i kusząca...”

Spojrzała dokładnie w jego stronę. Poczuł, jak pod muśnięciem tych ciemnych oczu uchodzi z niego cała siła i stanowczość. Nie dostrzegła go jednak i odwróciła głowę.

— Zejdziemy na dół, cheri — zawołała do młodego człowieka, który wysiadł z drugiej strony daimlera. — Sprawdzimy, czy przeprawa jest bezpieczna.

W tym krótkim czasie, który upłynął od ich spotkania w Zatoce Wielorybów, Shasa urósł chyba kilka centymetrów. Zostawili samochód i ramię w ramię zeszli drogą w głąb żlebu.

Manfred leżał w swoim rowie nad miejscem, gdzie żleb otwierał się na koryto rzeki. On także

uważnie śledził schodzącą drogą parę. Widok kobiety nie budził w nim żadnych uczuć. Była jego matką, ale o tym nie wiedział; nie odezwał się w nim głos instynktu. Nigdy nie podała mu piersi, nigdy nie wzięła go na ręce. Była dla niego kimś zupełnie obcym. Popatrzył na nią obojętnie, a potem przeniósł wzrok na towarzyszącego jej chłopaka.

Uroda Shasy działała mu na nerwy. „Jest śliczniutki jak dziewczyna” — pomyślał, starając się zdobyć na pogardę, ale jego oczom nie uszło, że rywal rozrósł się w barach, a pod podwiniętymi rękawami na opalonych rękach grają mu wyraźnie stwardniałe bicepsy.

„Chciałbym jeszcze raz się z tobą zmierzyć, przyjacielu.” Zapomniany niemal ból i upokorzenie, jakie czuł pod ciosami lewych prostych Shasy, zapiekły nagle znowu jak świeża rana. Dotknął palcami twarzy, marszcząc brwi na to wspomnienie. „Następnym razem nie pozwolę ci odstawić tego twojego tańca.” Przypomniawszy sobie jednak, jak trudno było dosięgnąć tej malowanej buzi, ja uskakiwała ona i umykała tuż poza zasięg jego ramion, i poczuł nową przyprawę frustracji.

Kobieta i chłopiec dotarli do wylotu żlebu dokładnie pod kryjówek Manfreda, przystanęli na chwilę pograżeni w cichej rozmowie, po czym Shasa wybiegł na dno wyschniętej rzeki. Drogę przez miał piasek wytyczały gałęzie akacji, ale koła wielkich ciężarówek połamał je i rozrzuciły na boki. Shasa zaczął układać je starannie na dawanych miejscach, wdeptując końce głęboko w ziemię.

Centaine wróciła do samochodu. Zdjęła z uchwytu zapasowe koła brezentowy bukłak, podniosła go do ust i przepłukawszy gardło wypluła wodę na piasek. Potem zrzuciła długą białą kurtkę, chroniąc ubranie przed kurzem, i rozpięła bluzkę. Nasączyła wodą żółtą apaszkę i mruczając z przyjemności przetarła dla ochłody szyję i pier wilgotnym materiałem.

Lothar chciał odwrócić głowę, ale nie był w stanie oderwać od niej oczu. Pod bladobłękitną popelinową bluzką nie miała na sobie już nic więcej. Nietknięta promieniami słońca skóra jej dekoltu była gładka i biała, w tym samym perłowym odcieniu co najlepsza porcelana. Małe, jędrne piersi, bez śladów fałd i zmarszczek, były ostro zakochane sutkami i wciąż jeszcze jasnorożowe jak u młodej dziewczyny a nie kobiety, która urodziła dwóch synów. Ugięły się sprężyste, gdy przeciągnęła po nich mokrą apaszką, a potem spoglądając w dół otarła je z rosy potu. Lothar zapragnął jej nagle z taką siłą, że ledw zdolał zdusić w gardle chrapliwy jęk.

— Wszystko gotowe, mamie! — zawołał Shasa z dołu, ruszając w stronę samochodu. Centaine pośpiesznie zapięła bluzkę.

— Już dość czasu zmitrężyliśmy — zgodziła się z synem i siadła kierownicą daimlera. Kiedy Shasa zatrzasnął drzwiczki po swej stronie uruchomiła potężną maszynę i jak szatan runęła drogą w dół. Wzniesiona tylnymi kołami tumany kurzu przemknęła przez kory rzeki i żlebem po przeciwnej stronie wydostała się na wysoki brzeg. Kiedy głęboki pomruk silnika rozpląnął się w pustynnej ciszy, Lot stwierdził, że drżyna całym ciele.

Jeszcze przez kilka minut nie opuszczali kryjówek. Pierwszy wszedł Swart Hendrick. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale kiedy ujrzał wyraz twarzy Lothara bez słowa zamknął je z powrotem, spełził wzrok i wrócił do obozowiska.

Lothar podszedł do miejsca, w którym zatrzymał się daim i przystanął wpatrując się w mokrą plamę, gdzie Centaine wypluła wodę po płukaniu ust. Odciski jej małych stóp rysowały się ostro drobnym pustynnym piasku. Nagle ogarnęła go przemożna chęć, by schylić się i dotknąć ich palcami. Ale w tej samej chwili zza pleców dobiegł go głos Manfreda.

— On uprawia boks — powiedział. Potrwało kilka sekund, nim Lothar uświadomił sobie, że jego syn mówi o Shacie. — Wygiada na prawdziwego maminsynka, ale umie się bić. Nie można go trafić. — Przyjął postawę boksera i markując ciosy zaczął tańczyć na piasku naśladując Shasę.

— Wracamy do obozu, nie ma co stać na widoku — powiedział Lothar.

Manfred opuścił pięści i wsadził ręce w kieszenie. Nie odezwali się już do siebie, dopóki nie znaleźli się w obozowisku.

— Czy ty umiesz się boksować, tato? — spytał Manfred. — Mógłbyś mnie nauczyć?

Lothar uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Zawsze wydawało mi się, że łatwiej kopnąć faceta między nogi — odparł. — A potem dołożyć mu w głowę butelką albo kolbą strzelby.

— Chciałbym umieć boksować — powiedział Manfred. — Kiedyś się tego nauczę.

Może ten pomysł kłuł mu się w głowie już od dawna, ale zabrzmiało to jak twarde postanowienie. Ojciec uśmiechnął się do niego pobłaźliwie i poklepał go po ramieniu.

— Wyciągnij worek z mąką — powiedział. — Na razie nauczysz się, jak piec chleb na proszku.

19

Och, Abe, wiesz jak nie znoszę takich przyjęć! — zawołała z irytacją Centaine. — Tych zatłoczonych pokojów, tego smrodu dymu tytoniowego, tej wymiany idiotycznych uwag z zupełnie nieznanymi ludźmi!

— Znajomość z tym człowiekiem może się okazać bardzo cenna. Powiem więcej, być może jest to najcenniejsza znajomość, jaką w ogóle można nawiązać w tym okręgu.

Centaine zrobiła zrezygnowaną minę. Abe miał oczywiście rację. Zarządca był faktycznie gubernatorem prowincji z szerokimi uprawnieniami wykonawczymi. Mianował go rząd Związku Południowej Afryki na podstawie mandatu przyznanego mu Traktatem Wersalskim.

— Pewnie następny nadęty nudziarz, taki jak jego poprzednik.

— Jeszcze go nie widziałem — przyznał Abe. — Dopiero kilka dni temu przyjechał do Windhoek objąć urząd, a zaprzysiężony zostanie nie wcześniej niż na początku przyszłego miesiąca, ale nasze not koncesje w okolicy Tsumebu leżą właśnie na jego biurku i czekają: podpis.

Zauważył zmianę wyrazu jej oczu i naciskał dalej.

— Prawo wyłączności poszukiwań na czterech i poi tysiąca kilometrów kwadratowych warte jest chyba kilku godzin nudy?

Ale Centaine nie miała zamiaru tak łatwo się poddać.

— Mamy się doczepić do ekspresu, który odchodzi dziś wieczorem — przeszła do kontrnatarcia.

— W środę rano Shasa musi być z powrotem w szkole. — Wstała, przemierzyła lekkim krokiem salon i zaczęła poprawiać róże w wazonie na biurku, żeby nie patrzeć niego, gdy będzie odparowywał jej cios.

— Następny ekspres odchodzi we wtorek. Zalatwiłem już po czepienie pani salonki. Panicz Shasa może pojechać dzisiaj. Zarez wowałem mu przedział sypialny. Sir Garnek i jego żona bawią nać w Welteyreden, mogliby go zatem odebrać z dworca w Cape To Trzeba tylko zatelegrafować. Uśmiechnął się do stojącego drugiej stronie salonu Shasy. — Jestem pewien, młodzieńcze, że i b trzymania za rączkę dasz sobie radę w tej podróży.

„Szczwany lis, ten Abe” — pomyślała Centaine, widząc, jak łat Shasa dał mu się podpuścić.

— Ależ oczywiście, mam! — zawołał chłopiec. — Pojadę sam a ty zostań tutaj. Poznanie nowego zarządcy to ważna sprawa. Da sobie radę. Anna pomoże mi się spakować do szkoły.

Centaine podniosła ręce w geście kapitulacji.

— Jeśli umrę z nudy, Abe, niech cię do śmierci dręczą wyrzuty sumienia.

Z początku miała zamiar założyć swój garnitur diamentów, w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

„W końcu to tylko małe prowincjonalne przyjęcie dla tłustych żon farmerów i drobnych urzędników. A poza tym nie chciałabym biedaka oślepić.”

Zdecydowała się na suknię wieczorową z żółtego jedwabiu projek Coco Chanel. Wystąpiła już w

niej kiedyś, ale w Cape Town, było więc mało prawdopodobne, żeby ktoś stąd już ją w niej widział. „Była tak droga, że mogę sobie pozwolić na to, by pokazać się w niej dwa razy — pocieszyła się. — A dla tych tutaj i tak jest za dobra.”

Do sukni wybrała diamentowe kolczyki z soliterami, nie za dużymi żeby nie wyglądały zbyt ostentacyjnie, a zamiast naszyjnika wisior, żółty diament o odcieniu szampana na platynowym łańcuszku. Ten wisior — przyciągał uwagę do jej małych, jędrnych piersi.

Największy kłopot, jak zwykle, miała z włosami. Naelektryzowane suchym pustynnym powietrzem, rozsypywały się w kompletnym nieładzie. Żałowała, że nie ma przy sobie Anny — tylko ona potrafiła dać sobie radę z tą lśniącą niesforną grzywą. W przyływie rozpaczy postanowiła nadać temu nieładowi pozory starannie opracowanej fryzury, zburzyła włosy jeszcze bardziej i opięła czarną, błyszczącą aureolę aksamitną opaską.

— Dość tych zabiegów. — Zupełnie me miała ochoty iść na to przyjęcie. Shasa odjechał pociągiem pocztowym, tak jak to zaplanował Abe, a ona już zaczynała za nim tęsknić. Do tego sama chciała jak najszybciej znaleźć się w Welteyreden i ta przymusowa zwłoka wprawiała ją w coraz większe rozdrażnienie.

Abe przyjechał po nią godzinę później niż sugerowało to zaproszenie z wytłoczonym emblematem zarządcy. Podczas jazdy Rachel, żona Abrahamsa, uraczyła Centaine opowieścią o swoich najnowszych domowych triumfach i tragediach, w tym szczegółowym opisem wypróżnień najmłodszej pociechy.

Pałac Atramentowy, siedzibę zarządcy, zbudowano za czasów kolonialnych w ciężkim neogotyckim stylu niemieckiego cesarstwa. Rozejrzawszy się po sali balowej, Centaine stwierdziła, że towarzystwo jest dokładnie takie, jakiego się spodziewała. W skład gości wchodził miejscowi wyżsi urzędnicy z żonami, kierownicy wydziałów i ich zastępcy, oficerowie garnizonu wojskowego i policji oraz wszyscy liczący się ludzie interesu, a także więksi posiadacze ziemscy, mieszkający dość blisko Windhoek, by móc skorzystać z zaproszenia.

Dostrzegła w tłumie kilku swoich ludzi: dyrektorów i wicedyrektorów Courteney Finance and Mining Company. Abe zaopatrzył ją w uaktualniony biuletyn personalny, toteż kiedy zbliżali się nieśmiało, by przedstawić swoje małżonki, mogła zamienić z każdym łaskawie kilka słów, tak że odchodzili rozradowani, z uśmiechami wdzięczności na twarzach. Abe trzymał się tuż obok, by interweniować, gdyby któryś z nich próbował narzucać się z jakąś prośbą, i w stosownej chwili dostarczył jej wymówki do zakończenia tej ceremonii.

— Sądzę, że powinniśmy złożyć wyrazy uszanowania naszemu nowemu zarządcy, pani Courteney. — Ujął ją pod ramię i poprowadził w stronę kolejki gości.

— Udało mi się zebrać o nim kilka informacji. Nazywa się Blaine Malcomess, jest podpułkownikiem, dowodził batalionem Natalskich Strzelców Konnych. W czasie wojny dzielnie się spisywał i zakończył ją z belką do Wojskowego Krzyża Zasługi. W życiu prywatnym jest prawnikiem i...

Orkiestra policyjna z werwą i zapałem zaczęła grać walca Straussa i na parkiecie zrobiło się tłoczno. Kiedy dotarli do rzędu oczekujących na prezentację, Centaine z zadowoleniem stwierdziła, że zostanie przedstawiona jako ostatnia.

Nie zwracała specjalnej uwagi na stojącego przed czołem kolejki gospodarza przyjęcia. Posuwała się do przodu oparta na ramieniu Abego, pochylona ku trzymającej go pod drugie ramię Racheli, która podawała jej rodzinny przepis na rosół, i zastanawiała się w duchu, jak szybko będzie wypadało opuścić bankiet.

Nagie uświadomiła sobie, że dotarli do celu i adiutant przedstawia ich gospodarzowi.

— Pan Abraham Abrahams z małżonką i pani Centaine de Thiry Courteney. — Podniosła wzrok na stojącego przed nią mężczyznę i mimowolnie wbiła Abrahamsowi paznokcie w ramię z taką siłą, że prawnik wykrzywił się z bólu. Ale ona tego nie zauważyła. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w pułkownika Blaine'a Malcomessa.

Był wysoki i szczupły, miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, trzymał się swobodnie, bez śladu wojskowej sztywności, a mimo to w jego postawie wyczuwało się nieuchwytną czujność, jakby w każdej chwili był gotów poderwać się do działania.

— Jestem zachwycony, pani Courteney — powiedział, podając jej rękę — że zechciała pani przyjąć zaproszenie. Właśnie na poznaniu pani szczególnie mi zależało. — Mówił czystym tenorem z leciutkim śpiewnym akcentem, który mógł sugerować walijskie pochodzenie. Był to głos człowieka wykształconego i kulturalnego, o modulacji, od której na rękach i szyi poczuła elektryzujące mrowienie.

Ujęła podaną dłoń. Była sucha i ciepła w dotyku, w delikatnym uścisku wyczuwało się powściąganą siłę. „Mógłby mi zmiażdżyć rękę jak wykę” — uznała i myśl ta przyprawiła ją o dreszczyk rozkosznego niepokoju. Przyjrzała się uważniej jego twarzy.

Rysy miał grubo ciosane, kości szczęk, policzków i czoła sprawiały wrażenie ciężkich i masywnych, jakby wykuto je w kamieniu. Z dużym rzymskim nosem, krzaczastymi brwiami i wydatnymi, ruchliwymi ustami przypominał jej nieodparcie młodszego i znacznie przystojniejszego Abrahama Lincolna. „Nie dobił jeszcze czterdziestki — oceniła. — Bardzo młody jak na pułkownika i zarządcę okręgu.”

I w tej samej chwili uzmysłowiła sobie, że nadal trzyma jego rękę i nie odpowiedziała na powitanie. Pochylił się nad nią i przyglądał jej się równie otwarcie i równie uważnie jak ona jemu. Abe i Rachel z zaciekawieniem i rozbawieniem przenosili wzrok z jednego na drugie. Musiała potrząsnąć lekko ręką, by wyswobodzić ją u uścisku, i ku swemu przerażeniu poczuła, że krew uderza jej na policzki.

„Rumienię się!” — pomyślała w panice. Coś podobnego jej się przydarzyło od lat.

— Miałem szczęście poznać już kiedyś jednego z członków pani rodziny — przerwał milczenie Blaine Malcomess. Zęby miał duże, równe i bardzo białe, a kiedy się uśmiechnął, szerokie usta wydały jej się jeszcze większe. Odwzajemniła się nieco drżącym uśmiechem.

— Doprawdy? — Była to mało błyskotliwa odpowiedź, ale z trudem mogła pozbierać myśli. Wpatrywała się w niego i czerwieniła jak pensjonarka. Miał nieprawdopodobnie zielone oczy. Ich odcień zupełnie ją rozpraszał.

— Służyłem we Francji pod generałem Seanem Courteneyem — wyjaśnił, nie przestając się uśmiechać. Ktoś za krótko wystrzygł mu włosy na skromach. W efekcie wyglądało to tak, jakby odstawały mu uszy. Drażniło ją to, a jednocześnie te odstające uszy czyniły go pociągającym i kuszącym.

— To był wspaniały człowiek i prawdziwy dżentelmen — ciągnął Blaine Malcomess.

— Tak, to prawda — przytaknęła i natychmiast złażała się w duchu. „Powiedz coś dowcipnego, coś inteligentnego! Uzna cię za ostatnią kretynekę!”

Miał na sobie galowy mundur granatowo-złoty z podwójnym rządkiem baretek. Od wczesnego dzieciństwa ulegała urokowi munduru.

— Słyszałem, że w roku tysiąc dziewięćset siedemnastym przebywała pani kilka tygodni w kwaterze generała Courteneya w Arras. Ja w tym czasie służyłem w oddziałach liniowych. Do sztabu generała przeniesiono mnie dopiero pod koniec roku.

Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, i wreszcie udało jej się odzyskać panowanie nad

sobą.

— Jakież to były burzliwe czasy, cały świat walił się wokół nas w ruiny — powiedziała cicho, matowo, z nieco silniejszym niż zwykle francuskim akcentem, myśląc jednocześnie: „Co to jest? Co się z tobą dzieje, Centaine? Nie tak to miało być. Pamiętaj o Michaelu i Shasie. Skiin temu człowiekowi przyjaźnie głową i przechodź dalej.”

— Wydaje mi się, że dopełniłem już swoich obowiązków — powiedział Blaine Malcomess, szukając wzrokiem potwierdzenia u swego adiutanta. Otrzymałszy je, odwrócił się z powrotem ku Centaine. — Czy zechce mi pani wyświadczyć zaszczyt i zatańczy ze mną tego walca? — Podał jej ramię, a ona bez chwili wahania złożyła na nim lekko dłoń.

Kiedy weszli na parkiet, pozostałe pary rozsunęły się na boki ustępując im miejsca. Zwróciła się twarzą do Blaine'a Malcomess i znalazła się w objęciu jego ramion.

Jeszcze nim zrobił pierwszy krok, wiedziała, że okaże się wspaniałym tancerzem. Wystarczyło jej to, jak ją trzymał. Poczowała się lekką i filigranową, odgięła się do tyłu i odchyliła górną połowę tułowia poza obręcz jego ramienia, gdy tymczasem od pasa w dół ich ciała zdawały się zlewać w jedno.

Zatoczyli pierwsze koło wokół parkietu wirując w zwykłych prostych obrotach, a gdy z niezwykłą lekkością i natychmiast reagowa na każdy jego ruch, rozpoczął serię skomplikowanych zmian kroków i kierunków obrotów. Bez najmniejszego wysiłku poddawała się prowadzeniu, reagując na każde jego drgnienie, spełniając każdą jego zachciankę. Wydawało się, że ledwie muska ziemię.

Kiedy przebrzmiał ogłuszający akord końcowy i muzycy opadli na oparcia krzeseł, spoceni i zziębnięci, Centaine spojrzała w stronę orkiestry z nieuzasadnionym żalem. Za krótko grali. Blaine Malcomess nad obejmował ją pośrodku parkietu, śmiał się do niej zachwycony a pozostali tancerze otoczyli ich kołem i zgotowali im owację.

— Niestety na tym musimy chyba na razie poprzestać — powiedział, wciąż nawet nie próbując jej puścić. Jego słowa wyrwały z oszołomienia. Nie było już żadnej wymówki do przedłużania fizycznego kontaktu, toteż niechętnie cofnęła się o krok i dygocząc podziękowała za oklaski.

— Uważam, że zasłużyliśmy na kieliszek szampana — przywołał jednego z ubranych w białe smokingi kelnerów. Zeszli na skr parkietu i popijając musujące wino pograżyli się w ożywionej rozmowie ani na chwilę nie odrywając od siebie wzroku. Szerokie czoło perliło się drobnymi kropelkami potu, czuła delikatny zapach jego ciała.

Byli sami pośród tłumu gości. Dyskretną zmianą ułożenia rami i głowy Centaine skutecznie zniechęciła kilku śmiazków, które kierowali się w ich stronę jakby po to, by do nich dołączyć.

Muzycy, odświeżeni i pełni nowego zapału, zajęli z powrotem miejsca na podium dla orkiestry i znów zaczęli grać, tym razem fokstrota. Blaine Malcomess nie musiał jej prosić do tańca. Odstawił niemal nietkniętego szampana na srebrną tacę, którą usłużnie podsurił kelner, i złożyła dłoń na ramieniu pułkownika.

Bardziej stateczny rytm fokstrota pozwolił im kontynuować rozmowę, a mieli o czym rozmawiać. Blaine Malcomess znał Seana Courteneya, człowieka, którego Centaine kochała niemal jak własnego ojca, darzył go ogromnym szacunkiem i podziwem. Na wspomnienie ponurych okoliczności, w jakich Sean Courteney i jego żona zostali zamordowani, w obojgu odżył żal i oburzenie tą zbrodnią, co jeszcze bardziej ich do siebie zbliżyło.

Blaine znał jej ojczystą Francję i ukochane okolice Arras, a jego batalion bronił odcinka frontu koło Mort Homme, rodzinnej posiadłości Centaine. Pamiętał wypalone ruiny rodzowego zamku.

— Założyliśmy tam artyleryjski punkt obserwacyjny — wyjaśnił. — Przesiedziałem wiele długich godzin na wieży w północnym skrzydle. — Jego opis obudził w niej przyjemną nostalgię,

miły smutek ożywiający inne uczucia.

Tak jak ona uwielbiała konie i znakomicie grał w Polo.

— Mój syn będzie zachwycony — powiedziała. — Sam także gra w polo, startuje w lidze szkolnej.

— Ile lat ma pani syn?

— Czternaście.

— Grać w tym wieku w reprezentacji szkoły to duży zaszczyt. Musi być bardzo dobry. Chciałbym go zobaczyć w akcji.

— Rzeczywiście robi duże postępy — przyznała z dumą i nagle zapragnęła opowiedzieć mu wszystko o Shasie, ale znowu muzyka ucichła, przerywając jej w pół słowa. Tym razem także i on zmarszczył czoło.

— Nie wydaje się pani, że grają bardzo krótkie kawałki? — powiedział z niezadowoleniem i w tej samej chwili drgnął, zdejmując rękę z jej talii. Choć Centaine nadal trzymała dłoń na jego ramieniu, przedziwny nastrój uniesienia, który ich ogarnął, prysł i jak cień przemknęło między nimi coś niejasnego, nieproszonego, niepożądanego. Coś się stało, ale nie mogła się zorientować co.

— Oho, widzę, że wróciła — powiedział zachmurzony. — Naprawdę nie czuła się dziś najlepiej, ale zawsze udaje zucha.

— O kim pan mówi? — spytała Centaine. Jego ton wzbudził w niej złe przeczucia i powinien był ją ostrzec, a jednak doznała prawdziwego wstrząsu, gdy wyjaśnił cicho:

— O mojej żonie.

Zakręciło jej się w głowie i tylko niemałym wysiłkiem udało jej się utrzymać równowagę, gdy zdjęła rękę z jego ramienia.

— Chciałbym, żeby ją pani poznała — powiedział. — Czy mogę panią przedstawić?

Skinęła głową, nie ufając swemu głosowi, a kiedy ponownie podał jej ramię, zawahała się, nim się na nim wsparła, i tym razem dotknęła go tylko samymi koniuszkami palców.

Kiedy prowadził ją przez parkiet w kierunku grupy u stóp głównych schodów, Centaine przeszukiwała wzrokiem twarze znajdujących się w niej kobiet, próbując odgadnąć, która z nich może być jego żoną. Tylko dwie były młode, żadna nie była choćby ładna. Żadna nie mogła konkurować z nią pod względem urody, figury, talentów, władzy czy bogactwa. Poczowała przypływ pewności siebie, a chwilowe zwątpienie i zmieszanie, które wytrąciły ją z równowagi, ustąpiły miejsca niecierpliwości. Nie zastanawiając się nad tym, czuła, że staje do rozpaczliwego współzawodnictwa. Ogarzył ją bitewny zapach, podnieciła wielkość stawki. Chciała jak najszybciej zidentyfikować i oszacować rywalkę. Kiedy stanęli przed grupą, wyprostowała się i uniosła hardo głowę.

Szeregi kobiet i mężczyzn rozstąpiły się z szacunkiem i oto miała ją przed sobą, wpatrzoną w nią pięknymi, pełnymi smutku oczyma. Była młodsza od Centaine i piękna rzadką, niespotykaną urodą. Wrodzona dobroć i łagodność spowijały ją jak lśniący płaszcz chroniący przed wzrokiem innych, ale uśmiech jakim obdarzyła Centaine, gdy Blaine ją przedstawił, był przepełniony smutkiem.

— Pani Courteney, niech mi wolno będzie przedstawić pani moją żonę, Izabelę.

— Wspaniale pani tańczy, pani Courteney. Przyglądałam się pani i Blamowi z prawdziwą przyjemnością. On tak lubi tańczyć.

— Dziękuję pani — odparła Centaine matowym szeptem, ale wewnątrz gotowała się z wściekłości. „Ty jędzo! To niesprawiedliwe! Dlaczego nie walczysz uczciwie?! Przecież w tej sytuacji nigdy z tobą nie wygram. Och, jakże cię nienawidzę!”

Izabela Malcomess siedziała w fotelu na kółkach, za jej plecami stała pielęgniarka. Spod rąbka

wieczorowej sukni wystawały kostki jej wychudłych, sparaliżowanych nóg. Były blade, spod skóry przeświecał kości, w wyszywanych cekinami balowych pantofelkach jej stopy wydawały się kruche i rozbrajająco bezradne.

„Nigdy cię nie opuści. — Centaine poczuła, że dusi się z wściekłości i żalu. — On już taki jest, nigdy nie opuści kalekiej żony!”

Obudziła się godzinę przed świtem, lecz jeszcze przez chwilę leżała z zamkniętymi oczyma, dziwiąc się osobliwej błogości, która ją przepełniała. Kiedy powróciło wspomnienie poprzedniego wieczoru, jednym szarpnięciem odrzuciła prześcieradło, by jak najszybciej rozpocząć nowy dzień. Dotknąwszy jednak bosymi stopami podłogi znieruchomiała i instynktownie spojrzała w stronę nocnego stolika na oprawną w srebrną ramkę fotografię Michaela Courteneya.

— Wybacz, Michaelu — szepnęła. — Kocham cię, wciąż cię kocham i zawsze będę kochała, ale nie mogę się temu oprzeć. Wcale tego nie szukałam, wcale nie chciałam. Proszę cię, wybacz mi, kochanie. Minęło już tyle lat, tyle samotnych lat. Pragnę go, Michaelu. Chcę wyjść za niego za mąż i mieć go tylko dla siebie.

Podniosła zdjęcie, przytuliła je do piersi, a potem otworzyła szufladę, położyła je twarzą do dołu na swojej koronkowej bieliźnie i zamknęła szufladę z powrotem.

Wyskoczyła z łóżka i sięgnęła po żółty szlafrok z chińskiego jedwabiu w wyhaftowanym na plecach rajskim ptakiem. Zawiązując go przeszła szybkim krokiem do saloniku, usiadła za biurkiem i ułożyła telegram do sir Garricka, w ich prywatnym kodzie, gdyż trzeba go było nadać publiczną linią.

Proszę o pilne przesłanie wszelkich dostępnych informacji o podpułkowniku Błacie Malcomessie, nowo mianowanym zarządcy Afryki południowo-Zachodniej. Odpowiedź zakodować. Pozdrowienia. Juno.

Zadzwoiła na sekretarza i zaczęła bębnić palcami w blat biurka, zirytowana, że tak długo nie przychodzi. Zjawił się we flanelowym szlafroku, nie ogolony, z oczami zapuchniętymi od snu.

— Proszę to natychmiast nadać — podała mu kartkę. A potem połączyć mnie z Abrahamem Abrahamsem.

— Centaine, jest szósta rano! — protestował Abrahams. — A położyliśmy się spać o trzeciej!

— Dobremu prawnikowi trzy godziny snu powinny najzupełniej wystarczyć. Abe, chcę, żebyś zaprosił dziś na kolację do mojej salonki pułkownika Malcomessa z żoną.

W słuchawce zapadła długa, ciężka cisza, zakłócana tylko trzaskami na linii.

— Ty i Rachel także oczywiście jesteście zaproszeni.

— Takie zaproszenie wymaga znacznie większego wyprzedzenia — odparł ostrożnie Abrahams, starannie dobierając słów. — Zarządca jest człowiekiem niezwykle zajęтым. Po prostu nie przyjdzie.

— Dostarcz mu zaproszenie osobiście — poleciła Centaine ignorując ostrzeżenie. — Albo wyślij posłańca do jego biura, ale dopilnuj, żeby oddał mu je do rąk własnych. Pod żadnym pozorem nie może go odebrać jego żona.

— On nie przyjdzie — powtórzył z uporem Abrahams. — W każdym razie mam taką nadzieję.

— A co to ma znaczyć?! — spytała ostro Centaine.

— Igrasz z ogniem, Centaine. I to nie z płomieniem jakiejś małej świecy, ale szalejącym pożarem buszu.

Zacisnęła gniewnie usta.

— Pilnuj swego nosa, ja... — zaczęła.

— ..pilnuję swego — wszedł jej w słowo, dopowiadając resztę zwrotki dziecinnego piosenki — całuję kogo zechcę, innym nic do tego.

Najniespodziewaniej w świecie Centaine zachichotała. Abraham Abrahams jeszcze nigdy w



życiu nie słyszał, żeby pani Centaine de Thiry Courteney chichotała. Ze zdumienia rozdziawił usta.

— Wstrzeliłeś się jak rzadko, Abe — zachichotała raz jeszcze.

— Płacisz mi ogromne pieniądze właśnie za wściubianie nosa w twoje sprawy, Centaine — powiedział Abrahams, tym razem już z wyraźnym niepokojem. — Wczoraj wieczorem zapędziłaś do roboty setki języków, dzisiaj w całym mieście będzie huczało jak w ulu. Jesteś kobietą na świeczniku, każdy twój krok jest uważnie śledzony. Nie możesz sobie pozwolić na takie zachowanie.

— Drogi Abe, oboje dobrze wiemy, że mogę sobie pozwolić na wszystko, na co tylko przyjdzie mi ochota. Bardzo proszę, wyślij to zaproszenie!

Całe popołudnie przeznaczyła na odpoczynek. Poprzedniej nocy położyła się późno, a tego wieczoru chciała wyglądać jak najlepiej. Sekretarz obudził ją kilka minut po czwartej. Abe otrzymał odpowiedź na zaproszenie. Zarządca z małżonką będą zaszczytzeni mogąc zjeść z mą kolację. Z triumfalnym uśmiechem zabrała się do rozszyfrowywania telegramu od sir Garricka, który nadszedł kiedy spała.

Dla Juno. Stop. Pełne nazwisko interesującej cię osoby brzmi Blaine Marsden Malcomess. Urodzony w Johannesburgu 28 lipca 1893 roku.

— A więc niedługo skończy trzydzieści dziewięć lat! — wyrzyknęła. — I jest spod znaku Lwa. Mój wielki ryczący lew! — Powróciła szybko do czytania telegramu.

*Drugi syn Jamesa Marsdena Malcomessa, prawnika i przedsiębiorcy, prezesa Consolidated Goldfields i dyrektora licznych kopaiń, zmarłego w 1922. Ukończył St John's College w Johannesburgu i Orle! College w Oksfordzie, zdobywając wiele wyróżnień, w tym stypendia Rhodesa i Oriela. Osiągnięcia sportowe: członek reprezentacyjnej drużyny Oksfordu w krykiecie, rezerwowej w Polo i w lekkiej atletyce. Ukończył Oksford (tytuł magistra, wyróżnienie) w 1912. Przyjęty w poczet adwokatów 1913. Mianowany podporucznikiem Natalskich Sirzelców Konnych 1914. Udział w kampanii w Afryce Płd.-Zach. Dwukrotnie wymieniony w rozkazie dziennym, awansowany na kapitana 1915.*

*Wyjazd do Francji z Brytyjskim Korpusem Ekspedycyjnym 1915. Wojskowy Krzyż Zasługi sierpień 1915. Awans na majora i belka do Krzyża 1916. Awans na podpułkownika i dowódcę 3 Batalionu 1917. Przeniesienie do sztabu dowódcy 6 Dywizji 1918. W czasie negocjacji Traktatu Wersalskiego w sztabie generała Smutsa. Od 1919 wspólnik w firmie Stirling J Malcomess. Od 1924 członek parlamentu. W latach 1926—29 wiceminister sprawiedliwości. 11 maja 1932 mianowany zarządcą Afryki Płd.-Zach. Od 1918 żonaty z Izabelą Tarą z domu Harrison. Dwie córki Tara Izabela i Matylda Janina.*

Ostatnie zdanie przyprawiło Centaine o kolejny szok. Nie pomyślała o dzieciach.

„Przynajmniej nie urodziła mu syna. — To stwierdzenie było tak L okrutne, że poczuła wyrzuty sumienia. żeby je zagłuszyć, zaczęła obliczać, w jakim wieku mogą być te córki. — Pewnie są podobne do matki. Koszmarne małe aniołki, a on nie widzi za nimi świata” — uznała z goryczą i zabrała się do czytania uwag, którymi sir Garrick zakończył długi telegram.

Zapytanie skierowane do Ou Baasa ujawniło, że osoba, o której mowa, jest coraz wyżej notowana w kręgach prawniczych i polityce. Po odzyskaniu władzy przez Partię Południowoafrykańską duże prawdopodobieństwo teki ministerialnej.

Uśmiechnęła się czule na wspomnienie generała Jana Christiana Smutsa i czytała dalej:

*W 1927 upadek żony z konia. Poważne uszkodzenie rdzenia kręgowego. Rokowania niepomyślne. Stop. Ojciec, James Marsden, pozostawił. spadek szacowany na 655 000 funtów, dzieląc go w równych częściach między obu synów. Stop. Obecna sytuacja finansowa omawianej osoby nie do ustalenia, niemniej jej majątek uważa się za znaczny. Stop. Znakomity gracz w polo. Kapitan reprezentacji Afryki Południowej w meczu w Argentyną w 1929. Mam nadzieję i jestem przekonany, że potrzeba posiadania tych informacji podyktowana została względami czysto zawodowymi. Jeśli nie, usilnie namawiam do zachowania powściągliwości i ostrożności z uwagi na odbiór przez wszystkich zainteresowanych i jego groźne konsekwencje. Stop. Shasa cały i zdrowy wyprawiony do szkoły. Stop. Anna załącza pozdrowienia. Koniec.*

*Owidiusz.*

Pseudonim sir Garricka wybrała z podziwu i szacunku dla jego kunsztu, ale teraz rzuciła telegram na biurko wyraźnie rozzłoszczona.

— Dlaczego wszyscy wiedzą lepiej ode mnie, co dla mnie dobre? — powiedziała na głos. — I dlaczego Anna siedzi w Cape Town zamiast być tutaj i pomóc mi z włosami? Wyglądam po prostu koszmarnie. — Zerknęła w lustro nad kominkiem, szukając potwierdzenia, że to nieprawda. Potem ściągnęła obiema rękami włosy do tyłu, przyglądając się badawczo swej twarzy. Tylko w kącikach oczu wypatrzyła ślady zmarszczek, drobnutkich jak najcieńszy włos, ale dopełniło to miary jej rozdrażnienia.

— Dlaczego wszyscy atrakcyjni mężczyźni są już żonaci?! I po co, po co ta głupia malowana lala włąziła na tego konia? A jeśli już włąziła, to czy nie mogła trzymać się mocniej w siodle, zamiast spadać na tę swoją śliczną malowaną pupkę?

Wokół powitania Izabeli Malcomess i przeniesienia jej fotela z peronu na balkonik salonki Centaine narobiła ogromnego zamieszania. Ustawieni rzędkiem przy schodach czterej służący i obaj jej sekretarze czekali na pierwsze skierowanie.

Blaine Malcomess odprawił ich niecierpliwym ruchem ręki, pochylił się nad swą żoną, a kiedy objęła go za szyję, podniósł ją lekko jak małą dziewczynkę, uśmiechnął się do niej czule i wspiał się na balkonik, jakby niczego nie dźwigał. Nogi Izabeli dyndały żałośnie pod spódnicą jej sukni. Były tak wychudłe i pozbawione życia, że Centaine poczuła niespodziewany i niepożądany przypływ współczucia.

„Nie wolno ci się nad nią litować” — nakazała sobie twardo, przechodząc za gośćmi do salonu.

Nie pytając o pozwolenie Blaine usadził żonę na krzesła, które subtelnie dominowało nad salonikiem i w naturalny sposób skupiało na sobie powszechną uwagę, na miejscu zawsze zarezerwowanym dla samej Centaine. Potem przyklęknął przed żoną na jedno kolano i delikatnie ułożył jej stopy, ustawiając je równiutko jedną obok drugiej, a na koniec wygładził jej suknię na kolanach. Było jasne, że robił to już setki razy.

Izabela pogłaskała go koniuszkami palców po policzku i uśmiechnęła się do jego nachylonej głowy z taką ufnością i uwielbieniem, że Centaine poczuła się zupełnie zbędna. Ogarnęła ją desperacja. Po prostu nie mogła wkroczyć między tych dwoje. Sir Garrick i Abe mieli rację. Nie zostało jej nic innego, jak oddać go bez walki. Wspaniałomyślność tego postanowienia wydała jej się tak ogromna, że poczuła się niemal jak święta.

I właśnie wtedy Izabela Malcomess spojrzała na mąż ponad głową klęczącego przed nią męża. Włosy miała barwy pieczonych kasztanów, ale mieniące się rdzawo i pobłyskujące przy każdym ruchu głowy, wbrew modzie długie i proste. Były tak delikatne i jedwabiste, że tworzyły grubą zasłonę, lśniąca jak zwilżony atlas, i spływająca aż na ramiona. Twarz miała pociągłą jak u

średniowiecznej madonny, jasną i pogodną, a oczy brązowe, rozjaśnione złotymi pręcikami, rozchodzącymi się wachlarzowato od czarnych źrenic.

Izabela Malcomess spojrzała na Centaine przez całą długość saloniku, uśmiechnęła się — powolnym, pełnym zadowolenia uśmiechem posiadaczki — i wyraz jej brązowo-złotych oczu uległ zmianie. Patrzyła prosto w ciemnomiodowe oczy Centaine i rzucała jej wyzwanie. Było to tak jasne, jak gdyby zdjęła jedną ze swych wyszywanych perełkami długich rękawiczek i uderzyła nią Centaine w twarz.

„Ty głupia lalo, nie trzeba było tego robić! — Całe szlachetne postanowienie Centaine zniknęło pod tym spojrzeniem jak za dotknięciem różdżki. — Miałam zamiar zostawić ci go, naprawdę miałam. Ale jeśli chcesz o niego walczyć, to się z tobą zmierzę.” Nie spuściła wzroku i bez słowa podjęła wyzwanie.

Przyjęcie okazało się niezwykle udane. Centaine bardzo starannie przejrzała zestaw potraw i nie we wszystkim zdała się na swego kucharza. Zarówno garnirunek do homara, jak sos do pieczeni z polędwicy przygotowała własnoręcznie. Do homara pili szampana, do pieczeni wspaniałego aksamitnego richebourga.

Abe i Blaine z ulgą i radością stwierdzili, że Izabela i Centaine są dla siebie czarujące i darzą się najwyższymi względami. Było jasne, że szybko się zaprzyjaźnią. Centaine niemal z każdym słowem zwracała się do kalekiej dziewczyny, nie przestawała troszczyć się o jej samopoczucie i wygodę, własnoręcznie poprawiała poduszki pod jej plecami, żartobliwie i z humorem snując opowieści o tym, w jaki sposób owdowiałej i brzemiennej udało jej się przeżyć morderczą przeprawę przez pi7istynię, mając za towarzyszy tylko dzikich Buszmenów.

— Jakaż pani jest dzielna! — Izabela Malcomess bezbłędnie rozszyfrowała sens tej opowieści. — Jestem pewna, że tylko niewiele kobiet mogłoby pani dorównać siłą, wytrwałością i zaradnością.

— Pułkownik Malcomess, czy mogę obarczyć pana zadaniem pokrojenia pieczeni? Bycie samotną kobietą miewa swoje ujemne strony. Są rzeczy, które tylko mężczyzna potrafi dobrze zrobić, nieprawdaż, pani Malcomess?

Rachel Abrahams prawie się nie odzywała, czujnie i z niepokojem nastawiając uszu. Tylko ona jedna poza dwiema bohaterkami tej rozmowy rozumiała, co tu się dzieje. Cała jej sympatia znajdowała się po stronie Izabeli Malcomess, gdyż znakomicie potrafiła sobie wyobrazić, że i jej domowemu gniazdu mógłby zagrozić jakiś grasujący w okolicy drapieznik.

— Ma pani dwie córki, pani Malcomess? — spytała słodko Centaine. — Tara i Matylda Janina, takie wdzięczne imiona. — Dała rywalce znak, że jej wywiad działa bardzo sprawnie. — Ale dziewczynki są znacznie bardziej niesforne od chłopców. Jak pani sobie z nimi radzi?

Siedząca u końca stołu Rachel drgnęła. Jednym nieznacznym sztychem Centaine wypunktowała kalectwo Izabeli i jej niezdolność do urodzenia mężowi syna i dziedzica.

— Och, nie będąc, że tak powiem, w obiegu, mam mnóstwo czasu na wypełnianie domowych obowiązków — zapewniła Izabela. — A dziewczynki są przeurocze, świata nie widzą za ojcem.

Izabela była wprawnym szermierzem. Zasugerowane przez nią „bycie w obiegu” sprawiło, że arystokratyczna krew zawrzała Centaine w żyłach, a zabezpieczenie dziewczynek tak ścisłym powiązaniem ich z Błamem było posunięciem wręcz mistrzowskim. Centaine zdążyła już zauważyć ten wyraz uwielbienia malujący się na jego twarzy na każdą wzmiankę o córkach. Odróciła głowę w stronę pułkownika i zmieniła temat.

— Niedawno gościłam w Welteyreden, moim domu w Cape, generała Smutsa. Generał jest mocno zatroskany rosnącymi wpływami tajnych wojowniczych stowarzyszeń działających wśród niższych warstw Afrykanerów. Zwłaszcza tak zwanej Ossewy Brandwag i Afrikaner Broederbondu,

które to nazwy można by przetłumaczyć jako „Nocna Straż Pociągu” oraz „Braterstwo Afrykanerów”. Ja także uważam ich działalność za bardzo niebezpieczną i godzącą w żywotne interesy kraju. A co pan o tym sądzi, pułkowniku?

— Tak się składa, pani Courteney, że zajmuję się szczegółowo badaniem tego zjawiska. I nie zgodzę się z panią, że owe tajne stowarzyszenia działają tylko wśród najniższych warstw społeczności afrykanerskiej. Wręcz przeciwnie. Członkostwo w nich jest zarezerwowane wyłącznie dla czystej krwi Afrykanerów, zajmujących wpływowe stanowiska w rządzie, kościele, szkolnictwie, robiących kariery polityczne. Niemniej zgadzam się z pani wnioskami. Działalność tych stowarzyszeń jest niebezpieczna, mało kto zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo niebezpieczna. Ich ostatecznym celem jest przejęcie pełnej kontroli nad wszystkimi dziedzinami naszego życia. Chcą zawładnąć nauczaniem młodzieży, aparatem sprawiedliwości, samym rządem. Co więcej, przy obsadzaniu stanowisk wartość kandydatów i ich kwalifikacje nie mają dla nich większego znaczenia, liczy się tylko członkostwo w ich organizacji. Pod wieloma względami ten ruch przypomina Niemiecką Partię Narodowosocjalistyczną pana Hitlera.

Centaine pochyliła się nad stołem, delektując się każdą nutą i tonacją jego głosu, zachęcając go do prowadzenia wywodu dociekliwymi pytaniami i ciętymi uwagami. „Tym głosem mógłby porwać nie tylko mnie, ale i milion wyborców” — pomyślała i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że zachowują się jakby byli przy stole sami. Natychmiast zwróciła się do Izabeli.

— Czy podziela pani zdanie męża, pani Malcomess? — spytała, na co Blaine zareagował pobłażliwym uśmiechem.

— Moja żona uważa politykę za coś niezwykle nudnego, prawda, kochanie? I wcale nie jestem pewien, czy osąd ten nie jest dowodem jej niebywalej przenikliwości. — Wyjął złoty zegarek z kieszonki smokingu.

— Już po północy. Kolacja była tak wspaniała, że nadużyliśmy pani gościnności.

— Masz rację, kochanie — poparła go skwapliwie Isabella, przyjmując z ulgą zapowiedź zakończenia wieczoru. — Tara nie czuła się najlepiej. Przed naszym wyjściem skarżyła się na ból brzuszka.

— Tara, mała złośnica, zawsze skarży się na ból brzuszka, kiedy wie, że mamy wyjść — roześmiał się, ale wszyscy wstali od stołu.

— Nie puszczę państwa bez lampki koniaku i cygara — zaprotestowała Centaine. — Ponieważ jednak nie godzę się z barbarzyńskim zwyczajem, nakazującym biednym kobietom zostawiać mężczyzn na czas korzystania z tych przyjemności samych, przejdziemy do saloniku wszyscy razem.

Ale kiedy wskazywała gościom miejsca, zbliżył się do niej zdenerwowany jeden z sekretarzy.

— Słucham, o co chodzi? — spytała rozdrażniona. Sekretarz wyciągnął szybko rękę z telegramem, podając go jej, jak nakaz własnej egzekucji.

— Od inżyniera Twentyman-Jonesa, proszę pani. Pilny.

Wzięła od niego pasek papieru, ale rozwinęła go dopiero wtedy, gdy upewniła się, że wszyscy dostali kawę i likiery, a Blaine i Abe długie, hawańskie cygara. Przeprosiła swoich gości i wyszła do sypialni.

*Do Juno. Zawiązał się komitet strajkowy pod przewodnictwem Gerharda Fouriego. W składzie wszyscy biali pracownicy. Stop. Odkrywka i zakłady pikietowane. Wysyłka towaru wstrzymana. Stop. Zdanie przywrócenia do pracy zwolnionych białych i zagwarantowania pracy wszystkim zatrudnionym. Stop. Proszę o instrukcje. Koniec. Vingt.*

Centaine ciężko opadła na łóżko. Papier w jej ręku zaszeleścił. Jeszcze nigdy w życiu nie była tak

wściekła. To podłość, ogromna, niewybaczalna zdrada! To jej kopalnia, jej diamenty! To ona płaci im pensje, ma absolutne prawo przyjmować i zwalniać kogo chce. „Towar”, o którym wspominał Twentymann-Jones, to partia diamentów stanowiąca o całym jej losie. Gdyby przychyliła się do żądań strajkujących, kopalnia stałaby się nierentowna. Zaczęła się zastanawiać, kto to jest ten Fourie, i przypomniała sobie nagle, że to szef kopalnianego transportu.

Podeszła do drzwi. Sekretarz czekał w korytarzu.

— Proszę poprosić do mnie pana Abrahamsa.

Kiedy Abe się zjawił, podała mu telegram.

— Nie mają prawa mi tego robić! — zawołała z gniewem, czekając niecierpliwie, aż skończy czytać.

— Niestety, Centaine, mają. Zgodnie z ustawą z roku 1924...

— Nie cytuj miu żadnych ustaw, Abe — przerwała mu ostro. — To banda bolszewików! Kąsają rękę, która ich karmi!

— Centaine, nie rób niczego pochopnie. Gdybyśmy musieli...

— Abe, każ natychmiast zdjąć z platformy daimlera i wyślij telegram do Twentymann-Jonesa.

Zawiadom go, że jadę i że do mojego przyjazdu me wolno mu się na nic zgodzić, iść na jakiegokolwiek ustępstwa.

— Wyjedziesz z samego rana?

— Wyjadę za pół godziny, jak tylko wyjdą moi goście i daimler znajdzie się na ziemi.

— Jest pierwsza w nocy... — Zobaczył wyraz jej twarzy i natychmiast porzucił myśl o wyperswadowaniu jej tego wyjazdu. — Zawiadomię obsługę pierwszej stacji przydrożnej, żeby cię oczekiwali.

— Powiedz tylko, żeby przygotowali paliwo. Nie mam zamiaru się tam zatrzymywać. Jadę prosto do kopalni. — Podeszła do drzwi, przystanęła na chwilę, żeby się uspokoić, i z uśmiechem wróciła do saloniku.

— Czy coś się stało, pani Courteney? — Jej uśmiech nie zwiódł Blaine’a Malcomessa. — Czy mogę być w czymś pomocny?

— Och, to nic takiego. Kłopoty w kopalni. Muszę natychmiast wracać.

— Chyba nie jeszcze dzisiaj?

— Niestety, jak najszybciej.

— Sama? — spytał zaniepokojony. Troska w jego głosie sprawiła jej wielką radość. — To długa, uciążliwa podróż.

— Wolę podróżować samotnie. Lub bardzo starannie dobrać sobie towarzyszy podróży. — Umilkła na chwilę, po czym ciągnęła dalej: — Część moich pracowników podjęła strajk. Nie mają po temu żadnych powodów, niczego na usprawiedliwienie takiego postępowania. Jestem pewna, że uda mi się ten strajk zażegnać. Zdarza się jednak, że w takich wypadkach sprawy wymykają się spod kontroli. Może dojść do aktów przemocy lub wandalizmu.

— Mogę pani zagwarantować pełną współpracę sił rządowych — zadeklarował pospiesznie Blaine. — Jeśli pani sobie tego zażyczy, natychmiast wyślę oddział policji dla utrzymania ładu i porządku.

— Dziękuję, pułkowniku, to bardzo miło z pana strony. Świadomość, że mogę na pana liczyć, dodaje mi sił i podnosi na duchu.

— Jutro z samego rana wydam odpowiednie rozporządzenia. Choć niestety oddział nie przybędzie wcześniej niż za kilka dni. — Znowu zachowywali się jakby byli sami. Rozmawiali cicho, przekazując sobie głosem więcej niż tylko same słowa.

— Kochanie, pani Courteney na pewno chciałaby się przygotować do podróży — odezwała się ze swego krzesła Izabela. Blaine Malcomess drgnął, jakby zupełnie o niej zapomniał.

— Tak, tak, oczywiście. Już wychodzimy.

Centaine odprowadziła ich wzdłuż peronu do miejsca, gdzie pod jedyną latarnią uliczną stał zaparkowany chevrolet Blaine'a. Szła obok wózka inwalidzkiego Izabeli.

— Spotkanie z panią, pani Malcomess, sprawiło mi prawdziwą przyjemność. Bardzo chciałabym poznać pani córeczki. Czy przywiezie je pani do Welteyreden podczas następnego pobytu w Cape Town?

— Nie bardzo wiem, kiedy to będzie — odmówiła grzecznie Isabella. — Na tym nowym stanowisku mój mąż będzie miał bardzo mało czasu.

Dotarli do oczekującego pojazdu, kierowca otworzył tylne drzwiczki, a Blaine podniósł Izabelę z wózka i usadził ją na obitym skórą siedzeniu. Zamknął ostrożnie drzwiczki i odwrócił się do Centaine. Stał plecami do żony, szofer ładował wózek do bagażnika. Na chwilę zostali sami.

— To dzielna i wspaniała kobieta — powiedział cicho, ujmując dłoń Centaine. — Kocham ją i nigdy jej nie opuszczę, ale pragnę... — Urwał; uścisk jego dłoni zaczął jej miażdżyć palce.

— Tak, ja także tego pragnę... — odparła równie cicho Centaine, rozkoszując się bólem, który jej zadawał. Zbyt szybko jak dla niej puścił jej rękę i przeszedł na drugą stronę samochodu. Centaine nachyliła się do okienka i kalekiej dziewczyny.

— Proszę pamiętać o zaproszeniu... — zaczęła, ale Izabela przysunęła nagle głowę do szyby, maska pięknej pogody opadła z jej twarzy i wyrzała spod niej panika i nienawiść.

— On jest mój, nigdy nie będziesz go miała! — szepnęła i równie szybko się wyprostowała. Blaine usiadł obok niej i ujął ją za rękę.

Chevrolet ruszył i odjechał z trzepotem proporca zarządcy prowincji na masce. Centaine stała pod latarnią i patrzyła za nim w ślad, dopóki światła reflektorów nie rozplynęły się w ciemności.

20

Lothar spał ze słuchawkami podsłuchu telegrafu przy uchu, toteż obudził go pierwszy brzęczyk przekazu. — Zapal świecę! — zawołał do Swarta Hendricka chwytając słuchawki. — Coś nadają, Hennie. O tej porze musi to być coś ważnego.

A mimo to nie od razu pojął wagę informacji, którą zapisał w swoim notesie: „...Komitet strajkowy pod przewodnictwem Gerharda Fouriego... W składzie wszyscy biali pracownicy...”

Wiadomość przesłana przez Twentynian-Jonesa wprawiła go w osłupienie.

— Gerhard Fourie... Na miłość boską, co ten drań kombinuje? — spytał na głos, po czym zerwał się z ziemi i chodząc nerwowo w kółko po miałkim piasku koryta rzeki zabrał się do rozgryzania tej zagadki.

— Strajk... Po co, u diabła, miałby urządzać strajk, i to właśnie w tej chwili? „Wysyłka towaru wstrzymana.” Tu musi chodzić o diamenty. Strajkujący nie chcą wypuścić diamentów z kopalni. — Stał jak wryty i rąbnął pięścią w otwartą dłoń. — Tak jest! O to właśnie chodzi! Urządził strajk, żeby wykręcić się z naszej umowy! Nie wytrzymał nerwowo, ale bał się, że go za to zabiją. I wykombinował sobie takie wyjście. Nie będzie z nami współdziałał. Wszystko stracone.

Ogarnęła go bezsilna, niepohamowana wściekłość.

— Tyle czasu, roboty i trudów! Tyle ryzyka! Kradzież koni! I wszystko na nic, wszystko stracone przez jednego tłustego...

Gdyby dostał teraz Fouriego w swoje ręce, zastrzeliliby go bez skrupułów.

— Baas! — zawołał podniesionym głosem Hendrick. — Szybko! Telegraf!

Lothar rzucił się biegiem do ziemianki i chwycił z ziemi słuchawki. Nadawał telegrafista

Courteney Miing and Finance Company z Windhoek.

*Do Vingta. Wracam natychmiast. Stop. Żadnych obietnic ani ustępstw. Stop. Uzbroić wszystkich lojalnych pracowników i chronić przed zastraszeniem. Stop. Zapewnić ich o mojej wdzięczności i czekającej nagrodzie. Zamknąć natychmiast kantynę. Wstrzymać sprzedaż żywności i zaopatrzenia. Stop. Odciąć dopływ wody i prądu do domów strajkujących. Stop. Zawiadomić komitet strajkowy, że oddział policji w drodze. Koniec. Juno.*

Pomimo wściekłości na Fouriego Lothar odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Ogarnął go zachwyty i podziw.

— Fourie i jego strajkujący me mają pojęcia z kim się mierzą! — ryknął. — Wielki Boże, wolałbym połaskotać za uchem rozżłoszczoną czarną mambę, niż wejść teraz w drogę Centaine Courteney. — Opanował się, przemyślał podsłuchane wiadomości i zwrócił się do Hendricka i Manfreda.

— Mam przecucie, że strajk, czy nie, te diamenty wyruszą w drogę do Windhoek. Ale nie sądzę, żeby to Fourie je wiozł swoją ciężarówką. Szczerze mówiąc, nie daję mu większych szans, żeby w ogóle jeszcze cokolwiek kiedykolwiek woził. Tak więc nie będziemy mieli sympatycznego, chętnego do współpracy strażnika, który by nam po prostu wręczył przesyłkę. Ale diamenty tędy przejadą, a my tu na nie zaczekamy.

Żółty daimler minął ich o jedenastej wieczorem następnego dnia. Lothar patrzył jak blask reflektorów stopniowo krystalizuje się w dwa snopy białego światła, które omiatają równinę w jego kierunku, znikają w szczelinie koryta rzeki, a potem strzelają niemal pionowo w bezksiężycową noc, gdy auto dotarło do drugiego brzegu i zaczęło się wspinać z powrotem na równinę. Pokonując stromy żleb silnik ryknął na niskim biegu, po czym zawył na wysokich obrotach i maszyna pomknęła na północny wschód w stronę kopalni H'ani.

Lothar zapalił zapalniczkę i spojrzał na zegarek.

— Powiedzmy, że wyjechała z Windhoek wkrótce po nadaniu telegramu... To znaczy, że dotarła tutaj w dwadzieścia dwie godziny. — Gwizdnął cicho. — W nocy i po tych drogach! Musiała jechać bez jednego postoju. Jeśli utrzyma to tempo, będzie w kopalni jutro przed południem. To po prostu niewiarygodne!

Z rozedrganego zarem mirażu w przodzie wyłoniły się błękitne wzgórza, ale tym razem Centaine nie była w stanie docenić magii tego widoku. Od trzydziestu dwóch godzin siedziała za kierownicą, zza której wstawała jedynie w czasie tankowania paliwa w przydrożnych zajazdach. Tylko raz pozwoliła sobie na krótki odpoczynek, zjechała z drogi i przespała się dwie godziny na tylnym siedzeniu.

Była u skrajnej fizycznej wytrzymałości. Zmęczenie odzywało się bólem w kościach, paliło w oczach jak kwas, ciążyło potwornym brzemieniem na ramionach i wciskało w skórzany fotel daimlera, jakby miała na sobie ciężką stalową kolczugę. Ale gotująca się w niej wściekłość mobilizowała ją do działania. Kiedy ujrzała w oddali lśniące w słońcu cynkowane dachy zabudowań kopalni, zmęczenie ustąpiło jak ręką odjął.

Zatrzymawszy samochód wysiadła na chwilę, żeby rozprostować nogi i ręce, kilkoma energicznymi wymachami ramion pobudzić krążenie krwi. Potem przekręciła wsteczne lusterko i przyjrzała się uważnie swojej twarzy. Powieki miała zaczerwienione, oczy przekrwione, a w ich kąciakach zebrały się wilgotne kulki czarnego od kurzu śluzu. Była trupio blada, całą twarz bielił jej srebrnoszary pustynny pył.

Zmoczyła chusteczkę zimną wodą z brezentowego worka, obmyła skórę z kurzu, a potem wyjęła z

kosmetyczki buteleczkę płynu do przemywania oraz mały niebieski kieliszek i starannie wypłukała oczy. Kiedy ponownie spojrzała w lusterko, znów były czyste, jasne i lśniące. Następnie energicznym poklepywaniem przywróciła kolory bladym policzkom, otrzepała chustkę, zawiązała ją z powrotem na głowie i zdjęła długi, biały płaszcz chroniący przed kurzem. Tych kilka prostych zabiegów sprawiło, że wyglądała na odświeżoną i wypoczętą. Teraz mogła stawić czoło przeciwnikom.

Na rogach uliczek stały grupki kobiet i dzieci. Patrzyły przygnębione i zaniepokojone, jak przejeżdża obok nich w drodze do budynku zarządu. Prowadziła samochód sztywno wyprostowana, ze wzrokiem wbitym nieruchomo przed siebie.

Zbliżając się do biura spostrzegła, że pikietujący je górnicy, rozparci do tej pory nonszalancko w cieniu drzewa przed bramą, szybko zajmują pozycje. Było ich co najmniej dwudziestu, musieli się tu zebrać prawie wszyscy sprawni fizycznie biali pracownicy kopalni. Stanęli przodem do niej w poprzek drogi i chwycili się pod ręce. Ich zacięte twarze przybrały groźny wyraz.

— Nic nie wjedzie, nic nie wyjedzie! — zaczęli skandować, kiedy zwołniła. Większość uzbrojona była w palki i trzonki od kilofów.

Nacisnęła dłońią klakson, aż wielki daimler ryknął jak ranny słoń, po czym kierując się dokładnie w środek linii pikietujących, raptownym ruchem wcisnęła do deski pedał gazu. Kiedy strajkujący górnicy ujrzeli przez przednią szybę jej twarz, uświadomili sobie, że nie zawaha się ich przejechać. W ostatniej chwili odskoczyli na obie strony.

— Chcemy pracy! — wrzasnął jeden z nich, zamachnął się trzonkiem kilofa i rąbnął w tylną szybę. Szkło pękło promieniście i zasypało skórzane siedzenie, ale Centaine była już po drugiej stronie blokady.

Kiedy zahamowała przed werandą, z biura wybiegł Twentymann-Jones, wciągając w biegu marynarkę i poprawiając krawat.

— Nie spodziewaliśmy się pani wcześniej niż jutro rano!

— Pańscy przyjaciele się mnie spodziewali — odparła głosem łamiącym się z oburzenia i wskazała ręką wybitą szybę.

— Zaatakowali panią?! To niewybaczalne!

— Zgadza się — powiedziała. — Ja na pewno nikomu wybaczać nie będę.

Twentymann-Jones miał na chudym biodrze wielki służbowy rewolwer. Zza pleców doktora wyłonił się mały Brantingham, księgowy kopalni, o głowie łysej jak strusie jajo i o wiele za dużej w stosunku do wąskich, zwieszonych ramion. Widać było, że lada chwila gotów się rozpląkać, lecz mimo to trzymał w oku swój monokl w złotej oprawce, a w pulchnych białych rękach dubeltówkę.

— Jest pan dzielnym człowiekiem — pochwaliła go Centaine. — Nie zapomnę panu dochowania wierności.

Przeszła przodem do swego gabinetu i usiadła z ulgą za biurkiem.

— Ilu jeszcze mamy ludzi?

— Tylko pracowników biura, razem osiem osób. Wszyscy z kopalni przyłączyli się do strajku, choć podejrzewam, że wielu z nich pod presją.

— Nawet Rogers i Maclear? — Byli to dwaj najwyżsi rangą pracownicy dozoru. — Oni także?

— Niestety. Obaj weszli w skład komitetu strajkowego.

— Z Fouriem?

— Ci trzej są głównymi przewodnikami.

— Proszę dopilnować, żeby żaden z nich nigdy więcej nie został u mnie zatrudniony.

Twentymann-Jones spuścił oczy.

— Chyba powinniśmy pamiętać — wymamrotał — że to, co robią, nie jest przestępstwem. Mają



prawo powstrzymać się od pracy i zbiorowo targować się o...

— Ale nie wtedy, gdy ja rozpaczliwie walczę, by uratować kopalnię przed zamknięciem. Nie wtedy, gdy robię co mogę, żeby przynajmniej część z nich miała zarobek. Nie po tym wszystkim, co mi zawdzięczają.

— Obawiam się, że mimo wszystko prawo stoi po ich stronie — obstawał przy swoim Twentymann-Jones.

— A po czyjej stronie stoi pan, panie Twentymann-Jones?

Spojrzał na nią wstrząśnięty.

— Chyba nie musi pani o to pytać — odparł. — Od pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy, jestem pani człowiekiem. Dobrze pani o tym wie. Podnoszę tylko prawną stronę obecnej sytuacji.

Centaine zerwała się skruszona z za biurka i wyciągnęła do niego rękę przeproszającym gestem.

— Niech mi pan wybaczy. Jestem wykończona i nie panuję nad sobą. — Wstała za szybko i krew odpłynęła jej z głowy. Zbiadła przeraźliwie i zachwiała się, jakby miała zemdleć. Twentymann-Jones chwycił ją za ramiona i podtrzymał.

— Kiedy ostatni raz pani spała? Przebyła pani całą drogę z Windhoek bez jednego odpoczynku. — Podprowadził ją do skórzanej kanapy i łagodnie lecz stanowczo zmusił, by się na niej położyła.

— Musi się pani trochę przespać, co najmniej osiem godzin. Każę przynieść z bungalowu czystą zmianę ubrania.

— Przede wszystkim muszę się rozmówić z prowodyrami.

— Nie — potrząsnął głową, zaciągając zasłony. — Nie wcześniej niż pani wypocznie i odzyska siły. W przeciwnym razie zmęczenie mogłoby podsunąć pani błędne rozwiązania.

Opadła na kanapę i przycisnęła palcami zamknięte powieki.

— Ma pan rację, jak zawsze.

— Obudzę panią o szóstej i zawiadomię komitet, że przyjmie ich pani o ósmej. To nam da dwie godziny na opracowanie strategii działania.

Kiedy trzech członkowie komitetu strajkowego weszli do gabinetu, Centaine przez pełne trzy minuty mierzyła ich bez słowa wzrokiem. Z premedytacją kazała usunąć z pokoju wszystkie krzesła poza tymi, na których siedział Twentymann-Jones i ona sama. Strajkujący musieli stać przed nią jak uczniacy przed dyrektorką szkoły.

— W chwili obecnej jest w tym kraju sto tysięcy bezrobotnych — rozpoczęła bezznamętnym głosem. — I każdy z nich padłby na kolana w podzięcie za waszą pracę.

— Takim pieprzeniem nic pani nie wskóra — odparł Maclear. Był to szary, niepozorny człowiek średniego wzrostu i w trudnym do określenia wieku, ale Centaine wiedziała, że jest bystry, pomysłowy i nieustępliwy. Wolałaby go mieć po swojej stronie niż przeciwko sobie.

— Jeśli ma pan zamiar używać w mojej obecności takiego języka, panie Maclear, to może pan natychmiast opuścić ten pokój.

— To także na nic się nie zda, pani Courteney. — Uśmiechnął się smutno, wyrażając tym uznanie dla jej charakteru. — Zna pani nasze prawa i my także je znamy.

Centaine przeniosła wzrok na Rodgersa.

— Jak się miewa pańska żona? — spytała.

Przed rokiem opłaciła tej kobiecie podróż do Johannesburga i leczenie u jednego z najlepszych chirurgów w kraju. Rodgers pojechał z nią na koszt kopalni i przez cały czas otrzymywał pensję tak, jakby pracował.

— Dobrze, pani Courteney — odparł cicho zawstydzony Rodgers.

— Co ona sądzi o tym waszym nedorzecznym zachowaniu? — Nadzorca spuścił głowę i wbił

wzrok we własne stopy. — To bardzo rozsądna kobieta — ciągnęła Centaine. — Przypuszczam, że martwi się o trójkę waszych dzieci.

— Stoimy murem — wtrącił się nerwowo Fourie. — Popieramy się nawzajem, a kobiety są z nami. Może pani dać sobie spokój z tym..

— Panie Fourie, proszę nie przerywać, kiedy ja mówię.

— Odgrywanie roli wyniosłej damy, która zniża się do rozmowy z nami, donikąd pani nie zaprowadzi — wybuchnął Fourie. — Mamy pani kopalnię i pani pieprzone diamenty, jest pani zdana na naszą łaskę. To pani ma słuchać, kiedy my mówimy. Taka jest naga prawda. — Zrobił buńczuczną minę i spojrzał na swych kompanów szukając u nich poparcia. Tą miną udało mu się pokryć narastający strach. Przed oczami stał mu Lothar De La Rey, w uszach dźwięczała jego groźba. Wiedział, że jeśli nie wywiąże się ze swego zobowiązania i nie dostarczy odpowiednio ważkiego argumentu na swoje wytłumaczenie, to już teraz może się uważać za trupa. Musiał judzić do strajku, zaotrząć sytuację dotąd, aż ktoś inny wywiezie diamenty i stworzy mu okazję do wykręcenia się sianem. — Nawet jeden pieprzony diament nie wyjedzie z tej kopalni, póki na to nie pozwolimy. Zatrzymujemy je jako zastaw. Wiemy, że ma ich tu pani w skarbcu cały pękaty worek. I poleżą tam sobie, dopóki nie wysłucha pani, co mamy do powiedzenia. — Wystarczająco znał się na ludziach, żeby wiedzieć, jak właścicielka kopalni zareaguje na tę groźbę.

Centaine przyjrzała mu się uważniej. W jego słowach dźwięczała jakaś fałszywa nuta, wyczuwało się w nich nieszczerłość i krętactwo. Zachowywał się zbyt agresywnie i prowokująco. Zupełnie jakby to robił z rozmysłem.

— W porządku — powiedziała spokojnie. — Zatem słucham. Co macie mi do powiedzenia?

Fourie odczytał listę żądań, a ona siedziała nieruchomo, z twarzą bez wyrazu. Jedynymi oznakami zdradzającymi Twentymann-Jonesowi gotującą się w niej wściekłość było delikatne zaróżowienie szyi i miarowe, rytmiczne stukanie nogą w drewnianą podłogę.

Kiedy Fourie dobrnął do końca listy, zapadło długie, ciężkie milczenie. Żeby je przerwać, podał Centaine kartkę.

— To jest kopia dla pani.

— Proszę to położyć na biurku — poleciała, wzdragając się przed dotknięciem pisma. — Pracownicy zwolnieni z kopalni w zeszłym miesiącu otrzymali odpłatę równą trzymiesięcznej płacy — powiedziała. — Trzy razy więcej, niż im się należało, dobrze o tym wiecie. Wiecie także, że wszystkim wystawiono jak najlepsze referencje.

— To nasi koledzy — odparł z uporem Fourie. — Wielu z nich to także nasi bliźsi lub dalsi krewni.

— No dobrze — skinęła głową i wstała zza biurka. — Przedstawiliście swoje stanowisko zupełnie jasno. Możecie już odejść.

Popatrzyli po sobie zbici z tropu.

— Nie da nam pani odpowiedzi? — spytał Maclear.

— W końcu tak.

— A kiedy to będzie?

— Wtedy, kiedy będę gotowa.

Ruszyli jeden za drugim do drzwi, ale nim do nich dotarli, Maclear odwrócił się i rzucił buntowniczo:

— Zamknęli kantinę, odcięli dopływ wody i prądu do naszych domów.

— Na moje polecenie — potwierdziła spokojnie.

— Nie wolno pani tego robić.

— A to dlaczego? Kantyna, generator, pompownia i domki — wszystko to jest moją własnością.

— Mamy żony i dzieci do nakarmienia.

— Trzeba było o tym pomyśleć, zanim wywołaliście ten strajk.

— Możemy sobie sami wziąć to czego nam potrzeba. Możemy nawet dobrać się do pani diamentów. Nikt nie zdoła nam w tym przeszkodzić.

— Zróbcie to — zachęciła. — Nic mnie tak nie uszczęśliwi. Włamcie się do kantyny i ją obrabujcie, wysadźcie dynamitem drzwi skarbcza i zabierzcie diamenty. Dokonajcie napaści na wiernych mi pracowników. Nic nie sprawi mi większej przyjemności niż wiadomość, że skazano was na dożywocie albo że dyndacie na szubiennicy.

Kiedy zostali sami, odwróciła się szybko do Twentyman-Jonesa.

— On ma rację. Przede wszystkim trzeba zatroszczyć się o diamenty. Muszę jakoś bezpiecznie dostarczyć je do banku w Windhoek.

— Możemy je odesłać pod eskortą policji — zgodził się Twentyman-Jones, ale Cantaine pokręciła głową.

— Dotarcie tutaj może zająć policji z pięć dni. Rozkaz wymarszu musi przebyć długą biurokratyczną drogę. Nie, diamenty muszą zniknąć stąd jeszcze przed świtem. Wie pan, że ubezpieczenie nie obejmuje zamieszek, strajków i niepokoju społecznego. Jeśli coś się z nimi stanie, inżynierze, będę zrujnowana. Całe moje życie zależy od tych kamieni. Nie mogę dopuścić, by wpadły w ręce tych ciemnych, tępych brutalów.

— Proszę zdradzić, co pani zamierza.

— Niech pan każe odstawić daimlera do warsztatów na zapleczu budynku, przejrzeć go i zatankować. Wyniosę diamenty przez tylne drzwi. — Wskazała ręką na przeciwległą ścianę gabinetu, w której znajdowały się ukryte drzwi. Korzystała z nich czasami, kiedy chciała niepostrzeżenie wejść do biura lub się z niego wymknąć. — O północy, kiedy ich wartownicy się pośpią, przetnie pan druty płotu dokładnie na wprost drzwi warsztatów.

— W porządku. — Zaczynał się domyślać do czego zmierza. — To nas wyprowadzi na uliczkę do wywozu śmieci. Strajkujący ustawili wartowników przy głównej bramie po przeciwnej stronie zabudowań. Od tyłu nie ma nikogo. Po wydostaniu się z uliczki zostanie nam tylko prosty odcinek do drogi do Windhoek. Pokonanie go to kwestia kilku sekund.

— Nie „nam”, inżynierze — sprostowała spokojnie.

Spojrzał na nią osłupiałym wzrokiem.

— Chyba nie ma pani zamiaru jechać sama?!

— Przecież dopiero co przebyłam tę drogę właśnie sama, szybko i bez najmniejszych kłopotów. Nie przewiduję ich także w drodze powrotnej. Potrzebuję pana tutaj. Dobrze pan wie, że nie mogę zostawić kopalni pod opieką Brantinghama ani żadnego z pracowników zarządu. Musi pan zostać i trzymać rękę na pulsie. Bez pana mogliby wysadzić w powietrze odkrywkę albo dokonać sabotażu w którymś z zakładów. Wystarczy kilka lasek dynamitu.

Przetarł twarz dłonią od czoła po podbródek, rozdarty koniecznością dokonania wyboru między spełnieniem dwóch powinności: względem kopalni, którą zbudował własnymi rękoma i która była jego dumą i chlubą, i względem kobiety drogiej mu jak córka lub żona, których nigdy nie miał. W końcu westchnął ciężko. Miała rację. Trzeba to było zrobić tak, jak mówiła.

— W takim razie niech pani przynajmniej zabierze ze sobą kogoś z naszych ludzi — powiedział błagalnie.

— A niby kogo? Może Brantinghama? — spytała unosząc brwi.

Uświadomiwszy sobie całą absurdalność tego pomysłu, Twentyman-Jones podniósł ręce w

geście kapitulacji.

— Sam przeprowadzę daimlera na tył, do warsztatów — powiedział. — Potem nadam telegram do Abego, to znaczy jeśli jeszcze nie przecięli linii, żeby natychmiast wysłali pani na spotkanie silną eskortę.

— Dobrze, ale dopiero wtedy, kiedy się stąd wydostanę. Ten Fourie mógł mieć dość rozumu, żeby założyć podsłuch na linii. Pewnie dlatego właśnie nie przecięli jeszcze przewodów.

— Zgoda. O której zamierza pani wyjechać?

— O trzeciej rano — odparła bez namysłu Centaine. — O tej godzinie reakcje ludzkie są najbardziej spowolnione. Właśnie wtedy najłatwiej będzie zaskoczyć wartę przy bramie.

— A więc dobrze, pani Courteney. Każę kucharce przygotować pani lekką kolację i proponuję, żeby potem się pani przespała. Dopilnuję wszystkich przygotowań i obudzę panią o drugiej trzydzieści.

Obudziła się na pierwsze dotknięcie i usiadła wyprostowana na łożku.

— Wpół do trzeciej — powiedział półgłosem Twentymann-Jones — Daimler ma pełny bak, diamenty załadowane, płot przecięty. Przygotowałem pani kąpiel, a tu jest zmiana czystej odzieży z bungalowu.

— Za piętnaście minut będę gotowa.

Stanęli przy samochodzie w ciemnym garażu, zniżyli głos do szeptu. Podwójne drzwi były otwarte na oścież, podwórze rozjaśniał sierp księżyca.

— Oznakowałem dziurę w płocie — wskazał ręką Twentymann-Jones. W odległości pięćdziesięciu metrów majaczyły na kolczastym drucie kawałki białego płótna.

— Pojemnik z diamentami przemysłowymi jest w bagażniku, a kasetka z kamieniami jubilerskimi na siedzeniu obok kierowcy. — Wsunął rękę przez otwarte okienko i poklepał czarne pudełko. Miało wielkość i kształt małej walizki, ale wykonano je z lakierowanej stali i opatrzone w patentowy zamek.

— Dobrze. — Centaine zapięła płaszcz chroniący przed kurzem i naciągnęła miękkie giemzowe rękawiczki.

— Strzelba jest załadowana drobnym śrutem, więc może pani strzelać do każdego, kto próbowałby panią zatrzymać, nie ryzykując popełnienia morderstwa. Tylko go porządnie zapiecze. Gdyby jednak sprawa była poważna, w schowku na rękawiczki jest pudełko naboju z dużo grubszym śrutem.

Centaine wsunęła się za kierownicę i ostrożnie zamknęła drzwiczki, by w nocnej ciszy nie zaalarmować nikogo ich trzaśnięciem. Położyła dubeltówkę na kasecie z diamentami i odciągnęła oba kurki.

— W bagażniku jest koszyk z kanapkami i termos kawy.

Spojrzała na niego przez uchylone boczne okienko i powiedziała poważnie:

— Jest pan moją podporą i opoką.

— Niech pani na siebie uważa, nie da sobie zrobić jakiegóż krzywdy. Do diabła z diamentami, możemy ich nakopać dwa, trzy razy tyle. To pani jest tylko jedna, неповtarzalna i niezastąpiona. — Pod wpływem impulsu odpiął od pasa służbowy rewolwer, pochylił się i wepchnął go do kieszeni na oparciu fotela kierowcy. — To jedyne zabezpieczenie, jakie mogę pani ofiarować. Proszę pamiętać, że w komorze jest pełny nabój. Modlę się, żeby nie okazał się pani potrzebny. — Cofnął się o krok i skinął energicznie głową. — Niech Bóg panią prowadzi!

Uruchomiła samochód, a kiedy wielki, siedmiolitrowy silnik zamruczał cicho, zwolniła ręczny hamulec, włączyła światła, wcisnęła pedał gazu i wyprysnęła przez podwójne drzwi, zmieniając

biegi z wprawą rajdowca.

Poprowadziła samochód między skrawki białego płótna i przemknęła przez dziurę w płocie z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, słysząc jak luźny kawałek kolczastego drutu drapie ze zgrzytem karoserię. W tej samej chwili nadepnęła na hamulec, rzuciła kierownicą w bok, a kiedy auto weszło w poślizg i skręciło w uliczkę do wywozu śmieci, znów wcisnęła do deski pedał gazu. Daimler runął z rykiem przed siebie.

Poprzez dudnienie silnika dobiegły ją odległe krzyki, ujrzała ciemne, niewyraźne sylwetki wartowników pędzących wzdłuż płotu od głównej bramy, by zabiec jej drogę. Chwyciła jedną ręką dubeltówkę i wysunęła przez okienko jej podwójną lufę. W światłach reflektorów wykrzywione wściekłością twarze biegnących wydawały się odrażające, otwarte do krzyku usta ziały w nich jak czarne czeluście.

Dwóch najszybszych wyprzedziło resztę i dopadło rogu uliczki równo z daimlerem. Pierwszy cisnął trzonkiem od kilofa, który wirując przeciął powietrze, błysnął w światłach reflektorów i z głośnym brzękiem odbił się od maski.

Centaine zniżyła strzelbę, wycelowała w nogi i nacisnęła oba spusty naraz. Ciemność nocy rozdarły pomarańczowe błyski ognia i huk wystrzału. Śrut sieknął obu napastników po łydkach i udach.

Krzycząc ze strachu i bólu sturlali się w bok, Centaine przemknęła z rykiem silnika obok nich, skręciła na drogę do Windhoek i chwilę później rozplynęła się w zalegającej pustyni nocy.

*Do Kauzyperdy. Pilne. Juno wyruszyła stąd punkt ualnie o trzeciej. Stop. Wiezie ze sobą towar. Stop. Podróżuje sama powtarzam sama. Stop. Natychmiast wysłać jej na spotkanie uzbrojoną eskortę. Koniec.*

*Vingt.*

Lothar De La Rey wpatrywał się z osłupieniem w wiadomość, którą zapisał w swym notesie przy drżącym płomieniu świecy.

— Sama — szepnął. — „Sama powtarzam sama. Więżcie towar.” Boże Wszechmogący, jedzie z diamentami bez żadnej obstawy. Dokonał w pamięci szybkich obliczeń. — Wyjechała z kopalni o trzeciej, więc tędy przejedzie mniej więcej o pierwszej w południe.

Wypełzył z ziemianki, wdrapał się na brzeg, wyszukał sobie miejsce i zapalił jedno z przechowywanych jak największy skarb cygar. Przesunął wzrokiem po niebie i zapatrzył się w sierp księżycy, pogrążający się powoli w pustyni. Kiedy brzask powlókł wschodni horyzont barwami pawiego ogona, wrócił do obozowiska i rozdmuchał żar w ognisku.

Z ziemianki wyłonił się Swart Hendrick i rozespany odszedł na bok oddać hałaśliwie mocz na piasek. Wrócił do ogniska zapinając spodnie, ziewnął szeroko i pociągnął nosem czując zapach kawy.

— Zmieniamy plan — poinformował go Lothar.

Hendrick zamrugnął i na jego twarzy natychmiast pojawił się wyraz czujności.

— Dlaczego? — spytał podejrziwie.

— Diamenty wiezie ta kobieta. Sama Nie odda nam ich łatwo, a ja nie chciałbym, żeby stała się jej jakaś krzywda.

— Przecież ja nigdy...

— Nie gadaj głupot! — przerwał mu obcesowo Lothar. — Kiedy cię poniesie, nie patrzysz, tylko strzelasz. Ale to nie jedyny powód. — Rozstawił palce i zaczął wyliczać resztę. — Po pierwsze, do jednej kobiety nie potrzeba więcej niż jednego mężczyzny. Jest dość czasu. Przewiążę liny tak, żebym ze swojego miejsca mógł za jednym pociągnięciem zasypać przejazd głazami z obu stron. Po

drugie, ta kobieta cię zna, co podwaja ryzyko, że nas rozpozna. Po trzecie... — Urwał. Prawdziwym i jedynym powodem było to, że chciał znów znaleźć się sam na sam z Centaine. Po raz ostatni. Już nigdy w życiu nie powróci w te strony. — Po trzecie, zrobimy, jak mówię, bo ja tak mówię. Zostaniesz tu z Manfredem i końmi. Przygotuj wszystko, żebyśmy mogli wyruszyć natychmiast, jak tylko wykonam robotę.

Hendrick wzruszył ramionami.

— Pomogę ci przewiązać te liny — mruknął.

21

Centaine zatrzymała samochód u wjazdu do żlebu i nie wyłączając silnika wskoczyła na maskę, żeby zbadać przeprawę przez koryto wyschłej rzeki.

Ślady, które zostawiła jadąc do kopalni, wciąż jeszcze rysowały się ostro i wyraźnie na cytrynowym piasku. Od poprzedniej nocy nikt tędy nie przejeżdżał. Zdjęła brezentowy worek na wodę, wypila trzy łyki, zakorkowała go i umocowała z powrotem we wnęce na zapasowe koło, po czym zasiadła za kierownicą, zatrzaskała drzwiczki i zwolniła ręczny hamulec.

Daimler potoczył się w dół szybko nabierając prędkości, gdy raptem ziemia na wprost niej drgnęła i wirujący kłęb pyłu zasnuł całą szerokość zjazdu. Instynktownie nacisnęła hamulec. Zbocze żlebu osunęło się po jednej stronie i niemal całkowicie zablokowało przejazd zwałami ziemi i skał.

— Merde! — zaklęła.

Musiała usunąć przeszkodę lub znaleźć inne miejsce, w którym dałoby się przeprowadzić na drugą stronę wąwozu rzeki, a to oznaczało znaczną zwłokę. Wrzuciła wsteczny bieg i odwróciwszy się w fotelu spojrzała przez wybitą tylną szybę z zamiarem wycofania się ze żlebu — i nagle poczuła ukłucie niepokoją.

Zbocze osunęło się także za samochodem, przegradzając żleb gładkim wałem mialkiego piasku. Znalazła się w potrzasku. Wystawiła głowę przez otwarte okienko i rozejrzała się niespokojnie, krztusząc się kurzem, którego kłęby nadal wirowały wokół auta.

Kiedy pył opadł, stwierdziła, że osuwisko z przodu tylko częściowo zablokowało drogę. Pod przeciwległym zboczem pozostała wąska szczelina, zbyt mała, by przecisnął się przez nią ogromny daimler, ale w bagażniku na dachu miała łopatę. Kilka godzin pracy w palącym słońcu powinno wystarczyć, by auto mogło przejechać. Zirytowana nieoczekiwaną zwłoką sięgnęła do klaniki drzwiczek, ale nagle ogarnęło ją przeczucie niebezpieczeństwa. Cofnęła rękę i podniosła wzrok.

Na krawędzi żlebu stał jakiś człowiek i patrzył na nią z góry. Jego długie buty z cholewami, znajdujące się na poziomie jej oczu, były mocno zdarte i ubielone kurzem, na niebieskiej koszuli ciemniały duże plamy potu. Mężczyzna był wysoki, szczupły i żyłasty, miał w sobie coś z zahartowanego w bojach żołnierza czy może myśliwego. Ale nie to ją przeraziło, tylko maska na twarzy i strzelba, którą trzymał na biodrze — wycelowana prosto w nią.

Maska zrobiona była z worka po mące. Wciąż jeszcze dawało się odczytać czerwono-niebieski napis: „Premier Milling Co. Ltd.” Ale dwie dziury na oczy nadawały temu opakowaniu po niewinnym artykule spożywczym złowieszczy wygląd. Maska i strzelba jasno zdradzały, czego powinna się spodziewać.

Kiedy skamieniała w beżruchu wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w nieznanego, przez głowę przemknęło jej kilka myśli.

„Diamenty są nieubezpieczone.” Ta myśl wybijała się przed wszystkie inne. „Następny zajazd jest czterdzieści mil stąd. Zapomniałam nabić dubeltówkę. Wystrzeliłam oba naboje.”

— Wyłącz silnik! — polecił bandyta. Maska tłumiała jego głos, lecz mimo to słyhać było wyraźnie, że go dla niepoznaki zmienia. — Wysiadaj! — ruchem strzelby podkreślił swój rozkaz.

Wysiadła powoli z samochodu i rozejrzała się rozpaczliwie wokół. Panika i przerażenie już ją opuściły, wyparte przez potrzebę myślenia i działania. Jej wzrok przykuła wąska szczelina na wprost niej, między osuwiskiem świeżej ziemi i twardą, stromą ścianą żlebu.

„Przejadę, w każdym razie mogę spróbować” — pomyślała i jednym skokiem znalazła się znów za kierownicą.

— Stój! — ryknął zamaskowany mężczyzna, ale silnik daimlera dudnił już na pierwszym biegu.

Spod tylnych kół wystrzeliły dwie fontanny drobniutkiego żółtego piasku, samochód skoczył do przodu i choć zarzucało go mocno na boki, błyskawicznie nabierał szybkości. Centaine wycelowwała znaczek na masce prosto w środek wąskiej szczeliny między ścianą żlebu a zwałem świeżej ziemi i kamieni.

Usłyszała, że mężczyzna krzyczy coś jeszcze, potem rozległ się strzał ostrzegawczy i kula zrykoszetowała o dach samochodu, ale ona na nic nie zważając skupiła się na wyprowadzeniu daimlera z pułapki.

Wjechała zewnętrznymi kołami tak wysoko na zbocze żlebu, że samochód niemal stanął na boku i w każdej chwili groził przekoziołkowaniem przez dach, ale w dalszym ciągu nabierał szybkości. Rzucalo nim i trzęsło tak, że tylko kurczowe uczipienie się kierownicy pozwoliło Centaine utrzymać się w fotelu. Jechała już praktycznie pionowo na dwóch kołach.

Wszystko na próżno — szczelina okazała się za wąska. Dolne koła zawadziły o zwał ziemi i skał, daimler stanął dęba i wyskoczył do przodu i w górę niczym wyścigowy koń przez przeszkodę. Impet uderzenia cisnął Centaine na przednią szybę, ale zdążyła zaprzeć się o nią jedną ręką, drugą nie puszczając kierownicy.

Ładowaniu towarzyszył ogłuszający huk, Centaine przeleciała do tyłu i rąbnęła plecami o oparcie skórzanego fotela. Poczula, jak jakiś głaz uderza bezlitośnie w podwozie auta, jak bokser zadający potworny cios w brzuch, tylne koła z przeraźliwym piskiem zabuksowały na stercie kamieni, nie mogąc znaleźć stałego podparcia, po czym nagle odzyskały przyczepność i daimler raz jeszcze poszybował do przodu.

Spadł po drugiej stronie blokady z twardym, niepokojącym łoskotem. Centaine usłyszała, jak coś pęka, jeden z drążków kierowniczych zachrobotał zgrzytliwie i kierownica bez oporu zawirowała jej w dłoniach. Samochód przebił się przez przeszkodę, ale doznał przy tym śmiertelnej rany i wyłamał się zupełnie spod kontroli. Koła nie reagowały na skręty kierownicy, a linka gazu zerwała się i zablokowała silnik na najwyższych obrotach.

Centaine krzyknęła przeraźliwie i z całych sił przywarła do deski rozdzielczej. Daimler pędził żlebem w dół w stronę koryta rzeki rzucany od ściany do ściany, a każde uderzenie wgniatało i darło blachę karoserii. Oderwała ręce, próbując rozpaczliwie dosięgnąć kluczyka w stacyjce, ale szybkościomierz wskazywał pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i kolejne zderzenie ze ścianą żlebu odrzuciło ją na siedzenie dla pasażera. Róg stalowej kasety z diamentami wbił jej się w zębra, lecz już w następnej chwili poszybowała w przeciwną stronę.

Dokładnie w momencie, gdy samochód wypadł na dno koryta rzeki, drzwiczki po stronie kierowcy odskoczyły na całą szerokość i Centaine została wyrzucona na zewnątrz. Instynktownie zwinęła się w kłębek, jak przy upadku z galopującego konia, przekoziołkowała kilka razy po miękkim białym piasku i wreszcie zatrzymała się na kłęczkach.

Daimler gnał w poprzek koryta rzeki, silnik ryczał na najwyższych obrotach, w jednym z przednich kół, uszkodzonym na skałach zapory, nie było powietrza. Podskakiwał i chwiał się na boki jak dzikie zwierzę, aż wreszcie uderzył w przeciwległy stok. Zderzak zarył w ziemię, pracujący pełną mocą silnik wyrzucił w górę tylne koła i cały samochód przekoziołkował na dach. Wycelowane

w niebo trzy sprawne koła zawirowały szaleńczo, szyby w oknach popękały gwiazdźście, kabina spłaszczyła się i wgięła do środka, a spod maski trysnęła struga gorącego oleju, wsiąkającego szybko w piasek.

Centaine zerwała się z ziemi i rzuciła biegiem za samochodem. Piasek czepiał jej się do nóg, przy każdym kroku zapadała się po kostki. Na skutek przerażenia wydawało jej się, że stoi w miejscu, czuła się tak, jakby brnęła przez kadz melasy, jakby śniła jeden ze swych koszmarnych snów, w którym wszystko odbywało się w zwolnionym tempie.

Nie odważyła się obejrzeć. Zamaskowany napastnik musiał być tuż, tuż. Skuliła się w sobie w oczekiwaniu, że lada chwila poczuje na ramieniu jego rękę albo usłyszy za plecami huk wystrzału, ale udało jej się dotrzeć samochodu i paść na kolana po stronie kierowcy.

Drzwiczki były wyrwane, wpełzła na czworakach do wnętrza auta. Strzelba zaklinowała się pod kolumną kierownicy, zdołała jednak ją wyciągnąć, a potem jednym szarpnięciem otworzyła schowek pod deską rozdzielczą. Kartonowe pudełko nabojów było jaskrawoczerwone, na jego wieczku widniał czarny napis: „Eley Kynoch, kaliber 12, 25 sztuk”. Szarpnęła nerwowo wieczko, pudełko rozerwało się i czerwone naboje z mosiężnymi czubkami rozsypały się wokół jej kolan.

Zwolniła kciukiem blokadę zamka i złamała strzelbę. Dwie puste łuski po śrucie na ptaki wypadły na ziemi i w tej samej chwili wyrwano jej broń z ręki.

Podniósłszy powoli wzrok ujrzała stojącego nad nią zamaskowanego mężczyznę — żeby w takim tempie zbiec ze zbocza i pokonać koryto rzeki musiał pędzić jak polujący lampart. Wziął zamach i z całej siły odrzucił nie nabitą strzelbę, aż wirując poszybowała na odległość piętnastu metrów. Ale od siły rzutu mężczyzna stracił na ułamek chwili równowagę. Centaine bez namysłu poderwała się z kolan i całym ciężarem ciała rąbnęła go w pierś, mierzając głową tuż onieź uniesionej lewej ręki, którą cisnął dubeltówkę.

Było to tak nieoczekiwane, że napastnik zachwiał się, runął na plecy i oboje poturlali się po piasku. Gdy w pewnej chwili Centaine znalazła się na wierzchu, udało jej się wyrwać, skoczyć na równe nogi i rzucić z powrotem w stronę samochodu. Silnik nadal ryczał ogłuszająco, wyciek oleju był już tak duży, że tłoki i cylindry zaczęły się zacierać, a spod maski buchały kłęby niebieskiego dymu.

Rewolwer! Chwyciła klamkę tylnych drzwiczek i szarpnęła z całej siły. Przez szybę widziała skórzaną kaburę i kratkowaną kolbę służbowego rewolweru Twentymana-Jonesa wystające z kieszeni za siedzeniem kierowcy, ale zamek się zablokował.

Rzuciwszy się do przednich drzwiczek, padła na czworaka i wpełzła do połowy do środka, próbując dosięgnąć rewolweru od przodu, ponad oparciem siedzenia, ale w tej samej chwili poczuła na ramieniu żelazny uchwyt kościstych palców, które jednym szarpnięciem postawiły ją na nogi. Odwróciła się błyskawicznie i znalazła się twarzą w twarz z napastnikiem. W cienkim, białym, bawełnianym worku zakrywającym całą głowę wyglądał jak członek Ku—Klux—Klanu. Otwory na oczy ziały czernią niby oczodoły trupiej czaszki, ale gdzieś w głębi tych dziur dostrzegła błysk ludzkich oczu. Bez namysłu rzuciła się do tych oczu z pazurami.

Bandyta szarpnął głowę do tyłu, ale jej wskazujący palec zaczepił o cienki materiał i rozerwał go od oka po podbródek. Napastnik chwycił ją za oba nadgarstki, ona jednak, zamiast mu się wyrwać, jeszcze raz rąbnęła w niego całym ciężarem ciała, próbując mu zadać cios kolaniem w krocze. Uchylił się błyskawicznym skrzętem ciała i trafiła go tylko w górną część uda. Poczuła siłę uderzenia kolana w sprężyste, napięte mięśnie jego nogi, ale kościste palce tylko jeszcze bardziej zacieśniły chwyt, wbijając się w jej ręce niczym stalowe szczęki potrzasku na wilki.

Niewiele myśląc schyliła głowę i wbiła mu w dłoń zęby jak łasica, nie przestając kopać go po



udach i goleniach, zasypując go istnym gradem kopniaków, z których większość grzęzła w jego twardym ciele lub odbijała się od kości.

Dyszał ciężko i stękał z bólu, próbując ją obezwładnić. Najwyraźniej nie spodziewał się tak szaleńczego oporu, a ból w nadgarstku musiał być nie do wytrzymania. Jej samej mięśnie szczęk zaczynały drętwieć od siły, z jaką je zaciskała. Usłyszała chrzęst rozdieranej zębami skóry i żywego mięsa i w następnej chwili poczuła w ustach smak krwi, słonawej i gorącej.

Bandyta jęknął gardłowo i wolną ręką chwycił ją za włosy, próbując oderwać jej głowę. Oddychała przez nos, dysząc jak buldog i zaciskając z całej siły szczęki, aż pod zębami zazgrzytała jej kość. Napastnik jeszcze mocniej szarpnął ją za włosy, wydając z siebie cichy przejmujący jęk bólu.

Zamknęła oczy, spodziewając się, że lada chwila uderzy ją pięścią w skroń, by rozewrzeć jej szczęki, ale zachowywał się zadziwiająco łagodnie. Starał się oderwać jej głowę, ale tak jakby nie chciał jej wyrządzić żadnej krzywdy ani zadać bólu.

Poczuła, że w ustach tryska jej fontanna — przegryzła tętnicę w nadgarstku. Ciepła struga uderzyła w jej podniebienie z taką mocą, że lada chwila mogła się nią udusić. Nie poluzniając zacisku szczęk rozchyliła wargi, by dać jej ujście na zewnątrz. Krew spłynęła kącikami jej ust i obryzgała ich oboje, gdy bandyta coraz gwałtowniej szarpał jej głowę na wszystkie strony, jęcząc teraz już na cały głos. W końcu zdecydował się użyć siły.

Wbił kciuk i palec wskazujący w zawiasy jej szczęki z taką siłą, jakby to były żelazne szpikulce. Błyskawica bólu przeszła ją aż do oczu, Centaine otworzyła usta i gwałtownie odskoczyła do tyłu. Znowu udało jej się go zaskoczyć. Nim zorientował się, co zamierza, wyrwała mu się i pędziła z powrotem w stronę samochodu.

Tym razem zdążyła wepchnąć rękę za oparcie siedzenia i dosięgnąć rewolweru. Wyśliznął się z naoliwionej kabury, lecz kiedy rozczapierzyła rozpaczliwie trzęsące się palce, by go pochwycić, zamaskowany bandyta złapał ją za włosy i szarpnął do tyłu. Ciężki rewolwer przebiegł między palcami i spadł z grzechotem na dach wywróconego samochodu.

Znowu rzuciła się na napastnika, szczerząc zęby wciąż jeszcze jeszcze różowe od jego krwi i próbując go ugryźć, tym razem w twarz. Rozdarta maska przekrzywiła mu się na chwilę, oślepiony zatoczył się w tył i runął na plecy, nie wypuszczając jej z objęć. Kiedy przeturlał się na nią i przygwoździł do ziemi całym ciężarem ciała, unieruchamiając rozciągnięte w bok ręce jak na krzyżu, szarpała się, kopała i drapała paznokciami, aż nagle znieruchomiała wpatrzona w niego osłupiałym wzrokiem.

Naddarty kawałek maski opadł w dół i odsłonił oczy. Niezwykłe jasne oczy o barwie topazu, z długimi czarnymi rzęsami.

— Lothar! — wydusiła z siebie z niedowierzaniem.

Znieruchomiał usłyszawszy swoje imię. Leżeli tak oboje, objęci jak kochankowie, spiceni nogami, przyciśnięci do siebie podbrusami, zdyszani i wysmarowani jego krwią, i wpatrywali się w siebie bez słowa.

Nagle puścił ją, wstał, zerwał z głowy maskę i owinął nią rozszarpany nadgarstek. Gdy pochylił głowę, splątane złociste loki opadły mu na uszy i czoło. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak poważnie jest ranny. Spod rozdartego i zmiażdżonego zębami ciała przeświecały ścięgna i kość. Jasna tętnicza krew przesiąkła natychmiast przez materiał i zaczęła kapać na piasek.

Centaine podparła się rękami i usiadła, nie spuszczać z niego wzroku. Silnik daimlera zatarł się już i zablokował, martwą ciszę mąciło tylko ich dyszenie.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała szeptem.

— Dobrze wiesz, dlaczego.

Zawiązał zębami końce materiału na supeł i w tej samej chwili Centaine rzuciła się desperacko w bok, sięgnęła do wnętrza samochodu, próbując namacać rewolwer. Dotknęła palcami kolby, ale nim zdołała ją objąć, szarpnął ją do tyłu i przewrócił na piasek.

Podniósł pistolet, odpiął pasek od kabury, zrobił sobie z niego opaskę uciskową i temblak i mruknął z zadowoleniem, stwierdziwszy, że udało mu się powstrzymać upływ krwi.

— Gdzie one są? — spytał, patrząc na nią z góry.

— Co gdzie jest? O czym ty mówisz?

Pochylił się, zajrzał do kabiny samochodu i wyciągnął z niej kasetę z czarno lakierowanej stali.

— Kluczyki! — powiedział.

Odpowiedziała mu zaciętym, wyzywającym spojrzeniem. Bez słowa ukucnął, wcisnął kasetę mocno w piasek, cofnął się o krok, odbezpieczył pistolet i strzelił. W zalegającej pustyni ciszy huk wystrzału zabrzmiał ogłuszająco, jeszcze długo dźwięczał w uszach urojonym echem. Kula oderwała zamek od kasety i zdarła z wieka kawałek lakieru, ukazując jasny i lśniący metal.

Lothar wsunął pistolet do kieszeni, ukląkł i uniósł wieko. Kasetę wypełniona była po brzegi małymi paczuszkami, starannie owiniętymi w brązowy papier i opieczętowanymi czerwonym woskiem. Zranioną ręką wyjął jedną z nich i odczytał na głos napis wykonany staroświeckim ozdobnym pismem Twentymana-Jonesa: „156 sztuk, razem 382 karaty”. Rozerwawszy zębami grubego kartonowego papieru wysypał na dłoń garść kamieni. W jasnym słońcu zaśniły tym niepowtarzalnym mydlanym blaskiem nieoszlifowanych diamentów.

— Bardzo ładne — mruknął, wysypał kamienie do kieszeni, po czym schował rozdarte opakowanie z powrotem do kasety i zamknął wieko.

— Wiedziałaś, że jesteś mordercą — rzuciła przez zęby. — Ale nigdy nie myślałam, że jesteś także zwykłym złodziejem.

— I kto to mówi! Przecież to ty ukradłaś mi moje statki i przetwórnię. — Wsadził walizeczkę pod ramię, wstał i podszedł do bagażnika samochodu. Mimo iż daimler leżał na dachu, udało mu się go odrobinę odchylić. Zajrzał przez szparę do środka.

— Dobrze — powiedział. — Miałaś dość rozsądku, żeby zabrać ze sobą wodę. Dwadzieścia galonów wystarczy ci na tydzień, a znajdą cię na pewno dużo wcześniej. Abrahams wysłał ci na spotkanie uzbrojoną eskortę. Przejąłem telegram Twentymana-Jonesa.

— Ty bydlaku — szepnęła.

— Nim cię tu zostawię, przetnę linię telegraficzną. I jedni, i drudzy natychmiast się zorientują, że coś się stało. Znajdą cię. Nic ci nie będzie.

— O Boże, jak ja cię nienawidzę!

— Nie odchodź od samochodu. To podstawowa zasada, by przetrwać na pustyni. Nawet na chwilę się od niego nie oddalaj. Odnajdą cię mniej więcej za dwa dni. Tyle będę miał nad wami przewagi.

— Zawsze myślałam, że cię nienawidzę, ale dopiero teraz pojęłam prawdziwe znaczenie tego słowa.

— Mogłem ci być je wyjaśnić — powiedział cicho, podnosząc z ziemi odrzuconą dubeltówkę. — W ciągu tych wielu lat, kiedy sam wychowywałem naszego syna, poznałem je aż za dobrze. A jeszcze lepiej, kiedy znów pojawiłaś się w moim życiu tylko po to, by zniszczyć i zrujnować wszystko, o czym marzyłem, na co tak ciężko harowałem. — Zamachnął się strzelbą i rąbnął ją jak siekierą w jeden z głazów. Kolba rozprysła się w drzazgi, ale on bił dalej, dopóki strzelba nie zgięła się i nie stała zupełnie bezużyteczna. Dopiero wtedy rzucił ją na ziemię.

Przewiesił sobie mauzera przez ramię, przłożył kasetę do zdrowej ręki, a zranioną przycisnął na temblaku do piersi. Opatrunek zupełnie przesiąkł krwią, rana musiała mu sprawiać potworny ból. Pod ciemną opalenizną był wyraźnie blady, a mówiąc zacinał się co kilka słów.

— Staralem się nie wyrządzić ci krzywdy... Gdybyś nie stawiała tak szaleńczego oporu... —

Urwał i po chwili milczenia dodał: — Nie zobaczymy się już nigdy. Żegnaj, Centaine.

— Zobaczymy się, jeszcze się zobaczymy. Znasz mnie dobrze, musisz zdawać sobie sprawę, że nie spocznę, póki nie uzyskam pełnego zadośćuczynienia za to, coś dzisiaj zrobił.

Skinął głową.

— Wiem, że będziesz próbowała. — Odwrócił się, żeby odejść.

— Lothar! — zawołała za nim ostro, a kiedy odwrócił się z powrotem, już znacznie łagodniej zaproponowała: — Dobijmy targu. Twoja firma i lodzie wolne od wszelkiego zadłużenia w zamian za moje diamenty.

— To kiepski interes — powiedział ze smutnym uśmiechem. — Przetwórnia i kutry nie są już warte funta kłaków, natomiast twoje diamenty...

— I pięćdziesiąt tysięcy funtów gotówką oraz moja obietnica, że nie zgłoszę niczego na policję. — Za wszelką cenę starała się stłumić w głosie nutę desperacji.

— Ostatnim razem to ja ciebie błagałem, pamiętasz? Nie, Centaine, nawet gdybym chciał, nie mogę się już wycofać. Spaliłem za sobą mosty. — Pomyślał o koniach, ale nie mógł przecież jej o tym powiedzieć. — Nici z naszego targu, Centaine. Muszę już iść.

— Za połowę diamentów! Zostaw mi chociaż połowę!

— W imię czego?

— W imię uczucia, którym się kiedyś darzyliśmy.

— Musisz wymyślić jakiś lepszy powód — zaśmiał się z goryczą.

— Więc dobrze, powiem ci. Jeśli zabierzesz mi te diamenty, zniszczysz mnie, Lotharze. Po takiej stracie nie zdołam się otrząsnąć. Już teraz jestem fatalnie zadłużona. Bez diamentów będę całkowicie zrujnowana.

— Tak jak ja, kiedy zabrałaś mi kutry. — Odwrócił się i powlókł przez piasek ku zboczowi wąwozu rzeki. Centaine podniosła się z ziemi.

— Lotharze De La Rey! — zawołała za nim. — Skoro nie chcesz przyjąć mojej propozycji..., to posłuchaj w zamian przysięgi! Przysięgam i biorę na świadków Boga i wszystkich jego świętych... przysięgam, że nie spocznę, dopóki nie ujrzę jak dyndasz na szubiennicy!

Nie obejrzał się, ale widziała, że drgnął, usłyszawszy jej groźbę. Tuląc do siebie zranioną dłoń, z karabinem na plecach i kasetą w drugiej ręce, wspiął się na krawędź zbocza i zniknął.

Centaine osunęła się na kolana, ścięta z nóg falą długo tłumionej reakcji. Trzęsła się nieopanowanie i dygotała jak w febrze. Poniżenie, zwątpienie i czarna rozpacz uderzyły w nią falami jak sztormowy przybój w bezbronną plażę, przelewały się przez jej ciało w tę i z powrotem, przybierały na sile, przetaczały się z narastającą gwałtownością. Stwierdziła, że z oczu płyną jej łzy, wielkie krople zmywające powoli z warg i brody zakrzepłą krew Lothara. Ich smak wzbudził w niej nie mniejszą odrazę niż mdły smak krwi, który wciąż jeszcze czuła w gardle.

Ta odraza dodała jej sił, pomogła dźwignąć się na nogi i podejść do samochodu. Jakimś cudem worek z wodą nadal wisiał na swoim haku. Kiedy zmyła krew i łzy, wypłukała gardło i wypłuła różową wodę na piasek, ogarnęła ją chęć, by natychmiast ruszyć za nim w pogoń.

Zabrał jej rewolwer, a zniszczona strzelba zmieniła się w kawałek pogiętego, skręconego metalu.

— Jeszcze nie teraz... — szepnęła. Ale już wkrótce. Dałam ci na to słowo, Lotharze De La Rey.

Zamiast tego podeszła więc do bagażnika wywróconego samochodu. Musiała odgarnąć rękami

hałdę piasku, nim udało jej się go szerzej otworzyć. Wyjęła z środka dwa dziesięciogalonowe pojemniki z wodą i kasetę z diamentami przemysłowymi, zniosła je w cień na zboczu koryta i zakopała w piasku, żeby je ukryć, a także po to, żeby woda pozostała maksymalnie chłodna.

Potem wróciła do auta i niecierpliwie wypakowała resztę rzeczy, które wozila z sobą na wypadek nieprzewidzianych okoliczności, przerażona nagie śmiertelnie, że zapomniała zabrać aparat do podłączenia się do linii telegraficznej albo że ktoś go przez pomyłkę wyładował. Lecz już po chwili znalazła go tam, gdzie być powinien, w pudełku z narzędziami obok podnośnika i kluczy do zmiany koła.

Przerzuciła przez ramię chlebak z aparatem, wsadziła pod pachę szpulę przewodu i zaczęła pięć się śladem Lothara w górę zbocza, aż odnalazła miejsce, gdzie spętał swego konia.

— Powiedział, że przetnie druty... — Ośloniwszy ręką oczy przesunęła wzrokiem wzdłuż koryta rzeki. — Powinien był się domyślić, że wozę ze sobą przenośny aparat telegraficzny. Nie dam mu tych dwóch dni przewagi.

Spostrzegła słupy telegrafu przecinające na ukos pętlę drogi i zakole rzeki. Ślady kopyt prowadziły wzdłuż krawędzi brzegu. Ruszyła za nimi.

Już z odległości dwustu metrów zobaczyła miejsce przecięcia. Druty zwisały do ziemi, skręcone leniwie w dwie odwrócone parabole. Na ten widok przyspieszyła kroku. Kiedy dotarła do miejsca, gdzie linia telegraficzna przecinała rzekę, i spojrzała z brzegu w dół, natychmiast zauważyła pozostałości obozowiska Lothara. Z zasypanego pospiesznie piaskiem ogniska snuła się jeszcze smużka dymu.

Rzuciła na ziemię szpulę drutu i torbę z aparatem i spelzła po stromym zboczu na dno rzeki. Natrafiła na wejście do ziemianki i od razu odkryła, że zamieszkiwało ją więcej osób, i to przez zdłuższy czas. Na ziemi leżały trzy barłogi z trawy.

— Jest ich trzech... — mruknęła zaskoczona, lecz po chwili namysłu rozwikłała zagadkę. — Ma ze sobą tego swego bękarta. — Nadal nie potrafiła myśleć o Manfredzie jako o swym synu. — A tym trzecim musi być Swart Hendrick. On i Lothar są nierozłączni.

Wyszła na zewnątrz i przystanęła niezdecydowana. Podłączenie aparatu do przeciętych drutów musiało potrwać, a jeśli chciała wysłać za Lotharem pogoń, nim uda mu się zdobyć zbyt dużą przewagę, najważniejszą sprawą było ustalenie, w którą stronę odjechał.

— Podłączę się do telegrafu dopiero wtedy — postanowiła gdy ustalę kierunek jego ucieczki.

Wydawało się mało prawdopodobne, żeby ruszył na wschód, w głąb Kalahari. Tam nie było nic poza bezlitosną pustynią.

„Zawróci z powrotem w stronę Windhoek” — uznała i w pierwszej kolejności spenetrowała pustynię w tym właśnie kierunku. Cały obszar wokół obozowiska był gęsto zdeptany przez konie i ludzi. Oceniała, że musieli tu przebywać co najmniej dwa tygodnie. Tylko nauki, jakie pobrała u Buszmenów, pozwoliły jej się połapać w tej plątaniu śladów.

„Nie, nie pojechali w tę stronę — uznała w końcu. — W takim razie musieli ruszyć na południe, ku Gobabis i rzece Oranje.”

Zatoczyła szeroki krąg wokół obozowiska, obchodząc je od południa, a kiedy nie natrafiła na żadne ślady późniejsze niż sprzed kilku dni, spojrzała na północ.

— To niemożliwe — mruknęła. — Aż do rzeki Okayango i kolonii portugalskiej nie ma tam nic, absolutnie nic. Nie ma mowy, żeby konie przebyły spalone pustkowia krainy Buszmenów.

Mimo to obeszła obozowisko od północy i niemal natychmiast natknęła się na świeży trop, wyraźnie rysujący się na miękkim piasku.

— Sprzed niecałej godziny — oceniła. — Trzej jeźdźcy z luzakami. A więc mimo wszystko

Lothar wybrał ucieczkę na północ. Musiał zwariować., albo coś knuje. — Przeszła świeżym tropem ponad kilometr, żeby sprawdzić, czy nie odbił w bok lub nie zawrócił. Ślad biegi prosto jak strzelił w stronę rozedrganych żarem pustkowi na północy. Wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie, jak tam jest.

— To szaleństwo — szepnęła. — A on przecież nie jest szalony. Jedzie do granicy Angoli. Tam miał swoją bazę wypadową w czasach, gdy parał się kłusownictwem i polował na słonie. Jeśli dotrze do rzeki, nigdy więcej go nie zobaczę. Ma tam wielu przyjaciół, portugalskich kupców, którym sprzedawał kość. Tym razem będzie miał w kieszeni diamenty wartości miliona funtów, cały świat stanie przed nim otworem. Muszę go dopaść, nim przekroczy granicę.

Na myśl o ogromie czekającego ją przedsięwzięcia podupadła na duchu i znów ogarnęła ją czarna rozpacz. „Przygotował to sobie bardzo starannie, wszystko działa na jego korzyść. Nigdy go nie dogonimy. — Wzięła się w garść, walcząc z bestią zwątpienia. — A właśnie, że dogonimy! Musimy! Muszę go przechytrzyć i pokonać. Po prostu muszę. Inaczej jestem zgubiona.”

Okręciła się na pięcie i pobiegła z powrotem do porzuconego obozowiska.

Zebrała zwisające do ziemi druty, przypięła do nich końce przewodów ze szpuli i naciągnęła je tak, by nie dotykały ziemi. Podłączyła aparat i umocowała do zacisków końcówki suchych baterii. Wymieniała baterie przed wyjazdem z Windhoek. Powinny być naładowane. Na ułamek sekundy poczuła przerażającą pustkę w głowie — nie mogła sobie przypomnieć ani jednej litery alfabetu Morse’a. Lecz już w następnej chwili w uszach rozdzwoniły jej się wszystkie kropki i kreski i zaczęła stukać mosiężnym kluczem.

*Juno do Vingta. Proszę o potwierdzenie.*

Przez kilka długich sekund jedyną odpowiedzią była tylko cisza w słuchawkach, lecz nagłe rozległo się upragnione brzęczenie:

*Vingt do Juno. Proszę nadawać.*

W krótkich słowach i zwięzłych zwrotach poinformowała Twentyman-Jonesa o napadzie, podała gdzie się znajduje, po czym ciągnęła dalej:

*Wynegocjować ze strajkującymi zakończenie strajku. Odzyskanie towaru nie mniej ważne dla nich niż dla mnie. Stop. Wysłać ciężarówkę na północny kraniec niecki O'chee. Zlokalizować obozowisko Buszmenów w lesie mongongo. Stop. Przywódca szczepu nazywa się Kwi. Stop. Podać Kwi hasło „Córka Nam kaleya”. Powtarzam „Córka Nam kaleya”. Stop. Zabrać Kwi i przywieźć. Stop.*

Podziękowała w duchu, że słowo „kaleya” dawało się fonetycznie zapisać w alfabecie łacińskim, nie miało skomplikowanych zgłosek i mlasków języka tak charakterystycznych dla języka Buszmenów.

„Kaleya” było słowem używanym w niebezpieczeństwie, wołaniem o pomoc, którego żaden członek rodu nie mógł nie wysłuchać. Nadała resztę poleceń, a kiedy skończyła, Twentyman-Jones potwierdził odbiór i spytał:

*Czy jesteś bezpieczna cała i zdrowa. Znak zapytania. Vingt.*

*Tak. Koniec. Juno.*

Otarła żółtą apaszką pot z czoła; siedziała w pełnym słońcu. Potem strzepnęła palce, by je rozluźnić, i jeszcze raz pochyliła się nad kluczem. Wprawnymi ruchami wystukała sygnał wywoławczy swojego telegrafisty w biurze Courteney Mining and Finance Company w Windhoek.

Potwierdzenie otrzymała niemal natychmiast. Bez wątpienia słuchano tam jej telegramu do Twentyman-Jonesa. Niemniej wołała się co do tego upewnić.

*Odebraliście poprzedni przekaz?*

*Tak.*

*Dostarczyć go natychmiast zarządcy prowincji pułkownikowi Blaine „owi Malcomessowi z prośbą o pomoc w schwytaniu bandytów i odzyskaniu zrabowanego mienia. Stop. Sprawdzić, czy w ciągu ostatnich trzech miesięcy nie nadeszła informacja o kradzieży znacznej liczby koni lub zakupieniu ich przez niejakiego Lothara De La Reya. Odpowiedź przesłać jak najszybciej. Koniec. Juno.*

Telegrafista potwierdził przyjęcie telegramu i nadawał dalej:

*Kauzyperda do Juno.*

*Ogromnie się o ciebie niepokoiimy. Stop. Pozostań tam gdzie jesteś. Pod żadnym pozorem nigdzie się nie oddalaj. Stop.*

Musieli wezwać Abego do biura natychmiast po odebraniu jej zgłoszenia.

— Przerabiałam tę lekcję już wieki temu, Abe! — wykrzyknęła zirytowana, ale zanotowała resztę telegramu.

*Uzbrojona eskorta opuściła Windhoek o piątej rano. Stop. Powinni dotrzeć do ciebie jutro o świcie. Stop. Czekaj na odpowiedź Makomessa. Koniec. Kauzyperda.*

Przewody ze szpuli były wystarczająco długie, żeby mogła schronić się w skrawek cienia pod jedną ze ścian koryta rzeki. Czekając na telegram z Windhoek skupiła się maksymalnie na stojącym przed nią zadaniu.

Pewne fakty były zupełnie oczywiste, a najważniejszy z nich to ten, że nigdy nie dogonią Lothara, jeśli pogoń podaży dokładnie jego śladem. Miał zbyt dużą przewagę i posuwał się w głąb terenów,

które zmierzył wzdłuż i wszerz i na których polował przez połowę swego życia. Znał je lepiej niż jakikolwiek żyjący biały, lepiej nawet niż ona, ale nie lepiej niż mały Kwi.

„Musimy odgadnąć, jaką wybrał drogę i zabiec mu ją i trzeba to będzie zrobić konno. Na tych terenach ciężarówki są zupełnie bezużyteczne. Lothar dobrze o tym wie, na tym właśnie oparł swój plan. Wybierze taką drogę, której ciężarówka w żaden sposób nie pokona.” Zamknęła oczy, przywołując z pamięci mapę północnych terytoriów, tych ogromnych połaci niegościnnych pustyń zwanych Buszmanlandem.

Znała tylko dwa miejsca, gdzie występowała woda powierzchniowa: jedno, które zawsze nazywała w myślach Niecką Słoni, i drugie w zagłębieniu pod pagórkiem z ilastego łupku. Były to chronione tajemnicą wodopoje Buszmenów, które stary O'wa, jej przybrany dziadek pokazał jej przed piętnastoma laty. Zastanawiała się, czy umiałaby jeszcze odznaleźć któreś z tych miejsc, nie miała jednak wątpliwości, że Lothar je zna i trafi do nich jak po nitce. Pewnie znał jeszcze inne wodopoje, o których ona nic nie wiedziała.

Z rozmyślań wyrwał ją brzęczyk telegrafu. Sięgnęła szybko po słuchawki.

*Malcomess do Juno. Policja odebrała zgłoszenie kradzieży dwudziestu sześciu koni z wojskowego punktu uzupełnień w Okahandji trzeciego ubiegłego miesiąca. Stop.*

*Odzyskano tylko dwa zwierzęta. Czym jeszcze mogę służyć?*

— Miałam rację, wysłał przodem na pustynię rozstawne konie! — wykrzyknęła. Zamknęła oczy jeszcze raz próbując wyobrazić sobie mapę północy, szacując odległości i czasy przejazdów. W końcu otworzyła je i pochyliła się na kluczem.

*Jestem pewna, że bandyci spróbują dotrzeć najkrótszą drogą do rzeki Okayango.*

*Stop. Zebrać mały oddział ludzi zaprawionych w podróżach przez pustynię. Stop. Zabrać zapasowe konie. Stop. Punkt zborny Misja Kalkrand. Stop. Jak najszybciej. Stop. Dołączyć z tropicielami z plemienia Buszmenów. Koniec. Juno.*

22

Twentyman-Jones dotarł do niej szybciej niż eskorta z Windhoek. Po drodze przejechał przez nieckę O'chee, gdyż oznaczało to nadłożenie ledwie kilku kilometrów. Kiedy rozkołysana ciężarówka kopalni pojawiła się na równinie, Centaine przebrała się w spodnie i buty do konnej jazdy, które miała w bagażniku daimlera, i wybiegła jej na spotkanie, wymachując rękami nad głową i śmiejąc się z doznanej ulgi. Twentyman-Jones wyskoczył z kabiny i podbiegł do niej, przy każdym susie podrygując zabawnie na swych długich nogach. Chwycił ją w ramiona i przycisnął do piersi.

Bogu niech będą dzięki! — wymruczał żarliwie. — Bogu niech będą dzięki, że jest pani cała i zdrowa.

- Jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło mu się jej objąć, toteż natychmiast zmieszał się, puścił ją, odstąpił o krok i przybrał ponurą minę, by pokryć tym swoje zakłopotanie.

— Przywiózł pan Kwi? — spytała niecierpliwie.

— Przywiozłem.

Centaine podbiegła do ciężarówki. Kwi i Gruby Kwi siedzieli w kucki na skrzyni pod plandeką, obaj wyraźnie przerażeni przeżyciami podróży. Wyglądali jak dwa małe dzikie zwierzątka w klatce, czy mieli szeroko otwarte, toczyli wokół błędnym wzrokiem.

— Córko Nam! — krzyknął piskliwie Kwi i obaj rzucili się ku niej szczebiocząc jeden przez drugiego i mlaskając z radością i ulgą. Przytuliła ich do siebie jak małe dzieci, mrużąc serdeczności i słowa otuchy.

— Od tej chwili cały czas będę z wami. Nie ma się czego bać. Nie zostawię was samych. To są dobrzy ludzie, nie zrobią wam nic złego. Pomyślcie, ile będzie opowiadania, kiedy wrócicie do domu. Staniecie się sławni w całym plemienu San, będzie się o was mówiło jak Kalahari długa i szeroka.

Na te słowa zachichotali radośnie, jak dzieci, natychmiast zapominając o wszystkich strachach.

— Ja będę sławniejszy od Grubego Kwi — rzucił tonem przechwałki Kwi. — Bo jestem od niego starszy, szybszy i sprytniejszy.

Gruby Kwi zachnął się oburzony.

— Obaj będziecie bardzo sławni — zażegnała pospiesznie niechybny spór. — Będziemy śledzić złych ludzi, którzy wyrządzili mi wielką krzywdę. Wytropicie ich i zaprowadzicie mnie do nich, a ja dam wam w prezencie, co tylko wam się zamarzy. I wszyscy będą mówić, że nigdy dotąd nie było dwóch takich tropicieli i myśliwych jak Kwi i jego brat, Gruby Kwi. Ale teraz musimy się pospieszyć, żeby ci źli ludzie nam nie uciekli.

Pobiegła z powrotem do Twentyman-Jonesa, a dwaj mali Buszmeni, jak wierne psy, tuż za nią.

— De La Rey zostawił kamienie przemysłowe, zakopałam je na zboczu. — Urwała zaskoczona, rozpoznając dwóch mężczyzn stojących obok Twentyman-Jonesa. Pierwszym był Gerhard Fourie,



drugim Maciear, dwaj z trzech przewodników strajku. Obaj mieli bardzo niewyraźne miny.

— Bardzo się cieszymy, że widzimy panią całą i zdrową, pani Courteney — odezwał się niepewnie Maelear. — W całej kopalni nie było człowieka, który by nie umierał ze strachu o panią.

— Dziękuję panu, panie Maciear.

— Zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby pani pomóc. To nasza wspólna sprawa, pani Courteney.

— Zgadza się, panie Maclear. Nie będzie diamentów, nie będzie wypłaty. Proszę mi pomóc wykopać kasetę z kamieniami przemysłowymi i natychmiast ruszamy do Kalkrand. Czy ma pan dość paliwa, żeby tam dojechać, panie Fourie?

— Rano będziemy na miejscu, pani Courteney — obiecał kierowca. Kalkrand było najdalej na północ wysuniętym postępkowaniem cywilizacji. Tam droga się urywała.

By ominąć nieprzejezdne pustkowia centralnego Buszmanlandu, Fourie wybrał szeroki objazd na północny zachód i dopiero potem miał zamiar skrócić ponownie na wschód. W ten sposób po dotarciu do Kalkrand znaleźliby się sto siedemdziesiąt pięć kilometrów na północ od miejsca, gdzie Lothar zostawił Centaine, ale za to sto kilometrów bardziej na zachód. Netto nadrobiliby zaledwie sto trzydzieści kilometrów, a może nawet mniej, jeśli zmierzał do Okayango trasą leżącą dalej na wschód. Oczywiście mogło się okazać, że domysł Centaine był całkowicie błędny i że Lothar De La Rey uciekł w jakimś zupełnie innym kierunku. Centaine nie chciała jednak nawet myśleć o takiej ewentualności.

— W ciągu ostatnich kilku godzin ktoś jeszcze tędy przejeżdżał — powiedziała do Twentyman-Jonesa wyglądając przez okienko. — Mam wrażenie, że chyba dwie ciężarówki. Czy myśli pan, że to może być oddział policji, który obiecał wysłać pułkownik Malcomess?

— Jeśli tak, to ten człowiek musi być cudotwórcą. Wysłanie oddziału w tak krótkim czasie wydaje się niepodobieństwem.

— Nim skęcili w tę stronę, musieli jechać znacznie lepszą drogą, tą do Okahandji. — Tak bardzo chciała, żeby to była prawda. Ale Twentyman-Jones pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że to transport zaopatrzenia dla misji. Sądzę, że na ten oddział policji i prowadzone przez nich konie przyjdzie nam trochę poczekać.

Z porannej mgiełki w przodzie wyłoniły się blaszane dachy misji. Stały w odludnym miejscu u stóp łańcucha wzgórz z czerwonego łupku, wybranym zapewne z powodu podziemnych zapasów wody. Nad studniami zaopatrującymi misję wznosiły się dwa wiatraki niby posępni wartownicy w koronach.

— Niemieccy dominikanie — wyjaśnił Centaine Twentyman-Jones, gdy trzęsąc się na wybojach pokonali ostatni odcinek. — Służą koczowniczym plemionom Oyahimba zamieszkującym te tereny.

— Niech pan patrzy! — przerwała mu podniecona. — Koło kościoła stoją ciężarówki, a pod wiatrakiem konie. Jakiś policjant je poi! To oni! Czekają na nas! Pułkownik Malcomess dotrzymał słowa!

Fourie podjechał do ciężarówek policyjnych, Centaine wyskoczyła z kabiny. Na widok policjanta biegnącego im na spotkanie od strony dwóch wielkich poidel pod wiatrakami zawołała:

— Dzień dobry! Kto dowodzi tym... — i urwała w pół słowa, wpatrując się z niedowierzaniem w wysoką postać, która pojawiła się na werandzie murowanego domu obok kościółka.

Miał na sobie gabardynowe bryczesy w kolorze khaki, lakierowane brązowe buty do konnej jazdy, a zbiegając po schodkach naciągnął na koszulę polową bluzę oficerską. Szybkim krokiem podszedł do ciężarówki.

— Pułkownikowi Malcomess, nawet przez myśl mi nie przeszło, że ujrzę tu pana we własnej

osobie.

— Prosiła pani o pomoc, pani Courteney. — Wyciągnął do niej rękę i wtedy między ich palcami przeskoczyła iskra wyładowania elektrycznego. Centaine ze śmiechem cofnęła rękę, ale kiedy on swojej nie opuścił, podała mu ją z powrotem. Dłoń miał suchą, jej uścisk był pewny i krzepiący. — Chyba nie wybiera się pan z nami na pustynię? Jako zarządca musi pan mieć wiele poważnych obowiązków.

— Albo pojedę z panią, albo i pani nigdzie me pojedzie — odparł z uśmiechem. — Otrzymałem ściśle instrukcje zarówno od premiera, generała Hertzoga, jak i od przywódcy opozycji, generała Smutsa. Nie wolno mi pani spuścić o oka, jestem za panią osobiście odpowiedzialny. Najwyraźniej znana jest pani z uporu w działaniu. Obaj starsi panowie są ogromnie zaniepokojeni.

— Ja muszę jechać — zaprotestowała. — Nikt poza mną me potrafi się właściwie obchodzić z buszmeńskimi tropicielami. A bez nich bandyci na pewno nam się wymkną.

Skinął głową na znak, że się z nią zgadza.

— Nie mam wątpliwości, że intencją obu czcigodnych generałów było zatrzymanie nas obojga w Windhoek, ale wolę zinterpretować ich rozkazy w ten sposób, że oboje mamy jechać. — I nagle roześmiał się jak uczeń, który ma zamiar wypuścić się na wagary. — Obawiam się, że jest pani skazana na moje towarzystwo.

Przebiegło jej przez myśl, że spędzą razem wiele dni na pustyni, praktycznie sami, z dala od jego żony. Na moment zapomniała o Lotharze De La Rey i swoich diamentach. Nagle uświadomiła sobie, że nadal podają sobie ręce i że wszyscy na nich patrzą. Uwolniła dłoń z jego uścisku i spytała rażno:

— Kiedy możemy wyruszyć?

W odpowiedzi odwrócił się i ryknął tubalnym głosem:

— Na koń! Na koń! Ruszamy natychmiast!

Kiedy policjanci rozbiegli się do swoich wierzchowców, spojrzął z powrotem na nią, znów rzeczowy, zdradzający znajomość swego rzemiosła.

— A teraz, pani Courteney, czy zechce mi pani zdradzić swe zamiary? I może wreszcie dowiem się, dokąd, u diabła, jedziemy?

— Czy ma pan mapę? — spytała ze śmiechem.

— Proszę za mną. — Zaprowadził Centaine do biura misji, przedstawił szybko dwóm niemieckim zakonnikom, którzy ją prowadzili, i pochylił się nad bardzo dokładną mapą rozpostartą na biurku.

— Proszę mi pokazać, co pani zamierza.

„Centaine stanęła obok niego, tak blisko, że niemal zetknęli się ciałami.

— Napadu dokonano tutaj — wskazała palcem. — Ślady prowadziły w tym kierunku. Jestem absolutnie pewna, że ucieka do granicy kolonii portugalskiej. żeby tam dotrzeć, musi przebyć czterysta osiemdziesiąt kilometrów.

— I dlatego zatoczyła pani kolo, żeby znaleźć się powyżej niego, a teraz chce pani ruszyć na wschód przez pustynię i zabiec mu drogę. Ale to ogromny teren. Coś jak szukanie igły w stogu siana, nie uważa pani?

— Woda — wyjaśniła. — Musiał rozstawić zapasowe konie w miejscach, gdzie występuje woda. Jestem tego pewna.

— Korne, które ukradł wojsku? No tak, rozumiem, ale przecież tam nigdzie nie ma wody.

— Owszem, jest. Nie zaznaczono tego na tej mapie, ale on ma miejsca jej występowania. Znają je także moi Buszmeni. Zajdziemy mu drogę przy jednym z wodopojów albo natrafimy tam na jego ślady, gdyby udało mu się nas wyprzedzić.

Macolmess wyprostował się i zwinął mapę.

— Czy uważa pani, że to możliwe? — spytał.

— że nas wyprzedził? Musi pan pamiętać, że to twardy człowiek, a tę pustynię zna jak własną kieszeń. Nie wolno nam go lekceważyć, pułkownik. To byłby poważny błąd.

— Zapoznałem się z informacjami na temat jego przeszłości. — Schował mapę do skórzanej torby i założył gruby korkowy hełm przeciwśłoneczny w kolorze khaki z opadającą z tyłu falbaną z materiału, chroniącą szyję przez promieniami słońca. Hełm zakrywał mu uszy i czynił jeszcze wyższym. — To niebezpieczny człowiek. Kiedyś wyznaczono za jego głowę nagrodę w wysokości tysiąca funtów. Nie spodziewam się, żeby czekało nas łatwe zadanie.

W drzwiach za ich plecami stanął policjant z dystynkcjami sierżanta.

— Wszystko gotowe, panie pułkownik.

— Czy koń pani Courteney osiodłany?

— Tak jest! — Sierżant był szczupły, muskularny i mocno opalony, miał pokaźne sumiaste wąsy. Centaine pochwaliła w duchu ten wybór. Blaine zauważył jej badawcze spojrzenie.

— To jest sierżant Hansmeyer. Jesteśmy starymi towarzyszami broni, jeszcze z czasów kampanii generała Smutsa.

— Miło mi panią poznać, pani Courteney — zasalutował sierżant. — Słyszeliśmy, co się pani przydarzyło.

— Cieszę się, że mamy pana ze sobą, sierżancie.

Pożegnali się szybko z dominikanami i wyszli na dwór. Centaine podeszła do wielkiego gniadego wałacha, którego Blaine jej wyznaczył, i poprawiła strzemiona.

— Na koń! — rozkazał Blaine Malcomess, a kiedy sierżant i jego czterej podwładni wskakiwali na siodło, Centaine odwróciła się szybko do Twentyman-Jonesa.

— żałuję, że nie mogę jechać z panią, pani Courteney — powiedział ze smutkiem. — Dwadzieścia lat temu nic by mnie przed tym nie powstrzymało.

— Niech pan trzyma za nas kciuki — odparła z uśmiechem. — Jeśli nie odzyskamy tych diamentów, będzie pan pewnie musiał wrócić do pracy w De Beers, a mnie zostanie szydełkowanie w przytułku dla ubogich.

— żeby piekło pochłonęło tego, kto to pani zrobił. Niech go pani przyprowadzi zakutego z kajdany.

Centaine wskoczyła na wałacha. To był dobry koń, czuła się na nim pewnie. Ścisnęła go kolanami i podjechała do Blaine'a.

— Może pani spuścić ze smyczy swoje ogary — powiedział, uśmiechając się do niej.

— Zaprowadź nas do wody, Kwil — zawołała.

Dwaj mali Buszmeni z łukami i kołczanami zatrutych strzał na nagich plecach odwrócili się na wschód i pobiegli przed siebie. Małe głowy pokryte kępkami ciasno skręconych czarnych włosów podrygiwały im rytmicznie, krągłe, jędrne pośladki błyskały spod króciutkich przepasek biodrowych, drobne dziecinne stopy śmigały nisko nad ziemią. Byli urodzonymi biegaczami, konie musiały przejść w wyciągnięty kłus, by dotrzymać im kroku.

Centaine jechała obok Blaine'a na czele grupy. Sierżant i jego czterej podwładni ciągnęli za nimi gęsiego, każdy prowadził za sobą na długich wodzach dwa luzaki, które niosły wodę, dziewięćdziesiąt litrów w dużych okrągłych okrytych filcem butlach. Przy oszczędnym gopodarowaniu taki zapas powinien starczyć na trzy dni, bowiem wszyscy, zarówno ludzie, jak i zwierzęta, byli zaprawieni z podróży przez pustynię.

Jechali w milczeniu, a Centaine co jakiś czas spoglądała kątem oka na Blaine'a. Już na ziemi

robił ogromne wrażenie, w siodle wyglądał władczo, wręcz majestatycznie. Wydawało się, że przeistoczył się w centaury, zrószł w jedno z dosiadanym wierzchowcem. Teraz zrozumiała w jaki sposób zdobył międzynarodową sławę jako gracz w Polo.

Obserwując go stwierdziła, że sama mimowolnie koryguje drobne wady swej postawy, sposobu trzymania się w siodle, złe nawyki których nabrała powoli na przestrzeni lat, aż wreszcie siedziała na koniu równie nienaganie jak on. Z tym człowiekiem u boku mogłaby jechać przez swą ukochaną pustynię bez końca.

Kiedy przecięli łańcuch wzniesień ze zwietrzałego łupku, Blaine po raz pierwszy przerwał milczenie.

— Miała pani rację. Nigdy nie przejechalibyśmy tędy ciężarówkami. Do tego rzeczywiście potrzebne są konie.

— Jeszcze nie dotarliśmy do wapiennych rumowisk, no, a potem będzie piasek — przytaknęła. — Zakopywalibyśmy się co kilka metrów.

Kilometr za kilometrem umykały do tyłu, Buszmeni biegli przed siebie lekkim krokiem, bez wahania, prosto ku odległemu celowi. Co godzinę Blaine zarządzał krótki postój, by dać koniom chwilę wytchnienia, a sam zsiadał i cofał się do swoich ludzi, by porozmawiać z nimi, lepiej ich poznać, sprawdzić juki na luzakach, upewnić się, czy ich nie ocierają, zapobiegać wyczerpaniu i ranom, leczyć je, nim się pojawią. A po pięciu minutach rozkazywał znów siadać na koń i jechać dalej.

Zatrzymali się dopiero po zapadnięciu zupełnych ciemności. Blaine osobiście dopatrywał wydania porcji wody, sprawdził, czy konie zostały należycie wytarte i spętane, i na koniec podszedł do małego ogniska, przy którym siedziała Centaine. Ona także nie próżnowała. Nakarmiła i ułożyła do snu Buszmenów, a teraz przygotowywała posiłek dla siebie i Blaine'a. Kiedy przykucnął naprzeciwko niej, podała mu blaszaną menażkę.

— Niestety, sir, menu nie przewiduje bażanta i kawioru. Ale mogę z czystym sumieniem polecić panu gulasz wołowy.

— To dziwne, jak wspaniale wszystko smakuje, gdy się je w takich warunkach. — Spalaszował gulasz z prawdziwym apetytem, potem wyszorował pusty talerz suchym piaskiem, oddał go Centaine i rozżarzoną drewnianką zapalił krótkie, ciemne cygaro. — I jak wspaniale smakuje cygaro, kiedy w nim czuć dym ogniska.

Posprzątała wszystko i zapakowała tak, by rankiem mogli jak najszybciej wyruszyć, po czym wróciła do ogniska, ale zawahała się, nim usiadła na swoim miejscu naprzeciwko niego. Przesunął się i zrobił jej miejsce na derce, na której siedział, a ona bez słowa podeszła i usiadła obok niego. Dzieliło ich od siebie tylko kilka centymetrów.

— Jak pięknie... — powiedziała półgłosem, spoglądając w niebo. — Gwiazdy wiszą niemal na wyciągnięcie ręki. Mam wrażenie, że wystarczyłoby sięgnąć, a mogłabym je zerwać i wpleść sobie we włosy jak kwiaty.

— Biedne gwiazdy — odparł cicho. — Zbladłyby, zupełnie zaćmione.

Przechyliła głowę i uśmiechnęła się do niego, pozwalając, by ten komplement zawisł między nimi, delektując się nim przez dłuższą chwilę, nim z powrotem spojrziała w górę.

— Ta jest moja — pokazała palcem Acrux, najjaśniejszą gwiazdę Krzyża Południa. To Michael ją dla niej wybrał. Michael... Na wspomnienie o nim poczuła wyrzuty sumienia, lecz tym razem nie były już tak silne.

— A która jest pana? — spytała.

— A powinienem jakąś mieć?

— O tak — skinęła głową. — Koniecznie. — Urwała, po czym niemal nieśmiało spytała: — Czy mogę ją panu wybrać?

— Będę zaszczycony.

Nie żartował, mówił równie poważnie jak ona.

— Tamta — zatoczyła ręką łuk na północ, gdzie skrzył się na niebie pas zodiaku. — Ta gwiazda to Regulus w konstelacji Lwa, znaku, pod którym się pan urodził. Wybieram i podarowuję ci ją, Blaine. — Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu.

— Przyjmuję z największą wdzięcznością. Od tej pory za każdym razem, kiedy na nią spojrzę, będę myślał o tobie, Centaine.

Ten dar, złożony i przyjęty, był jak wyznanie miłości. Oboje to zrozumieli i umilkli pod wrażeniem powagi chwili.

— Skąd wiesz, że urodziłem się pod znakiem Lwa? — spytał w końcu.

— Kazałam sprawdzić — wyznała szczerze. - Przeczuwałam, że dobrze będzie to wiedzieć. Urodziłeś się dwudziestego ósmego lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

— A ty — odparł spokojnie — urodziłaś się pierwszego dnia tego stulecia. Właśnie dlatego nadano ci imię Centaine. Ja też przeczuwałem, że dobrze będzie to wiedzieć.

Następnego ranka ruszli w drogę na długo przed brzaskiem, dalej na wschód, w ślad za buszmeńskimi zwiadowcami.

Po wzejściu słońca z nieba spłynął na nich niemiłosierny żar, wysuszający pot na końskiej skórze, pokrywający zwierzęta skorupą kryształków soli. Żołnierze jechali ze zwieszonymi ramionami, jakby przytłoczeni jakimś ogromnym ciężarem. Słońce minęło zenit i zaczęło chylić się ku zachodowi. Cienie wydłużały się szybko, pustynia odzyskała swe kolory, zabarwiła się wszystkimi odcieniami ochry, brzoskwiniowego różu i ciemnego bursztynu.

Biegnący przodem Kwi przystanął nagle i rozdymając nozdrza płaskiego nosa zaczął wietrzyć jak pies myśliwski wystawiający bażanta. Gruby Kwi natychmiast poszedł w jego ślady. Powietrze było suche, przesycone zapachem rozpalonych żarem kamieni.

— Co oni robią? — spytał Blaine, ściągając wodze. Nim Centaine zdążyła odpowiedzieć, Kwi wydał z siebie piskliwy okrzyk i co sił w nogach popędził do przodu, a Gruby Kwi tuż za nim.

— Woda! — zawołała Centaine unosząc się w strzemionach. — Poczuli wodę!

— Mówisz poważnie? — popatrzył na nią z niedowierzaniem Blaine.

— Za pierwszym razem sama nie mogłam w to uwierzyć — roześmiała się. — O'wa potrafił wyczuć wodę z odległości siedmiu kilometrów. Jedziemy, zaraz ci to udowodnię. — Przynagliła wałacha do galopu.

Z mgiełki w przodzie wyłoniła się niska nieregularność terenu, pagórek purpurowego łupku pozbawiony wszelkiej roślinności poza rosnącym na samym szczycie dziwnie skręconym drzewem o korze przywodzącej na myśl skórę jakiegoś przedpotopowego gada. Ten widok obudził w Centaine nostalgiczne wspomnienia. Znała to miejsce. Ostatnim razem była tu z dwojgiem ukochanych żółtoskórych ludzi, ciężarna, oczekując przyjaciela na świat Shasy.

Nim dotarli do pagórka, ujrzeni, że Kwi i jego brat stają jak wryci, jeden obok drugiego, pochylają się i wpatrują w ziemię pod stopami. Na widok nadjeżdżającej Centaine zaszczębiotali coś do niej jeden przez drugiego, wyraźnie poruszeni. Centaine przetłumaczyła ich słowa Blaine'owi, sama zacinając się z podniecenia.

— Natrafiliśmy na ślad. To był De La Rey, co do tego nie ma wątpliwości. Trzej jeźdźcy z południa, kierujący się do wodopoju. Porzucili zajeżdżone zwierzęta, wyraźnie się spieszą, wyciskają z koni ile się da. Już tutaj zaczynały im kuleć. De La Rey wyliczył wszystko bardzo

precyzyjnie.

Z trudem powstrzymała westchnienie ulgi. A więc dobrze odgadła. Lothar kierował się ku granicy kolonii portugalskiej. Jej diamenty były niedaleko przed nimi.

— Kiedy, Kwi? — spytała rozgorączkowana zeskakując z konia, by osobiście zbadać trop.

— Dziś rano, Córko Nam — odparł mały Buszmen, podnosząc rękę i wskazując punkt na niebie, gdzie stało słońce, kiedy Lothar tędy przejeżdżał.

— Niedługo po wschodzie — oceniła. — Wyprzedają nas o jakieś osiem godzin.

— To duża przewaga — powiedział z z troskaną miną Blaine. — Trudno ją będzie nadrobić. Od tej chwili liczy się każda minuta. Oddział na koń!

Kiedy znaleźli się pół miili od pagórka, Centaine odwróciła się w siodle do Blaine'a.

— Pasło się tutaj sporo innych koni. Całe stado przez kilka tygodni. Wszędzie są ich ślady. Było tak jak przewidywałam, jeden z jego ludzi ich tutaj pilnował. Dalsze dowody powinniśmy znaleźć przy wodopoju. — Urwała i wyteżyła wzrok. U podnóża pagórka leżały trzy ciemne bezkształtne kupki.

— Co to jest? — Blaine był równie zaskoczony jak ona. Dopiero kiedy podjechali bliżej, zorientowali się, co to takiego.

— Martwe konie! — zawołała Centaine. — De La Rey zastrzelił te, które zajeździł.

— Nie. — Blaine zeskoczył na ziemię i pochylił się nad trupami zwierząt, że by je lepiej zbadać. — Nie ma dziur od kul.

Centaine rozejrzała się wokół. Dostrzegła prymitywny korral, gdzie w oczekiwaniu na przybycie Lothara trzymano świeże konie, i mały, kryty trawą szałas, w którym mieszkał ich opiekun.

— Kwi! — zawołała. — Znajdź trop odchodzący od tego miejsca. A ty, Gruby Kwi, przeszukaj obóz. Interesuje mnie wszystko co powie nam coś więcej o tych złych ludziach, których ścigamy. — Spięta wałacha i ruszyła do wodopoju.

Wodopój znajdował się tuż obok wzgórza. Wody zaskórne zostały tu schwyte między dwie warstwy nieprzepuszczalnego czerwonego łupku i wypchnięte ku powierzchni. Kopyta dzikiej zwierzyny i nagie stopy Buszmenów, którzy od tysięcy lat gasili tu pragnienie, rozdeptały łupkowe zbocza stromego stożkowatego leja. Woda stała na jego dnie, pięć metrów poniżej powierzchni pustyni.

Od strony pagórka warstwa łupku zwieszała się nad kałużą jak dach werandy, osłaniała wodę przed prażącym słońcem, chroniła przed natychmiastowym wyparowaniem i przyjemnie schładzała. Oczko wodne było maleńkie i czyste, niewiele większe od balii do prania, zasilalo je bijące z głębin ziemi źródło. Centaine z własnego doświadczenia wiedziała, że woda jest słonawa od rozpuszczonych soli mineralnych, ma silny posmak moczu i odchodów ptaków i zwierząt, które przychodziły ją pić.

Samej kałuży poświęciła tylko chwilę uwagi, gdyż jej wzrok padł natychmiast na prymitywny twór ludzkich rąk wzniesiony tuż obok. Szok był tak wielki, że mimowolnie poderwała rękę do ust i wydała z siebie okrzyk przerażenia.

Nad brzegiem wody stała wkopana w twardą ziemię gruba, odarta z kory gałąź. Od dołu podparto ją usypanymi w piramidkę kamieniami, a na czubku, jak hełm, zatknęto pustą puszkę. Pod puszką przybito w poprzek deskę, na której widniał czarny napis, wypalony zapewne końcem rozgrzanego w ogniu wyciora: TA STUDNIA JEST ZATRUTA. Puszka była jaskrawoczerwona, miała namalowaną czarną farbą trupa główkę i skrzyżowane pizczelę, a pod spodem jedno budzące grozę słowo: ARSZENIK.

Blaine podjechał do Centaine. Stali obok siebie tak cicho, że słycać było jak łupek postępuje

pod nimi niczym stygnący piec.

— To wyjaśnia te martwe konie — przerwał w końcu milczenie Blaine. — A to dranie! — Głos mu się łamał z wściekłości. Zawrócił konia i pogalopował z powrotem do swoich ludzi. Centaine usłyszała jak woła: — Sierzancie, sprawdźcie zapas wody. Studnia jest zatruta!

Hansmeyer zagwizdał cicho.

— No, to koniec pościgu. Będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się wrócić do Kalkrand.

Centaine zatrzęsała się z rozpacz i bezsilności. „Wymknie nam się, wymknie — powtarzała raz po raz w duchu. — Wystarczyła jedna sztuczka i już wygrał.”

Wałach poczuł wodę i próbował zejść w głąb leja. Ścisnęła go kolanami i bijąc po karku końcami wodzów zmusiła, żeby się cofnął. Wróciła do reszty, spętała konia i odmierzyła mu do worka porcję owsa zwilżonego odrobiną wody.

— Bardzo mi przykro, Centaine — powiedział cicho Blaine podchodząc do niej. — Będziemy musieli zawrócić. Dalsza jazda bez wody byłaby samobójstwem.

— Wiem.

— Co za draństwo — pokręcił głową. — Zatruc jedyne źródło wody na takim obszarze! To oznacza całkowitą zagładę życia w promieniu wielu, wielu kilometrów. Tylko raz w życiu widziałem coś podobnego. W roku 1915 maszerowaliśmy z Zatoki Wielorybów... — Urwał na widok nadbiegającego Kwi, który trajkotał coś w podnieceniu. — Co on mówi?

— Jeden ze ściąganych jest ranny — odparła szybko Centaine. — Kwi znalazł te bandaże.

Buszmen podał Centaine dwie garście zaplamionych, brudnych pasków materiału.

— Rzuć to na ziemię! — poleciła ostrym tonem.

Już z tej odległości czuła bijący od bandażu odór ropy i rozkładu. Kwi posłusznie położył bandaże u jej stóp, a Blaine wyjął z pochwy przy pasku bagnet i jego czubkiem rozgarnął cuchnące szarpie.

— To jego maska! — zawołała Centaine rozpoznając worek po mące, który Lothar miał naciągnięty na głowę. I worek, i kawałki koszuli w kolorze khaki były sztywne od zakrzepłej krwi i żółtej ropy.

— Chory leżał na ziemi, kiedy pozostali dwaj przekładali siodła na nowe konie, a potem musieli go podnieść i pomóc mu wsiąść. — Kwi wyczytał to wszystko ze śladów.

— Ugryzłam go — powiedziała cicho Centaine. — Kiedy się mocowaliśmy, wbiłam mu zęby w nadgarstek. Do kości. To była bardzo głęboka rana.

— Ludzkie ugryzienie jest niemal równie groźne jak ukąszenie węża — skinął głową Blaine. — Nie opatrzone i nie leczone niemal zawsze kończą się gangreną. De La Rey jest poważnie chory, a sądząc po tym — dotknął czubkiem buta zakrwawionych szmat — jego ręka musi wyglądać fatalnie. Mogliśmy go złapać. W tym stanie niemal na pewno dogonilibyśmy go, nim dotrze do Okayango. Gdybyśmy tylko mieli wodę. — Nie chcąc patrzeć na jej przygnębienie odwrócił się i rzucił szorstko do sierżanta Hansmeyera: — Zmniejszyć racje wody do połowy, sierzancie. Z zapadnięciem nocy ruszamy z powrotem do misji, Jazda w chłodzie nie budzi takiego pragnienia.

Centaine pokręciła się po obozowisku i nie mogąc sobie znaleźć miejsca, powlokła się jeszcze raz do wodopoju. Stała na brzegu leja wpatrując się w nieszczęsny napis na desce.

— Jak mogłeś coś takiego zrobić, Lotharze? — szepnęła. — Jesteś twardy, nie masz nic do stracenia, ale coś takiego...

Zeszła powoli po stromym zboczu i przykucnęła na skraju kałuży. Wyciągnęła rękę i dotknęła palcem wody. Była zimna. „Zimna jak śmierć” — pomyślała. Wytarła starannie palec w nogawkę spodni i zapatrzyła się w głąb źródelka.

Rozmyślała nad uwagą Blaine'a. „Tylko raz w życiu widziałem coś takiego. W roku 1915 maszerowaliśmy z Zatoki Wielorybów... I nagle z jakiegoś zakamarka pamięci dobiegły ją słowa dawno zapomnianej rozmowy. Przypomniała sobie twarz Lothara oświetloną blaskiem ogniska i wyraz udręki w jego oczach, gdy czynił jej to wyznanie.

— Musieliśmy to zrobić, a przynajmniej tak nam się wtedy zdawało. Wojska Związku siedziały nam na karkach. Ale gdybyśmy wiedzieli, jakie będą tego skutki... — Urwał i zapatrzył się w ogień. Tak go wtedy kochała. Należała do niego. Choć tego jeszcze nie wiedziała, nosiła już wtedy w łonie jego dziecko. Dotknęła wówczas jego ręki gestem pocieszenia.

— To już nie ma żadnego znaczenia — szepnęła, ale on spojrzał na nią z rozpaczą.

— Właśnie, że ma, Centaine — powiedział. — To była najpodlejsza rzecz, jaką zrobiłem w całym swoim życiu. Kiedy wróciłem tam miesiąc później, czułem się jak morderca. Smród bił na kilometr wokoło. Wszędzie wały się trupy. Zebr, oryksów, szakali, małych pustynnych lisów, ptactwa... Nawet sępów, które ucztowały na gnijącej padlinie. Tyle śmierci. Ten widok zapamiętam do końca swych dni. To jedyny postępek w moim życiu, którego się naprawdę wstydzę, coś, z czego przyjdzie mi się jeszcze rozliczyć.

Wyprostowała się powoli. Rozpacz i poczucie bezsilności zaczęły ustępować, wyparte narastającym podnieceniem. Jeszcze raz dotknęła wody obserwując kółko zmarszczek mącących jej kryształowe lustro.

— On to mówił poważnie — powiedziała na głos. — Naprawdę się tego wstydził. Nigdy w życiu już by tak nie postąpił. — Na myśl o tym, co ma zamiar zrobić, po plecach przebiegły jej ciarki strachu, więc żeby dodać sobie odwagi, ciągnęła dalej: — To blef. Ten napis to zwykły blef. To niemożliwe, żeby... — Urwała, przypomniawszy sobie trzy martwe konie. — Otruł je. I tak nie miały szans przeżycia, więc je otruł, żeby uwiarygodnić swój blef. Pewnie podał im ten arszenik w kuble. Ale nie mógł zatruć całego wodopoju. Nigdy w życiu nie zrobiłby tego po raz drugi.

Zdjęła powoli kapelusz i odgarnęła jego szerokim rondem kurz i śmieci unoszące się na powierzchni. Potem nabrała węń czystej, chłodnej wody i uniosła go przed sobą w obu rękach, zbierając się na odwagę. Wzięła głęboki oddech i przytknęła kapelusz do ust.

— Centaine! — dobiegł ją zza pleców wstrząśnięty i zrozpaczony krzyk Blaine'a. W dwóch susach znalazł się na dnie leja i wyrwał jej kapelusz z rąk. Woda chlusnęła jej na kolana, przemoczyła spodnie. Chwycił ją za ramiona i jednym szarpnięciem postawił na nogi. Twarz miał nabrzmiałą, policzki mu pociemniały, a oczy jarzyły się niepohamowanym gniewem.

— Czyś ty, kobieto, zupełnie zwariowała? — ryknął na cały głos, potrząsając nią brutalnie, wbijając jej palce w ramiona.

— Blaine, to boli.

— Boli? Spralbym cię na kwaśne jabłko, ty stuknięta...

— Blaine, to jest blef, jestem tego pewna — powiedziała teraz już nie na żarty przestraszona. W gniewie wyglądał wprost strasznie. — Blaine, proszę cię! Proszę cię, posłuchaj!

Zobaczyła, że wyraz jego oczu ulega zmianie, powoli odzyskał panowanie nad sobą.

— O Boże... — wykrztusił z siebie, dysząc, jakby właśnie dobiegł do mety maratonu. — A ja myślałem...

— Blaine, to boli — powtórzyła głupkowato. Tym razem natychmiast ją puścił.

— Przepraszam — powiedział. — Nigdy więcej me rób czegoś takiego. Następnym razem nie odpowiadam za siebie.

— Blaine! Wysłuchasz mnie wreszcie czy nie?! To jest blef. On nie zatrzał tej wody. Mogę za to dać głowę.



— Jeszcze chwila i nie miałabyś co dawać, bo byłbym ci ją ukręcił — warknął, ale zaczął słuchać. — Jak do tego doszłaś? — przysunął się bliżej, zaciekawiony i gotów dać się przekonać.

— Kiedyś go znałam. Znałam go bardzo dobrze. Słyszałam, jak złożył pewną przysięgę. To on zatrul ten wodopój, o którym mówiłaś, wtedy, w dziewięćset piętnastym. Przyznał się do tego, ale przysięgał, że nigdy więcej nie byłby w stanie zrobić czegoś podobnego. Opisał mi zagładę zwierzyny, jaką wtedy spowodował, i przysiągł, że już nigdy tego nie zrobi.

— A te martwe konie? — spytał. — Jak to wytłumaczysz?

— Otruł je, rzeczywiście je otrul. Ale i tak musiał je jakoś uśmiercić. Do niczego się już nie nadawały, a przecież nie mógł ich zostawić na pożarcie iwow.

Blaine podszedł do brzegu i spojrzał w głąb wody.

— Miałaś zamiar podjąć takie ryzyko... — Wzdrygnął się, odwrócił i zawołał rozkazująco: — Sierzancie Hansmeyer!

— Słucham, sir! — Hansmeyer biegł już od spętanych koni.

— Proszę przyprowadzić okulałą klacz. — Sierżant natychmiast zawrócił i po chwili pojawił się z klaczą. Utykała na przednią prawą nogę, więc i tak musieliby ją tu zostawić.

— Proszę ją napoić! — rozkazał Blaine.

— Słucham?! — Hansmeyer wydawał się zupełnie zdezorientowany, a kiedy pojął o co chodzi dowódcy, na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju. — Ze źródła? Źródło jest zatrute, sir!

— Właśnie mam zamiar to sprawdzić — wyjaśnił mu z zaciętą miną Blaine. — Niech pan pozwoli jej się napić.

Czarna klacz skwapliwie zeszła na dno leja i zgięła długą szyję, by dosięgnąć wody. Piła łapczywie, wielkimi, długimi haustami. Woda przelewała się i gulgotała jej w brzuchu, który na ich oczach coraz bardziej pęczniał.

— Nie pomyślałam, żeby sprawdzić to na koniu — szepnęła Centaine. — To będzie straszne, jeśli się pomyliłam.

Hansmeyer pozwolił klaczy napić się do syta, a Blairie polecił mu zaprowadzić ją z powrotem do reszty koni.

— Damy jej godzinę — zdecydował, spoglądając na zegarek. Potem wziął Centaine za rękę, zaprowadził ją w cień łupkowego nawisu i oboje usiedli na ziemi.

— Mówisz, że go znałaś? — odezwał się w końcu. — Jak dobrze?

— Pracował u mnie, wiele lat temu. Wykonywał pierwsze roboty przy założeniu kopalni. Wiesz przecież, że jest inżynierem.

— Tak, wiem, że jest inżynierem, to było w jego aktach. — Umilkł na dłuższą chwilę. — Musiałaś go chyba jednak znać bardzo dobrze, skoro wyznał ci coś takiego. Poczucie winy to niezwykle osobista sprawa.

Nie zareagowała. „Co miałabym mu powiedzieć? — pomyślała. — Że byłam kochanką Lothara De La Reya? Że kochałam go i urodziłam mu syna?”

Nagle Blaine roześmiał się półgłosem.

— Zazdrość to rzeczywiście jedno z mniej pięknych uczuć. Wycofuję pytanie. To była impertynencja. Wybacz mi, proszę.

Położyła mu rękę na ramieniu i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Co nie oznacza, że darowałam ci już to, że mnie tak paskudnie wystraszyłaś — ciągnął z udawaną powagą. — Nadal chętnie przełożyłbym cię przez kolano.

Na myśl o tym poczuła zabawny perwersyjny dreszczyk podniecenia. Poprzednim wybuchem wściekłości napędził jej porządnego strachu, co także ją podnieciło. Nie golił się od czasu

opuszczenia misji. Brodę miał gęstą i ciemną jak futerko wydry, tyle tylko, że pobłyskiwał w niej jeden jedyny siwy włos. Rósł przy samym kąciku ust lśniąc, jak gwiazda na zachmurzonym nocnym niebie.

— Na co tak patrzysz? — spytał.

— Zastanawiam się, czy twoja broda drapie... Na wypadek, gdybyś zamiast wymierzać mi klapsy, zdecydował się mnie pocałować. „Widziała, że walczy ze sobą jak człowiek tonący w powodzi pokusy. Wyobraziła sobie, ile obaw, wątpliwości i pragnień wrze za zasłoną tych zielonych oczu. Spuściła wzrok i postanowiła czekać, nie naciskając, ale i nie wycofując się. Czekać, aż sam pogodzi się z tym, że to nieuchronne.

Kiedy ją pocałował, zrobił to gwałtownie, niemal brutalnie, jakby był zły — na siebie, że nie potrafi się temu oprzeć, i na nią, że wyprowadziła go na niebezpieczne manowce niewierności. Tym pocałunkiem wyssał z niej wszystkie siły. Zwiotczała bezwolnie w jego ramionach i rozchyliła szeroko miękkie, wilgotne wargi. I tylko jej ręce objęły go kurczowo za szyję, jakby żyły własnym życiem.

W końcu oderwał się od niej, wstał i pochyliwszy się spojrział jej W oczy.

— Boże, zmiłuj się nad nami — szepnął i odszedł długimi krokami, zostawiając ją sam na sam z jej radością, niepokojem, poczuciem winy i trawiącym ją ogniem.

W końcu zawołał ją sieżant Hansmeyer. Podeszedł do wodopoju i stanął na krawędzi leja.

— Pułkownik Malcomess o panią pyta.

Z dziwnym uczuciem oderwania od rzeczywistości ruszyła za nim do miejsca, gdzie stały spętane konie. Miała wrażenie, że jej stopy nie dotykają ziemi, że wszystko jest odległe i nierealne jak we śnie.

Blaine stał przy okulałej klaczy, trzymał ją za łeb i głaskał po szyi. Klacz parsknęła cichutko, rozdymała chrapy i skubała fałdy jego bluzy. Kiedy Centaine podeszła bliżej, Blaine spojrział na nią ponad łbem zwierzęcia.

— Nie ma odwrotu — powiedział cicho, a ona zrozumiała dwuznaczność tych słów. —

Ciągniemy dalej... Razem.

— Tak, Blaine — odparła potulnie.

— I do diabła z konsekwencjami! — dorzucił szorstko.

Jeszcze przez chwilę wpatrywali się sobie w oczy, a potem Blaine podniósł głos.

— Sierzancie! — zawołał. — Napoić wszystkie konie i napełnić butle. Mamy dziewięć godzin straty do ściganych.

23

Jechali całą noc. Małym Buszmenom wystarczyła poświata gwiazd i blask skrawka księżyca, by utrzymać się na tropie. Kiedy wzeszło słońce, ślady nadal biegły przed nimi, prosto jak strzeł, wyraźne, wypełnione w ukośnie padających promieniach purpurowym cieniem.

Grupa uciekinierów liczyła teraz czterech jeźdźców, gdyż dołączył do nich ten, który strzegł koni przy wodopoju. Każdy prowadził ze sobą luzaka.

W godzinę od nastania świtu natrafili na miejsce, gdzie poprzedniej nocy obozowali ścigani. Lothar porzucił tu dwa ze swych koni, zmaltretowane brutalnym traktowaniem, wykończone zbyt forsowną jazdą w tych surowych warunkach. Stały obok przysypanych piaskiem pozostałości ogniska. Kwi odgarnął piasek, ukląkł i zaczął dmuchać we wciąż jeszcze żarzące się węgle. Kiedy zapełgał na nich maleńki płomyczek, roześmiał się jak psotnik.

— Nadrobiliśmy pięć, a może nawet sześć godzin — ocenił Blaine, spoglądając na Centaine. Przygarbiona ze zmęczenia, wyprostowała się natychmiast, ale twarz miała bardzo bladą, a oczy

podkrążone Z niewyspania.

— Zajeżdża konie jak syn marnotrawny — powiedziała i oboje spojrzeli na porzucone przez Lothara zwierzęta. Były to dwie klacze, kasztanki, jedna z białą gwiazdką na czole, druga z białymi skarpetkami. Stały ze zwieszonymi łbami, dotykając niemal nozdrzami ziemi. Każdy ruch sprawiał im trudność i ból, z pysków zwisały im obrzmiałe i czarne języki.

— Nie marnował na nie wody — mruknął Blaine. — Biedne zwierzęta.

— Będziesz musiał je dobić.

— Właśnie po to je zostawił, Centaine — powiedział łagodnie Blaine.

— Nie rozumiem.

— Strzały — wyjaśnił. — Będzie nasłuchiwał strzałów.

— Och, Blaine! No to co zrobimy? Nie możemy ich tak zostawić!

— Zaparz kawę i przygotuj śniadanie. Wszyscy jesteśmy wykończeni, i ludzie, i zwierzęta. Nim ruszymy dalej, musimy trochę odpocząć. — Zeskoczył z konia i odwiązał od siodła zrolowany koc. — Ja się zajmę tymi zwierzęcymi wrakami.

Z derką z owczej skóry służącą do podkładania pod koc podszedł do pierwszej klaczy. Stał obok zwierzęcia, odpiął kaburę i wyciągnął pistolet, po czym owinał go dokładnie derką.

Rozległ się stłumiony, głuchy huk wystrzału, klacz runęła na ziemię jak podcięta, wierzgnęła kilka razy konwulsyjnie nogami i znieruchomiła. Kiedy Blaine podszedł do kasztanki z gwiazdką na czole, Centaine odwróciła wzrok i skupiła się na odmierzaniu porcji kawy do cynowego kociołka.

Nie był to właściwie dźwięk, tylko leciutkie drgnienie powietrza, jakby poruszonego skrzydełkiem maleńkiego nektarnika, ale zarówno Swart Hendrick jak i Lothar De La Rey poderwali głowy i wstrzymali konie. Lothar uniesieniem ręki nakazał ciszę. Zamarli w bezruchu wstrzymując oddech.

— Ten numer z arsenikiem nie wypalił — mruknął wielki, czarny jak smoła Oyambo. — Nie trzeba było udawać, tylko naprawdę zatruć tę studnię.

Mimo ogromnego zmęczenia Lothar pokręcił głową.

— Musi pędzić jak wcielona diablica. Są już tylko cztery godziny za nami, a jeśli nie szcędzą koni, to nawet mniej. Do głowy mi nie przyszło, że może tak szybko ruszyć w pościg.

— Wcale nie ma pewności, że to ona — zwrócił mu uwagę Hendrick.

— Ona, ona. — Lothar nie miał co do tego żadnych wątpliwości. — Poprzysięgła, że mnie dopadnie. — Mówił chrapliwym głosem, ze splekanych warg łuszczyła mu się skóra. Oczy miał przekrwione, zaropiałe i mocno podkrążone, a na twarzy wielodniowy trójbarwny zarost, złoto-biało-rudy.

Bandaż na jego ręce sięgał już po łokieć, był mocno przesiąknięty „złotą wydzieliną”. Zawieszony na szyi pas ną naboje służył mu za temblak, a oprócz tego opierał ranną rękę na czarnym stalowym neseserze, przywiązany do łąku siodła.

Odwrócił się, by omieść spojrzeniem równinę za swymi plecami, porośniętą z rzadka kolczastymi krzewami i karłowatymi drzewkami, ale ten wysiłek przyprawił go o kolejny zawrót głowy. Zachwiał się w siodle i uczepił kurczowo nesesera, żeby nie spaść na ziemię.

— Tato! — zawołał Manfred, podtrzymując go za zdrowe ramię. — Tato, dobrze się czujesz? — Twarz chłopca wykrzywił wyraz nie skrywanego strachu o ojca.

Lothar zamknął oczy, nim zdobył się na odpowiedź.

— Nic mi nie jest — wychrypiał.

Czuł, jak zakażenie zdeformowało jego dłoń i przedramię, jak bardzo obrzmiały i opuchły. Miał wrażenie, że skóra stała się cienka jak pergamin i napięta się do ostatnich granic, grożąc w każdej

chwili pęknięciem jak na przejrzałej śliwce. Krew roznosiła żyłami żar gorączki do boleśnie pulsujących węzłów chłonnych pod pachą, a stamtąd dalej, po całym ciele; żar wyciskający pot ze skóry, palący w oczach, dudniący w skroniach, zasnuwający mózg pustynnymi mirażami.

— Dalej... — szepnął. — Musimy jechać dalej...

Hendrick pociągnął za wodze, na których prowadził konia Lothara.

— Zaraz! — powstrzymał go Lothar, chwając się w siodle. — Ile mamy do następnej studni?

— Dotrzemy do niej jutro przed południem.

Lothar zdobył się na jeszcze jeden wysiłek, starając się maksymalnie skupić, ale gorączka wypełniała mu głowę żarem i gęstą mgłą.

— Rzepy... Pora na rzepy...

Hendrick skinął głową. Wieźli je z kryjówki w górach, choć ważyły trzydzieści kilogramów i mocno obciążały jednego z luzaków. Najwyższy czas było pozbyć się części tego ładunku.

— A żeby na pewno się na nie nadziała — wydusił z siebie chrapliwie Lothar — założymy przynętę.

Krótki odpoczynek, spożyty w pośpiechu posiłek, a nawet mocna, gorąca, przesłodzona kawa sprawiły tylko tyle, że Centaine jeszcze mocniej zaczęła odczuwać zmęczenie.

„Nie mogę dopuścić, żeby to zauważył — postanowiła twardo. — Nie poddam się, dopóki i om me ustaną ze zmęczenia.” Ale wysuszona na wiór skóra groziła, że lada chwila zacznie się na niej drzeć jak papier, a słońce raziło ją w oczy z taką siłą, że od promieniującego bólu pękała jej cała czaszka.

Zerknęła z ukosa na Blaine'a. Siedział w siodle prosto, wysoki, niezniszczalny, odporny na zmęczenie i żar, ale kiedy odwrócił głowę i popatrzył na nią, spojrzenie mu złagodniało.

— Za dziesięć minut zrobimy przerwę — powiedział miękko. — Każę wydać porcje wody.

— Nic mi nie jest — zaprotestowała.

— Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Nie ma się czego wstydzić. — Urwał i osłoniwszy oczy ręką wyteżył wzrok, wpatrując się w coś w przodzie.

— Co tam widzisz? — spytała.

— Sam nie bardzo wiem. — Podniósł wiszącą na piersi lornetkę i nastawił ją na ciemną plamkę, która przykuła jego uwagę. — W dalszym ciągu nie wiem, co to jest — powiedział i podał lornetkę Centaine. Spojrzała przez nią i na jej twarzy pojawił się wyraz niezwykłego ożywienia.

— Blame, to kasetka! — zawołała. — Kasetka na diamenty! Porzucili diamenty!

Zmęczenie opadło z niej jak zrzucony płaszcz i mm Blaine zdążył ją powstrzymać, wbiła obcas w boki wałacha, ponagliła go do galopu i wyprzedziła Buszmenów. Dwa luzaki musiały pójść w jej ślady, ciągnięte na naprężonych wodzach. Butle z wodą podskakiwały im dziko na karkach.

— Centaine! — krzyknął Blaine. Spiał swego konia i skoczył do przodu, próbując ją dogonić.

Sierżant Hansmeyer drzemał skulony w siodle, ale kiedy dowódca pogalopował do przodu, natychmiast się poderwał.

— Oddział naprzód! — zawołał i cała grupa ponagliła konie do biegu.

Nagle wałach Centaine zakwicział z bólu i stanął pod nią dęba, omal nie wyrzucając jej z siodła. Utrzymała się na nim tylko dzięki popisowi sztuki jeździeckiej, lecz w tej samej chwili za plecami usłyszała kwik obu luzaków, wierzgających rozpaczliwie, uskakujących w bok, szarpiących napięte wodze. Blaine próbował skrócić w bok, ale było już za późno. Wierzchowiec runął pod nim, a dwa luzaki, rżąc przeraźliwie, miały się na przytroczonych do jego siodła wodzach.

— Stać! — ryknął co sił w płucach, wymachując rozpaczliwie obiema rękami, by za wszelką cenę powstrzymać szarżę Hansmeyera. — Stać, oddział stać!

Sierżant zareagował błyskawicznie. Rzucił konie w bok, zagradzając w ten sposób drogę jadącym jego śladem podkomendnym. Oddział stanął jak wryty, choć jeźdźcy powpadali jedni na drugich, konie stawały dęba i kręciły się w kółko, a w powstałej kotłowninie wszyscy zniknęli w tumanie drobnutkiego pyłu wzbitego kopytami ogłupiałych zwierząt.

Centaine zeskoczyła z siodła i sprawdziła przednie nogi wałacha — obie były zdrowe. Kiedy jednak podniosła tylne kopyto, znieruchomiała, wpatrzona weń z niedowierzaniem. Tkwił w nim zardzewiały żelazny kolec, wbity aż po strzałkę, a z powstałej rany sączyła się już krew, mieszająca się z drobnym pustynnym piaskiem w ciemną błotnistą maź.

Ujęła ostrożnie metalową rozetę, próbując ją wyciągnąć z rany, ale żelazo tkwiło głęboko, a wałach dygotał z bólu. Wyginała, ciągnęła i szarpała, uważając, by nie nadzieć się na pozostałe sterczące kolce, i w końcu udało jej się wyrwać odrażające żelaztwo. Trzymając je w rękę, mokre od krwi zwierzęcia, wstała i spojrzała na Blaine'a. On także usunął z kopyt swego konia dwa raniące zakrwawione kolce.

— Końskie rzepy — powiedział Blaine. — Nie widziałem tego paskudztwa od czasów wojny.

Kawałki żelaza były byle jak wykute, miały kształt pospolitych w afrykańskim yeldzie diabelskich cierni: cztery szpikulce ustawione do siebie pod takim kątem, że jeden z nich zawsze sterczał pionowo w górę. Sześć centymetrów zaostrego żelaza mogło okaleczyć człowieka i każde zwierzę, a także skutecznie podziurawić opony przejeżdżającego pojazdu.

Centaine rozejrzała się dokoła. Na powierzchni wielu metrów kwadratowych piasek usiany był diabelskimi kolcami. Przysypano je cienką warstwą pyłu, by trudniej je było wypatrzeć, co jednak w żaden sposób nie zmniejszało morderczej skuteczności ich działania.

Pochyliła się szybko, by uwolnić od żelaztwa wszystkie trzy swoje konie. Wałach miał kolce w obu tylnych kopytach, jeden z luzaków w trzech nogach, drugi w dwóch. Wyrwała z kopyt zwierząt zakrwawione kolce i ze złością cisnęła je daleko w bok.

Oddziałek Hansmeyera zeskoczył z koni, by pomóc Centaine i Blaine'owi. Stąpając niezwykle ostrożnie, gdyż szpikulce mogły bez trudu przebić najgrubszą podeszwę buta, oczyścili wąski pas ziemi, tworząc korytarz, którym dałoby się wyprowadzić konie w bezpieczne miejsce. Wszystkie zwierzęta były jednak brutalnie okaleczone. Kuśtykały powoli i z wyraźnym trudem, wzdragając się przed dotykaniem ziemi uszkodzonymi kopytami.

— Sześć — szepnął z goryczą Blaine. — Niech no ja dostanę tego bydlaka w swoje ręce. — Wyciągnął z kabury przy siodle służbowy karabin i zwrócił się do Hansmeyera: — Przełożyć nasze siodła na dwa luzaki. Dopełnić wszystkie butle wodą z butli na rannych zwierzętach. Niech dwaj z pańskich ludzi wytyczą ścieżkę wokół miejsca, gdzie rozrzucono żelaza. Ruszać się! Nie mamy chwili czasu do stracenia!

Centaine zostawiła ich i ruszyła do przodu, uważnie omijając obszar zmieniony w pułapkę. Podeszła do lakierowanej na czarno stalowej kasety, która ją tu zwabiła, i podniosła ją z ziemi. Wieko, nie przytrzymywane zamkiem odstrzelonym przez Lothara, opadło. Odwróciła kasetę do góry dnem. Była pusta. Wypuściła ją z ręki i obejrzała się przez ramię.

Ludzie Blaine'a szybko się uwinęli. Siodła przełożono już na dwa zdrowe luzaki, jej na gniadosza, którego prowadził Hansmeyer. Cały oddział objeżdżał gęsiego szerokim kołem niebezpieczny obszar, wszyscy wychylali się głęboko z siodła, by sprawdzić, czy droga wolna jest od kolców. Wiedziała, że od tej chwili trzeba będzie nieustannie wyteżać uwagę, bo Lothar, jak go znała, na pewno nie rozrzucił tutaj wszystkich swoich kolców. Jeszcze nieraz przyjdzie im się na nie natknąć.

— Jesteśmy gotowi do dalszej drogi, proszę pani — powiedział Hansmeyer podjeżdżając do

niej. Podał jej wodze gnadosza, a kiedy wsiadła, wszyscy obejrzelisi się za siebie.

Blaine stał tyłem do nich z karabinem u boku, zwrócony twarzą w stronę sześciu okaleczonych zwierząt. Spuścił głowę, jakby się modlił, choć może tylko zbierał siły przed tym, co miał zrobić.

Uniósł ją powoli i jednym ruchem podrzucił kolbę do ramienia. Strzelał nie opuszczając broni, prawą ręką błyskawicznie przesuwając w przód i w tył zamek karabinu. Wystrzały rozbrzmiały tak szybko po sobie, że zwały się w jeden przeciągły, grzechoczący huk. Konie zwały się w jedną stertę drgających konwulsyjnie ciał. Dopiero wtedy odwrócił się w ich stronę i nawet z tej odległości Centaine ujrzała wyraz jego twarzy.

W tym momencie stwierdziła, że sama płacze. Łzy ciekły jej po policzkach, nie była w stanie ich powstrzymać. Po chwili Blaine podjechał do niej, lecz kiedy je dostrzegł, wbił wzrok przed siebie, dając jej czas na wzięcie się w garść.

— Straciliśmy prawie godzinę — mruknął. — Oddział naprzód!

Do zapadnięcia zmroku Buszmeni jeszcze dwukrotnie zatrzymywali kolumnę i prowadzali ją ostrożnie wokół miejsc usianych groźnymi kolcami. Za każdym razem kosztowało ich to utratę wielu cennych minut.

— Tracimy szanse — zawyrokował Blaine. — Usłyszeli strzały z karabinu, są ostrzeżeni i czujni. Wiedzą, że gdzieś tam w przodzie czeka na nich zmiana koni. Więc wyciskają z tych, na których jadą, ostatni dech. Na co my się nie możemy odważyć.

Kiedy zostawili za sobą pustkowia Buszmanlandu i znaleźli się w znacznie bardziej przyjaznym, upstrzonym tu i tam rzadkimi lasami rejonie Kayango, krajobraz uległ raptownej zmianie.

Falujące grzbiety prastarych, zbitych wydm porastały wysokie drzewa, piękne krzaczaste wierzby kombretum i albizje o delikatnych, pierzastych liściach, a między nimi zieleniły się zagajniki młodych drzew mopani. W płytkich dolinach ścieliły się łąki pustynnych traw, których srebrzyste i czerwone kłosa sięgały przejeżdżającym aż do strzemion.

Woda występowała tu dość płytko pod powierzchnią i cała przyroda reagowała na jej obecność. Po raz pierwszy od wyjazdu z misji Kalkrand ujrzeli większą zwierzynę, zebry i złoto-czerwone impale, a to znaczyło, że do studni pozostało nie więcej niż kilka kilometrów, bo zwierzęta tych gatunków muszą pić wodę codziennie.

A była już po temu najwyższa pora. Konie z chwili na chwilę traciły siły, chwiały się pod ciężarem jeźdźców i ledwie wlokły do przodu. W butlach pozostało już tylko resztkę wody, która jakby drwiła z ich pragnienia, chlupocząc głośno przy każdym kroku.

Lothar De La Rey nie mógł już utrzymać się w siodle o własnych siłach. Swart Hendrick podtrzymywał go z jednej strony, a jego bękarci syn, Klein Boy, z drugiej. Kiedy w nagłych atakach delirium wybuchał głośnym śmiechem, zaczynał bredzić na cały głos i osuwać się na ziemię, chwyтали go mocniej pod ramiona i ratowali przed upadkiem. Manfred włókł się z tyłu, przygnębiony i wystraszony stanem ojca, ale zbyt spragniony i wyczerpany, żeby im pomagać.

Z trudem wspięli się na kolejny grzbiet nie kończącego się morza wydm. Swart Hendrick uniósł się w strzemionach i zajrzał do otwierającej się przed nimi płytkiej niecki o łagodnych zboczach, nie śmiejąc nawet mieć nadziei, by w tym kraju pozbawionym wszelkich znaków orientacyjnych, gdzie każdy widok był wierną kopią poprzedniego krajobrazu i lustrzanym odbiciem następnego, udało im się trafić prosto do celu. Tu pozostawało tylko zdać się na słońce i instynkt stworzenia urodzonego i wychowanego na pustyni.

I nagle serce zabiło mu radośniej, bo daleko w przodzie, dokładnie tam, gdzie pamiętał, ujrzał strzelające w górę szare pnie drzew mopani, które wykarmione pobliską wodą rozrosły się do gigantycznych rozmiarów, i cztery wielkie parasole koron akacji. A pomiędzy pniami delikatnie

pobłyskiwała tafla stojącej wody.

Konie zdobyły się na ostatni wysiłek, zbiegły kulawym truchtem ze zbocza, dotarły do drzew i przebrnęły przez pas grząskiej gliny otaczającej zagłębienie z kałużą.

Kałuża miała w najszerszym miejscu dziesięć kroków średnicy, woda w niej sięgała po kolana i była koloru kawy z mlekiem. W czarnej glinie na jej brzegach widniały wyraźnie odcisnięte i wypalone słońcem na beton ślady kopyt, nóg i łap dziesiątków gatunków dzikich zwierząt:

od mrowia maleńkich klinowatych tropów przepiórek i kuropatw, po okrągłe, wielkie jak miednica odciski nóg dorosłego słonia.

Hendrick i Klein Boy wjechali końmi do kałuży, zsunęli się z siodeł i padłszy na kolana w ciepłą, błotnistą wodę, zaczęli chłeptać ją łapczywie ze złożonych dłoni, parskając, prychnając i zanosząc się śmiechem ze szczęścia.

Manfred pomógł ojcu zsiąść z konia przed pasem gliny, a Lothar natychmiast osunął się na ziemię, z trudem zachowując pozycję siedzącą. Chłopiec podbiegł do kałuży, nabrał w kapelusz wody i przyniósł ją ojcu.

Lothar pił chciwie ogromnymi łykami, krztusząc się i kaszląc, gdy woda wpadała mu do tchawicy. Twarz miał obrzmiałą i rozpaloną, oczy błyszczały mu od gorączki, całe ciało trawił ogień roznoszonego przez krew zakażenia.

W końcu Swart Hendrick ruszył w stronę brzegu, woda chlupotała mu w butach, ściekała strugami z przemoczonego ubrania. Wciąż jeszcze szczerzył się w uśmiechu, gdy raptem coś sobie przypomniał i stanął jak wryty. Potoczył w koło osłupiałym spojrzeniem i uśmiech zniknął z jego grubych czarnych warg.

— Żywego ducha... — mruknął z niedowierzaniem. — Byk i Giczoł... Gdzie oni się podzieli?

Pryskając w koło wodą przy każdym kroku, rzucił się biegiem w stronę byle jak skleconego szałas, stojącego w cieniu najbliższej rozłożystej akacji.

Szałas był pusty i dawno porzucony. Węgle z ogniska wały się w promieniu kilku metrów; najświeższe ślady pochodziły sprzed wielu dni — nie, sprzed tygodni! Z narastającym zdenerwowaniem przeszukał pospiesznie okoliczne zarośla i w końcu biegiem wrócił do Lothara, którego Manfred z pomocą Klein Boya przeniósł w cień i oparł o pień drzewa.

— Uciekli — domyślił się Lothar. — Mogłem się tego spodziewać. Dziesięć koni, po pięćdziesiąt funtów każdy. Za duża pokusa jak na nich. — Odpoczynek i woda wyraźnie go wzmocniły. Mówił jasno i przytomnie.

— Musieli uciec w kilka dni po tym, jak ich tu zostawiliśmy. — Hendrick opadł ciężko na ziemię koło Lothara. — Sprzedali konie Portugalczykowi i wrócili do żon.

— Obiecuj mi, Hendrick, że kiedy ich spotkasz, nie będziesz się spieszył. Zabijaj ich powoli, bardzo powoli.

— Już teraz marzy mi się, jak to zrobię — szepnął Hendrick. — Najpierw każę im zjeść własne męskości. Odetnę im je tępym nożem i będę nimi karmił po kawałku.

Umilkli, wpatrując się w swoje cztery konie stojące nad brzegiem kałuży. Brzuchy miały wzdęte od wody, ale łby zwiesiły żałośnie, dotykały niemal chrapami spieczonej gliny.

— Do rzeki sto kilometrów, co najmniej sto — przewał milczenie Lothar i zaczął odwijać rękę z przesiąkniętych ropą szmat.

Jego dłoń wyglądała wręcz groteskowo, miała wielkość i kształt wyrośniętego melona, palce sterczały sztywno z sonej kuli ciała. Opuchlizna objęła już całe przedramię, powiększając trzykrotnie jego obwód, sięgała aż po łokieć. W kilku miejscach skóra nie wytrzymała i pękła, a z pęknięć tych sączyła się przezroczyta limfa. Rany po ugryzieniach zmieniły się w głębokie, żółte, oślizłe doły o

brzegach rozchylonych jak płatki kwiatu. Bijący z nich fetor był siodki i duszący, wciskał się do nosa i gardła, przyprawiając o mdłości.

Powyżej łokcia ręka nie była już tak obrzmiała, ale spod skóry przeświecały szkarłatne pręgi biegnące aż do barku. Sięgnął ręką pod pachę i delikatnie obmacał powiększone węzły chłonne. Były twarde, jak obrośnięte ciałem kule z muszkietu.

„Gangrena — szepnął w duchu. Teraz dotarło do niego, że roztwór kwasu karbolowego, którym z początku przemywał rany, tylko wszystko pogorszył. — Za silny, za silny roztwór. — Kwas zniszczył naczynka włosowate wokół rany torując drogę zgorzeli.

Trzeba odjąć rękę” — spojrzał wreszcie prawdzie w oczy i nawet zaczął rozważać, czy nie zdołałby sam przeprowadzić tej operacji. Wyobraził sobie, że trzeba by zacząć od łokcia i ciąć...

„Mowy nie ma — zdecydował. — Nawet myśleć o tym nie mogę. Trzeba jechać dalej, dopóki gangrena pozwoli... Przez wzgląd na Maniego” — Podniósł oczy na syna.

— Potrzebne mi są nowe bandaże. — Starał się mówić pewnie i stanowczo, ale z jego ust dobyło się coś jak krakanie kruka. Chłopiec drgnął i oderwał wzrok od gnijącej ręki.

Lothar posypał ranę kryształami karbolu — całą resztą, jaka mu jeszcze pozostała — i owinął ją paskami podartego koca. Cała zapasowa odzież już dawno poszła na bandaże.

— Ile ją od nas dzieli, Henny? — spytał, zawiązując supeł na opatrunku.

— Chyba zwiększyliśmy trochę przewagę. Muszą bardzo oszczędzać konie. Ale spójrz na nasze. Jedno ze zwierząt dało za wygraną i położyło się na brzegu kałuży.

— Są pięć do sześciu godzin za nami.

A do rzeki pozostało sto kilometrów i nie było żadnej gwarancji, że pogoń uhonoruje granicę i nie będzie ich ścigać dalej. Nie musiał wyrażać na głos swoich niepokojów; wszyscy aż za dobrze zdawali sobie z tego sprawę.

— Przynieś diamenty, Manie — szepnął.

Chłopiec położył obok niego brezentowy worek, a Lothar ostrożnie go rozpakował. Wewnątrz znajdowało się dwadzieścia osiem małych kartonowych pakunków, opieczętowanych czerwonym woskiem. Lothar podzielił je na cztery kupki po siedem paczuszek w każdej.

— Dzielimy po równo — powiedział. — Nie ma czasu szacować wartość każdej paczki, więc rozłożyłem je na cztery kupki i wybieramy od najmłodszego. — Spojrzał na Hendricka. — Zgoda?

Swart Hendrick zrozumiał. Podział łupu oznaczał ostateczne przyznanie, że nie wszyscy czterej dotrą do rzeki. Spuścił wzrok z twarzy Lothara. Nie rozstawał się z tym złotowłosym białym diabłem od niepamiętnych czasów najwcześniejszej młodości. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, co ich ze sobą łączy. Wszyscy biali budzili w nim nieodmiennie wrogość i nieufność — poza tym jednym. Tyle razem dokonali, tyle widzieli, tyle wspólnie przeżyli. Nie określał tego mianem miłości czy przyjaźni, a jednak na myśl o bliskim rozstaniu zdjęła go taka rozpacz, jakby szedł na spotkanie śmierci.

— Zgoda — powiedział głębokim, dźwięcznym głosem o brzmieniu basowego dzwonu i spojrzał na białego chłopca. Ten człowiek i jego syn stanowili dla Hendricka jedność. Wszystko, co czuł do ojca, czuł także do jego syna. — Wybieraj, Manie.

— Sam nie wiem... — mruknął Manfred i schował ręce za plecy, jakby wzdragał się przed dotknięciem diamentów.

— Wybieraj — poparł Hendricka Lothar i chłopiec posłusznie dotknął najbliższej kupki.

— Weź je do ręki — polecił Lothar i spojrzał na syna Hendricka. — Twoja kolej, Klein Boy. Pozostały dwie kupki.

— Ile masz lat, Henny? — spytał Lothar rozciągając w uśmiechu spękane wargi.



— Jestem stary jak spalone słońcem góry i młody jak pierwszy wiosenny kwiat — odparł Oyambo i obaj się roześmieli.

„Gdybym miał tyle diamentów, ile razy się razem śmieliśmy — pomyślał Hendrick — byłbym najbogatszym człowiekiem świata.” Z trudem udało mu się zachować uśmiech.

— Ty musisz być młodszy — powiedział na głos — bo zawsze musiałem się tobą opiekować jak mańka. Wybieraj!

Lothar podsunął wybraną kupkę synowi.

— Schowaj to.

Manfred włożył przypadającą na nich część łupu do brezentowego worka na obrok, a obaj Murzyni wepchnęli swoje paczuszki do kieszeni kurtek.

— A teraz napełnijcie butle wodą — powiedział Lothar. — Do granicy zostało tylko sto kilometrów.

Kiedy wszystko było gotowe do wyruszenia w dalszą drogę, Hendrick pochylił się nad Lotharem, żeby pomóc mu wstać, ale ten odepchnął z irytacją jego rękę i podniósł się sam, wspierając się na pniu akacji.

Jednego z koni nie udało się zmusić do wstania, więc zostawili go leżącego na brzegu studni. Drugi padł, nim przeszli pierwszy kilometr, ale pozostałe dwa wlokły się jakoś do przodu. Zaden nie był już w stanie unieść człowieka, ale na jednego załadowano butle z wodą, a na drugim, jak na kuli, wspierał się Lothar. Brnął chwiejnie u boku zwierzęcia, objąwszy j zdrową ręką za kark.

Pozostali trzej zmieniali, się przy prowadzeniu koni, prac uparcie na północ. Od czasu do czasu Lothar wybuchał bez powodu śmiechem albo śpiewał silnym, czystym głosem, ciągnąc melodię tak pięknie, że Manfred oddychał głębiej z ulgą. Ale potem głos mu zaczynał drżeć, łamał się, przechodził w ochrypy skrzek. Krzyczał, bredził, błagał o coś zrodzone z gorączki widma, które tłoczyły się wokół niego, a Manfred wracał biegiem do tyłu, podtrzymywał ojca, objąwszy go ręką w pasie, i Lothar powoli uspokajał się i cichł.

— Dobry z ciebie chłopak, Manie — szeptał. — Zawsze byłeś dobrym dzieckiem. Teraz czeka cię wspaniałe życie... Najlepsze szkoły... Wyrośniesz na prawdziwego dżentelmena. .. Pojedziemy razem do Berlina... Pójdziemy do opery...

— Ocli, tato, nie mów tyle, oszczędzaj siły.

I Lothar znów zapadał w przygnębiające milczenie. Szurając butami i potykając się co krok, włókł się mechanicznie do przodu. Tylko kark brnącego obok z najwyższym trudem konia i silne młode ramię syna chroniły go przed upadkiem twarzą w dół, w rozpalony słońcem piasek Kalahari.

Daleko w przodzie, ponad linią rzadkiego, zwarzonego skwarem lasu zamajaczył pierwszy granitowy kopiec. Był gładki i okrągły jak perła i jak perła lśnił srebrzyście w palących promieniach słońca.

24

Centaine zatrzymała konia na grzbiecie wzniesienia i spojrzała na otwierającą się przed nią płytką nieckę. Rozpoznała wysokie drzewa, z których górnych gałęzi przed wielu, wielu laty zobaczyła po raz pierwszy w życiu dńkieg słońca. Część dzieciennego zachwyty, jaki wtedy ją ogarnął, miała w niej pozostać już na zawsze. Potem dostrzegła wodę i natychmiast zapomniała o wszystkim innym. Nie tak łatwo było zapanować nad końmi, kiedy ją poczuły. Słyszała o podróżnikach, którzy skonali z pragnienia nad brzegiem wody, pozwolwszy bydłu lub koniom wyrwać się do przodu i rozdeptać studnię w grząskie bagno. Ale, Blaine i jego sierżant byli ludźmi doświadczeniymi, powściągnęli zwierzęta twardą ręką.

Natychmiast po napojeniu i uwiązaniu koni Centaine ściągnęła buty, wbiegła w ubraniu do

sadzawki i zanurzyła się cała, mocząc włosy i odzież i rozkoszując się chłodem mulistej wody.

Po drugiej stronie Blaine wszedł po kolana w kałużę i rozebrany do pasa i polewał głowę wodą ze złożonych dłoni. Zaczęła mu się ukradkiem przyglądać. Po raz pierwszy widziała go bez koszuli. Pierś porastały mu gęste włosy, ciemne i sprężyste, mieniające się teraz kropelkami wody. Pod prawym sutkiem miał czarny pieprzyk, który nie wiadomo z jakiego powodu ogromnie ją zaintrygował, lecz poza tym jego ciało było bez skazy; skóra miała połysk wygładzonego marmuru, jak na posągu Dawida dłuta Michała Anioła, a wszystkie mięśnie rysowały się pod nią twardo i wyraźnie. Pod szyją miał ciemnobrązowy klin w kształcie litery „Y”, a na rękach opalenizna sięgała mu aż do miejsca, gdzie kończą się krótkie rękawy letniej koszuli. Wszędzie indziej jego skóra miała barwę kości słoniowej, co wydało jej się tak pociągające, że musiała szybko odwrócić wzrok.

Kiedy do niego podeszła, pospiesznie naciągnął z powrotem koszulę, która natychmiast pokryła się ciemnymi plamami wody z mokrego ciała. Ta wstydlivość wywołała na jej twarzy uśmiech.

— De La Rey nie zastał tu świeżych koni — powiedziała.

— Jesteś tego pewna? — spytał wyraźnie zaskoczony.

— Kwi mówi, że było tu dwóch ludzi i wiele koni, ale że odeszli stąd już dawno temu. On urnie liczyć tylko do dziesięciu, na palcach rąk, a to było jeszcze wcześniej. Tak, jestem pewna, że De La Rey nie znalazł tu świeżych koni.

Blaine zaczesał dłońmi mokre włosy gładko do tyłu.

— W takim razie coś musiało mu pokrzyżować plany. Nigdy w życiu nie skatowałby tak tych, na których jechał, gdyby nie spodziewał się, że tu je zmieni.

Kwi mówi, że odeszli stąd pieszo. Prowadzą te zwierzęta, które im pozostały, za uzdy, bo pewnie są zbyt słabe, żeby unieść człowieka. — Urwała, gdyż w tej samej chwili Kwi zaczął ją przywoływać do miejsca pod drzewami. Oboje z Błamem ruszyli szybko w jego stronę.

— Postawili wszystko na jedną kartę — orzekł Blaine, ujrzawszy pod akacją stertę porzuconego ekwipunku. — Siodła, puszki z żywnością, koce, menażki... — Rozgarnął nogą pozostawione rzeczy. — Na Boga, tak jest! Reszta tych przeklętych kolców! — Przewrócił na bok małą drewnianą skrzynkę, z której wysypało się na ziemię kilka ostatnich kilogramów odrażającego żelastwa. — Porzucili absolutnie wszystko, co się dało, i podjęli ostatnią rozpaczliwą próbę dotarcia do rzeki.

— Patrz! — zawołała Centaine.

Podszedł do niej i przyjrzał się kupce przesiąkniętych ropą bandaży leżących u jej stóp.

— Jego stan się pogarsza — powiedziała cicho Centaine, ale w jej głosie nie było słychać zadowolenia, a oczy nie błyszczały jej triumfem. — On umiera, Blaine.

Ogarnęło go niewytłumaczalne współczucie, poczuł chęć, żeby ją jakoś pocieszyć.

— Gdyby udało nam się dowieźć go do lekarza... — Urwał. Ten odruch był zupełnie niedorzeczny. Ścigał groźnego przestępcę, który przy pierwszej sposobności nie zawahałby się zastrzelić go na miejscu.

— Sierzancie Hansmeyer! — zawołał ostrym tonem. — Ruszamy za godzinę. Proszę dopilnować, żeby ludzie zostali nakarmieni, a konie jeszcze raz napojone. — Odwrócił się z powrotem do Centaine i z ulgą stwierdził, że wzięła się w garść.

— Godzina to mało... Trzeba jak najlepiej wykorzystać każdą chwilę.

Usiedli obok siebie w cieniu pod drzewem. Nie jedli zbyt dużo; upał i zmęczenie odebrały im apetyt. Blaine sięgnął ręką po cygaro, ale po chwili namysłu zmienił zdanie. Schował je z powrotem do skórzanej cygarnicy, a cygarnicę do kieszeni bluzy.

— Kiedy cię poznałem, myślałem, że jesteś piękna i twarda jak twoje diamenty — powiedział.

— A teraz?

— Widziałem, jak płakałaś nad okaleczonymi końmi, wyczułem w tobie głębokie współczucie dla człowieka, który wyrządził ci okrutną krzywdę. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Kalkrandu, byłem w tobie zakochany. Zakochałem się w tobie zresztą już wcześniej, chyba od pierwszego wejrzenia. Nic me mogłem na to poradzić. Ale teraz zdążyłem cię także polubić i poczuć dla ciebie szacunek.

— Czy to nie idzie w parze z miłością?

— Nie zawsze idzie w parze z zakochaniem.

Umilkli na chwilę, po czym Centaine podjęła próbę wyjaśnień.

— Widzisz, Blaine, od wielu lat jestem zupełnie sama, a do tego mam dziecko, o które się muszę troszczyć, któremu muszę zapewnić przyszłość. Kiedy jako młoda dziewczyna przybyłam do tego kraju, przeszłam na tej pustyni twardą, bezlitosną szkołę życia. Nauczyłam się, że nie mogę polegać na nikim oprócz samej siebie, że przetrwać można tylko dzięki własnej sile i determinacji. To się nie zmieniło. Nadal nie mam nikogo, na kim mogłabym polegać. Czyż nie tak, Blaine?

— Chciałbym, żebyś miała. — Nie próbował unikać jej spojrzenia, patrzył jej prosto w oczy. — Chciałbym...

Urwał, a ona dokończyła za niego:

— Ale masz Izabelę i swoje córeczki.

— Tak — skinął głową. — One me dadzą sobie same rady.

— A ja tak. To chciałeś powiedzieć, prawda?

— Proszę cię, nie miej do mnie żalu. Nie chciałem tego, nie zabiegałem o to. Nigdy nie składałem ci żadnych obietnic.

— Przepraszam — spokorniała natychmiast. — Masz rację, nigdy mi niczego nie obiecywałeś.

— Spojrzała na zegarek. — Godzina minęła. — Jednym ruchem podniosła się z ziemi.

— Nie zostaje mi nic innego, jak pozostać silną i twardą — powiedziała. — Ale nigdy więcej mi tego nie zarzucaj, Blaine. Nigdy więcej.

Od opuszczenia wodopoju słoni musieli porzucić pięć koni. Żeby uratować resztę zwierząt, Blaine zarządził, że po pół godzinie jazdy wszyscy zsiadają i przez następne pół godziny prowadzą konie za uzdy.

Tylko Buszmeni pozostali nieczuli na pragnienie, zmęczenie i spiekotę, zzymali się na częste postoje i morderczo wolne tempo marszu, które zmuszeni byli przyjąć.

— Jedyne pocieszenie, że De La Reyowi jest jeszcze trudniej niż nam. — Ze śladów wyczytali, że uciekinierzy, którym pozostał teraz już tylko jeden koń, posuwali się jeszcze wolniej. — Do rzeki pozostało jeszcze co najmniej czterdzieści pięć kilometrów. — Blaine spojrział na zegarek. — Niestety, pora zsiadać.

Centaine jęknęła cicho i zsunęła się z siodła. Bolały ją wszystkie mięśnie, ścięła łydek i ud zeszywniały jej tak, jakby zrobione były z grubo plecionego drutu.

Wlekli się z trudem, a każdy krok wymagał niemal nadludzkiego wysiłku woli. Język pęczniał jej w ustach, obrzmiały i twarde, a błony śluzowe gardła i nosa opuchły do tego stopnia, że każdy oddech sprawiał ból. Próbowwała zbierać ślinę i jak najdłużej ją przetrzymywać w ustach, ale ślina była gęsta, lepka i kwaśna i budziła tylko jeszcze większe pragnienie.

W ciągu lat życia w dobrobycie i luksusie zdążyła zapomnieć, co to znaczy prawdziwe pragnienie, toteż cichy chlupot w butlach przyprawiał ją o nieopisane katusze. Jedyne, o czym mogła myśleć, to chwila, kiedy dostaną następną rację wody. Bezustannie spoglądała na zegarek, wmawiając sobie, że stanął, że zapomniała go nakręcić, że lada chwila Blaine podniesieniem ręki zatrzyma oddział i każe zdjąć butle z siodła.

Nikt nie odzywał się bez wyraźnej potrzeby. Wszystkie rozkazy skracano do monosylab, bo

wymawianie pełnych słów wymagało zbyt wielkiego wysiłku.

„Nie poddam się pierwsza — postanowiła twardo w duchu Centaine i natychmiast przestraszyła się, że taka myśl w ogóle przyszła jej do głowy. — Nikt się nie podda. Musimy ich dopaść przed rzeką, a do rzeki zostało tylko kilka kilometrów.”

Stwierdziła, że skupia swe myśli wyłącznie na ziemi pod nogami, tracąc wszelkie zainteresowanie dalszym otoczeniem. Wiedziała, że to niebezpieczny znak, pierwsza mała kapitulacja. Zmusiła się, by podnieść oczy. Blaine wyraźnie ją wyprzedził. Na przestrzeni tych niewielu metrów została w tyle. Zdobyła się na ogromny wysiłek i przyspieszyła kroku, aż znów się z nim zrównała. To małe zwycięstwo, pokonanie słabości swego ciała, natychmiast dodało jej otuchy.

Blaine uśmiechnął się do niej, ale widać było, że kosztuje go to sporo wysiłku.

— Tych kopców nie ma na mapie — powiedział.

Podniosła oczy i w odległości kilometra ujrzała łyse granitowe głowy, wystające ponad linię lasu. Do tej pory w ogóle ich nie zauważyła. Nigdy nie zapuszczała się tak daleko na północ. Były to dla niej obszary nowe i nieznane.

Tych terenów chyba nikt jeszcze nie zbadał — szepnęła ochryple, po czym odchrząknęła i już czystszym głosem dodała: — Na mapach wytyczono tylko bieg samej rzeki.

— Napijemy się po dotarciu do najbliższego wzgórza — obiecał Blaine.

— Marchewka dla osła — mruknęła, a on skwitował to uśmiechem.

— Myśl o rzece, to cały zagon marchewki. — Zapadli w milczenie, wlokąc się za Buszmenami prosto ku wzgórzom. U podstawy granitowego stożka znaleźli ostatniego konia Lothara De La Reya.

Leżał na boku, ale kiedy podeszli i klacz Blaine'a zarżała cicho, uniósł z trudem łeb, próbując jej odpowiedzieć. Okazało się to jednak ponad jego siły. Łeb opadł mu na ziemię, krótki urywany oddech wzbil wokół nozdrzy obłoczki kurzu. Buszmeni obeszlą kołem konające zwierzę i wyraźnie podnieceni zaczęli się naradzać. Kwi przebiegł kilka metrów do szarego zbocza kopca i spojrzał w górę.

Reszta grupy poszła za jego przykładem, wszyscy podnieśli wzrok na stromą, wybrzuszoną ścianę granitu. Jej powierzchnia nie była tak gładka, jak to się wydawało z oddali. Przecinały ją głębokie pęknięcia, jedne poziome, inne biegnące pionowo od podstawy aż po sam szczyt, a sam granit łuszczył się całymi warstwami na skutek nieustannego rozszerzania się i kurczenia kamienia przy raptownych zmianach temperatur w ciągu dnia i w nocy. Ten „efekt cebuli” utworzył wąskie stopnie o ostrych krawędziach, które mogły dać oparcie stopom i umożliwić komuś wspięcie się na sam szczyt, choć byłby to wyczyn mocno niebezpieczny.

Na szczycie wzgórza grupa idealnie okrągłych głazów, z których każdy miał wielkość sporego domu, tworzyła symetryczną koronę. Całość stanowiła jedną z tych kompozycji przyrody, które zdumiewają mistrzostwem założeń i artyzmem wykonania i nieodmiennie nasuwają przypuszczenie, że muszą być dziełem ludzkiego umysłu i ludzkich rąk. Pod tym względem wzgórze ogromnie przypominało Centaine dolmeny, które jako dziecko widziała we Francji, i starożytne świątynie Majów z południowoamerykańskiej dżungli, których ryciny miała w jednej z książek

Kiedy Blaine zostawił ją samą i poprowadził swego konia do podnóża granitowego urwiska, cos na szczycie wzgórza przykuło jej uwagę. W cieniu pod jednym z głazów korony kątem oka dostrzegła jakiś ruch,

— Uwważaj! — krzyknęła ostrzegawczo. — Tam..

Blaine stał przy łbie koma z wodzami przerzuconymi przez ramię. Poderwał szybko głowę, ale nim zdążył zareagować na jej ostrzeżenie, rozległo się stłumione pacnięcie, jakby ktoś rzucił na kamienną podłogę worek żyta. Centaine me rozpoznała w tym pacnięciu odgłosu uderzenia kuli w

żywe ciało, dopóki nie ujrzała, że koń chwieje się i ciężko pada na pysk, pociągając za sobą Blaine'a. Wpatrywała się w zwierzę osłupiałym wzrokiem, aż ze szczytu wzgórza dobiegł suchy jak trzaśnięcie z bicia odgłos strzału z mauzera. Dopiero wtedy zrozumiała, że kula dotarła do nich wcześniej niż dźwięk.

Raptem znalazła się w samym środku ogromnego zamieszania. Wszyscy krzyczeli, jeden przez drugiego, i szarpali się z przerażonymi końmi. Bez namysłu okręciła się na pięcie, chwyciła za łęk siodła, jednym skokiem, nie dotykając strzemion, znalazła się w siodle i już ścigała łeb wałacha na bok.

— Idę! — krzyknęła na cały głos do Blaine'a, który wydostał się spod trupa swego konia, i pogalopowała w jego stronę. — Łap za strzemię! — Mauzer słał między nich kulę za kulą. Ujrzała, jak pada koń pod Hansmeyerem, a sierżant koziołkując wylatuje z siodła.

Blaine wybiegł jej naprzeciw i uchwycił się zwisającego strzemienia, a ona natychmiast zawróciła i okładając konia wodzami, zmusiła go do pełnego galopu w stronę rzadkiego zagajnika drzew mopani, rosnącego jakieś dwieście metrów z tyłu. Uczepiony skórzanego strzemienia Blaine sadił ogromnymi susami u boku konia, ledwie muskając nogami ziemię.

— Nic ci się nie stało? — zawołała.

— Nie zatrzymuj się! — odkrzyknął z największym wysiłkiem. Centaine obejrzała się przez ramię. Wciąż słychać było strzask wystrzałów i tępe plaśnięcia kul. Jeden z żołnierzy zawrócił, żeby pomóc Hansmeyerowi, ale w chwili, gdy znalazł się tuż przy nim, jego koń został trafiony w łeb i obaj policjanci runęli w tumanie pyłu na ziemię.

— Celują do koni! — zawołała Centaine i w tej samej chwili uzmysłowiła sobie, że ze wszystkich zwierząt tylko jedno pozostało nietknięte — jej własne. Reszta leżała zabita, każde jednym, precyzyjnie wymierzonym strzałem w łeb. Był to istny pokaz kunsztu strzeleckiego, bo snajper strzelał ze szczytu wzgórza, z odległości co najmniej stu pięćdziesięciu kroków.

Tuż przed sobą ujrzała płytki parów, którego przedtem nie zauważyła. Na jego bliższym brzegu leżała sterta splątanych uschniętych gałęzi. Bez namysłu skierowała konia za tę naturalną palisadę, zmusiła ledwie dyszące zwierzę do jej przesadzenia, a kiedy znalazło się po drugiej stronie i zaczęło usuwać w dół, natychmiast zeskoczyła na ziemię, chwyciła je krótko przy pysku i osadziła w miejscu.

Blaine stracił równowagę i sturlał się na dno parowu, ale jakoś się pozbierał.

— Wpakowałem się w tę zasadzkę jak ostatni żółtodziób — warknął rozżłoszczony na samego siebie. — Jestem tak piekielnie zmęczony, że nie umiem już jasno myśleć. — Wyszarpnął karabin z olstra przy siodle Centaine i szybko wspiał się pod krawędź parowu.

Teren u podnóża granitowej ściany zaścielały trupy koni, a Hansmeyer i jego ludzie pędzili w stronę parowu, by znaleźć w nim schronienie, przypadając co kilka kroków do ziemi, czołgając się pod osłoną rzadkich krzaków i znów zrywając do biegu. Kule z mauzera cięły ze świstem powietrze, wzbijając im pod nogami żółte obłoczki kurzu, a gdy przelatywały nad głowami, fala powietrza uderzała boleśnie w bębunki uszu, zmuszając do wtulania głowy w ramiona i kulenia się aż do ziemi.

Po pierwszym strzale Buszmeni zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Centaine wiedziała, że zawrócili do O'chee, do swego rodu, i że więcej już ich nie zobaczy.

Blaine przestawił celownik karabinu na czterysta metrów i wymierzył w szczyt wzgórza, gdzie rozwiewające się smugi błękitnego dymu zdradzały obecność ukrytych snajperów. Otworzył ogień i strzelał raz za razem, tak szybko jak na to pozwalała konieczność repetowania broni, osłaniając w ten sposób swoich uciekających ludzi. Nim przebrzmiał grzechot jego kanonady granitowe głazy eksplodowały na linii nieba gejzerami odprysków kamienia. Chwycił pas z nabojami, wcisnął do zamka rozgrzanego karabinu następną partię mosiężnych pocisków, podrzucił broń do ramienia i

jeszcze raz zasypał kulami ukrytych na szczycie wzgórza strzelców.

Hansmeyer i jego ludzie jeden po drugim dopadali parowu, ostatnim susem przesadzali osłonę z uschniętych gałęzi i turlali się na dno, zziajani i zlani potem. Z ponurym zadowoleniem Blaine zauważył, że żaden nie porzucił swego karabinu i wszyscy mieli na piersiach skrzyżowane pasy z amunicją, po siedemdziesiąt pięć nabojów każdy.

— Położyli pokotem konie, ale nawet nie drasnęli ludzi — powiedział Hansmeyer, z trudem dobywając z siebie słowa. Chwytał powietrze jak ryba, oddech świszczał mu głośno w piersi.

— I ani razu nie mierzyli do mnie — dorzuciła tonem poparcia Centaine. Lothar musiał się bardzo starać, żeby nie wyrządzić jej żadnej krzywdy. Z niemiłym drżeniem uświadomiła sobie, z jaką łatwością mógł posłać jej kulkę w plecy, gdy uciekała do parowu.

Blaine ładował swój karabin, ale podniósł wzrok i uśmiechnął się niewesoło.

— Ten facet nie jest idiotą. Wie, że to jego ostatnie podrygi i nie ma zamiaru dodać morderstwa do długiej listy przestępstw, jakich się dopuścił. — Spojrzał na Hansmeyera. — Ilu ludzi jest na wzgórzu?

— Nie wiem. Ale na pewno więcej niż jeden. Jeden nie mógłby prowadzić ognia w takim tempie, a poza tym strzały nakładały się na siebie.

— Nie ma wyjścia, trzeba to sprawdzić — powiedział Blaine. Skinieniem ręki polecił Centaine i Hansmeyerowi, żeby się nachylili i wyjaśnili im swój plan.

Centaine wzięła lornetkę i przeszła dnem parowu daleko w bok, aż znalazła się pod kępą gęstej trawy rosnącej na samej krawędzi zbocza. Ukryta za zasłoną z trawy wysunęła głowę, nastawiła lornetkę na szczyt wzgórza i dała znak, że jest gotowa.

Blaine nasadził korkowy hełm na wycior swego karabinu i wystawił go ponad krawędź barykady z gałęzi, a Hansmeyer strzelił dwa razy w powietrze, żeby zwrócić uwagę wroga.

Niemal natychmiast odpowiedziała mu kanonada. Kilka strzałów rozległo się jednocześnie, kule wzbity obłoczki kurzu na krawędzi parowu o centymetry od korkowego hełmu i odbite zrykoszetowały ze świstem między pobliskie drzewa.

— Dwóch albo trzech! — zawołał Hansmeyer.

— Trzech! — potwierdziła Centaine. Oderwała od oczu lornetkę i schowała się do parowu. — Widziałam trzy głowy.

— Dobrze — skinął Blaine. — No to ich mamy. Teraz to tylko kwestia czasu.

— Blaine... — Centaine odpięła od siodła butlę z wodą. — To wszystko co mamy. — Potrząsnęła butlą, w której było mniej niż jedna czwarta wody. Wszystkie głowy natychmiast zwróciły się w jej stronę, a Blaine mimowolnie oblizwał usta.

— Jak tylko się ściemni, odzyskamy resztę butli — zapewnił ją, po czym zwrócił się do Hansmeyera i rażnym głosem dodał: — Sierzancie, niech pan weźmie dwóch ludzi, obejdzie wzgórze i zajmie pozycję po jego drugiej stronie. Trzeba dopilnować, żeby nikt nie wymknął nam się tylnym wyjściem.

25

Lothar De La Rey siedział oparty o jeden z Wielkich granitowych głazów na szczycie wzgórza. Siedział w cieniu, z mauzerem na kolanach, wiatr targał mu i rozwiewał długie złociste włosy.

Patrzył na południe, na porośniętą rzadkimi drzewami równinę w stronę, z której miał nadciągnąć nieubłagany pościg. Wspinaczka po stromej granitowej ścianie potężnie nadszarpnęła jego siły; wciąż jeszcze nie mógł po niej przyjść do siebie.

— Zostawcie mi jedną butlę — polecił.

Hendrick postawił mu ją w zasięgu ręki.

— Napełniłem ją resztkami z tamtych — wskazał na Stos porzuconych pustych butli. — Dla nas zostało tyle, że powinno nam starczyć do rzeki.

— To dobrze — skinął głową Lothar i zabrał się do przeglądanej pozostałych rzeczy, leżących obok niego na granitowej płycie.

Były tu cztery granaty ręczne, starego typu, podłużne z drewnianą rączką, tak zwane maszynki do mielenia mięsa. Przeleżały w ukryciu niemal dwadzieścia lat, toteż nie bardzo mógł na nich polegać.

Oprócz granatów Klein Boy zostawił mu swojego mauzera i pas z amunicją. W ten sposób Lethar miał dwa karabiny i sto pięćdziesiąt nabojów — aż za dużo, gdyby granaty okazały się zdatne do użytku. Gdyby zaś nie, to reszta i tak nie miała większego znaczenia.

— No dobra — mruknął. — Mam wszystko, czego mi potrzeba. Możecie już iść.

Hendrick odwrócił czarną, łysą głowę i spojrzał na Południe. Znajdowali się na szczycie wzgórza, wysoko ponad ziemią, zasięg widoczności z tego miejsca wynosił co najmniej trzydzieści kilometrów, ale nadal nic aż po najdalszy horyzont nie wskazywało na zbliżanie się pościgu. Zaczął się podnosić i nagle znieruchomiał. Zmrużył oczy przed oślepiającym słońcem, próbując przeniknąć wzrokiem mgiełkę rzedrganego od upału powietrza.

— Kurz! — zawołał.

W odległości pięciu kilometrów ponad drzewami majaczył rzadki, blady obłoczek.

— Tak — potwierdził Lothar. Zauważył już ten obłoczek kilka minut wcześniej. — Może to być kurzawka albo, stadko zebr, ale nie dałbym za to swojej części łupu. Idźcie już.

Hendrick nie od razu usłuchał. Spojrzał w szafirowo-złociste oczy białego i długo w nie patrzył.

Nie dyskutował ani nie protestował, kiedy Lothar wyłożył im, co trzeba zrobić. Miał rację, to było jedyne rozsądne wyjście. Zawsze porzucali swoich rannych, często zostawiając im tylko pistolet, na wypadek gdyby nie dało się już wytrzymać bólu albo gdyby nadciągnęły hieny. A jednak tym razem Hendrick czuł potrzebę, by coś powiedzieć, tylko że żadne słowa nie pasowały do powagi tej chwili. Wiedział, że na tej spalonej słońcem skale zostawia za sobą część własnego życia.

— Zaopiekuję się chłopcem — powiedział po prostu.

Lothar skinął głową.

— Chcę jeszcze zamienić kilka słów z Maniem. — Obliznął suche, spieczone i spękane usta i wzdrygnął się czując nagły przyływ gorączki. — Zaczekajcie na niego na dole. To potrwa tylko minutę.

— Idziemy — powiedział Hendrick i skinieniem głowy przywołał swego syna. Klein Boy podszedł natychmiast i obaj z ojcem ruszyli ku krawędzi urwiska, szybko i zwinnie, z wdziękiem polujących panter. Kiedy Klein Boy zeskoczył z krawędzi i zniknął Lotharowi z oczu, Hendrick przystanął i jeszcze raz obejrzał się przez ramię.

— Zostań w pokoju — powiedział, unosząc prawą rękę w geście pożegnania.

— A ty odejdz w pokoju, przyjacielu — odparł Lothar. Nigdy do tej pory nie nazwał Hendricka przyjacielem, toteż Murzyn drgnął teraz na dźwięk tego słowa i odwrócił szybko głowę, żeby Lothar nie widział jego oczu. Chwilę później już go nie było.

Lothar długo patrzył za nim w ślad, a potem potrząsnął głową, by odegnać ogarniającą go litość nad samym sobą, mdłe sentymenty i cisnące się ze wszystkich stron omamy delirium. Jeszcze chwila i zupełnie by się rozkleił.

— Manfred — powiedział na cały głos, a chłopiec drgnął wystraszony. Siedział tuż obok, najbliżej jak się ośmielił, i wpatrzony w twarz ojca chłonał każde jego słowo, każdy gest.

— Tato, ja nie chcę iść — szepnął. — Nie chcę cię tu zostawiać. Nie chcę być bez ciebie.

Lothar machnął niecierpliwie ręką i przybrał surową minę, by ukryć tę rozklejającą słabość.

— Zrobisz, jak ci każę.

— Tato...

— Nigdy jeszcze mnie nie zawiodłeś, Manie. Zawsze byłem z ciebie taki dumny. Nie zepsuj teraz tego wszystkiego. Nie chciałbym nagle stwierdzić, że mój syn jest tchórzem.

— Wcale nie jestem tchórzem!

— Więc postąpisz tak, jak nakazuje konieczność — rzucił szorstko

Lothar i nim Manfred zdążył zaprotestować, polecił: — Przynieś worek na obrok!

Położył sobie worek między nogami, rozwiązał go zdrową ręką, wyjął jedną z paczuszek i rozerwał zębami gruby brązowy papier. Wysypał kamienie na małą kupkę, rozgarnął je i wybrał dziesięć największych i najczystszych.

— Zdejmij kurtkę — rozkazał, a kiedy Manfred mu ją podał, zrobił końcem noża małą dziurkę w podszewce. — Te kamienie są warte jakieś tysiąc funtów — powiedział, wpychając diamenty palcem pod podszewkę, jeden za drugim. — To dość na szkoły i przeżycie do czasu, kiedy dorośniesz. A reszta... Za dużo tych paczek, są za ciężkie, zbyt trudno je ukryć. Niebezpiecznie mieć je przy sobie — to wyrok śmierci. — Podniósł się z wysiłkiem. — Chodź!

Ruszył między głązy, przytrzymując się skał, żeby nie upaść, wspierany z drugiej strony przez Manfreda. — Tutaj! — mruknął i osunął się na kolana, a Manfred ukląkł obok niego. W granitowej czapie u ich stóp rysowała się głęboka szczelina, jakby ktoś rozszczepił kamień wielkim dłutem. Na górze miała szerokość co najwyżej dwóch dłoni, ale biegła w głąb tak daleko, że nie byli w stanie dojrzeć dna, choć sięgali wzrokiem na głębokość dziesięciu czy dwunastu metrów. Im niżej, tym bardziej się zwężała, a dalszy jej bieg i kształt ginął w zupełnej ciemności.

Lothar wsunął worek w szczelinę.

— Zapamiętaj sobie dobrze to miejsce — szepnął. — Idąc na północ oglądaj się często przez ramię, żeby to wzgórze na zawsze wryło ci się w pamięć. Diamenty będą tu na ciebie czekać. Wrócisz po me, kiedy będą ci potrzebne.

Otworzył dłoń i worek spadł w szczelinę. Słyszeli, jak brezent ociera się o granitowe ściany, a potem pakunek zaklinował się w zwężeniu skalnej czeluści i zapadła cisza.

Głowa przy głowie spojrzeli w dół. Dziewięć metrów niżej majaczyła jaśniejsza plamka czegoś różniącego się fakturą od ciemnego granitu, ale nikt, kto me wiedział dokładnie, gdzie patrzeć, nie byłby w stanie jej zauważyć.

— To jest twój spadek po mnie, Manie — szepnął Lothar i odpełził na czworakach od szczeliny. — No dobra, pora na ciebie. Hendrick czeka. Musicie się spieszyć.

Chciał po raz ostatni w życiu przytulić syna, ucałować jego oczy i usta, przycisnąć go do serca, ale wiedział, że obaj by się zupełnie rozkleili. Gdyby chwycili się teraz w objęcia, żadna siła nie byłaby w stanie ich od siebie oderwać.

— Idź już! — rozkazał.

Manfred rozplakał się i rzucił ojcu na szyję.

— Chcę zostać z tobą! — zawołał.

Lothar chwycił go za nadgarstek i odsunął na wyciągnięcie ręki.

— Chcesz, żebym się za ciebie wstydził? — spytał ostrym tonem. — Chcesz, żebym tak cię zapamiętał? Mazgającego się jak baba?

— Tato, proszę cię, nie odsyłaj mnie! Pozwól mi zostać!

Lothar jednym ruchem odchylił się do tyłu, puścił rękę syna, uderzył go otwartą dłonią w twarz i wierzchem dłoni poprawił z drugiej strony. Od tego podwójnego policzka Manfred przysiadł na piętach, na jego bladej twarzy pojawiły się czerwone ślady palców, a z nosa spłynął na górną wargę



cieniutki wężyk jasnej krwi. Spojrzał na ojca szeroko otwartymi oczyma, z oszołomieniem i niedowierzaniem.

— Zabieraj się stąd! — syknął Lothar, przywołując na pomoc całą swą odwagę i stanowczość, by nadać głosowi pogardliwe brzmienie, a twarzy wyraz wściekłości. — Nie będziesz się mazgał i wieszal mi na szyi! Zmiataj stąd, nim wezmę na ciebie pasa!

Manfred zebrał się powoli z ziemi i cofnął o krok, nadal wpatrując się w ojca z niemym osłupieniem i niedowierzaniem.

— No, czego stoisz?! Już cię tu nie ma! — Mina Lothara nie zmieniła się, w jego głosie słychać było złość, pogardę i nieugiętość. — Wynoś się stąd!

Manfred odwrócił się i ruszył chwiejnym krokiem ku krawędzi urwiska. Na samym brzegu przystanął i jeszcze raz wyciągnął ręce do ojca.

— Tato, proszę cię...!

— Do diabła! Idziesz wreszcie czy nie?!

Chłopiec zsunął się przez krawędź, odgłosy towarzyszące jego spełzaniu w dół zbrocza zaczęły milknąć i po chwili zapanowała cisza.

Dopiero wtedy Lothar zwiesił ramiona, jego ciałem targnął niemy szloch i nagle zaczął drzeć na całym ciele, aż rozplakał się jak dziecko.

— To przez gorączkę — mruknął do siebie. — To ta piekielna gorączka tak mnie osłabiła. — Ale przed oczami stała mu ciągle okolona złocistymi włosami twarz syna, tak piękna i tak zdruzgotana bólem. Poczul w piersi nieznośny, rozdzierający, fizyczny ból.

— Wybacz mi, synku — szepnął przez łzy. — Tylko tak mogłem cię uratować. Błagam cię, wybacz.

Musiał stracić przytomność, bo nagle ocknął się przestraszony; nie mógł sobie przypomnieć ani gdzie jest, ani skąd się tu wziął. Dopiero fetor bijący z jego ręki, odrażający, wywołujący mdłości, przywołał go do rzeczywistości. Podczołgał się do krawędzi urwiska i spojrzał na południe. Wtedy właśnie po raz pierwszy ujrzał swych prześladowców i choć wciąż jeszcze oddaleni byli co najmniej o półtora kilometra, rozpoznał dwie małe postacie podrygujące jak zjawy przed kolumną jeźdźców.

— Buszmeni — szepnął do siebie. Teraz rozumiał, w jaki sposób udało im się zjawić tutaj tak szybko. — Poszczuła na mnie swoich oswojonych Buszmenów. — Uświadomił sobie, że nie miał najmniejszej szansy zmylenia pościgu. Wszystkie próby zatarcia śladów, które podejmował, były tylko zwykłą stratą czasu, mógł ich sobie oszczędzić. Najwymyślniejsze plątaniny tropów, najpracowiciej odciskane mylne ślady na nic się nie zdały. Buszmenom wystarczył jeden rzut oka, żeby rozgryźć wszystkie jego sztuczki.

Przeniósł wzrok na grupę pościgową i policzył swoich przeciwników.

— Siedmiu na jednego — mruknął i zmrużył oczy, próbując wypatrzyć szczuplejszą, mniejszą sylwetkę kobiety, ale wszyscy szli pieszo, prowadząc konie za uzdy, a rzadkie drzewa ograniczały widoczność.

Dał spokój przyglądaniu się nadciągającej pogoni i skupił się na własnych przygotowaniach. Teraz chodziło tylko o to, żeby zatrzymać Ich tu jak najdłużej i przekona, że wszyscy uciekinierzy ukryli się na wzgórzu. Każda godzina opóźnienia ogromnie zwiększała szanse Hendricka i Maniego.

Ponieważ posługiwał się tylko jedną ręką, wszystko szło mu marnie i powoli, ale w końcu udało mu się zaklinować karabin Klein w jednej ze szczelin i skierować wylot jego lufy w stronę ry. Zawiązał w pętlę pasek od butli z wodą, przełożył pętlę przez i przeciągnął koniec paska do miejsca, które wybrał sobie na ję strzelecką, w cieniu za wybrzuszeniem granitowej czapy.

Kiedy to zrobił, musiał chwilę odpocząć, bo przed oczami latały mu mroczki i strzępy czerni, a nogi osłabły do tego stopnia, że nie mógł się na nich utrzymać. Wyrzwał ponad krawędź urwiska. Ścigający znacznie się przybliżyli, wyłaniali się właśnie jeden za drugim spomiędzy wzgórz na otwartą przestrzeń. Teraz już rozpoznał Centaine. W spodniach do jazdy konnej wyglądała szczupło i chłopięco. Dostrzegł nawet jasnożółtą plamkę apaszki, którą nosiła pod szyją.

Pomimo gorączki, pomimo zasnuwającej oczy ciemności, pomimo rozpaczliwości swego położenia, znów poczuł dla niej zaprawiony złością podziw.

- Wielki Boże, ta kobieta nigdy się nie podda — mruknął. — będzie mnie ścigała i po tamtej stronie, aż do samych wrót piekieł.

Powlókł się na czworakach do sterty porzuconych butli na wodę i ciągnąc je za sobą, ułożył z nich wzdłuż krawędzi szczytu trzy oddzielne kupki, po czym powiązał ich paski w taki sposób, że jednym pociągnięciem mógł wszystkie kupki na raz wprawić w ruch.

— To wszystko, co mogę zrobić — szepnął. — Teraz pozostaje tylko celnie strzelać. — Ale w skroniach mu huczało, a obraz rozpływał się w mgliste miraże gorączki. Pragnienie paliło go nieznośnie, a całe ciało buchało żarem jak ognisty piec.

Odkręcił butlę i pociągnął kilka łyków, ostrożnie, powoli, przetrzymując je przed połknięciem jak najdłużej w ustach. Natychmiast poczuł się lepiej, obraz nabrał ostrości. Zakorkował butlę i położył ją obok siebie, koło zapasu amunicji. Potem zwinął kurtkę w wałek, umościł nim zagłębienie w krawędzi granitowej ściany i ułożył na nim lufę mauzera. Ścigający dotarli już do stóp wzgórza i stali zbici w gromadkę wokół jego dogorywającego konia.

Wyciągnął przed siebie rękę z wyprostowanymi palcami. Nie drżała, trzymała się prosto i pewnie, jakby była częścią skały, na której leżał. Przycisnął kolbę do policzka.

— Konie — napomniał sam siebie. — Bez koni nie dościgną Maniego... — Wciągnął głęboko powietrze, wstrzymał oddech i trafił klacz Blaine'a Malcomessa w sam środek gwiazdki na czole.

Nim przebrzmiał huk wystrzału, odbity echem od okolicznych wzgórz, Lothar zarepetował mauzera i strzelił po raz drugi, ale tym razem pociągnął jednocześnie za pasek umocowany do drugiego karabinu i oba wystrzały nałożyły się na siebie. Taki podwójny huk mógł zwieść nawet najbardziej doświadczonego żołnierza. Niemal każdy, kto go słyszał, musiał nabrać przekonania, że na szczycie znajdują się co najmniej dwie osoby.

Dziwnym zrządzeniem losu w tym kulminacyjnym momencie gorączka ustąpiła. Widział wszystko jasno i czysto, muszka karabinu rysowała się wyraźnie na tle każdego celu, pewną ręką precyzyjnie przenosił broń z jednego konia na drugiego i kładł je pokotem celnymi strzałami w łeb. Już wszystkie zwały się martwe na ziemię, wszystkie oprócz jednego — wałacha Centaine.

Centaine galopowała w stronę drzew, wtulona w kark swego gniadosza, wlokąc za sobą jakiegoś człowieka uczeplonego kurczowo jej strzemienia. Pochwycił ją w celownik swego karabinu, lecz natychmiast zdjął palec ze spustu. To był odruch; nigdy w życiu nie byłby w stanie postać kuli, choćby nawet tylko w jej stronę.

Przerzucił lufę bliżej wzgórza. Wszyscy czterej jeźdźcy, których konie powalił, pędzili co tchu w stronę drzew. Ich przerażone krzyki docierały aż na szczyt kopca. Stanowili łatwy cel; mógł ich położyć wszystkich po kolei, każdego jedną jedyną kulką, ale zamiast tego urządził sobie zabawę, sprawdzając, jak blisko nich zdoła trafić, ale tak, by żadnego nawet nie drasnąć. Kucali, przypadali do ziemi i uskakiwali w bok, gdy kule z mauzera wzbijały obłoczki kurzu u ich stóp. Efekt był komiczny, zupełnie absurdalny. Zanosząc się od śmiechu repetował i strzelał, repetował i strzelał, aż nagle pochwycił słuchem dzwiczącą we własnym śmiechu nutę nieopanowanej hysterii i natychmiast umilkł. „Tracę głowę — pomyślał, zaciskając zęby. — Muszę to jakoś przetrzymać.”

Kiedy ostatni uciekający zniknęli w lesie, poczuł, że w reakcji na ustępujące napięcie zaczyna się trząść i dygotać.

„Musisz być gotowy — upominał się. — Musisz myśleć. Nie wolno ci teraz przestać. Nie możesz ich przepuścić.”

Na czworakach przelazł do drugiego karabinu, załadował go i przeturlał się z powrotem na swą pozycję strzelecką w cieniu wielkich głazów na szczycie.

„Teraz spróbują mnie namierzyć — przewidywał. — Będą mnie prowokować do strzału i liczyć...”

Zobaczył, jak ktoś wystawia hełm ponad krawędź parowu na skraju lasu i uśmiechnął się na widok tej przynęty. To był kawał z bardzo długą brodą. Nawet głupie czerwone kubraki już na samym początku Wojny Burskiej nauczyły się na to nie nabierać. To, że teraz jego próbowano na to nabrać, było niemal obraźliwe.

— No dobra! — zaszydził na cały głos. — Zobaczmy, kto kogo nabierze!

Strzelił z obu karabinów naraz i chwilę później pociągnął za pasek uwiązany do kupek butli po wodzie. Z tej odległości ruch obciążonych filcem okrągłych butli na tle jasnego nieba musiał wyglądać jak wysunięcie głów trzech strzelców.

„Teraz wyślą ludzi, żeby otoczyli wzgórze” — domyślił się i z mauzerem gotowym do strzału zaczął wypatrywać ruchu między drzewami na obu swoich flankach, mrugając szybko oczami, by odegnąć przesłaniającą je mgłę.

— Pięć godzin do zmroku — mruknął do siebie. — Flendrick i Manie dotrą do rzeki jutro o świcie. Muszę ich jakoś do tego czasu zatrzymać.

Coś mignęło po prawej stronie. Kilku ludzi próbowało okrążyć wzgórze. Przykuleni do ziemi pędzili krótkimi zrywami od jednej osłony do drugiej. Wycelował w drzewa nad ich głowami, karabin plunął ogniem, kora odprysła od pni, zostawiając na nich plamy surowego drewna.

— Głowy niżej, myne heeren!

Znów zanosił się od śmiechu, chichotał histerycznie w delirium gorączki. Zaciśnął zęby, żeby przerwać ten napad, lecz natychmiast przed oczami stanęła mu piękna twarz Manfreda, wezbrane łzami topazy jego oczu i szkarłatna smuzka krwi na jego górnej wardze.

— Synku najdroższy! — załkał. — Jakże mi żyć bez ciebie!

Wciąż jeszcze nie chciał się pogodzić z tym, że umiera, ale myśli zasnęła mu czarna pustka i głowa opadła mu na brudny, przesiąknięty ropą opatrunek na ręce. Smród jego własnego gnijącego ciała stał się częścią delirycznych koszmarów, które nie przestawały go dręczyć także wtedy, gdy tracił przytomność.

Odyskiwał ją stopniowo i powoli. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że słońce nie praży już tak bezlitośnie i potworny upał zelżał. Na twarzy czuł lekki powiew chłodniejszego wiatru.

Z wdzięcznością wciągnął głęboko w płuca rześkie powietrze. Dopiero teraz odezwało się pragnienie. Drżącą ręką sięgnął po butlę z wodą, ale odkręcenie jej i uniesienie do ust wymagało niemal nadludzkiego wysiłku. Po pierwszym łyku butla wysliznęła mu się z palców, beczenny płyn opryskał koszulę i z gulgotem zaczął wylewać się na skałę, niemal natychmiast parując. Stracił bezpowrotnie prawie całą kwartę, nim udało mu się podnieść butlę. Miał ochotę rozplakać się ze złości. Ostrożnie zakręcił butlę, po czym uniósł głowę i zaczął nasłuchiwać.

Ktoś wspinał się na wzgórze. Słyszał wyraźnie postukiwanie i zgrzytanie podkutych butów, szukających oparcia na granitowej skale. Sięgnął po jedną z „maszynek do mielenia mięsa”, przewiesił sobie karabin przez ramię, odczołgał się od krawędzi urwiska i czepiając się jednego z głazów wstał z ziemi. Nie był w stanie utrzymać się na nogach o własnych siłach, musiał więc

skradać się wzdłuż głazu cały czas opierając się o niego ramieniem. Z granatem w rękę obszedł go ostrożnie dookoła.

Na szczycie wzgórza nie było nikogo. Musieli być jeszcze na ścianie. Wstrzymał oddech i zamienił się w słuch. Znow to usłyszał, tym razem dosłownie tuż, tuż — zgrzyt i szelest materiału ocierającego się o granit, świst raptownie wciąganego powietrza, mimowolne stęknienie, gdy komuś obsunęła się noga i rozpaczliwym wysiłkiem próbował odzyskać oparcie.

„Wchodzą od tyłu — powiedział do siebie w duchu, jakby tłumaczył to niedorozwiniętemu dziecku. Każda myśl wymagała ogromnego wysiłku. — Zapalnik ma siedem sekund opóźnienia. — Popatrzył na trzymany za drewnianą rączkę przestarzały granat. — Za dużo. Są już bardzo blisko”.

Podniósł granat wyżej i spróbował wyciągnąć zawleczkę. Metal zardzewiał i nie chciał puścić. Stęknął, szarpnął z całych sił i zawleczka została mu w zębach. Usłyszał ciche stuknięcie zapłonnika i zaczął odliczać.

„Sto jeden, sto dwa...”

Przy stu pięciu schylił się i poturlał granat poza krawędź zbocza. Wciąż jeszcze nikogo nie widział, gdzieś bardzo blisko rozległ się ostrzegawczy okrzyk:

— Rany boskie, to granat!

Lothar wybuchnął chrapliwym rechotem.

— Macie, naźryjcie się angielskie szakale!

Słyszał, jak w panicznym popłochu ześlizgują się i zjeżdżają na siedzeniach i skulił się w oczekiwaniu na eksplozję, ale granat turlał się z grzechotem coraz niżej i niżej, a wybuchu nie było.

— Niewypał! — Śmiech zamarł mu w gardle. — Żeby to szlag jasny trafił!

I nagle, choć z dużym opóźnieniem, granat rozerwał się w dolnych partiach stronego zbocza. Hukowi eksplozji towarzyszył świst i grzechot odłamków i czyjś przeraźliwy krzyk.

Lothar padł na kolana i podczołgał się do brzegu urwiska. Po zboczu zjeżdżało w dół pędem trzech ludzi w mundurach w kolorze khaki. Oparł lufę karabinu o skałę i błyskawicznie opróżnił magazynek. Jego kule rysowały na granicy wokół przerażonych żołnierzy ołowiane smugi. Ostatnie metry pokonali jednym susem i pognali na łeb, na szyję w stronę lasu. Jeden z nich był ranny, musiał dostać odłamkiem granatu; koledzy chwycili go pod rękę i wlekli ze sobą.

Wysiłek ten tak wyczerpał Lothara, że musiał odpoczywać ponad godzinę, nim zdołał dowlec się z powrotem na południową krawędź urwiska. Popatrzył na leżące w słońcu martwe konie. Upał zaczynał już wzdymać im brzuchy, ale butle z wodą nadal leżały przywiązane do siodeł.

— Woda to magnes — szepnął. — Do tej pory musiało już ich zacząć porządnie suszyć. Teraz wybiorą się po wodę.

Z początku wydawało mu się, że zapadający zmrok znow zasnuwa tylko jego własne oczy, ale kiedy odwrócił głowę i spojrzął na zachód, zobaczył, że słońce znika za horyzontem, a niebo jarzy się pomarańczową łuną. Na jego oczach łuna zbladła i w jednej chwili na świat spłynęła afrykańska noc.

Leżał, nasłuchując dźwięków świadczących, że próbują odzyskać wodę, od tyłu już lat niezmiennie pełen zachwyty dla tajemniczych odgłosów afrykańskiej nocy: cichej orkiestry owadów i ptaków, popiskiania nietoperzy śmigających w pogoni za zdobyczą wokół skalnej kopuły, a dalej, na równinie, płacznego zawodzenia szakala i dziwaczego ni to pochrząkiwania, ni to poszczekiwania wiodącego nocny tryb życia ratla. Czując, że zaczyna się rozpraszać, zmusił się do skupienia na ludzkich odgłosach, które powinny dobiec z ciemności u stóp urwiska.

Zaalarmowało go jedno ciche brzęknięcie strzemięcia. Bez namysłu wziął pełny zamach i rzucił w przepaść drugi granat. Ciężkie tąpnięcie wybuchu wionęło mu w twarz falą powietrza, a w nagłym, oślepiającym rozbłysku daleko w dole ciemne ujrzał postacie pochylone nad martwym koniem.

Postacie były dwie, ale nie mógł mieć pewności, że nie ma ich tam więcej, toteż szybko rzucił trzeci granat.

W blasku pomarańczowej kuli ognia ujrzał, że pędem wracają między drzewa. Biegli zbyt lekko, żeby mogli być obciążeni butlami z wodą.

— Wykurzyłem was! - zadrwił, ale teraz pozostał mu już tylko jeden granat. Przycisnął go do piersi jak najdroższy skarb. — Muszę być gotowy, kiedy znowu przyjdą. Nie wolno dopuścić ich do wody. — Mówił na głos i zdawał sobie sprawę, że to oznaka powracającej gorączki. Za każdym razem, kiedy świat rozpływał się i zaczynał wirować wokół niego, podnosił głowę i wpatrywał się w gwiazdy.

— Musisz się trzymać — rozkazywał sobie zupełnie poważnie. — żeby tak do południa... Choćby do rana... — Próbował przeprowadzić obliczenia czasu i odległości, ale poczuł, że go to przerasta. — Od odejścia Hendricka i Maniego musiało już upłynąć osiem godzin. Będą szli całą noc. Ja nie utrudniam im już marszu. Powinni dotrzeć do rzeki przed świtem. Jeśli uda mi się ich zatrzymać jeszcze osiem godzin, nigdy ich nie dogonią... — Ale zmęczenie i gorączka wzięły nad nim górę; głowa opadła mu w zagięcie ręki.

— Lothar! — Był pewien, że to sprawka majaków gorączki, ale wołanie powtórzyło się. — Lothar! — Uniósł głowę, chłód nocy i wspomnienia, które ten głos budził, przesyły go dreszczem.

Otworzył usta, lecz po chwili zamknął je z powrotem. Nie odezwie się, niczego nie zdradzi. Ale cały zamienił się w słuch, czekając na następne wołanie Centaine Courteney.

— Lothar, mamy ranego! — Oszacował, że stała na krawędzi lasu. Potrafił ją sobie wyobrazić, dzielną i zdecydowaną, z zadartą stanowczo głową, z tymi ciemnymi, roziskrzonymi oczyma.

— Dlaczego muszę cię wciąż kochać? — szepnęła.

— Potrzebujemy dla niego wody. — Dziwne, jak czysto docierał do niego jej głos. Słysząc w nim było nawet cień jej francuskiego akcentu. Nie wiadomo dlaczego poczuł się tym wzruszony. W oczach zakręciły mu się łzy.

- Lothar! Idę po wodę.

Jej głos przybliżył się, brzmiał silniej. Musiała wyjść spomiędzy drzew.

— Jestem sama. — Była już w połowie otwartej przestrzeni.

— Wracaj! — Chciał to krzyknąć na cały głos, ale zdołał wydobyć z siebie tylko niewyraźny bełkot. — Ostrzegłem cię. Muszę to zrobić. — Drżącymi palcami zaczął manipulować przy granacie. — Nie dam ci tej wody... Nie mogę... Przez wzgląd na Maniego... Muszę to zrobić...

Wetknął palec w kółko zawlecзки.

— Jestem przy pierwszym koniu! — zawołała. — Biorę butlę, Lotharze. Tylko jedną.

Była zdana na jego łaskę. Stała u stóp wzgórza, niemal dokładnie pod nim. Nie musiał nawet specjalnie daleko rzucać. Wystarczyło sturlać granat przez krawędź urwiska. Ześlizgnie się jak sanie po krzywiźnie ściany i wyląduje dokładnie obok niej.

Wyobraził sobie błysk eksplozji, to ukochane ciało, w które wnikał, które wydało na świat jego syna, rozerwane na strzępy i naszpikowane odłamkami. Przywołał na pomoc całą nienawiść, jaką do niej pałał — i uświadomił sobie, że z taką samą mocą ją kocha. Nagle łzy zupełnie go oślepiły.

— Teraz wracam, Lotharze, z tą jedną butlą! — zawołała, a on usłyszał w jej głosie wdzięczność i potwierdzenie łączącej ich więzi, której żaden postęp, żaden upływ czasu nie był w stanie zerwać. Powiedziała coś jeszcze, zniżając głos tak że usłyszał to tylko jako cichy szepot.

— Niechaj Bóg ci wybaczy, Lotharze. — I to wszystko.

Jeszcze nic, co od niej usłyszał w całym swoim życiu, nie zraniło go tak bardzo, jak te wypowiedziane łagodnym tonem słowa. Obwieszczały koniec czegoś, nieodwołalnie jak

zatrzaśnięcie trumny. Poczul, że tego nie znieś. Wtulił głowę w zagięcie ręki, by zdusić narastający w gardle krzyk rozpacz i nagle ciemność załopotła mu w głowie jak skrzydła czarnego sępa i zaczął spadać, spadać, spadać...

26

Ten nie żyje — powiedział cicho Blaine Malcomess po chylając się nad rozciągniętą na skale postacią. Pod osłoną ciemności wspięli się na wzgórze i jednoczesnym atakiem z dwóch stron zajęli o świcie jego szczyt, by stwierdzić z zaskoczeniem, że nikt go nie broni. — Gdzie jest reszta?

Sierżant Hansmeyer wyłonił się pospiesznie z cienia między głazami korony.

— Nikogo więcej tu nie ma, sir. Musieli się jakoś wymknąć.

— Blaine! — zawołała niecierpliwie Centaine. — Gdzie jesteś? Co tam się dzieje?

Na usilne nalegania Blaine'a miała pozostać na dole, dopóki nie zdobędą wzgórze. Nie dał jej jeszcze maku, żeby weszła na górę, ale już tu była, ledwie minutę po ich ataku na szczyt.

— Tutaj — odparł krótko, a kiedy podbiegła, rzucił szorstko: — Nie usłuchałaś rozkazu.

Zignorowała to oskarżenie.

— Gdzie oni są? — Urwała na widok ciała. — O Boże, to Lothar. — Uklękła obok leżącego.

— A więc to jest De La Rey. No cóż, niestety nie żyje — poinformował ją Blaine.

— A gdzie reszta? — Spojrzała na niego z niepokojem. Cały czas bała się, lecz i miała nadzieję, że znajdzie tu bękartę Lothara. Nawet w myślach nadal unikała nazywania chłopca jego imieniem.

— Tu ich nie ma — potrząsnął głową Blaine. — Wymknęli się nam. De La Rey wystrychnął nas na dudków i dobrze osłaniał ich ucieczkę. Do tej pory musieli już przekroczyć rzekę.

Manfred. Centaine skapitulowała i użyła wreszcie tego imienia. Manfred, mój syn. Zawód jakiego doznała i poczucie straty były tak silne, że przyprawiło ją to o wstrząs. Chciała, żeby tu był. Chciała go wreszcie zobaczyć. Spojrzała na jego ojca i wezbrały w niej inne uczucia, skrzętnie skrywane i tłumione.

Lothar leżał z twarzą wtuloną w zagięcie ręki. Drugą rękę, owiniętą brudnymi pasami podartego koca, odrzucił w bok. Dotknęła go poniżej ucha szukając tętnicy szyjnej i natychmiast cofnęła rękę. Skóra płonęła gorączką.

— On żyje! — zawołała.

— Jesteś pewna? — Blaine przykucnął obok niej. Wspólnie przetoczyli Lothara na plecy i wtedy zobaczyli ukryty pod nim granat.

— Miałaś rację — powiedział cicho Blaine. — Rzeczywiście miał jeszcze jeden granat. Mógł cię wczoraj zabić.

Centaine zadrżała i powiodła wzrokiem po twarzy Lothara. Nie był już piękny, złocisty i zuchwały. Gorączka zupełnie go wyniszczyła, policzki i oczy miał zapadnięte jak u trupa, skórę ściągniętą, pergaminową i poszarzałą.

— Jest fatalnie odwodniony — powiedziała. — Czy w tej butli jeszcze coś zostało? — A kiedy Blaine wlewał w rozchylone usta wodę, odwinęła rękę z zaropiałych szmat.

— Gangrena. — Rozpoznała sine pręgi pod skórą i smród gnijącego ciała. — Tę rękę trzeba amputować. — Choć udało jej się zachować spokojny, rzeczowy ton, była wstrząśnięta zniszczeniami, jakie spowodowała. Wydawało się zupełnie niemożliwe, żeby przyczyną tego wszystkiego mogło być jedno ugryzienie. Miała białe, równe zęby, była z nich dumna, utrzymywała je w nienaganej czystości i zawsze bardzo o nie dbała. A ta ręka wyglądała jak rozszarpana przez jakiegoś padlinożercę, hienę, a może lamparta.

— W Cuangar jest rzymskokatolicka misja portugalska — powiedział Blaine. — To taka maleńka osada nad rzeką. Ale to będzie prawdziwy cud, jeśli uda nam się dowieźć go tam żywego. My sami

będziemy mogli mówić o dużym szczęściu, jeśli uda nam się tam dotrzeć. Został tylko jeden koń. — Podniósł się z ziemi. — Sierzancie, poślijcie kogoś po apteczkę pierwszej pomocy, a reszta mech dokładnie przetrząśnie całe wzgórze. Zginęły diamenty wartości miliona funtów.

Hansmeyer zasalutowował i odszedł szybkim krokiem, wydając rozkazy swoim żołnierzom.

Blaine usiadł na skale obok Centaine.

— Czekając na apteczkę, przeszukajmy lepiej jego ubranie i cały sprzęt. Szansa jest niewielka, ale może zatrzymał przy sobie choć część skradzionych kamieni.

— Mniej niż niewielka — potwierdziła z westchnieniem rezygnacji. — Diamenty niemal na pewno zabrał jego syn i ten wielki czarny zbój. A bez naszych Buszmenów... — Wzruszyła ramionami.

Blaine rozłożył na skale brudną, poplamioną kurtkę Lothara i zaczął obmacywać szwy, a Centaine przemyła fatalną ranę i zawinęła ją czystymi bandażami z apteczki.

— Niczego nie znaleźliśmy, sir — zameldował Hansmeyer. — A przetrząsnęliśmy każdy centymetr kwadratowy tej skały, zajrzeliśmy we wszystkie zakamarki i szczeliny.

— Dziękuję, sierzancie. Teraz trzeba jakoś ściągnąć tego typa na dół, ale tak, żeby me spadł i nie skręcił karku.

— Nie można powiedzieć, że na to nie zasłużył.

— Zasłużył jak najbardziej — odparł z uśmiechem Blaine. — Ale nie będziemy pozbawiać kata możliwości zarobienia pięciu gwinei, prawda, sierzancie?

Godzinę później byli gotowi do wymarszu. Lothar leżał przywiązany do noszy z młodych drzewek mopani, które miał ciągnąć jedyny koń, jaki im pozostał, a ranny żołnierz, z odłamkami granatu nadal tkwiącymi w plecach i karku, zajął miejsce w siodle Centaine.

Kiedy oddziałek ruszył na północ, w stronę rzeki, Centaine zatrzymała się jeszcze u podnóża granitowego kopca. Blaine zawrócił, stanął obok niej i ujął ją za rękę. Westchnęła ciężko i wsparła się na jego ramieniu.

— Och, Blaine, ileż się tu dla mnie skończyło, na tym dzikim pustkowiu, na tej spalonej słońcem bryle granitu!

— Chyba wiem, co dla ciebie oznacza utrata tych diamentów.

— Tak sądzisz, Blaine? Chyba jednak nie wiesz. Ja sama chyba jeszcze nie do końca to pojmuję. Wszystko się z zmieniło... Nawet moja nienawiść do Lothara...

— Wciąż jeszcze istnieje szansa, że odzyskamy te kamienie.

— Nie, Blaine, oboje wiemy, że takiej szansy nie ma. Już nigdy nie zobaczę tych diamentów.

Nie próbował zaprzeczać, nie próbował jej fałszywie pocieszać.

— Straciłam wszystko... wszystko, na co tyle lat pracowałam... dla siebie i swego syna...

wszystko...

— Nie zdawałem sobie sprawy... — Urwał i spojrzał na nią ze współczuciem i głęboką troską.

— Wiedziałem, że to dla ciebie cios, ale... Jak to wszystko? Mówisz poważnie?

— Tak, Blaine — odparła po prostu. — Wszystko. Nie naraz oczywiście i nie od razu, ale teraz cała budowla zacznie się walić, a ja z najwyższym wysiłkiem będę ją podpierać stemplami. Będę pożyczać, prosić i błagać o czas, ale fundamenty są już nie do naprawy. Milion funtów, Blaje, to ogromna suma pieniędzy. Pewnie uda mi się odsunąć w czasie nieuchronną katastrofę, może o kilka miesięcy, może nawet o rok, ale wszystko będzie się walić coraz szybciej, jak domek z kart, i w końcu runie.

— Centaine, jestem dość zamożnym człowiekiem — zaczął. — Mógłbym ci pomóc...

Uniosła rękę i położyła mu palec na ustach.

— Tylko o jedno chciałabym cię prosić — szepnęła. — Nie o pieniądze... W ciągu dni, które nadejdą, będę potrzebowała pociechy i utulenia. Nie tak często... Tylko wtedy, gdy będzie naprawdę źle...

Zjawię się zawsze, kiedy będziesz mnie potrzebowała, Centaine. Obiecuję. Wystarczy, że mnie wezwiesz.

— Och, Blaine! — odwróciła się do niego. — Gdybyś...

— Tak, Centaine, gdybym... — Wziął ją w ramiona. W jego objęciach opuścił ją cały strach, poczucie winy, zagrożenia ruiną i nędzą.

— Gdybym miała cię przy sobie na stałe — szepnęła — mogłabym nawet zostać ostatnią nędzarką.

Nic nie odpowiedział. Zrozpaczony pochylił głowę i zamknął jej usta pocałunkiem.

Portugalski zakonnik-lekarz z misji w Cuangar odciął Lotharowi rękę pięć centymetrów poniżej łokcia. Operował przy ostrym białym świetle karbidówki, a Centaine stała u jego boku, złana potem pod chirurgiczną maską, i wykonywała rzucane po francusku polecenia, starając się nie sztywnieć z przerażenia, gdy rozlegał się zgrzyt piły do cięcia kości, i nie zwracać uwagi na duszący smród gangreny i chloroformu, przepelniający chatę z oblepionej gliną trzciny, która służyła za salę operacyjną. Kiedy było po wszystkim, wymknęła się do pobliskiego wychodka i z wymiotowała palącą litość i odrazę. Nawet wtedy, gdy znalazła się wreszcie sama w przydzielonej jej chacie i położyła pod wzdymającą się upiornie moskitierą, wciąż jeszcze czuła w gardle ten smak. Miała wrażenie, że cała skóra i włosy przesiąkły jej odrażającym fetorem gangreny. Modliła się w duchu, żeby już nigdy nie musiała go czuć, żeby już nigdy w życiu nie musiała przeżyć koszmaru przyglądania się, jak człowiek, którego niegdyś kochała, zostaje pozbawiony części swego ciała, jak na jej oczach staje się kaleką.

Jej modlitwa nie została najwidoczniej wysłuchana, bo już w południe następnego dnia mnich-lekarz powiadomił ją cicho i ze smutkiem:

— Bardzo mi przykro, ale chybiłem. Infekcja posunęła się już dalej. Trzeba cięć.

Za drugim razem, może dlatego, że wiedziała już, czego się spodziewać, było jeszcze gorzej. Kiedy zakonnik wziął do ręki połyskującą srebrzyście piłę i zaczął ciąć obnażoną kość ramienia Lothara ledwie kilka centymetrów poniżej stawu barkowego, musiała wbić sobie paznokcie w dłoń, żeby nie zemdleć. Przez trzy dni po operacji Lothar był nieprzytomny. Twarz miał poszarzałą, przejrzystą i tak bladą, jakby już przekroczył granicę między życiem a śmiercią.

— Trudno cokolwiek wyrokować — zbywał jej niespokojne błagania o kilka słów otuchy zakonnik. — Teraz wszystko w rękach Pana.

Ale kiedy wieczorem trzeciego dnia weszła do chaty Lothara, głęboko podkrążone szafirowo-złote oczy obróciły się w jej stronę i znów skryły się za zasłoną powiek, dostrzegła w nich błysk rozpoznania.

Niemniej dopiero po upływie następnych dwóch dni zakonnik zezwolił wejść do chaty Lothara Blaine'owi Malcomessowi. Pułkownik powiadomił oficjalnie swojego jeńca o aresztowaniu.

— Pozostanie pan pod ścisłym dozorem, do chwili uznania pana przez ojca Paulusa za zdolnego do podróży. Potem przewieziemy pana łodzią do punktu granicznego w Runtu, a dalej drogą do Windhoek, gdzie odbędzie się pana proces.

Lothar leżał podparty poduszkami, blady i chudy jak szkielet, i patrzył na Blaine'a wzrokiem bez wyrazu. Kikut ręki, owinięty w turban bandaży z gazy, zażółcony na końcu od jodyny, wyglądał jak skrzydło pingwina.

— Nie trzeba panu chyba mówić, De La Rey, że będzie pan szczęściarzem, jeśli zdoła pan



uniknąć szubienicy. Gdyby jednak powiedział nam pan, gdzie zostały ukryte diamenty albo coście z nimi zrobili, sąd na pewno byłby skłonny okazać wyrozumiałość.

Czekał ponad minutę i tylko najwyższym wysiłkiem nie dał się spieszyć beznamiętnemu spojrzeniu utkwionych w sobie bursztynowych oczu.

— Czy pan rozumie, co do pana mówię? — przerwał w końcu milczenie. Lothar odwrócił głowę i zaczął patrzeć przez pozbawione szyb okno wychodzące na rzekę.

— Chyba wie pan, że jestem zarządcą tego terytorium. W mojej władzy leży rozpatrzenie pańskiego wyroku. Minister sprawiedliwości niemal na pewno przychylił się do zaopiniowanej przeze mnie prośby o ulaskawienie. Człowieku, niech pan nie będzie głupcem. Niech pan odda te diamenty. Tam, dokąd się pan udaje, na nic się panu nie przydadzą, a ja gwarantuję panu w zamian za nie zachowanie życia.

Lothar zamknął oczy.

— Ach, tak... No, cóż, De La Rey, chyba się zrozumieliśmy. Niech pan nie oczekuje ode mnie cienia litości. — Przywołał do chaty Hansmeyera. — Sierzancie, więzień nie będzie korzystał z żadnych przywilejów, powtarzam — z żadnych. Pozostanie pod ścisłą strażą dzień i noc, dwadzieścia cztery godziny na dobę, dopóki nie przekaże go pan odpowiednim władzom w Windhoek. Jest pan za niego osobiście odpowiedzialny, wyłącznie przede mną. Zrozumiano?

— Tak jest, sir — zsalutował Hansmeyer stając na baczność.

— Niech pan go dobrze pilnuje, Hansmeyer. Mam na niego chrapkę, ogromną chrapkę.

Opuściwszy energicznym krokiem chatę, Blaine skierował się ku setengi, otwartej, krytej trzciną werandzie na brzegu rzeki, gdzie samotnie siedziała Centaine. Opadł na składane krzesło obok niej i zapalił cygaro. Głęboko zaciągnął się dymem, przetrzymał go chwilę w płucach, po czym wydmuchnął raptownie i ze złością.

— Ten człowiek jest nieprzejednany — rzucił szorstko. — Złożyłem mu ofertę złagodzenia kary w zamian za twoje diamenty. Nie raczył nawet odpowiedzieć. Jako zarządca nie mam prawa łaski, ale możesz mi wierzyć, że gdybym je miał, nie zawahałbym się mu tego zaproponować. W obecnym stanie rzeczy nic więcej nie mogę zrobić. — Zaciągnął się cygarem, wpatrując się gniewnie w przeciwległy brzeg szerokiej, zielonej rzeki. — Przysięgam, że zapłaci za to, co ci zrobił... Drogo zapłaci...

— Blaine... — położyła mu lekko rękę na muskularnym, ogorzałym przedramieniu. — Człowiek twojego kalibru nie powinien powodować się urazą. To zbyt małostkowe.

Zerknął na nią z ukosa i pomimo rozgoryczenia uśmiechnął się.

— Niech droga pani nie przypisuje mi wyłącznie wzniosłych uczuć. Można o mnie wiele rzeczy powiedzieć, ale na pewno nie to, że jestem święty.

— Och, drogi panie, jakże przyjemnie byłoby pewnego dnia zbadać granice pańskie szlachetności i świętości!

Roześmiał się zachwycony.

— Cóż za bezwstydną, choć frapująca propozycja! — zawołał i natychmiast spoważniał. — Centaine, wiesz dobrze, że absolutnie nie powinienem być brać udziału w tej ekspedycji. Zaniebałem fatalnie wszystkie swoje obowiązki i moi zwierzchnicy w Pretorii z całą pewnością pałają uzasadnionym oburzeniem. Muszę jak najszybciej wracać do swego biura. Ojciec Paulus obiecał załatwić czółno i wioślarzy, którzy odwiozą nas rzeką do posterunku granicznego w Runtu. Mam nadzieję, że uda mi się tam zarekwirować jakąś policyjną ciężarówkę. Hansmeyer i jego ludzie zostaną żeby pilnować De La Reya i dostarczyć go do Windhoek natychmiast, jak tylko będzie zdolny do odbycia podróży.

— Masz rację — skinęła głową. — Ja też muszę wracać, zacząć zbierać w całość rozbite szczątki, podpierać ściany, łątać naprędcę szczeliny i pęknięcia.

— Wyjedziemy jutro o pierwszym brzasku.

— Blaine, przed wyjazdem chciałabym jeszcze porozmawiać w cztery oczy z Lotharem... to znaczy z De La Reyem. — Kiedy się zawahał, dodała z naleganiem w głosie: — Tylko kilka minut. Proszę cię, Blaine, to dla mnie bardzo ważne.

Przystanęła w progu chaty, by oswoić oczy z panującym w jej wnętrzu mrokiem. Lothar siedział na łóżku, nagi do pasa, z nogami przyrzuconymi tandetnym kocem z tych przeznaczonych na wymianę z tubylcami. Był wychudły i bardzo blady, gorączka wypaliła go do cna, zostawiając tylko samą skórę i kości.

— Sierzancie, czy mógłby pan nas na chwilę zostawić samych — poprosiła Centaine i odsunęła się na bok.

— Będę w zasięgu głosu, pani Courteney powiedział cicho Hansmeyer mijając ją w drzwiach i wyszedł na dwór.

W ciszy, która zapadła po jego wyjściu, Centaine i Lothar wpatrywali się w siebie bez słowa, aż w końcu to ona pierwsza skapitulowała.

— Jeśli postanowiłeś mnie zniszczyć, to ci się to udało — powiedziała.

Lothar poruszył kikutem amputowanej ręki w geście, który był zarazem żałosny i plugawy.

— Kto tu kogo zniszczył, Centaine? — spytał, a ona spuściła oczy.

— Czy nie oddasz mi choć części tego, co mi ukradłeś? W imię tego, co nas kiedyś łączyło...

Zamiast odpowiedzieć podniósł rękę i dotknął starej, ściągniętej blizny na piersi. Centaine drgnęła, bo to ona w chwili otrzeźwienia i odrazy nacisnęła wtedy spust lugera.

— Diamenty ma chłopak, prawda? — powiedziała półgłosem. — Twój... — Już miała powiedzieć „Twój bękart”, ale się powstrzymała. — Twój syn?

Lothar nic nie odpowiedział, więc dorzuciła impulsywnie:

— Manfred, nasz syn.

— Myślałem, że nigdy od ciebie tego nie usłyszę. — W jego głosie dźwięczało nie skrywane zadowolenie. — Czy o tym, że jest naszym synem, poczętym z miłości, będziesz pamiętała także wtedy, gdy najdzie cię pokusa, żeby i jego zniszczyć?

— Skąd ci przyszło do głowy, że mogłabym to zrobić?

— Znam cię dobrze, Centaine.

— Nie — potrząsnęła energicznie głową. — Nie znasz mnie, Lotharze.

— Jeśli ci stanie na drodze, zniszczysz go bez wahania — powiedział tonem stwierdzenia faktu.

— Naprawdę tak sądzisz? — Spojrzała na niego z niedowierzaniem. — Naprawdę uważasz, że jestem aż tak bezlitosna, tak mściwa, że mogłabym szukać zemsty na swoim własnym dziecku?

— Nigdy nie uznałaś go za swoje dziecko.

— Właśnie to zrobiłam. W ciągu ostatnich kilku minut więcej niż raz nazwałam go swoim synem.

— I obiecujesz mi, że nie wyrządzisz mu żadnej krzywdy?

— Nie muszę ci niczego obiecywać, Lotharze De La Rey. Po prostu mówię: nie skrzywdzę Manfreda.

— I oczywiście oczekujesz ode mnie czegoś w zamian. — Pochylił się do przodu. Walka z własną słabością musiała go kosztować wiele wysiłku, bo oddychał z trudem i mocno się pocił. W małej, mrocznej chacie ostry, cuchnący zapach jego potu świdrował w nosie.

— A czy proponujesz mi coś w zamian? — spytała cicho.

— Nie — wydyszał gwałtownie. — Nic! — Opadł z powrotem na poduszki, wyczerpany, lecz

niewzruszony. — No! — dorzucił prowokująco. — Odwołaj teraz swoją obietnicę!

— Niczego ci nie obiecywałam — odparła spokojnie. — Ale powtórzę raz jeszcze: naszemu synowi, Manfredowi, nic z mojej strony nie grozi. Nigdy świadomie nie wyrządę mu żadnej krzywdy. Ciebie jednak to zapewnienie nie obejmuje.

Odwróciła się do drzwi.

— Sierzancie, dziękuję, skończyliśmy! — zawołała i pochyliła się, żeby wyjść przez niskie drzwi.

— Centaine...! — powstrzymał ją cicho Lothar. Chciał powiedzieć:

„Twoje diamenty są w szczelinie na szczycie tamtego wzgórza”, ale kiedy obejrzała się przez ramię, zdusił w gardle te słowa i szepnął tylko: — Zegnaj, Centaine. Długo to trwało, lecz wreszcie się skończyło.

27

Okawango to jedna z najpiękniejszych rzek Afryki. Swój początek bierze tysiąc dwieście metrów nad poziomem morza, w najwyższym rejonie płaskowyżu angolańskiego, skąd spływa na południowy wschód tocząc swe wody szerokim, głębokim, zielonym nurtem, tak bystrym i zdecydowanym, że nikomu ani przez myśl by nie przeszło wątpić, czy dotrze do oceanu. Tymczasem jest to rzeka bezodpływowa. Najpierw rozlewa się w rozległe mokradła, mylnie nazywane Bagnami Okawango, ogromny obszar lagun o klarownej wodzie i porośniętych papirusem brzegach, usianych maleńkimi wysepkami, z których strzelają w górę kępy wdzięcznej słoniorośli i dzikich fig. Po drugiej stronie rozlewisk rzeka pojawia się znowu, lecz węższa już i osłabiona, toteż kiedy wkracza na pustkowiec Kalahari niemal natychmiast znika pod jej wiecznymi piaskami, tym razem już na dobre.

Odcinek, którym płynęli Blaine i Centaine, znajdował się przed bagnami, gdzie rzeka rozacza całą swą potęgę i urok. Podróżowali tubylczym mukoro, sześciometrowym czółnem wydłubanym z jednego pnia drzewa, zaokrąglonym, lecz niezupełnie prostym.

— Sowa i kocur wypłynęli na morze w pięknej łódce o kształcie banana... — sparafrazował Blaine, a Centaine roześmiała się nieco sztucznie, lecz już wkrótce, gdy ujrzała, z jaką wprawą ich wiosłarze kierują niekształtnym czółnem, niepokój ją opuścił. Byli to dwaj pogodni, czarni jak smoła olbrzymi z miejscowego plemienia. Mieli poczucie równowagi akrobatów, a lata operowania wiosłami i długimi żerdziami do odpychania się od dna sprawiły, że proporcjami i budową ciała zbliżali się do greckich ideałów. Jeden stał na dziobie, drugi na rufie i śpiewając melodyjną pieśń wiosłarzy kierowali chybotliwą łodzią z niewymuszoną, niemal wrodzoną łatwością.

Blaine i Centaine leżeli pośrodku czółna rozparci na poduszkach z nie wyprawionej skóry, wypchanych pierzastymi wiechami trzciny papirusowej. Z powodu wąskości łódki zajmowali miejsca jedno za drugim, Blaine z przodu, z karabinem na kolanach, gotów do odstraszania zamieszkujących licznie rzekę hipopotamów, gdyby któryś z nich zapragnął się zbytnio zbliżyć.

— To najbardziej niebezpieczne zwierzę Afryki — wyjaśnił Centajne. — O wiele groźniejsze od innych.

— Nawet od słoni, lwów i jadowitych węży?

— Stary hipcio zabija dwa razy więcej ludzi, niż wszystkie inne gatunki zwierząt razem wzięte.

Centaine po raz pierwszy w życiu zapuszczała się w te strony. Jej żywiołem była pustynia, nie znała tej rzeki i tych mokradeł, nie zdawała sobie sprawy z bujności kwitnącego tu życia. Blaine natomiast znał Okawango bardzo dobrze. Po raz pierwszy dotarł na te tereny w roku 1915 z korpusem ekspedycyjnym generała Smutsa i od tamtej pory często tu wracał zapolować lub badać tutejszą florę i faunę. Potrafił nazwać każdego ptaka, każde zwierzę i każdą roślinę, a do tego znał setki opowieści, zarówno prawdziwych jak i zmyślonych, i nie przestawał jej nimi zabawiać.

Rzeka nieustannie zmieniała charakter. Miejscami zwężała się i pędziła z hukiem przez skaliste przełomy, a długie czółno mknęło przed siebie jak włócznia. Kierowane nieznacznymi ruchami wiosłarzy mijało rozszczepiające nurt, zjeżone występy skalne, przemykało przez pieniające się za nimi wiry i wypadało na następny odcinek, gdzie impet wody rzeźbił rzekę w stojące fale, jakby całą jej powierzchnię odlano z zielonego weneckiego szkła. Centaine zapierało dech w piersi, wydawała z siebie okrzyki strachu i zachwytu jak dziecko na kolejce w wesołym miasteczku. Chwilę później wypływali na szerokie, płytkie rozlewiska usiane łachami piachu i obrzeżone z obu stron rozległymi równinami zalewowymi, na których pasły się stada bawołów, masywnych, na pozór ospałych zwierząt, czarnych jak sadza, pokrytych skorupą zaschniętego błota, z wielkimi guzowatymi rogami opadającymi żałobnie na trąbkowate uszy. Stały po brzuchy w wodzie i unosząc w górę czarne, zaślinione nozdrza przyglądały się z komicznym zaciekawieniem przepływającemu czółnu.

— Och, Blaine! A to, co to jest? Nigdy jeszcze ich me widziałam!

— Koby. Okawango stanowi południową granicę obszaru ich występowania.

Były to krzepkie wodne antylopy o kudłatej, rudawej sierści. Samce sięgały do piersi dorosłemu mężczyźnie i miały długie, rozłożyste, wdzięcznie wygięte rogi. Pozbawione rogów samice były włochate jak dziecinne zabawki. Ogromne stada kobów ciągnęły się jak okiem sięgnąć, a były tak liczne, że kiedy spłoszone widokiem człowieka zwierzęta rzuciły się do ucieczki, tupot ich rozbijających wodę kopyt zahuczał jak pędząca w oddali parowa lokomotywa.

Niemal na każdym wyższym drzewie rosnącym nad brzegiem rzeki tkwiła para rybołówów, o lśniących w słońcu białych głowach. Na widok przepływającego mukoro odrzucały je do tyłu, nadymały gardła i wydawały z siebie dziwaczny, skrzekliwy krzyk.

Na białych piaszczystych brzegach majaczyły jaszczurze sylwetki krokodyli, paskudne i złowróżbne. Ogromne gady unosiły się na swych pieńkowatych, zdeformowanych nogach, kaczkowatym chodem zsuwały się na sam brzeg i szybko zanurzały w wodę, tak że nad powierzchnię wystawały tylko bliźniacze guziki ich pokrytych łuską powiek.

Na jednej z płycizn uwagę Centaine przykuła grupa gładkich okrągłych głazów, ciemnoszarych, obramionych różową obwódką. Rozpoznała je jednak dopiero po ostrzegawczym okrzyku Blaine'a.

— Uwaga! — zawołał do wiosłarzy, którzy natychmiast odbili w bok. Jeden z głazów drgnął, uniósł łeb wielkości beczułki piwa, rozdziawił czerwoną paszczę najeżoną rzędami mocnych, żółtych zębów i wydał z siebie tubalny ryk, przywodzący na myśl rubaszny śmiech obłąkanego boga. Blaine chwycił broń.

— Nie daj się nabrać na to jowialne cha, cha, cha — rzucił przez ramię do Centaine, przesunięciem zamka ładując karabin. — Wcale nie jest rozbawiony.

Kiedy to mówił, hipopotam natarł na nich przez płyciznę. Słoniowatymi nogami rozbijał wodę w białą pianę, ryczał dudniącym, złowieszczym śmiechem, a w rozwartej paszczy pobłyskiwały długie, wygięte zęby, których ostre jak brzytwa krawędzie mogły z równą łatwością kosić grube włókniste lodygi papirusa, i zmiażdżyć kruche burty Mukoro, a potem przeciąć na pół każdego pływaka.

Mukoro skoczyło do przodu popędzone długimi, potężnymi pchnięciami wiosłarzy, ale hipopotam szybko ich doganiał. Blaine zerwał się na nogi, balansując ciałem, by zachować równowagę w chwiejnym czółnie. Podrzucił karabin do ramienia i oddał kilka strzałów w tak krótkich odstępach czasu, że ich odgłos zlał się w jeden przeciągły huk. Centaine skuliła się, gdy nad jej głową świsnęła seria pocisków, i obejrzała się przez ramię pewna, że ujrzy, jak kule trafiają w wielki, mięsisty, szary łeb i spomiędzy szklistych różowych oczek tryska fontanna krwi. Ale Blaine mierzył kilka centymetrów nad czołem zwierzęcia. Uderzone falą powietrza rozdieranego przelatującymi pociskami, nastroszone uszka drgnęły, zatrzepotały jak skrzydełka nektarnika, hipopotam przerwał

natarcie i stanął jak wryty. Spod wody wystawał mu tylko łeb, a małe różowe ślepka mrugały raz po raz w komicznym zdumieniu. Mukoro szybko odpłynęło dalej, a hipopotam pogrążył się w wielkim wirze zielonej wody, jakby zawstydzony, że jego popis zakończył się takim blamażem.

— Wszystko w porządku? — spytał Blaine opuszczając karabin.

— Przyznam, że skóra na mnie ścierpła — odparła Centaine, starając się zapanować nad głosem, co udało jej się tylko w części.

— Nie było tak źle, jak się wydawało — uśmiechnął się. — Dużo gniewnego ryku, ale bez żądy mordy.

— Cieszę się, że go nie zabiłeś.

— Jaki sens miałoby zamienienie staruszka w cztery tony gnijącego padła i pozbawienie jego dwudziestu tłustych żon troskliwego małżonka?

— Czy dlatego właśnie nas ścigał? W obronie swoich samic?

— Pewnie tak, ale z dzikimi zwierzętami nigdy nic nie wiadomo. Może niezbyt przyjemnie wspomina ostatnie spotkanie z ludźmi, a może któraś z jego żon właśnie rodzi, albo po prostu jest dzisiaj bojowo nastawiony.

Chłód i spokój, jaki okazał w kryzysowej sytuacji, wywarły na Centaine ogromne wrażenie. Podobnie jak humanitarne oszczędzenie groźnego zwierzęcia.

„Tylko podlotki ubóstwiają swoich bohaterów” — upomniała się stanowczo, gdy czółno już spokojniej popłynęło dalej, i nagle przyłapała się na tym, że wodzi wzrokiem po szerokich barach Blaine’a, obserwując sposób, w jaki trzyma głowę. Ciemne włosy miał krótko przycięte, kark mocny, lecz nie do przesady, gładki, o przyjemnych proporcjach. Tylko uszy miał za duże i zaróżowione, jakby przeświecało przez nie słońce. Ogarnęła ją niemal nieopanowana chęć, by pochylić się i pocałować delikatną skórę tuż za miejscem, z którego sterczały, powtrzymała się jednak, choć nie udało jej się stłumić chichotu rozbawienia.

— Co cię tak rozśmieszyło? — spytał z uśmiechem odwracając głowę.

— Kiedy piękny królewicz ratuje dziewczę z łap zionącego ogniem smoka, ona zawsze czuje się słaba i skora do śmiechu.

— Dość rzadko spotykane stworzenia, te smoki.

— Nie drwij — skarciła go. — Tu wszystko jest możliwe, nawet księżniczki i smoki. To kraina z bajki. Za najbliższym zakolem rzeki czeka na nas święty Mikołaj i trzy dobre wróżki.

— Jesteś zupełnie zwariowana. Wiesz o tyrn?

— Owszem, wiem — skinęła poważnie głową. — I chyba powinnam cię ostrzec, że to bardzo zaraźliwe.

— Spóźniłaś się z tym ostrzeżeniem — potrząsnął smutno głową. — Coś mi się zdaje, że już się zaraziłem.

— To dobrze — orzekła i ulegając zachciance pochyliła się i pocałowała go za uchem.

Blaine zadrżał teatralnie.

— Patrz, coś zrobiła — szepnął i odwrócił się, by pokazać gęsią skórę na szyi i ramionach. — Musisz obiecać, że nigdy więcej tego nie zrobisz. To zbyt niebezpieczne.

— Tak jak ty me lubię składać obietnic. — Dostrzegła w jego oczach cień żalu i poczucia winy i przeklęła się w duchu. Ten przytyk do jego oporów przed składaniem deklaracji był zupełnie niepotrzebny, mógł tylko zepsuć cały nastrój.

— Och, Blaine, spójrz na te ptaki! — zawołała, próbując naprawić swoją niezręczność. — Przecież one nie mogą być prawdziwe! Widzisz, miałam rację, to kraina z bajki!

Sunęli z prądem wzdłuż wysokiej skarpy z czerwonej gliny o barwie tak jaskrawej, że

przypominała kolor krwistej pomarańczy. Cała skarpa usiana była tysiącami idealnie okrągłych otworów i spowita w wirujący obłok cudownie ubarwionych ptaków, które śmigały w tę i z powrotem, znikwały w wylotach kryjących gniazda jamek, by za chwilę znów wzbić się w powietrze.

— Karminowe żołą — powiedział Blaine, dzieląc jej zachwyty nad rozmigotanymi strzałami ognistego różu, turkusu i bieli o długich wiotkich ogonach z delikatnie falujących piór i smukłych skrzydełkach zaostrzonych na końcach jak sztylety. — Te pszczołojady są rzeczywiście jak nie z tego świata. Chyba zaczynam ci wierzyć, że znaleźliśmy się po drugiej stronie zwierciadła.

Od tej chwili rozmawiali już niewiele, ale to milczenie w jakiś dziwny sposób zdawało się ich do siebie zbliżać. Dotknęli się tylko jeszcze raz, kiedy Centaine położyła mu otwartą dłoń na ramieniu, a on w odpowiedzi nakrył jej palce na chwilę własną ręką.

Nieco później rzucił coś krótko do wioślarzy.

— Coś się stało? — spytała Centaine.

— Kazałem znaleźć miejsce na nocleg.

— Czy nie jest jeszcze bardzo wcześnie? — spytała, spoglądając na słońce.

— Owszem. — Odwrócił się i uśmiechnął się do niej niemal zawstydzony. — Ale, wiesz, próbuję ustanowić rekord na trasie Cuangar-Runtu.

— Jaki znowu rekord?

— Długości trwania podróży.

Wybrali jedną z większych wysepek. Biała łacha owijała się wokół siebie tworząc ukrytą lagunę o krystalicznie czystej, zielonkawej wodzie, odciętą od świata zasłoną wysokich, falujących papirusów. Kiedy obaj wioślarze zajęli się zbieraniem drewna na ognisko i ścinaniem pęków papirusu na szałas, Blaine wziął do ręki karabin.

— Dokąd się wybierasz? — spytała Centaine.

— Zobaczyć, czy nie trafi mi się coś dzisiaj na kolację.

— Och, Blaine, proszę cię, nie zabijaj dziś niczego. Nie dzisiaj. Nie w takim szczególnym dniu.

— Nie masz dość puszkowanej wołowiny?

— Proszę cię! — powtórzyła z naleganiem.

Odłożył karabin z uśmiechem zawodu i kręcąc głową odszedł sprawdzić, czy chaty są już gotowe i czy nad każdym łóżkiem rozciągnięto osobną moskitierę. Zadowolony odprawił wioślarzy, którzy szybko wsiedli do mukoro.

— A oni dokąd? — spytała Centaine, kiedy pchana żerdziami łódka ruszyła w stronę głównego nurtu rzeki.

— Kazałem im przenocować na brzegu — odparł Blaine. Oboje uciekli wzrokiem w bok, skrępowani i nieśmieleni. Widok odpływającego czółna uświadomił im nagie z niezwykłą mocą, że zostali zupełnie sami.

Centaine odwróciła się i wróciła do obozowiska. Uklękła przy jukach, swoim jedynym bagażu, i nie patrząc na Blaine'a powiedziała:

— Nie kąpałam się od wczoraj. Mam zamiar popływać w lagunie. — Wstała z kawałkiem żółtego mydła w ręce.

268

— A czy zostawiłaś pożegnalny list do rodziny?

— Jak to?

— To jest Okawango, Centaine. Małe dziewczynki służą tutaj krokodylom za przekąskę.

— Mógłbyś stanąć z karabinem na straży...

— Z największą przyjemnością.

— Ale zamknąć oczy!

— Raczej trudno byłoby mi wtedy w cokolwiek trafić.

Przeszukał brzeg laguny i znalazł płyciznę pod czarnym, wygładzonym przez wodę nawisem skalnym, gdzie dno pokrywał czysty biały piasek i gdzie zbliżający się krokodyl byłby doskonale widoczny, po czym usadowił się na szczycie nawisu z naładowanym i odbezpieczonym karabinem w rękach.

— Masz pod słowem honoru nie podglądać — ostrzegła go Centaine z piaszczystego brzegu pod skałą. Starał się skupić na dzikich gęsiach, które bijąc powoli ciężkimi skrzydłami przelatywały kluczem na tle zachodzącego słońca, ale słyszał tylko szelest jej opadającego ubrania.

Rozległ się plusk wody i cichutkie sapnięcie.

— No dobrze — dobiegło go spod skały. — Teraz możesz już wypatrywać krokodyli.

Siedziała na piaszczystym dnie tyłem do niego. Z wody wystawała jej tylko głowa z węzłem zebranych do góry i związanych włosów.

— Jest cudownie! — zawołała przez ramię z szerokim uśmiechem. — Tak chłodno i orzeźwiająco! — Przez zielonkawą wodę pobłyskiwała biel jej ciała. Blaine poczuł, że nie zniesie bólu trawiącego go pragnienia. Wiedział, że rozmyślnie go prowokuje, ale nie potrafił ani się jej oprzeć, ani uzbroić przeciwko jej podstępnyemu gierkom.

Izabela Malcomess spadła z konia przed prawie pięcioma laty i od tamtej pory nie żyli ze sobą jak kobieta z mężczyzną. Próbowali tego raz, lecz wciąż jeszcze prześladowało go wspomnienie rozpacz i upokorzenia, jakiego oboje doznali, gdy próba ta zakończyła się pełnym fiaskiem.

Blaine był zdrowym, pełnym wigoru mężczyzną, lubił żyć pełnią życia. Narzucenie sobie sprzecznego z naturą zakonnego trybu życia wymagało całej jego siły woli i determinacji, ale w końcu mu się to udało. Toteż teraz był zupełnie nieprzygotowany na ten nagły zalew tak skrzętnie tłumionych żądz i instynktów.

— Zamykaj oczy! — zawołała wesolo Centaine. — Wstaję, żeby się namydlić!

Nie zdołał zdobyć się na odpowiedź; zdusił tylko w gardle ochrypy jęk i wbił wzrok w leżący na kolanach karabin.

I wtedy nagle rozległ się pełen przerażenia krzyk Centaine

— Blaine!

W jednej chwili zerwał się na równe nogi. Centaine stała po uda w wodzie, drobniutkie fale sięgały jej do małych krągłych pośladków, opryskując kształtne biodra przechodzące w wąską talię. Wspaniale rzeźbione plecy i ramiona były sztywne ze strachu.

Krokodyl wynurzał się z głębiny potężnymi smagnięciami grzebieniastego ogona, od odrażająco opancerzonej paszczy rozchodziły się na obie strony smugi poruszonej wody, tworzące na powierzchni rysunek wąskiej strzały. Gad dorównywał niemal wielkością mukoro; od czubka paszczy po koniec pokrytego tarczami rogowymi ogona miał co najmniej sześć metrów.

— Uciekaj, uciekaj! — ryknął na całe gardło Blaine. Centaine odwróciła się i zaczęła brnąć przez wodę w jego stronę, ale krokodyl zbliżał się z szybkością cwałującego konia. Pienił wodę coraz potężniejszymi uderzeniami ogona, a uciekająca w stronę brzegu Centaine znajdowała się dokładnie na linii strzału.

Blaine zeskoczył z nawisu i trzymając karabin na wysokości piersi wbiegł po kolana w wodę.

— Padnij! — krzyknął. — Padnij na twarz!

Centaine zareagowała natychmiast rzucając się całym ciałem w wodę, a Blaine strzelił ponad jej plecami, niemal nie mierząc, bo gad już prawie dopadał Centaine.

Rozległ się trzask kuli uderzającej w pancerne płytki rogowy potwornego łba. Krokodyl wygiął

się raptownie do tyłu, wyskakując ponad wodę i zalewając Centaine i Blaine'a rozbryzgami piany i uniósł się wysoko w górę na swym potężnym ogonie. Drapiąc rozpaczliwie powietrze nieforemnymi przednimi łapami, błysnął kremowym brzuchem pokrytym szachownicą symetrycznie ułożonych rogowych płytek, wycelował w niebo długą, kanciastą paszczą i z przerażającym rykiem zwałił się do wody.

Blaine chwycił Centaine pod ramiona, poderwał ją na nogi i podtrzymując ją jedną ręką wycofał się do brzegu, mierząc drugą ręką z karabinu jak z pistoletu. Pierwsza kula musiała utkwic w prymitywnym mózgu zwierzęcia. Krokodyl miotał się w straszliwym konwulsjach, tarzał się nieopanowanie i kręcił w kółko, kłapiąc paszczą z taką siłą, że nierówne żółte zęby uderzały o siebie z hukiem zatrzaszkiwanej wichurą stalowej bramy.

Blaine odsunął Centaine do tyłu i obiema rękami uniósł karabin. Jego kule zadzwoniły o pokryty rogowym pancerzem łeb odłupując kawałki mięsa i kości. Ogon gada zatrzepotał bezsilnie, jeszcze raz

słabo uderzył w wodę, krokodyl przetoczył się ponad krawędzią piaszczystej płycizny na zieloną głębinę, jeszcze raz zakotłował wodę i zniknął bez śladu.

Centaine drżała na całym ciele i szczekała zębami ze strachu tak, że ledwie mogła mówić.

— To straszne, co za potwór! — wyjąkała, po czym zarzuciła Blaine'owi ręce na szyję i z całej siły się do niego przytuliła. — Och, Blaine, tak się bałam!

— Już dobrze, już dobrze... — próbował ją uspokoić. — Już po wszystkim, kochanie, już go nie ma. Zniknął i nie wróci. — Oparł karabin o skalę i otoczył ją ramionami.

Z początku głaskał ją i tulił zupełnie niewinnie, jak którąś ze swych córek, gdy budziły się z krzykiem z koszmarne snu, lecz nagle z całą mocą uświadomił sobie, jak jedwabista w dotyku jest jej naga, wilgotna skóra. Wyczuwał pod palcami wszystkie płaszczyzny jej pleców, gładkie wybrzuszenia mięśni po obu stronach kręgosłupa i nie mógł się powstrzymać, by me powieść dłonią po zagłębieniu między nimi. Sunął w dół wzdłuż łańcuszka sterczących spod skóry szlifowanych paciorków, aż natknął się na szczelinę między małymi jędrnymi pośladkami.

Centaine ucichła, oddychała tylko jeszcze urywanie, ale pod jego dotykiem wygięła się jak kot przywierając do niego biodrami. Objął dłońmi krągłe pośladki i przycisnął ją do siebie. Nie stawiała oporu, poddając mu się całym ciałem.

— Blaine... — wymówiła szeptem jego imię i uniosła głowę.

Pocałował ją brutalnie i z gniewem, jak człowiek honoru, który wie, że nie zdoła dłużej dotrzymać swego słowa. Zwarli się w uścisku, poili nawzajem własnym oddechem, spietli się językami, napierając nimi na siebie coraz mocniej i głębiej, aż wydawało się, że lada chwila się nimi uduszą.

— Teraz — wykrztusiła Centaine odrywając głowę. — To musi być teraz!

Blaine chwycił ją na ręce jak dziecko, pobiegł przez oblepiający nogi biały piasek do wzniesionej przez wioślarzy chaty, padł na kolana przed materacem z liści papirusu i położył ją delikatnie na przykrywającym go kocu.

— Chcę na ciebie popatrzeć — wyrzucił z siebie zdyszany, przysiadając na piętach, ale ona przeturlała się w bok i wyciągnęła do niego rękę.

— Potem... nie mogę dłużej czekać... Och, Blaine, proszę cię, zrób to zaraz! — Zaczęła mu rozpinąć koszulę, mocując się w pośpiechu i gorączce pragnienia z opornymi guzikami.

Jednym ruchem zdarł z siebie przemoczoną koszulę, odrzucił ją w bok, a ona znów zasypała go pocałunkami. Oboje naraz sięgnęli do sprzączki jego paska przeszkadzając sobie nawzajem, sapiąc, wybuchając śmiechem, zderzając się nosami, przygryzając sobie wargi zębami.



— O Boże, Blaine! Pospiesz się!

Oderwał się od niej i skacząc na jednej nodze, próbował zrzucić z siebie mokre, lgnące do nóg spodnie. Wyglądał niezdarnie i nieporadnie i w swym gorączkowym pośpiechu omal nie runął jak długi w biały piasek. Roześmiała się uszczęśliwiona, bez tchu. Był taki śmieszny, taki piękny, tak bardzo go pragnęła. Czowała, że jeszcze chwila i coś w niej pęknie, a wtedy na pewno umrze.

— Och, Blaine, proszę cię, chodź tu szybko!

W końcu był już nagi tak jak i ona. Kiedy pochylił się nad nią, opadła na plecy przyciągając go do siebie jedną ręką, rozwarła szeroko nogi, uniosła je wysoko w górę, a drugą ręką sięgnęła po jego męskość, odnalazła ją i poprowadziła w siebie.

— Och, Blaine! Jesteś taki... O tak, tak właśnie... och, będę krzyczeć...

— Krzycz! — zawołał, wchodząc w nią głębiej i głębiej, dźgając ją i dobijając uderzeniami bioder. — Tu nie ma nikogo, kto by mógł to usłyszeć. Krzycz za nas dwoje!

Otworzyła usta i dała upust całej swej samotności, pragnieniu i niewiarygodnej radości. Jej głos wzbijał się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu, w najbardziej porażającej i najpełniejszej chwili jej życia, zlał się w ogłuszającym crescendo z krzykiem Blaine'a.

Nieco później wtuliła twarz w jego nagą pierś i rozplakała się bezgłośnie.

— Wybacz, byłem taki brutalny... — szepnął Blaine, zaskoczony, przejęty i zatroskany. — Nie chciałem ci zrobić krzywdy.

Potrząsnęła głową i przełknęła łzy.

— Nie zrobiłeś mi żadnej krzywdy... To był najpiękniejszy...

— To dlaczego płaczesz?

— Bo wszystko, co dobre, jest takie ulotne. Im coś jest cudowniejsze, tym szybciej mija, gdy tymczasem wszystko co złe i podłe, trwa i trwa bez końca.

— Moje małżeństwo... Nie myśl tak...

— Nie wiem, jak ja będę żyła bez ciebie. Do tej pory to było piekło, ale teraz będzie jeszcze tysiąc razy gorzej.

— Ja też me wiem, skąd wezmę siłę, żeby cię opuścić — szepnął.

— To będzie najtrudniejsza chwila w całym moim życiu.

— Ile czasu nam jeszcze zostało?

— Jeden dzień... Potem dopłyniemy do Rundu.

— Kiedy byłem małą dziewczynką, ojciec podarował mi broszkę z bursztynem, w którym zatopiony był mały owad. Chciałabym, żebyśmy mogli tak właśnie zachować tę chwilę — zatopioną na wieki z bursztynie naszej miłości.

Rozstawali się długo i stopniowo, w procesie tym nie było nic z litościwego cięcia gilotyny. W ciągu następnych kilku dni powolny ciąg wydarzeń i ludzi rozdzielał ich krok po kroku, każąc w najdrobniejszych szczegółach, bez końca, przeżywać ból i udrękę narastającego oddalenia, wymuszanej rozłąki.

Od chwili, kiedy rankiem dobili do brzegu przy posterunku granicznym w Rundu i przywitali się z dowodzącym nim sierżantem policji, nieustannie przebywali w towarzystwie obcych ludzi, nieustannie musieli się pilnować. Każde spojrzenie, które wymieniali, każde słowo i każda ukradkowa pieszczota coraz natarczywiej przypominały im o nieuchronnym rozstaniu. Długotrwałe i wymyślne tortury zakończyły się dopiero wtedy, gdy zakurzona policyjna ciężarówka zwiózła ich z ostatnich wzgórz i wjechali między zabudowania Windhoek.

Świat już ich oczekiwał: Izabela, piękna i tragiczna w swoim wózku na kółkach, jej roześmiane i paplające radośnie córki, psotne i czarujące jak elfy, rywalizujące ze sobą o uściski i pocałunki

Blaine'a; szef policji, sekretarz zarządcy terytorium, chmara pomniejszych urzędników, dziennikarzy i fotoreporterów; Twentymann-Jones, Abe Abrahams, sir Garrick i lady Courteney, którzy na wieść o rabunku pospieszyli ze swej posiadłości w Ladyburgu, sterty listów z wyrazami współczucia, telegramów od premiera, generała Smutsa oraz setek przyjaciół i współpracowników.

A jednak Centaine pozostała dziwnie obojętna na całe to zamieszanie i harmider. Patrzyła na wszystko jak przez cieniutką muślinową zasłonę, thimiącą dźwięki i rozmazującą kształty, nadającą światu pazór snu, jakby jedna jej połowa przebywała wciąż daleko od Windhoek, sunęła czołnem po pięknej zielonej rzece, kochała się w parnej ciemności nocy pod chroniącą przed owadami moskitierą, spacerowała ręką w rękę z ukochanym mężczyzną; wysokim, silnym, łagodnym mężczyzną o zielonych oczach, dłoniach pianisty i cudownie odstających uszach.

Z salonki zatelefonowała do Shasy i zmusiła się do okazania entuzjazmu na wieść, że został kapitanem drużyny krykieta i że wreszcie udało mu się podciągnąć z matematyki.

— Nie wiem, kiedy wrócę do Weltevreden, cheri. Tyloma sprawami muszę się teraz zająć. Obawiam się, że tych diamentów już nigdy nie ujrzemy na oczy. Trzeba będzie przeprowadzić rozmowy z bankami i poczynić nowe uzgodnienia. Nie, nie bądź niemądry, skądże znowu! Oczywiście, że me jesteśmy biedakami, w każdym razie jeszcze nie. Ale milion funtów to bardzo dużo pieniędzy. No, a potem proces. Owszem, to okropny człowiek... Nie, nie wiem, czy go powieszają. Wielki Boże, nie! Na pewno nie pozwolą nam się przyglądać...

Tego pierwszego dnia rozłąki dwukrotnie dzwoniła do rezydencji zarządcy w złudnej nadziei, że usłyszy głos Blaine'a, ale za każdym razem telefon odbierała jakaś kobieta, sekretarka czy Izabela, więc odkładała słuchawkę bez słowa.

Zobaczyli się ponownie następnego dnia w biurze zarządcy, gdzie Blaine zwołał konferencję prasową. W holu tłoczyli się dziennikarze i fotoreporterzy i znów była tam Izabela na swoim wózku, z posłusznym, opiekuńczym i nie do zniesienia przystojnym Blainem u boku. Centaine z trudem przywołała na pomoc wszystkie swoje zdolności aktorskie, by wymieniać przyjazne uściski dłoni, żartować lekkim tonem z przedstawicielami prasy, a potem pozować z Blainem do fotografii i nie robić do niego maślanych oczu. Ale w drodze powrotnej do biura Courteney Mining and Finance Company, musiała przystanąć w bocznej uliczce i odsiedzieć dobre kilka minut, nim zdołała się wziąć w garść. Przez cały czas nie było jednej okazji, by zamienić z Blainem choć słowo na osobności.

Kiedy stanęła we frontowych drzwiach, Abe już na nią czekał. Natychmiast ruszył za nią po schodach i wszedł do gabinetu.

— Centaine, spóźniłaś się. Czekają na ciebie w sali rady nadzorczej już niemal całą godzinę. I trudno powiedzieć, żeby okazywali cierpliwość.

— A niech czekają! — odparła z werwą, której wcale nie czuła. — Lepiej, żeby zaczęli się do tego przyzwyczajać! — Bank był jej największym wierzycielem.

— Kradzież kamieni napędziła im takiego strachu, że mieniła się dziesięcioma różnymi odcieniami żółci, Centaine.

Zarząd banku domagał się tego spotkania od chwili, gdy dotarła do nich wiadomość o jej powrocie do miasta.

— Gdzie jest Twentymann-Jones?

— Siedzi tam z nimi, leje oliwę na wzburzone fale. — Abe położył przed nią grubą teczkę. — Tu jest harmonogram spłat odsetek i pożyczek.

Rzuciła okiem na zebrane dokumenty. Znała je na pamięć. Mogłaby bez zaglądania do nich recytować daty, sumy i procenty. Opracowała już w szczegółach całą strategię, ale teraz wydała jej

się ona nierealna mepoważna jak dziecinna zabawa.

— Jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć, nim wejdziemy do jaskini lwów? — spytała.

— Długi telegram od Lloydsa z Londynu. Odrzucają roszczenia. Brak uzbrojonej eskorty.

— Należało się tego spodziewać — skinęła głową. — Pozywamy ich? Jak radzisz?

— Zbieram opinie najlepszych adwokatów, ale w moim własnym odczuciu to strata czasu i pieniędzy.

— Coś jeszcze?

— De Beers — mruknął. — Telegram od samego sir Ernesta Oppenheimera.

— Już węszy... — westchnęła ciężko, próbując upozorować głosem przejęcie, ale myślami wciąż była z Blainem. Widziała, jak pochyła się nad wózkiem... Odepchnęła ten obraz i skupiła się na tym, co mówi Abe .

— Sir Ernest postanowił odwiedzić Windhoek. Będzie tu we czwartek.

— Co za niezwykły zbieg okoliczności — uśmiechnęła się cynicznie.

— Prosi o spotkanie w najbliższym dogodnym terminie.

— Ten facet ma węch hieny i wzrok sępa. Potrafi wyczuć krew i wypatrzeć konające zwierzę z odległości tysiąca kilometrów.

— Zawsze chciał zdobyć H'ani, Centaine. Ma na nią chrapkę od trzynastu lat.

— Wszyscy mają na nią chrapkę, Abe. Bank, sir Ernest, cała reszta sępów i hien. Ale, na Boga, przyjdzie im stoczyć o nią ciężką walkę.

- Jesteś gotowa? — spytał Abe .

Wstali oboje, Centaine przejrzała się w lustrze nad kominkiem, poprawiła włosy, zwilżyła wargi koniuszkiem języka i nagle cały świat nabrał znowu niezwykłej ostrości. Ruszała do bitwy, jej umysł zaczął pracować na dawnych obrotach, myśli nabrały jasności. Uśmiechnęła się do siebie szerokim, pewnym, protekcyjnym uśmiechem. Była otowa.

— Chodźmy! — powiedziała.

Kiedy wchodzili do długiego salonu z owalnym stołem i zdobitymi ścianami sześcioma wielkimi, magicznie lirycznymi pejzażami pustynnymi Pierneefa, uniosła wyżej głowę i powiodła pewnym spojrzeniem po zbranych.

- Zechcą mi panowie wybaczyć - powiedziała lekko od progu, atakując od razu całą mocą swej osobowości i seksualnego powabu i obserwując, jak maleją i kulą się pod impetem jej natarcia. - Od tej chwili jestem do wyłącznej dyspozycji panów, i to tak długo, jak długo będę panom potrzebna.

Gdzieś w głębi duszy nadal boleśnie czuła to puste miejsce, które na jedną ulotną chwilę zapełnił Blaine, ale obwarowała je i ufortyfikowała, aż znów zmieniło się w twierdzę nie do zdobycia. Zajmując miejsce w wysokim obitym skórą krześle u szczytu stołu powtarzała sobie raz za razem jak magiczne zaklęcie:

"H'ani należy do mnie, nikt mi jej nie odbierze, H'ani należy do mnie..."

27

Manfred De La Rey kroczył szybko przez ciemność o prowadzony na północ przez dwóch czarnych Oyambo.

Upokorzenie i rozpacz, jakich doznał po odprawieniu przez ojca, wzbudziły w nim nowy upór i determinację. Ojciec nazwał go mazgajem.

"A przecież jestem już dorosły - powtarzał sobie, wyciągając nogi, by nadażyć za ciemną sylwetką Swarta Hendricka. Nigdy już nie będę płakał. Jestem mężczyzną, będę to udowadniał każdego dnia. Zobacysz, tato. Już nigdy więcej nie będziesz musiał się za mnie wstydzić."

Lecz na myśl o ojcu umierającym samotnie na szczycie wzgórza ogarnął go taki żal, że wbrew

swemu postanowieniu poczuł na policzkach palące łzy. Musiał przywołać na pomoc całą siłę woli, żeby je powstrzymać.

"Jestem już zupełnie dorosły - powtarzał, starając się skupić na tym jednym stwierdzeniu. I rzeczywiście wzrostem dorównywał już niemal Swartowi Hendrickowi, a długie nogi bez wysiłku niosły go do przodu. - Jeszcze będziesz ze mnie dumny, tato. Przysięgam, że będziesz. Przysięgam przed Bogiem."

Przez całą długą noc ani na chwilę nie zwolnił kroku, nie pozwolił sobie nawet na jedno słowo skargi. Kiedy dotarli do rzeki, słońce stało już nad wierzchołkami drzew.

Natychmiast po zaspokojeniu pragnienia Hendrick poderwał ich z powrotem na nogi i popędził na północ. Posuwali się szerokimi łukami, oddalając się w ciągu dnia od rzeki i kryjąc wśród wyschniętych lasów, i wracając do niej z zapadnięciem zmroku, by ugasić pragnienie

I pod osłoną ciemności maszerować jej brzegiem aż do pierwszego brzasku.

Takich nocy forsownego marszu było dwanaście. Dopiero wtedy Hendrick uznał, że znaleźli się poza zasięgiem jakiegokolwiek pościgu.

- Kiedy przejdziemy na drugą stronę rzeki, Henie? - spytał Manfred.

- Nigdy.

- Ale ojciec chciał przejść na stronę portugalską, dotrzeć do handlarza kością słoniową Alyesa De Santosa, a potem do Luandy!

- Taki był plan twego ojca - zgodził się Hendrick. - Ale twój ojca nie ma z nami, a samotny obcy czarny nie ma czego szukać na północy. Portugalczycy są gorsi od Anglików, Niemców I nawet Burów. Wyłudziłiby od nas diamenty, skopali jak psy i jeszcze zesłali na przymusowe roboty. Nie, Manie, nie możemy tam iść, musimy wrócić. Wrócić do Oyambolandu, do naszych braci, gdzie każdy jest przyjacielem i gdzie możemy żyć jak ludzie, a nie jak zwierzęta.

- Wpadniemy w ręce policji - zaprotestował Manfred.

- Nikt nas nie widział. Twój ojciec tego dopilnował.

- Ale policja wie, że byłeś przyjacielem ojca Przyjdą po ciebie

- W Oyambolandzie - uśmiechnął się Hendrick - nie nazywam się Swart Hendrick, a tysiąc świadków przysięgnie, że am na chwilę nic ruszałem się ze swego kraalu i nie znam żadnego białego bandyty białych policjantów wszyscy czarni są do siebie podobni. Co więcej, mam brata, bardzo sprytnego brata, który będzie wiedział, jak sprzedać nasze diamenty. Za te kamienie kupię sobie sztuk dobrego bydła i dziesięć tłustych żon. Nie, Manie.

- A co ze mną? Ja nie mogę przecież zamieszkać z wami w kraalach Oyambolandu.

- Jest i dla ciebie miejsce. - Hendrick otoczył ramieniem białego chłopca w ojcowskim geście. - Twój ojciec zdradził mi w zaufaniu swój plan. Nie masz się czego obawiać. Nim odejdę, dopilnuję, żebyś stał odpowiednio zabezpieczony.

- Kiedy odejdziesz, Hendrick, zostanę sam, zupełnie sam, nie będę miał już nikogo. - Na to czarny mężczyzna me miał odpowiedzi. Wziął rękę z ramion chłopca i rzucił szorstkim tonem:

- Pora ruszać. Przed nami długa, ciężka droga.

Tej nocy opuścili rzekę i zawrócili na południowy zachód, obchodząc bokiem przerażające pustkowia Buszmanlandu i trzymając się surowych, lepiej nawodnionych terenów. Hendrick me narzucał już tak morderczego tempa, choć nadal unikał obszarów zamieszkałych i wszelkich kontaktów z ludźmi, aż wreszcie o zmierzchu dwudziestego dnia od rozstania z Lotharem De La Reyem ujrzeli ze szczytu zalesionego wzgórza pokrytą pastwiskami równinę i rozłożoną u ich stóp wioskę plemienia Oyambo.

Środek Wsi zajmował wielki centralny kraal dla bydła otoczony mocną palisadą z wbitych w

ziemię grubych, zaostzonych bali. Wokół niego ciągnęły się na wszystkie strony stożkowate, kryte strzechą chaty, zgrupowane jakby przypadkowo po cztery lub pięć, a każdą taką grupę otaczał wysoki płot z utkanych z trawy mat. W powietrzu snuły się blade wstęgi błękitnego dymu, którego woń, zmieszana z zapachem krowiego łajna i pieczonych na węglach placków, docierała aż do miejsca, gdzie stali. Wraz z nią dobiegł ich śmiech dzieci i głosy kobiet, melodyjne jak śpiew dzikich ptaków i chwilę później dostrzegli barwne plamy spódnic z wzorzystego perkalu, gdy kobiety ruszyły jednym długim rzędkiem od wodopoju, niosąc z wdziękiem na głowach wypełnione po wrąbek gliniane dzbany.

A jednak nie zeszli do wioski. Położyli się w kryjówce na wzgórzu, wypatrując obcych lub czegokolwiek nienormalnego, niezwykłego, choćby najmniejszych oznak niebezpieczeństwa. Hendrick omawiał cicho z Klein Boyem każdy dostrzeżony ruch, każdy niosący się z wioski dźwięk, aż w końcu Manfred nie wytrzymał.

— Na co my tu tyle czasu czekamy, Hennie? — spytał niecierpliwie.

— Tylko głupie cielę oryksa pędzi bez zastanowienia w pułapkę — mruknął Hendrick. — Zejdziemy na dół dopiero wtedy, gdy będziemy pewni, że nic nam nie grozi.

Po południu jakiś mały czarny urwis przygnał na zbocze stadko kóz. Poza zawieszoną na szyi procą był nagi jak go Pan Bóg stworzył. Hendrick zagwizdał cicho.

Chłopczyk drgnął i z przestachem spojrział w stronę ich kryjówki, lecz kiedy Hendrick zagwizdał po raz drugi, podpełzł bliżej, choć nadal bardzo ostrożnie. I nagle jego pucołowata buzia roześmiała się od ucha do ucha, błysnęła olśniewająco białymi zębami i pędem rzucił się ku Hendrickowi.

Hendrick rozpromienił się w uśmiechu, chwycił paplającego radośnie malca na ręce i posadził go sobie na biodrze.

— Mój syn — wyjaśnił Manfredowi, po czym zaczął wypytywać dziecko, słuchając uważnie szczebiotliwych odpowiedzi.

— W wiosce nie ma obcych. — oznajmił na koniec. — Byli policjanci, pytali o mnie, ale już odjechali.

Z dzieckiem na rękach sprowadził ich zboczem ku największej grupce chat, schylił się i wszedł przez otwór w plecionym z trawy płocie. Podwórze było nagie i zamiecione, otaczające je kregiem chaty stały zwrócone wejściami do środka. Na glinianym klepisku siedziały w kucki cztery kobiety, wszystkie tylko w skąpych przepaskach biodrowych z taniego barwnego perkaliku. Nucąc chórem jakąś pieśń i kołysząc się do taktu na piętach rozbijały i rozcierały w wysokich drewnianych moździerzach surową suszoną kukurydzę. Przy każdym uderzeniu służących za tłuczki długich żerdzi obfite piersi kobiet podrygiwały i kołysały się jakby w rytm melodii.

Na widok wchodzących jedna z kobiet wydała z siebie przeraźliwy pisk, zerwała się z ziemi i rzuciła biegiem ku Hendrickowi. Była to już zupełna starowina, beżebna i pomarszczona, skręcone włosy na głowie miała zupełnie białe. Zawodząc z radości padła przed Hendrickiem na kolana i objęła rękami jego potężne, muskularne uda.

— Moja matka — wyjaśnił Hendrick i podniósł starowinę z ziemi. W tej samej chwili otoczył ich rój rozradowanych, paplających jedna przez drugą kobiet, ale Hendrick szybko je uciszył i przegonił.

— Jesteś szczęściarzem, Manie — powiedział z figlarnym błyskiem w oku. — Tobie będzie wolno mieć tylko jedną żonę.

U wejścia do najdalszej chaty siedział na niskim rzeźbionym stołku jedyny mężczyzna w całym obejściu. Nie brał żadnego udziału w radosnym zamieszaniu, jakby w ogóle niczego nie dostrzegał. Hendrick przeciął podwórze w jego stronę. Siedzący był znacznie młodszy od niego, miał dużo jaśniejszą skórę, niemal barwy dzikiego miodu. Mimo to jego budowa i muskulatura wskazywały, że jest zaprawiony do ciężkiej fizycznej pracy, a z jego postawy bila pewność siebie człowieka, który usilnie do czegoś dążył i odniósł sukces. Miał w sobie także jakiś wdzięk, delikatne i inteligentne rysy twarzy sugerujące nilotyckich przodków i upodabniające go do młodego faraona. A co najdziwniejsze, trzymał na kolanach grubą książkę o mocno wytartych okładkach: „Dzieje Anglii” Macaulaya.

Powitał Hendricka z chłodnym opanowaniem, ale dla obserwującego ich białego chłopca było zupełnie jasne, że obaj darzą się głębokim uczuciem.

— To mój sprytny młodszy brat — powiedział Hendrick. — Z tego samego ojca, ale różnych matek. Zna afrikaans, po angielsku mówi jeszcze lepiej niż ja, no i czyta książki. Dla białych nazywa się Mojżesz.

— Widzę cię, Mojżeszu — powiedział Manfred, speszony przenikliwym spojrzeniem bystrych ciemnych oczu.

— Widzę cię, biały chłopcze.

— Nie nazywaj mnie „chłopcem”! — zaprotestował podniesionym głosem Manfred. — Nie jestem dzieckiem.

Mężczyźni wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się do siebie.

— Mojżesz pracuje jako brygadzysta w kopalni H'ani, jego także Anglicy nazywają chłopcem — wyjaśnił pojednawczo Hendrick, ale jego brat potrząsnął przecząco głową i powiedział w narzeczu plemienia Oyambo:

— Już nie, wielki bracie. Wyrzucili mnie ponad miesiąc temu. Więc siedzę sobie tutaj w słońcu, piję piwo, czytam, rozmyślam, a w wolnych chwilach spełniam uciążliwe obowiązki mężczyzny i męża. — Roześmieli się obaj, a Mojżesz klasnął w dłonie i zawołał władczo: — Piwa, kobiety! Czy nie widzicie, że mój brat usycha z pragnienia?

Hendrick z radością zrzucił z siebie europejskie ubranie i przywdział swojską przepaskę biodrową. Z radością powracał do ospalego tempa życia wioski. Jakże miło było znów posmakować cierpkiego, musującego piwa z sorgo, gęstego jak papka, schłodzonego w glinianych dzbanach; jak przyjemnie było niespiesznie porozmawiać o bydle i dzikiej zwierzynie, o zbiorach i deszczach, o znajomych, przyjaciółach i krewnych, o tym, kto umarł, kumu urodziło się dziecko, kto wziął sobie nową żonę. Czas płynął powoli i leniwie, aż w końcu Hendrick poruszył ostrożnie najbardziej palącą sprawę.

— Tak — skinął głową Mojżesz. — Byli tutaj. Dwa psy z tych, co to zdradzili własne plemię i wysługują się białym z Windhoek. Powinni się wstydić. Nie mieli mundurów, ale już z daleka załatywało od nich policję. Siedzieli wiele dni i wypytywali o jakiegoś Swarta Hendricka. Z początku przyjaźnie i z uśmiechem, potem ze złością i groźbami. Pobili kilka kobiet, twoją matkę... — Zobaczył, że Hendrick sztywnieje i zaciska szczęki, więc pospiesznie ciągnął dalej: — Twoja matka jest stara, ale twarda. Już nieraz była bita. Nasz ojciec był surowym człowiekiem. Pomimo bicia nie przypomniwała sobie żadnego Swarta Hendricka. Ani ona, ani nikt inny nie ma takiego człowieka. Więc policyjne psy odeszły.

— Wrócą — mruknął Hendrick, a jego przyrodni brat skinął głową.

— Tak. Biali nigdy nie zapominają. Za pięć, za dziesięć lat. W Pretorii powiesili człowieka za to, że zabił kogoś dwadzieścia pięć lat wcześniej. Tak, wrócą.

Pili po kolei z glinianego dzbana, siorbiąc za smakiem chłodne piwo.

— Gadali o wielkiej kradzieży diamentów na drodze z H'ani i wymieniali nazwisko tego białego diabła, z którym zawsze jeździłeś, z którym razem walczyłeś, z którym wy pływałeś na wielką zieloną wodę łapać ryby. Mówią, że byłeś z nim w czasie napadu i że kiedy cię znajdą, powieszają cię na długim sznurze.

Hendrick zachichotał i przeszedł do kontrnatarcia.

— Ja także słyszałem to i owo o pewnym człowieku, który nie jest mi ani obcy, ani nieznan. Powiadają, że człowiek ten ma wielkie doświadczenie w upłynnianiu kradzionych diamentów. że wszystkie kamienie z H'ani przechodzą przez jego ręce.

— A któż to naopowiadał ci tych podłych kłamstw? — spytał Mojżesz z niepewnym uśmiechem. Hendrick skinął na Klein Boya, który natychmiast przyniósł skórzaną torbę i bez słowa położył ją przed ojcem. Hendrick otworzył ją, zaczął wyjmować z niej po jednym małe pakunki owinięte w brązowy karton i układać je obok siebie na nagim klepisku podwórza — było ich czternaście.

Jego brat wziął do ręki pierwszą paczuszkę z brzegu, wyciągnął w pochwy ostry nóż i przeciął nim woskową pieczęć.

— To jest stempel kopalni H'ani — mruknął i ostrożnie rozwinął karton. Kiedy badał zawartość

pakunku, na twarzy nie drgnął mu nawet jeden mięsień. Odłożył pierwszą paczuszkę i wziął do ręki następną. Nie odezwał się ani słowem, dopóki nie otworzył i nie zbadał wszystkich czternastu pakunków. Dopiero wtedy powiedział stłumionym głosem:

— Śmierć. Tu jest śmierć. Śmierć setek, tysięcy ludzi.

— Możesz je jakoś sprzedać? — spytał Hendrick. Mojżesz pokręcił z wolna głową.

— Nigdy w życiu nie widziałem takich kamieni ani tylu naraz. Gdybym spróbował je sprzedać, ściągnąłbym nieszczęście i śmierć na nu wszystkich. Muszę się nad tym dobrze zastanowić, a na razie trzeba jak najszybciej usunąć te śmiertelne kamienie z kraalu.

O świcie następnego ranka wymknęli się we trzech z wioski i wspięli na szczyt wzgórza, gdzie rosło ogromne drzewo, które Hendrick jeszcze z czasów dzieciństwa, gdy buszował po okolicy jako urwis pasący bydło. Dziesięć metrów nad ziemią w drzewie tym dziupla, w której niegdyś gnieździła się para wielkich sów. Hendrick z Mojżeszem stanęli na straży, a Klein Boy przerzucił sobie z ramienia skórzaną torbę i zaczął się wspinać ku dziupli.

Minęło wiele dni, nim Mojżesz przedstawił bratu starannie przemyślane wnioski.

— Bracie mój, ty i ja wyrosliśmy już z takiego życia, ta wioska jest nie dla nas. Minęło zaledwie kilka dni, a już zaczyna cię nosić.

Widziałem, jak wodzisz wzrokiem po horyzoncie z miną człowieka, który marzy o tym, żeby się stąd wyrwać. To życie, tak przyjemne z początku, szybko się nudzi. Piwo szybko traci smak, a człowiek zaczyna rozmyślać o śmiałych czynach, których dokonał, przygodach, które przeżył i które jeszcze gdzieś tam na niego czekają.

— Jesteś człowiekiem wielu talentów, mój bracie — uśmiechnął się Hendrick. — Posiadasz nawet dar zagłębienia w ludzkie muśli i odgadywania najskrytszych tajemnic.

— Nie możemy tu zostać. Przechowywanie tutaj kamieni śmierci jest zbyt niebezpieczne, zbyt niebezpiecznie byłoby próbować je sprzedać.

— Słucham tego, co mówisz — skinął głową Hendrick.

— Są sprawy, którymi muszę się zająć. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem, nawet z tobą, ale dziś wiem, że takie są wyroki przeznaczenia.

— Opowiedz mi o tych sprawach.

— Mówię o sztuce, którą biali nazywają polityką, a której czarnym uprawiać nie wolno.

Hendrick machnął pogardliwie ręką.

— Za dużo czytasz, mój bracie. To zajęcie nie przynosi zysków ani nagród. Zostaw je białym.

— Mylisz się, bracie. Sztuka ta kryje skarby, przy których twoje białe kamyki wydają się bezwartościowym żwirem. Nie, nie uśmiechaj się tak drwiąco.

Hendrick otworzył usta, lecz zamknął je powoli z powrotem. Nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiał, ale siedzący przed nim miody człowiek miał potężną osobowość, biło od niego wibrujące napięcie, które poruszało go i wprawiało w podniecenie, choć nie do końca rozumiał znaczenie jego słów.

— Bracie mój, podjąłem decyzję. Odejdziemy stąd. Za ciasno tu dla nas.

Hendrick skinął głową. Nie było to dla niego nic nowego. Od urodzenia wiódł koczowniczy tryb życia, w każdej chwili był gotów znów ruszyć na włóczęgę.

— Nie tylko z tego kraalu, mój bracie. Opuścimy cały ten kraj.

— Mamy wyjechać z kraju?! — Hendrick poderwał się ze stołka i powoli opadł nań z powrotem.

— Musimy to zrobić. Ten kraj jest za mały dla nas i tych kamieni.

— I dokąd się udamy?

Mojżesz uniósł otwartą dłoń.



— Porozmawiamy o tym już wkrótce, ale najpierw musisz się pozbyć tego białego dzieciaka, którego tu sprowadziłeś. On jest jeszcze groźniejszy niż diamenty. Szybciej niż one ściągnie nam na kark białą policję. Dopiero kiedy się go pozbędziesz, będziemy mogli zrobić to, co trzeba zrobić.

Swart Hendrick był człowiekiem bardzo silnym, zarówno fizycznie jak i psychicznie. Mało czego się lękał, gotów był porwać się na wszystko i zapłacić każdą cenę za to, czego bardzo pragnął, ale zawsze szedł za czyims przewodem. Zawsze miał kogoś jeszcze silniejszego, jeszcze bardziej nieulekłego, kto go prowadził.

— Zrobimy, jak mówisz, bracie — powiedział.

Czuł instynktownie, że oto znalazł kogoś, kto mu zastąpi tamtego człowieka, którego zostawił konającego na spalonej słońcem skale pośrodku pustyni.

— Będziemy tu na ciebie czekać do jutra, do wschodu słońca — powiedział Swart Hendrick. — Jeśli nie wrócisz do tego czasu, będziemy wiedzieli, że jesteś bezpieczny.

— Czy cię jeszcze kiedyś zobaczę, Henie? — spytał żałośnie Manfred, a Hendrick w ostatniej chwili powstrzymał się przed złożeniem pustej obietnicy.

— Od tej chwili nasze ścieżki się chyba rozejdą, Manie. — Położył chłopcu rękę na ramieniu. — Ale będę często o tobie myślał... I któż wie, może pewnego dnia nasze ścieżki znów się skrzyżują. — Zacisnął dłoń i poczuł pod mą splóty mięśni, rozwiniętych jak u dorosłego mężczyzny. — Idź, Manie, i bądź takim mężczyzną jak twój ojciec.

Popchnął go lekko, ale chłopiec ociągał się z odejściem.

— Hendrick... — szepnął. — Tyle rzeczy chciałbym ci powiedzieć, ale nie potrafię znaleźć słów.

— Idź — powtórzył Hendrick. — Ja wiem. Nie musisz tego wcale mówić. Idź, Manie.

Manfred podniósł z ziemi plecak ze zrolowanym kocem, wyszedł z krzaków na zakurzoną wyboistą drogę i ruszył w stronę osady ze sterczącą w niebo iglicą kościoła, która teraz wydała mu się symbolem jego nowego życia, kuszącym, a jednocześnie odpychającym.

Na zakręcie przystanął i obejrzał się. Nigdzie nie dostrzegł ani śladu wielkiego Oyambo, toteż odwrócił się i powlókł główną ulicą ku stojącemu u jej końca kościołowi.

Nie zastanawiając się nad tym skręcił w bok i alejką do wywozu śmieci doszedł do plebanii, tak jak wtedy, kiedy był tu z ojcem. Wąską alejkę porastał po obu stronach gęsty żywopłot, a zza odsuwanych drzwiczek w tylnych ściankach stojących za nim komórek dolatywał smród kubłów na śmieci. Przy tylnej furtce plebanii zawahał się, po czym uniósł skobel i noga za nogą powlókł się długą ścieżką.

W połowie drogi stanął jak wryty. Gdzieś w pobliżu rozległ się donośny ryk, potem drugi, i chwilę później czyjś donośny głos zaczął kogoś łajać czy też może wdał się w zagorzałą sprzeczkę. Rozejrzawszy się ze strachem stwierdził, że odgłosy dobiegają z odrapanej szopy w końcu podwórza, takiej jakby sporej drewnitni.

Krok za krokiem zbliżył się ostrożnie do ściany drwalni i wyjrzał zza framugi otwartych na oścież drzwi. Z początku nic nie widział, ale kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do panującej we wnętrzu ciemności, stwierdził, że jest to coś w rodzaju podręcznego warsztatu z kowadłem i wiszącymi na ścianach narzędziami. A pośrodku klepiska klęczał Tromp Bierman, Trąba Pana.

Miał na sobie ciemne spodnie i białą koszulę z koloratką, a jego żakiet wisiał nad kowadłem na kowalskich szczypcach. Klęczał z twarzą wzniesioną w górę, z zamkniętymi oczami i rękoma wyciągniętymi do nieba w poddańczym czy też może błagalnym geście. Ale w jego głosie nie słychać było uległości.

— O Panie, Boże Izraela, wzywam cię najusilniej, byś odpowiedział na modlitwy swego sługi i pokierował nim w tej sprawie. Jakże mam wypełniać twoją wolę, gdy nie wiem, jaka ona jest?

Jestem tylko pokornym narzędziem w Twoich rękach, me śmiem sam podjąć takiej decyzji. Spójrz z góry, Panie, Boże Izraela, ulituj się nad mą niewiedzą i głupotą i zdradź zamiary...

Tromp Bierman urwał nagle i otworzył oczy. Okolona zmierzwioną lwią grzywą głowa odwróciła się powoli i Manfred ujrzał wpatrzony w siebie płonące oczy proroka ze Starego Testamentu. Pospiesznie zerwał z głowy bezkształtną, przepoconą czapkę i przycisnął ją oburącz do piersi.

— Wróciłem, Oom — powiedział cicho. — Tak jak kazałeś.

Tromp świdrował go wzrokiem, jakby chciał mu zajrzeć w głąb duszy. Miał przed sobą krzepkiego młodzieńca o szerokich barach, burzy zakurzonych złocistych loków, kontrastujących z nimi czarnych jak sadza brwiach i niezwykłych topazowych oczach. Próbował przebić jasną zasłonę tych oczu, odczytał malującą się w nich deteminację i żywą inteligencję.

— Podejdź no tutaj — polecił. Manfred położył na ziemi swój plecak i wszedł ostrożnie do środka. Tromp chwycił go za rękę i zmusił do ukłęknięcia.

— Na kolana, Jong, na kolana, dziękuj swemu Stwórcy. Wielbij Pana, Boga naszych ojców za to, że zechciał wysłuchać moich błagań w twojej sprawie.

Manfred posłusznie złożył dłonie i zamknął oczy.

— O Panie, wybacz swemu słudze czelność, z jaką zaprzętał Twą uwagę tak przyziemnymi sprawami, gdyś myślami Swymi ogarniał sprawy niepojęte. Składamy Ci dzięki za oddanie pod naszą opiekę tego młodzieńca, którego zahartujemy i wyostrymy jak klingę miecza. Potężnego miecza, co powali Filistynów, broń wznoszoną ku Twojej chwale w słusznej i sprawiedliwej sprawie Afrykanerów. Twego ludu wybranego. — Dźgnął Manfreda wskazującym palcem jak nożycami do strzyży.

— Amen! — stęknął z bólem chłopiec.

— Będziemy cię wielbić i sławić, Panie, przez wszystkie dni naszego żywota. Racz obdarzyć tego syna swego wybranego ludu hartem i zdecydowaniem...

Modlitwa ta, akcentowana co chwilę żarliwym „amen” Manfreda, trwała tak długo, że chłopcu omdlały kolana, a z głodu i zmęczenia zaczęło mu się kręcić w głowie. Wtedy nagle Tromp poderwał go na nogi i poprowadził energicznie ścieżką do kuchennych drzwi.

— Mevrouw! — zagrział Trąba Pana. — Gdzieś się, kobieto, podziała?

Na to wezwanie Trudi Bierman wpadła bez tchu do kuchni i stanęła w progu jak żona Lota, wpatrując się w brudne łachy chłopca.

— Moja kuchnia! — zawołała z rozpaczą. — Moja piękna wysprzątana kuchnia. Właśnie wywoskowałam podłogę!

— To sam Pan Bóg zesłał nam tego jonga — oświadczył gromko Tromp. — Będzie jadał przy naszym stole, przyjmujemy go do naszej rodziny.

— Ale on jest brudny jak Kafr!

— To go, kobieto, wyszoruj!

W tej właśnie chwili za plecami Trudi Bierman nieśmiało stanęła w drzwiach jakaś dziewczyna i na widok Manfreda zastygła w bezruchu niczym wystraszona łania.

Manfred ledwie ją poznał. Zaokrągliła się, ręce, które jeszcze tak niedawno sterczały jej jak patyczki, obrosły jędrnym, gładkim, często i starannie mytym ciałem. Blade niegdyś policzki zaróżowiły się, matowe oczy przejaśniały i nabrały blasku, wyszczotkowane do połysku włosy zaplotła w dwa warkoczyki, upięte na czubku głowy. Ubrana była w skromną, lecz nieskazitelnie czystą, szeroką sukienkę do kostek.

Po pierwszym oszołomieniu Sarah wydała z siebie krzyk i rzuciła się z wyciągniętymi rękami ku

Manfredowi, ale Trudi Bierman chwyciła ją za ramię i twardo osadziła w miejscu.

— Ty leniwa, niegodziwa dziewczyno! Kazałam ci dokończyć rachunków. Masz w tej chwili do nich wracać! — Wypchnęła Sarah szorstko z kuchni, po czym odwróciła się z powrotem do Manfreda i stanęła przed nim z założonymi rękami i surowo ściągniętymi ustami.

— Budzisz odrazę — powiedziała. — Włosy masz długie jak dziewczyna, te łachmany... — Przybrała jeszcze groźniejszą minę. — A to jest chrześcijański dom. Nie będziemy tu tolerować żadnych bezbożnych bezceństw, jakim folgował twój ojciec. Zrozumiano?

— Jestem głodny, ciociu.

— Dostaniesz jeść razem ze wszystkimi, nie wcześniej. I nie wcześniej, niż się wyszorujesz. — Spojrzała na swego męża. — Menheer, czy mógłbyś pokazać chłopcu, jak rozpalić ogień w łaźni?

Stała w drzwiach maleńkiej łazienki, by nadzorować jego ablucje, zbyła szorstko jego wstydlive protesty, a kiedy zawahał się przed wejściem do niemal wrzącej wody, chwyciła kostkę niebiesko żyłkowanego mydła i zaczęła bezlitośnie szorować jego najbardziej intymne zagłębienia i wypukłości.

Potem, owiniętego tylko w skąpy ręcznik, wyprowadziła za ucho przed tylne drzwi, posadziła na skrzynce na owoce i uzbrojona w parę nożyc do strzyżenia owiec przystąpiła do skracania włosów, które zaczęły mu padać na ramiona jak pszenica pod kosą żniwiarza. Kiedy przesunął dłonią po głowie, namacał palcami krótką szczecinę, a na karku i za uszami poczuł chłodzący powiew powietrza.

Następnie Trudi Bierman zebrała brudne ubranie Manfreda i zminą wyrażającą najwyższe obrzydzenie otworzyła drzwiczki pieca. Zrobiła to tak niespodziewanie, że Manfred ledwie zdążył ocalić kurtkę. Kiedy ujrzała minę, z jaką się przed nią cofnął, chowając kurtkę za plecami i macając ukradkiem małe grudki pod podszewką, wzruszyła ramionami.

— Niech ci będzie — mruknęła. — Może po upraniu i wyłataniu jeszcze się do czegoś nada. Poszukam ci czegoś ze starych rzeczy pastora.

Trudi Bierman potraktowała apetyt Manfreda jako wyzwanie dla swych zdolności kulinarnych. Stojąc nad nim z warząchwią w jednej ręce i garnkiem gulaszu w drugiej dokładała mu porcję za porcją jeszcze nim zdążył spałaszować poprzednią, a kiedy w końcu opadł bez sił na oparcie krzesła, ze zwycięskim błyskiem w oku ruszyła do spiżarni po wspaniały placek z bitą śmietaną.

Jako nie należącym do rodziny, Manfredowi i Sarah przydzielono najniższe stoiki w połowie stołu, tuż obok siedzących na wyższych krzesłach dwóch pulchnych, puciołowatych, jasnowłosych Biermanów.

Sarah z tak wyraźnym brakiem apetytu skubała postawione przed nią jedzenie, że w końcu zirytowało to Trudi Bierman.

— Nie po to urabiam sobie ręce po łokcie przy kuchni, żebyś mi tu teraz wybrzydzała, moja pannico. Nie wstaniesz od stołu, póki nie sprzątniesz wszystkiego z talerza, choćby miało to potrwać do rana. Szpinak też. — I Sarah żuła wszystko mechanicznie, ani na chwilę nie odrywając oczu od Manfreda.

Był to pierwszy w życiu posiłek Manfreda, za który dziękował dwiema modlitwami, na rozpoczęcie i na zakończenie, a obie zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Powieki ciążyły mu nieznośnie i głowa opadała mu na piersi, a huczące „amen” Trompa Biermana, które zabrzmiało jak salwa armatnia, wyrwało go prawie ze snu.

Biermanowie stanowili bardzo liczną rodzinę, toteż po przybyciu Sarah plebania zaczęła pękać w szwach — dla Manfreda nie było już w niej miejsca. Przydzielono mu kąt w warsztacie przy końcu podwórka, gdzie ciotka Trudi postawiła na sztorc starą skrzynię, by służyła za szafę na tych kilka

sztuk odzieży po pastorce, które Manfred miał dostać, i wskazała mu żelazne łóżko z twardym, zbitym materacem, stojące w kącie oddzielonym od reszty warsztatu starą wypłowiałą zasłoną na sznurku.

— Nie marnuj świecy — przestrzegła go jeszcze od progu szopy. — Będiesz dostawał tylko jedną, pierwszego dnia każdego miesiąca. My tu jesteśmy oszczędnymi ludźmi. żadnych ekstrawagancji w stylu twego ojca! Co to, to nie!

Manfred naciągnął wysoko cienki szary koc, by ochronić przed chłodem niemal łysą głowę. Po raz pierwszy w życiu miał własne łóżko i własny pokój. Rozkoszując się tym uczuciem wdychał chciwie zapach smarów, patafiny i zimnych węgli w palenisku kuźni .i chwilę później już spał.

Obudziło go muśnięcie w policzek. Poderwał się z krzykiem, przerażony tłoczącymi się w ciemności obrazami. Sniła mu się ręka ojca, cuchnąca gangreną, sięgająca po niego spoza grobu. Z trudem wyplątał się z koca.

— Manie, Manie, to ja. — W głosie Sarah słyhać było nie mniejsze przerażenie niż w jego krzyku. Jej sylwetka rysowała się na lic rozjaśnianego poświatą księżyca jedyne go nie zasłoniętego okna; szczupła i wiotka w długiej nocnej koszuli, otoczona aureolą wyczesanych, sięgających do ramion srebrzystych włosów.

— Co ty tutaj robisz? — wymamrotał. — Nie wolno ci tu przychodzić. Musisz natychmiast wracać. Jeśli cię tu znajdą... — drżał, bo nie bardzo wiedział, jakie mogłyby być tego konsekwencje, choć czuł podświadomie, że na pewno bardzo poważne. I to jego nowe, dziwne, lecz przyjemne poczucie bezpieczeństwa zostałoby zagrożone.

— Jestem taka nieszczęśliwa. — W jej głosie słyhać było tłumiony płacz. — Cały czas, od tamtego dnia, kiedy odszedłeś. Dziewczęta są takie okrutne. Nazywają mnie yuilgoed, „śmieć”. Dokuczają mi, bo nie umiem tak dobrze czytać i rachować jak one i śmiesznie mówię. Od kiedy odszedłeś, nie było nocy, żebym nie płakała.

Manfredowi serce zaczęło się do niej wyrwać i pomimo strachu przed odkryciem, sięgnął ręką i przyciągnął ją na łóżko.

— Ale teraz wróciłem i już tu jestem. Będę się tobą opiekował, Sarie. Nie pozwolę już ci dokuczać.

Wstrząsana płaczem wtuliła twarz w jego szyję.

— Dość tego mazgajenia się, Sarie — powiedział surowo. — Nie jesteś już dzieckiem. Musisz być dzielna.

— Płaczę ze szczęścia — odparła pociągając nosem.

— Żadnego płaczu, nawet ze szczęścia — rozkazał. — Jasne? — Przytaknęła energicznie i po jeszcze jednym cichym chlipnięciu opanowała łzy.

— Myślałam o tobie codziennie — szepnęła. — Modliłam się do Boga, żebyś wrócił, tak jak obiecałeś. Czy mogę wejść do łóżka, Manie? Strasznie zmarzłam.

— Nie — odmówił stanowczo. — Musisz wracać, zanim cię tu przyłapią.

— Tylko na chwilę — szepnęła błagalnie i nim zdążył zaprotestować, wśliznęła się pod koc i mocno do niego przytuliła . Drżała z zimna, jej nocna koszula była cieniutka i znoszona. Nie mógł się zdobyć na to, żeby ją odpędzić.

— Tylko pięć minut — mruknął. — Potem natychmiast wracasz. Jej kruche ciało szybko się rozgrzało, włosy, które czuł na policzku, były miękkie i pachniały jak futerko małego kotka, mlekiem i ciepłem. Po ojcowsku pogłaskał ją po głowie.

— Czy myślisz, że Bóg wysłuchał naszych modłów? — spytała cicho. — Modliłam się najgoręcej jak umiałam, no i jesteś, dokładnie tak jak prosiłam. — Zamilkła na chwilę. — Ale musiałam się modlić bardzo, bardzo długo.

- Nie znam się na modlitwach — wyznał półgłosem. — Tata nigdy za bardzo się me módlł. Mnie też me nauczył.

— No to teraz lepiej szybko się naucz — ostrzegła. — W tym domu wszyscy modlą się bez przerwy.

Kiedy w końcu wymknęła się z szopy, zostawiła za sobą ciepłe miejsce na materacu i jeszcze cieplejsze w jego sercu.

Było jeszcze ciemno, kiedy wyrwał go ze snu potężny ryk samej Trąby Pana:

— Masz dziesięć sekund, a potem kubek zimnej wody, Jong!

I wuj Tromp poprowadził go, dygocącego i pokrytego gęsią skórką, do koryta przy stajni.

— Nie ma lepszego lekarstwa na cielesne pokusy niż zimna woda, Jong — oświadczył, znajdując w tym wyraźną przyjemność. — Przed śniadaniem wywieziesz gnój ze stajni i wyczyszysz kuca, słyszysz?

Cały dzień był przyprawiającym o zawrót głowy ciągiem pracy przeplatanej modlitwą, domowych zajęć wciśniętych między długie sesje nad książkami i jeszcze dłuższe na klęczkach, kiedy to wuj Tromp albo ciotka Trudi wzywali Boga, by pomógł uczniom podciągnąć się w nauce lub zesłał na nich najstraszniejsze kary.

Mimo to, nim upłynął pierwszy tydzień pobytu na plebanii, Manfred delikatnie lecz trwale zmienił hierarchię w stadku młodszych domowników. Kamiennym, niewzruszonym spojrzeniem bursztynowych oczu dusił w zarodku wszelkie próby drwin ze strony Biermanówien, aż zmieszane, z nerwowym chichotem dawały za wygraną.

Przy książkach sprawa wyglądała inaczej. Jego kuzynki z zapalem oddawały się nauce, miały przewagę całych lat ślęczenia nad książkami. Kiedy Manfred z ponurą miną zabrał się do gramatyki języka niemieckiego i Matematyki dla szkół średnich Meickesa, pełne zadowolenia uśmieшки córek pastora, gdy ledwie dukał w odpowiedzi na pytania ciotki Trudi stały się dla niego wystarczającym bodźcem.

„Ja im pokażę” — obiecał sobie i z takim zacięciem oddał się doganianiu i prześcignięciu kuzynek, że minęło ładnych kilka dni, nim zauważył, jak Biermanówny znęcają się nad Sarah. Okrucieństwo, jakim się posługiwały, było skryte i wyrafinowane: ukradkowy kuksaniec, rzucone cichym głosem przewisko, złośliwa mina, wyrachowane niedopuszczanie do wspólnych gier i zabaw, sabotowanie wykonywanych przez nią prac domowych — smuga sadzy na tym, co Sarah właśnie wyprasowała, ściągnięte prześcieradło na świeżo zasłanym łóżku, tłusta plama na dopiero co umytych talerzach. I zwyczajski uśmiezek, gdy Sarah spotykała kara za lenistwo i opieszałość, wymierzana ze zbożnym zapalem przez ciotkę Trudi wierzchem szczotki do włosów.

Zasadził się na Biermanówny i zdybał je każdą osobno. Trzymając je za warkoczyki i zaglądając im w oczy z odległości kilku centymetrów cedził przez zęby słowa, w których dźwięczało tłumione napięcie, kończąc przemowy tym samym ostrzeżeniem: „... i nie próbuj biegać na skargę do matki”. Złośliwości dziewcząt ustały jak nożem uciął i pod opieką Manfreda Sarah zostawiono wreszcie w spokoju.

Pod koniec tego pierwszego tygodnia, po piątym nabożeństwie wlokącej się w nieskończoność niedzieli jedna z kuzynek stanęła w drzwiach warsztatu, gdzie Manfred kuł niemiecką gramatykę wyciągnięty na swym łóżku.

— Ojciec wzywa cię do swego gabinetu — powiedziała i załamała ręce, udając tragedię z powodu niechybnej katastrofy.

Manfred szybko zmoczył głowę i przed odłamkiem lustra nad łóżkiem próbował przyczesać krótko ostrzyżone włosy, ale na nic się to nie zdało — włosy natychmiast stawały z powrotem na

jeża. Dał więc temu spokój i pospieszył stawić się na wezwanie.

Nigdy do tej pory nie został wpuszczony do pokojów od frontu. Stanowiły otaczane najwyższą czcią sanktuarium, a gabinet pastora był wśród nich czymś w rodzaju świętego świętych. Z ostrzeżeń, którymi z ponurym zadowoleniem raczyły go kuzynki, wiedział, że wezwanie do tego pokoju wiązało się nieodmiennie z karą i bólem. Zadrżał przed drzwiami, czując, że ktoś musiał odkryć conocne wizyty Sarah w warsztacie, podskoczył, słysząc ryk, który się rozległ w odpowiedzi na jego nieśmiałe pukanie, po czym pchnął powoli drzwi i przestąpił próg.

Wuj Tromp siedział za ciemnym biurkiem, pochylony do przodu i oparty pięściami o blat.

— Wchodź, Jong! — ryknął, opadając ciężko na oparcie krzesła. — Wchodź i zamknij drzwi! Nie tkwij tam jak ten kołek!

Manfred stanął przed biurkiem, szukając rozpaczliwie słów żalu i skruchy, lecz nim zdążył cokolwiek powiedzieć, wuj Tromp odezwał się ponownie.

— Dostałem od twej ciotki raport na twój temat, Jong. — Ton jego głosu kłócił się ze srogą miną. — Powiada, że twoją edukację żałośnie zaniedbano, ale że starasz się to nadrobić i przykładasz się do nauki. — Manfredowi kamień spadł z serca, odetchnął z taką ulgą, że omal nie stracił wątku długiej egzorty.

— Jesteśmy ludźmi podlejszego gatunku, Jong. Ofiarami ucisku i milneryzmu.

Manfred słyszał o lordzie Milnerze od swego ojca; był to słynny angielski gubernator, zagorzały przeciwnik Afrykanerów, autor rozporządzenia nakazującego wszystkim dzieciom używającym w szkole języka afrikaans nosić czapki z oślimi uszami i napisem: „Jestem osłem, mówiłem po holendersku” [Zwrot „mówić po holendersku” (to speak Dutch, double Dutch, High Dutch) znaczy mniej więcej tyle co „bredzić, wygadywać głupoty, mówić od rzeczy”.]

— Jest tylko jeden sposób, by pokonać naszych wrogów, Jong. Musimy stać się silniejsi, sprytniejsi i bardziej bezwzględni niż oni.

Trąbę Pana tak pochłonęły własne słowa, że podniósł wzrok na wymyślne ozdóbki na sufitowej sztukaterii, a oczy zaszklila mu mieszanina religijnego i politycznego fanatyzmu. Manfred czym prędzej skorzystał z okazji, by obrzucić ukradkowym spojrzeniem zapchany meblami pokój.

Trzy ściany zajmowały półki na książki, zastawione poważnymi dziełami o tematyce religijnej. Przeważały prace Jana Kalwina i ojców prezbiterianizmu, choć były tu także rozprawy historyczne i filozoficzne, podręczniki prawa i biologii, słowniki i encyklopedie oraz kilka półek psalmów i kazań po angielsku, holendersku i niemiecku.

Na czwartej ścianie, tej za plecami wuja Trompa, stała kolekcja fotografii. Z najwyższej półki patrzyli surowo na Manfreda przodkowie pastora, każdy w odświętnym stroju i sztywny, jakby kij połknął. Poniżej rząd zdjęć uwieczniał zgromadzenia wiernych lub uczonych członków synodów, gdzie wśród wielu różnych zmieniających się twarzy zawsze można było odszukać podobiznę Trompa Biermana. Był to swoisty ciąg dorastających i starzejących się powoli Trompów, od gładkoliciego młodzieńca o jasnych oczach w ostatnim rzędzie w rogu, po dojrzałego mężczyznę o lwiej grzywie i brodzie patriarchy pośrodku pierwszego rzędu.

Spośród tych wszystkich w istocie rzeczy podobnych do siebie zdjęć wyrastała nagle, ni stąd ni zowąd, zupełnie inna fotografia, oprawiona w ramki i lekko już pożółkła. Była większa od wszystkich pozostałych, stała na poczesnym miejscu i przedstawiała półnagiego młodego mężczyznę w długich trykotowych spodniach ze wspaniałym, ogromnym pasem ozdobionym grawerowanym srebrnym medalionem i lśniącymi zapinkami.

Mężczyzną tym był Tromp Bierman w wieku mniej więcej dwudziestu pięciu lat, gładko ogolony, z włosami napomadowanymi brylantyną i rozdzielonymi równiutkim przedziałkiem pośrodku głowy.

Był potężnie zbudowany, prężył wspaniałe mięśnie w klasycznej pozie bokerskiej z zaciśniętymi pięściami na wysokości piersi. Na stojącym obok niego małym stoliku lśniły puchary i inne sportowe trofea. Uśmiechający się z fotografii mężczyzna był uderzająco przystojny, a w oczach Manfreda urastał do roli niepokonanego bohatera.

— Wuj jest bokserem! — zawołał, nie mogąc powstrzymać się przed wyrażeniem zachwyty i podziwu.

Trąba Pana urwał w pół słowa, opuścił głowę i zamrugał oczami, by powrócić do rzeczywistości, po czym powiódł wzrokiem śladem spojrzenia Manfreda.

— Owszem, i to nie jakimś tam zwykłym bokserem, tylko mistrzem — powiedział. — Mistrzem Związku Afryki Południowej w wadze półciężkiej. — Odwrócił głowę z powrotem, a kiedy ujrzał minę Manfreda, twarz mu się rozpogodziła i rozjaśniła. Do tego wspomnienia powracał z wyraźną radością.

— I wuj zdobył te wszystkie puchary... i ten pas?

— A jakże, Jong! Pobiłem Filistynów na głowę. Powaliłem wszystkie ich zastępy.

— To wuj walczył tylko z Filistynami?

— To wszystko byli Filistyni, Jong. Kiedy wychodzili na ring, stawali się dla mnie Filistynami, spadałem na nich bez litości jak młot i miecz Wszechmogącego. — Tromp Bierman podniósł na wysokość piersi zaciśnięte pięści i przeszył powietrze nad biurkiem serią szybkich ciosów kończących się tuż przed nosem Manfreda.

— Tymi pięściami zarabiałem na życie, Jong. Po dziesięć funtów od ochotnika. Walczyłem z Mike'em Williamsem i pokonałem go w szóstej, samego Mike'a Williamsa! — Znow zaczął markować uniki i ciosy. — Puf, puf! Prawy, lewy, prawy! Rozłożyłem nawet na łopatki czarnego Jephthę, a w dziewięćset szesnastym odebrałem tytuł Jackowi Lalorowi. Wciąż jeszcze słyszę ten ryk tłumy, kiedy Lalor runął na deski. Cóż to były za wiwaty, Jong, cóż to były za wiwaty... — Urwał, złożył ręce na kolanach i w jednej chwili przybrał z powrotem surową minę. — A potem twoja ciotka Trudi i Pan Nasz, Bóg Izraela odwołali mnie z ringu do poważniejszych zadań — powiedział, jego oczy powoli przyblakły i utraciły blask bitewnej gorączki.

— Dla mnie nie byłoby nic ważniejszego niż boks i zdobywanie mistrzostwa — szepnął bez tchu Manfred.

Wuj popatrzył na niego w zamyśleniu, przesunął uważnym spojrzeniem od czubka ostrzyżonej na jeża głowy po duże lecz proporcjonalne stopy w schodzonych sandałach.

— Chciałbyś się nauczyć walczyć? — zniżył konspiracyjnie głos i zerknął niespokojnie na drzwi.

Manfred nie był w stanie odpowiedzieć; podniecenie odebrało mu mowę, więc tylko przytaknął głową, ale głos wuja Trompa odzyskał już swe normalne, tubalne brzmienie.

— Twoja ciotka, Trudi, nie pochwała bijatyk. I ma oczywiście słuszość! Burdy na pięści to dobre dla chuliganów! Wybij to sobie z głowy, Jong. Myśl o bardziej wzniosłych sprawach.

Potrząsnął głową tak energicznie, że broda mu się zmierzwiła, jakby aż takiego wysiłku trzeba było, żeby usunąć ten pomysł z jego własnych myśli. Przeczesał brodę placami i ciągnął dalej:

— Wracając do tego, o czym mówilem... Twoja ciotka i ja uważamy, że lepiej będzie, jeśli na jakiś czas przestaniesz używać nazwiska De La Rey. Do czasu, kiedy ucichnie wrzawa związana z procesem twego ojca, przybierzesz nazwisko Bierman. Tamto zbyt wiele razy pojawiało się już w gazetach, tych narzędziach szatana. Ciotka ma rację, że nie toleruje ich w tym domu. Kiedy w przyszłym miesiącu rozpocznie się w Windhoek proces twego ojca, będą trąbić o tym bez końca. Okryłoby to hańbą i wstydem ciebie i całą naszą rodzinę.

— Proces mojego ojca? — powtórzył Manfred, nie pojmując o czym wuj mówi. — Przecież mój

ojciec nie żyje.

— Jak to? — Tromp wstał z krzesła i obszedł biurko. — Myślałeś, że twój ojciec nie żyje? — Położył chłopcu ręce na ramionach. — Wybacz mi, Jong. Nie mówiąc o tym wcześniej przysporzyłem ci niepotrzebnych cierpień. Twój ojciec żyje. Został pojmany przez policję i przewieziony do Windhoek. Dwudziestego przyszłego miesiąca przed tamtejszym sądem najwyższym rozpoczyna się jego proces. Grozi mu jednak kara śmierci.

Kiedy sens słów wuja dotarł do Manfreda, chłopiec zachwiał się i skulił w sobie. Tromp Bierman podtrzymał go za ramiona i z niezwykłą u niego delikatnością mruknął:

— Teraz sam rozumiesz, dlaczego chcemy, żebyś zmienił nazwisko.

29

Sarah szybko uwinęła się z prasowaniem i wymknęła z domu. Usiadła na stercie drewna, podciągnęła kolana pod brodę i objawszy je rękami zaczęła się przyglądać, jak Manfred rąbie drewno. Uwielbiała patrzeć, jak posługuje się siekierą. Była to długa oburęczna siekiera o pomalowanym na czerwono obuchu i mieniącej się jasno krawędzi ostrza. Manfred wyostrzył ją na osetce tak, że mógł nią sobie golić złocisty meszek na wierzchu dłoni.

Zdjął koszulę i dał jej do trzymania. Pierś i plecy lśniły mu od potu. Lubiała jego zapach; przypominał zapach pieczonego chleba albo ciepłej od słońca, zerwanej prosto z drzewa figi.

Manfred położył na koźle kolejną kłodę, rozprostował plecy i splunął w dłonie. Zawsze to robił, a wtedy ona także zbierała w ustach ślinę w mimowolnym odruchu solidarności. Kiedy podniósł oburącz długą siekierę, skupiła się w sobie.

— Tabliczka mnożenia przez pięć — rozkazał i wziął szeroki zamach. Ostrze z cichym świstem przecięło powietrze nad jego głową i zagłębiło się w drewno z tępym stukiem, któremu zawtórowało głośnie stęknienie chłopca.

— Pięć razy jeden jest pięć — wyklepała, podchwytyjąc rytm uderzeń. — Pięć razy dwa jest dziesięć.

Manfred stęknął i biały kawałek drewna odprysnął aż na wysokość jego głowy.

— Pięć razy trzy jest piętnaście. — W żółtych promieniach zachodzącego słońca ostrze siekiery zatoczyło świetlisty krąg i dokoła posypał się grad wiórów. Sarah recytowała dalej, popiskując z podniecenia.

— Pięć razy dziesięć jest pięćdziesiąt! — zawołała dokładnie w chwili, gdy kłoda opadła na koziół rozcięta na dwoje. Manfred wyprostował się, oparł na siekierze i uśmiechnął się do dziewczynki.

— Bardzo dobrze, Sarie, nie pomyliłaś się ani razu.

Wyprężyła się uszczęśliwiona, lecz w tej samej chwili jej uwagę zwróciło coś za jego plecami. Pobieгла wzrokiem ponad ramieniem Manfreda, uśmiech zniknął z jej twarzy, jego miejsce zajęła mina wyrażająca poczucie winy. Zeskoczyła szybko ze sterty drewna, okręciła się na pięcie i z szelestem spódnic umknęła ścieżką do domu.

Manfred odwrócił się i ujrzał wuja Trompa opartego o węgiel warsztatu i przyglądającego się jego pracy.

— Przepraszam wujku powiedział szybko, spuszczać głowę. — Wiem, że nie powinna tu przychodzić, ale po prostu nie mogłem jej odesłać.

Wuj Tromp odepchnął się od ściany i z rękami zwisającymi wzdłuż boków, jak wielki niedźwiedź, zbliżył się powoli do Manfreda, po czym obszedł go dookoła, mierząc jakimś dziwnie nieobecny spojrzeniem. Na jego czole pojawiła się mała, pionowa zmarszczka.

Manfred poruszył się nieswojo.



— Ile ty masz właściwie lat, Jong? — spytał wuj, dźgając go boleśnie w brzuch wielkim paluchem.

Manfred odpowiedział, a wuj skinął głową.

— Jeszcze trzy lata, nim przestaniesz rosnać. Typowa półciężka, chyba że na koniec sfiniszujesz i dobijesz do ciężkiej.

Te nieznanne lecz dziwnie ekscytujące terminy przyprawiły Manfreda o mrowienie na karku. Wuj Tromp podszedł do stery drewna, powoli zdjął ciemny surdut, zwinął go starannie i położył na jednej z kłód. Potem odwiązał koloratkę, pedantycznie ułożył ją na surducie i podwijając rękawy białej koszuli wrócił do Manfreda.

— A więc chciałbyś zostać bokserem? — mruknął, a Manfred tylko potaknął głową. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

— Odłóż siekierę.

Chłopiec wbił ją szybko w pień i odwrócił się z powrotem do wuja. Tromp Bierman wyciągnął prawą rękę zwróconą otwartą dłonią w jego stronę.

— Bij! — polecił.

Manfred zacisnął pięść i wziął ostrożny zamach.

— Nie dziergasz, Jong, skarpetek na drutach ani nie miesisz ciasta! Co z tobą? Jesteś mężczyzną czy dziewczką służebną? Bij, chłopie! Bij! No, teraz lepiej. Ale nie bierz zamachu zza głowy, wal prosto przed siebie. Mocniej, mocniej! No, niech będzie. Teraz lewa. Tak, dobrze! Lewa! Prawa! Lewa!

Wuj Tromp trzymał teraz przed chłopcem już obie ręce, uchylając się, uskakując, markując uniki, a Manfred z zapalem podążał za nim bijąc na zmianę w wielkie otwarte dłonie.

— No dobra — powiedział Tromp, opuszczając ręce. — A teraz uderz mnie w twarz. No, z całej siły. Prosto w szczękę. Zobaczymy, czy dasz radę mnie powalić.

Manfred opuścił pięści i cofnął się o krok.

— Nie mogę tego zrobić, wujku zaprotestował.

— Czego, Jong? Czego nie możesz zrobić?

— Nie mogę wujka uderzyć. Kto to słyszał? To byłby zupełny brak szacunku.

- No proszę, więc przestaliśmy rozmawiać o boksie, a zaczęliśmy o szacunku! — ryknął Tromp Bierman. — O koronkach, damskich rękawiczkach i puszkach do pudru! A mnie się zdawało, że chciałeś nauczyć się walczyć! Myślałem, że chcesz zostać mężczyzną, a widzę przed sobą zasmarkanego siusiumajtkę! — Zmienił głos i piszcząc falsetem zaczął przedrzeźniać Manfreda: — Kto to słyszał, wujku Tromp, to byłby zupełny brak szacunku!

Jego prawa ręka wyprysnęła nagle do przodu i otwartą dłonią wymierzył Manfredowi siarczysty policzek, który zostawił na twarzy chłopca piekący czerwony odcisk wszystkich pięciu palców.

— Tobie nie chodzi o szacunek, Jong. Ty się po prostu pietrasz! Najzwyczajniej w świecie się boisz! Nie jesteś mężczyzną tylko zasmarkanym siusiumajtkiem! Nigdy nie nauczysz się walczyć!

Druga wielka łapa spadła na twarz Manfreda tak niespodziewanie i z taką szybkością, że chłopiec dostrzegł ją dopiero w ostatniej chwili. Pałący ból wycisnął mu z oczu łzy.

— Trzeba ci będzie znaleźć fartuszek, dziewczeczko! I kokardkę we włosy!

Tromp Bierman mieszał z błotem cofającego się, oszołomionego, niepewnego chłopca, obserwując go jednocześnie badawczo, wpatrując się w jego oczy i modląc się w duchu, żeby to się stało. Znów uderzył, rozbijając miękkie ciało o zęby, rozcinając Manfredowi dolną wargę. Po brodzie chłopca pociekła smużka krwi.

„No, nie daj się! — wzywał po cichu, wylewając na głowę chłopca kubły pogardy, kpin i

drwiny. — No, proszę cię, nie daj się!”

I nagle pierś wezbrała mu bezbrzeżną radością — udało się! Manfred zniżył głowę, jego oczy uległy raptownej zmianie. Zapłonęły zimnym, żółtym nieubłaganym blaskiem, jak u gotującego się do skoku Iwa, i chłopiec ruszył do ataku.

Choć pastor na to czekał, spodziewał się tego, modlił się o to, szybkość i impet natarcia omal nie zbiły go z nóg; uratował go tylko dawny instynkt pięściarza. Udało mu się uchylić przed tym pierwszym morderczym atakiem, lecz w muskających skronie i targających brodę ciosach wyczuł taką siłę, że musiał przywołać na pomoc cały spryt i uwagę, by utrzymać się na nogach i nie ulec tej zimnej, dzikiej bestii, którą obudził do życia.

Ale już po kilku rozpaczliwych sekundach odezwało się doświadczenie i dawna wprawa i zaczął z coraz większą łatwością uskakiwać, uchylać się, wycofywać tuż poza zasięg ramion chłopca, parując wściekle ciosy, oceniając walkę z obiektywizmem postronnego obserwatora, przyglądając się z coraz większym zachwytem, jak ten nieszkolony młodzik pracuje obiema rękami z dokładnie taką samą siłą i zręcznością. „Urodzony oburęczniak! Nie faworyzuje prawej i choć nikt go tego nie uczył, prowadzi każdy cios z ramienia!”

Potem jeszcze raz spojrział w te kocie oczy i na myśl o tym, jaki żywioł rozpętał, po plecach przebiegł mu dreszcz grozy.

„To morderca. Ma instynkt lamparta, który zabija dla samej radości zabijania, tylko po to, żeby posmakować krwi. On już mnie nie widzi. Widzi przed sobą tylko zdobycz.”

Ta świadomość rozproszyła go. Dostał w bark prawym prostym, od którego zaszczękały mu zęby i zadrżały nogi i który musiał zostawić siniaka od ramienia po łokieć. Oddech palił go w gardle, nogi zaczynały mu ciążyć jak odlane z ołowiu, serce omal nie rozsadziło mu piersi. Od czasu, kiedy ostatni raz stał na ringu, minęły dwadzieścia dwa lata. Dwadzieścia dwa lata kuchni Trudi, dwadzieścia dwa lata bez fizycznego wysiłku, chyba żeby zaliczyć doń siedzenie za biurkiem lub wygłaszanie kazań. A ten młodzik był jak maszyna. Wpatrzony w niego zimnym, morderczym krótkowzrocznym spojrzeniem, młócił bez wytchnienia obiema rękami i pan bezlitośnie do przodu.

Tromp Bierman zebrał się w sobie, odczekał, aż Manfred wypuści prawy sierpowy, i w powstałą w ten sposób szczelinę posłał potężną lewą kontrę, swój najlepszy cios, ten sam, którym w trzeciej rundzie rozłożył na łopatki czarnego Jephthę. Rozległo się to wspaniałe charakterystyczne stłumione stuknięcie kości o kość i kontra dosięgła celu.

Manfred osunął się na kolana, morderczy blask zniknął z bursztynowych oczu, a jego miejsce zajął wyraz kompletnego oszołomienia jak u człowieka, który właśnie otrząsnął się z transu.

— Tak właśnie, Jong... — Głos Trąby Pana utracił całą swą tubalność, brzmiał jak świszczący skrzek. — Na kolana, dziękować Stwórcy. — Tromp osunął się na ziemię obok Manfreda, objął go ramieniem i uniósł twarz do nieba. — Dziękujemy Ci, Boże Wszechmogący, za silne ciało, którym obdarzyłeś swego młodego sługę. Dziękujemy ci za jego lewy prosty — choć wiemy, że trzeba będzie nad nim ciężko popracować — i błagamy pokornie, byś spojrział łaskawym okiem na nasze wysiłki, mające na celu zaszczepienie mu choćby najlichszych podstaw pracy nóg. Jego prawy może być tylko darem Niebios, za który dzięki składać Ci będziemy po wieki wieków, chociaż trzeba go jeszcze nauczyć, by nie sygnalizował każdego ciosu z pięciodniowym wyprzedzeniem.

Manfred nadal potrząsał głową i rozcierał szczękę, lecz na dźgnięcie grubym paluchem w żebra zareagował bezbłędnie.

— Amen! — zawołał żarliwie.

— Do pracy przystąpimy niezwłocznie, o Panie, wytyczymy w warsztacie ring, by tam wykładać Twemu młodemu słudze podstawy walki. Błagamy Cię tylko pokornie, byś zechciał pobłogosławić

naszemu przedsięwzięciu i sprawił, by wiadomość o nim nie dotarła do partnerki sługi Twego w świętym związku małżeńskim, Trudi Bierman.

Niemal każdego popołudnia wuj Tromp zaprzęgał kuca i pod pretekstem odwiedzin u któregoś z parafian wyjeżdżał z fasonem przez frontową bramę, machając żegnającej go z werandy żonie. Manfred czekał już na niego za kępą bożodajni przy drodze do Windhoek, bosi i rozebrany do krótkich spodenek. Na widok zbliżającej się dwukółki podbiegał do jej boku i równał krok do truchtu konia.

— Dziś osiem kilometrów, Jong! — wołał wuj Tromp, popędzając spasionego kuca. — Do mostu na rzece i z powrotem, ale trochę szybciej niż wczoraj!

Rękawice, które wuj Tromp wykradł z kufra na strychu, były popękane od starości, udało się je jednak jakoś wyłatać. Kiedy po raz pierwszy zawiązał je Manfredowi na rękach, chłopiec podniósł je do nosa i powąchał.

— To zapach skóry, potu i krwi, Jong. Nabierz go głęboko w płuca, bo od tej chwili nie będziesz się z nim rozstawał.

Manfred uderzył o siebie starymi, zniszczonymi rękawicami i na chwilę jego oczy zapłonęły tym samym jasnym, żółtym blaskiem.

— To przyjemne uczucie mieć je na rękach — powiedział z uśmiechem.

— Nie ma przyjemniejszego - zgodził się wuj Tromp i podprowadził go do worka z grubego brezentu, wypełnionego rzeczonym piaskiem, który zwisał z belki w rogu szopy.

— Na początek chcę zobaczyć, że ta lewa trochę pracuje. Ona jest jak dziki koń, trzeba ją okiełznać i ułożyć do walki, nauczyć ją, jak nie marnować siły i energii. Musi przestać młócić powietrze wedle własnej woli i przyzwyczaić się, że ma robić to, co jej każemy.

Wspólnie zbudowali ring wielkości jednej czwartej prawdziwego, bo tylko taki mógł się zmieścić w warsztacie, wkopali głęboko w ziemię i zabetonowali kolki narożników. Potem rozpostarli na podłodze płachtę grubego brezentu. Cementu i brezentu dostarczył jeden z zamożniejszych parafian wuja Trompa wezwany do złożenia tego daru „ku chwale Pana i jego ludu wybranego”. Nie był to apel, który można by łatwo zlekceważyć.

Sarah nakazano złożyć najstraszniejszą przysięgę dochowania tajemnicy, jaką Manfred i wuj Tromp byli w stanie wspólnie wymyślić, i pozwolono jej przyglądać się treningom, choć była widzem całkowicie stronnictwym i zupełnie bezwstydnie dopingowała wyłącznie młodszego z pięściarzy.

Po dwóch takich treningach nie zdraśnięty, ale dyszący jak miech kowalski wuj Tromp potrząsnął smutno głową.

— To na nic, Jong. Albo znajdziemy ci innego partnera sparingowego, albo ja sam będę musiał zacząć trenować.

Od tego dnia kuc pozostawał spętany przy kępie bożodajni, a wuj Tromp pokonywał długie kilometry u boku Manfreda, stękając, sapiąc i ociekając potem lejącym się z jego brody jak pierwszy letni deszcz.

Już wkrótce jednak, jakby zrządzeniem jakichś czarów, jego wydatny brzuch zaczął znikać i spod pokładów galaretowatego sadła pokrywającego ramiona i piersi wyłonił się zarys twardych mięśni. Stopniowo wydłużyli rundy z dwóch minut do czterech, a mianowana oficjalnym sędzią czasowym Sarah odmierzała je na tanim, srebrnym kieszonkowym zegarku wuja Trompa, którego wątpliwą punktualność rekompensowały imponujące rozmiary.

Minął niemal miesiąc, nim wuj Tromp mógł powiedzieć sobie coś, czego nigdy nie powiedziałby Manfredowi — „ten chłopak zaczyna wyglądać na boksera”. Zamiast tego z surową miną oświadczył:

— Teraz szybkość. Masz być szybki jak mamba i bojowy jak ratel.

Mamba to najgroźniejszy wąż Afryki. Osiąga trzy i pół metra długości i grubość nadgarstka dorosłego mężczyzny. Jej jad w ciągu czterech minut sprowadza na człowieka śmierć — śmierć w nieopisanych męczarniach. Mamba jest tak szybka, że potrafi doścignąć galopującego konia, a uderza z nienacka, bez ostrzeżenia „ w jednym mgnieniu oka.

— Szybki jak mamba, bojowy jak ratel — powtórzył wuj Tromp, a miał to w ciągu nadchodzących lat uczynić jeszcze setki i tysiące razy.

Ratel to małe afrykańskie zwierzę o luźno pofałdowanej, lecz grubej i twardej skórze, która opiera się kłom mastyfa a nawet lamparta, masywnej, spłaszczonej czaszce, od której nieszkodliwie odbijają się najgrubsze pałki, i sercu lwa, nieustraszonego olbrzyma. Łagodny zazwyczaj i cierpliwy, bez namysłu rzuca się na największego nawet przeciwnika, jeśli ten nieopatrznie go sprowokuje. Powiadano, że instynktownie kieruje swój atak na krocze i potrafi wygryźć jądra każdemu samcowi, który mu zagrozi, bez względu na to, czy byłby to człowiek, bawół czy lew.

— Coś ci pokażę, Jong. — Tromp Bierman podprowadził Manfreda do wielkiej drewnianej skrzyni stojącej pod tylną ścianą warsztatu i uniósł wieko. — To dla ciebie. Zamówiłem listownie w Cape Town, Przyjechało wczorajszym pociągiem.

Wcisnął Manfredowi w ręce płataninę skórzanych i gumowych pasów.

— Co to jest, wujku?

— Chodź, pokażę ci.

Tromp Bierman w kilka minut rozplątał i połączył ze sobą elementy skomplikowanego wynalazku.

— No i jak? — spytał, odstępując o krok i przyglądając się swemu dziełu w szerokim uśmiechem. — Co o tym myślisz, Jong?

— Nigdy w życiu nie dostałem tak wspaniałego prezentu, wujku. Ale co to takiego jest?

— Uważasz się za boksera, a nie potrafisz rozpoznać gruszki treningowej, kiedy masz ją przed samym nosem!

— Gruszka treningowa! Musiała kosztować mnóstwo pieniędzy!

— To prawda, Jong, tylko nie mów o tym ciotce Trudi.

— Co się z tym robi?

— Tylko patrz! — zawołał wuj Tromp i zaczął młócić na przemian obiema pięściami w skórzany worek, szybko, raz za razem, trafiając go precyzyjnie po każdym odbiciu się od ramy, aż wreszcie opuścił ręce i dysząc ciężko cofnął się o krok.

— Szybkość, Jong, szybkość mamby!

W obliczu tego nowego dowodu hojności i entuzjazmu wuja Manfred musiał przywołać na pomoc całą swą śmiałość, by zdobyć się na wypowiedzenie słów, które od tygodni paliły go w język. Oczekał do ostatniej chwili ostatniego dnia i dopiero wtedy wyrzucił nagle z siebie:

— Muszę odejść, wujku.

Patrzył z bólem, jak na surowej twarzy brodacza, którego zdążył szczerze i głęboko pokochać, pojawia się wyraz niedowierzania i głębokiego rozczarowania.

— Odejść? Jak to odejść? Chcesz opuścić mój dom? — Wuj Tromp stanął jak wryty na zakurzonej drodze do Windhoek i otarł twarz zniszczonym ręcznikiem zawiązanym wokół szyi. — Dlaczego, Jong, dlaczego?

— Mój tata — odparł Manfred. — Za trzy dni zaczyna się jego proces. Muszę tam być, wujku. Pójdę, ale wrócę. Przysięgam. Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

Wuj Tromp odwrócił się i pobiegł dalej długą prostą drogą, dudniąc ciężko o ziemię

niedźwiedzimi nogami i wzbijając za każdym krokiem kłęby kurzu. Manfred popędził przed siebie, żeby go dogonić. Nie zamienili już ze sobą ani słowa aż do kępy drzew, gdzie stała uwiązana dwukółka.

Oom Tromp wdrapał się na kozioł, wziął do ręki lejce i spojrzał na Manfreda stojącego na ziemi obok koła.

— Chciałbym, Jong, mieć syna, który by okazał mi takie przywiązanie — mruknął cicho i trzepnięciem lejców poderwał kuca do kłusa.

Następnego dnia, długo po kolacji i wieczornych modlitwach, Manfred leżał na łóżku i osłoniwszy starannie świecę stojącą na półce nad głową, by jej migotanie nie zwróciło na tę ekstrawagancję uwagi ciotki Trudi, czytał Goethego, ulubionego pisarza swego ojca. Choć bardzo podciągnął się z niemieckiego, nie było to wcale takie łatwe. Ciotka Trudi nalegała, by przez dwa dni w tygodniu nie mówiono w domu żadnym innym językiem, a także wprowadziła uczone dysputy przy kolacji, w których udział brać powinni — to znaczy musieli — wszyscy członkowie rodziny. Lecz przecież Goethe to nie czytanka dla początkujących. Manfred z takim skupieniem rozgryzał zawilgości form czasownikowych, że obecność wuja Trompa spostrzegł dopiero wtedy, gdy ten wyjął mu książkę z ręki.

— Zesujesz sobie oczy, Jong.

Manfred poderwał się na łóżku i spuścił nogi na podłogę. Wuj Tromp usiadł ciężko obok niego, kartkując w roztargnieniu książkę, a po chwili powiedział nie podnosząc oczu:

— Rautenbach jedzie jutro do Windhoek swoim fordem „T”. Wiezie na targ sto indyków, znajdzie się jednak dla ciebie miejsce z tyłu. Będziesz musiał jakoś znieść fruujące pierze i indycze gówna, ale to taniej niż pociągiem.

— Dziękuję, wujku.

— W mieście mieszka pewna stara wdowa. To porządna i pobożna niewiasta, a do tego świetnie gotuje. Będziesz mógł się u niej zatrzymać. Tu masz list. — Wyjął z kieszeni kartkę papieru i położył ją Manfredowi na kolanach. Kartka była po prostu złożona i zapieczętowana dużą kroplą czerwonego wosku. Pensja wiejskiego pastora nie starczała na takie zbytki jak koperta.

— Dziękuję, wujku. — Manfred nie potrafił znaleźć żadnych innych słów. Chciał zarzucić ramiona na tę niedźwiedzią szyję i przytulić policzek do szorstkiej siwiejącej brody, ale zapanował nad sobą.

— Możesz mieć jakieś inne nieprzewidziane wydatki — burknął Tromp Bierman. — Nie wiem, w jaki sposób przyjdzie ci wracać. Na wszelki wypadek... — Sięgnął do kieszeni, wziął drugą ręką dłoń Manfreda i coś mu w nią wcisnął.

Manfred spojrzał na dwie błyszczące półkoronówki i pokręcił powoli głową.

— Ja nie mogę, wujku...

— Nic nie mów, Jong — przerwał mu wuj Tromp wstając z łóżka. — Zwłaszcza ciotce Trudi.

— Ja mogę wujkowi wszystko zwrócić! — zawołał Manfred, przytrzymując go za rękaw. — I za to, i za wszystkie inne wydatki!

— Wiem, że kiedyś mi za to odpłacisz, Jong. Odpłacisz tysiącrotnie przysparzając durny i radości.

— Nie, nie kiedyś! Teraz! Mogę wujkowi zwrócić za wszystko już teraz.

Zerwał się z łóżka i podbiegł do postawionej na czterech ceglach skrzynki, która służyła mu za szafę. Przyklęknął na ziemi, wsunął rękę w szparę między cegłami, wyciągnął żółty woreczek na tytoń, po czym wrócił pospiesznie do wuja, rozsypując niecierpliwie sznurki małego kapciucha. Ręce trzęsły mu się z podniecenia, myślał tylko o tym, by jak najprędzej sprawić wujowi

przyjemność.

— Proszę, wujku. Niech wujek nastawi dłoń.

Tromp Bierman wyciągnął z pobłażliwym uśmiechem wielką łapę o palcach jak porządne, domowego wyrobu kielbaski, porośniętą z wierzchu skręconymi czarnymi włosami.

— Co ty tam masz, Jong? — spytał dobrotliwie i w tym momencie uśmiech zamarł mu na twarzy. Z woreczka Manfreda wysypała się na jego dłoń kaskada mieniących się kamieni.

Diamenty, wujku — szepnął Manfred. — Tyle, że stanie się wujek bogaty. Będzie mógł sobie wujek kupić wszystko, o czym zamarzy.

— Skąd to masz? — spytał chłodno i beznamiętnie Tromp Bierman. — Skąd wzięłeś te kamienie?

— Mój tata... mój ojciec. Włożył mi je pod podszewkę kurtki. Powiedział, że to na opłacenie szkół, na opłacenie tego wszystkiego, co zawsze chciał dla mnie zrobić, ale nigdy nie było go na to stać.

— A więc jednak... — powiedział cicho Tromp Bierman. — Więc jednak to prawda, o czym wypisywały gazety. Nie były to zwykłe kłamstwa Anglików. Twój ojciec jest zbójem i bandytą. — Zaciśnął w wielkiej dłoni migocący skarb. — A ty byłeś razem z nim, Jong. Musiałeś tam być, kiedy dokonywał tych potworności, o które go oskarżają, za które będą go sądzić. Byłeś wtedy z nim, Jong? Odpowiadaj! — Jego głos przybierał na sile jak sztormowa wichura, aż wreszcie przeszedł w ogłuszający ryk. — Czy razem z nim czyniłeś tamto zło?! — Drugą ręką chwycił Manfreda za koszulę pod szyją i przyciągnął głowę chłopca, aż niemal stykali się twarzami. — Wyznaj to, Jong. Wyznaj mi wszystko, wypowiadaj się do końca z tych potwornych występków! Czy byłeś z ojcem, kiedy napadł na tamtą Angielkę i ją obrabował?!

— Nie, nie, to nieprawda! — potrząsnął rozpaczliwie głową Manfred. — Ojciec nigdy by tego nie zrobił. To były nasze diamenty. Wszystko mi wytłumaczył. Poszedł tylko odzyskać to, co nam się prawnie należało.

— Czy byłeś z nim, kiedy to robił?! — przerwał mu kolejny ryk wuja Trompa. — Tylko mów prawdę! Byłeś czy nie?!

— Nie, wujku. Poszedł sam. A kiedy wrócił, był ciężko ranny... Całą rękę miał...

— Dzięki Ci, o Panie! — zawołał z ulgą Tromp Bierman wznosząc oczy do nieba. — Wybacz mu, Panie, albowiem nie wiedział, co czyni. Do grzechu nakłonił go zły człowiek.

— Mój ojciec nie jest złym człowiekiem zaprotestował Manfred. — Został oszukany, okradziony z tego, co mu się słusznie należało.

— Milcz, Jong. — Oom Tromp wstał i wyprostował się na całą wysokość, wspaniały i groźny jak biblijny prorok. — Twoje słowa to obraza boska. Dokonasz pokuty natychmiast i bezzwłocznie.

Powlókł Manfreda pod przeciwległą ścianę szopy i pchnął go w stronę wielkiego czarnego kowadła.

— „Nie będziesz kradł” — to słowa samego Boga. — Położył pierwszy diament pośrodku kowadła. — Te kamienie to robaczywe owoce potwornego występku. — Sięgnął na półkę i zdjął z niej dwukilowy młot. — Muszą zostać zniszczone. — Wcisnął Manfredowi młot w rękę.

— Módl się o wybaczenie, Jong. Błagaj Pana o łaskę i wybaczenie i uderzaj!

Manfred stał z młotem przyciśniętym oburącz do piersi i wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w lśniący na kowadle diament.

— Uderzaj, Jong! Rozbij ten przeklęty kamień lub noś po wieki wieków jego przekleństwo! — ryknął wuj Tromp. — W imię Boga, uderzaj! Uwolnij się od winy i hańby!

Manfred powoli uniósł młot i znowu się zawahał. Odwrócił głowę i spojrział na miotającego

ogniem z oczu starca.

— Uderzaj! — ryknął Tromp Bierman. — Już!

Chłopiec wziął zamach, ten sam płynny szeroki zamach co przy rąbaniu drewna, i z sapnięciem wysiłku spuścił młot na czarne kowadło. Rozległ się głośny metaliczny brzęk. Manfred powoli uniósł młot.

Diament zmienił się w biały pył, drobniejszy niż cukier, lecz mikroskopijne kryształki nadal chwytały światło świecy i skrzyły się basniowym ogniem. Kiedy wuj jednym szorstkim ruchem zmiotł je z kowadła, diamentowy pył posypał się na ziemię migotliwym tęczowym obłokiem. Tromp Bierman położył na kowadło następny lśniący klejnot wart tyle, ile tylko niewielu ludzi mogło zgromadzić po dziesięciu latach harówki w pocie czoła, i cofnął się o krok.

— Uderzaj! — ryknął. Młot świsnął w powietrzu, kowadło zadzwoniło jak wielki gong.

Drogocenny pył opadł kaskadą na podłogę, a jego miejsce zajął następny kamień.

— Uderzaj! — grzmiał Trąba Pana, a Manfred bił młotem stękając z wysiłku i tłumiąc w gardle wzbierający szloch, aż wreszcie wuj Tromp zawołał: — Chwała Panu Najwyższemu! Dzieło skończone!

Padł na kolana, pociągając Manfreda ze sobą na zasłaną diamentowym pyłem ziemię i uklękli obaj przed kowadłem jak przed ołtarzem.

— O Panie, Boże Wszchemogący, zechciej spojrzeć łaskawie na akt pokuty i skruchy. Ty, któryś oddał swe życie dla naszego zbawienia, wybacz swemu młodemu słudze niewiedzę i niedojrzałość, to one przywiodły go do grzechu.

Było już po północy, knot skwierczał w roztopionych resztkach wosku, gdy wuj Tromp wstał z kłęczek i podniósł z nich Manfreda.

— Pora spać, Jong. Na razie zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy żeby ocalić twoją duszę.

Przyglądał się, jak Manfred ściąga ubranie i wślizguje się pod koc, po czym spytał cicho:

— Gdybym zabronił ci jutro jechać do Windhoek... Czy usłuchałbyś mnie?

— Ale mój tata... — szepnął Manfred zmartwiałym głosem.

— Odpowiedz, Jong. Czy usłuchałbyś mnie?

— Nie wiem, wujku, ale chyba bym nie mógł. Tata...

— Masz już za co pokutować, nie byłoby dobrze dodawać do brzemienia twych występków grzechu nieposłuszeństwa. Dlatego też nie wydam ci takiego zakazu. Musisz postąpić tak, jak dyktuje ci sumienie i poczucie lojalności. Ale przez wzgląd na mnie i dla swego własnego dobra nie używaj w Windhoek nazwiska De La Rey. Posługuj się nazwiskiem Bierman, słyszysz?

30

Dziś ogłoszenie wyroku! Nigdy nie prognozuję wyniku przewodów sądowych — oświadczył Abe Abrahams z krzesła przed biurkiem Centaine Courteney. — Po prostu z zasady. Dziś jednak postanowiłem zrobić od niej wyjątek. Przewiduję, że tego człowieka czeka stryczek. Kara główna, nie ma wątpliwości.

— Skąd możesz być tego taki pewien, Abe? — spytała cicho Centaine.

Abrahams popatrzył na nią ze skrytym podziwem. Miała na sobie prostą sukienkę o obniżonej talii, której cenę usprawiedliwiał tylko znakomity krój i gatunek jedwabnego dżerseju. Kiedy Centaine stała tak na tle wielkiego francuskiego okna, jaskrawobiałe afrykańskie słońce tworzyło wokół jej głowy świetlistą aureolę, a suknia podkreślała jej modne małe piersi i chłopięco szczupłe biodra. Musiał się zdobyć na spory wysiłek, by oderwać oczy i skoncentrować się na cygarze, którego wymachiwaniem podkreślał wyłuszczone racje.

— Po pierwsze, kwestia winy. Nikt, nawet obrona, me próbował poważnie sugerować, że

mógłby być niewinny. Praktycznie wszyscy przyznają, że jest winny, i to jak wszyscy diabli. Winny powzięcia zamiaru dokonania przestępstwa i jego popełnienia, winny zaplanowania go w najdrobniejszych szczegółach i wykonania zgodnie z planem, a wszystko to w okolicznościach, które ze wszech miar należy uznać za obciążające — napad na wojskowy punkt uzupełnień, kradzież koni, ostrzelanie policjantów z broni palnej i zranienie jednego z nich granatem. Obrona praktycznie przyznała się, że jedyna nadzieja w wyciągnięciu z prawniczego kapelusza jakiegoś technicznego lub proceduralnego królika, który zrobi wrażenie na wysokim sędzie. Ale jak do tej pory królik ten nie chce się w żaden sposób zmaterializować.

Centaine westchnęła ciężko: Spędziła całe dwa dni na ławie dla świadków. Choć pozostała chłodna i niewzruszona i nawet na najbardziej podchwytliwe i agresywne pytania obrony odpowiadała z niezmaconym spokojem, czuła się wykończona. Prześladowało ją poczucie winy za doprowadzenie Lothara do popełnienia zbrodniczego szaleństwa, a teraz za przewodzenie szarpiącej go ze wszystkich stron bandzie, która już wkrótce rozedrze go na strzępy z całym przewidzianym prawem okrucieństwem.

— Po drugie — machnął cygarem Abe — jego przeszłość. Podczas wojny był zdrajcą i buntownikiem, za jego głowę wyznaczono wysoką cenę, ma na swym koncie długi ciąg brutalnych zbrodni.

— Zbrodnie wojenne puszczo mu w niepamięć — zauważyła Centaine. — Otrzymał pełne przebaczenie podpisane przez premiera i ministra sprawiedliwości.

— Nie szkodzi, taka przeszłość będzie przemawiała przeciwko niemu — odparł Abrahams z miną wtajemniczonego. — To przebaczenie tylko pogorszy sprawę: kąsanie łaskawej dłoni, kpiny z powagi prawa i tak dalej. Możesz mi wierzyć, że wysokiemu sądowi nie przypadnie to do gustu.

Obejrzał uważnie koniec cygara. Paliło się równo, centymetr szarego popiołu trzymał się mocno i pewnie. Skinął z zadowoleniem głową i podjął wyliczanie.

— Po trzecie, ten człowiek nie okazał ani cienia skruchy, ani odrobiny, nic, kompletnie nic. Odmówił udzielenia jakichkolwiek informacji o miejscu ukrycia łupu. — Urwał widząc, że jego wzmianka o zaginionych diamentach wprawiła Centaine w wyraźne przygnębienie, po czym pospiesznie ciągnął dalej: — Po czwarte, emocjonalne aspekty zbrodni: napadnięcie kobiety zajmującej tak wysoką pozycję społeczną. — Uśmiechnął się nagle pod nosem. — Bezradnej, słabej kobiety, tak bezbronnej, że odgryzła mu rękę. — Centaine nachmurzyła się, więc natychmiast z powrotem spowaźniał. — Twoja odwaga i szczerść, godność, jaką zachowałeś na ławie dla świadków, także będą przemawiały na jego niekorzyść. Widziałaś nagłówki w gazetach: Joanna d'arc i Florence Nightingale w jednej osobie. Do tego zawoalowane sugestie, że ten napad mógł być bardziej odrażający i brutalny, niż skromność pozwala ci wyznać. Sędzia będzie chciał ci to wynagrodzić, podając na tacy jego głowę.

Centaine spojrzała na zegarek.

— Sąd wznowi rozprawę za czterdzieści minut. Trzeba się zbierać.

Abe natychmiast podniósł się z krzesła.

— Uwielbiam obserwować działanie prawa, jego wyważony, pełen dostojeństwa krok, pompę i rytuał, powolne mielenie dowodów i zeznań, oddzielanie plewów od ziarna...

— Nie teraz, Abe — przerwała mu Centaine. Przed lustrem nad kominkiem, poprawiła kapelusz opuszczając na jedno oko czarną woalkę i ustawiając wąskie rondo pod modnym kątem, po czym podniosła-torebkę z krokodylej skóry i wsunęła ją pod ramię. — Daj dzisiaj spokój swym popisom oratorskim. Po prostu chodźmy, żeby mieć już ten koszmar jak najszybciej za sobą.

Do sądu pojechali fordem Abego. Dziennikarze czekali na nich przed budynkiem, wpychali



aparaty w otwarte okienko samochodu, oślepiali Centaine błyskami fleszów. Osłoniła oczy torebką, ale jeszcze nim wysiadła, otoczyli ją zbitym tłumem, wykrzykując jeden przez drugiego pytania.

— Jak się pani będzie czuła, jeśli go powieszą?

— Co z diamentami, pani Courteney? Czy pani firma podniesie się po tej stracie?

— Co pani czuje?

Abrahams wkroczył energicznie do akcji, utorował jej drogę przez tłum i wciągnął za rękę do, w miarę spokojnego, budynku sądu.

— Zaczekaj tu na mnie, Abe — poleciała, szybkim krokiem przemknęła przez tłum oczekujących na otwarcie drzwi głównej sali rozpraw i skręciła w boczny korytarz. Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę, usłyszała za plecami szmer wymienianych półgłosem uwag, zignorowała to jednak i skręciła za róg w stronę damskiej toalety. Pomieszczenie przydzielone obronie znajdowało się dokładnie obok. Rozejrzała się ukradkiem, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje, podeszła szybko do drzwi, zapukała i nie czekając na odpowiedź nacisnęła klamkę. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

— Wybaczcie, panowie, to najście — powiedziała w odpowiedzi na zaskoczone spojrzenia adwokatów oskarżonego — ale muszę zamienić z wami parę słów.

Kiedy kilka minut później wróciła, Abe nadal czekał tam, gdzie go zostawiła.

— Jest pułkownik Malcomess — poinformował ją półgłosem i na chwilę wszystkie inne sprawy straciły dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

— Gdzie? — spytała z ożywieniem. Nie widziała Blaine'a od drugiego dnia procesu, kiedy to tym dźwięcznym tenorem, od którego

Centaine przechodziły ciarki po plecach, złożył zeznania, zeznania tym bardziej obciążające, że Blaine składał je rzeczowym, spokojnym, całkowicie beznamiętnym tonem. Obrona próbowała przyłapać go na nieścisłościach w opisie sceny wymordowania koni i ataku granatami, lecz wkrótce było jasne, że niewiele to da, toteż po kilku prowadzących domką pytaniach zostawiono go w spokoju. Od tamtej pory Centaine wypatrywała go codziennie, niestety na próżno.

— Gdzie on jest? — powtórzyła.

— Wszedł już do środka — odparł Abe .

Dopiero teraz spostrzegła, że podczas jej krótkiej nieobecności woźni otworzyli ciężkie podwójne drzwi głównej sali rozpraw.

— Charlie trzyma dla nas miejsca, nie ma co się tłoczyć. — Abe ujął ją pod rękę i poprowadził przez kłębiący się tłum. Woźni poznali Centaine i pomogli je precyzyjnie do krzeseł w trzecim rzędzie, które zarezerwował im asystent Abego.

Ukradkiem zaczęła przeszukiwać gąszcz oczekujących na rozpoczęcie rozprawy wypatrując wysokiej sylwetki Blaine'a i naraz drgnęła; w tłumie ciał otworzyła się wąska szczelina i na moment ujrzała go stojącego u drugiego końca przejścia. On także jej szukał; spostrzegł ją sekundę później i zareagował równie gwałtownie jak ona. Wpatrywali się sobie w oczy z odległości kilku metrów, które wydawały się otchłanią szerszą niż ocean. Żadne się nie uśmiechnęło. Potem tłum w przejściu zwarł się ponownie i straciła go z oczu. Wcisnęła się w krzesło obok Abego i zaczęła grzebać w torebce, by dać sobie trochę czasu na otrząśnięcie się i przyjście do siebie.

— Oto i on! — zawołał nagle Abe , a Centaine pomyślała, że chodzi mu o Blaine'a, lecz w tej samej chwili zobaczyła, że strażnicy wprowadzają Lothara De La Reya.

Choć przez ostatnie pięć dni widywała go dzień w dzień, wciąż nie mogła się otrząsnąć z szoku na widok zmiany, jaka w nim zaszła. Tego dnia miał na sobie wyblakłą niebieską roboczą koszulę i ciemne spodnie. Ubranie wisiało na nim, jakby było o kilka numerów za duże, a jeden pusty rękaw

był luźno przypięty do boku. Powłóczył nogami jak starzec, jeden ze strażników musiał mu pomóc wejść na schodki przed ławą oskarżonych.

Włosy zupełnie mu zbielały, nawet w gęstych ciemnych brwiach srebrzyły się pasemka siwizny. Był nieprawdopodobnie chudy, skóra zwisała mu na policzkach i na szyi luźnymi fałdami. Tak niegdyś ogorzała, miała teraz żółtawy kolor starego kitu i dziwny, szarawy, martwy odcień.

Siadając na ławie oskarżonych podniósł głowę i z jakimś żalonym niepokojem przebiegł wzrokiem zatłoczone ławy galerii sali rozpraw. Naraz oczy rozbłyły mu radością, a twarz rozjaśnił nikły uśmiech — najwyraźniej znalazł to, czego szukał. Od pięciu dni każdego ranka obserwowała tę samą scenę. Odwróciła się w krzesło i zadarła głowę, żeby zajrzeć na galerijkę, ale z miejsca, gdzie siedziała, było to niemożliwe. Nie mogła zobaczyć, kto z tam siedzących zwraca na siebie uwagę Lothara.

— Proszę wstać, sąd idzie! — obwieścił woźny.

Rozległo się szuranie nóg i poskrzypywanie krzesel, wszyscy obecni wstali, sędzia Hawthorne i jego dwaj pomocnicy podeszli do swych foteli. Był to drobny szpakowaty mężczyzna o dobrotliwym wyrazie twarzy i błyszczących zza binokli żywych, ciemnych oczach. Wyglądał raczej na dyrektora szkoły niż na surowego sędziego, powszechnie znanego ze skłonności do ferowania wyroków śmierci. Tak przynajmniej twierdził Abe.

Ani sędzia główny, ani jego pomocnicy nie mieli peruk i barwnych tog używanych w angielskich sądach. Holenderskie prawo rzymskie woli surowszą ornamentację. Sędziowie mieli proste czarne togi z białymi krawatami w jaskółczy ogon. Kiedy zgromadzeni w sali zajmowali miejsca, sędziowie nachylili się do siebie i wymieniali jeszcze jakieś uwagi, czekając, aż ucichnie szmer rozmów, pokaskiwanie i szuranie nóg. Dopiero wtedy sędzia Hawthorne podniósł głowę, dokonał formalnego wznowienia rozprawy i polecił raz jeszcze odczytać akt oskarżenia.

W sali zapadła pełna napięcia cisza. Reporterzy pochylili się w oczekiwaniu z notesami w rękach i nawet adwokaci siedzący w pierwszych rzędach ławek unulkli i znieruchomieli. Twarz wpatrującego się w sędziego Lothara nie wyrażała żadnych uczuć, była tylko kredowobiała.

Sędzia Hawthorne nie odrywał oczu od notatek, wzmagając z subtelnym mistrzostwem napięcie, aż stało się niemal nie do wytrzymania. Wtedy nagle podniósł głowę i bez żadnych wstępów zaczął czystym głosem podsumowywać sprawę i ferować wyrok.

Najpierw omówił w szczegółach wszystkie zarzuty oskarżenia, zaczynając od najpoważniejszych: trzech przypadków usiłowania dokonania morderstwa, dwóch napadów z zamiarem wyrządzenia poważnych szkód cielesnych oraz rabunku z bronią w ręku. Zarzutów było razem dwadzieścia sześć i omówienie ich wszystkich zajęło sędziemu dwadzieścia minut.

— Oskarżenie przedstawiło wszystkie zarzuty w sposób jasny, przejrzysty i niezwykle przekonujący.

Zażywny, rumiany oskarżyciel napuszył się jak paw, słysząc ten komplement, a Centaine poczuła się niewytłumaczalnie zirytowana tym objawem małostkowej próżności.

— Szczególnie silne wrażenie wywarły na sądzie zeznania głównych świadków oskarżenia. Zeznania jego ekscelencji zarządcy terytorium stanowiły dla nas ogromną pomoc. Mieliśmy niezwykle szczęście mogąc wysłuchać relacji tak znakomitego naocznego świadka pościgu i aresztowania oskarżonego, którego to okresu dotyczą jedne z poważniejszych zarzutów stawianych w tej sprawie. — Sędzia oderwał wzrok od notatek i spojrzał na Blaine'a Malcomessa. — W tym miejscu pragnę wspomnieć, iż świadectwo pułkownika Malcomessa wywarło na sądzie jak najkorzystniejsze wrażenie i przyjęte zostało bez najmniejszych zastrzeżeń.

Ze swego miejsca Centaine widziała tył głowy Blaine'a. Kiedy sędzia na niego spojrzał, czubki

odstających uszu zaróżowiły się. Centaine poczuła przyływ czułości. To zakłopotanie było wzruszające, ujmowało za serce.

Sędzia Hawthorne przeniósł wzrok i spojrzał wprost na nią.

— Drugim świadkiem oskarżenia, którego zachowanie odebraliśmy jako nieskazitelne, a zeznania jako niepodważalne, była pani Centaine Courteney. Sąd doskonale zdaje sobie sprawę, jak trudne musiało być dla niej ich składanie i w pełni docenia odwagę, którą zademonstrowała, me tylko na tej sali rozpraw. I w tym wypadku mieliśmy ogromne szczęście, iż przy rozstrzygnięciu sprawy mogliśmy korzystać z zeznań takiego świadka.

Kiedy sędzia to mówił, Lothar De La Rey odwrócił głowę i wbił wzrok w Centaine. Jasne, żółte oczy patrzyły na nią tak oskarżycielsko, że nie wytrzymała ich spojrzenia i spuściła głowę.

— Natomiast obrona była w stanie powołać tylko jednego świadka, którym okazał się sam oskarżony. Po długich i starannych rozważaniach doszliśmy do wniosku, że znaczna część zeznań świadka jest nie do przyjęcia. Świadek przez cały czas objawiał wrogość i brak chęci współpracy. Odrzucamy zwłaszcza jego twierdzenie, jakoby miał popełnić zarzucane mu czyny w pojedynkę, bez udziału współników. Tu zeznania pułkownika Malcomessa, pani Courteney i policjantów z grupy pościgowej są niedwuznaczne i całkowicie się ze sobą pokrywają.

Lothar De La Rey odwrócił powoli głowę w stronę sędziego ponownie wbił weń to wzgardliwe, nienawistne spojrzenie, którym od i dni z takim uporem zrażał go do siebie, ale sędzia wytrzymał je drgnienia powiek i ciągnął dalej:

— Tak więc rozważyliśmy wszystkie przedstawione nam zeznania i dowody i jesteśmy jednomyślni co do wyroku. Uznajemy Lothara De La Reya winnym popełnienia wszystkich dwudziestu sześciu zarzucanych mu czynów.

Lothar nawet nie drgnął, ale przez salę przebiegło jedno zbiorowe sapnięcie, po którym natychmiast zahuczało od komentarzy. Trzech dziennikarzy zerwało się z ławek i wybiegło do telefonów, a Abe skinął głową z zadowoloną miną.

— A nie mówiłem? — mruknął, nachylając się ku Centaine. — Stryczek. Będzie wisiał, to więcej niż pewne.

Ponieważ wysiłki woźnych, by przywrócić porządek, spełzły na niczym, sędzia Hawthorne pospieszył im z pomocą. Uderzył kilka razy młotkiem i gromkim głosem ostrzegł:

— Nie zawaham się nakazać opróżnienia sali!

Powoli znów zapadła cisza.

— Przed ogłoszeniem wyroku wysłuchamy próśb o złagodzenie kary, jakie obrona z pewnością zechce przedłożyć. — Sędzia Hawthorne zwrócił głowę w stronę młodego adwokata, któremu powierzono obronę z urzędu. obrońca natychmiast wstał.

Ponieważ Lothara De La Reya nie było stać na własnego adwokata, wyznaczono mu obrońcę z urzędu. Został nim Reginald Osmond. Pomimo młodego wieku i braku doświadczenia — była to jego pierwsza sprawa, w której oskarżonemu groziła kara śmierci — Osmond radził sobie nadspodziewanie dobrze, biorąc pod uwagę beznadziejność położenia swego klienta. Przesłuchiwał świadków oskarżenia sprawnie i z zacięciem i choć niewiele to dało, nie ustąpił pola bez walki i nie dał oskarżeniu odnieść łatwego zwycięstwa.

— Jeśli wysoki sąd pozwoli, chciałbym wezwać świadka, na którego zeznaniach oprę prośbę o najniższy wymiar kary.

— Ależ, panie Osmond, chyba nie chce pan wprowadzać nowego świadka na tym etapie sprawy? — Sędzia Hawthorne był wyraźnie zaskoczony. — Czy może pan powołać się na jakieś precedensy? — spytał marszcząc czoło.

— Z całym szacunkiem odsyłam wysoki sąd do sprawy Korona przeciwko Van der Spuy”owi z roku 1923 oraz Korona przeciwko Alexandrowi z roku 1914.

Po krótkiej naradzie z sędziami pomocniczymi Hawthorne spojrzął z powrotem na obrońcę.

— No cóż, panie Osmond — powiedział z teatralnym westchnieniem — proszę powoływać tego swego świadka.

— Dziękuję, wysoki sądzie. — Osmond był tak rozradowany tym sukcesem, że wzywając świadka kilka razy się zająknął.

— Proszę o zajęcie miejsca na ławie dla świadków... parną Centaine de Thiry Courteney”

Sala ze zdumienia wstrzymała oddech i dopiero po chwili rozległ się szmer zaskoczenia, radosnego podniecenia i zachwytu. Nawet sędzia Hawthorne odchylił się w swoim wysokim rzeźbionym fotelu. Dziennikarze wstali z miejsc, żeby zobaczyć minę Centaine, a z galerii dobiegło wołanie:

— Załóż draniowi pętlę na szyję, skarbie!

Sędzia Hawthorne natychmiast odzyskał zimną krew i błysnął groźnie oczami zza binokli, próbując zidentyfikować ordynusa.

— Nie będę tolerował żadnego dalszego zakłócania porządku! Za obrazę sądu są bardzo wysokie kary! — rzucił ostrym tonem i nawet dziennikarze pospiesznie zajęli miejsca i pochylili się skruszeni nad notatnikami.

Woźny podprowadził Centaine do ławy dla świadków i zaprzysiął na Biblię, a wszyscy obecni w sali, w tym także trzej członkowie składu sędziowskiego, utkwili w niej spojrzenia zdradzające niemal bez wyjątku uwielbienie i podziw. Tylko w oczach Blaine’a i Abrahama Abrahamsa malowało się zaskoczenie i niepokój.

Osmond wstał, żeby rozpocząć przesłuchanie świadka. Głos łamał mu się ze zdenerwowania i chęci wyrażenia najgłębszego szacunku.

— Pani Courteney, czy nie zechciałaby pani powiedzieć sądowi, od jak dawna ma pani oskarżonego, to znaczy więźnia — poprawił się szybko, bo Lothar został już przecież skazany.

— Znam Lothara De La Reya od niemal czternastu lat — odparła Centaine spoglądając na przygarbioną sylwetkę po przeciwnej stronie sali.

— Czy byłaby pani tak miła, by opisać, swoimi własnymi słowami, okoliczności w jakich się poznaliście.

— Było to w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym. Błąkałam się po pustyni. Uratowałam się z katastrofy statku „Protea Castle”, który zatonął w okolicy Wybrzeża Szkieletów, i zostałam wyrzucona przez fale na brzeg. Przez półtora roku wędrowałam po Kalahari z małą grupką Buszmenów ze szczepu San. — Wszyscy znali tę historię, w swoim czasie stanowiła niemałą sensację. Ale teraz, opowiadana przez samą jej bohaterkę, z tym delikatnym francuskim akcentem, nabrała na nowo życia.

Centaine snuła swą opowieść przywołując wspomnienia rozpacz i cierpienia, przerażających trudów, jakie przyszło jej pokonać, ogromnej samotności, jakiej zaznała, a sala słuchała jej słów w martwej ciszy. Nawet sędzia Hawthorne zgarbił się w fotelu, oparł brodę na zaciśniętych pięściach i zastygł w absolutnym bezruchu. Wszyscy razem z nią przedzierali się przez lotne piaski Kalahań, towarzyszyli jej, gdy odziana w skóry dzikich zwierząt, z niemowlęciem na biodrze natknęła się na odciski końskich kopyt, podkutych kopyt, pierwszy ślad cywilizowanego człowieka, jaki napotkała w ciągu wielu długich miesięcy.

Drżeli razem z nią z zimna i rozpacz, gdy zapadła afrykańska noc i szanse ocalenia raptownie zmalowały. Razem z nią brnęli ostatnim wysiłkiem woli przed siebie, przez ciemność, wypatrując w

oddali blasku ogniska, tak jak ona wtedy zamarli z przerażenia, gdy opisała złowieszczy kształt, który zamajaczył nagle smoliście czarną plamą na tle atramentowej nocy, i drgnęli w ławach, jakby na własne uszy usłyszeli tuż przed sobą ryk głodnego lwa.

Wstrzymywali oddech i pochylali się do przodu, gdy opowiadała o tym, jak walczyła o życie swoje i swojego dziecka, jak krążący wokół lew zagnał ją na najwyższe gałęzie wysokiego drzewa, po czym zaczął się ku niej wspinać niczym kot polujący na wróbla. Poczuli na swym ciele powiew gorącego, dyszącego oddechu i straszliwy ból, gdy z ciemności wyprysnęła ogromna łapa z długimi żółtymi pazurami, które dosięgły jej uda i bezlitośnie ściągnęły ją na ziemię.

W tym momencie urwała, po prostu nie była w stanie mówić dalej.

— Czy to wtedy właśnie interweniował Lothar De La Rey? — ponaglił ją łagodnie Osmond.

— Przepraszam — powiedziała Centaine, wciąż nie mogąc przyjść do siebie. — To wszystko powróciło nagle z taką siłą...

— Nie trzeba się tak forsować, pani Courteney — pospieszył jej z pomocą sędzia Hawthorne. — Jeśli tylko życzy sobie pani tego, odroczę rozprawę...

— Nie, nie, wysoki sądzie. Dziękuję, ale to nie będzie potrzebne. — Wyprostowała głowę i spojrzała prosto przed siebie. — Tak, właśnie wtedy zjawił się Lothar De La Rey. Obozował tuż obok i zaalarmowały go ryki lwa. Położył go trupem w ostatniej chwili. Jeszcze kilka sekund i zostałabym rozdarta na strzępy.

— Uratował pani życie.

— Ocalił mnie od straszliwej śmierci. Uratował życie mnie i mojemu dziecku.

Osmond schylił w milczeniu głowę, dając słuchaczom czas na odebranie pełnego dramatyzmu tej chwili, po czym spytał cicho:

— Co było dalej, pani Courteney?

— Po upadku z drzewa straciłam przytomność, w ranę na nodze wdała się gangrena. Przez wiele dni byłam nieprzytomna, nie byłam w stanie troszczyć się o siebie ani swego syna.

— W jaki sposób zachował się wtedy więzień?

— Zaopiekował się mną. Opatrzył moją ranę. Doglądał troskliwie mnie i mojego dziecka.

— Uratował pani życie po raz drugi?

— Tak — skinęła głową. — Uratował mnie po raz drugi.

— Od tamtej pory minęło wiele lat. Stała się pani zamożną kobietą, panie Courteney, milionerką?

Centaine nic nie odpowiedziała, więc Osmond ciągnął dalej:

— Mniej więcej trzy lata temu skazany zwrócił się do pani o pomoc finansową w założeniu przedsiębiorstwa połowu i przerobu ryb. Czy tak?

— Zwrócił się z prośbą o pożyczkę do mojej firmy, Courteney Mining and Finance — odparła, a Osmond krótką serią pytań do prowadził historię do momentu zamknięcia przez nią fabryki Lothara.

— Pani Courteuey, czy nie uważa pani, że Lothar De La Rey miał powody, by sądzić, że spotkała go niesprawiedliwość, a może nawet, iż swoim działaniem z rozmysłem doprowadziła go pani do ruiny?

Centaine zawahała się.

— Moje działania oparte były wyłącznie na zdrowych zasadach obowiązujących przy prowadzeniu interesów. Niemniej jestem skłonna przyznać, że z punktu widzenia Lothara De La Reya mogło to wyglądać na próbę rozmyślnego doprowadzenia go do ruiny.

— Czy w owym czasie zarzucił pani, że próbuje go pani zniszczyć? Centaine spuściła wzrok na rękę i coś szepnęła.

— Bardzo przepraszam, pani Courteney, ale muszę panią prosić o powtórzenie odpowiedzi.

Spojrzała na niego z gniewem i głosem łamiącym się z napięcia odparła:

— Tak, do licha! Powiedział, że robię to, żeby go zniszczyć.

— Panie Osmond! — przerwał przesłuchanie sędziego Hawthorne, ując się w krzesło z surową miną. — Nalegam, aby traktował pan świadka z większą wyrozumiałością. — Zagłębił się z powrotem fotelu, wyraźnie poruszony opowieścią Centaine, po czym jeszcze iż podniósł głos: — Zarządzam piętnastominutową przerwę, aby mi Courteney mogła przyjść do siebie.

Po wznowieniu rozprawy Centaine ponownie zajęła miejsce na dla świadków, czekając cicho, aż zostaną zakończone procedural. małości i Osmond podejmie przesłuchanie.

Siedzący w trzecim rzędzie Bilane Malcomess dodał jej uśmiechem odwagi, a Centaine poczuła, że jeśli natychmiast me oderwie od mego wzroku, wszyscy do ostatniego woźnego odgadną jej uczucia. Siłą woli przymknęła oczy i podniosła spojrzenie na galerijkę.

Zrobiła to ot, tak, bez żadnego konkretnego celu. Nie przyszło jej w tym momencie do głowy, że robi dokładnie to samo, co Lothar De La Rey każdego ranka, teraz jednak patrzyła na galerię pod tym samym kątem co on. I nagle jej wzrok przykuło spojrzenie czyichś oczu wpatrujących się w nią z najdalszego zakamarka balkonu z natężeniem, któremu wprost nie sposób było się oprzeć. Drgnęła i zachwiała się na swym miejscu od doznanego szoku, bo oto znów patrzyła w oczy Lothara. Oczy Lothara, takie jakie je miał, gdy go poznała; żółte jak topazy, jasne i roziskrzone pod czarnymi łukami brwi — młode, niezapomniane i me do zapomnienia. Ale oczy te nie lśniły w twarzy Lothara, bo Lothar siedział pod ścianą naprzeciwko niej, przygarbiony, szary i załamany. Ta twarz była młoda, biła z niej siła i zapiekła nienawiść. Nie miała wątpliwości, matczyzny instynkt nie mógł się mylić. Nigdy nie widziała swego młodszego syna. Na jej własne żądanie zabrano go tuż po porodzie, jeszcze mokrego, a ona odwróciła głowę, by nie patrzeć na wierzgające, nagie ciało. Ale teraz wiedziała, że to on. Na widok tej twarzy gdzieś od łona, które go nosiło, przeszył całe jej ciało taki ból, że musiała zatkać usta dłonią, żeby nie krzyknąć.

— Pani Courteney, pani Courteney! — wołał sędzia Hawthorne z coraz wyraźniejszą nutą niepokoju. Zmusiła się, żeby odwrócić głowę z jego stronę.

— Czy dobrze się pani czuje, pani Courteney? Czy może pani dalej zaznawać?

— Dziękuję, wysoki sędzie, czuję się zupełnie dobrze.

Jej własny głos docierał do niej jak z ogromnej dali i tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała się od ponownego spojrzenia na galerię, na swego syna, Manfreda.

— Skoro tak, to proszę zaczynać, panie Osmond.

Z ogromnym trudem skupiła się na pytaniach Osmonda powracającego raz jeszcze do napadu i szamotaniny w korycie wyschniętej rzeki.

— A zatem, pani Courteney, nie tknął pani nawet palcem, póki nie sięgnęła pani po strzelbę?

— Tak, do tego momentu nawet mnie me dotknął.

— Wiemy już, że miała pani broń w rękę i próbowała ją pani naładawać.

— Zgadza się.

— Czy gdyby to się pani udało, użyłaby jej pani?

— Tak.

— Proszę powiedzieć, pani Courteney, czy strzelałaby pani z zamiarem zabicia?

— Piotestuję, wysoki sędzie! — zawołał z gniewem oskarżyciel zrywając się na równe nogi. — To nie jest pytanie, tylko czysto hipotetyczne rozważania!

— Protest uwzględniony — odparł sędzia Hawthorne. — Nie musi pani odpowiadać, pani Courteney.

— Odpowiem — powiedziała czysto i wyraźnie Centaine. — Tak, strzelałabym po to, żeby go

zabić.

— Czy pani zdaniem skazany wiedział o tym?

— Protestuję, wysoki sędzie. Świadek nie może tego wiedzieć.

Nim sędzia zdążył podjąć decyzję, Centaine odparła stanowczo:

— On mnie znał, znał mnie bardzo dobrze. Wiedział, że gdybym mogła, zabiłabym go bez namysłu.

Rosnące z chwili na chwilę napięcie osiągnęło punkt wrzenia; sala eksplodowała upiornym zachwytem. Minęła cała minuta, nim udało się przywrócić porządek. Centaine skorzystała z rozgardiaszu i zamieszania, żeby spojrzeć w najdalszy kąt galerii. Musiała przywołać na pomoc całe swe opanowanie, żeby do tej pory tego nie zrobić.

Miejsce było puste. Manfred wyszedł, a jego zniknięcie kompletnie wytrąciło ją z równowagi. Osmond znów o coś pytał. Spojrzała na niego z oszołomieniem.

— Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć?

— Pytałem, pani Courteney, czy sposób, w jaki skazany zareagował, widząc, że mierzy pani do niego ze strzelby z zamiarem zabicia...

— Protestuję! — zawył oskarżyciel. — Wysoki sędzie, jedynym celem świadka była obrona siebie i swej własności!

— Musi pan inaczej sformułować to pytanie, panie Osmond.

— Tak jest, wysoki sędzie. Pani Courteney, czy siła, jakiej użył skazany, była nieproporcjonalna do tej, której wymagało rozbrowienie pani?

— Słucham? — W żaden sposób nie mogła się skupić. Myślała tylko o tym, żeby jeszcze raz dokładnie przeszukać wzrokiem galerię. — Przepraszam, ale nie zrozumiałam pytania.

— Czy oskarżony użył większej siły, niż wymagało tego rozbrowienie pani i uniemożliwienie oddania strzału?

— Nie. Po prostu zabrał mi strzelbę.

— A później, kiedy ugryzła go pani w nadgarstek... Kiedy zatopiła pani zęby w jego ciele zadając mu ranę, w wyniku której trzeba było mu amputować całą rękę... Czy uderzył panią lub wyrządził pani w odwecie jakąś inną krzywdę?

— Nie.

— Zadawany mu przez panią ból musiał być trudny do wytrzymania, a mimo to nie użył w stosunku do pani nadmiernej siły?

— Nie — potrząsnęła głową. — Zachowywał się... — zaczęła szukać odpowiedniego słowa — zachowywał się dziwnie łagodnie, niemal delikatnie.

— Rozumiem. A kiedy odchodził.. Upewnił się, czy ma pani dostateczną ilość wody, prawda? I udzielił rady ułatwiającej przetrwanie na pustyni?

— Sprawdził, czy mam dość wody i poradził, żebym do nadejścia pomocy nie oddalała się od samochodu.

— Jest jeszcze jedna sprawa, pani Courteney... — Osmond sprawiał wrażenie lekko zmieszanego. — Otóż w prasie pojawiły się przypuszczenia, iż być może oskarżony dopuścił się względem pani innego rodzaju zniewagi...

— Te przypuszczenia są odrażające — przerwała mu z gniewem Centaifle — i całkowicie błędne.

— Dziękuję, pani Courteney. Zostało tylko ostatnie pytanie. Znała pani skarżonego bardzo dobrze. towarzyszyła mu pani w czasie polowań kiedy po uratowaniu życia pani i pani dziecku zaopatrywał was w pożywienie. Czy widziała pani jak strzelał?

— Widziałam.

— Czy pani zdaniem, gdyby skazany chciał zabić panią, pułkownka Malcomessa lub któregoś z ścigających go policjantów, mógłby tego dokonać?

— Lotbar De La Rey jest jednym z najlepszych strzelców jakich widziałam w całym swoim życiu. Mógł nas wystrzelać jak kaczki, i to nie jeden raz.

— Nie mam dalszych pytań, wysoki sędzie.

Sędzia Hawthorne zapisał coś w rozłożonym przed sobą notatniku, a potem długo w zamyśleniu pukał końcem pióra w blat stołu, nim wreszcie spojrzął na oskarżyciela.

— Czy ma pan jakieś pytania do świadka?

Oskarżyciel podniósł się powoli ze swego miejsca.

— Dziękuję, nie mam pytań do pani Courteney — mruknął z zaszępiłą miną, usiadł z powrotem, założył ręce i utkwił w ciekłe spojrzenie w kręcącym się pod sufitem wiatraku wentylatora.

— Pani Courtefley, sąd wyraża pani podziękowania za d - wyjaśnienia w rozpatrywanej sprawie.

Centaine tak bardzo pragnęła jak najszybciej przeszukać wzrokiem całą galerię, że potknęła się na schodkach w przejściu między wznoszącymi się amfiteatralnie ławami. Blaine i Abe poderwali się z miejsc, żeby ją podtrzymać. Abe był szybszy, ujął ją pod rękę i podprowadził do swego miejsca.

— Abe ! — szepnęła mu do ucha z podnieceniem. — Kiedy składałam zeznania, na galerii siedział młody chłopak. Jasny blondyn, około trzynastu lat, choć wygiąda na jakieś siedemnaście. Nazywa się Manfred, Manfred De La Rey. Odszukaj go. Muszę z nim porozmawiać.

— Teraz? — spytał zdumiony Abrahams.

— Natychmiast.

— Prośba o złagodzenie kary! Taka gratka przejdzie mi koło nosa.

— Bierz się do roboty! — ucięła jego biadolenia. — Znajdź go!

Abrahams zerwał się z ławy, skłonił sędziom i szybkim krokiem opuścił salę dokładnie w chwili, gdy Reginald Osmond zaczął wygłaszać swoją przemowę.

Obrońca mówił z przekonaniem i zacięciem, wykorzystując do maksimum zeznania Centaine, cytując jej własne słowa: „Ocalił mnie od straszliwej śmierci. Uratował życie mnie i memu dziecku”. Zawiesił po nich znacząco głos, po czym ciągnął dalej:

— Skazany był przekonany, że może oczekiwać ze strony pani Courteney szlachetności i dowodów wdzięczności. Oddał się w jej władzę, zaciągając u niej pożyczkę, i doszedł do przekonania, niesłusznego, lecz głębokiego i szczerego, że jego zaufanie zostało zdradzone. — Reginald Osmond ciągnął swą prośbę o łaskę dla skazanego niemal pół godziny, ale myśli Centaine zaprzętała raczej syn niż ojciec. We wzroku, jakim wpatrywał się w nią z galerii, wyczytała tyle nienawiści, że wciąż jeszcze nie mogła się z tego otrząsnąć. Nagle na nowo odżyło poczucie winy, dręczące poczucie winy, o którym myślała, że pogrzebała je na zawsze przed tyłu, tyłu laty.

„Zostanie teraz zupełnie sam — pomyślała. — Będzie potrzebował pomocy. Muszę go odnaleźć. Muszę spróbować mu to jakoś wynagrodzić.”

Nagle zrozumiała, dlaczego z takim uporem wypierała się chłopca przez te wszystkie lata, dlaczego nawet w myślach nazywała go zawsze „bękartem Lothara”, dlaczego zadała sobie tyle trudu, by uniknąć wszelkich z nim kontaktów. Intuicja jej nie zawiodła. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz i wszystkie mury, którymi tak starannie się obwarowała, runęły jak domek z kart, a pogrzebany głęboko instynkt macierzyński odżył ze zdwojoną mocą i całkowicie nią zawładnął.

„Znajdź mi go, Abe ” — szepnęła w duchu i w tej samej chwili dotarło do niej, że Reginald Osmond kończył przemowę żarliwym apelem



— Lothar De La Rey uważał, że został ciężko i niesłusznie skrzywdzony. W rezultacie popełnił ciąg przestępstw, przestępstw odrażających i nie do obrony. A jednak, wysoki sędzie, wiele jego zachowań dowodzi, że był człowiekiem dobrym i przyzwoitym który wpadł tylko w wir przerastających go wydarzeń i nie potrafił zapanować nad targającymi nim gwałtownymi emocjami. Zasłużył na surowy wyrok. Domagają się tego prawa ludzkiego współżycia. Apeluję jednak do wysokiego sądu o wykazanie odrobiny tego samego hrześcijańskiego miłosierdzia, które zademonstrowała nam tu dzisiaj pani Centaine Courteney, i powstrzymanie się od nałożenia na tego bezradnego kalekę najwyższej kary przewidzianej prawem.

Usiadł w milczeniu, które trwało wiele długich sekund, aż wreszcie sędzia Hawthorfle otrząsnął się z zamyślenia, w które wprawiły go słowa obrońcy.

— Dziękuję, panie Osmond. Ogłaszam przerwę do godziny drugiej po południu. Po wznowieniu rozprawy nastąpi ogłoszenie wyroku.

Centaine pospiesznie opuściła salę, szukając Abrahamsa i rozglądając się wokół, czy nie mignie jej gdzieś w tłumie twarz syna. Natknęła się na Abego na schodach przed wejściem do sądu pogrążonego w rozmowie z jednym z policjantów. Na jej widok przerwał jednak rozmowę i szybko do niej podszedł.

— Znalazłeś go? — spytała z niepokojem.

— Bardzo mi przykro, Centaine, ale nikt nie widział chłopca odpowiadającego takiemu rysopisowi.

— Masz go znaleźć i przyprowadzić do mnie, Abe. Zatrudnij do tego tylu ludzi, ilu będzie trzeba. Koszty nie mają znaczenia. Przetrząśnij całe miasto. Stań na głowie, ale go znajdź. Musiał się gdzieś tu zatrzymać.

— Oczywiście, Centaine, natychmiast się do tego zabieram. Mówiłaś, że chłopiec nazywa się Manfred De La Rey... Czy to znaczy, że jest spokrewniony ze skazanym?

— To jego syn.

— Ach tak... — Abe spojrzał na nią w zamyśleniu. — Czy wolno spytać, dlaczego tak rozpaczliwie pragniesz go znaleźć? I co masz zamiar zrobić, kiedy go znajdziesz?

— Nie, nie wolno. Po prostu go znajdź.

„Dlaczego chcę go znaleźć? — zadała samej sobie pytanie Abrahamsa. — Dlaczego chcę go znaleźć po tylu latach? — Odpowiedź okazała się zupełnie prosta, sama jej się nasunęła. — Bo to mój syn.

I co zrobię, kiedy go znajdę? Przecież mnie nienawidzi. Wyczytałam to z jego oczu. I nie wie, kim naprawdę dla niego jestem. To także wyczytałam. Więc co zrobię, kiedy wreszcie stanę z nim twarzą w twarz?”

Odpowiedź była równie prosta.

— Nie wiem, po prostu nie wiem — szepnęła na głos.

31

Najwyższy przewidziany prawem wymiar kary za pierwsze trzy czyny zarzucane skazanemu w akcie oskarżenia to śmierć przez powieszenie — powiedział sędzia Hawthorne. — Więzień został uznany winnym popełnienia i tych czynów, i wszystkich pozostałych, o które został oskarżony. W normalnym stanie rzeczy sąd bez wahania wymierzyłby mu tę najwyższą karę. Tu jednak niezwykle zeznania pewnej niezwyklej damy skłoniły nas do głębokiego namysłu. Zeznania na rzecz obrony złożone przez panią Courteney budzą tym większy podziw, że to właśnie ona została najboleśniej pokrzywdzona przez oskarżonego — fizycznie, psychicznie i materialnie — a także dlatego, iż ktoś małostkowy mógłby uznać te wyznania za uwłaczające jej samej.

— W ciągu dwudziestu trzech lat spędzonych w służbie Temidy nigdy nie było mi dane wysłuchać tak szlachetnego i wielkodusznego wystąpienia. Przykład, jaki dała nam pani Courteney musiał z konieczności wpłynąć na tok naszych rozważań. — Sędzia Hawthorne skinął lekko głową w stronę Centaine, po czym zdjął binokle i spojrzał na Lothara De La Reya.

— Proszę wstać — polecił.

— Lotharze De La Rey, został pan uznany winnym popełnienia wszystkich czynów zarzucanych panu przez Koronę. Za popełnienie wszystkich tych czynów, dla potrzeb ogłoszenia wyroku traktowanych jak jeden, mniejszym skazujemy pana na dożywotnie ciężkie roboty.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu Lothar De La Rey zdradził jakieś uczucia. Wysłuchawszy sentencji wyroku drgnął jak spoliczkowany, usta zaczęły mu drżeć, jedna z powiek zadrgała nieopanowanie Podniósł rękę i zwróconą dłonią do góry wyciągnął ją stronę odzianej w ciemną togę postaci.

— Już lepiej mnie zabijcie! — krzyknął rozdzierająco. — Nie zamykajcie jak Żwierzęcia w klatce! Już lepiej mnie powieście!

Strażnicy pospiesznie chwycili go pod ręce i wyprowadzili z ławy Dikarżonych, dygocącego i zanoszącego się żalonym krzykiem. Przez salę przebiegł szmer litości i współczucia. Nawet sędzia Hawthorne był wyraźnie poruszony. Wstał z zasepioną miną i w towarzystwie sędziów pomocniczych powoli wyszedł przez boczne drzwi. Kiedy milczący tłum zaczął wylewać się przez podwójne drzwi jak żałobnicy po pogrzebie, Centaine pozostała na swoim miejscu.

„Lepiej mnie zabijcie!” Wiedziała, że to wołanie będzie jej rozbrzmiewało w uszach do końca życia. Pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Oczyma wyobraźni ujrzała Lothara takim, jakim był, kiedy go poznała. Twardy, gibki i zwinny jak płowy kalaharski lew wodził jasnymi oczami po zasnutych błękitną mgiełką horyzontach, wydawał się istotą stworzoną do przemierzania tych bezkresnych, spalonych słońcem dali. I oto teraz zamknięto go w ciasnej celi, pozbawiono na resztę życia słońca i pustynnego wiatru.

„Och, Lotharze! — wydarł jej się z głębi duszy rozpaczliwy krzyk. — Jakże coś tak niegdyś wspaniałego i pięknego mogło zakończyć się w taki sposób? Zniszczyliśmy się nawzajem, a do tego zniszczyliśmy to dziecko poczęte w najwyższym rozkwicie naszej miłości.”

Oderwała dłonie od twarzy i otworzyła oczy. Sala opustoszała. W pierwszej chwili pomyślała, że została w niej zupełnie sama, lecz wyczuła za plecami czyjąś obecność. Odwróciła się szybko i ujrzała Blaine'a Malcomessa.

— Teraz wiem, że słusznie cię pokochałem — powiedział cicho. Stał za jej plecami, pochylony nad nią, i kiedy podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, poczuła, że przepelniający ją smutek i żalność zaczynają ustępować.

Blaine ujął jej rękę i zamknął ją w swoich dłoniach.

— Od czasu naszego rozstania zmagalem się ze sobą dzień i noc, próbując znaleźć siłę, by już nigdy więcej cię nie zobaczyć. Prawie mi się to udało. Ale tym, co zrobiłaś dzisiaj, zmieniłaś dosłownie wszystko. Kiedy patrzę teraz na ciebie, honor, obowiązek, powinność nic już dla mnie nie znaczą. Stałaś się częścią mnie samego. Musimy być razem.

— Kiedy?

— Jak najszybciej.

— Blaine, w swoim krótkim życiu wyrządziłam tyle szkód i krzywd, przysporzyłam tylu ludziom cierpień i bólu. Już nigdy więcej. Ja także nie potrafię żyć bez ciebie, ale nasza miłość nie może niczego niszczyć. Chciałabym cię mieć całego, wyłącznie dla siebie, ale przystanę na znacznie mniej... Po to, by ocalić twoją rodzinę.

— To będzie bardzo trudne, może nawet niemożliwe do zrealizowania — ostrzegł. — Mimo to przyjmuję twoje warunki. Nie wolno nam krzywdzić innych. Tylko że pragnę cię tak bardzo...

— Wiem — szepnęła. Wstała z ławy i przysunęła się do niego. Przytul mnie, Blaine, przytul choć na chwilę.

Abe Abrahams rozglądał się za Centaine po pustych korytarzach sądu. Dotarł do podwójnych drzwi sali rozpraw i uchylił lekko jedno ich skrzydło.

Centaine stała z Blainem Malcomessem w przejściu między wznoszącymi się amfiteatralnie rzędami dębowych ław. Przytuleni do siebie zapomnieli o bożym świecie. Abrahams przyglądał się przez chwilę tej scenie kompletnie zaskoczony, a potem zamknął cicho drzwi z powrotem i stanął przed nimi na warcie, rozdarty między lękiem o Centaine a pragnieniem dopomożenia jej w zdobyciu szczęścia.

— Zaslugujesz na miłość — szepnął. — Modłę się do Boga, żeby ten człowiek mógł ci ją dać. „Tak musiał wyglądać raj — pomyślała. — A Ewa musiała się czuć właśnie tak jak ja dzisiaj.”

Nie pędziła ze zwykłą dla siebie prędkością, jechała znacznie wolniej. Chociaż serce wyrwało jej się z piersi i wołało o pośpiech, nie uległa mu, rozkoszując się radosnym oczekiwaniem.

— Nie widziałam go całe pięć miesięcy — szepnęła. — Te dodatkowe pięć minut sprawią tylko, że jeszcze cudowniej będzie znaleźć się znów w jego ramionach.

Pomimo zapewnień Blaine'a i jego najlepszych chęci, warunki, jakie postawiła Centaine, wymusiły na nich długą rozłąkę. Od tamtych kilku skradzionych chwil w pustej sali rozpraw ani razu nie zdołali spotkać się sam na sam. Przez większość czasu dzieliły ich od siebie setki kilometrów. Blaine tkwił w Windhoek uwiązany swoimi obowiązkami zarządcy terytorium, a Centaine nie ruszała się z Welteyreden walcząc rozpaczliwie dzień i noc o uratowanie swego finansowego imperium, które po ciosie, jakim była strata diamentów — nigdy nie odzyskanych — zaczynało coraz szybciej chylić się ku upadkowi. Porównywała w myślach tę stratę do strzały myśliwskiej małego żółtoskórego Buszmena O'wy, cieniutkiej, kruchej trzcinki, lekkiej jak piórko, lecz umoczonej w niezwykle silnej truciznie, której nie mogło się oprzeć żadne, nawet największe zwierzę afrykańskiego yeldu. Osłabiała i powoli paraliżowała zdobycz, która najpierw zaczynała się zataczać i chwiać, potem osuwała się na kolana, padała na ziemię i dyszała ciężko, nie będąc w stanie wstać, czekając aż żyły i tętnice wypełni zimny ołów śmierci lub ręka myśliwego litościwie ukróci jej męki.

— Tak właśnie wygiąda teraz moja sytuacja. Leżę powalona i sparaliżowana, okrążona przez czających się do zadania ciosu myśliwych.

Przez cały ten czas walczyła ze wszystkich sił, wkładając w to całe serce, teraz jednak była już wyczerpana — wyczerpana do cna, do ostatniego włókienka swego ciała, chora z wycieńczenia. Zerknęła we wsteczne lustro i ledwie rozpoznała patrzącą z niego twarz. Podkrążone oczy, powieki ciężkie od tuszu znużenia i rozpacz, kości policzkowe jakby przeświecające spod bladej skóry i zmarszczki zmęczenia zbiegające się promieniście w kącikach ust.

— Ale dzisiaj rozpacz na bok. Nie dopuszczę jej do siebie ani na chwilę, ani jeden raz. Zamiast tego będę myśleć o Błamie i tym magicznym spektaklu, który wystawiła dla mnie przyroda.

Wyjechała z Welteyreden o świcie i była już sto dziewięćdziesiąt kilometrów na północ od Cape Town. Przecinała właśnie szerokie bezleśne równiny Namaqualandu, kierując się w stronę miejsca, gdzie zielony Prąd Benguelski pieszczotliwie omywa skaliste zachodnie wybrzeża Afryki, lecz oceanu wciąż jeszcze nie było widać.

Deszcze tego roku spadły później niż zwykle, hamując eksplozję wiosennego wzrostu, toteż choć zbijało się już Boże Narodzenie, yeld wciąż jeszcze olśniewał feerią barw. Przez większą część roku te tereny były spalone słońcem, niegościnne, rzadko zamieszkałe, hulał po nich wiatr. Teraz jednak

falujące równiny przywdziały suknię tak jaskrawą, wzorzystą i barwną, że dosłownie mieniła się w oczach. Ziemię pokryły dzikie kwiaty pięćdziesięciu rodzajów i odmian, w tyluż kolorach i odcieniach. Rosły kępami, wyspami i łanami tego samego gatunku, tak że cały kraj wydawał się pokryty narzutą utkaną boską ręką, jarzącą się takim blaskiem, jakby płonęła odbitą światłością samych niebios, i raniącą oczy szaleństwem barw.

W tym fantastycznym chaosie jedynym punktem odniesienia była droga, kręta i wyboista, i to tylko w bezpośredniej bliskości, bo dalej nawet ona ginęła w morzu roślinności. Bliźniacze koleiny oddzielał od siebie zbity gąszcz dzikich kwiatów omiatających podwozie starego forda z cichym szelestem, przypominającym szmer górskiego strumienia. Powoli wjechała na kolejne łagodne wzniesienie, stanęła i wyłączyła silnik.

Przed sobą miała ocean, bezkresną płachtę zieleni upstrzonej śnieżną bielą i okolonej tym drugim oceanem kipiącego kwiecia. Wpadająca przez otwarte okienko morska bryza targała włosy, a na zewnątrz kazała kwiatom kłaniać się i potakiwać, wszystkim naraz, jak pod sznurek, dokładnie w rytm falowania oceanu.

Poczuła, jak w obliczu tego bezmiaru napierającego zewsząd piękna potworne napięcie ostatnich miesięcy powoli ustępuje. Roześmiała się z radości, osłoniła oczy przed blaskiem bijącym od pól pomarańczowych, czerwonych i jaskrawożółtych kwiatów i podniecona przeszukała wzrokiem wybrzeże.

„To zwykła chatynka — ostrzegął ją Blaine w ostatnim liście. — Dwa małe pokoiki bez wody, z otwartym paleniskiem i wygodką na dworze. Ale od dzieciństwa spędzam tam wszystkie wakacje i uwielbiam to miejsce. Od śmierci ojca jeździłem tam zawsze sam. Nigdy nikogo ze sobą nie zabierałem. Ty będziesz pierwsza.” — I na małym szkicu zaznaczył, jak tam dojechać.

Dostrzegła ją natychmiast. Przycupnęła na skalistym wzniesieniu na samym brzegu oceanu u końca płytkiej zatoczki. Strzechę miała poczerniałą ze starości, ale odnowione ściany z suszonej na słońcu cegły bielily się jasno jak piana na grzywaczach fal, a z komina snuła się w jej stronę wąska smużka dymu.

Dostrzegła jakiś ruch po drugiej stronie chatki i niemal natychmiast wyłowiła wzrokiem małą postać siedzącą na skałach na samym brzegu morza. Poczuła nagle, że nie może czekać ani chwili dłużej.

Samochód nie chciał zapalić, choć piłowała rozrusznik, aż zaczął siadać akumulator.

— Merde! Double merde! — Maszyna była stara, zajeżdżona i rozklekotana, służyła jednemu z zarządców posiadłości, dopóki nie zabrała jej dla siebie w miejsce rozsypującego się daimlera. Odmówienie przez nią posłuszeństwa nieprzyjemnie przypomniało Centaine o jej finansowych kłopotach. Jakże inaczej wyglądało wszystko w czasach, gdy co roku stać ją było na nowego daimlera w kolorze żonkili.

Zwolniła ręczny hamulec, stary ford potoczył się drogą w dół pagórka nabierając powoli prędkości. Wrzuciła bieg i puściła sprzęgło. Silnik zakrztusił się, plunął błękitnym dymem i zaskoczył. Wcisnęła pedał gazu, pomknęła ku chatynce i zaparkowała samochód pod pobieloną ścianą.

Wybiegła na czarne skały wystające ponad wodę i ławice wodorostów huśtających się w tę i z powrotem w rytm falowania morza. Zaczęła wymachiwać rękami i wołać, starając się przekrzyknąć szum wiatru i grzmot tłukących o skały fal, aż podniósł głowę, spojrzał w jej stronę i rzucił się ku niej biegiem, przeskakując z jednego mokrego głazu na drugi.

Miał na sobie tylko krótkie spodenki, w rękę trzymał kilka żywych ryb. Włosy miał mokre, skręcone od słonej wody i znacznie dłuższe niż ostatnim razem, kiedy go widziała. Śmiał się na cały

głos, zęby błyskały mu bielą w opalonej twarzy, a nad nimi rysowała się jakaś nowa ciemna linia. Zapуścił wąsy. Nie była pewna, czy mu z nimi dobrze, lecz natychmiast machnęła na to ręką zatopiona zalewem własnych uczuć i doznań. Podbiegła i przytuliła się do jego nagiej piersi.

— Och, Blaine! — zawołała przez łzy unosząc twarz. — O Boże, jak ja się za tobą stęskniłam!

Usta miał wilgotne i słone od morskiej wody, jego wąsy drapały. Przemknęło jej przez głowę, że miała raqę — ich zapuszczenie nie było najlepszym pomysłem. Ale już w następnej chwili chwycił ją na rękę i jak dziecko zaniósł w stronę chaty. Objęła go mocno za szyję, podskakując w jego ramionach w rytm długich susów i śmiejąc się bez tchu. Pragnęła go jak jeszcze nigdy w życiu.

Blaine siedział na stołku przed otwartym paleniskiem, na którym płonęło drewno euforbii, przesycające powietrze swym intensywnym aromatem. Centaine stała przed nim z porcelanowym kubkiem piany do golenia w jednej ręce i pędzlem z borsuczego wlosia w drugiej.

— Zapuszczałem je pięć miesięcy! — protestował żałośnie Blaine. — Taki byłem z nich dumny! — Po raz ostatni podkręcił końce wąsów. — Naprawdę ci się nie podobają?

— Naprawdę — potwierdziła stanowczo Centaine. — Wolałabym się całować z jeżozwierzem. — Pochyliła się, nałożyła mu po obu stronach górnej wargi grubą warstwę piany, po czym wyprostowała się, odchyliła i spojrzała krytycznym okiem na swe dzieło.

Blaine siedział na stołku zupełnie nagi, tak jak wstał z łóżka po godzinie miłości. Centaine uśmiechnęła się nagle figlarnie i nim zdążył się zorientować, co zamierza, zrobiła krok do przodu i pacnęła trochę białej piany na jego najbardziej intymną część ciała.

— Jego też? — spytał wstrząśnięty spoglądając na swoje podbrzusze.

— To by było tak, jakbym chciała odmrozić sobie nos na złość własnej mamy i — zachichotała. — A przynajmniej coś w tym rodzaju. — Przechyliła głowę na bok i oświadczyła z powagą: — Ten mały szatan wygląda z wąsami znacznie lepiej niż ty.

— Tylko nie mały! — obruszył się i sięgnął po ręcznik. — Chodź, stary, schowaj się — powiedział i owinał sobie biodra ręcznikiem. — Dość tego braku poszanowania.

— Tak lepiej — skinęła głową Centaine. — Teraz nic mnie już nie rozprasza, mogę skupić się na głównym zadaniu.

Wzięła ze stołu przygotowaną wcześniej brzytwę i wprawnie przeciągnęła nią kilka razy po skórzanym pasie.

— Gdzie się tego nauczyłaś? Zaczynam być zazdrosny.

— Jeszcze w domu — wyjaśniła. — To ja zawsze podgalałam wąsy tacie. Nie ruszaj się teraz!

Ujęła dwoma palcami czubek jego pokaźnego nosa i zadarła go do góry.

— Wielki Boże, za jakie to grzechy... — wymamrotał Blaine przez zaciśnięty nos, zamknął oczy i drgnął, gdy stalowe ostrze skrobnęło jego górną wargę. Chwilę później Centaine cofnęła się o krok, otarła brzytwę z piany i włosów i odłożyła ją na bok, a potem osuszyła wargę ręcznikiem i przesunęła palcem po gładkiej skórze.

— Wygiąda lepiej, jest miłsze w dotyku, trzeba jednak przeprowadzić jeszcze test końcowy — oświadczyła i pocałowała go w usta.

— Mmm! — mruknęła z aprobatą i nie przerywając pocałunku usiadła mu na kolanach.

Dopiero po długiej chwili odchyliła głowę i spojrzała w dół. Ręcznik ześliznął się Blainowi z bioder.

— No proszę, mały wąsaty diabeł zaczyna podrygiwać, najwyraźniej znów mu jakieś psoty w głowie. — Sięgnęła ręką i delikatnie starła z czubka resztki białej piany.

— Widzisz! Nawet on wygiąda lepiej gładko wygolony! Blaine wstał ze stołka nie wypuszczając jej z ramion.

— Chyba pora, kobieto, pokazać ci, że zadzierać z diabłami to nie przelewki — powiedział surowym tonem, niosąc ją w stronę łóżka pod ścianą. — No i ustalić wreszcie, kto tu rządzi!

Znacznie później usiedli po turecku na łóżku, oparli o siebie i owinięci jednym barwnym kocem z Basuto. Wpatrzeni w odblaski ognia pełgające po chropowatych ścianach słuchali dobiegającego z ciemności na dworze poszumu wiatru znad oceanu, szeleszczącego w zakamarkach strzechy. Z parujących kubków, które trzymali w dłoniach, roznosił się po chacie zapach zupy rybnej.

— To jedna z moich specjalności — przechwalał się Blaine. Zupa była aż gęsta od drobnych kawałków świeżych ryb i homarów, które złowił tego dnia. — Posiada wspaniałe właściwości regenerujące. Błyskawicznie przywraca siły wszystkim wyczerpanym.

Dwa razy serwował dokładkę, bo oboje byli głodni jak wilki, apotem Centaine przyniosła mu z paleniska żarzące się drewnienko do zapalenia cygara. W blasku ognia jej nagie ciało połyskiwało rdzawo. Kiedy cygaro paliło się już równo, wśliznęła się z powrotem pod koc i przytuliła do flaine'a.

— Czy udało ci się znaleźć tamtego chłopca? — spytał sennie. — Abrahams zwracał się do mnie o pomoc w poszukiwaniach.

Nie zorientował się, jakie wrażenie wywarło na niej to pytanie, gdyż w ostatniej chwili udało jej się opanować zesztywnienie ciała i tylko po prostu pokręciła głową.

— Nie, zniknął bez śladu.

— To był syn Lothara De La Reya. Tyle zdołałem wydedukować.

— Tak — potwierdziła. — Martwiłam się o niego. Po skazaniu ojca musiał czuć się bardzo samotny. Pewnie wszyscy go opuścili.

— Będę go dalej szukał — obiecał Blaine. — I dam ci znać, gdybym się czegoś dowiedział. — Poglaskał ją po głowie. — Masz dobre serce — mruknął. — Przecież właściwie nie masz żadnego powodu, żeby troszczyć się o tego chłopca.

Znów zapadli w milczenie, ale wzmianka o świecie zewnętrznym zniszczyła czar chwili i nasunęła ciąg myśli, nieprzyjemnych, lecz nie dających się zagłuszyć.

— Jak tam Izabela? — spytała i poczuła, jak twardnieją mięśnie na jego piersi i policzku. Zaciągnął się głęboko cygarem i wydmuchnął powoli dym.

— Jej stan się pogarsza. Atrofia układu nerwowego w dolnych partiach ciała. Odleżyny. Od poniedziałku leży w szpitalu Groote Schuur. Odleżyny u podstawy kręgosłupa nie chcą się goić.

— Tak mi przykro, Blaine.

— Tylko dzięki temu udało mi się wyrwać na te kilka dni. Dziewczęta są u babci.

— Czuję się okropnie.

— Ja czułbym się jeszcze gorzej, gdybym cię nie zobaczył — odparł.

— Blaine, musimy wytrwać w naszym postanowieniu. Nie wolno nam nigdy wyrządzić krzywdy ani jej, ani dziewczynkom.

Milczał dłuższą chwilę, po czym nagle rzucił niedopałek cygara przez cały pokój w ogień.

— Znosi się na to, że będzie musiała pojechać do Anglii. Jest pewien chirurg, o którym mówią, że potrafi zdziałać cuda.

— Kiedy? — Serce zaciążyło jej w piersi jak odlane z ołowiu.

— Chyba jeszcze przed Świętami. Wszystko będzie zależało od wyniku badań, które jej teraz robią.

— Oczywiście pojedziesz z nią.

— To by oznaczało konieczność złożenia rezygnacji z funkcji zarządcy i przekreśliło wszelkie szanse... — Urwał. Nigdy do tej pory nie rozmawiał z nią o swoich zawodowych planach i

zamierzeniach.

— Wszelkie szanse na tekę w przyszłym rządzie, a w dalszej perspektywie na objęcie stanowiska premiera — dokończyła za niego. Odwrócił się w jej stronę i ujął jej twarz w obie dłonie, by móc zajrzeć jej w oczy.

— Wiedziałaś? — spytał.

Skinęła potwierdzająco głową.

— Czy uważasz, że byłoby to okrutne z mojej strony? — spytał. — Gdybym dla zrealizowania własnych ambicji wysłał Izabelę do Anglii samą?

— Nie — odparła poważnie. — Wiem, co to znaczy ambicja.

— Zaofiarowałem się, że z nią pojedę — powiedział cicho, a zieleń oczu zmały mu niespokojne cienie. — Nie zgodziła się. Kazała mi zostać tutaj. — Położył sobie jej głowę na piersi i odgarnął jej włosy ze skroni. — To niezwykła kobieta... Taka dzielna. Ból już niemal zupełnie nie ustępuje. Nie może zasnąć bez laudanum... Coraz większy ból, coraz większe dawki opium...

— Budzi to we mnie takie poczucie winy, Blaine... Ale bez względu na wszystko, cieszę się z tej szansy spotkania z tobą. Niczego jej przecież nie odbieram.

Wiedziała jednak, że to nieprawda. Leżała z otwartymi oczyma jeszcze długo po tym, jak onzasnął. Z uchem przyciśniętym do jego piersi wsłuchiwała się w miarowe bicie serca i powolny rytm oddechów.

Kiedy się obudziła, Blaine był już ubrany w stare szorty i ze ściany nad kominkiem zdejmował bambusową wędkę.

— Śniadanie za dwadzieścia minut — obiecał, zostawiając ją zwiniętą w kłębek na łóżku, wrócił jednak jeszcze wcześniej z lśniącą stalowoszarą rybą długości ręki. Nadział ją na rożen nad żarzącymi się węglami, po czym podszedł do łóżka i ściągnął koc z Centaine.

— Kąpiel! — oznajmił z uśmiechem sadysty.

— Zwariowałaś?! — krzyknęła przeraźliwie. — Jest piekielnie zimno! Umrę na zapalenie płuc!

Nie przestawała protestować całą drogę aż do głębokiej okolonej skałami zatoczki, do której bezlitośnie ją wrzucił.

Woda była przejrzysta jak powietrze i tak zimna, że kiedy wypeizli na brzeg, ciała mieli zaczerwienione, a sutki Centaine sterczały na małych wzgórkach jej piersi, twarde i ciemne niczym dojrzałe oliwki. Lodowata woda zaostrzyła im apetyt. Skropili sokiem z cytryny sorące mięsiste białe dzwonka ryby i pochłonęli ją z pajdami ciemnego chleba posmarowanego żółtym, solonym wiejskim masłem.

Najedzeni usiedli wygodniej na stołkach, Blaine przesunął wzrokiem Centaine. Miała na sobie tylko jeden z jego granatowych rybackich golfów, ale sięgał on jej prawie do kolan. Wilgotną grzywę niesfornych włosów zebrała na czubku głowy i związała je żółtą wstążką.

— Moglibyśmy pójść na spacer — zaproponował — albo...

Namyślała się tylko sekundę.

— To „albo” znacznie bardziej mi odpowiada — zdecydowała.

— Pani życzenie jest dla mnie rozkazem — odparł dwornie i pochylił się nad nią, by pomóc jej ściągnąć przez głowę grubą sweter.

Przed południem Blaine ułożył się płasko na plecach, a Centaine, wsparta na łokciu, muskała mu usta i powieki zamkniętych oczu piórkiem z poduszki.

— Blaine — powiedziała w pewnej chwili — sprzedaję Weltevreden.

Otworzył oczy, chwycił ją za rękę i szybko usiadł.

— Sprzedajesz Weltevreden? — spytał zaskoczony. — Dlaczego?

— Nie mam innego wyjścia. Posiadłość i dom. Ze wszystkim, co w nim się znajduje.

— Ale dlaczego, kochanie? Dlaczego? Przecież ten dom tyle dla ciebie znaczy...

— To prawda, Welteyreden znaczy dla mnie bardzo wiele — przytaknęła. — Ale H'ani jeszcze więcej. Jeśli sprzedam Weltevreden, istnieje pewna szansa, bardzo mała, ale jednak, że uda mi się uratować kopalnię.

— Nic nie wiedziałem — powiedział łagodnie. — Nie miałem pojęcia, że sprawy stoją aż tak źle.

— A niby skąd miałbyś to wiedzieć, kochany? — Dotknęła pieszczotliwie jego twarzy. — Nikt o tym nie wie.

— Mimo wszystko nie rozumiem. Przecież kopalnia musi przynosić zyski...

— Niestety, Blaine. Dziś nikt nie kupuje diamentów. Zresztą nie tylko diamentów — w ogóle niczego! Ten kryzys, ten piekielny kryzys! Obcięto nam dramatycznie limit wydobycia, a ceny, jakie dostajemy za nasze kamienie, są o ponad połowę niższe niż pięć lat temu. Kopalnia nie wychodzi nawet na zero. Co miesiąc przynosi stratę, niewielką, ale jednak stratę. Jeśli jednak uda mi się wytrzymać do momentu, kiedy światowa gospodarka podźwignie się z upadku... Tylko w jeden sposób mogę tego dokonać — sprzedając Welteyreden. To wszystko co mi jeszcze zostało. Dzięki temu wytrwam może jakoś do połowy przyszłego roku, a do tego czasu ten piekielny kryzys musi się przecież wreszcie skończyć!

— Jasne, oczywiście! — przytaknął skwapliwie, a po chwili dodał: — Mam trochę pieniędzy, Centaine...

Położyła mu palec na ustach, uśmiechnęła się smutno i potrzęsnęła głową.

Odsunął jej rękę i powiedział z naleganiem w głosie:

— Jeśli mnie kochasz, to musisz pozwolić mi sobie pomóc.

— Nasza umowa, Blaine — przypomniała mu. — Nie wolno nam nikogo skrzywdzić. Te pieniądze należą do Izabeli i dziewcząt.

— Te pieniądze należą do mnie — odparł. — I jeśli uznam za stosowne...

— Och, Blaine, Blaine! — przerwała z rezygnacją. — Tylko milion funtów mógłby mnie uratować, milion funtów! Czy masz tyle? Każdą mniejszą sumę po prostu bym zmarnowała, rozplynęłaby się bez śladu w morzu moich długów.

— Aż tyle? — spytał, kręcąc powoli głową. — Nie, Centaine, nie mam nawet trzeciej części tej sumy — przyznał z żalem.

- Więc nigdy więcej nie wracajmy do tego tematu. A teraz pokaż mi, jak się łapie langustę na obiad. Póki jesteśmy razem, nie chcę rozmawiać o żadnych nieprzyjemnych sprawach. Będę miała dość brudów i paskudztwa, kiedy wrócę do domu.

Ostatniego wspólnie spędzanego popołudnia wspięli się na zbocze za chatą, brnąc ręką w rękę przez łąny oszałamiających kolorami

kwiatów. Pyłek obsypał im nogi szafranowym pudrem, spłoszone pszczoły wzbijały się w powietrze z głośnym brzęczeniem i ponownie znikwały w kielichach i dzwoneczkach, kiedy przeszli dalej.

— Patrz, Blaine! Zobacz, jak wszystkie kwiaty zwracają się do słońca i śledzą jego ruch po nieboskłonie. Ja jestem jak taki kwiat, a ty, kochany, jesteś moim słońcem.

Po drodze na szczyt wzniesienia Blaine zerwał pęk najpiękniejszych kwiatów i upłócił z nich wianek.

— Koronuję cię na królową mego serca — powiedział, wkładając go jej na głowę, i choć mówił to z uśmiechem, w jego oczach malowała się najgłębsza powaga.

Kochali się na posianiu z dzikich kwiatów, rozgniatając łodyżki i liście, nurzając się w ziołowym



zapachu ich soków i silnym jak perfumy aromacie.

— Wiesz, co mam zamiar zrobić? — spytała później Centaine, leżąc w jego ramionach.

— Pówiedz — poprosił rozleniwionym głosem.

— Mam zamiar dostarczyć im wszystkim tematu do rozmów. Za rok od dzisiaj będą mogli mówić: „Centaine Courteney splajtowała”. Chcę jednak, żeby musieli dodać: „Ale z jaką klasą!”

— Jak chcesz to osiągnąć?

— Zamiast zwykłej świątecznej fety wydam bal, jakiego jeszcze Cape Town nie widziało.

Otwarty dom w Welteyreden przez cały tydzień, tańce co noc i morze szampana.

— A przy okazji wywiedziesz na jakiś czas w pole wszystkich wierzyteli — wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Ale o tym na pewno w ogóle nie myślałaś, prawda, moja mała lisiczko?

— To nie jedyny powód. W ten sposób będziemy mieli pretekst, żeby znów się spotkać.

Przyjedziesz na bal, prawda?

— To będzie zależało... — Znów był zupełnie poważny. Choć tego nie dopowiedział, oboje wiedzieli, że wszystko będzie zależało od Izabeli. — Będę musiał znaleźć jakiś naprawdę dobry pretekst.

— Mam! — zawołała radośnie. — Zrobię z tego tydzień gry w polo. Wielki turniej. Zaproszę drużyny z całego kraju, wszystkich liczących się zawodników. Ty jesteś kapitanem reprezentacji narodowej. Nie będziesz chyba mógł odmówić, prawda?

— Nawet gdybym chciał — potwierdził, kręcąc głową z Podziwem. — Miałem rację, nazywając cię lisicą!

— Będziesz miał okazję poznać Shasę. Mówiłam ci, że morduje mnie o to od czasu, kiedy dowiedział się, że cię znam.

— Z góry się na to cieszę.

— On jest w ciebie zapatrzony jak w obraz.

— Mogłabyś zaprosić także kilka drużyn młodzieżowych — zaproponował Blaine. Urządzić turniej seniorów i juniorów. Z przyjemnością zobaczyłbym twój syna w akcji.

— Och, Blaine, to cudowny pomysł! — Klasnęła w ręce podniecona. — Moje biedactwo! Pewnie ostatni raz dosiądzie własnego kuca. Przecież kiedy sprzedam Welteyreden, ich także będę musiała się pozbyć. — Na chwilę jej oczy znów zasnuły cienie, ale szybko się otrząsnęła i zawołała dziarsko: — Pokażę mi, jak się odchodzi z klasą!

32

Drużyna gospodarzy, dowodzony przez Shasę zespół juniorów do lat szesnastu, dotarła do finału turnieju młodzieżowego głównie dzięki premii handicapu. Shasa był jedynym graczem, który zdobył dodatkowe punkty. Z pozostałych trzech członków drużyny dwóch wyszło na zero, a trzeci pozostał na minusie. W finale przyszło im się jednak zmierzyć z juniorami z Natalu, czterema znakomitymi zawodnikami, których, wszystkich poza kapitanem, klasyfikowano jako dwu lub nawet trzygolowych graczy. Kapitanowi, Msaxowi Theunissenowi, pozostało tylko kilka miesięcy do osiągnięcia limitu wieku dla juniorów. Był graczem pięciogolowym, najlepszym w swojej grupie wiekowej w całej Afryce. Trzymał się świetnie w siodle, miał odpowiedni wzrost i wagę, znakomite oko i pewną rękę. W maksymalnym stopniu wykorzystywał swoje atuty prezentując twardy, nieustępliwy styl gry.

Shasę, z czterema golami, uważano na drugiego zawodnika kraju, brak mu jednak było wagi i siły Theunissena oraz wsparcia jego świetnie grających kolegów. Wszystkie umiejętności i cała determinacja Shasy nie były w stanie uchronić jego zespołu przed nadciągającą katastrofą, zwłaszcza że nawale natalczyków musiał stawić czoło praktycznie sam.

Pomimo brawurowej obrony Shasy, Max zdobył w pierwszych pięciu rundach dziewięć goli,

likwidując w ten sposób cały handicap drużyny gospodarzy. Kiedy nadeszła pora zmiany koni przed ostatnią rundą, obie drużyny miały dokładnie taką samą sytuację punktową i już żadnych forów.

Shasa zeskoczył z konia z wypiekami zmęczenia, zdenerwowania i złości.

— Abel, nie dociągnąłeś mi popręgu! — zawołał do swego chłopca stajennego.

— Sam pan sprawdzał, paniczu. — Kolorowy stajenny nie mógł opanować nerwowego drżenia głowy.

— Nie pyskuj — warknął Shasa, ale nawet na niego nie spojrzał. Patrzył na drugą stronę boiska, gdzie w otoczeniu swych wielbicieli stał Max Theunissen. — W tej rundzie dosiądę Kła Tygrysa! — zawołał przez ramię do Abla.

— Mówił pan, że Wigilijną Gwiazdkę! — zaprotestował Abel.

— A teraz mówię, że Kła! Przelóż siodło i sprawdź bandażę na przednich nogach!

Gwiadka Wigilijna była małym kucem, trochę już podstarzałym i nieco zapasionym, wciąż jednak nieomylnie wyczuwającym tor lotu piłki i bezbłędnie wystawiającym Shasę do strzału. Jeździec i wierzchowiec cudownie się tu rozumieli. Jednak z wiekiem Gwiadka stawała się coraz bardziej ostrożna. Nie cieszyła jej już twarda bezpardonowa walka i zaczynała się wzdragać przed zderzeniem w pełnym galopie z innym kucem. Na linii natalczyków Max Theunissen zażądał swego czarnego ogiera, Nemezisa. Właśnie na tym koniu terroryzował od czterech dni całą ligę młodzieżową, prowadząc go z takim sprytem na pograniczu nieczystej gry, że sędziowie mieli trudności z przychwyleniem go na tym i wymierzeniem kary. Udało mu się tak zastraszyć większość młodszych i lżejszych zawodników, że zjeżdżali mu z drogi nawet wtedy, gdy reguły gry dawały im prawo pierwszeństwa przejazdu, a na tych, którzy mieli odwagę się z nim zmierzyć, nacierał z takim sadystycznym zapałem, że kilka razy tylko o włos udało się uniknąć nieszczęścia, a raz doszło nawet do wypadku, kiedy mały Tubby Vermeulen z drużyny Transwału wyleciał z siodła z taką siłą, że złamał rękę w nadgarstku i zwichnął w ramieniu.

— Nie stój tak, Abel, ruszaj się! Siodłaj Kła!

Kieł Tygrysa był to szkolony dopiero od roku młody gniady ogier, brzydkie zwierzę o młotowatym łbie i tak potężnym karku, że sprawiał wrażenie garbu. Charakter miał równie nieciekawym. Kopał i gryzł nie sprowokowany i bez ostrzeżenia, czasami me sposób wręcz było nad nim zapanować, a do tego miał jakąś wrodzoną skłonność do agresji i żadna komenda me sprawiała mu takiej przyjemności, jak polecenie wejścia w zwarcie i zepchnięcia przeciwnika. Jeszcze nigdy nie uchylił się przed zderzeniem z innym kucem. W każdych innych okolicznościach Shasa pozostałby przy Gwiazdce. Skoro jednak Max kazał osiodłać Nemezisa, wiadomo było, na co się zanoszą.

W końcowych sekundach ostatniej rundy pękło mu na dwoje drzewce młotka. Odwinął pasek z nadgarstka, rzucił młotek na ziemię i idąc do wozu po zapasowy, zawołał do swego numeru dwa:

— Bunty, musisz szybciej podciągać i wychodzić do mojego podania! Nie zostawaj w tyle, stary!

— Urwał, uświadamiając sobie nagle, że uwagę tę można by poczytać za przejaw zarozumiałości, i w tej samej chwili zauważył utkwiony w sobie wzrok Blaine'a Malcomessa, kapitana reprezentacji kraju i swego największego bożyszcza. Stał oparty plecami o tylne koło wozu, z nogami skrzyżowanymi w kostkach i rękami założonymi na piersi, w nasuniętej na jedno oko panamie, z błakającym się po ustach enigmatycznym półuśmiechem, który mógł wyrażać tylko dezaprobatę. Shasa wysiłkiem woli pozbył się z twarzy ponurej miny.

— Dzień dobry, niestety bierzemy tęgie cięgi — powiedział, zmuszając się do uśmiechu. Bez względu na to, czego uczyli w szkole, nie lubił przegrywać. Po prostu nie znoślił.

Tymczasem Blaine Malcomess wcale me miał za złe Shasie jego wybuchu, wręcz przeciwnie — był chłopcem zachwycony. Pragnienie wygranej uważał za jedną z najbardziej pożądanych cech

ludzkich, nie tylko na boisku do gry w polo. Do tej pory nie był pewien, czy Shasa je posiada — jak na chłopca w tym wieku znakomicie się maskował. Ukazując starszym piękną lecz opanowaną twarz, zwracał się do nich zawsze z należyty szacunkiem, a świetne maniery wpojone mu przez matkę i ekskluzywną szkołę sprawiały, że bardzo trudno go było rozgryźć.

Przez ostatnie cztery dni Blaine obserwował go uważnie. Odkrył, że chłopiec dosiada konia z wrodzoną łatwością, trzyma się w siodle mocno i pewnie, ma wspaniałe oko i potężne, płynne uderzenie. Shasa nie znał strachu, grał odważnie, wręcz brawurowo, co często kończyło się karami za zajechanie drogi lub inne wykroczenie. Blaine wiedział jednak z własnego doświadczenia, że z czasem nauczy się maskować ostre zagrywki w taki sposób, by sędziowie mieli trudności z ich ukaraniem.

Gracz klasy międzynarodowej powinien się odznaczać jeszcze innymi cechami. Powinien być wytrzymały — co przychodzi z wiekiem — wytrwały i sumienny w prowadzeniu treningów i doświadczony. To ostatnie ma tak wielkie znaczenie, że gracze osiągają zazwyczaj szczyt kariery dopiero w wieku lat czterdziestu lub nawet później. Sam Blaine dopiero ten szczyt osiągał i wciąż jeszcze mógł liczyć na dziesięć lat najwyższej formy.

Shasa Courteney zapowiadał się ze wszech miar znakomicie, a teraz Blaine odkrył w nim jeszcze silną wolę zwycięstwa i nieopanowany gniew na myśl o przegranej. Uśmiechnął się na wspomnienie swojej własnej odpowiedzi, kiedy ojciec zwrócił mu uwagę, że powinien nauczyć się przegrywać. Korzystając z całej mądrości nabytej w ciągu szesnastu lat życia odparł wtedy: „To prawda, ojcze, ale me chciałbym dojść w tym do takiej wprawy, żeby weszło mi to w nałóg.”

Opanował teraz uśmiech i powiedział półgłosem:

— Czy moglibyśmy zamienić dwa słowa, Shaso?

— Oczywiście, sir — pospieszył na wezwanie Shasa, zdejmując z szacunkiem czapkę z daszkiem.

— Dajesz się Maxowi zastraszyć — powiedział cicho Blaine. — Do tej pory ruszałeś głową. W pierwszych czterech rundach dałeś im strzelić tylko cztery gole, ale w piątej Max wpakował wam aż pięć.

— Wiem, sir. — Shasa znów mimowolnie się nachmurzył.

— Pomyśl, chłopcze. Co się zmieniło?

Shasa pokręcił głową, po czym zamrugał szybko, gdy odpowiedź zaświtała mu głowie.

— Ściąga mnie za zewnętrzną.

— Zgadza się — skinął Blaine. — Ściąga cię na swoją silniejszą stronę. Od pięciu dni nikt me natarł na niego z tej drugiej. Zamień się pozycjami z Buntym i atakuj go od pola. Wejdz ostro i pod ostrym kątem — chociaż raz. Coś mi mówi, że Maxowi nie spodoba się jego własne lekarstwo. I jedna dawka powinna chyba wystarczyć. Nikt jeszcze nie widział, jak mistrz Theunissen blednie. To może być ciekawy widok.

— Czy to znaczy, że mam go... sfaulować? — Shasa patrzył na niego ze zdumieniem. Od najwcześniejszego dzieciństwa uczono go gier i zabaw młodych dżentelmenów. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się dostać taką radę.

— A co też ci znowu przyszło do głowy! — zawołał Blaine, puszczając do niego oczko. — Powiedzmy, że idzie tylko o to, żeby nauczyć się z klasą przegrywać.

Ta nić szczególnego porozumienia zawiązała się między nimi od pierwszej chwili, kiedy Centaine ich sobie przedstawiła. Oczywiście sława ułatwiła Blaine'owi sprawę. Shasa podziwiał go i uwielbiał jeszcze nim się poznali, toteż podporządkowanie sobie chłopca, tak niedoświadczonego życiowo i naiwnego, nie nastęrczyło mu większych trudności; jako polityk i oficer miał przecież

ogromną wprawę w naginaniu innych do swej woli.

Poza tym Blaine mocno i szczerze pragnął, żeby wszystko między nimi ułożyło się jak najlepiej. Nie tylko dlatego, że Shasa był synem kochanej przez niego kobiety. Chłopiec był niezwykle przystojny, miał ogromny, charyzmatyczny urok, okazał się bystry, odważny i pełen zapału, no i właśnie był chłopcem, a Blaine nie miał własnego syna i wiedział, że już nigdy go mieć nie będzie.

— Uczep się go, Shaso, i graj według jego własnych reguł — zakończył radę, a chłopak uśmiechnął się z radością i twardym postanowieniem, że jak najlepiej ją wykorzysta.

— Dziękuję, sir. — Wcisnął czapkę na głowę, zarzucił młotek na ramię i odszedł pewnym krokiem. Siedzenie białych spodni miał poplamione brązowym tłuszczem do konserwacji siodeł, a na jasnożółtej koszulce wysychającą plamę potu, pokrywającą się białymi kryształkami soli.

— Bunty, zamieniamy się miejscami! — zawołał, a kiedy Abel podprowadził Kła, Shasa uderzył stajennego żartobliwie po ramieniu. — Miałeś rację, stary grzmocie, rzeczywiście sam sprawdzałem ten popręg. — Ostentacyjnie zrobił to raz jeszcze, po czym wyprostował się i dodał: — No, teraz już nie powiesz, że to moja wina. — Kiedy Abel roześmiał się zachwycony, Shasa, nie dotykając strzemion, wskoczył na siodło.

Blaine odepchnął się od koła i wrócił powoli na trybunę, wypatrując odruchowo w tłumie jasnożółtego kapelusza Centaine.

Stała otoczona kręgiem mężczyzn. Blaine rozpoznał wśród nich sir Garricka Courteneya i generała Smutsa, trzech innych wpływowych polityków, pewnego bankiera, jednego z ministrów w rządzie Hertzoga i ojca Maxa Theunissena.

„Dość przeciętna paczka jak na madame Courteney” — pomyślał z ukłuciem zazdrości, którego nie potrafił sobie wyperswadować.

Centaine wystosowała zaproszenia nie tylko do najlepszych graczy w kraju, lecz także do najbardziej wpływowych i najwybitniejszych osobistości we wszystkich innych dziedzinach: polityków, naukowców, wielkich posiadaczy ziemskich, magnatów przemysłowych, wydawców, a nawet kilku pisarzy i artystów.

Willa w Welteyreden nie była w stanie ich wszystkich pomieścić, toteż zarezerwowano cały pobliski hotel „Alphen”, niegdyś należący także do posiadłości rodziny Cloete. Poza gośćmi z miasta i najbliższej okolicy zjechało ponad dwieście osób z całego kraju. Do przewiezienia ich i kuców wynajęto specjalny pociąg. Od pięciu dni trwała nieprzerwana zabawa: rano turniej juniorów, bankiet na świeżym powietrzu w porze lunchu, potem rozgrywki ligi seniorów, wyszukana kolacja i tańce do białego rana.

Sześć grających na zmianę orkiestr dzień i noc umilało gościom czas muzyką. W przerwach występowali artyści kabaretowi, odbywały się pokazy mody, prowadzono sprzedaż dzieł sztuki i rzadkich win, z której dochód przeznaczono na cele dobroczynne, zorganizowano aukcję rocznych koni pełnej krwi angielskiej, concours d'elegance pojazdów motorowych z paniami za kierownicą, poszukiwanie ukrytego skarbu, bal przebierańców, turniej tenisa, krykieta i brydża, zawody hipiczne i motocyklowe pokazy akrobatyczne, a dla dzieci, oddanych pod opiekę całego zastępu wynajętych piastunek, zawodowych nianiek, dawał spektakle teatr lalek.

„I tylko ja jeden wiem, co się za tym wszystkim kryje — pomyślał, spoglądając na Centaine. — To nie tylko szaleństwo, lecz w dodatku niemoralne szaleństwo. Przecież to już nie swoimi pieniędzmi tak szasta. A jednak kocham ją za tę odwagę w obliczu nieszczęścia.”

Centaine wyczuła, że na nią patrzy, i szybko odwróciła głowę w jego stronę. Przez moment patrzyli sobie w oczy z napięciem, którego nie była w stanie osłabić dzieląca ich odległość, a potem Centaine spojrzała z powrotem na generała Smutsa i zaśmiała się wesoło z jakiegoś jego żartu.

Blaine'a ogarnęło gorące pragnienie, by do niej podejść, by po prostu znaleźć się blisko niej, poczuć zapach jej perfum, usłyszeć ten matowy głos z leciutkim francuskim akcentem, lecz zamiast tego ruszył stanowczym krokiem do miejsca, gdzie w swoim wózku inwalidzkim siedziała jego żona. Tego dnia Izabela po raz pierwszy poczuła się na tyle dobrze, by móc przyglądać się turniejowi, a Centaine kazała zbudować specjalny podjazd, po którym dałoby się wtoczyć wózek na poziom pierwszego rzędu ław trybuny, skąd rozciągał się znacznie lepszy widok na boisko.

Izabela miała u boku swą srebrzystowłosą matkę i otoczona była gronem swoich czterech najbliższych przyjaciółek z mężami. Na widok Blaine'a obie jego córki zbiegły po schodkach na murawę, unosząc zgrabnie rąbki sukienek i przytrzymując rękami słomkowe kapelusze o szerokich, ozdobionych wstążkami rondach. Szczebiocząc jedna przez drugą próbowały zwrócić na siebie jego uwagę, po czym chwyciły go z obu stron za ręce i zaciągnęły na trybunę na miejsce obok Izabeli.

Blaine posłusznie ucałował blady, jedwabisty policzek, podstawiony przez żonę. Jej skóra wydawała się bardzo chłodna, a w oddechu wyczuł delikatny zapach laudanum. Rozszerzone narkotykiem źrenice wielkich oczu nadawały jej wyraz wzruszającej beiradności.

— Tak się za tobą stęskniłam, kochanie — szepnęła i była to prawda.

W tej samej chwili, w której Blaine ją opuścił, rozejrzała się rozpaczliwie w poszukiwaniu Centaine Courteney. Jej widok, stojącej w otoczeniu wielbicieli nieco wyżej na trybunie, tylko trochę złagodził udrękę.

— Musiałem zamienić kilka słów z tym małym — odparł Blaine tonem wyjaśnienia. — Jak się czujesz?

— Dziękuję, lepiej, laudanum już działa. — Posłała mu łagodny uśmiech, tak dzielny itak tragiczny, że schylił się raz jeszcze i ucałował ją w czoło. Potem wyprostował się i z poczuciem winy zerknął w stronę Centaine, mając nadzieję, że me dostrzegła tego spontanicznego dowodu czułości, natknął się jednak na jej baczne spojrzenie i pospiesznie odwrócił wzrok.

— Tato, drużyny wychodzą! — pociągnęła go za rękaw Tara, żeby usiadł na swoim miejscu. — Brawo, Welteyreden! — zapiszczała, pozwalając mu się skoncentrować na meczu i na razie zapomnieć o swoim dylemacie.

Zamieniwszy się pozycjami z Buntym, Shasa poprowadził drużynę przed trybunę i z niewymuszoną łatwością przegalopował wzdłuż linii bocznej, stojąc w strzemionach, by zacisnąć pasek pod brodą, i szukając wzrokiem Blaine'a. Odnalazłszy go, uśmiechnął się na widok podniesionych lakonicznym gestem kciuków, po czym opadł na siodło i zawrócił, by stanąć przodem do natalczyków, którzy wyjeżdżali właśnie na boisko. W swoich białych bryczesach i czapkach, czarnych butach i czarnych koszulkach robili wrażenie twardych i doświadczonych zawodników.

Widząc, że Shasa zamienił się miejscami z Buntym, Max Theunissen zmarszczył czoło, zatoczył małe kółko i posłał ręką jakiś sygnał swojemu numerowi dwa, zajmującemu pozycję po przeciwnej stronie pola. Dopiero wtedy ustawił się w pozycji do gry, dokładnie w chwili, gdy sędzia podjechał truchtem do środka boiska i rzucił na ziemię białą piłkę z korzenia bambusa.

Ostatnia runda rozpoczęła się bezładną gonitwą, gorączkowym zamieszaniem z mnóstwem chybionych uderzeń i tratowaniem piłki kopytami koni. I nagle gra nabrała przejrzystości. Bunt wychylił się głęboko z siodła i po raz pierwszy w tym meczu wykonał porządne uderzenie, wysoki płynny forhend, którym posłał piłkę daleko na stronę przeciwnika. Jego kuc instynktownie pogalopował za piłką, niosąc swego jeźdźca za ciosem czy chciał tego, czy nie.

Było to podanie Buntego, więc to on miał prawo przejazdu, a kuc podchodził do piłki w idealnej pozycji do strzału, ale Max Theunissen ściągnął swego czarnego ogiera, zawrócił i w jednej chwili przeszedł w pełny galop. Ojciec Maxa nie zapłacił tysiąca funtów za nic. Potężne wielkie zwierzę

runęło za Buntym jak lawina.

Bunty obejrzał się przez ramię i zbladł.

— To twój strzał! — krzyknął Shasa, żeby mu dodać odwagi. — Trzymaj się linii! — Lecz w tej samej chwili dostrzegł, że Max rozmyślnie wbija piętę w lśniący bok ogiera i skręca nieco w bok. Był to ryzykowny, niebezpieczny atak i gdyby Bunty nie zjechał z linii, musiałoby się to skończyć ewidentnym faulem. Ale taktyka zastraszenia znów zdała egzamin. Bunty szarpnął w panice za wodze, rzucił kucerh w bok i oddał linię. Max triumfalnie zajął oddaną pozycję, zebrał się w sobie, wychylił z siodła, wziął szeroki zamach i skupił się całkowicie na białej piłce podskakującej i toczącej się po murawie dokładnie na wprost niego, szykując się do uderzenia jej z bekhendu.

Nie zauważył nadciągającego od strony boiska Shasy i był zupełnie nie przygotowany na szaleńczy atak, jaki z dzikim impetem przypuścił Kieł Tygrysa, przynaglony dźgnięciem obcasów Shasy.

Ostatni raz piłkę uderzył nie Max ani Shasa tylko Bunty, toteż była ona teraz wolna, obaj mieli równe prawo przejazdu, a Shasa atakował na zepchnięcie pod zgodnym z regułami kątem. Kiedy jednak obaj znaleźli się o kilka metrów od piłki, pędząc pełnym galopem, z Kłem Tygrysa o wyciągnięcie łba za Nemezis, Shasa dał piętą znak swemu kucowi, który tylko na to czekał. W jednej chwili zmienił gwałtownie kąt ataku i rąbnął swego rywala nieforemnym karkiem niby taranem. Zderzenie było tak niespodziewane i tak gwałtowne, że sam Shasa omal nie wyleciał z siodła i rąbnął pierś o szyję Kła.

Ale Blaine miał rację, to była słaba strona Maxa Theunissena, chroniona przez niego starannie od początku meczu, a Kieł Tygrysa wykorzystał tę słabość w idealnym momencie. Czarny ogier zachwiał się, zatoczył w bok i wyhamował z łbem między przednimi nogami, a Max wyleciał z siodła i przekoziółkował w powietrzu nie wypuściwszy wodzy z ręki. W ułamku sekundy panicznego strachu Shasa był już pewien, że go zabił.

Jednak strach dodał Maxowi sił i zwinności. Okręcił się w powietrzu jak kot i spadł, co prawda ciężko i niezdarnie, lecz równo na obie nogi. Był jednak tak zszokowany i przerażony, że jeszcze przez dłuższą chwilę nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Shasa odepchnął się od karku konia, usiadł na powrót w siodle i ściągawszy wodze, osadził Kła w miejscu. Z obu stron boiska dobiegły świdrujące gwizdki sędziów.

— On mnie sfaulował, z rozmysłem mnie sfaulował! — histerycznie zaczął krzyczeć Max. — Przeciął moją linię! O mało mnie nie zabił! — Był trupioblady, trzął się jak w febrze, z drżących ust zwisły mu nitki śliny i tupał nogami niczym rozzłoszczony bachor.

Sędziowie naradzali się pośrodku boiska, a Shasa poczuł chęć, by spróbować wpłynąć na ich werdykt głośną manifestacją swojej niewinności, ale zdrowy rozsądek wziął w mm górę. Zawrócił i z najwyższą godnością ruszył ku linii swojej drużyny, patrząc wprost przed siebie i nie zwracając na pozór żadnej uwagi na ryk tłumu. Czuł jednak, że ryk ten wyraża nie tyle oburzenie z powodu niesportowego zagrania, co radość widzów z wymierzenia brutalnemu zawodnikowi należytej kary, pokonania go jego własną bronią.

Ponieważ sędziowie nie byli w stanie uzgodnić werdyktu, podjechali do sędziego głównego, który zszedł do nich ze swego miejsca na trybunie.

— Aleś mu dowalił! — zawołał Bunty, do zbliżającego się Shasy. — Będzie miał bydlak o czym pisać w listach do mamusi!

— Mogą mnie zdyskwalifikować, Bunty — odparł Shasa.

— Nie przeciąłeś jego linii! — zaprotestował z ferworem Bunty. — Wszystko doskonale widziałem!

Ale Shasę rozgorączkowanie zaczynało już opuszczać. Poczłł nagle nieprzyjemne ukłucie na myśl o tym, co powiedziałyby dziadek, a co gorsza, jak zareagowałyby matka, gdyby na oczach wszystkich gości odesłano go z pola. Taki wstyd! Nerwowo zerknął na trybunę, ale z tej odległości nie mógł dostrzec miny Blaine'a Malcomessa. W najwyższym rzędzie mignęła mu żółta plama kapelusza matki i już zaczynał dopatrywać się w jego ruchu pełnego dezaprobaty potrząsania głową, gdy zauważył, że sędziowie wracają, a jeden z nich kieruje się ku niemu.

— Panie Courteney! — zawołał sędzia z surową miną.

— Słucham, sir! — Shasa wyprostował się w siodle, przygotowany na najgorsze.

— Udzielam panu oficjalnego upomnienia za niebezpieczną grę.

— Przyjmuję upomnienie, sir! — odparł Shasa, próbując przybrać równie poważny wyraz twarzy jak sędzia, ale serce podskoczyło mu z radości. Udało się!

— Proszę wrócić do gry, panie Courteney — zakończył sędzia, lecz nim się odwrócił, Shasa dostrzegł w jego oku błysk rozbawienia.

Do końca ostatniej rundy zostały trzy minuty, gdy Max posłał piłkę daleko w głąb ich połowy, egzekwując rzut karny, lecz tam czekał już numer trzy drużyny Shasy. Szybkim, płynnym uderzeniem posłał piłkę na lewe skrzydło.

— Brawo, Stuffs! — zawołał zachwycony Shasa. Do tej pory Stuffs Goodman niczym się nie odznaczył. Nieustające ataki Natalu pozbawiły go woli walki, a do tego kilkakrotnie padł ofiarą ostrych zagrań Maxa Theunissena. Po raz pierwszy od początku meczu wyszło mu podanie. Shasa przejął piłkę i posłał ją dalej na stronę przeciwnika. Ale Bunty i tym razem podciągnął za późno, a bez jego wsparcia Shasa niewiele mógł zdziałać. Jego atak ugrzązł w falandze Natalczyków i wkrótce gra przekształciła się w nieczystą, chaotyczną bitwę o piłkę, a czas płynął. Sędzia przerwał grę i nakazał wznowić grę od rzutu Natalczyków.

— Niech skisnę, jeśli nie utrzymamy remisu! — zawołał Bunty, gdy zawracali, żeby odebrać kolejny strzał Natalu, i spojrzał na zegarek.

— Remis to za mało! — odkrzyknął ze złością Shasa. — Musimy wygrać!

Była to oczywiście fanfaronada. Jeszcze ani razu od początku meczu nie udało im się poważniej zagrozić Natalowi, ale mało ambitna postawa Bunty'ego rozzłościła Shasę. A Max Theunissen od czasu swego kozła jakoś przestał błyszczeć na boisku i dwa razy pozostał w tyle, gdy Shasa zapuścił się w piłką na jego połowę. Wyraźnie unikał kontaktu ze swym rywalem, zostawiając odebranie mu piłki swoim kolegom.

— Zostało tylko pół minuty!

Pomimo buńczucznych ponagleń Shasy Bunty wydawał się zachwycony perspektywą zakończenia ich meczu, lecz w tej właśnie chwili wprost na niego nadleciała mocna, ostra piłka. Bunty chybił i nim zdążył zawrócić, atak Natalu już go minął i między nimi a bramką pozostał tylko Stuffs Goodman. Shasa czuł, że serce zamiera mu w piersi. Trudno było liczyć, że Stuffs dwa razy z rzędu wykona poprawne uderzenie. Tymczasem wbrew jego przeczuciom Stuffs ruszył do piłki, w sam środek nacierających Natalczyków, i choć pobladi ze strachu, zamachnął się dzielnie do uderzenia. Obuch młotka minął piłkę o dwie stopy, ale kuc Stuffsa, szczywany stary wyjadacz, wyraźnie zdesperowany poziomem gry swego jeźdźca, zagarnął kopytami piłkę i czystym kopnięciem posłał ją prosto do Bunty'ego. Bunty przejął podanie i pociągnął w głąb połowy przeciwnika, ale tam czekał już na niego prawy obrońca Natalu. Starli się gwałtownie i uwikłali w kolejny nieładny młynek, kręcąc się wokół siebie, wychylając z siodła i wymachując młotkami jak cepami w typowej przepychance ligi młodzieżowej, gdzie zawodnikom brak jeszcze siły i doświadczenia, żeby wyjść z takiej sytuacji ze składnym atakiem. To zamieszanie dało obu drużynom czas na przegrupowanie i już obaj kapitanowie

wołali do swych zawodników o podanie piłki.

— Daj ją tutaj, Bunty! — krzyczał Shasa. Stał w strzemionach po lewej stronie boiska, a Kiel Tygrysa drobił nerwowo na boki, tocząc wzrokiem za piłką, aż błyskały mu białka oczu.

— Tutaj, Digger, tutaj! — ryczał Max, trzymając się na dystans, lecz gotów natychmiast popędzić za piłką, gdyby tylko wreszcie któryś z zawodników wybił ją w otwarte pole.

I wtedy Bunty po raz trzeci i ostatni tego dnia wykonał idealne uderzenie samym środkiem twardego obucha, lecz piłka przeleciała tylko kilka metrów, trafiła w przednie kopyto kuca natalskiego obrońcy i odbita przemknęła pod strzemionami Bunty'ego z powrotem na połowę drużyny Welteyreden.

Wyczuwszy to jakimś szóstym zmysłem Shasa spał Kła jeszcze nim piłka wyprysnęła spod brzucha kuca Bunty'ego. Trafił ją w powietrzu, zmieniając kierunek jej lotu, po czym zawrócił tak gwałtownie, że Kiel Tygrysa przysiadł na zadzie.

— Ha! — ryknął na cały głos, wbił obcasy w boki zwierzęcia i popędził pełnym galopem za toczącą się tuż przed nim piłką. Wychylił się z siodła, skupił całkowicie na podskakującej kapryśnie małej białej kulce i jeszcze raz trafił ją młotkiem tak, by nadać jej jak najszybszy ruch wirowy i zapanować w ten sposób nad kierunkiem jej lotu. Piłka poszybowała nisko nad murawą, dokładnie w stronę natalskiej bramki oddalonej o dwieście metrów.

Kiel Tygrysa pociągnął za nią przepięknie, zwalniając w idealnym momencie do zadania pełnego uderzenia. Nawet Gwiazdka nie wyliczyłaby tego lepiej. Shasa zatoczył szeroki luk młotkiem, rozległ się suchy, czysty trzask drewna uderzającego o drewno i piłka posłusznie śmignęła do przodu. Chłopiec poderwał głowę i wprost przed sobą, oddaloną o ledwie sto pięćdziesiąt metrów ujrzał bramkę Natalu. W jednej chwili uświadomił sobie, że zamiast utrzymać remis mają rzeczywiście ogromną szansę wygrać, i zalała go fala dzikiej, nieokiełznanej radości.

— Ha! — popędził Kła Tygrysa. — Ha! — A wielki kuc runął do przodu, jakby tylko na to czekał. W tej samej jednak chwili Shasa dostrzegł, że Max Theunissen zawraca w przodzie i pędzi po linii strzału wprost na niego.

Atak pod takim kątem, najbardziej niebezpieczny ze wszystkich możliwych w grze w poło nazywano „szarżą śmierci”. Dosiadający dwóch wielkich i szybkich koni zawodnicy gnali po linii prostej wprost na siebie. Ryk tłumu ucichł, na trybunie zapadła pełna napięcia cisza, wszyscy widzowie jak jeden mąż podnieśli się z miejsc.

Shasa tylko raz w życiu był świadkiem czołowego zderzenia dwóch koni w galopie. Było to rok wcześniej podczas rozgrywek eliminacyjnych przed meczem z Argentyną. Siedział w najwyższym rzędzie trybun, a mimo to nawet stamtąd zupełnie wyraźnie słyszał trzask łamanych kości. Jednemu z zawodników pękła śledziona i po przewiezieniu do szpitala zmarł; drugi miał połamane obie nogi. Leżące pośrodku boiska kuce trzeba było na miejscu zastrzelić.

— Moja linia! — krzyknął do Theunissena, gdy zbliżyli się do siebie na odległość kilkudziesięciu metrów.

— Wiesz, co mi możesz?! — ryknął wyzywająco Max, odzyskując dawną odwagę, i przytulony do końskiego karku utkwiał w Shasie wściekle spojrzenie. Wyczytawszy w jego wzroku, że nie zawaha się doprowadzić do zderzenia, Shasa drgnął w siodle. Kiel Tygrysa wyczuł to i zastrzygł z frustracją uszami — ustępowanie drogi nie leżało w jego charakterze. I nagle, bez żadnego ostrzeżenia Shasę ogarnął dziki szał wałki.

Blaine Malcomess wyczuł to bezbłędnie, mimo dzielącej ich odległości. Rozpoznał w tym, co owładnęło Shasą, nie zwyczajną odwagę, lecz coś w rodzaju amoku, bitewnego szaleństwa, tego samego szaleństwa, które i jego pognało kiedyś z jednym granatem w rękę na pas ziemi niczyjej,



prosto w czerwone, mrugające ślepie niemieckich maximów.

Ujrzał, jak Shasa powstrzymuje skręt Kła Tygrysa i zamiast tego rzuca go w przeciwną stronę, przecina z premedytacją linię piłki i pędzi wprost na czarnego ogiera. Dla Shasy czas jakby stanął w miejscu. Jego wzrok nabrał nagle mebywalej ostrości widzenia: widział wilgotną, różową śluzówkę głęboko wewnątrz rozdętych chrapów wielkiego ogiera, potrafił odróżnić każdy maleńki bąbelek piany ciekącej po wędzidle z jego pyska, każdy zjeżony włoszek czarnej jak sadza, aksamitnej sierści, każdą najmniejszą żyłkę w kącikach przekrwionych oczu konia, każdą z osobna rzęsę górnych i dolnych powiek.

Przeniósł spojrzenie ponad czarny łeb konia, na twarz Maxa Theunissena. Wykrzywiła ją nieopanowana wściekłość. Dostrzegł drobne kropelki potu na brodzie Maxa, ściągnięte w grymasie determinacji wargi i szparę między odsłoniętymi dużymi, białymi siekaczami. Przesunął wzrokiem wyżej i utkwił go w ciemnobrązowych oczach Maxa.

„Za późno — pomyślał — Teraz już żadna siła nie zdoła zapobiec zderzeniu.” I w tej samej chwili dostrzegł pojawiający się na twarzy Maxa wyraz szoku. ściągnięte wargi zadrżały jak zmięte, skórę na policzkach ściał mróz panicznego strachu, Max poderwał się w siodle, rozpaczliwym szarpnięciem rzucił łeb Nemezis w bok, uciekając w prawo z linii piłki — dosłownie w ostatnim ułamku sekundy.

Shasa przemknął obok, niemal ocierając się o niego, pogardliwie odwrócił wzrok i wciąż jeszcze w przystępie tego samego szalu uniósł się w strzemionach i wszystkie siły na jakie było go stać włożył w uderzenie. Piłka śmignęła do przodu i jak po nitce poszybowała prosto między słupki bramki Natalu.

Kiedy obie drużyny podjechały do trybuny i uszczęśliwiony zwycięstwem Shasa spojrzął na Blaine’a w oczekiwaniu pochwały, ten wciąż jeszcze stał i choć uśmiechnął się tylko i Skinął chłopcu ręką, czuł niemal takie samo uniesienie co on.

„Wielki Boże, ten chłopak naprawdę ma zadatki — pomyślał, siadając obok żony. — Ma zadatki na wielkiego gracza.” — Izabela dostrzegła wyraz jego twarzy; znała go tak dobrze. Wiedziała, jak bardzo chciał mieć syna i dlaczego zainteresował się właśnie tym chłopcem. Poczuli się zupełnie beużyteczna, nikomu niepotrzebna i ogarnęła ją złość.

— Ten chłopak to ryzykant i szaleniec. — Wiedziała, że jej krytyka wywrze dokładnie przeciwny skutek do zamierzonego, ale nie potrafiła się opanować. — Nikt go nie obchodzi poza nim samym. Ale w końcu wszyscy Courteneyowie zawsze tacy byli.

— Niektórzy nazywają to charakterem — mruknął Blaine.

— Ja bym nazwała charakterkiem. — Wiedziała, że zachowuje jak sekutnica, że jego cierpliwość na swoje granice, me potrafiła jednak zapanować na tym, płynącym z pędu do samozagłady, pragnieniem, by go zranić. — Jest dokładnie taki sam jak jego matka...

W oczach Blaine’a zapaliły się iskierki gniewu.

— Spróbuję przynieść ci jakiś lunch, moja droga — powiedział, nie pozwalając jej dokończyć. Wstał i odszedł w stronę bufetu. Izabela popatrzyła za nim z rozpaczą, jakby chciała zawołać: „Przepraszam, przepraszam! To tylko dlatego, że tak bardzo cię kocham!”

Izabela nie jadła czerwonego mięsa, gdyż wyglądało na to, że pogarsza ono jej stan, toteż Blaine skupił się na zestawie sałatek z krewetek, raków, langust, małży, ryb i kalmarów, ustawionych pośrodku stołu w piramidę sięgającą mu ponad głowę. Przybrano je i zakomponowano z takim kunsztem, że naruszenie tego prawdziwego dzieła sztuki wydawało się niemal świętokradztwem. Nie był odosobniony w swym odczuciu; stół otaczał cały tłumek wydających okrzyki

zachwyty gości, oczekujących wyraźnie na śmiałka, który pierwszy odważy się zburzyć misterną

budowlę. Dlatego też nie zauważył zbliżającej się Centaine, dopóki nie odezwała się nad jego ramieniem.

— A cóż to takiego powiedział pan, pułkowniku, mojemu synowi, że raptem wstąpił w niego diabeł? Odwrócił się szybko, próbując ukryć pełen poczucia winy zachwyt na jej widok. — Owszem, widziałam, jak rozmawiał pan z nim przed ostatnią rundą.

— To była męska rozmowa, nie nadająca się do powtórzenia damie.

Roześmiała się cicho.

— Cokolwiek to było, zadziałało. Dziękuję, Blaine.

— Zupełnie nie ma za co. Nie zawdzięcza tego zwycięstwa nikomu oprócz siebie. Tak śmiałego ataku, jak ten pod koniec meczu nie widziałem już bardzo, bardzo dawno. Będzie z niego zawodnik.

— Czy wiesz, o czym myślałam, kiedy na to patrzyłam? — spytała cicho. Potrząsnął przecząco głową i nachylił się, żeby lepiej słyszeć.

— Powtarzałam w myślach słowo „Berlin”.

Spojrzał na nią zdumiony, po czym nagle zaświtało mu w głowie:

Olimpiada! Igrzyska Olimpijskie w Berlinie w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym!

Roześmiał się głośno. To musiał być żart. Z ligi juniorów do reprezentacji kraju było dalej niż z Ziemi na Księżyc! Naraz dostrzegł jej minę i przestał się śmiać.

— Ty mówisz najzupełniej poważnie! — zawołał z niedowierzaniem.

— Oczywiście nie będzie mnie stać na utrzymywanie stajni kuców, ale jego dziadek uwielbia polo. Przy jego pomocy oraz zachęcie jednego z czołowych graczy w kraju... — Wzruszyła z wdziękiem ramionami. Potrwało dłuższą chwilę, nim Blaine otrząsnął się z oszołomienia na tyle, żeby odpowiedzieć.

— Nigdy nie przestajesz mnie zdumiewać. Czy jest na tym świecie coś, po co zawahałabyś się sięgnąć? — spytał, a dostrzegłszy łobuzerski, lubieżny błysk w jej oku, dodał pośpiesznie: — Wycofuję to pytanie, madame. — Przez chwilę patrzyli na siebie otwarcie, bez kamuflażu, wzrokiem, w którym każdy mógł wyczytać nagą miłość, po czym Centaine przywołała ich do rzeczywistości.

— Pytał o ciebie generał Smuts — powiedziała żywo, zmieniając temat w ten swój zbijający z tropu sposób. — Siedzimy sobie w małym gronie pod dębami za trybuną. Może ty i twoja żona przyłączylibyście się do nas? — Odwróciła się i tłum gości rozstał się przed nią.

Blaine przepchnął powoli wózek Izabeli po gładkim kobiercu strzyżonego trawnika ku stolikom pod dębami. Pogoda dopisała jak rzadko. Niebo było czyste i błękitne jak jajo czapli i tylko nad szczytem Muizenbergu wisiał nieruchomo srebrzystobiały obłok, a drugi powlekał grubą, puchatą narzutą masyw Góry Stołowej, ale tak było zawsze. Do tego stopnia, że me nazywano tego obłoku inaczej niż „obrus”.

Oczywiście było wietrznie, jak zwykle w grudniu, ale Welteyreden położone było w zacisznym zakątku doliny Constantii. Południowo-wschodni wiatr przechodził górą, szeleszcząc w koronach dębów i ledwie muskając suknie pań, ale znakomicie łagodził upał i orzeźwiał powietrze. Nie na darmo zyskał sobie przydomek „uzdrowiciela Cape”.

Na widok nadchodzącego Blaine'a Centaine odprawiła kelnera w białym smokingu, naląła własną ręką szampana i podeszła z kieliszkiem do Izabeli.

— Dziękuję, ale nie piję — odmówiła słodkim głosem Izabela, wprawiając Centaine w ogromne zakłopotanie. Stała przed wózkiem z kryształowym kieliszkiem w ręku, zupełnie nie wiedząc, co z nim począć.

— Jeśli ten szampan jest wolny, pani Courteney... — pośpieszył jej na ratunek Blaine biorąc kieliszek. Centaine uśmiechnęła się do niego

w wdzięcznością, jej goście zrobili przy stole miejsce dla wózka i siedzący obok Centaine prezes Standard Bank podjął przerwany monolog.

— Ten Hoover i jego piekielny interwencjonizm! Nie tylko zrujnował gospodarkę Stanów Zjednoczonych, ale przy okazji zniszczył nas wszystkich. Gdyby się do tego nie mieszał, cały ten kryzys mielibyśmy już za sobą. A tak, co mamy? W tym roku w Stanach zbankrutowało pięć tysięcy banków, bezrobocie doszło do dwudziestu ośmiu milionów, handel z Europą praktycznie zamarł; postępuje deprecjacja walut światowych. Zmusił po kolei wszystkie kraje do odejścia od standardu złota, nawet Wielka Brytania musiała mu ulec. Jesteśmy jednym z bardzo niewielu państw, którym udało się utrzymać pokrycie pieniądze w złocie, ale proszę mi wierzyć, że zaczyna nam to coraz bardziej doskwierać. Złoty parytet powoduje, że funt południowoafrykański gwałtownie nabiera wartości, co z kolei ogromnie podraża nasz eksport i winduje koszty wydobycia złota. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak długo jeszcze uda nam się wytrwać. — Spojrzał na siedzącego po przeciwnej stronie kręgu generała Smutsa. — Jak pan myśli, Ou Baas, jak długo zdołamy utrzymać standard złota?

Ou Baas roześmiał się, aż zatrzęsała mu się kozia bródka.

— A skądże ja miałbym to wiedzieć, drogi Alfredzie — powiedział z wesołym błyskiem w oku. — Przecież ja nie jestem ekonomistą tylko botanikiem. — Jego śmiech okazał się zaraźliwy, gdyż wszyscy doskonale wiedzieli, że generał jest jednym z najbardziej błyskotliwych umysłów, jakie wydał burzliwy wiek dwudziesty, i to niemal w każdej dziedzinie; że przekonywał Herzoga, by pójść za przykładem Wielkiej Brytanii, gdy ta odstąpiła od standardu złota; że podczas swojej ostatniej wizyty w Oksfordzie jadał obiady z Johnem Maynardem Keynesem, najwybitniejszym ekonomistą tego stulecia, i regularnie z nim korespondował.

— W takim razie musi pan w wolnej chwili obejrzeć moje róże — zmieniła gładko temat rozmowy Centaine. Wyczuwała, że ta ciężka dyskusja wprawia jej gości w przygnębiający nastrój. Niemal wszyscy na co dzień musieli borykać się z problemami świata stojącego o krok od finansowej zapaści i przyjęcie w Welteyreden było dla nich znakomitą okazją, by oderwać się od nieprzyjemnej rzeczywistości.

Rozmowa zбочyła na sprawy banalne, potoczyła się lekko i z ożywieniem, lecz w ożywieniu tym było coś sztucznego, jak w musowaniu szampana, nalanego do pękatych kieliszków od czerwonego wina. Centaine sypała żartami, podtrzymując nastrój wesołości, lecz w głębi duszy czuła narastającą pustkę. Wiedziała, że katastrofa zbliża się nieuchronnie, że to wszystko jest nierealne jak sen, że to już koniec, ostatnie echo przeszłości. Przyszłość, którą miała przed sobą, rysowała się niepewnie, niosła tysiące zagrożeń, pozbawiała ją kontroli nad swym losem.

Blaine obejrzał się przez ramię i zaklaskał w dłonie, a pozostali goście zgodnie przyłączyli się do aplauzu.

— Witamy bohatera i zwycięzcę! — zawołał ktoś ze śmiechem. Centaine odwróciła się w krześle. Za jej plecami stał Shasa, w blezerze i oksfordzkich flanelowych spodniach, z głową mokrą po kąpieli; przyczesane gładko włosy wciąż jeszcze nosiły wyraźne ślady każdego ząbka grzebienia. Uśmiechał się skromnie, ale me nazbyt skromnie.

— Och, cheri, taka jestem z ciebie dumna! — zawołała Centaine, zrywając się z miejsca i całując syna w policzek. Shasa zaczerwienił się, wyraźnie zmieszany.

— No, no, mamó, nie przesadzajmy z tą francuszczyzną — zaprotestował. Z tym rumieńcem wyglądał tak ślicznie, że miała ochotę przytulić go i pogłaskać. Opanowała się jednak i dała znak kelnerowi, żeby podał Shasie szampana. Chłopiec spojrział na nią zaskoczony. Matka pozwalała mu

zazwyczaj tylko na piwo, i to nie więcej niż jedno.

— Dziś wyjątkowa okazja — wyjaśniła, ściskając go za ramię. Blaine uniósł kieliszek.

— Panowie, za wspaniałe zwycięstwo juniorów z drużyny Welteyreden!

— Och, co to za zwycięstwo — zaprotestował Shasa. — Mieliśmy dziewięć bramek forów. —

Ale wszyscy spełnili toast, a sir Garrick zrobił Shasie miejsce koło siebie.

— Chodź, usiądź tutaj, chłopcze. Opowiedz nam, jakie to uczucie być mistrzem.

— Przepraszam, dziadku, ale muszę wracać do kolegów. Przygotowujemy niespodziankę.

— Niespodziankę? — Centaine wyprostowała się niespokojnie w krześle. Przeżyła już kilka

niespodzianek Shasy, że wystarczy wspomnieć amatorski pokaz ogni sztucznych, zakończony niezwykle widowiskowym, choć zupełnie nie zamierzonym pożarem starej stodoły i pięciu akrów pobliskiej winnicy. — Jaką niespodziankę, cheri?

— Jeśli ci powiem, to nie będzie już niespodzianka, mamó. Mogę ci tylko zdradzić, że będzie to związane z wręczeniem nagród. — Dopił jednym łykiem szampana. — Muszę pędzić, mamó, tymczasem!

Wyciągnęła rękę, żeby go powstrzymać, ale ruszył już szybkim krokiem w stronę trybuny, gdzie niecierpliwie oczekiwali go pozostali członkowie zwycięskiej reprezentacji Welteyreden. Wskoczyli wszyscy do starego forda Shasy i z rykiem silnika popędzili w stronę willi. Patrzyła za nimi z niepokojem, dopóki nie zniknęli jej z oczu, a kiedy z powrotem przeniosła wzrok na swych gości, spostrzegła, że Blaine i generał Smuts także odeszli od stolika i nachyleni ku sobie przechadzają się między dębami. Przyjrzała im się ukradkiem. Stanowili ciekawą, wybitnie źle dobraną parę: drobny, żwawy, siwobrody mąż stanu i wysoki, postawny żołnierz i prawnik. Zatopieni w rozmowie przechadzali się w tę i z powrotem, tuż poza zasięgiem słuchu.

— Kiedy wraca pan do Windhoek, Blaine?

— Moja żona ma za dwa tygodnie statek pocztowy do Southampton. Wracam natychmiast po jej odpłynięciu.

— Czy nie mógłby zostać pan tu nieco dłużej? Powiedzmy do Nowego Roku? Oczekuję, że lada dzień sprawy przybiorą nowy obrót.

— Czy mógłby pan uchylić rąbka tajemnicy i zdradzić na czym ten nowy obrót miałby polegać? — spytał Blaine.

— Chcę mieć pana z powrotem w parlamencie — uchylił się od udzielenia konkretnej odpowiedzi generał Smuts. — Wiem, że wiązałoby się to z dużym poświęceniem z pana strony. W Windhoek spisuje się pan znakomicie, co podbudowuje pana prestiż osobisty i zwiększa siłę przetargową. Chcę pana prosić, żeby poświęcił pan to wszystko, zrezygnował z zarządu prowincją i ubiegał się o mandat z ramienia Partii Południowoafrykańskiej w okręgu wyborczym Gardens.

Blaine nic nie odpowiedział. Poświęcenie, jakiego żądał Ou Baas, było ogromne. Okręg Gardens miał marginalne znaczenie, a do tego zdobycie tam mandatu wcale nie było takie pewne. Istniało realne ryzyko przegranej z kandydatem partii Herzoga, a nawet gdyby odniósł zwycięstwo, dałoby mu ono tylko miejsce na ławach opozycji, co w żaden sposób nie mogło zrekompensować utraty stanowiska zarządcy całego terytorium.

— Jesteśmy w opozycji, Ou Baas — powiedział o prostu. Generał Smuts zaczął dźgać trawę końcem laski, namyślając się nad odpowiedzią.

— Blaine, to co powiem, jest przeznaczone wyłącznie dla pańskich uszu. Musi mi pan dać na to słowo.

— Oczywiście.

— Jeśli mi pan zaufa, za najdalej sześć miesięcy od dzisiaj dostanie pan tekę ministra. — Blaine

spojrzał na niego z niedowierzaniem, a generał zatrzymał się, odwrócił twarzą do niego i wziął głęboki wdech. — Koalicja, Blaine. Pracuję z Herzogiem nad powołaniem rządu koalicyjnego. Sprawa wydaje się już przesądzona, a do publicznej wiadomości podamy to w marcu, czyli za jakieś trzy miesiące. Ja otrzymam ministerstwo sprawiedliwości i prawdopodobnie będę mógł rozdzielić cztery inne teki. Pan jest na mojej liście.

— Rozumiem — powiedział Blaine, próbując ogarnąć myślą wszystko, co właśnie usłyszał. Wiadomość była oszałamiająca. Proponowano mu to, czego zawsze pragnął: miejsce w rządzie.

— Ale dlaczego, Ou Baas? Dlaczego Hertzog zgodził się pójść na ustępstwa?

— Wie, że stracił zaufanie narodu, a do tego jego własna partia przysparza mu coraz więcej kłopotów, coraz trudniej mu nią kierować. Rząd postępuje z arogancją stojącą na granicy łamania prawa. W swoich poczynaniach kieruje się wyłącznie własnym widzimisię.

— To wszystko prawda, Ou Baas, ale przecież to właśnie daje nam szansę! Niech pan spojrzy choćby tylko na ostatni miesiąc! Na rezultaty wyborów uzupełniających w Germiston i lokalnych wyborów w Transwalu. Tu i tam wygraliśmy o kilka długości. Gdybyśmy teraz doprowadzili do rozpisania wyborów powszechnych, to odnieśliśmy zwycięstwo. Nie trzeba byłoby wchodzić w koalicję z narodowcami. Rządzilibyśmy na własnych warunkach.

Stary generał zasępił się, wtulił siwą brodę w pierś i milczał dłuższą chwilę.

— Może ma pan rację, Blaine — powiedział w końcu. — Zapewne wygralibyśmy, ale mało byłoby w tym naszej własnej zasługi. Głosowano by nie tyle na nas, co przeciwko Hertzogowi. Takie zwycięstwo byłoby jałowe i bezpłodne. Rozpisanie wyborów nie dałoby się uzasadnić troską o dobro narodu. Byłaby to zwykła, nieczysta rozgrywka o władzę. Ja z czymś takim nie chcę mieć nic wspólnego.

Blaine nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Wielkość tego człowieka, który bez wahania odrzucał okazję wyciągnięcia korzyści z upadku swego kraju, sprawiła, że nagle poczuł się zupełnie mały.

— Żyjemy w tragicznych czasach, Blaine — podjął cicho generał. — Ze wszystkich stron ciągną na nas burzowe chmury. Rozbity, podzielony parlament nic nie da, potrzeba nam jedności narodu. Gospodarka balansuje na krawędzi przepaści, przed kopalniami złota stoi widmo bankructwa. Przy obecnych kosztach wydobywania już teraz zamyka się większość starszych kopalni. Wkrótce ich śladem podąży reszta, a to będzie oznaczało koniec Afryki Południowej, takiej, jaką znamy i kochamy. Jakby tego było mało, nastąpił krach na rynkach wełny i diamentów, naszych pozostałych dwóch najważniejszych produktów eksportowych.

Blaine skinął ponuro głową. To, o czym mówił generał, było powodem troski całego kraju.

— Nie sposób przecenić wagi ustaleń komisji Wage'a. Prymitywne metody upraw i susza spowodowały, że jedna piąta białej ludności żyje w warunkach skrajnego ubóstwa. Erozja i rabunkowa gospodarka zmieniły w spalony ugór dwadzieścia procent naszych ziem uprawnych, zapewne trwale.

— Biedni biali — mruknął Blaine. — Masa niepiśmiennych żebraków, głodujących, bezrobotnych, niewykształconych, bez jakiegokolwiek nadziei na przyszłość.

— Dalej mamy naszych czarnych, podzielonych na dwadzieścia plemion, ze wszystkimi wynikającymi stąd problemami. Napływają masowo z rejonów rolniczych w poszukiwaniu znośniejszego życia, die lekkerlewe, zasilając szeregi bezrobotnych. Zamiast lepszego życia znajdują przestępcze podziemie, prostytutkę, nielegalny handel alkoholem. Ich niezadowolenie narasta, nabierają pogardy dla naszych praw, odkrywają uroki władzy i zaczyna im świtać myśl, by spróbować po nią sięgnąć.

— To problem, którego istnienia nie dopuszczamy jeszcze do swojej świadomości, którego nie

próbujemy nawet zrozumieć — przyznał Blaine. — Módlmy się, żeby nasze dzieci i wnuki nie przeklęły nas kiedyś za to zaniedbanie.

— Módlmy się — zawtórował mu jak echo Smuts. — A tymczasem rzućmy okiem poza nasze granice, na chaos, w którym pogrzyżyła się reszta świata. — Dźgnął ziemię końcem laski, akcentując każdy punkt swego wywodu. — W Ameryce krach systemu kredytowego, handel z Europą i resztą świata praktycznie zmarł, armie bezrobotnych, bankrutów, biedaków eksmitowanych na bruk snują się be celu po drogach całego kontynentu. — Znów dźgnął laską soczystą zieloną trawę. — W Niemczech dogorywa Republika Weimarska, gopodarka kraju w ruinie. Inflacja pozbawiła ludność wszelkich oszczędności. Sto pięćdziesiąt miliardów marek weimarskich za dawną złotą markę! Jak Feniks z popiołów odradza się tam dyktatura oparta na przemocy i rozlewie krwi, dyktatura cuchnąca z daleka nieopisanym złem. — Dźgnął ziemię z narastającym gniewem. — W Rosji obłąkany potwór morduje miliony swoich własnych rodaków. W Japonii szaleje anarchia. Wojskowi podburzyli tłum do usunięcia legalnie wybranych władz, zajęli Mandzurię, dokonali rzezi setek tysięcy jej nieszczęsnych mieszkańców, a kiedy świat zaprotestował, zagrozili wystąpieniem z Ligi Narodów. — Laska ponownie przecięła ze świstem powietrze i smagnęła trawę. — Bank Anglii nie wytrzymał naporu, Wielka Brytania zmuszona była odstąpić od standardu złota. Upiorne widmo antysemityzmu raz jeszcze uwolniło się z sarkofagów historii i nęka cały cywilizowany świat. — Generał przystanął i podniósł wzrok na Blaine'a. — Gdziekolwiek spojrzeć, kataklizm i śmiertelne zagrożenie. Nie mam zamiaru ciągnąć z tego korzyści i doprowadzić do rozdarcia tego biednego kraju. Nie, Blaine, koalicja i współpraca, nie konflikt.

— Jak to się stało, że wszystko się tak nagle zawaliło?— spytał cicho Blaine. — Przecież jeszcze wczoraj kraj kwitł, wszyscy byliśmy szczęśliwi.

— W Afryce Południowej człowiek może zbudzić się o świcie pełen nadziei, a w południe osiwieć z rozpacz. — Smuts umilkł, lecz po chwili otrząsnął się z zadumy. — Potrzebuję pana, Blaine. Czy mam panu dać czas do namysłu?

— To zbyt długie. Może pan na mnie liczyć, Ou Baas.

— Wiedziałem, że się na panu nie zawiodę.

Blaine spojrzął ponad jego ramieniem w stronę, gdzie siedziała Centaine. Starał się ukryć rozpierającą go radość, gdyż radość ta podszyta była wstydem. W przeciwieństwie bowiem do tego drobnego, nieskazitelnego człowieka, który stał przed nim, on sam miał ciągnąć korzyści z dramatu swej ojczyzny i całego cywilizowanego świata; czas kryzysu, zwątpienia i rozpacz jemu samemu miał przynieść upragnioną tekę ministra, a wraz z nią przeprowadzkę do Cape, powrót z niegościnniej pustyni do tej przepięknej, kipiącej roślinnością doliny, miejsca zamieszkania Centaine Courteney.

W tym momencie pobiegł wzrokiem do wychudłej, bladej kobiety w wózku inwalidzkim, której uroda gasła w dnia na dzień, rujnowana cierpieniem i narkotykami, i wstyd oraz poczucie winy niemal idealnie zrównoważyły jego radosne uniesienie.

Ale Smuts mówił już dalej.

— Pozostanę tutaj, w Welteyred jeszcze cztery dni, Blaine. Sir Garrick zmusił mnie do wyrażenia zgody na napisanie przez niego mojej biografii i obiecałem mu pomóc w opracowaniu jej wstępnego szkicu. Jednocześnie odbędę kilka sekretnych spotkań, by omówić ostatnie szczegóły koalicji. To idealne miejsce do takich rozmów. Będę zobowiązany jeśli pozostanie pan w tym czasie do mojej dyspozycji. Niemal na pewno będę pana potrzebował.

— Oczywiście. — Blaine zmusił się do odłożenia na bok własnych emocji. — Zostanę tu tak długo, jak będzie pan sobie tego życzył. Czy mam już teraz złożyć rezygnację ze stanowiska zarządcy?

— Niech pan ją pisze — skinął głową Smuts. — Wyjaśnię powody pańskiej decyzji Hertzogowi

i będzie pan mógł wręczyć mu ją osobiście. A teraz niech pan idzie przygotować się do meczu — dodał widząc, że Blaille zerka na zegarek. — Ta gra w polo w tak ponurych czasach przypomina mi grę na cytrze podczas pożaru Rzymu, ale cóż, trzeba zachować pozory. Zgodziłem się dokonać wręczenia nagród. Centaine Courteney ma ogromny dar przekonywania. Mam więc nadzieję, że spotkamy się ponownie później — kiedy będę panu wręczał puchar.

Walka była ząarta, ale reprezentacja Cape, której kapitanem był Blaine Malcomes, odparła zacięte ataki dryżyny TranSwału i wygrała finałowy mecz turnieju przewagą trzech bramek. Bezośrednio potem wszystkie drużyny zebrały się przed trybuną gdzie na długim stole lśniła cała kolekcja srebrnych pucharów lecz w tym momencie nastąpiła niezręczna zwłoka w przebiegu uroczystości — brakowało zwycięzców turnieju juniorów.

— Gdzie jest Shasa? — spytała Cefltaifle Cyryla Slaille'a, który odpowiadał za organizację turnieju. Mówiła cicho, ale w jej głosie słychać było tłumioną wściekłość.

Cyryl rozłożył bezradnie ręce.

— Obiecał, że tu będzie — powiedział przepraszaąco.

— Jeśli to jest ta jego niespodzianka... — Centaine opanowała się i na użytek zaciekawiony gości przybrała na twarz wdzięczny uśmiech. — No dobrze, niech i tak będzie. Zaczynamy bez nich. — Zajęła miejsce w pierwszym rzędzie trybuny, u boku generała Smutsa, i podniosła obie ręce prosząc zebranych o uwagę.

— Panie generale panie, panowie czcigodni goście i drodzy przyjaciele. — Urwała i rozejrzała się niepewnie wokół, szukając źródła dźwięku, który dobiegł jej uszu. zakłócające ciszę brzęczenie przybierało szybko na sile, aż przeistoczył się w dudniący ryk. Goście unieśli głowy ku niebu, rozglądając się na wszystkie strony, jedni zaskoczeni, inni rozbawieni, jeszcze inni niepewnie i z niepokojem. I nagle nad dębami na skraju boiska błysnęły skrzydła lecącego nisko samolotu. Była to „Ćma”, mała, jednosilnikowa maszyna. Zeszła stromo w dół i niemal muskając kołami murawę popędziła prosto w stronę tłumu zebranych. W chwili, gdy wydawało się już, że po prostu musi się roztrzaskać o zapełnione skamieniałymi gośćmi ławy, wyprysnęła w górę i z rykiem silnika przemknęła tuż nad widzami, których połowa instynktownie schyliła głowy. Jakaś kobieta krzyknęła ze strachu.

W chwili, gdy samolot przelatywał nad jej głową, Centaine ujrzała w bocznym okienku kabiny roześmianą twarz machającego jej ręką Shasy i w ułamku sekundy przeniosła się w czasie i przestrzeni, cofnęła się o wiele lat i znalazła we Francji.

Ta twarz nie należała już do Shasy lecz do Michaela Courteneya, jego ojca. W jej oczach samolot stracił niebieski kolor i opływowe kształty, przeistoczył się w archaicznego kanciastego dwupłatowca z otwartą kabiną, oplecioną stalowymi linkami, pomalowaną w żółtozielone plamy zwiadowczą maszynę z czasów wojny.

Skamieniała patrzyła jak zatacza szerokie koło i pojawia się ponownie nad koronami dębów, a pierś rozdzierał jej niemy krzyk. Widziała podziurawiony jak rzeszoto samolot zwiadowczy, próbujący pokonać ścianę wielkich buków u podnóża zameczku w Mort Homme. Nagle silnik zakrzuszył się i uinikł.

„Michael!” — krzyknęła przeraźliwie w głębi duszy. Niby w oślepiającym rozblýsku agonii raz jeszcze ujrzała, jak śmiertelnie raniona maszyna zawadza o najwyższe gałęzie drzew, wpada w korkociąg i zwała się na ziemię, zmieniając w stertę połamanych rozpórek i podartego brezentu. Znow widziała, jak wśród szczątków rozbitej maszyny, niczym piękny, trujący kwiat, rozkwita ogień i strzela pod niebo, zasnuwając czarnym dymem trawnik przed zamkiem; jak lizane pomarańczowymi płomieniami ciało mężczyzny w otwartej kabinie drga konwulsyjnie, wije się i czernieje, jak spowija

je kula rozedrganego żaru i smolistego dymu. Jeszcze raz uszy wypełnił jej dudniący grzmot.

„Michael!” — krzyknęła rozdzierająco, ale spoza zaciśniętych do bólu zębów i ściętych lodem przerażenia warg nie dobył się nawet szept.

I wtedy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, obraz rozpułynał się i znikł, a jego miejsce zajął widok statecznie lądującej na zielonej murawie boiska do polo błękitnej „Ćmy”. Ogon maszyny ślizgał się już po trawie, dudnienie silnika przycichło do stłumionego perkotania, samolot zwrócił przy końcu boiska i kołysząc lekko Śkrzydłami podkołował z powrotem przed trybunę. Silnik zakaszał wypluwając obłok niebieskiego dymu, i ucichł.

Drzwi po obu stronach kabiny otworzyły się na całą szerokość i na trawę wyskoczył Shasa oraz trzech jego kolegów z drużyny. Wydawało się niemożliwe, żeby wszyscy zdołali się pomieścić w ciasnej kabince.

— Niespodzianka! — zawołali chórem. — Niespodzianka, niespodzianka!

Na trybunie rozległy się brawa, oklaski i okrzyki zachwytu.

Samolot był nadal cudowną nowością, mogącą zaciekać nawet tak wyszukane towarzystwo; wśród zgromadzonych nie więcej niż jedna osoba na pięć kiedykolwiek nim leciała. Jego nieoczekiwane i hałaśliwe przybycie wywołało nastrój podniecenia i wesołości, toteż kiedy Shasa poprowadził swoją drużynę do stołu, by przyjąć puchar z rąk generała Smutsa, nagrodzono go burzą oklasków i głośnych pochwalnych komentarzy.

W tej samej chwili w drzwiczkach po lewej stronie kabiny pojawił się pilot błękitnego samolotu. Centaine spiorunowała go wzrokiem.

Nie wiedziała, że wśród swych rozlicznych talentów Jack Murphy posiada także umiejętność pilotażu, postanowiła jednak twardo, że krępy, łysy nauczyciel jej syna pożąda jeszcze swego wybryku.

Zawsze robiła co mogła, żeby zniechęcić Shasę do samolotów i latania, a nie było to wcale takie łatwe. Chłopiec trzymał przy łóżku fotografię swego ojca w kombinezonie pilota, a pod sufitem jego sypialni wisiał model myśliwca SE5a. W ciągu ostatnich lat coraz częściej i natarczywiej wypytywał o wojenne wyczyny Michaela. Powinno ją to było ostrzec, ale wciąż miała tyle innych spraw na głowie, a poza tym przez myśl jej nie przeszło, że może zacząć latać, nic jej o tym nie mówiąc.

Spoglądając wstecz zrozumiała nagle, że świadomie nie dopuszczała do siebie tej myśli, świadomie unikała rozważania takiej ewentualności. Szok, jakiego teraz doznała, był przez to tym większy, tym bardziej nieprzyjemny.

Trzymając w rękach srebrny puchar, Shasa zakończył krótkie podziękowania osobliwym zapewnieniem:

— Panie i panowie! Być może odnieśli państwo wrażenie, że to Jock Murphy prowadził „Ćmę”. Otóż nie! On nawet nie dotknął urządzeń sterowniczych. Prawda, Jock? — Spojrzał na łysiego instruktora, który skinął głową na potwierdzenie. — No proszę, sami państwo widzą! Tak się bowiem składa, że postanowiłem zostać pilotem, jak mój tata.

Zebrani nagrodzili wystąpienie Shasy głośnymi brawami i tylko Centaine się do nich nie przyłączyła.